

BARÇA vs. REAL

WROGOWIE, KTÓRZY
NIE MOGĄ BEZ SIEBIE ŻYĆ



ALFREDO RELAÑO

SCN
WYDAWNICTWO
SINE QUAE RONA

ALFREDO RELAÑO

BARÇA vs. REAL

WROGOWIE, KTÓRZY
NIE MOGĄ BEZ SIEBIE ŻYĆ

TŁUMACZENIE
BARBARA BARDADYN

KRAKÓW 2015

*Ikerowi Casillasowi i Xaviemu Hernándezowi,
którzy grali przeciwko sobie kilkadziesiąt razy
i wciąż się przyjaźnią.*

ŻYCZĘ REALOWI, ABY RÓŚŁ W SIŁĘ

Barcelona i Real to dwie drużyny, które zna cały świat. O ich rywalizacji mówią wszyscy fani piłki nożnej i większość dość jasno opowiada się po którejś ze stron. Na tę pełną napięcia i emocji walkę czekają miliony kibiców nie tylko w Hiszpanii, ale na całym świecie. A Polska jest tutaj doskonałym przykładem. Wszyscy tym żyjemy!

Każdy fan piłki komuś kibicuje. A jeden wybór z reguły wyklucza drugi. Każdy opowiada się za tym klubem, który jest mu bliższy – duchowo lub geograficznie. Ja też nie jestem inny. Wiem, komu kibicuję, a której drużyny nie lubię i dlaczego. Tylko czy sympatia do jednego musi oznaczać antagonizm i nienawiść do drugich? Czy w Polsce, dość znacznie oddalonej od terytorium największych śpięć i utarczek, rywalizacja Barcelony z Realem też musi przyjmować skrajne relacje? Piłkarze często dawali nam przykłady, że ta walka, tak istotna dla obu klubów, nie musi oznaczać wzajemnej niechęci i braku ludzkich odruchów i sympatii. Przykładem może być pamiętne zdjęcie Raúla i Puyola po jednym ze spotkań.

Te pytania i rozważania nie oznaczają jednak, że jestem kryształowy, pełen cnót i wyrozumiałości, że nie cieszę się z porażek czy remisów przeciwnika, że nie dopinguję ich rywali. Jestem taki sam jak Wy i tak samo jak Wy pragnę dobra swojego klubu, często kosztem przeciwnika. Może jednak warto się zastanowić, czy największy rywal nie jest też największym błogosławieństwem?

Należy pamiętać o współzależności. Najprościej można to określić, mówiąc, że nie byłoby takiej Barcelony, gdyby nie było takiego Realu. I nie byłoby takiego Realu, gdyby nie było takiej Barcelony. Wielki rywal, wróg, przeciwnik, oponent to nie zawsze tylko coś złego. Oba kluby od lat napędzane są nienawiścią, chęcią prześcignięcia głównego konkurenta, pokazania, kto jest lepszy, bogatszy (nie tylko finansowo, ale i historycznie), bardziej medialny, kto ma więcej fanów, kto wygrał więcej trofeów, kto ma lepszego piłkarza, ładniejszy stadion, stroje, a nawet hymn. Ten wyścig zbrojeń na każdej możliwej płaszczyźnie trwa już ponad sto lat i będzie trwał przez kolejne sto, dwieście, tysięcy...? Ta rywalizacja powoduje, że oba kluby wymieniane są rokrocznie wśród najlepszych drużyn na świecie. Gdyby zabrakło jednej z nich, czy nie oznaczałoby to osłabienia tej drugiej? Tak stało się w lidze szkockiej.

Może więc wszystkie te dość negatywne wzajemne relacje trzeba wręcz rozwijać? Wzajemne sukcesy mogą się okazać pożytkiem dla fanów każdej z tych drużyn, ale też dla całej dyscypliny.

Życzę więc Realowi, aby rósł w siłę, życzę, aby się rozwijał, umacniał strukturę, budżet i szkołki młodzieżowe. Życzę mu wszystkiego, co najlepsze. A sobie życzę, żeby i tak wygrała Barça.

Ze sportowym pozdrowieniem

Adam Marszał

Prezes Stowarzyszenia

Fan Club Barça Polska

UWAGA! RYWALIZACJA REALU MADRYT Z FC BARCELONĄ MOŻE UZALEŻNIĆ!

Legendarny trener Liverpool FC William „Bill” Shankly powiedział kiedyś: „Niektórzy ludzie uważają, że piłka nożna jest sprawą życia i śmierci. Jestem rozczarowany takim podejściem. Mogę zapewnić, że to coś o wiele ważniejszego”. Stwierdzenie to doskonale wpisuje się w ideologię starć pomiędzy Realem Madryt i FC Barceloną. Książka, którą teraz czytacie, przybliży wam historię najpiękniejszej rywalizacji w świecie futbolu, a może i sportu w ogóle. Rywalizacji, która od zawsze budziła w kibicach najbardziej skrajne uczucia znane człowiekowi – miłość i nienawiść.

Mówi się, że mecze Królewskich z Barcą są jedynymi w świecie futbolu, które nie pozostawiają żadnego kibica obojętnym. Możesz być fanem Manchesteru United, AC Milanu czy River Plate Buenos Aires, ale kiedy wybiję godzina Klasyku, staniesz po jednej ze stron tego nieustannego konfliktu. Nie będę ukrywał, że moje serce należy do klubu z Madrytu. Moja przygoda z Realem trwa już ponad 13 lat. W tym czasie miałem zaszczyt obejrzeć Gran Derbi z wysokości trybun Estadio Santiago Bernabéu oraz Camp Nou. Atmosfera, którą stworzyło odpowiednio 85 tysięcy i 99 tysięcy kibiców, jest nie do opisania. Emocje towarzyszące fanom podczas tych magicznych 90 minut mogą wynieść ich pod niebiosa, ale i zepchnąć w otchłań. Jednym słowem Klasyk – mecz ponad wszystkimi innymi.

Nie jest tajemnicą, że siła tej rywalizacji dawno przeniknęła bariery sportu. Dziś ten wyjątkowy bój to również polityka i niewyobrażalnie wielkie pieniądze. Dla wielu głęboko oddanych fanów Real Madryt oraz FC Barcelona uzyskały status religii, a dzień, w którym rozgrywany jest mecz odwiecznych rywali, traktowany jest jak święto.

Rozumiem, że nie każdy z Was jest fanatycznym kibicem Królewskich lub Dumy Katalonii, i rozumiem również, że nie wszyscy do końca jeszcze rozumiecie magię rywalizacji tych dwóch gigantów. Aby pomóc Wam lepiej zrozumieć, czym jest ta święta wojna, przytoczę starą anegdotę, która od wielu lat krąży między kibicami Realu Madryt i FC Barcelony:

Na łożu śmierci leży stary, wierny kibic Realu Madryt. Mężczyzna jest otoczony całą swoją rodziną.

– Od dziś jestem kibicem FC Barcelony! – powiedział starzec do swoich najbliższych.

– Ale dlaczego? Przecież całe życie kibicowałeś Realowi Madryt – z wielkim zdziwieniem zapytał jeden z krewnych.

– Wolę, żeby umarł kibic Barcelony – odparł starzec.

Kamil Kamiński
Członek zarządu
Polskiego Stowarzyszenia
Kibiców Realu Madryt
Águila Blanca

WPROWADZENIE

Powiedzmy sobie uczciwie: urodziłem się w kołysce madrydistów. Mój ojciec był *socio* Realu przed wojną, mój starszy brat jest *socio* Realu od ponad 50 lat, ja sam zostałem zarejestrowany jako *socio* na sezon 1962/63, tuż przed przybyciem do klubu Amancio. Chcę, żeby to było jasne. Ale prawda jest też taka, że przyszedłem na świat w mieszanej rodzinie madrycko-barcelońskiej. Moja matka urodziła się w El Masnou i dorastała w Barcelonie. Kiedy zaczęła się wojna, do stolicy Katalonii przeniósł się mój dziadek Relaño. Właśnie tam jego trzech synów zakochało się w trzech barcelońskich siostrach Estapé. Tak się złożyło, że po wojnie wszystkie trzy małżeństwa przeprowadziły się do Madrytu i tutaj dorastała druga generacja siedmiorga Relaño Estapé. Słuchaliśmy matek rozmawiających ze sobą po katalońsku i zauważyliśmy na ulicy zdumiewającą niechęć do tego języka. Pośród małych traum z dzieciństwa pamiętam jedną szczególnie niemiłą sytuację, kiedy moja matka i ciocia usłyszały w autobusie: „Proszę mówić po ludzku!”, ponieważ rozmawiały ze sobą po katalońsku.

Futbol nie rozdzielił tego, co połączyła miłość. Kiedy byłem dzieckiem, dwie z trzech rodzin Relaño Estapé mieszały w tym samym domu: rodzice i wujostwo, dzieci i kuzyni, wszyscy razem. W niedzielę w radiu słuchało się audycji *Carrusel deportivo* (Sportowa karuzela) na antenie Sociedad Española de Radiodifusión, jak wtedy nazywała się Cadena SER, a moja ciocia Estrella, wielka barcelonistka (moja matka początkowo była futbolową agnoscyczką, aż z biegiem lat stała się abolicjonistką), obstawiała wyniki meczów i rozprawiała o Kubali. Pozostali dorosli również mówili o Kubali, ale prawie zawsze towarzyszyło temu nazwisko Di Stéfano. Czasem takie rozmowy dało się słyszeć również w ciągu tygodnia, a to dlatego, że Real Madryt często grał mecze w Pucharze Europy. Były transmitowane w radiu i zazwyczaj rozstrzygał je właśnie rzeczony Di Stéfano. Jego nazwisko brzmiało dla mnie jak trzask bata. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażałem go sobie pośród mgły, mijającego błyskawicznie licznych przeciwników. Nie wiedziałem jeszcze, czym jest futbol. Dopiero co zacząłem oglądać

NO-DO^[1], gdzie zamieszczano fragmenty spotkań, które jednak nie mówiły mi zbyt wiele. Dorosli, i owszem, rozmawiali o tym z pasją. Zwłaszcza kiedy dwóch angielskich arbitrow po raz pierwszy wyrzuciło Real Madryt z Pucharu Europy, z rozgrywek, które do tamtej chwili zawsze wygrywał.

Będąc już *socio* Realu – była to nagroda za dobre oceny i prezent na zakończenie roku szkolnego – z ogromną ciekawością oglądałem mój pierwszy mecz Real Madryt – Barcelona. Real wygrał 2:0, a mój siedem lat starszy brat stwierdził: „Obie drużyny są cieniem samych siebie z przeszłości”. Kubali nie było już w klubie. Nie widziałem go aż do następnego sezonu, kiedy zaczął występować w Espanyolu. Patrzyłem na niego, jak będę patrzył – jeśli w ogóle pewnego dnia tak się stanie – na jeden z posągów na Wyspie Wielkanocnej. Nic wtedy nie zrobił, uważałem jednak, że jest godny podziwu.

Przez kilka lat Barça była w moich oczach historyczną drużyną cofającą się w rozwoju. Nie postrzegałem jej jako rywala dla Realu Madryt. Wydawało mi się, że szacunek jakim ten zespół darzyli jeszcze mój ojciec i jego bracia, należał mu się bardziej z uwagi na ich żony niż na to, na co naprawdę zasługiwała Barcelona. Ale oglądając w domu schowane w jakimś kącie stare numery magazynu „Blanco y Negro”, odkryłem Barcę, którą nieomal przegapiłem. Barcę

mojego przyjaciela Juana Cruza, Barçę HH^[2], Barçę, która zaczynała się od Ramalletsa, Olivelli, Rodriego, Gracii, Segarry, Gensany (albo Vergésa w miejsce jednego z nich), Barçę, która w każdym meczu musiała rezygnować z trzech z tych ośmiu wspaniałych napastników: Tejady, Kubali, Mocsisa, Evaristo, Eulogio Martíneza, Luisa Suáreza, Villaverde lub Cibora. Zorientowałem się, że straciłem coś wielkiego. I nauczyłem się patrzeć w sposób szczególny na Barçę Sadurniego, Fusté, Peredy, Zaldúi i pozostałych, których oglądałem w tamtych latach.

Rywalizacja w Madrycie toczyła się z Atlético, dla mnie jednak Barça była bardzo ważna. Często kupowałem „Dicen”. Odkryłem tę gazetę na Metropolitano, stadionie Atlético, na który chodziłem – wbrew radzie mojego ojca – w te niedziele, kiedy Real grał na wyjeździe. Do jej kupna namawiali handlarze na zachodniej trybunie. Od czasu do czasu, jeśli pozwalały mi na to oszczędności, w kiosku przy Cibeles kupowałem „Barçę” albo „RB”, dwa magazyny poświęcone Barcelonie, przy czym jeden z nich systematycznie atakował władze klubu, co wydawało mi się zadziwiające.

Mój pierwszy wyjazd do Barcelony nie miał nic wspólnego z futbolem. Stało się tak z okazji srebrnego jubileuszu moich rodziców. Pojechaliliśmy tam, żeby poznać i uściskać katalońską rodzinę, z którą moja matka nie widziała się od wojny. Inne czasy. Ale rozmawiało się o futbolu i nasi barcelońscy krewni dyskretnie zawstydzili nas wspomnieniem finału butelek, do którego doszło nie tak dawno temu. Przyznaję, że ironia była jak najbardziej zasłużona. Tamto zdarzenie pokazało, jak nieokrzesani są kibice Realu Madryt. Szczercie mówiąc, zaskoczyło mnie to. Tym bardziej że byłem wśród nich, choć spieszę z informacją, że nie rzuciłem żadnej butelki.

Moja pierwsza wizyta na Camp Nou miała miejsce kilka lat później, w wielkanocny poniedziałek w 1972 roku. Tym razem – już jako dziennikarz – poszedłem obejrzeć mecz Barça – Real Madryt. Gwizdy, jakimi przywitano wchodzących na murawę piłkarzy Realu, zaskoczyły mnie tak, jak niewiele rzeczy w życiu. Zupełnie nie byłem na to przygotowany i przez moment wydawało mi się, że to jakiś nadprzyrodzony dźwięk, jakby z olbrzymią prędkością zbliżyły się do nas inne galaktyki. Minęło kilka dobrych chwil, zanim zdałem sobie sprawę, że to gwizdy; były nieprawdopodobnie ogłuszające, ani trochę nie przypominały gwizdów, jakie można było usłyszeć na meczach odwiecznych rywali w Madrycie.

Coś działo się wokół.

Czym było i jest to coś, staram się wyjaśnić w tej książce. Przygotowywałem się do jej pisania z największą starannością. Są w niej wydarzenia z historii obu klubów (znacznie więcej jednak traktujących o Barcelonie) i mnóstwo informacji dziennikarskich. Są w niej wspomnienia osób związanych z jednym i drugim klubem. Zawarłem w niej wreszcie moje własne wrażenia z ostatnich 50 lat, prawie połowy tej niebywale intensywnej rywalizacji, której byłem naocznym świadkiem, zarówno jako kibic (albo dziecko otoczone kibicami w pierwszych latach), jak i jako dziennikarz. Wyłuskałem wszystkie znaczące z mojego punktu widzenia epizody, do których doszło podczas rywalizacji tych dwóch gigantów, związane tak z meczami rozgrywanymi na boisku, jak i tymi w gabinetach. Wszystko, o czym Państwo przeczytają, jest dobrze udokumentowane, ponieważ w miarę możliwości starałem się docierać do źródeł. Wiele razy weryfikowałem rozpowszechnione po stronie barcelońskiej informacje; powtarzane aż do znudzenia najmłodszym generacjom, sprawiają, że kibice tej drużyny powszechnie uważają się za ofiary zniewag. Oczywiście, że Real Madryt robił świństwa Barcelonie. A Barça robiła je Realowi. Jednak stwierdzenie, że Real był drużyną Franco i stąd brały się jego sukcesy, jest niesprawiedliwym uproszczeniem. Real znaczył więcej niż Barça w czasach Republiki, jego prezes do wybuchu wojny domowej był szanowanym republikaninem, a w kwestii tytułów Real Madryt miał swoje gorsze lata między końcem wojny domowej a przybyciem Di Stéfano. Co do udziału reżimu w tym transferze, odsyłam do odpowiedniego rozdziału, w którym wyjaśniam, że sprawy nie

wyglądały tak, jak o nich opowiadano. Dwa rozdziały przed fragmentem poświęconym sprawie Di Stéfano znajduje się opis sprawy Kubali, kiedy to władze robiły, co mogły, żeby mieć doskonałą bazę dla swojej antykomunistycznej propagandy.

Owszem, później, w latach 60., Real Madryt zyskał w Hiszpanii znaczenie, jakiego nigdy wcześniej nie posiadał, stał się czymś w rodzaju instytucji państwowej, której status znacznie wykraczał poza ramy zwykłego klubu sportowego, chociaż w herbie klub miał nazwę miasta. W tamtych latach nikt nie cierpiał tak jak Barça i być może to z tamtego okresu pochodzi siła, która pozwala dziś cieszyć się klubowi świetnością. Książka ukazuje się w momencie, gdy Barça stanowi wzór, kolekcjonuje tytuły i zbiera pochwały, Real Madryt porusza się zaś niezdarne, wiosłując w górę rzeki, użalając się nad swoim losem i nie znajdując rozwiązania. Jest więc obecnie dokładnie odwrotnie niż wtedy, gdy 50 lat temu poznałem oba kluby, kiedy wspaniała armia, dowodzona przez Di Stéfano, szła od zwycięstwa do zwycięstwa, a Barça wprowadzała nowe projekty, by znaleźć rozwiązanie, które i tak się nie pojawiało.

Dodam jeszcze, że w książce pojawiają się nazwy klubów, które z biegiem czasu się zmieniły: Español stał się Espanyolem, Athletic Bilbao najpierw stał się Atlético, a potem powrócił do nazwy Athletic... Aby uniknąć nieдомówień i zamieszania, uznałem, że będę o nich pisał, używając aktualnych nazw. Kiedy więc pojawia się nazwa Atlético, to odnosi się ona do klubu z Madrytu (który przed wojną też nazywał się Athletic), a kiedy pojawia się Athletic, to mowa o klubie z Bilbao (który od 1940 do 1972 roku nazywał się Atlético). Gdy wspominał o czasach tuż po wojnie, kiedy Atlético było znane pod tą nazwą, używam formy Atlético Aviación. Ale chodzi o ten sam klub. Tak samo postąpiłem w przypadku drużyny koszykówki Juventud – Joventut. Kiedy jednak odwoływałem się do tekstów obcego autorstwa, wolałem użyć oryginalnego nawiązania.

Imiona i nazwiska bohaterów katalońskich zapisałem tak, jak je rozumiałem, albo tak, jak oni sami wolą je zapisywać, czyli zazwyczaj po katalońsku.

Książka składa się z 46 rozdziałów. Ta historia wciąż się nie skończyła i nadal jest pasjonująca. Proszę o niej poczytać. Myślę, że Państwa zainteresuje.

1. REAL MADRYT ZAŁOŻYŁ KATALOŃCZYK

Mówi się, że nie ma gorszego wroga niż wróg wyhodowany na własnej pierś. To powiedzenie przychodzi mi do głowy, gdy przypominam sobie, że Real Madryt założył Katalończyk Carlos Padrós Rubió, urodzony w Sarrià 9 listopada 1870 roku.

Książka *Todos los jefes de la Casa Blanca* (Wszyscy szefowie Białego Domu) autorstwa dziennikarza Juana Carlosa Pasamontesa przedstawia tę postać w sposób wyczerpujący. Był Katalończykiem z krwi i kości. Jego ojciec, barcelończyk, nazywał się Padrós Parals, matka, pochodząca z Vilafranca del Penedès, nosiła nazwiska Rubió Queraltó. Rodzina osiadła w Madrycie w 1876 roku. Otworzyła sklep włókienniczy pod nazwą Al Capricho, przy skrzyżowaniu ulicy Alcalá z Cedaceros. Był to dobrze prosperujący biznes, dzięki któremu rodzina nabyła kilka posiadłości w El Escorial.

Pierwszym prezesem Madrytu ^[3] był jego brat Juan Padrós, jednak człowiekiem, który przede wszystkim przyczynił się do jego założenia (i pełnił funkcję prezesa między 1904 a 1908 rokiem), był Carlos. Należał on do generacji świątlich młodzieńców, która sprowadziła futbol do naszego kraju, by w ten sposób poszerzać horyzonty obywateli państwa, które pograżało się w paraliżującym kasty cyzmie ^[4]. Fragment jego artykułu z magazynu „Gran Vida” dowodzi, jak postrzegał korzyści płynące ze sportu:

Nadszedł już czas, by pośród madryckiej młodzieży zaczęło budzić się zainteresowanie czymś więcej aniżeli tylko służeniem za słupki na ulicy, kiedy to rywalizuje ona z latarniami, uniemożliwiając przejście przechodniom, poświęcając się prawieniu komplementów dziewczętom za pomocą słów świadczących, w większości przypadków, o wątpliwym wychowaniu. Żal było patrzeć na tę generację chłopców: chorowitych, znudzonych wszystkim, zanim jeszcze stali się mężczyznami, pozbawionych marzeń, znajdujących rozrywkę jedynie na jakiejś zabawie, która oprócz tego, że wystawiała na szwank ich marne zdrowie, upokarzała ich, rujnując godność. Trzeba było, żeby z zagranicy przybyła grupa chłopców wychowanych w sposób nowoczesny, pragnących kontynuować w ojczyźnie styl życia, jaki w innych krajach wpaja się młodzieży jako niezbędne uzupełnienie edukacji, żeby tutejsi młodzieńcy, nienawykli do jakichkolwiek zajęć wychowania fizycznego, zaczęli poznawać i doceniać płynące stąd korzyści oraz uroki. Powoli przyzwyczajano się do tego zainteresowania, mimo że krewni i przyjaciele

tych chłopców uznawali za żart i kpinę wszystko, co wymagało wysiłku, porzucenia stęchłych przyzwyczajzeń, krótko mówiąc, wszystko, co było pracą.

Na szczęście, jako że dobro zawsze zwycięża, zamiłowanie do ćwiczeń fizycznych zaczęło się zakorzeniać i w Madrycie powstało wiele stowarzyszeń piłkarskich, które pomimo nikomego albo wręcz żadnego wsparcia ze strony oficjalnych instytucji w krótkim czasie błyskawicznie się rozwinęły, stając się ośrodkami entuzjastycznych propagatorów tej dyscypliny, także dziś można liczyć w milionach tych, którzy uprawiają ten interesujący sport.

Wszystko, co się robi, to i tak mało, żeby wpoić młodzieży przyzwyczajenia do pracy; trzeba wyrwać ją z tego marazmu, w którym tkwi, przekonać ją, że brak ruchu hamuje nasz rozwój, czyni nas bezużytecznymi, a wreszcie: zabija nas.

Carlos Padrós był człowiekiem obdarzonym pomysłami wykraczającymi poza swoją epokę; wprowadził nowe techniki w rolnictwie, był deputowanym parlamentu, wybranym przez mieszkańców Mataró, miasta, którego jest Ukochanym Synem^[5] (za poszerzenie koryta rzeki, co rozwiązało ciągly problem z powodzią) i gdzie ma aleję swojego imienia, przebiegającą, co ciekawe, tuż obok boiska piłkarskiego.

Ludzie związani z madryckim klubem dawno o nim zapomnieli, co sprawiło, że w Barcelonie pisano (a ja słyszałem, jak o tym mówiono), że zaprzeczają oni, jakoby założycielem klubu był Katalończyk. Powód jest jednak inny. Kiedy Madrytowi CF przekazano na własność pierwszy Puchar Hiszpanii za kolejne zwycięstwa w 1905, 1906 i 1907 roku, koledzy Carlosa Padrósa z zarządu uznali, że powinien on zatrzymać trofeum jako nagrodę za poświęcenie i troskę. Wiele lat później, w 1932 roku, kiedy klub zdobył pierwsze mistrzostwo kraju, ówczesny prezes Realu Luis Usera Bugallal poprosił o puchar, żeby móc ustawić go w gablocie razem z nowym trofeum, a Padrósowi obiecał wierną kopię trofeum. Padrós nigdy jej jednak nie otrzymał, co bardzo go zdenerwowało i sprawiło, że jego relacje z klubem znacznie się ochłodziły.

Carlos Padrós bardzo postarzał się na skutek wojny. Był więziony, przeżył upozorowane rozstrzelanie przy murze Retiro, schronił się w polskiej ambasadzie, aż udało mu się wyjechać z Madrytu. Po powrocie zastał swój dom zrównany z ziemią. Przetrwał, sprzedając rodzinne posiadłości w El Escorial, ale ostatnie lata jego życia były ciężkie: jego córka zmarła przedwcześnie, dotknął go paraliż, a w czasach powojennych trapiły go liczne problemy. W dniu, w którym umarł, 30 grudnia 1950 roku, Real Madryt pojechał akurat do Barcelony, żeby zagrać przeciwko Espanyolowi w Sarrià (miejsce urodzenia Carlosa Padrósa, obecnie dzielnica Barcelony) i przegrał 1:7! Nikt z klubu nie przyszedł na pogrzeb. Prawdopodobnie zapomniano o Padrósie, zerwano z nim kontakty. A ówczesny prezes klubu Santiago Bernabéu, który siłą rzeczy musiał go znać, należał do grona ludzi skłóconych z Padrósem od czasów Usery Bugallala. Nie udało mi się jednak dowiedzieć, jak by było naprawdę.

Wiele, wiele lat później, już w marcu 2002 roku, Florentino Pérez wykorzystał wyjazd Realu do Barcelony, aby złożyć Carlosowi Padrósowi hołd podczas wielkiego spotkania klubów kibica z całej Katalonii. Był to piękny gest, którego inicjatorem był Tomás Guasch, wówczas korespondent dziennika „As” w Katalonii, jego wicedyrektor oraz szef tamtejszych klubów madrydystów.

Był to gest wdzięczności prezesa Realu Madryt wobec katalońskiego założyciela klubu. Nie poszły za tym jednak istotne zmiany, ponieważ ogromna większość madrydystów nadal ignoruje

fakt, że klub, którego są kibicami, powstał dzięki Carlosowi Padrósowi.

Ten dystans Realu wobec człowieka, który założył klub, kontrastuje z sympatią i szacunkiem, jakim w Barcelonie darzy się Hansa (Joana) Gampera. Stadion nie nosi jego imienia, ponieważ założyciel klubu popełnił samobójstwo. W Barcelonie wszyscy wiedzą i mówią o tym po cichu, choć liczne książki poświęcone historii Barcy nie wspominają o tym wydarzeniu, co można zresztą zrozumieć. Samobójstwo Gampera usprawiedliwia się nawet jego oddaniem dla klubu, co miało go doprowadzić do zaniedbywania interesów (był kilkakrotnie szefem Barcelony), a także tym, że był prześladowany przez dyktaturę Primo de Riverę. W dziewięciu książkach opisujących historię klubu pojawia się fałszywa data śmierci Gampera (13 października). Jedyną znaną mi pozycją podającą prawdziwą datę (30 lipca) jest *Historia del Barça* Ricardo Calveta z 1978 roku.

O ile jednak imieniem założyciela nie nazwano nowego stadionu, to organizowany przez klub letni turniej, w trakcie którego przez wiele lat prezentowano publiczności nowych piłkarzy, nazywał się Pucharem Joana Gampera. Wtedy też zapadał słynny werdykt *aquest any, sí* (w tym roku tak) albo *aquest any, tampoc* (w tym roku też nie) odnośnie do tego, czy drużyna zdobędzie mistrzostwo, czy nie.

Różnica w tym, jak upamiętniają swych założycieli Barça i Real, jasno pokazuje też, w jak różny sposób postrzegają się oba kluby. Real Madryt ceni odniesione zwycięstwa – ale nic innego.

Barcelonę łączą z jej historią głębsze i bardziej sentymentalne relacje, a jej miłość wykracza daleko poza osiągnięcia klubu. I wyraża wdzięczność swojemu założycielowi, ponieważ uważa go za źródło, z którego biją wszystkie te uczucia.

2. BARÇA WYGRYWA PIERWSZY MECZ

W 1902 roku futbol zaznaczył już swoją obecność w kilku hiszpańskich miastach, głównie w Madrycie, Barcelonie i Bilbao. Ale również w Huelvie oraz Vigo. Czyli w tych, które najbardziej pozostawały pod angielskimi wpływami z racji istnienia portu w czterech z nich. W Barcelonie wpływy te były jeszcze większe, ponieważ nawiązywano kontakty w przemyśle włókienniczym. A w Madrycie ze względu na kontakty młodych ludzi, wychowanych pośród idei Wolnego Instytutu Naukowego, ludzi postępowych, pragnących pokazać inną Hiszpanię, nie tylko tę słynącą z walkbyków i ciecierzycy.

W Barcelonie rozegrano już Puchar Macaya (ufundowany przez pewnego mecenasa o takim właśnie nazwisku i wygrany przez Hiszpanię, wielkiego rywala Barcy w pierwszym okresie rywalizacji) i organizowano mecze towarzyskie. Ale Carlos Padrós, jeden z głównych organizatorów krajowego futbolu w tamtych czasie, chciał zrobić krok naprzód.

17 maja szesnaste urodziny obchodził Alfons XIII Burbon. Osiągnął wiek, w którym powinien przysięgać na konstytucję. W ten sposób kończyła się regencja jego matki, królowej Marii Cristiny. Z tej okazji w Madrycie zorganizowano szereg imprez, a Carlos Padrós dostrzegł w tym szansę, by zaprezentować społeczeństwu swój sport. W rzeczywistości można przyjąć za pewnik, że to dlatego Madryt CF został zarejestrowany 22 kwietnia. Od tego dnia Padrós miał w nowym klubie legalną i pewną bazę do dalszych działań. Od burmistrza miasta Alberto Aguilery udało mu się uzyskać fundusze na puchar dla zwycięzcy. Kosztowało go to sporo wysiłku i uporu (Manuel Rosón w książce *Libro de Oro del Real Madrid* [Złota Księga Realu Madryt] opowiada, że dozorca przyjął ich takim oto komentarzem: „Są już tutaj ci nudziarze od kopania”. A sam burmistrz próbował ich odwieść od tego zamiaru: „Młodzież musi się uczyć, a nie zajmować głupotami”). Jednak Carlos Padrós przekonał go i udało mu się w końcu zdobyć pieniądze na puchar, którego wykonanie zostało zlecone warsztatowi Marabiniego, w tamtym czasie najslynniejsze złotnika w Madrycie. Od księcia Sesto, szefa Stowarzyszenia Hodowli Koni, uzyskał prawo do korzystania z hipodromu (znajdującego się tam, gdzie dziś mieści się kompleks Nuevos Ministerios, tuż przy Paseo de la Castellana; wówczas poza centrum miasta, ale niezbyt daleko od niego) i udał się do wszystkich klubów, aby wręczyć im zaproszenie.

Z Barcelony zapisały się FC Barcelona i Espanyol, z Bilbao Vizcaya (nazwa, której używali piłkarze Athleticu i Bilbao, dwóch klubów z miasta Don Diego^[6], kiedy grali razem na wyjeździe, łącząc w ten sposób siły), a z Madrytu New i sam Madryt CF.

Wszyscy zawodnicy zaszczepili się wcześniej przeciwko tężcowi, co było żądaniem samego Padrósa. Teren hipodromu był zazwyczaj wykorzystywany do meczów polo i często można było się na nim natknąć na końskie ekskrementy.

Zasady turnieju brzmiały następująco:

1. W turnieju mogą wziąć udział wszystkie hiszpańskie stowarzyszenia Foot Ball Association, rejestrując się do dnia 1 maja i w tym celu kierując się do prezesa Sociedad Madrid Foot Ball Club przy ulicy Alcalá nr 48.

2. Po dokonaniu rejestracji stowarzyszenie musi przedstawić skład drużyny, z ograniczoną liczbą zawodników rezerwowych.
3. Nagroda stanie się prawowitą własnością stowarzyszenia, które ją zdobędzie.
4. Grać będzie się seriami, losując po dwie drużyny, i w ten sposób zwycięzcą zostanie ten, kto wygra w ostatniej serii.
5. W przypadku remisu arbiter będzie mógł przedłużyć mecz o 15 minut.
6. Mecze rozgrywane będą bez względu na pogodę, jeśli nie pojawi się sprzeciw ze strony kapitanów poszczególnych drużyn.
7. Sędziowie zostaną wyznaczeni jednogłośnie między kapitanami walczących ze sobą drużyn. W przypadku gdy nie osiągną oni porozumienia, arbitra wyznaczy komisja. Sędzia będzie miał obowiązek przedstawienia komisji raportu, podpisanego przez niego i obu kapitanów drużyn; żaden protest nie zostanie uwzględniony po upływie 48 godzin.
8. Wszelkie nieporozumienia i protesty muszą być przedstawione na piśmie komisji, która ma prawo ich rozstrzygnięcia.

(Proszę zwrócić uwagę, że wskazany adres, pod którym można było dokonać rejestracji, to adres sklepu Al Capricho, będącego własnością braci Padrós).

A teraz czas na grę. Ponieważ liczba drużyn była nieparzysta, trzeba było zorganizować 13 maja eliminacje, w których drużyna z Vizcaya z łatwością pokonała Espanyol 5:1. Półfinalista Vizcaya następnego dnia zmierzył się z zespołem New.

Jednak wcześniej miało dojść do pierwszego Klasyku, którego wtedy nikt jeszcze tak nie nazywał. O jedenastej rano tegoż 13 maja, w dniu święta Matki Boskiej Fatimskiej i Świętego Piotra Regalado, na murawę hipodromu w Madrycie wybiegają drużyny reprezentujące dwa kluby, które staną się symbolem sportowej rywalizacji nieporównywalnej z żadną inną: Madryt CF i FC Barcelona.

I Barcelona wygrywa 3:1.

Sprawozdanie Rosóna w „Heraldo” jest – jak można się przekonać – kostumbrycznym^[7] obrazkiem, który on sam, powielając go we wspomnianej książce *Libro de Oro*, uznaje za dziwaczny:

Damulki o taliach osi i z ogromnymi kapeluszami jak u tancerek kankana, w spódnicach, które odkrywają trzy guziczki małych, szpiczastych butów. Jasne odcienie, słoneczne parasolki w kwiaty; mnóstwo pudru na pięknych twarzach. Mężczyźni: spokojni i poważni. W ich przypadku jest to metamorfoza od „gogusia” do „próżniaka”, od „próżniaka” do „modela z żurnala” i stąd do „panicza”, który aspiruje, by zostać „dżentelmenem”. Ciemne kolory, wątłe postury, ożywione przez kamelię, niedbale przypiętą do dziurki od guzika.

Typowe uniformy. Zagorsetowani husarze jak toreadorzy w krótkich kurtkach i dopasowanych spodniach. Artylerzyści w błyszczących kępi, z czerwonymi sznurowadłami, dzieci w czapkach, „włóczęgi”, które się „wcisnęły”, adoptowane dzieci, wszystkie pana Alberto Aguilery, który był wzorcowym burmistrzem. Oficjele w cylindrach, brunatnych płaszczach z mnóstwem guzików, zbyt ciasnych kurtkach, z laskami zakończonymi gałkami z kości słoniowej... Boczne ściany trybuny pokryte są dwukolorową perkaliną... Obecnych jest prawie dwa tysiące osób. Padrós, Gorostizaga, Meléndez, Manolo Mendía i inni młodzi – młodzi w tamtym czasie oczywiście – czynią „honory” domu, pełniąc funkcje szefów protokołu dyplomatycznego, jako że pośród wielu dyplomatów przybył również król Wielkiej Brytanii. Każdy mężczyzna ma kartonik zwisający z dziurki na guzik. Damy wchodzi za darmo. Z El Rastro^[8] trzeba było wynająć dwieście krzeseł od handlarza, który nazywał się Paul Serafín...

Sprawozdawca w ten oto sposób opisuje starcie Barcelony z Madrytem:

O godzinie jedenastej rozpoczął się drugi mecz. Barcelona wystawiła następujących zawodników: Puelles, Llobet, Witty, Terradas, Maier, Valdés, Parsons, Gamper, Morris, Steinberg i Albéniz (sześciu obcokrajowców). W składzie Madrytu wybiegli: Sevilla, Molera, Giralt (M.), Góngora, Spottorno, Palacios, Johnson, Giralt (J.), Neyra, Giralt (A.), Celada. Arbiter Arana z prowincji Vizcaya. Mecz zaczyna się od obustronnych ataków, zaś po rzucie różnym panu Steinbergowi z Barcelony udaje się strzelić gola. Następnie są dwa rzuty różne dla Madrytu, a po dłuższym czasie, kiedy w meczu dominuje Barcelona, zawodnicy Madrytu ponownie atakują, po czym kończy się pierwsza część spotkania. W drugiej połowie Barcelona, wymieniając futbolówkę z maestrią, zbliża się do bramki Madrytu, ale przeciwnicy energicznie wybijają piłkę. Barcelona znów przeważa i strzela drugiego gola. Madryt z nowym impetem zbliża się do bramki Barcelony dzięki sprintowi Giralta (J.), który zdołał podać piłkę do Johnsona, a ten strzelił wspaniałego gola. Później Spottorno zagrał ręką na jedenastym metrze, przez co Barcelona otrzymała rzut karny i zdobyła kolejną bramkę. Po dwóch rzutach różnych dla Madrytu kończy się mecz. Trzy gole Barcelony, jeden Madrytu. Był to najbardziej zacięty mecz, a publiczność entuzjastycznie okłaskiwała wysiłki zawodników, zwłaszcza tych z Madrytu, którzy grali tak, jak nikt się po nich nie spodziewał z uwagi na krótki okres, przez jaki razem występowali, oraz młody wiek większości z nich.

Proszę zwrócić uwagę, że sprawozdawca, zdeklarowany madridista, dobrze przyjmuje zwyczajstwo Barcy, do której nie ma żadnych zastrzeżeń, nawet jeśli chodzi o rzut karny. Chociaż

nie powstrzymuje się od wsadzenia szpilki rywalowi, wskazując na sześciu obcokrajowców w składzie.

W sumie Steinberg został bohaterem. Musiał być pierwszym wielkim geniuszem naszego futbolu, a przynajmniej tak opisuje go Alberto Maluquer w książce *Historia del Club de Fútbol Barcelona*, wydanej w 1949 roku z okazji pięćdziesięciolecia klubu. Autor w kilku akapitach nie kryje zachwytu nad piłkarzem:

W 1901 roku Gamperowi został przedstawiony młody niemiecki inżynier, który przybył do Barcelony. Nazywał się Udo Steinberg, twierdził, że występował w Britannia F.C. w Berlinie i wyrażał pragnienie gry w klubie *azulgrana*, który widział podczas jednego z ostatnich meczów. Steinberg miał krępką budowę ciała, był raczej gruby i średniego wzrostu. Nosił zadbaną brodę, słowem, jego fizyczność nie wskazywała na to, że jest wspaniałym piłkarzem. Gamper przyjął go ciepło, jak na dobrego Szwajcara przystało. Założyciel Barcelony mówił perfekcyjnie po niemiecku, ale chcąc mieć pewność, że nowo przybyły mówi prawdę o swojej wartości, przedstawił go Ossó, ażeby ten, jako kapitan drugiej drużyny, wystawił go w jednym z najbliższych meczów...

I Steinberg, jak podaje to samo źródło, zadebiutował w drugiej drużynie przeciwko Espanyolowi. Barça przegrała 0:4, ale on spodobał się do tego stopnia, że natychmiast został przeniesiony do pierwszej drużyny.

Należy wyjaśnić kwestię kilku składów klubu. Barça w tamtym czasie miała trzy drużyny, w których umieszczano piłkarzy-*socios* według poziomu ich umiejętności. Każda drużyna posiadała rezerwowych. Steinberg został umieszczony w pierwszej drużynie pod koniec grudnia 1901 roku przez odpowiednią komisję, w skład której – obok Joana Gampera – wchodzili Pablo Viderker i Jorge Meyer.

I postąpili właściwie. W dniu święta Trzech Króli był on wielką gwiazdą wspaniałego meczu przeciwko Hispanii (z którą Barça wtedy zawzięcie rywalizowała), wygranego przez *culés* w gorącej atmosferze 4:2. Steinberg wyróżniał się na tle wszystkich zawodników i stał się bardzo istotną postacią zespołu, aż do czasu, gdy musiał go opuścić w 1908 roku, zobligowany przez rolę, jaką odgrywał w budowie linii tramwajowej w La Rabassada. Grał coraz rzadziej, aż musiał całkowicie zostawić futbol, z wielkim bólem, który był jeszcze większy w przypadku jego kolegów.

Ale przeszedł do małej historii futbolu, będąc pierwszym piłkarzem, który zdobył bramkę w tym, co teraz nazywamy Klasykiem, a co wtedy było jedynie pochodzącą z zagranicy ekstrawagancją. A w tym samym meczu strzelił jeszcze drugiego gola. Trzeciego dla Barcelony zdobył założyciel klubu Gamper – jak można było przeczytać – z rzutu karnego, podyktowanego za zagranie piłki ręką Spottorno. Dla Madrytu trafił Johnson, jedyny Anglik w zespole, który zadał sobie trud nauczania kolegów z drużyny zasad i podstaw gry. Słynna była książeczka z instrukcjami, w której zalecał im, żeby wybili sobie z głowy zwyczaj schodzenia z boiska podczas meczu, by przy ogrodzeniu zapalić papierosa i porozmawiać z widzami.

Wszystkie relacje jednego i drugiego klubu o tym spotkaniu, do których dotarłem, uznają ten wynik za dobry i opisują miłą i spokojną atmosferę meczu; atmosferę, jaka później zaczęła zanikać, kiedy te dwie drużyny grały ze sobą. Wydana przez sam klub książka *Cincuenta años de Historia del C. de F. Barcelona (1899–1949)*

(50 lat historii C.F. Barcelona) podaje fragment informacji zaczerpniętej z madryckiego dziennika „El Imparcial”, który podkreśla wyższość Barcy:

[...] Potem Barcelona zagrała z Madrytem. Mecz od początku był bardzo zacięty, madrytcy bardzo dobrze bronili się przed zawodnikami z Barcelony, którzy od pierwszej chwili mieli nad nimi wyraźną przewagę pod względem warunków fizycznych i doświadczenia w grze...

A zatem żadnych polemik Na razie...

3. PIERWSZE SPRZECZKI

Nie trzeba było jednak długo czekać, by doszło do pierwszego nieprzyjemnego incydentu. Miał on miejsce w 1906 roku przy okazji pierwszej wizyty piłkarzy Madrytu w Barcelonie i spotkania o charakterze towarzyskim. Mecz został potwierdzony przez oba kluby, jednak Barça, gnębiona wieloma kontuzjami, wzmocniła się. Zdaniem Madrytu – za bardzo. Sięganie po wzmocnienia w meczach tego typu było w tamtych latach rzeczą naturalną, lecz w tym przypadku Barça wystawiła jedynie czterech swoich piłkarzy. Pozostałych ściągnęła specjalnie na ten mecz z innych barcelońskich drużyn, czego nie spodziewał się zespół ze stolicy, wychodząc na boisko. Maluquer, autor książki o historii Barçy, wy danej na pięćdziesięciolecie klubu, wspomina to tak

Z okazji przyjazdu Madrytu Barcelona dokonała kolejnego wysiłku, żeby zjednać sobie opinię publiczną. Mecz rozgrywany był przed liczną publicznością, na terenie przy ulicy Muntaner, pod okiem doktora Degollady, byłego piłkarza klubu Catalá i znakomitego arbitra. Barcelona, rozumiejąc, że ze swoją drużyną – bez wielu zawodników i z podupadłym na skutek ostatnich porażek morale – ryzykowała zaprezentowanie kibicom słabej formy, nie zawahała się, idąc za radami Quirante, poprosić o piłkarzy z innych klubów, dzięki którym stworzyła jedenastkę, która mogła być gwarantem sukcesu. Tak więc tamtego dnia w trykotach *azulgrana* zagraли: Gibert (słynny „Grapa”, najlepszy bramkarz w tamtym czasie), Carril (obrońca), Green, Ponz i Sampere (napastnicy *Españolu*), Wallace (angielski napastnik, który później już na stałe grał w Barcelonie) oraz Martí, obrońca z Catali... Oprócz nich na boisku pojawili się: Galiardo, Quirante, Steinberg i Forns. Zaimprovizowana drużyna grała cudownie, neutralizując precyzyjną grę madrytczyków, którzy przecież nie przechodzili kryzysu jak piłkarze z Katalonii. Barcelona wygrała 5:2, gole strzelili: dwa Wallace, dwa Ponz i jednego Forns.

Jak widać, Maluquer pisze o Barcelonie, mimo że na boisku było tylko czterech piłkarzy tego klubu, pięciu hiszpanistów, jeden gracz drużyny Català, a także Wallace, który nie był jeszcze zawodnikiem Barcelony. Z pięciu goli tylko jeden, autorstwa Forns, został strzelony przez piłkarza Barçy. Nic zatem dziwnego, że Madrytowi wcale się to nie spodobało, jak można się przekonać z dalszej części sprawozdania Maluquera, w akapicie zatytułowanym *Mało serdeczny bankiet*:

Bankiet w restauracji Francia, na który wieczorem zostali zaproszeni piłkarze z Madrytu, obfitował w toasty i... nieprzyjemne aluzje pod adresem Barcelony ze strony niektórych gości. Steinberg robił, co mógł, żeby nie zwracano uwagi na niemile słowa.

Było to pierwsze starcie. Mecz zapowiadano jako Madryt – Barcelona; Madryt był aktualnym mistrzem Hiszpanii^[9] i ryzykował dumę oraz prestiż. Odnosił wrażenie, że wpadł w pułapkę.

Opracowania dotyczące Barcelony uznają ten mecz za oficjalny, rozegrany przez Barcę. Klub go ogłosił i zorganizował, ale prawda jest taka, że wzięli w nim udział po prostu piłkarze z tego samego miasta, co cielawe – większość stanowili gracze nie Barcy, tylko Espanyolu.

Dowodem na to, że całe zdarzenie pozostawiło skazę na honorze Madrytu, są wydarzenia z 1914 roku, kiedy kluby grały trzeci (według Barcelony, a drugi według Madrytu) mecz. Miał on miejsce z okazji *tournée* Barcy, w programie którego znajdowały się cztery spotkania w Madrycie. Znowu przekładają głos Maluquerowi:

Przeciwnikiem w drugim meczu rozgrywanym podczas tej wyprawy do stolicy Hiszpanii był Madryt; spotkanie zakończyło się wynikiem 2:2. Incydentów było co niemiara, co można wytłumaczyć wątpliwą przyjaźnią łączącą oba kluby. Mało brakowało, a Massana zostałby zaatakowany przez grupę widzów, którzy wtargnęli na boisko z bynajmniej nie pokojowymi zamiarami. Trzeci mecz rozgrywany był w Madrycie przeciwko Athleticowi, zakończył się przegraną Barcelony 2:4. Barça eksperymentowała ze składem, wystawiając w środku pola Hodge'a, co nie przyniosło satysfakcjonującego rezultatu. Czwarty i ostatni mecz znowu zespół Barcelony grał przeciwko Madrytowi; 2:0 – po brutalnej walce – wygrała Barcelona. Wcześniej uzyskała od szefów Madrytu obietnicę, że w trakcie tego spotkania nie powtórzą się incydenty z poprzedniego meczu.

Jak można się przekonać, problemy Barcy w meczach w stolicy Hiszpanii pojawiły się tylko w trakcie spotkań przeciwko Madrytowi. Kiedy grała z Athletikiem, nie odnotowano żadnego nieprzyjemnego zdarzenia. Było oczywiste, że już wtedy tworzyło się zarzewie rywalizacji między dwiema drużynami, które nosiły (i noszą) reprezentacyjne nazwy dwóch miast.

4. 1916 – PIERWSZA WIELKA AWANTURA

I tak się sprawy miały, kiedy po raz pierwszy Barcelonie i Madrytowi przyszło zmierzyć się na poważnie: w rozgrywkach pucharowych, które nabierały już doniosłego znaczenia. Wtedy uczestniczyli w nich regionalni mistrzowie. Różne niesnaski, fakt, że nie zawsze oba kluby były mistrzami swojego regionu (choć rzadko się zdarzało, żeby tak nie było) oraz kwestie losowania sprawiały, że spotkały się w tychże rozgrywkach dopiero w 1916 roku. Drużyny miały za sobą jeden pokojowy quasi-oficjalny mecz w 1902 roku oraz opisane już starcia z 1906 i 1914. Ale teraz miał nastąpić potężny wybuch.

Pierwszy mecz rozgrywany jest 26 marca w Barcelonie, na boisku Espanyolu, i wygrywa go Barça 2:1, ze wspaniałym ostatnim golem napastnika Paulino Alcántary, jednej z wielkich gwiazd tamtej epoki. Był Filipińczykiem, wywodzącym się z mieszanej rodziny (syn rodowitego Hiszpana i Filipinki), która przyjechała do Hiszpanii z powodu straty filipińskiej kolonii przez koronę hiszpańską w 1898 roku. Wspaniałego goleadora, zasłynął tym, że w międzypaństwowym meczu strzelił tak mocno, że przerwał siatkę francuskiej bramki.

Mecz rewanżowy rozgrywany jest w Madrycie, 2 kwietnia, w obecności ośmiu tysięcy widzów. Barça gra bez dwóch piłkarzy, kapitana Massany oraz Vinyalsa, którym wypadek nie pozwala dołączyć do drużyny na czas. Barceloński napastnik Vicente Martínez daje prowadzenie swojemu zespołowi. René Petit, inny geniusz tamtej epoki (Bernabéu zawsze mi powtarzał, że dwaj wielcy piłkarze w historii Realu Madryt to René Petit i Di Stéfano), przejmując inicjatywę i wokół jego gry Madryt buduje goleadę, której bohaterem jest wspomniany Santiago Bernabéu, wtedy elegancki napastnik drużyny. Strzela trzy gole, pierwszego z rzutu karnego. Czwartą bramkę zdobywa Juan Petit, brat René.

W tamtych czasach nie brano pod uwagę różnicy goli, lecz liczbę zwycięstw, a zatem trzeba było rozegrać dodatkowy mecz. Zostaje on wyznaczony na 13 kwietnia. Znow w Madrycie, znow na boisku Atlético przy ulicy O'Donnella. Dochodzi do nadzwyczajnego zdarzenia: mecz, po dogrywce, kończy się remisem 6:6. Tablica wyników wskazuje kolejno: 1:0, 2:0, 2:1, 2:2, przerwa, 3:2, 3:3, 3:4, 4:4 (już w 88. minucie), dogrywka, 5:4, 5:5, 5:6 i 6:6. Z końcem spotkania piłkarze są wycieńczeni, a publiczność rozentuzjasmowana. Zobaczyła wszystko, co najlepsze w futbolu tamtej epoki. Alcántara strzelił trzy gole, Bernabéu również. Ale jeden z nich z rzutu karnego. Wcześniej nie wykorzystał jedenastki, ponadto Madryt miał jeszcze jedną, również obronioną przez Bru (strzelał Aranguren). W sumie trzy karne, z których na gola zamieniony został tylko jeden. Trzeba do tego doliczyć strzelonego karnego w meczu w Barcelonie (4:1), którego również wykonywał Bernabéu. Barça zaczyna być podejrzliwa wobec Berraondo, grającego w obu klubach, ale dłużej w Madrycie (w Barcelonie występował tylko w sezonie 1912/13), do którego – w jej mniemaniu – był bardziej przywiązany. Mimo to został on wyznaczony na arbitra. José Ángel Berraondo był pierwszym hiszpańskim sędzią, obok Bartolomé Martíneza Daguerre, z tytułem arbitra oficjalnie przyznanym mu przez federację angielską i cieszył się bardzo dużym prestiżem.

Następny mecz zostaje rozegrany dwa dni później, ponownie z Berraondo w roli arbitra. Również w Madrycie, gdzie oczekiwania są już bardzo wysokie (jak na tamte czasy) po poprzednim, zakończonym wynikiem 6:6, spotkaniu. Przed meczem Barça zgłasza zastrzeżenia co do wystawienia Zabalo, który jej zdaniem należy do Realu Unión Irún, jednak Berraondo

odrzuca te obiekcje. Dobra pierwsza połowa w wykonaniu Barcelony sprawia, że schodzi na przerwie, prowadząc 2:1 dzięki dwóm golom Martíneza (dla Madrytu strzelił Bernabéu). W drugiej części znów wspaniały futbol prezentowany przez René Petita powoduje, że Madryt zaczyna rządzić i doprowadza do remisu dzięki trafieniu Zabalo. Kiedy mecz zbliża się do końca, Berraondo dyktuje rzut karny dla madrytczyków. Jeśli Bernabéu strzeli, to jego drużyna awansuje do finału. Ale Bru broni po raz trzeci (wpuścił tylko dwa karne) i ratuje swój zespół. Regulaminowy czas gry kończy się remisem 2:2. Kolejna dogrywka. Po 300 minutach gry ciągle nie ma zwycięzcy. W dogrywce Barça jest mocniejsza, gra lepiej i przycis-

ka bardziej zmęczonego rywala. Piłkarze z Madrytu zamykają się w polu karnym i mają szczęście: wybitą jak najdalej piłkę przechwytuje Sotero Aranguren, lewoskrzydłowy, który jeszcze „ma nogi” i strzela na 3:2. W ten sposób kończy się pierwsza część dogrywek. W drugiej Barcelona nadal nie odpuszcza i powtarza się scenariusz sprzed przerwy. Znowu długa piłka do Sotero, a ten biegnie i strzela. Jednak Barça zgłasza wątpliwości, twierdząc, że gol padł ze spalonego, czego Berraondo nie bierze pod uwagę. Wszyscy piłkarze Barcelony protestują, ale bez powodzenia. Massana, kapitan, postanawia, że powinni zejść z boiska i tak też czynią. Mecz kończy się przed czasem (do końca dogrywki pozostało jeszcze siedem minut, jak podaje Fielpeña w książce *40 años de Campeonato de España de Fútbol* [40 lat rozgrywek o mistrzostwo Hiszpanii], wydanej w 1942 roku) wielkim skandalem i wyzwiskami publiczności pod adresem piłkarzy Barcelony. Madryt zostaje finalistą dzięki wynikowi 4:2.

Maluquer w znakomitej książce *Historia del Club de Fútbol Barcelona* nie poświęca zbyt wiele miejsca temu zdarzeniu, chociaż to, co pisze, owszem, jest znaczące:

Mecz odbywający się 13 kwietnia niczego nie rozwiązał, po regulaminowym czasie gry i dogrywce obie drużyny miały na swoim koncie po sześć goli. Wydaje się, że w tym spotkaniu doszło do bardzo dziwnych rzeczy, które wzbudziły brak zaufania *socios* i piłkarzy wobec pewnych członków drużyny. 15 kwietnia odbył się dodatkowy mecz, który nie został dograny do końca, ponieważ Barcelona zesza z boiska, kiedy madrytczyki mieli strzelone cztery gole, a Katalończycy dwa. Santiago Massana, kapitan jedenastki, rozkazał drużynie opuścić boisko przed upływem regulaminowego czasu gry, manifestacyjnie podkreślając stronniczość arbitra Berraondo.

Krótką jest także wzmianka na temat tych meczów w *Barça, Barça, Barça*, historii klubu, w której odnośnie do tego okresu Jaime Ramón powołuje się na „świadeństwo Luisa Tudó Pomara”:

Jako mistrz Katalonii w rozgrywkach o Puchar Hiszpanii udaliśmy się do Madrytu. Los konfrontuje nas z Madrytem, w którego bramce staje Eduardo Teus, a w ataku pan Santiago Bernabéu, aktualny prezes pięciokrotnego zdobywcy Pucharu Europy. W pierwszym meczu, rozgrywanym na boisku Espanyolu, a cechującym się napięciem i brutalnością, Baonza odniósł poważną kontuzję. Spotkanie zakończyło się zwycięstwem Barcelony. W drugim, przy wrogo nastawionej publiczności, wygrali madrytczyki. W trzecim, zakończonym zaskakującym wynikiem 6:6, przeciwko Barcelonie odgwisziano

trzy rzuty karne: dwa obronił Bru, a trzeci zapewnił remis. W dogrywce czwartego meczu – w regulaminowym czasie gry padł remis 2:2 – Madrytowi udaje się zwyciężyć, a Barcelona, demonstrując stronniczość arbitra, schodzi z boiska przed zakończeniem spotkania. Powrót piłkarzy jest smutny, ale przywitanie serdeczne, mnóstwo kibiców wiwatuje na ich cześć, jakby zostali zwycięzcami, a Bru za swoje niesamowite parady noszony jest na rękach.

(Luis Bru miał tak wspaniałą passę, że jeden z tygodników z Bilbao po wielkim meczu przeciwko Athleticowi poświęcił mu w tamtym roku taką oto pochwałę wierszem: *Al mismísimo San Pedro/ le puede llamar de tú/ en funciones de portero/ el catalán Luis Bru*^[10]).

Historia del FC Barcelona autorstwa Sobrequésa dodaje do tej opowieści fragment wspomnień Alcántary, bohatera tamtych meczów, który dobrze obrazuje odczucia piłkarzy po tych wydarzeniach:

Chociaż zobowiązania rodzinne wzywały mnie do ojczyzny, przełożyłem podróż na Filipiny tylko po to, żeby zagrać w Pucharze Hiszpanii, który w tamtym okresie powinna zdobyć drużyna katalońska. Ale podstępny *referee* Berraondo spowodował, że przegraliśmy w Madrycie, walcząc przeciwko miejscowym.

Jeśli wyznam, że tamta porażka wywołała u mnie olbrzymi smutek, to powiem tylko część tego, co działo się tamtego popołudnia, a nawet w kolejnych dniach. Był to pierwszy raz, gdy płakałem jak dziecko przez niespodziewane i okrutne poniżenie. Przełożyłem moje święte zobowiązania, żeby pojechać na ten nieszczęsny mecz i przede wszystkim irytowało mnie to okropne przekonanie, że sprawiedliwie tamten tytuł powinniśmy zdobyć my.

Przez ponad trzy godziny graliśmy przed wrogią nam, zagorzałą publicznością. Nasza dominacja była tak absolutna, że gdyby *referee* trzymał się reguł, nasz triumf byłby bezdyskusyjny. Nigdy nie zapomnę podstępów tego oszukańczego Berraondo.

Natomiast w *Libro de Oro del Real Madrid* możemy przeczytać, co następuje:

[...] Potrzebna była dogrywka. Na początku dominowali doświadczeni Katalończycy, ale Sotero, który wyrwał do przodu, by ostatecznie oddać znakomity krzyżowy strzał, dał prowadzenie Madrytowi. Barcelona ostro zareagowała, ale kolejna akcja tamtego wspaniałego skrzydłowego – ledwo unikającego niebezpiecznych kopniaków ze strony przeciwników – przyniosła czwartego gola. I w tym momencie dochodzi do czegoś niespotykanego. Massana, obrońca i kapitan katalońskiej drużyny, rozkazuje jej opuścić boisko, ponieważ... Sotero znajdował się na pozycji spalonej, co było nieprawdą. Nie

znaleziono sposobu, żeby przekonać o tym barcelońskich piłkarzy i delegatów, więc Berraondo uznał mecz za zakończony.

Czy rzeczywiście był spalony? Czy wszystkie karne zostały podyktowane słusznie? Po takim czasie niemożliwe jest poznanie prawdy, zwłaszcza że w kronikach tudzież oświadczeniach jednej i drugiej strony można przeczytać sprzeczne informacje. Maluquer dodaje jeszcze to intrygujące zdanie: „[...] doszło do bardzo dziwnych rzeczy, które wzbudziły brak zaufania *socios* i piłkarzy wobec pewnych członków drużyny”. Trudno domyślić się, o kim mowa. Może o piłkarzach Barcelony przekupionych przez Madryt, żeby sprokurować rzut karny albo ułatwić im grę? Niemożliwe jest, powtarzam raz jeszcze, po tak długim czasie rozwikłanie znaczenia tych słów.

Prawda jest jednak taka, że Massana, kapitan Barcy, który w sezonie 1915/16 rozegrał 27 meczów (najwięcej miał na swoim koncie Torralba, 31), w następnym zniknął ze składu.

Na dodatek tamta sprawa miała jeszcze niepożądany epilog. Los chciał, że na scenierię finału wybrano Barcelonę, dokąd Madryt musiał pojechać, by zmierzyć się z drugim finalistą, Athletikiem. Ponownie oddaję głos Manuelowi Rosónowi, który w *Libro de Oro del Real Madrid* relacjonował to spotkanie w następujący sposób:

Cóż za straszny huragan rozpętał się wtedy w barcelońskiej prasie! Kampania przeciwko Madrytowi była okrutna, surowa... I głupia. Pisano wręcz, że Barcelona tak bardzo przewyższała Madryt, że mogłaby wygrać nawet cztery razy... na środku Puerta del Sol^[11]. O Berraondo mówiono okropne rzeczy, a o publiczności wszystko to, co tylko można sobie wyobrazić. Ślepo wierzyło się w Barcelonę, a meczów z Madrytem nie uznawano za najważniejsze. Trzeba powiedzieć, że kiedy nastroje się uspokoiły, ale gdy zło zostało już wyrządzone, Barcelona podała informację, z której wynikało, że z drużyną rozstają się niektórzy piłkarze (sezon już się zakończył), wyraźnie przyznawano również, że zespół nie powinien opuścić placu gry... z szacunku dla publiczności. Rychło w czas!

I mówi się tak, ponieważ finał między Athletikiem a Madrytem miał miejsce w Barcelonie 7 maja, a od półtora tygodnia gazety podgrzewały atmosferę.

Z Madrytu przyjechało kilkuset kibiców, którzy szybko przekonali się o agresywnym nastroju, jaki tam panował. Od pierwszych godzin porannych lało jak z cebra, a boisko Españolu, gdzie miał być rozegrany mecz, wyglądało jak prawdziwe bagno.

Co tam się działo, gdy pojawili się chłopcy z Madrytu! To przywitanie można porównać tylko z tym z 1930 roku na Montjuich, kiedy po tym, jak Madryt wyeliminował Español, Athletic miał wszystko w swoich rękach, by po raz kolejny zostać mistrzem. Tamte okropne, niekończące się gwizdy i obelgi zamieniły się w brawa, kiedy na murawie pojawiła się drużyna Athletic. Owacje szybko jednak milkły na rzecz przedłużających się gwizdów, które na nowo były przerywane, żeby ustąpić miejsca okazywaniu sympatii i radości. Łatwo zgadnąć, do kogo adresowane były okrzyki niezadowolenia. Na trybunach

widniały afisze domagające się głowy Berraondo i triumfu drużyny z Bilbao. Publiczność zaś wściekała się, kiedy gwizdy przybierały na sile, a w reakcji na nie piłkarze z Madrytu zakrywali uszy rękami.

Mecz wygrywa Athletic 4:0. Był to Athletic Belauste, tego od słynnego zdania: „Podaj do mnie, Sabino, ja ich zniszczę!”, Athletic Pichichiego, szczupłego, zwinnego napastnika, który swój przydomek zostawił w spadku wszystkim goleadorom, którzy pojawili się po nim^[12], a także Athletic Zubizarrety, który strzelił trzy gole i którego Rosón opisuje w ten sposób: „[...] gigantyczny blondyn niszczył wszystko swoimi 90 kilogramami żywej wagi i kolejnymi dziesięcioma w postaci butów i błota”. Później relacjonuje to, co wydarzyło się po meczu:

Po zakończeniu wybuchła taka radość, że pokonani, przygnębieni, próbowali się ratować, ponieważ w ich stronę zaczynały lecieć pierwsze kamienie. Potem, gdy skierowali się do hotelu, nastąpił kolejny atak, za który odpowiadały „niekontrolowane” przez nikogo smyki. Niektórzy *socios* Españolu i Hiszpanii starali się chronić piłkarzy Madrytu, dopóki nie dotarli do hotelowych pojazdów, w których mieściło się tylko pięć lub sześć osób. Żeby było sprawiedliwie, powiedzmy również, że nasz klub otrzymał wymowne i liczne przeprosiny.

Madryt, jak zawsze, wykazał się *beau geste*, przychodząc, już po zmroku, do hotelu Inglés przy Rambli, gdzie zatrzymała się drużyna Athleticu, żeby pogratulować zwycięstwa i usprawiedliwić swoją nieobecność na oficjalnej kolacji.

5. KLUB HISZPANII, KLUB KATALONII

Madryt i Barcelona od bardzo wczesnych lat przyjmowały, mniej lub bardziej świadomie, znaczną odpowiedzialność, w pierwszym przypadku za Hiszpanię, w drugim za Katalonię. To nic dziwnego, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że nosiły w herbach nazwy swoich stolic. I oba kluby zostały założone w atmosferze rozczarowania z 1898 roku w niespokojnej Hiszpanii, gdzie kształtowały się wewnętrzne podziały, a kataloński nacjonalizm, przy wzrastającym poparciu, zaczynał nabierać realnych kształtów, występując w jasno określonych nurtach politycznych. Dlatego też Madrytowi i Barcelonie już tak wcześnie przypisywano rolę klubów niosących sztandary dwóch form ustroju, nad którymi trwała debata: centralistycznego albo federalnego.

Zostało już powiedziane, że założycielem Realu Madryt był Katalończyk Carlos Padrós, który zainaugurował to, co później zostanie nazwane rozgrywkami o mistrzostwo Hiszpanii, podczas święta z okazji osiągnięcia pełnoletniości przez Alfonsa XIII. W tamtych latach zespół Madrytu włożył mnóstwo wysiłku w rozgrywki pucharowe i wygrał je cztery razy z rzędu: w 1905, 1906, 1907 i 1908 roku, co dało mu prawo do otrzymania pucharu na własność. Puchar – i tak jest do dzisiaj, przynajmniej w teorii – wręczany jest tymczasowo, bo o to samo trofeum walczy się w finale w roku następnym. Żeby zdobyć go na stałe, należy wygrać trzy edycje z rzędu albo pięć w ogóle; gdy dany puchar stanie się własnością jednego z klubów, liczenie rozpoczyna się od początku. Fakt posiadania trofeum na własność miał w ówczesnej epoce niebagatelne znaczenie.

Barça nie uczestniczyła w tamtych edycjach tych rozgrywek Madryt leżał dla niej za daleko, podróż była niewygodna i kosztowna. W pierwszym z tych sezonów zdobyła mistrzostwo regionalne (do rozgrywek pucharowych dopuszczani byli mistrzowie regionów) i zrezygnowała z wyjazdu. W trzech kolejnych nie wygrywała w swoim regionie, ale mistrz kataloński też nie przystąpił do zawodów. Barça nie zrobiła jednak niczego, żeby zająć jego miejsce. Wolą zarabiać pieniądze i zyskiwać prestiż w meczach towarzyskich z drużynami spoza kraju, głównie z południa Francji. Rozgrywki o mistrzostwo Hiszpanii były wtedy postrzegane w Katalonii jako rozrywka dworzan, jak podaje Ángel Bahamonde w *El Real Madrid en la Historia de España* (Real Madryt w historii Hiszpanii).

Madryt CF definitywnie nabrał znaczenia instytucji narodowej w 1920 roku, kiedy wystąpił z prośbą o przyznanie tytułu królewskiego – „Real”. Nie był pierwszym klubem, który to zrobił, ale kładł na to duży nacisk. Rozmowy prowadził dyskretnie, żeby nie ryzykować negatywnej odpowiedzi, i zaproponował królowi Alfonsowi XIII, by został on honorowym prezesem klubu. Król odpowiedział, że właściwsze byłoby powierzenie tego tytułu księciu Asturii S.A.R. don Alfonso de Borbónowi y Battenbergowi, który wykazywał większe zainteresowanie piłką nożną. Tak też zrobiono i z dniem 29 czerwca klub stał się Realem Madryt, jak figuruje w oficjalnym piśmie Jego Wysokości:

Jego Wysokość Król (q.D.g.^[13]) z największą przyjemnością przyznaje Tytuł Królewski temu klubowi piłkarskiemu, którego V. jest godnym prezesem i który to tytuł od teraz będzie mógł być stawiany przed jego nazwą.

O czym z Królewskiego Rozkazu powiadamiam V. Niech Bóg chroni V. przez długie lata.

Pałac, 29 czerwca 1920
Zwierzchnik Pałacu

Podpisano: Andrés Salabert y Arteaga, markiz Torrecilli.

(Wyjaśnijmy, że don Alfonso de Borbón był dziedzicem Alfonsa XIII i to on powinien zostać jego następcą, zrezygnował jednak z praw dynastycznych, żeby zawrzeć związek morganatyczny).

Dzięki temu pismu Madryt zmienił nazwę na Real Madryt, a jego herb, dotąd okrągły, otrzy mał koronę.

W ten sposób Real Madryt połączył się z największą instytucją państwową.

Barça nie miała żadnego interesu, żeby zrobić coś podobnego, a przynajmniej nigdy nie znalazłem nawet najmniejszej wzmianki, że taka możliwość była choćby brana pod uwagę. Jednak powoli zaczynała identyfikować się z tym, co moglibyśmy nazwać „katalońskim niezadowolaniem”. Rywalizacja derbowa z drużyną zwaną Española miała na to silny wpływ. Zresztą wielkie niezadowolenie wybuchło przy okazji meczu przeciwko Espanyolowi na Les Corts 23 listopada 1924 roku. Przeszedł on do historii jako „mecz drobniaków”. Alcántara już opuścił boisko z kontuzją, pośród złości kibiców, kiedy arbiter Pelayo Serrano (później będzie miał syna o takim samym imieniu, również arbitra) wyrzuca Samitiera za atak na Caicedo, który chciał zabrać mu piłkę, żeby szybko wykonać rzut wolny. Publiczność wpadła w szal, a na boisko spadł deszcz monet, na skutek czego Pelayo Serrano postanowił przerwać mecz.

Po wielu dyskusjach postanowiono, że spotkanie należy rozegrać w całości jeszcze raz, ale już bez udziału publiczności. Barça traktuje tę decyzję jako upokorzenie i się odwołuje, lecz federacja katalońska nie zmienia zdania i mecz powtarzany jest 15 stycznia 1925 roku na pustym stadionie, w obecności zaledwie 30 widzów (pracowników federacji, urzędników i dziennikarzy). Wygrywa go Espanyol 1:0. Na zewnątrz, na ulicy, mają miejsce starcia pomiędzy kibicami jednego i drugiego klubu. (Barça zdobędzie później mistrzostwo Katalonii dzięki zwycięstwu, też 1:0, na boisku Espanyolu).

Ale do naprawdę poważnego zdarzenia doszło później, 14 czerwca, kiedy po wielu pertraktacjach z urzędnikami Barcelonie udaje się zorganizować mecz przeciwko Júpterowi w ramach serii holdów, jakie były wówczas składane chórowi Orfeo Català, szandarowej instytucji nacjonalizmu, wracającemu z triumfalnego *tournee* z zagranicy.

Był to akt ewidentnego politycznego zaangażowania Barcelony podczas dyktatury Primo de Riveru. Znaczenie klubu na tym etapie jego funkcjonowania było już istotne. W swojej historii Barcy Sobrequés zamieszcza symptomatyczną deklarację Ventosa i Clavella, szefa Lliga^[14], z okazji świętowanego w 1924 roku dwudziestopięciolecia istnienia klubu: „Barça była często nie tylko sportowym, lecz także patriotycznym reprezentantem Katalonii. Nie dlatego, że działała politycznie, ale po prostu dlatego, że w sporcie, jak we wszystkich innych dziedzinach, niemożliwe jest stworzenie silnej, trwałej i reprezentatywnej organizacji, której nie cechowałby żywy duch naszej ziemi”.

Mecz z Júpterem w holdzie Orfeo rozgrywany był pośród panującej na trybunie honorowej niechęci urzędników wobec najważniejszych postaci zarządzających Lligą: Francesca Cambó,

Lluís Ventosa i założyciela Orfeó Català Lluís Milleta Pagès. Aby uprzyjemnić wieczór, zaproszono angielski zespół muzyczny. A ten, przez lekkomyślność, nie wiedząc, co się święci, i sądząc, że wypadnie bardzo dobrze, rozpoczął występ od *Marsza Królewskiego*. Gwizdy były potworne podczas całego wykonania hymnu, natomiast przedstawiciele władz na trybunie ostentacyjnie siedzieli przez cały czas. Później, kiedy zabrzmiał hymn angielski, gwizdy zamieniły się w owację. Mecz wygrała Barça 3:0, toczył się w spokojnej atmosferze.

W konsekwencji 24 czerwca, czyli dziesięć dni po tych wydarzeniach, gubernator wojskowy Katalonii Joaquín Milans del Bosch (dziadek Jaime Milana del Boscha, tego, który wprowadził czołgi na ulice Walencji 23 lutego 1981 roku) wydał ostry komunikat, nakazujący Barcelonie zawieszenie wszelkiej działalności na sześć miesięcy. Treść pisma brzmiała następująco:

Po zapoznaniu się z postępowaniem wszczętym przez dowódcę Korpusu Bezpieczeństwa, pana Justo Conde, w celu wyjaśnienia zdarzeń, do jakich doszło podczas meczu piłkarskiego, który miał miejsce dnia 14 bieżącego miesiąca z udziałem FC Barcelony na jej stadionie przy ulicy Gerardo Piery i...

Z uwagi na to, że zostało wystarczająco udowodnione, że po zakończeniu pierwszego meczu angielski zespół zagrał *Marsz Królewski*, który został wygwizdany przez dużą część widzów, tylko nieliczni zaś wysłuchali go z należnym szacunkiem, a szacowano widownię na 14 tysięcy osób; i że następnie angielskiego hymnu, wykonywanego przez rzeczoną zespół, słuchało się z szacunkiem, na jaki zasługuje, i okłaskiwano go z prawdziwym entuzjazmem.

Publiczność zachowała się w sposób godny pochwały, nie tylko z grzeczności, lecz także z szacunku, jaki należy się zaprzyjaźnionemu narodowi, ale starając się przez to pokazać wyraźny kontrast wyrażający wrogość wobec Hiszpanii, nie z uwagi na entuzjazm, z jakim przyjęto angielski hymn, lecz nieuprzejmość i pogardę, z jakimi słuchano hiszpańskiego *Marsza Królewskiego*.

Z uwagi na to, że w odpowiedniej prośbie skierowanej do tegoż Rządu przez obywatela szwajcarskiego pana Juana Gampera, prezesa FC Barcelony, o zorganizowanie meczu dnia 14 bieżącego miesiąca zostało pominięte, iż chodzi o hołd dla Orfeó Català, jak informowano w programie, który nie został uprzednio przedstawiony temu Rządowi, nie tylko nie wypełniono w ten sposób wymogów, jakie muszą spełniać wszelkiego rodzaju widowiska, lecz także nie dotrzymano słowa.

Z uwagi na to, że wspomniany pan Juan Gamper twierdzi, że jeśli nie przedstawiono programu do zatwierdzenia Rządowi ani nie przedstawiono żadnej informacji o hołdzie dla Orfeó Català, to wynikało to z mimowolnego przeoczenia, oraz uważa, że jeśli *Marsz Królewski* nie został wysłuchany z szacunkiem, to dlatego, że publiczność nie była nań przygotowana i z tego powodu pojawiły się też gwizdy, ponieważ obecność angielskiego

zespołu, którego występ również znajdował się w programie, spowodowana była aktem grzeczności szefa wspomnianego zespołu, odpowiadającego w ten sposób na zaproszenie, jakie osobiście wystosował do niego pan Arturo Witty.

Z uwagi na to, że w aktach figurują deklaracje potwierdzające, że zachowanie publiczności Barcelony było prawdziwie wrogie wobec naszego Hymnu Narodowego.

Z uwagi na to, że powyższe zdarzenia zostały potwierdzone nie tylko przez zeznania świadków obecnych na meczu, lecz także przez przedstawicieli władzy, którzy pełnili swoje obowiązki, oraz przez oficerów Straży Obywatelskiej, którzy w tym meczu uczestniczyli.

Zważywszy, że powyższe zdarzenia są nagannym aktem wrogości wobec Ojczyzny, który dodatkowo obciąża fakt, że doszło do niego w obecności obcokrajowców i z okazji wykonywanych przez nich obowiązków, z uprzejmości i szacunku dla obecnej na meczu publiczności i *socios* FC Barcelony, ze względu na to, że są Hiszpanami; i do którego to szacunku zobligowani są również obcokrajowcy, którzy tworzą część tejże społeczności, a zwłaszcza ci, którzy figurują w jej zarządzie, w odpowiedzi na gościnność, z jaką przyjął ich hiszpański naród.

Zważywszy, że organizacja FC Barcelona i jej prawni reprezentanci nie dopełnili swoich obowiązków, nie przedstawiając temu Rządowi afiszy zapowiadających mecz z dnia 14, organizując widowisko, które nie odpowiada temu, na co zezwolił ten Rząd.

Zważywszy, że we wskazanej społeczności istnieje wspomniana tendencja, która została zaakcentowana w ostatnim czasie, a zwłaszcza przy okazji zdobycia przez Barcelonę mistrzostwa, poprzez uciekanie od wypowiadania nazwy Hiszpanii i nazywanie tych rozgrywek niewłaściwym mianem Mistrzostw Półwyspu.

Zważywszy, że jest to ogólne wrażenie i w opinii publicznej zakorzeniło się przekonanie oparte na zdarzeniach i epizodach wystarczających do tego, aby twierdzić, że we wspomnianej społeczności są jednostki, które przyjmują idee sprzeczne z dobrem Ojczyzny, jeszcze bardziej potęgując to przekonanie, nie tylko czyniąc ten fakt celem postępowania, ale będąc także bardzo wymownym dowodem na to, że uczestnicząc w widowisku dnia 14, ogromna większość *socios* FC Barcelony nie zrobiła niczego przeciwko tej manifestacji wrogości ani nie przeciwdziałała jej w żaden sposób, który dowodziłby ich patriotyzmu.

Zważywszy, że bez względu na to, jak bardzo odczuwalne byłoby powzięcie odpowiednich kroków wobec tak licznej organizacji, zachowanie FC Barcelony narzuca obowiązek zastosowania kar odpowiadających ogólnemu odczuciu opinii publicznej, które muszą być przez mnie bezwzględnie egzekwowane.

Dlatego korzy stając z nadanych mi praw, postanowiłem:

Zakazać na okres sześciu miesięcy funkcjonowania tej organizacji, która w tym czasie nie może organizować żadnych widowisk ani w żadnych uczestniczyć, ani też używać symboli i odznak organizacji.

Barcelona, 24 czerwca 1925

Podpisano: J. Milans del Bosch.

Barça znajduje się w niesłychanie trudnej sytuacji. Nie będzie mogła zapłacić pracownikom oraz piłkarzom ani wywiązać się z innych zobowiązań. Zawieszenie, aż do stycznia, utrudni jej nawet włączenie się do rywalizacji sportowej w sezonie 1925/26, ponieważ rozgrywki o mistrzostwo Katalonii rozpoczynają się wcześniej. Klub robi, co może. Gamper, o którym w swoim piśmie wspomina Milans del Bosch, wyjeżdża z Barcelony do Szwajcarii, żeby przekonać się, czy jego nieobecność pomoże. Klub się odwołuje, przedstawia pisemne usprawiedliwienia i mianuje na prezesa Arcadiego Balaguera, który później otrzyma tytuł markiza Ovilvar. Jednocześnie Barcelonie udaje się zaciągnąć kredyt w wysokości 50 tysięcy peset w Banca Jover, żeby klub mógł sobie poradzić w trudnej sytuacji. Ostatecznie sankcje nałożone na Barcelonę zostają zmniejszone, a rozpoczęcie rozgrywek o mistrzostwo Katalonii opóźnione, więc klub bierze w nich udział. Wygrywa je, a później, 16 maja, zanim upłynie rok od ostrej kary nałożonej przez Milansa del Boscha, znowu triumfuje w rozgrywkach o mistrzostwo Hiszpanii.

W tych rozgrywkach pucharowych Barcelona w finale pokonała Atlético Madryt 3:2, a wcześniej, w ćwierćfinale, wyeliminowała Real Madryt, wygrywając wysoko: 5:1 w pierwszym meczu w Madrycie i 3:0 w rewanżu. Było to kolejne spotkanie obu rywali w Pucharze Hiszpanii po gorącym i pełnym kontrowersji finale z 1916 roku. Pierwszy mecz błyskawicznie rozstrzygnął Samitier, który tamtego dnia dał pokaz piłkarskiego geniuszu, co uczyniło go sławnym. Escobal i Quesada, obrońcy Realu Madryt (i liderzy drużyny), po powrocie z *tournée* po Anglii rozpowszechnili gładkie czarne spodnie, ponieważ gdy zobaczyli grających w nich piłkarzy londyńskiego Corinthians, wydały im się bardzo eleganckie, a jednocześnie zaczęli stosować pułapkę ofsajdową, którą również tam podpatrzyli. Obaj na ustalony znak przesuwali się, żeby tuż przed podaniem zostawić napastnika Barcelony na pozycji spalonej. Samitier, który był sprytny jak wiewiórka (a także bardzo dobrze poinformowany, dlatego możliwe, że wiedział, iż w Anglii zaczęto stosować takie praktyki), natychmiast poznał się na ich sztuczce i po przerwie strzelił trzy gole.

Dodajmy jeszcze, że w finale Barça zagrała w następującym składzie: Platko, Planas, Walter, Torralba, Sancho, Carulla, Just, Piera, Samitier, Alcántara i Sagi-Barba. Była to wielka drużyna. Barcelona wyszła obronną ręką z naprawdę trudnej sytuacji, a nawet wzmocniona, z większym niż kiedykolwiek wcześniej wsparciem mieszkańców Katalonii, i stała się definitywnie katalońskim symbolem.

Sankcje, które spowodowały, że klub znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie, w historii klubu jawią się jako wyrządzone mu ogromna krzywda. I nie chodziło już o krzywdę natury sportowej, lecz o problem czysto polityczny. I punkt wyjścia nieufności Barcelony – od tego momentu już odwiecznej – wobec centralnej władzy.

Real Madryt natomiast zawsze pamiętał, że nosi w herbie nazwę stolicy państwowej i że jest wobec rządu lojalny, niezależnie od okoliczności. Kiedy nastąpiła Republika, zdjął koronę z herbu i ponownie był tylko Madrytem, a sam herb, do tamtej pory biały, przewiązał fioletową wstęgą. Po wojnie domowej Madryt jeszcze przez rok funkcjonował bez korony i tytułu królewskiego,

ponieważ – przypomnijmy – do zamachu stanu początkowo doszło w imieniu Republiki. Kiedy było już jasne, że Hiszpania Franco została królestwem (bez króla), 1 stycznia 1940 roku klub odzyskał koronę, chociaż zachował wstęgę z powodów estetycznych i dlatego że nie była kojarzona z Republiką, lecz z Kastylią. I już w koronie przyjął króla Juana Carlosa – gdy był jeszcze młodym księciem – z którym stosunki utrzymywał Raimundo Saporta.

Sposób, w jaki Real Madryt postrzegał siebie, doskonale oddaje wypowiedź samego Saporty, przytoczona przez Garcíę Candaua w książce *Historia de un desamor* (Historia nienawiści). Paul Preston, który cytuje ją we wprowadzeniu do książki *Fútbol y franquismo* (Futbol i frankizm) autorstwa Duncana Shawa, dziwi się kategoryczności wygłaszanych słów:

Jeśli ktoś wątpi w poziom upolitycznienia futbolu w Hiszpanii, wystarczy przeczytać słowa Saporty, kiedy mówi o roli Realu Madryt, jakby był on samą Strażą Obywatelską: „Real Madryt jest i był polityczny. Zawsze był tak potężny, ponieważ działał w służbie Rządu. Kiedy został założony, w 1902 roku, szanował Alfonsa XIII, w 1931 Republikę, w 1939 Generalissimusa, a teraz szanuje Jego Wysokość Juana Carlosa. Ponieważ jest to klub zdyscyplinowany i traktuje lojalnie instytucję, która rządzi narodem”.

6. SIEDEM DNI CZEKANIA I LIGA DLA BARÇY

Rozgrywki ligowe zainaugurowano w Hiszpanii w sezonie 1928/29, chociaż w rzeczywistości nie rozpoczęły się aż do 10 lutego. Jak wiele lat wcześniej w Anglii (tam początek ligi datuje się na rok 1888) oraz w innych krajach, wzrastający profesjonalizm powodował, że kluby potrzebowały większych wpływów finansowych. Rozgrywki o mistrzostwo regionalne, później Puchar Hiszpanii, jeśli klub się do niego zakwalifikował, a także mecze towarzyskie nie przynosiły wielkich dochodów. Tak więc ostatecznie stworzono rozgrywki ligowe, importując angielską formułę „każdy z każdym”, aby zapewnić w ten sposób pełen kalendarz meczów. Po 20 miesiącach rozważania projektów i wielu dyskusjach wystartowano z Primera División, w której znalazło się dziesięć drużyn. Cztery baskańskie: Athletic Bilbao, Real Sociedad, Arenas Guecho i Real Unión Irún, trzy katalońskie: Barcelona, Espanyol i Europa, dwie madryckie: Real Madryt i Atlético, oraz jedna z Kantabrii: Racing Santander. Kryterium? Wszystkie kluby, które wygrywały Puchar Hiszpanii, trzy, które przynajmniej raz były finalistami (Espanyol, Europa i Atlético Madryt), i ostatni klub, Racing, który nie spełniał żadnego z tych warunków, ale zwyciężył w zawodach utworzonych specjalnie po to, żeby wytypować dziesiątego uczestnika rozgrywek

I tak 10 lutego 1929 roku ruszyła liga. Barça miała wspaniałą drużynę z piłkarzami, których nazwiska pamięta się do dzisiaj: Platko, Samitier, Sastre, Sagi-Barba, Arocha... Real Madryt też posiadał dobrych zawodników. Jeszcze w tym samym roku wielu z nich zostało głównymi bohaterami wielkiego wyczynu przedwojennego hiszpańskiego futbolu: zwycięstwa nad reprezentacją Anglii 15 maja na starym Metropolitan. Do tamtego dnia żadna reprezentacja, oprócz szkockiej, nie wygrała z Anglikami. Ich wizyty na kontynencie zazwyczaj kończyły się goleadami. Przywołuję tamten mecz, ponieważ będzie miał on wielkie znaczenie w tym rozdziale.

Real Madryt i Barça znajdowali się w gronie faworytów pierwszego sezonu rozgrywek, razem z Athletikiem, wielką drużyną tamtej epoki. I oba kluby rozpoczęły dobrze: Real spokojnie ograł na Chamartín Europę 5:0, a Barça wygrała na wyjeździe w Santander 2:0. Oba kluby potwierdziły wielkie aspiracje.

I rzeczywiście, przed ostatnią kolejką, 23 czerwca, Barça zajmuje pierwsze miejsce z 23 punktami, Real Madryt jest drugi z takim samym dorobkiem, a trzeci Athletic ma 20 oczek (tylko tyle samo co czwarty Real Sociedad). A zatem Barça mistrzem, prawda?

Nie, jeszcze nie, ponieważ Barça miała zaległy jeden mecz, który powinien być rozegrany 19 maja na boisku Arenas Guecho (piątej drużyny w tabeli) w 13. kolejce. A sytuacja była bardzo osobliwa. Real Madryt i Barcelona miały równy bilans nie tylko pod względem liczby zdobytych punktów, ale także goli w bezpośrednich starciach. W pierwszej części sezonu Real wygrał 2:1 na Les Corts. Prowadził 2:0 i męczył się do końca, żeby utrzymać zwycięstwo (Barça nie wykorzystała rzutu karnego), ale para obrońców Quesada – Urquiza miała wielki dzień. W rundzie rewanżowej Barcelona odniosła ważne zwycięstwo na Chamartín 1:0 dzięki trafieniu Samitiera. Według sprawozdań na tym etapie sezonu (przed rozpoczęciem ligi rywalizowano w Pucharze, którego Real Madryt został finalistą) Real zaczynał narzekać na zmęczenie, które wywarło znaczny wpływ na drużynę.

Oba kluby remisowały pod względem liczby goli w bezpośrednich meczach, co było pierwszym kryterium decydującym o zdobyciu mistrzostwa. Jeśli chodzi o stosunek zdobytych

bramek do straconych, lekką przewagę posiadała Barça. Wtedy (i jeszcze do niedawna) rozbiwano to przez podzielenie liczby goli strzelonych i straconych, nie obliczano różnicy, jak robi się teraz. Barcelona, przed rozegraniami tamtego zaległego meczu na stadionie Arenas, miała 35 goli strzelonych i 23 stracone, iloraz: 1,5217; Real Madryt – 40 goli strzelonych i 27 straconych, iloraz: 1,4815. A więc i pod tym względem wygrywała Barça. Porażka w Guecho jakąkolwiek różnicą goli zepsułaby jej jednak iloraz, a zwycięzca ligi zostałyby Real. Wyobraźmy sobie, że przegrałaby 0:1. Miałaby wówczas 35 goli strzelonych i 24 stracone, iloraz: 1,4583. Jakąkolwiek porażką większą liczbą goli sprawiłaby, że Barcelona miałaby jeszcze gorszy od Realu stosunek bramek

Reasumując, Barça byłaby mistrzem tylko wtedy, gdyby wygrała albo zremisowała na Ibaiondo, starym stadionie Arenas, gdzie zawsze się mówiło, że mecze ogląda jakaś krowa. (Stąd też wywodzi się wiele powiedzeń, które rozeszły się po całej Hiszpanii, ale zostały już w dużym stopniu zapomniane: „Ten to widział więcej meczów niż krowa z Ibaiondo” albo „Więcej meczów niż ty widziała krowa z Ibaiondo, a nie wie nic” i inne tego rodzaju. Javier Clemente, który był trenerem Arenas, odkrzyżył te powiedzenia).

Drużyna nie należała do słabych. Zajmowała piąte miejsce w tabeli (na dziesięć zespołów); po 11. kolejce znajdowała się nawet na czele rozgrywek, na jej stadionie przegrały między innymi Real Madryt, Athletic Bilbao i Real Sociedad, a ponadto pokonała Athletic na San Mamés. Grała jednak w kratkę, choć wydawało się, że najwięcej sił zawsze zachowywała na spotkania z wielkimi rywalami, które dostarczały jej zawodnikom dodatkowej motywacji.

Mecz powinien zostać rozegrany 19 maja, ale przełożenie go wymusiła niespodziewana tragedia. 15 maja w Madrycie na starym Stadion (tak brzmiała oficjalna nazwa nieistniejącego już stadionu Cuatro Caminos, popularnie nazywanego Metropolitan) rozgrywano mecz Hiszpanii z Ang-

lią. Był to bez wątpienia największy sukces hiszpańskiego futbolu tamtych lat. Gorącego popołudnia reprezentacja (przy dużym udziale piłkarzy Realu Madryt) wygrała z Anglią 4:3. Po raz pierwszy dumna reprezentacja Anglii (Los Pross, jak ich wtedy nazywano; przydomek wywodził się od słowa „profesjonalisci”, ponieważ w Anglii piłkarze zaczęli otrzymywać wynagrodzenie za grę znacznie wcześniej niż w jakimkolwiek innym kraju) przegrała na kontynencie, który z dumą odwiedzała od czasu do czasu, aby prezentować się podczas okazałych golead. Do tamtego dnia przegrała tylko jeden mecz, ze Szkocją, wrogiem wyhodowanym na własnej piersi, ale nigdy po tej stronie kanału La Manche. Zresztą do Madrytu Anglicy przyjechali w ramach *tournee*, w trakcie którego wcześniej urządzili golead w Belgii i we Francji. Jednak w Hiszpanii przegrali, pośród wybuchów radości i wirujących w powietrzu czapek tysięcy widzów na Stadion, a genialny i ekstrawagancki Gaspar Rubio, środkowy napastnik Realu Madryt, okazał się największą gwiazdą meczu.

Ale radość łączyła się z tragedią. José María Acha, prezes Arenas i człowiek dzięki któremu powstała hiszpańska pierwsza liga (to on pracował przez długie miesiące, żeby połączyć siły wokół tych rozgrywek według angielskiej formuły grania każdy z każdym), zginął w wypadku drogowym, kiedy jechał do Madrytu, żeby obejrzeć mecz. Jego śmierć była szokiem dla całego hiszpańskiego futbolu, a zwłaszcza dla Arenas, które traciło najważniejszą i najukochańszą postać. Tragedia spowodowała, że przełożono następny mecz, który drużyna miała rozegrać właśnie z Barceloną.

Doszło do niego tydzień po ostatniej kolejce, już 30 czerwca. Tylko jeden gol dający prowadzenie i zwycięstwo Arenas sprawiłoby, że tytuł powędrowałby w inne ręce. Jednak tak się nie stało. Barça wygrała pewnie 2:0 i zdobyła tytuł z dwoma punktami przewagi nad Realem Madryt.

7. SAMITIER PRZECHODZI DO REALU!

José Samitier był – razem z Ricardo Zamorą, barcelończykiem tak jak on – pierwszym geniuszem hiszpańskiego futbolu. Urodził się 2 lutego 1902 roku, wyróżniał się już od najmłodszych lat. W Barcelonie grał od sezonu 1919/20 aż do sezonu 1932/33. Kiedy odszedł w wieku 31 lat – wkrótce przekonamy się w jaki sposób i dlaczego – miał na koncie 454 mecze i 326 strzelonych goli, a ponadto sześć Pucharów i jeden tytuł mistrza Hiszpanii. Był bohaterem pierwszej złotej ery Barcy, w której występował z innymi znakomitymi piłkarzami epoki: Platko (wcześniej, przez krótki okres, z Zamorą), Pierą, Alcántarą czy Sagi-Barbą. Przez wszystkie te lata był również kluczową postacią reprezentacji Hiszpanii, jednym z jedenastu „wściekłych” na igrzyskach olimpijskich w Antwerpii w 1920 roku, z których Hiszpania wróciła ze srebrnym medalem. Były to pierwsze rozgrywki z udziałem reprezentacji Hiszpanii, a Samitier występował w pierwszym składzie.

Ale to nie wszystko. Był geniuszem także poza boiskiem. Człowiek inteligentny, bystry, otwarty, światowy, z którym kontakty utrzymywali intelektualści i którego powiedzenia stały się sławne. Przyjaciel Carlosa Gardela^[15] i Maurice'a Chevaliera^[16], Cossío^[17] i wielkich toreadorów tamtej epoki, bywający na spotkaniach z politykami, aktorami i innymi znanymi osobistościami.

Mówi się, że prezentowany przez niego futbol też był jedyny w swoim rodzaju. Samitier był szybki, elastyczny, zwinny, przebiegły. Mógł grać na środku boiska, jako cofnięty albo środkowy napastnik. Słynne były jego sztuczki, skoki, podnoszenie nogi wyżej, niż jest to możliwe z anatomicznego punktu widzenia. Słynne były jego entuzjazm i zaangażowanie. Słynny był jego sposób mówienia, ponieważ jako pierwszy wprowadził do języka wyrażenia piłkarskie: „Strzelił mi pan gola” albo „Przyłapałem go na spalonym”, które są powszechnie używane do dzisiaj. Nicolau Casaus, przez długie lata wiceprezes Barcelony, powiedział mi, że Samitier był pierwszym, który zaczął mówić w taki sposób, że niezależnie od tematu dorzucał jakieś piłkarskie porównanie. Zapewniał również, że futbol nigdy nie będzie biznesem: „Gdyby był biznesem, należałby do banków, a mecze rozgrywane byłyby między Banco Barcelona, Banco Bilbao, Banco Madryt, Banco Valencia, Banco Sevilla, Banco Vigo...”.

W sezonie 1932/33 sprawy w Barcelonie nie układały się pomyślnie, a prezes José Comas nie miał tak stanowczej ręki, by nad wszystkim zapanować. Istniała silna opozycja, utożsamiana w dużej mierze – jak wyjaśnia w swojej książce Sobrequés – z postulatami konserwatywnej prawicy; resztką sił Barça zdołała przezwyciężyć kryzys z 1926 roku i sprzeciwiła się wejściu do rady klubu członków Esquerra Republicana (Republikańskiej Lewicy). W poprzednim sezonie Barça nie zdobyła żadnego tytułu. Znalazła się w finale Pucharu Hiszpanii, a w rozgrywkach ligowych zajęła trzecie miejsce. Mecz ostatniej kolejki był wielką porażką – 1:6 z Badaloną.

I co jeszcze bardziej znaczące, Barcelona zakończyła sezon z deficytem wynoszącym 126 625,91 peset. Jakna tamte czasy były to wielkie pieniądze.

Tak więc sezon 1932/33 rozpoczął się z mnóstwem wątpliwości, z podziałami wewnątrz klubu i problemami. Starając się uprzedzić negatywne zdarzenia, Barça sprowadziła brazylijskiego środkowego pomocnika Fausto dos Santosa, według jego sympatyków geniusza tamtej epoki, ale plan – który popierał Real Madryt – żeby otworzyć granice dla zawodowców, się nie powiódł. Dos Santos, nazywany Araña Negra (Czarny Pająk), był reżyserem gry reprezentacji Brazylii

na mundialu w 1930 roku. Dla Barcelony okazał się bezsensownym wydatkiem. Wraz z zatwierdzeniem profesjonalnego futbolu w Hiszpanii w 1926 roku ustalono, że można sprowadzać obcokrajowców, ale wyłącznie amatorów. Na nic zdała się presja wywierana przez Barcę na władzach hiszpańskiej piłki. Zezwolono jedynie na grę tych, którzy zostali „przemyceni” wcześniej, w czasach „fałszywego amatorstwa”, jak Platko, ale od 1926 roku można było sprowadzać z zagranicy jedynie prawdziwych amatorów. Przepis ten obowiązywał do sezonu 1934/35.

Klub był bez pieniędzy, w środku kryzysu, gnębiony długami i widocznym wewnętrznym konfliktem. Prezes José Comas i jego zarząd podjęli bardzo kontrowersyjną decyzję: wystawili na sprzedaż grupę weteranów z wysokimi pensjami. 30 grudnia 1932 roku w barcelońskiej prasie pojawia się niespodziewana informacja: klub pozwala odejść do dowolnych drużyn takim zawodnikom jak Samitier, Piera i sam dos Santos, wraz z siedmioma innymi piłkarzami (Sagi-Barba, widząc, co się święci, postanowił wcześniej zakończyć karierę). Wybucho wielkie zamieszanie. Zarząd argumentuje decyzję „zerową skutecznością tych piłkarzy”. Wiadomości niczym tuman kurzu przetacza się przez całą Hiszpanię, zwłaszcza ze względu na osobę Samitiera. Prezes klubu jeszcze bardziej pogarsza sprawę, mówiąc, że nikt nie zechce zawodnika z 34 latami na karku, podczas gdy w rzeczywistości piłkarz tyłu nie ma. Nie skończył jeszcze 31 lat, chociaż niewiele mu brakuje.

A 1 stycznia (tak, 1 stycznia) Real Madryt przyjeżdża na Les Corts na mecz ligowy. Santiago Bernabéu, który już kilka lat temu przestał grać, przybywa w roli kierownika drużyny. Widać, jak przy boisku rozmawia z Samitierem, który jest wyraźnie smutny. Nikt się nie niepokoi, w końcu są dwoma starymi przyjaciółmi, kompanami ze świata futbolu. Poza tym w tamtym czasie Bernabéu nie był nikim znaczącym, jak stanie się to później. To tylko były piłkarz, owszem, znany, sprawujący nową funkcję w swoim klubie. Samitier, w cywilu, dopiero co został odpawiony, widzowie myślą, że prawdopodobnie nie będzie już grał. Ale Bernabéu pyta go, czy byłby w stanie przejść do Realu Madryt. A on odpowiada, że tak.

Wszystko odbywa się dyskretnie. 5 stycznia Samitier rozwiązuje kontrakt z Barceloną i z papierem w ręku udaje się do Madrytu, gdzie dwa dni później podpisuje umowę z klubem ze stolicy. Wylądował awionetką na wlotodromie Cuatro Vientos, wyjechał po niego jego przyjaciel Ricardo Zamora, który był już piłkarzem Realu Madryt od 1930 roku. Zawarł kontrakt w zamian za siedem tysięcy peset, w siedzibie klubu znajdującej się wówczas przy ulicy Caballero de Gracia. Zdjęcie przedstawiające moment złożenia podpisu przez Samitiera, ze stojącym z tyłu Bernabéu i dzieckiem rozmawiającym przez telefon, to uderzający obrazek pojawiający się w gazetach następnego dnia. Real Madryt miał wspaniały skład, z większością znamienitych postaci hiszpańskiego futbolu tamtych czasów: Zamora, Ciriaco, Quincoces, Leoncito, bracia Regueiro, Lázcano, Hilario, goleador Olivares...

Samitier nie jest tym samym piłkarzem, co za swoich najlepszych lat, może jednak jeszcze wiele dać nowemu klubowi. Zadebiutował w wyjazdowym meczu Realu na Atocha^[18], gdzie *los blancos* wygrali 2:1; wystąpił też tydzień później przeciwko Alavés, któremu strzelił pierwszego gola w białej koszulce, ale przede wszystkim miał ogromną satysfakcję 5 marca, w dniu, w którym Barça przyjechała na Chamartín. Real Madryt wygrał 2:1, a oba gole strzelił właśnie Samitier, co odbiło się szerokim echem w krajowej prasie i w dyskusjach kibiców. W tamtym sezonie Real zdobył mistrzostwo, pogrążona w kryzysie Barcelona zajęła zaś czwarte miejsce.

Nie żeby Samitier robił w Realu Madryt wielkie rzeczy, ale spełniał swoje zadania. Nie grał w zbyt wielu meczach, z powodu kontuzji bądź wieku, lecz tylko w tych wybranych. Ale do tytułu ligowego zdobytego w pierwszym sezonie dołożył jeszcze Puchar Hiszpanii w drugim. W Realu występował tylko przez półtora sezonu, grając w 22 meczach i zdobywając 12 bramek. W

drugim roku też strzelił gola Barcelonie, która ostatecznie rozgrywkę zakończyła na dziewiątym miejscu w lidze liczącej dziesięć drużyn. Nie spadła z niej, ponieważ już wcześniej ustalono, że w następnym sezonie liczba klubów w tej klasie rozgrywkowej zostanie zwiększona do 12. (Czytałem gdzieś, że zaimprovizowano takie rozwiązanie, żeby uratować Barcelonę przed spadkiem. To nieprawda, taką decyzję podjęto dużo wcześniej).

Barça, bez Samitier, przeżywała trudny okres. W pierwszym z tych sezonów zajęła czwarte miejsce w lidze, w drugim dziewiąte. W Pucharze została wyeliminowana od razu w pierwszej rundzie przez Betis, przegrywając 0:4, a w trzecim sezonie pokonała kolejno Constancję i Seville, znów odpadła jednak z Betisem, tym razem w ćwierćfinale. Była to dobra drużyna Betisu, pełna baskijskich piłkarzy. Zdobyła mistrzowski tytuł w trzecim sezonie Barcelony bez Samitier, to jest 1934/35.

Ostatecznie to Real Madryt miał przyjemność oglądać koniec kariery wielkiego Samitier, który chociaż później zagrał jeszcze kilka meczów (w Constancii de Inca, w Nacionalu Madryt już jako grający trener, a potem, podczas hiszpańskiej wojny domowej, w Nicei), to można powiedzieć, że „poważną” karierę zakończył zwycięskim finałem Pucharu Hiszpanii Real Madryt – Valencia. W Barcelonie jego nieobecność wywołała rozgoryczenie i sprawiła, że jeszcze cięższy był ten trudny czas, w którym klub starał się zaprowadzić porządek pośród wewnętrznych podziałów, politycznych dyskusji, częstych dymisji i nostalgii za wspaniałą generacją lat 20., dowodzoną przez wielkiego Samiego.

Barcelońska publiczność wybaczyła mu zdradę. Nie można powiedzieć, że była to sprawa Figó. Zrozumiano, że niewłaściwie postąpił zarząd klubu, doszło do dymisji. Po wojnie Samitier wrócił do Barcelony, której został trenerem i sekretarzem technicznym. To on sprowadził Di Stéfano, jak się będzie można później przekonać, a jego odejście z Barcelony w środku zamętu panującego w tamtej sprawie okaże się decydujące dla jej rozwiązania. Jeszcze pod koniec lat 50. na krótko znalazł się w Realu Madryt jako sekretarz techniczny, żeby potem znowu wrócić do Barcelony. Jego dobroć, osobowość i pamięć o tym, co zrobił dla Barçy jako piłkarz, sprawiły, że te dwie wyprawy do Realu Madryt stały się nieistotne. Jego pogrzeb był w Barcelonie dniem wielkiej żałoby.

Chociaż swego czasu nagle zmiana klubu pod auspicjami Santiago Bernabéu, a także dwa gole strzelone w pierwszym oficjalnym meczu rozwścieczyły niejednego.

8. BARÇA NIE POZWALA REALOWI ZAPISAĆ SIĘ DO ROZGRYWEK KATALOŃSKICH

To jedna z najmniej znanych historii, której bohaterami były Real Madryt i Barça, być może dlatego, że nie chodziło o konfrontację na boisku, lecz o ważny konflikt toczący się w zaciszu gabinetów. I ponieważ zdarzyła się w czasach, kiedy powszechnie zajmowano się innymi sprawami: w latach wojny domowej. Mimo to była istotna.

Ostatnim meczem przed wybuchem wojny było spotkanie Madryt – Barça. Finał Pucharu Hiszpanii w Walencji i zwycięstwo Madrytu (wtedy nie Realu, w latach Republiki zdjęto koronę, a herb przyozdobiono fioletową wstążką) 2:1, z pamiętną paradą Zamory przy strzale Escoli tuż przed końcem. Była to ostatnia parada wielkiego Ricardo Zamory, który po tamtym meczu oficjalnie ogłosił zakończenie kariery. A miał wtedy skończone 35 lat i naciskali na niego zarówno w reprezentacji (Blasco i przede wszystkim Eizaguirre), jak i w klubie (Węgier Alberty został sprowadzony ekspresowo, żeby go zastąpić).

18 lipca wybuchła wojna (17 albo 19 dla niektórych historyków, 18 dla potomności; tego dnia za czasów Franco dostawoła się letnią wypłatę, którą nazywano właśnie „wypłatą 18 lipca”). Kluby oczywiście miały wakacje. Ale minęło lato i tam, gdzie tyłko się dało, starano się wznowić futbolową aktywność jako formę odzyskania albo chociaż pozorowania niemóźliwej normalności.

Barcelona znajdowała się bardzo daleko od frontu. Madryt przeciwnie. Wojska Yagüe błyskawicznie przeszły przez Ruta de la Plata, skręciły w Talaverze i skierowały się w stronę Madrytu, zatrzymując się uprzednio w Toledo, żeby przerwać oblężenie Alcázar. Przed nadejściem jesieni Madryt był częścią frontu. Ponadto wkrótce miasto zostało praktycznie zamknięte, z jedyną drogą prowadzącą do Walencji, gdzie przeniósł się rząd Republiki.

Prasa z tamtych dni podaje informacje o ryzykownych próbach organizowania meczów: przeciwko reprezentacji Związku Radzieckiego, Real Madryt – Athletic (tak wtedy nazywało się Atlético) czy reprezentacji Madrytu z reprezentacją Walencji. Nie udało się rozegrać żadnego z nich. Powstał wówczas pomysł, żeby zwerbować Madryt i Atlético do rozgrywek Suprarregional, razem z Valencią, Gimnástico, Levante, Hérculesem, Murią i Cartageną. Ale to też się nie powiodło.

Wtedy Hernández Coronado wpadł na jeden ze swoich genialnych pomysłów. Coronado występował jako bramkarz w Realu Madryt w bohaterskich latach, a po zakończeniu kariery pozostał w futbolu i w ukochanym klubie. Był człowiekiem inteligentnym, byстрыm, pomyslowym, ironicznym, genialnym. To za jego sprawą na koszulkach w Hiszpanii pojawiły się numery. Innym razem zaproponował, żeby postawić na dwie odmienne jedenastki, w zależności od tego, czy mecz rozgrywany jest u siebie, czy na wyjeździe, wychodząc z założenia, że w obu przypadkach wymagania są inne. Jego książka *Las cosas del fútbol* (Sprawy futbolu) to dzieło bezcenne, które do dzisiaj znajduje się w dystrybucji.

Plan polegał na tym, żeby zapisać Adalnego do rozgrywek katalońskich, co z pewnością byłoby ogromnym zaskoczeniem. I miał idealnego człowieka, który mógłby to zaproponować: trenera drużyny Paco Bru.

Bru, mimo że urodził się w Madrycie, był postacią bardziej kojarzącą się z Barceloną. Tam wychowywał się od najmłodszych lat. Należał do armii pionierów, którzy zapoczątkowali rozwój futbolu w stolicy Katalonii (on sam uczestniczył w utworzeniu Internacionalu, przez kilka lat grał w Barcelonie, z którą w 1910 roku został mistrzem Hiszpanii, potem założył Kolegium Arbitrów w Katalonii, zresztą sam był sędzią). Człowiek cieszący się wielkim poważaniem, a ponadto

pierwszy selekcjoner reprezentacji Hiszpanii (tej, która zdobyła srebrny medal w Antwerpii), trenował na Kubie i w Peru, pracował w Espanyolu, by na krótko przed wybuchem wojny zostać szkoleniowcem Madrytu.

Bru pojechał do Barcelony i najpierw spotkał się z szefostwem Espanyolu (gdzie nie tak dawno temu pracował jako sekretarz techniczny i trener). Opowiedział o swoim pomysle. Być może błędem było rozpoczęcie właśnie tam, a nie w Barcelonie, lecz jako że Bru jeszcze do niedawna związany był z tym klubem, bardziej wierzył, że w nim otrzyma pierwszą akceptację. Potem udał się do siedziby Barcy, gdzie wysłuchano go z większą obojętnością, chociaż nie powiedziano nie.

Rozgrywki katalońskie były podzielone na dwie ligi: Primera A, w której występowały Barcelona, Espanyol, Badalona, Gerona, Sabadell i Granollers, oraz Primera B, którą tworzyły zespoły Sants, Terrassa, Horta, Júpiter, Europa, Vic, Martinenc i Sant Andreu. Madryt występowałby w pierwszej z nich i w ten sposób liczyłaby ona siedem klubów. Ponieważ liczba drużyn byłaby nieparzysta, w każdej kolejce jedna by odpoczywała, a Madryt korzystałby z boiska pauzującego zespołu, żeby grać w charakterze gospodarza.

Dla większości obecność Madrytu oznaczałaby wielką atrakcję, zwiększającą zainteresowanie rozgrywkami, a tym samym gwarantującą większe zyski z biletów. Obiekcje zgłosił Sants, ponieważ jego boisko znajdowało się bardzo blisko Les Corts i argumentowano, że w dniu, w którym Madryt grałby tam jako gospodarz, ich wpływy z biletów byłyby niewielkie. Bru odpowiedział, że tego dnia wpływy – te, które otrzymałby Madryt na Les Corts, i te, które otrzymałby Sants na swoim boisku – mogłyby podzielić między oba kluby, co bardzo spodobało się przedstawicielom Sants. Pojawili się też obiekcje ze względu na możliwość, że Madryt zostałby mistrzem Katalonii, ale Bru rozwiązał ten problem, proponując, żeby nie liczono punktów zdobytych przez jego zespół albo – w przypadku gdy byłyby liczone i drużyna zajęłaby pierwsze miejsce – nie ogłaszano go mistrzem, a tytuł przyznano drugiemu najlepszemu klubowi.

Madryt chciał zachować ciągłość istnienia jako klub, chciał grać i chciał móc płacić piłkarzom do czasu, aż rozwiąże się kwestia obłożenia stolicy.

Chociaż Barça nadal kładła kłody pod nogi za pośrednictwem prasy, to ogólna atmosfera bardzo sprzyjała Madrytowi. Widoczna była entuzjastyczna fala solidarności. Madryt opierał się (były to dni słynnego *No pasarán* – Nie przejdą) i po stronie republikańskiej z sympatią postrzegano wszystko, co łączyło się ze stolicą Hiszpanii. Związek zawodowy katalońskich piłkarzy wystosował notatkę o niedwuznacznych intencjach, popierając dążenia ich kolegów z Madrytu, by zarabiać na życie, wykonując swoją pracę w Katalonii:

Na początek chcemy, żeby było jasne, iż nie tolerujemy nikogo, kto wykorzystuje futbol na użytek politycznych występów albo osobistego egoizmu, bez względu na jego orientację.

Związek Zawodowy Piłkarzy, który powstał po to, by chronić wraz z interesami materialnymi i moralnymi jego członków, ludzi futbolu, jest najbardziej stabilnym obrońcą tej prawości za każdym razem, gdy problemy dotyczą bezpośrednio sportu.

Związek Zawodowy Piłkarzy z Katalonii jest głównym zainteresowanym, aby istota katalońskiego futbolu nie została zmieniona przez nic ani przez nikogo, ale tragiczna anomalność, w której żyjemy, wykracza poza nasze pragnienia i uczucia. Włączenie Madrytu FC do rozgrywek o mistrzostwo Katalonii w obecnych okolicznościach nie jest

żadnym fałszerstwem, lecz przeciwnie: oczyszczeniem będącym probierzem szczodrości i koleżeństwa.

Związek Zawodowy Piłkarzy jest zobligowany, by stanąć w jednym szeregu z kolegami z Madrytu, zawiązać z nimi sojusz, bronić ich i wspierać z całej siły duchowych i materialnych. Więzy solidarności i koleżeństwa, które łączą nas z naszymi kolegami z Madrytu, nakładają na nas obowiązek i powinność działania we wspólnym celu, aby zaspokoiли oni swoje potrzeby w tej chwili.

Jako katalońscy sportowcy, a tym bardziej profesjonalści pod zaszczytną flagą czterech katalońskich pręg i z nazwiskiem nieodżałowanego José Suñola na ustach, nie możemy zapomnieć, że batalion madryckich sportowców pokazał aż w nadmiarze zrozumienie i sympatię wobec naszej ukochanej Katalonii.

Żeby madryccy sportowcy nigdy nie mogli myśleć, że ich piłkarzom zostały zamknięte drzwi katalońskiej szczodrości.

Żeby nasi koledzy z Madrytu nie mogli podejrzewać, że zostali opuszczeni przez swoich katalońskich kolegów.

Pod manifestem podpisał się Alberto Sánchez, sekretarz związku zawodowego i były piłkarz Barcelony.

W pewnym momencie Paco Bru widział wszystko tak pozytywnie, że nawet uzgodnił wynajem dość dużego domu w El Masnou, miejscowości położonej 25 kilometrów na północ od Barcelony, gdzie letnie rezydencje mieli wielcy przemysłowcy z miasta. Zrobił rezerwację dla 15 piłkarzy: bramkarzy Espinosa i Albertego, obrońców Ciriaco, Quesady i Boneta, pomocników Pedro Regueiro, Sauto, Villi, Antonio Boneta II i Valle, napastników Marina, Luisa Regueiro, Lópeza Herranza, Lecue i Emilina.

Ale została jeszcze ostatnia formalność. Na 20 października wyznaczono przesądzające o wszystkim spotkanie. Rozegrano już dwie koleжки, ale było możliwe, żeby Madryt dołączył do rozgrywek, grając tylko jeden zaległy mecz, bowiem uznano by, że w pierwszej kolejce odpoczął (z uwagi na brak pary). Spotkało się 14 klubów, sześć z ligi A i osiem z B. Atmosfera była sprzyjająca, problemy stwarzał tylko reprezentujący Barcelonę Rosendo Calvet. Na tym etapie nikt już nie miał wątpliwości, że Barça nie chciała u siebie Madrytu, ponieważ darzyła go wielką antypatią. Jako że dyskusja wydawała się nie mieć końca, na prośbę większości zarządzono głosowanie.

Właśnie w tym momencie szef federacji katalońskiej Ramón Eroles wyszedł z sali, prosząc o możliwość zatelefonowania. Po powrocie ogłosił zebranim, że powiadomiono go, aby zaczął na dokument podpisany przez „prawdziwych reprezentantów Primera B”, w związku z czym do głosowania nie doszło. Po oczekiwaniu na papier, który ostatecznie nie dotarł, zgromadzenie się rozeszło.

Rzeczony dokument nie istniał. Następnym krokiem była notatka wystosowana przez federację katalońską, w której poinformowano, że odrzucono prośbę Madrytu z uwagi na szkodę, jaką takie rozwiązanie wyrządziłoby małym katalońskim klubom. Na notatkę odpowiedziały kluby z Primera B: „Primera B przyjęła ze zdziwieniem i zaskoczeniem, że podano do wiadomości publicznej, że kluby z tych rozgrywek sprzeciwiały się uczestnictwu Madrytu w rozgrywkach o

mistrzostwo Katalonii, podczas gdy z naszą ligą nie konsultował się żaden z organów federacji, w związku z czym takowy sprzeciw nigdy nie istniał”. Pod notatką podpisał się José Guardia, reprezentant tych klubów w federacji, i czynił to, według tekstu, w imieniu Sants, Terrassy, Horty, Júpitera, Europy, Vic, Martinenc i Sant Andreu.

Co się wydarzyło? To oczywiście, że Ramón Eroles stanął po stronie Barcelony, jedynego klubu, któremu przeszkadzał Madryt i który, nie zdobywając się na szczerść, by powiedzieć wprost, że za żadną cenę nie zgodziłby się na udział Madrytu w tych rozgrywkach, zasłonił się wymyśloną szkodą dla zespołów z Primera B. Eroles wszedł do federacji katalońskiej z chęcią zawładnięcia nią i z pomysłami, które nie spodobały się ogółowi. Przyszedł z zamiarem zwalczania profesjonalizmu jako źródła wszelkiego zła (bardzo szeroko rozpowszechniona idea w kręgach najbardziej radykalnej lewicy tamtej epoki) i wielu nadepnął na odcisk Chciał zorganizować makrorozgrywki z aż 20 drużynami, w tym amatorskimi, wprowadzając zamęt i powszechne niezadowolenie. A kiedy pojawiła się sprawa Madrytu, wiedział już doskonale, że posadę mógł zachować jedynie dzięki potężnej Barcelonie. Robił to, o co prosiła go *blaugrana*. Mimo to niedługo potem i tak został zwolniony.

Ulotniła się republikańska solidarność i pragnienie klubów, żeby mieć atrakcyjnego przeciwnika w swoich szeregach i większe wpływy z biletów. A w madryckiej prasie można było zauważyć frustrację, jaką wywołał ten fakt w otoczeniu madrydistów. Zancadilla, bardzo znany dziennikarz tamtej epoki, napisał w „Informaciones”:

Spodziewaliśmy się w pełni poprawnego zachowania ze strony Barcelony. Tak się nie stało. Z ostatnich wiadomości, jakie do nas dotarły, wynika jasno, że ów klub, w przeciwieństwie do tego, co mówiono w poprzednich dniach, jako jedyny sprzeciwił się dołączeniu Madrytu do rozgrywek katalońskich. Nie było prawdą, jakoby kluby z Primera B głosowały przeciwko drużynie z Madrytu. Mamy całkowitą pewność, że z owymi klubami, wobec których Madryt zawsze będzie odnosił się z wielkim szacunkiem, nic nie konsultowano, a gdyby przeprowadzono konsultacje, jak podaje dziennik „El Mundo Deportivo”, owe kluby bez wahania głosowałyby za Madrytem, ponieważ oddając głos na klub ze stolicy, bezpośrednio działałyby na korzyść interesów sportu i pomogłyby klubowi, który ze względu na wspaniałą historię i szlachetność, setki razy wystawianą na próbę, nie może zaprzestać działalności.

Barcelona po raz kolejny nie pomogła Madrytowi. Wszystkie deklaracje przyjaźni okazały się mitem. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności, by ją udowodnić, postąpiła tak, jak jej było wygodniej, zapominając o braterskich więzach, i po raz kolejny zakończyła przyjaźń, której – w trosce o własny sportowy prestiż – nie powinna rozbijać.

W książkach o historii Barcelony ta sprawa jest zazwyczaj pomijana. W tej autorstwa Maluquera, wydanej na pięćdziesięciolecie klubu (1949), niezbyt oddalonej w czasie od tamtych zdarzeń, poświęca się jej dziewięć linijek, tytułując akapit w sposób następujący: *Real Madryt chciał przeprowadzić się do Barcelony*.

W celu ewentualnej możliwości uczestnictwa w rozgrywkach katalońskich Madryt podjął odpowiednie kroki, żeby przeprowadzić się do naszego miasta.

Komitet Barcelony zakomunikował federacji, iż uważa, że rozgrywki o mistrzostwo Katalonii posiadają własną tożsamość i że tak jak wcześniej sprzeciwił się zwiększeniu liczby uczestników, tak i teraz podtrzymuje swoje zdanie bez obawy, że odbije się to na braterskiej sympatii, jaką Barcelona zawsze darzyła madryckie kluby.

Miało to miejsce w październiku 1936 roku.

O tyle proste, co jasne wytłumaczenie. W znacznie późniejszej książce *Historia del Fútbol Club Barcelona* Rosendo Calvet, bohater epoki, pisze o tej sprawie w sposób następujący: „Pod koniec 1937 roku [to błąd, chodzi o rok 1936] Real Madryt, w tym przypadku reprezentowany przez trenera, pana Francisco Bru, poprosił, żeby Barcelona wstawiła się u federacji katalońskiej za tym, by jego drużyna mogła uczestniczyć w rozgrywkach o mistrzostwo Katalonii. Prośba została odrzucona, co uzasadniono, powołując się na regulamin tychże rozgrywek”.

Natomiast *Libro de Oro del Real Madrid* (1952) w ogóle nie wspomina o tamtych wydarzeniach. Omija okres wojny domowej, nie mówiąc nic ponad to, że życie klubu zostaje sparalizowane i że „niektórzy przyzwolici madrydziści przechowują skarb, w którego skład wchodzi dokumentacja i relikwie klubu”. Dlaczego autor o tym nie wspomina? Nie przykładał wagi do tych wydarzeń? Czyżby Bernabéu, już wtedy prezes, nie chciał przyznać, że Real Madryt szukał pomocy w Katalonii? A może po prostu z racji tego, że książkę pisało pięciu autorów, którzy zajmowali się kolejnymi epokami, ten okres został zapomniany?

Całą sprawę można zatem prześledzić w prasie z tamtej epoki, zwłaszcza w „El Mundo Deportivo”, najstarszym hiszpańskim dzienniku sportowym. A także w „Informaciones” z Madrytu.

Natomiast rozgrywek o mistrzostwo Katalonii w tamtym sezonie nie wygrała Barcelona, tylko Espanyol.

W czasie wojny Barça radziła sobie znacznie lepiej niż Madryt, co z drugiej strony było zrozumiałe, ponieważ Barcelona jako miasto cierpiała mniej niż stolica. Madryt przez prawie trzy lata był fragmentem frontu, a wojska Franco weszły do stolicy dopiero pod koniec działań wojennych i po małej wojnie domowej w środku dużej, między tymi, którzy byli zwolennikami kapitulacji miasta, a tymi, którzy oczekiwali, że ten nieuchronny wybuch konfliktu zbrojnego w Europie (który stał się drugą wojną światową) wchłonie nasz konflikt i poprawdzi go do innego końca, niż przewidywano. Natomiast kiedy siły Franco dotarły do Barcelony, ta została ogłoszona miastem otwartym i wojska weszły tam, defilując.

Ale wcześniej Barcelona wcale nie była wolna od bombardowań, miały one miejsce dość często. W trakcie jednego z nich, 16 marca 1938 roku, bomba spadła na siedzibę klubu, mieszczącą się wówczas przy ulicy Concell de Cent. Dozorca Josep Cubells akurat znajdował się w budynku. Kiedy otrząsnął się po wszystkim, zabrał dokumenty i trofea, które się dało, bo wiele z nich zostało zniszczonych. Później przypomniał sobie, że między rurami schowanych było 2,5 tysiąca peset, więc wrócił. Przedzierając się przez policyjny kordon i ryzykując, że na głowę zwali mu się ta część budynku, która jeszcze się trzymała, uratował pieniądze.

Poza tym Barça miała nieprawdopodobne szczęście, które potrafiła wykorzystać, o czym szczegółowo opowiada Rosendo Calvet w jednym z rozdziałów książki *Barça, Barça, Barça*, historii klubu napisanej przez wielu autorów. W marcu bramkarz drużyny Iborra otrzymał list od przyjaciela z Meksyku (byłego zawodnika sekcji baseballowej klubu, wyjaśnia Calvet), w którym

ten proponował Barcelonie rozegranie sześciu meczów po drugiej stronie Atlantyki. Pomysł został przyjęty z entuzjazmem. Drużynę zebrano z trudem (niektórzy piłkarze z racji wieku trafili do wojska, skąd nie było łatwo ich wyciągnąć) i wyruszono w podróż. Pobyt za oceanem przedłużył się jednak, ponieważ rozegrano jeszcze dwa dodatkowe mecze w Meksyku i trzy w Nowym Jorku. *Tournée* trwało w sumie pięć miesięcy i chociaż drużyna wróciła zdziśiatkowana, jako że niektórzy piłkarze przyjęli oferty pozostania w Meksyku z uwagi na niestabilną sytuację w Hiszpanii, to była zadowolona, zostawiając po sobie dobre wrażenie w Meksyku, a przede wszystkim deponując 12 900 peset w jednym z paryskich banków, które posłużyły temu, żeby wznowić działalność klubu, kiedy walki dobiegły końca.

Stadion Les Corts nie ucierpiał podczas wojny. Sobrequés opowiada, że gdy wojska Franco weszły do Barcelony, na stadion przybył jeden oficer i kilku żołnierzy. Czekali na nich Rosendo Calvet i dozorca Manuel Torres. Wojskowi przeprowadzili inspekcję, rozważając możliwość zamienienia stadionu w miejsce postoju dla samochodów należących do władzy. Calvet zwrócił się do oficera:

– Proszę pana, ma pan tutaj świątynię przeznaczoną dla kultu sportu i kultury fizycznej. Szanowaliśmy ją przez całą wojnę. Teraz pan zdecyduje.

Na co oficer odparł:

– Proszę być spokojnym, młodzieńcze. To nie my zniszczymy to, co wy zachowaliście.

Madryt gorzej wyszedł na walkach. Fakt, że w Katalonii z powodu Barcy zamknięto mu drzwi, spowodował zastój w działalności klubu; niektórzy jego piłkarze (między innymi bracia Regueiro) zostali zwerbowani na słynne *tournée* reprezentacji Kraju Basków i klub stracił ich już na zawsze. Bieda panująca w mieście sprawiła zaś, że część drewnianych trybun starego Chamartín rozmontowano i wykorzystano jako drwa na opał. Owszem, na początku odbywały się mecze towarzyskie i występy gimnastyczne, ale w pewnym momencie ich organizacja stała się niemożliwa.

Jeden z pracowników klubu, Carlos Alonso, został, żeby dbać o stadion, w jednym z rogów boiska uprawiał ogród warzywny i utrzymywał w dobrym stanie puchary, które do dziś poły skują w przepelnionej trofeami sali. Ale po zakończeniu wojny i wznowieniu rozgrywek Real Madryt pierwsze mecze musiał rozgrywać w Vallecas. Odbudowywał się z większymi trudnościami niż Barcelona, która zachowała stadion w nienaruszonym stanie i miała oszczędności z amerykańskiego *tournée*.

9. ZASTRZELENIE SUÑOLA I ZESŁANIE SÁNCHEZA-GUERRY

Oba kluby straciły jednak swoich prezesów, stojących na ich czele przed wybuchem wojny. A w zasadzie jednego prezesa i drugiego, który wtedy był już byłym prezesem, chociaż nie pamięta się go jako takiego.

Przed wojną funkcję prezesa Realu Madryt sprawował ważny republikanin, o czym dzisiaj się nie pamięta. Rafael Sánchez-Guerra, którego ojciec José Sánchez-Guerra uczestniczył w słynnym buncie przeciwko Primo de Riverze. Sánchez-Guerra syn był sekretarzem generalnym prezydenta Republiki Alcali-Zamory – stanowisko, które zajmował, będąc zarazem szefem Realu Madryt, i które zostawił wraz ze zdjęciem z urzędu Alcali-Zamory, co było dość kontrowersyjną decyzją parlamentu z ramienia Frontu Ludowego. Był jedną z nielicznych naprawdę przyzwoitych postaci madryckiej sceny politycznej. W czasie wojny pozostał w klubie, żeby utrzymać porządek, podobnie jak Julián Besteiro i kilku innych. Po zakończeniu walk, kiedy upadł Madryt, na sześć lat trafił do więzienia, a potem wyemigrował do Paryża. Wrócił do Hiszpanii – już bardzo stary i owdowiały, by dołączyć do dominikanów z Villavy (rodzinne miasteczko Miguela Induráina) – tylko ze względu na obietnicę, jaką złożył żonie znajdującej się na łożu śmierci, o czym wiele lat później opowiedział mi jego syn. Był zatem jeszcze jedną ofiarą wojny domowej, która złała mu życie.

W kwietniu 1963 roku Real Madryt odwiedził go przy okazji meczu wyjazdowego w Pampelunie przeciwko Osasunie. Republikanin, wtrącony do więzienia, zesłany... Z Santiago Bernabéu przybyli do niego Di Stéfano, Puskás, Gento, Amancio, Zoco... Za rządów Franco oddali hołd staremu republikańskiemu prezesowi, który zmarł rok później. Dzisiaj nikt już nie pamięta, że prezesem Realu Madryt przed wojną był ważny republikanin, prześladowany w czasach frankizmu.

Oczywiście nie cierpiał prześladowań dlatego, że był prezesem Realu Madryt, tylko dlatego, że był republikaninem.

Z kolei los tego, który pełnił funkcję szefa Barcelony od lipca 1935 roku aż do wybuchu wojny, był jeszcze gorszy. Jest to o wiele bardziej znana historia. Josep Suñol został rozstrzelany 6 sierpnia 1936 roku pod drzewem, w górach nieopodal Madrytu, wtedy nazywających się Alto del León, a po wojnie Alto de los Leones – nazwę zmieniono w hołdzie żołnierzom z Bando Nacional, którzy udaremniłi próbę wojsk republikańskich przełamania frontu w tym miejscu, żeby odciążyć oblegany Madryt.

Suñol został wybrany na prezesa Barcy w lipcu 1935 roku. Był znaczącym przywódcą Republikańskiej Lewicy Katalonii, założycielem i głównym udziałowcem dziennika „La Rambla de Catalunya”, który nosił podtytuł „Diario deportivo y de ciudadanía” (Dziennik sportowy i obywatelski). Celem jego wydawania było, jak pisze Santacana w *El Barça i el franquisme*, przyczynienie się do wpisania sportu jako jeszcze jednego elementu w miejskim i narodowym programie Katalonii. Siedziba redakcji mieściła się przy Rambla de Canaletas, dokładnie naprzeciwko fontanny o tej samej nazwie, a z tamtego okresu i z inspiracji tamtej gazety wywodzi się zwyczaj kibiców Barcelony, by spotykać się w tym miejscu, by świętować sukcesy drużyny albo chociażby komentować bieżącą sytuację w klubie. W wyborach z lutego 1936 roku, dzięki olbrzymiej liczbie głosów, Suñol został wybrany deputowanym do Kortezów. Kiedy

wybuchła wojna, postanowił złożyć dymisję z funkcji prezesa Barcelony, jak można przeczytać w „El Mundo Deportivo” z piątku 10 lipca.

Informacja pojawia się na pierwszej stronie i zajmuje środkową z siedmiu kolumn, na które jest podzielona okładka. *Pan José Suñol rezygnuje z funkcji prezesa FC Barcelony*. Tekst ma formę wywiadu z prezesem i politykiem, jego kontynuacja znajduje się na stronie drugiej. Sam Suñol powiadamia redaktora A. Ollé Bertrána, że poda się do dymisji:

- Najpierw powiem panu coś, czego nie mówiłem nikomu. Pan jest pierwszym człowiekiem, który się o tym dowie. Rezygnuję z funkcji prezesa Barcelony.
- Nie przyjmą pańskiej dymisji. Zostanie pan wybrany ponownie.
- I tak zrezygnuję. To nieustanne poruszenie to dla mnie zbyt wiele. Nie zmienię decyzji. Wśród moich kolegów z zarządu są osoby, które mogą zająć moje miejsce, i to zasłużenie.

W dalszej części wywiadu dokonuje się podsumowania sytuacji Barcelony pod koniec sezonu i spekuluje o możliwości odzyskania Samitierera jako trenera. Suñol przyznaje, że łączy go z nim wielka przyjaźń, ale „odpowiedzialność trenera w takim klubie jak Barcelona jest ogromna i Samitier, który ma tutaj przyjaciół i wrogów, pociągnąłby za sobą ryzyko pozostania na stanowisku do momentu, aż nastąpi zmiana zarządu”. Opowiada również, że czynione są starania, by sprowadzić nowych zawodników i dodaje, że z uwagi na dyskrecję nie poda żadnego nazwiska.

Jego śmierć nastąpi niespełna miesiąc później przez fatalny błąd. Suñol przebywał w Madrycie, kiedy Republika zdecydowała o podbiciu Alto del León. W ataku brała udział złożona z katalońskich ochotników Columna Macià-Companyns, a do stolicy dotarły zbyt optymistyczne wieści, według których ofensywa zakończyła się sukcesem i napastnicy zdołali zająć góry. Wtedy Suñol postanowił ich odwiedzić. Towarzyzyli mu dziennikarz Pedro Ventura, oficer i szofer. (Według książki Sobrequésa jedną z tych osób był Juli Just, sekretarz dyrektora z Ministerstwa Robót Publicznych). Miał ze sobą 50 tysięcy peset żołdu dla wojska. Samochód posiadał stosowne odznaki, właściwe jego randze, łącznie z chorągiewką republikańską, co pozwalało mu jechać aż do linii frontu. Szofer prowadził samochód w stronę góry. Nie usłyszał rozkazu, żeby się zatrzymać, jaki wydały mu posuwające się naprzód wojska republikańskie (Alto del León nie zostało zdobyte, jak mówiono w Madrycie), więc jechał dalej. Zatrzymali się na 52. kilometrze, na środku przełęczu, gdzie przy baraku dla robotnika drogowego znajdowała się grupa żołnierzy. Na tamtej wojnie nie było różnic w uniformach. Suñol i jego towarzysze przeszli przez front i wpadli w ręce rebeliantów. Oddalali się od samochodu, wiwatując na cześć Republiki i Katalonii, i wszyscy czterej zostali od razu rozstrzelani. Opis zdarzenia można znaleźć w „El Mundo Deportivo” z 15 maja 1937 roku, na stronie drugiej. Pochodzi on z relacji świadków, dwóch młodych Katalończyków. Byli na służbie w strefie, która znalazła się w rękach rebeliantów.

Śmierć Suñola była zbrodnią wojenną, która nie miała nic wspólnego z jego funkcją prezesa Barcelony. Chociaż stale słucham i czytam, że został zastrzelony właśnie dlatego. Przeczytałem nawet, że 50 tysięcy peset było przeznaczonych na sprowadzenie do klubu Lángary i że celem podróży było Oviedo, co jest niedorzeczne. Oznaczałoby to przekroczenie w środku wojny frontu w Guadarramie, pokonanie wielu kilometrów na obszarze kontrolowanym przez wroga, ponowne przekroczenie frontu po dotarciu do opanowanej przez Republikę Asturii i po raz kolejny przekroczenie frontu przy oblężonym Oviedo, gdzie opierał się „zdrajca Aranda”, jak był

nazywany (pułkownik Aranda miał się za republikanina, ale zbuntował się w Oviedo). Wszystko po to, by zostawić tam 50 tysięcy peset i wrócić tą samą drogą, przypuszczalnie z dokumentem potwierdzającym transfer Lángary.

Suñol był po prostu kolejną ofiarą nieszczęsnej wojny, która pochłonęła łącznie pół miliona ofiar.

Z pewnością zwrócili Państwo uwagę, że jego nazwisko piszę przez „ñ” zamiast „ny”, chociaż w takiej wersji pojawia się zazwyczaj. W mojej poprzedniej książce 366 *Historias del fútbol mundial* (366 historii o światowym futbolu), w której przytaczam to zdarzenie (str. 465–466), napisałem „Sunyol”. Zmieniłem pisownię nazwiska, ponieważ w trakcie przygotowania tej książki natknąłem się na informację, także w „Mundo Deportivo”^[19] (z 10.10.2004, str. 12), z której wynika, że jednak pisze się je przez „ñ”. Okazuje się, że tworząc barcelońską peñę^[20] z jego nazwiskiem w Palafolls, założyciele dostali jasny sygnał od rodziny zmarłego prezesa, że zezwolą na wykorzystanie jego nazwiska, ale tylko jeśli zostanie ono zapisane przez „ñ”. Francesc Alemany, sekretarz peñi (numer 1609), wyjaśnia w tejże informacji: „Kiedy półtora roku temu rozpoczęliśmy działania, aby stworzyć tę peñę w Palafolls i szukaliśmy patrona, zaskoczyło nas, że nie było ani jednej, która nosiłaby nazwisko Suñola. Jako znawcy historii klubu wybraliśmy je w hołdzie zamordowanemu prezesowi. Klub powiadomił nas, że będziemy potrzebować zgody rodziny, która udzieliła nam jej pod warunkiem, że uszanujemy oryginalną pisownię, czyli Suñol trzeba było zapisać przez » ñ«, a nie przez » ny«, jak było przyjęte. Dlatego też nazywamy się Penya Josep Suñol i Garriga. I musieliśmy też wszystko pozmieniać, ponieważ dokumenty wypełniliśmy już wcześniej, pisząc to nazwisko przez » ny« ”.

10. 11:1 – MECZ, KTÓRY DOPROWADZIŁ DO DYMISJI OBU PREZESÓW

I tak dochodzimy do pierwszej awantury po wojnie, czyli meczu zakończonym wynikiem 11:1, który zmienił oba kluby i doprowadził do tego, że prezesem Realu Madryt został Santiago Bernabéu.

Pierwsza kolejka rundy rewanżowej w sezonie 1942/43 przyniosła nam mecz Barcelona – Real Madryt na starym Les Corts. Zakończył się on niesamowitym remisem 5:5. Spotkanie było bardzo intensywne. Mimo że obie drużyny radziły sobie słabo (po remisie i po zakończonej kolejce Barça była ósma, a Real jedenasty w lidze złożonej z 14 klubów) i nie walczyły o mistrzowski tytuł, to mecz rozgrywano z wielką pasją i zaangażowaniem. Sędziował Asturyjczyk Fombona, którego *culés* oskarżali o to, że pozwolił piłkarzom Realu na zbyt ostrą grę. Bolało zwłaszcza wyrównanie na 5:5 w doliczonym czasie gry, kiedy – według relacji katalońskich mediów – Alsúa nieprzepisowo popchnął barcelońskiego bramkarza Argilę, co wykorzystał Alday, żeby strzelić gola. Fombona opuścił boisko ochraniający przez policję.

Zrzędzeniem losu obie drużyny mierzyły się ponownie w półfinale Pucharu Hiszpanii. Barça wyeliminowała kolejno Levante (11:3 w dwumeczu), Celtę Vigo (9:2) oraz Ceutę Sport (9:4). Real Madryt pokonał Salamancę (6:1), Espanyol (6:4, rozgrywając trzeci, rozstrzygający mecz) i Jerez (6:4). Obie drużyny, z racji złej passy w lidze, trzymały się rozgrywek pucharowych rękami i nogami. O ile jednak Barça znacznie poprawiła wyniki, kończąc sezon na trzecim miejscu, to Real Madryt zajął ostatecznie dziesiątą lokatę, zaledwie jedno miejsce i jeden punkt nad strefą, w której trzeba było rozgrywać mecz o pozostanie w lidze.

Wobec tych faktów i w nerwowej atmosferze 6 czerwca obie drużyny wybiegły na Les Corts, żeby rozegrać pierwsze spotkanie półfinałowe. Federacja wykazała się brakiem roztropności i powierzyła sędziowanie meczu Fombonie, który pozostawił po sobie tak złe wspomnienie po poprzednim pojedynku. Teraz będzie na odwrót. To madrydziści będą mieć pretensje. Zrozumieli bowiem, że Fombona starał się przeprosić za prawdziwe lub rzekome krzywdy z meczu ligowego. Barcelona wygrała 3:0, a piłkarze Realu protestowali po wielu decyzjach arbitra. Domagali się odgwizdania rzutu wolnego przed golem na 1:0, przekonywali, że zagranie piłki ręką, zamienione na rzut karny, który wykorzystał Escolá, strzelając na 2:0, było przypadkowe, skrzyłi się, że Fombona zakończył pierwszą połowę, kiedy Barinaga uderzał na bramkę, a piłka ostatecznie znalazła się w siatce, protestowali przy strzale Sospedry na 3:0, który miał być na pozycji spalonej. Po tylu latach i bez żadnego nagrania nie sposób dowiedzieć się, na ile tamte oskarżenia były słuszne.

Panuje natomiast zgodność co do tego, że publiczność stale karciała Real, znacznie bardziej niż zazwyczaj w tamtym czasie. Piłkarzy z Madrytu znów oskarżano o brutalną grę, o kopanie i wyzywanie się na przeciwnikach. Ale barcelońscy bynajmniej też nie byli zadowoleni. Ich zdaniem Real zasłużył przy najmniej na jedno wykluczenie.

(Oczywiście, chociaż wtedy nie zdarzało się to tak często jak dziś. Aż do pojawienia się kartek – na mundialu w 1970 roku – sędziowie byli przeciwni temu, co dyktowały przepisy: żeby najpierw ostrzegać, a następnie wykluczać z gry. Właśnie po to, żeby ich skłonić do takiego działania, wprowadzono kartki).

Tak czy inaczej, mecz zakończył się wynikiem 3:0. Wydawało się, iż jest to wystarczająca zaliczka przed meczem rewanżowym. Barça widziała się już w finale.

I być może wszystko wyglądałoby inaczej bez sprawozdania Eduardo Teusa w „Ya”, jednym z najważniejszych dzienników madryckich (a co za tym idzie, także krajowych) epoki. Teus był piłkarzem Madrytu, bramkarzem tej drużyny, kiedy wygrywała ona Puchar Hiszpanii w 1917 roku. I jako piłkarz przeżył ciężkie starcie Madryt – Barça w 1916 roku, o którym mowa jest w jednym z poprzednich rozdziałów. Jego relacja wywołała w Madrycie falę oburzenia.

Cały tekst sprawozdania wyglądał następująco:

Nie ma w Hiszpanii takiego boiska piłkarskiego, na którym widzowie górują nad murawą tak wyraźnie, jak dzieje się na Las Corts^[21], z pojemnością, która przekracza 40 tysięcy osób. Na boisku z delikatnymi zielonymi pasami dobrze zadbanej trawy odbiera się nawet najmniejszy szum, który przy murawie jest jeszcze potężniejszy. Nie gubi się tutaj żaden okrzyk entuzjazmu, nie rozplywa złowieszcze przekleństwo, krzyki nie nikną, lecz jeszcze bardziej przybierają na sile. Kiedy rozpętuje się burza emocji, tak typowa dla klimatu meczów pucharowych, zawsze gdy walka trwa, możemy być pewni, że spektakl na Las Corts jest imponujący.

Teraz powiem Państwu, że to rozżarzony kocioł na Las Corts sprawił, że Real Madryt stracił dwa gole w pierwszej połowie. Ponieważ obie decyzje asturyjskiego arbitra Fombony, wstrząśniętego przez burzę ostrych protestów, kiedy uznał gola zdobytego pośród strasznego tumultu i podyktował rzut karny przeciwko Realowi na skutek przypadkowej ręki Sauto w polu karnym, były absolutnie niesprawiedliwe. Chcę to wykrzyzczyć w sprawo-

zdaniu z tego pasjonującego spotkania. Ale to nie wszystko: bez ogródek opowiem wam o sytuacji Sospedry, wielce prawdopodobnie będącego na pozycji spalonej podczas wspaniałej akcji przy trzecim голу w drugiej połowie, kiedy publiczność odzyskała już kontrolę nad swoimi nerwami, względny spokój zapewniły jej bowiem dwa gole, jakie wskazywała tablica wyników, i podróż na Chamartín nie wydawała się już taka straszna.

Las Corts spełnił swoją misję idealnego boiska, na którym rzeczywiście gra u siebie zapewnia wielką przewagę. Ta przewaga niknie na rozległych, otwartych przestrzeniach na Montjuich albo Metropolitan, gdzie okrzyki rozpraszają się gdzieś po drodze albo są bardzo ciche. Las Corts huczy. I Las Corts przestraszył Fombonę. Nie ma innego sposobu na wytłumaczenie tego, że uznany został pierwszy gol Barcy, który poprzedziło wiele fauli jej zawodników, popełnionych w trakcie walki przy rzucie rożnym, przed zagranieniem piłki

w pole karne Madrytu. A jeśli ręka Sauto była celowa i w związku z tym karany został podyktowany słusznie, z tego samego powodu arbiter powinien podyktować dwa inne (wszystkie przeciwko Madrytowi) za być może mimowolne zagrania ręką. I oczywiście jest, że nie wskazał na wapno, ponieważ takie sytuacje, jedna na początku meczu, a druga pod jego koniec, nie powinny być odgwizdywane.

A wszystko to zasługa...

Odkąd niemal rozpoczęły się rozgrywki pucharowe, a tym bardziej kiedy losowanie nie zetknęło Barcelony i Atlético Bilbao w półfinale, większość sprawozdawców sportowych i znaczna część kibiców w Hiszpanii nie widziała na Metropolitanu innych finalistów niż te dwa zespoły. Wytworzyło to w stolicy Katalonii – wraz z mało przekonującym występem Madrytu w Casa Ràbia^[22], mimo remisu tamtego wieczoru – atmosferę łatwego zwycięstwa (bo Madryt, wiedzą Państwo, pozwala grać), jako że Barcelona miała pokazać elegancką precyzję swojego futbolu, strzelając gole. Rzeczywistość – co jest naturalne w meczach pucharowych rozgrywanych przez poważne drużyny – okazała się zupełnie inna. Madryt nie przyjechał, żeby być miły i uprzejmy, lecz żeby wywalczyć jak najlepszy wynik przed rewanżem. I zamknął mecz, wycofał skrzydłowych, nerwowo wybijał piłkę do przodu, a przede wszystkim grał twardo, brutalnie i narowicie, walcząc całym sercem w polu karnym. Minuty mijały, a Barcelona nie mogła strzelić gola. 10 minut, 20, 30, a bramki mających zapewnić spokój jak nie było, tak nie ma. Nie podyktowano karnych przeciwko Madrytowi, nie wykluczano piłkarzy, a nerwowość wśród katalońskich zawodników rosła z każdą chwilą; Sospedra wybijał na oślep, dawno nie grał tak bojaźliwie, bezbłędny Raich tracił opanowanie, a Martín, jak działo się na Las Corts za czasów idola Samitier, uważał, że nie można go było popychać ani stawać mu na drodze, gdy zaczynał żwawe akcje, mnożąc faule na Marzie, dyskutując z arbitrem i protestując przy każdej akcji. Słowem, klasyczny obraz pasjonującego pucharowego meczu, w którym bramki nie padają, chociaż uważano, że faworyt poradzi sobie z przeciwnikiem z łatwością.

Dopiero w 35. minucie przestraszony Fombona uznał gola w zamęcie przy rzucie różnym, dwie minuty przed przerwą podyktował karnego, a kilka setnych sekundy przed tym, jak piłka po strzale Barinagi wpadła do siatki, odgwizdał koniec pierwszej połowy. A mimo to z trybun Las Corts dobiegał ogłuszający tumult, mający pognębić Fombonę. Mój Boże, czegoż więcej chcieli?! To prawda, że sędziował bardzo źle, ale prawdą jest też, że od początku meczu kibice nie dawali mu spokoju. Ponieważ później, kiedy zdołał się opanować, zaczął sędziować lepiej, chociaż popełnił olbrzymi błąd, odgwizdując spalonego Prudena przy rzucie wolnym, a także nie pozwalając Madrytowi,

dominującemu w ostatnim kwadransie, uderzać sprzed pola karnego, nie przyznawszy Realowi rzutu wolnego po ewidentnym faulu Moleiro. Ale Madryt pograżały już trzy gole, które nie powinny być uznane. I pewnie dlatego, że to powiedziałem, uzna się mnie za największego prostaka wśród sprawozdawców.

Nie chcę jednak ukrywać mojej prawdy. I dlatego ją wygłaszam...

Coś podobnego w drużynie z Barcelony obserwowaliśmy wiele razy w ostatnich dwóch sezonach. Nie jest to zespół, który dobrze reaguje na twardy i surowy futbol w pucharowych spotkaniach. Powiedzą mi Państwo, że przecież jest triumfator Pucharu, ale i tak nie da się zapomnieć, jak mimo znakomitej gry i dwóch goli przewagi Barcelona przez kilka chwil była drużyną przegraną w wielkim finale w poprzednim roku na Chamartín, kiedy baskijskie Atlético przyspieszyło i wprowadziło nerwowość do jej gry. Madryt na Las Corts włożył w grę – przynajmniej w pierwszej połowie – mnóstwo odwagi, a Barcelona nie czuła się swobodnie, nie grała z taką łatwością jak w innych meczach. Ofensywa nie potrafiła znaleźć drogi do bramki przeciwnika, mimo że skrzydłowi ciągle naciskali (typowi ofensywni pomocnicy – Raich i Calvet), podczas gdy spokojny Rosalench, na trudnej pozycji trzeciego obrońcy, był wybawieniem w defensywie w obliczu pewnej gry Curty i Benito.

Wspomniałem już, że nerwowość wynikająca z braku goli, które miały zapewnić spokój przed wyprawą na Chamartín, odebrała Barcelonie pewność siebie, a awans do finału byłby poważnie zagrożony bez tych trzech goli, niezależnie od dobrych momentów w końcówce, kiedy Madryt miał szczęście i nie został pograżony stratą czwartej czy piątej bramki, gdy piłka trafiła w poprzeczkę, a także przy znakomitym strzale Escolí, kiedy dzięki głowie Sauto nie wpadła do siatki.

A jeśli chcę Państwo wiedzieć, kto był najlepszym piłkarzem Barcelony i prawdopodobnie najlepszym ze wszystkich 22 graczy na boisku, proszę zapamiętać nazwisko Rosalench, wspaniale się ustawiającego, wybornie podającego i z wdziękiem przerywającego akcje rywali. Następnie należy wymienić Raicha i Calveta. A także, chociaż zaprezentowali się poniżej swoich możliwości, gestykulującego Martína i altruistycznego Escolę, wielkie postaci zwinnej katalońskiej linii ataku.

Zazwyczaj unikamy relacji. Po co opowiadać o meczu tym, którzy oglądali go na żywo i stanowią znaczną część czytelników? Jednak ten półfinał na Las Corts nie jest tym samym dla kibiców Madrytu, zainteresowanych jego przebiegiem. Dlatego zamieścimy krótką relację.

Od początku zaatakowała Barcelona, nie dusząc swojego futbolu wobec energicznej, destruktywnej gry Madrytu. W piątej minucie jednak to gospodarze wyprowadzili akcję,

która mogła zaważyć na wyniku meczu. Dośrodkowanie Alsúy odnalazło Prudena pół metra od bramki; uderzenie głową wydawało się formalnością i powinno zakończyć się golem. Najtrudniej pomylić się w sytuacji, gdy zdobycie bramki jest formalnością... i Pruden się pomylił, posyłając piłkę nad poprzeczką. Znow na boisku zaczęła rządzić Barcelona. Faule obu drużyn, festiwal kopniaków Sospedry, a potem Raicha i dyskusje Martína ze zdezorientowanym Fomboną. Przygodkowe zagranie piłki ręką Sauto w polu karnym wywołuje straszny krzyk, ktoś popycha Prudena, kiedy ten przymierzał się do uderzenia w bardzo niebezpiecznej akcji. Mijają minuty i Madryt dobrze się broni. Na trybunach i wśród piłkarzy rośnie nerwowość. Rzut różny przeciwko Madrytowi, którego nie powinno być, wykonuje Sospedra. Dochodzi do wielkiego zamieszania; Martín przytrzymuje Marzę; przedłuża się zamęt i wreszcie wydaje się, że stojący tuż przy słupku César wbija piłkę do bramki. Gol zostaje uznany. Na dwie minuty przed przerwą, po mocnym uderzeniu, piłka trafia w klatkę piersiową Sauto, po chwili ześlizguje się i dotyka jego ramienia. Karnego wykonuje Escolá, uderzając źle, ale mocno, strzelając w tym samym kierunku, w którym szybuje Marzá. Ten rzuca się nie w porę, ledwie muska piłkę i pada drugi gol. Atakuje Madryt i dokładnie w tym samym momencie, gdy arbiter odgwiszduje koniec pierwszej połowy, znakomity strzał oddaje Barinaga, którego źle interweniującemu Miró nie udaje się obronić. Ale nie ma gola, bo piłka wpada do bramki setne sekundy po gwizdku!

Dzięki wynikowi 2:0 w szeregach Barcelony powrócił spokój. Las Corts już nie truchleje. Madryt nie zamyka się teraz na swojej połowie, lecz gra zdecydowanie bardziej ofensywnie. To on rządzi na boisku. Panuje nad sytuacją, stwarzając zagrożenie pod bramką Barcelony. A mimo to Barça zadaje kolejny cios. Szybkie podanie Martína na prawą stronę. Sospedra znajduje się na pozycji spalonej. Biegnie szybko, ustawia się i oddaje wspaniały, mocny strzał. Po 15 minutach od drugiego gola pada trzecia bramka. Madryt nadal narzuca przeciwnikowi swój styl gry, nie tracąc zapachu. Barcelona przeżywa trudne chwile.

Podczas jednej z akcji, w wielkim zamieszaniu, przed szansą staje Botella; niełatwo jest wytłumaczyć, w jaki sposób marnuje taką okazję. Zbliża się koniec spotkania, a Madryt, już zniechęcony, poddaje się. Teraz to Barcelona, ze swoją dobrą grą i wielkim spokojem (zarówno wśród piłkarzy, jak i publiczności), naciska na rywala. I Madryt ma szczęście, że nie traci kolejnych goli.

Tak wyglądało to spotkanie w ogólnym zarysie.

Wspierane w środkowej strefie (wielki mecz Ipiñi), odważne i twarde trio defensywne Madrytu rozegrało doskonały mecz. Dobrze interweniował w defensywie Corona,

trzymając na dystans Martína, doskonale ustawiał się Querejeta, a Marzá nie bał się ostrych fauli rywali, był więc zupełnie innym bramkarzem niż na Chamartín, zaliczając dobry mecz. Madryt popełniał błędy z dala od swojej bramki, zwłaszcza podczas ataków. W tych nielicznych akcjach, jakie miał Real, napastnikom zdradzała noga. Podobał się Barinaga ze swoimi strzałami, Alonso był cieniem zawodnika z poprzednich spotkań, nie popisywał się charakterystycznym dryblingiem, doprowadzającym do rozpaczy przeciwników, całkowicie zawiódł Pruden, bardziej sztywny i niezdarzy niż kiedykolwiek wcześniej.

Madryt nie pojechał na Las Corts, żeby zabawiać tysiące widzów, tylko żeby zapewnić sobie dobry wynik przed spotkaniem rewanżowym na Chamartín i przez cały mecz stosował właściwą taktykę, a gole tracił w kontrowersyjnych okolicznościach. Barcelona osiągnęła dużą przewagę, jednak mimo to nie można uznać, że dwumecz jest już rozstrzygnięty, ponieważ defensywny tercet Katalończyków jest słaby. To oczywiste, że Madryt jeszcze powalczy. Ach, żeby tylko Chamartín pomógł w niedzielę tak, jak „wrzący kocioł” z Las Corts w pierwszej połowie! Drużynie z naszego regionu życzymy pełnego pasji i równie gorącego wsparcia, które wręcz ogłuszało, wydobywając się z gardeł żarliwych kibiców za bramkami, z wysokich trybun i z przestronnej trybuny głównej. Widzowie zgotowali Barcelonie gorącą atmosferę. A w niedzielę było ich na Las Corts 40 tysięcy.

Kiedy będzie to możliwe w Madrycie?

Eduardo Teus

Przekazywane z ust do ust informacje, że szczegóły relacji prawdopodobnie zostały przejasniane i zniekształcone, tylko podgrzewały nastroje. Należy przypomnieć, że w tamtym czasie nie było telewizji i musiało minąć sporo czasu, zanim zdjęcia wybranych akcji docierały do NO-DO – jedynej formy, żeby je zobaczyć, nie będąc na stadionie. José Luis Lasplazas, szanowany sprawozdawca sportowy z barcelońskiego „El Mundo Deportivo” (choć zapamiętany jako *anticulé*), w jednym z artykułów pochwalił rozprawę Teusa, pisząc, że zachowanie publiczności wobec piłkarzy Madrytu było wielce niestosowne, co spowodowało na niego deszcz inwektyw i zmusiło go do opublikowania swego rodzaju częściowego sprostowania.

Ogień stawał się coraz większy. Tamte wydarzenia odbiły się na tyle szerokim echem, że zaczęły martwić Barcelonę, aż jej prezes Enrique Piñeyro, markiz Mesa de Asta, wysłał Realowi pojednawczy list, którego najbardziej znaczący fragment brzmiał następująco:

Po upływie wielu godzin od ostatniego meczu Barcelona – Real Madryt nie chcemy osądzać komentarzy, jakie pojawiły się w prasie [...]. Ogłaszające gwizdy, jakimi miał być przyjęty Real Madryt na naszym stadionie, zostały całkowicie zduszone wspaniałą owacją, zgotowaną przez 38 200 widzów klubowi, który, zaraz po naszym, cieszy się

największą sympatią naszych socios [...], życzymy z całego serca, by jego publiczność nauczyła się tolerować błędy i agresję, jakie mogą zdarzyć się na placu gry.

Tymczasem Komitet Ligi ukarał Barcelonę grzywną w wysokości 2,5 tysiąca peset – karą, która jej nie zrujnowała, ale która podsycała ogień i potwierdziła oficjalnie, że publiczność na Les Corts przesadziła.

Tydzień po pierwszym meczu Barça miała przyjechać do Madrytu na stary Chamartín, znajdujący się w miejscu obecnego stadionu, chociaż skierowany o 45 stopni na wschód (nie przylegał do Paseo de la Castellana, tylko do ulicy Padre Damián). Real nie odpowiedział Barcelonie, wystosował jedynie komunikat, ogłaszając zakaz sprzedawania napojów w szklanych butelkach (były one dozwolone aż do 1968 roku, kiedy to zostały zakazane w wyniku wydarzeń podczas finału Pucharu między Realem Madryt a Barceloną na Bernabéu, co zostanie opowiedziane w odpowiednim momencie).

Komunikat brzmiał tak

Wokół niedzielnego meczu wytworzyła się bardzo gorąca atmosfera i uważamy, że naszym zadaniem jest postarać się ją ostudzić. Nie uważamy, by konieczne było wyszczególnianie tego, co wydarzyło się w Barcelonie, wystarczające wyjaśnienia znalazły się bowiem w prasie; im bardziej niewłaściwe i błędne jest jednak zachowanie publiczności, tym mniej sportowe są próby jego naśladowania. Chcemy, aby było jasne, że nie oznacza to, iż staramy się opanować entuzjazm madryckich kibiców, których wsparcia tyle razy nam brakowało; chcemy jedynie ostrzec ich, żeby nie dali się sprowokować do niestosownych zachowań, które mogą tylko zaszkodzić Realowi Madryt i dobrej sławie publiczności ze stolicy Hiszpanii.

Chodzi o to, że w Madrycie wytworzyła się bardzo gorąca atmosfera, wywołana chęcią odrobienia strat, jakiej nigdy wcześniej tutaj nie było – trochę przypominała tę z nie tak odległego w czasie meczu Pucharu UEFA, gdy grała Quinta del Buitre^[23], albo nawiązywała do „ducha Juanito”, o co prosił Iker Casillas przed rewanżowym meczem pucharowym z Saragoßą w sezonie 2005/06^[24]. Panowało istne szaleństwo. W Madrycie odbywały się uliczne imprezy, sprzedawano blaszane gwizdki, żeby robić hałas. Ktoś bystry zwiększył ich produkcję i zaczął sprzedawać je na ulicy Victoria, tuż przy lokalu La Madrileña, w którym można było kupić bilety na mecze, do teatru i na korridę i który został zamknięty nie tak dawno temu. Gwizdki były nieomal wyrywane z rąk sprzedawców. Sam Ramón Mendoza^[25], wtedy tylko zwykły kibic, opowiadał mi o entuzjazmie, z jakim on i jego koledzy szli na mecz, wyposażeni w gwizdki.

Mecz rozgrywany jest gorącego popołudnia 13 czerwca. Tym razem nie sędziuje Fombona, lecz Celestino Rodríguez, który w zasadzie nie jest do niczego potrzebny. Składy (jeśli kogoś to interesuje) wyglądają identycznie jak w pierwszym meczu.

Real Madryt: Marzá; Querejeta, Corona; Sauto, Ipiña, Moleiro; Alsúa, Jesús Alonso, Pruden, Barinaga i Botella.

Barça: Miró; Benito, Curta; Raich, Rosalench, Calvet; Sospedra, Escolá, Martín, César i Valle.

Piłkarze Barcelony zostają przywitani olbrzymią porcją gwizdów, które powtarzają się za każdym razem, gdy są przy piłce. W szóstej minucie Pruden, środkowy napastnik, strzela pierwszego gola, co powoduje wybuch radości. Real, który zaczął mecz niczym huragan, uspokaja się, żeby wziąć drugi oddech. Barça przystosowuje się do sytuacji, broni, wybija piłkę, ledwie przekracza środek boiska; gdy to się jej udaje, słychać gwizdy, a gdy traci piłkę albo ją wybija, pojawia się buczenie. W 28. minucie Barinaga strzela drugiego gola. Znowu wrzawa na trybunach. Wtedy wyrzucony zostaje Benito, a natychmiastowe zniechęcenie Barçy ustępuje miejsca wydarzeniom bez precedensu w historii starć tych dwóch wielkich rywali: w ciągu 16 minut, które mijają od gola Barinagi do bramki zdobytej przez Prudena w 44. minucie, Real strzela siedem goli. W pierwszej połowie po trzy bramki zdobyli Barinaga i Pruden, a pozostałe dwie były autorstwa Curty i Alonso. Do przerwy tablica wyników wskazuje 8:0, a wśród madrydstów na trybunach panuje dziwna mieszanka – jak opowiadał mi sam Mendoza – radości i oszołomienia. Przy czwartym i piątym голу na murawę wybiegło kilka widzów, żeby wyściskać ich autora.

Osiem goli, siedem z nich strzelonych w niesamowitym przedziale czasowym, kiedy to – według wszystkich naocznych świadków, z którymi mogłem porozmawiać – Realowi wychodzi wszystko: każde podanie znajduje adresata, każdy strzał jest celny. Gole padają co dwie i pół minuty. Ale Realowi wychodzi wszystko, ponieważ Barça nie istnieje. Przestraszona, oddaje pole gry, cofa się, przygląda temu, co robi Real, i wznawia grę ze środka. I takraz za razem.

Druga połowa też jest dziwna. Real – zaspokojony, zmęczony, szczęśliwy – naciska mniej, a mimo to i tak zdobywa trzy kolejne bramki. W ostatniej chwili Barça strzela tak zwanego gola honorowego za sprawą wspaniałego środkowego napastnika Mariano Martína, pochodzącego z Palencii, o którym zapomniano, być może dlatego, że kontuzje zmusiły go do przedwczesnego zakończenia kariery.

Niebywały wynik wywołuje rozgoryczenie w Barcelonie. Barça czuje się poniżona, upokorzona, urażona i zaatakowana. Młody Juan Antonio Samaranch pisze relację w gazecie „La Prensa”, jednym z reżimowych tytułów w stolicy Katalonii. Sprawozdanie to będzie go kosztować odebranie legitymacji dziennikarskiej aż do 1952 roku. Treść artykułu brzmiała następująco:

Las Corts...? Chamartín...? Ileż to rzeczy czytaliśmy w tym tygodniu w madryckich gazetach. Przy najmniej im część racji: zachowanie kibiców Barcelony nie było właściwe. Ale oni, wyolbrzymiając wszystko aż do przesady, są winni tego żalostnego spektaklu, którego byliśmy świadkami na Chamartín, a który sprawił, że straciło znaczenie to, co wydarzyło się w pierwszym meczu. Tej słynnej uprzejmości, grzeczności, umiejętności dawania sportowych lekcji nie widzieliśmy nigdzie. Brzydkie, bardzo brzydkie zachowanie publiczności na Chamartín przerwało tradycję i niezależnie od tego, w jaki sposób publiczność będzie reagować w finale, dla nas straciła tę słynną uprzejmość, której przejawy można było tyle razy zauważyć.

Byliśmy pewni gwizdów na początku, przyjmowaliśmy to jako coś oczywistego. Były jednymi z tych, które przejdą do historii, ale nie spodziewaliśmy się, że sprawy skomplikują się aż do tego stopnia. Wraz z upływem kolejnych minut meczu tumult przybierał na sile, a kiedy jakiś napastnik *azulgrana* przekraczał środkową linię boiska,

pojawiły się okrzyki domagające się odgwizdania wymyślnego faulu, które paraliżowały piłkarzy i w wielu przypadkach były słyszalne nawet przez obserwatora spotkania. Ale po co więcej pisać o tej publiczności? Ten bezsprzecznie nielogiczny wynik 11:1, którego nikt nie mógł przewidzieć, i tak jest niski, biorąc pod uwagę okazje bramkowe, jakie miał Real Madryt. Mogło paść znacznie więcej goli. Być może i 20. Barcelona nie istniała i jakiegokolwiek innej drużynie przytrafiłoby się to samo, wszak w tamtej atmosferze i z arbitrem, który chciał uniknąć problemów po meczu, tak zwyczajnie po ludzku nie dało się grać, a tego, co w takich warunkach Barcelona mogła zrobić – trzeba to powiedzieć – i tak nie zrobiła. Drużyna z Las Corts została wyeliminowana. Wiele można jej zarzucić, ale nie można zapominać, że potrafiła zaakceptować te wszystkie przeciwności z uśmiechem, jakby mówiąc przeciwnikom: „Wiemy, że nie możemy grać, róbcie to wy, jak sobie chcecie”.

Barcelona nie istniała

Być może gdyby Real Madryt wygrał 4:0, wtedy skupilibyśmy się na zarzutach w stosunku do tego czy innego piłkarza Barcelony. Ale przy wyniku 11:1 mamy dziesięć goli różnicy. Dużo, zbyt dużo, żeby nie szukać innego powodu, który mógłby wyjaśnić nam ten rezultat. Gdyby zawodnicy *azulgrana* grali źle, naprawdę źle, tablica wyników nie wskazywałaby takiego kosmicznego rezultatu. Problem polega na tym, że oni nie grali wcale. Obawiali się nawet najbardziej delikatnego faulu, aby uniknąć starcia, a dzięki temu piłkarze Realu ze spokojem konstruowali akcje, aż – wraz z wykluczeniem Benito – dominacja gospodarzy stała się miażdżąca.

Decyzji o wykluczeniu nie możemy zrozumieć, wszak piłkę prowadził Alonso, zaatakował go Benito, po czym obaj padli na murawę. Arbitr wskazał na rzut wolny, jak zresztą działo się za każdym razem, gdy faulował piłkarz Barcelony. Stały fragment gry został wykonany, a piłka po uderzeniu Barinagi wpadła do siatki. Arbitr gola jednak nie uznał i pośród ogłuszających krzyków nakazał Benito opuszczenie boiska. Nie protestował ani on, ani żaden z jego kolegów. Dlaczego? Jeśli mała sugestia kogoś z barcelonistów wywoływałaby ogłuszający wrzask, sprawy przybrałyby niebywały bieg. Calvet został wycofany do obrony. Tą decyzją Nogués^[26] pokazał, że podopieczni zarazili go zniechęceniem, wszakten biedny chłopak w ogóle nie potrafił zareagować. César uzupełnił środkową linię, a wtedy, w 30. minucie, Real Madryt rzucił się do ciągłego ataku, czym całkowicie pogrążył Barcelonę. Do tego momentu tablica wyników wskazywała 2:0. W ciągu 15 minut, a dokładnie w 31., 33., 35., 39., 43. i 44., Real strzelił sześć goli, ponadto

jeszcze dwa nie zostały uznane ze względu na ewidentną pozycję spaloną (zresztą bramkę na 6:0 Alsúa zdobył również ze spalonego). Naprawdę żal było patrzeć na to widowisko, w którym Barcelona była bezsilna, sparaliżowana presją publiczności, poddając się euforycznemu Realowi, któremu wychodziło dosłownie wszystko. Madryt dominował i albo po jego strzałach piłka odbijała się od słupka – jak było w dwóch czy trzech przypadkach – albo wpadała do bramki, jako że Miró przez cały mecz nie interweniował ani razu.

Pierwsza część zakończyła się wynikiem 8:0 i byliśmy przekonani, że nastroje zostały już uspokojone, a ci, którzy tyle krzy czeli, zmieniają swoje zachowanie. Ale tak się nie stało i gdy Barcelona po przerwie wyszła na murawę, poczęstowano ją kolejną porcją gwizdów. Drużyna zmienia ustawienie, ponieważ Escolá przechodzi do defensywy. W ataku gra teraz czwórka zawodników. Kibice Madrytu domagają się kolejnych goli, ale gospodarze zapadają w letarg z racji gorąca i naprawdę potężnego wysiłku włożonego w pierwszą połowę. Jednak po 25 minutach znowu rzucają się do ataku i w krótkim czasie zdobywają następne trzy bramki. A na koniec atak czterech napastników Barcelony, którzy we wspaniałej akcji pokonują połowę boiska i finalne podanie Sospedry do Martína, który błyskawicznie trafia do siatki, przypominają nam, że występowała w tym meczu także druga drużyna, także potrafiąca grać w piłkę, i że jeśli nie pokazała tego w tym spotkaniu, nie była to jej wina.

Nie można szukać winnych

Powtarzamy i nie zmęczy nas powtarzanie tego, że nie można szukać winnych. Tam nie dało się grać. Być może Miró, który nie zareagował przy żadnym z goli, był dwunastym zawodnikiem Realu. Tak czy inaczej, trzeba zacząć i nie zapominać, że w przyszłym sezonie dobre zachowanie wobec drużyny rywala będzie trudniejsze po tej lekcji krzyków i obelg publiczności z Chamartín, i to właśnie jest szansa, żeby swą szlachetność pokazała nam publiczność Barcelony.

Real Madryt nie do poznania

Nie chcemy odbierać zasług Realowi Madryt. Zagrał wspaniale. Jego środkowa linia prezentowała się doskonale. Rządził na boisku od początku do końca, ale gdy się nad tym trochę zastanowić, kiedy nie ma przeciwników (dziecięca drużyna stawiałaby większy opór niż Barcelona), sprawy przybierają nieprzewidziany obrót. Nikt nie mógł nawet myśleć o 11 golach. A one zostały strzelone z największym spokojem i, jak już

powiedzieliśmy, nie było ich więcej tylko dlatego, że Pruden zmarnował mnóstwo sytuacji. Oczywiście, nie można traktować tego meczu jako punktu odniesienia. Mamy pewność, że nie powtórzą się już mecze w takiej atmosferze, najwyższe instytucje zadbają o to, by tak się nie stało. A Real Madryt może być pewny, że nie znajdzie drugiej drużyny, która da się ograć tak jak Barcelona. Trudno sobie wyobrazić, by mogły powtórzyć się ataki bez zdecydowanej reakcji linii obrony lub pomocy. Łatwo jest wygrywać w taki sposób. I przypomina nam się wiele relacji – być może napisanych również przez tych, co teraz zachęcają do takiego agresywnego zachowania publiczności na Chamartín – w których pisano, że w dzisiejszych czasach gra na własnym boisku nie ma znaczenia. A zatem tutaj mają przykład i jeśli dobrze to przemyślą, to nigdy nie będą mogli powiedzieć, że na neutralnym boisku Madryt grałby równie dobrze i że wynik byłby taki sam.

Odnośnie do piłkarzy, zaskoczył nas Barinaga ze swoją wspaniałą grą, ogromną łatwością oddawania strzałów, co pokazał przy drugim голу, który był prawdziwym cudem, jeśli chodzi o siłę i technikę uderzenia. Pozostali napastnicy też zagrali dobrze, choć najslabiej wypadł Pruden, mimo strzelenia trzech goli – zmarnował wiele okazji i grał zbyt ostro. Powiedzieliśmy już, że najlepiej spisali się pomocnicy. Querejeta i Corona nie mieli zbyt wiele pracy, ale grali pewnie, jeśliby zaś się okazało, że Marzá dotknął piłki sześć razy, to byłibyśmy ogromnie zdziwieni.

Sędziowanie

Pan Celestino Rodríguez nie chciał komplikować sobie życia. Gwizdał, jak chciał, i ograniczył swoje sędziowanie do odgwizdywania fauli po każdym wejściu piłkarza Barcelony, co w tej dusznej atmosferze obywateli się niemalże bez protestów. To chyba mówi samo za siebie. Wykluczenie Benito oraz inne, mniej ważne szczegóły nie były wystarczającymi czynnikami, które uspokoiłyby ten stadion, gotujący się od wrogości; nerwowość wzmagała dodatkowo panująca duszność, co nie sprzyjało dobremu sędziowaniu.

Zakończenie

11:1! Zaliczką w postaci 3:0 z pierwszego meczu drużyna, która miała największe szanse, żeby zdobyć Puchar Hiszpanii, została wyeliminowana. Kibice Barcelony, proszę się nie zadręczać, myśląc o przyczynach tego zdarzenia. To dobra rada. Nie trzeba szukać winnych, ponieważ nie ma ich w drużynie. Powiedzieliśmy już, że Barcelona nie grała ani

dobrze, ani źle. Problem polegał na tym, że przez cały czas była niewidoczna. Tyle mogła zrobić w tamtych okolicznościach. Tak się sprawy ułożyły i aż do tego miejsca mogli dotrzeć. Nie dla nich finał. Ale ci słynni sprawozdawcy o wielkim prestiżu, którzy tyle razy mówili nam – co było ich obowiązkiem – o uspokajaniu nastrojów, sami je podgrzewali.

Wiele lat później rozmawiałem z Samaranchem o tej sprawie. Był już wtedy przewodniczącym Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, ja zaś szefem działu sportowego „El País”. Zauważyłem, że wcale nie miał ochoty na wspomnienia; wprawdzie nie przerwał stanowczo rozmowy, ale mówił dość ogólnikowo. Julián García Candau w książce *Madrid – Barça, historia de un desamor* cytuje jednak kilka jego słów na ten temat: „To nie miało żadnej wartości, ponieważ nie zarabiałem tym na życie”. Samaranch nie był bowiem dziennikarzem z zawodu, a jedynie sporadycznie współpracował z różnymi gazetami. „Jako że nie mogli zastosować wobec mnie żadnego paragrafu obowiązującego dla zawodowców w tamtej epoce, powiedzieli mi, że nie będę już z nimi współpracował. Była to zawołowana kara. Przestałem pisać na kilka lat. Wróciłem do prasy dopiero w 1952 roku, kiedy » La Prensa« znów zaczęła publikować moje relacje codzienne, tym razem bardzo obszerne, z igrzysk olimpijskich w Helsinkach”.

Więcej o tej sprawie rozmawiałem z Balmanyą i Césarem. Balmanya z powodu kontuzji nie zagrał w tamtym meczu, ale należał do drużyny. Tamtego popołudnia poszedł do kina wraz z kolegami i ich narzeczonymi, dołączyła do nich też żona Miró, bramkarza, któremu strzelono tyle goli. „Po wyjściu z kina zapytaliśmy o wynik i powiedziano nam, że było 11:1. Z twarzy ludzi wyczytaliśmy, że to nie żart. Żona Miró zemdląła, bo myślała, że jej mężowi coś się stało”.

Później, już w latach 90., rozmawiałem z Césarem; był to długi wywiad na potrzeby tekstu porównującego oba wielkie kluby. César, owszem, wystąpił w tamtym meczu; powiedział mi, że zjadła ich trema, że byli zablokowani, że piłkarze Madrytu nie dali im szans się pokonać, że sami byli przestraszeni i sparaliżowani. I że nigdy więcej nie przytrafiło mu się nic podobnego.

Zaprzeczył też pewnej wersji wydarzeń, która bardzo często krążyła potem na stronie internetowej barcelonistów, według której przed meczem do szatni weszła policja, zastraszając zawodników i im grożąc. García Candau w *Madrid – Barça, historia de un desamor* opowiada wręcz, że policjanci, którzy weszli do szatni *azulgrana*, przypomnieli piłkarzom, że „niektórzy z nich grają w Barcelonie dzięki szczodrości reżimu, wybaczonego im ich brak patriotyzmu”. Inne źródła (np. *Cròniques del Barça: 1899–1991*) wskazują na poziom presji, zapewniając, że do szatni wszedł dyrektor generalny Urzędu Bezpieczeństwa José Finat y Escrivá de Romani, hrabia Mayalde.

Escolá, udzielając kilka lat temu dziennikowi „As” wywiadu, też nie pamiętał takiego zdarzenia. Prawdopodobnie to zamieszanie (i kolejne przesadzone informacje) można wyjaśnić dzięki świadectwu Valle, lewoskrzydłowemu *culé*, z którym Juan Carlos Pasamontes rozmawiał na potrzeby książki *Todos los jefes de la Casa Blanca*. Autor bardzo interesuje się tą sprawą, ponieważ – jak będzie się można przekonać – te wydarzenia doprowadziły Santiago Bernabéu na fotel prezesa Realu.

Valle opowiada tak

Nie, przed meczem nie wszedł nikt z policji, ale czuliśmy niesamowitą presję. Na stadion przyjechaliśmy półtorej godziny przed meczem, spokojni, mimo że po drodze, przed

przybyciem na Chamartín, nasz autokar obrzucono kamieniami. Ale weszliśmy na boisko, a ludzie, którzy pomagają kibicom znaleźć ich miejsce, już nam mówili: „Dziś, tutaj, na śmierć”. Weszliśmy do szatni, przebraliśmy się, wyszliśmy na murawę i przywitały nas przeraźliwe gwizdy.

Następnie Pasamontes pyta Valle o odczucia po pierwszej połowie, która zakończyła się – jak już wspomnieliśmy – niebywałym wynikiem 8:0:

– Co działo się w szatni?

– Byliśmy tak źli, że postanowiliśmy nie wychodzić na drugą połowę. Nogués (trener) powiedział: „Nie wychodzimy, zostajemy tutaj i tyle”.

– Kto stał na czele tego buntu?

– Wszyscy. Nie chcieliśmy grać drugiej połowy, bo widzieliśmy, że to jest niemożliwe. Wtedy do szatni wszedł szef madryckiej policji, wylegitymował się, porozmawiał z trenerem i powiedział: „Panowie, na boisko, a jeśli nie wyjdziecie, zabierzemy was stąd na komisariat”. Tak właśnie powiedział.

– On chciał tylko uniknąć zamieszania...

– Być może, ale wiedząc, co tam na nas czekało...

– Interwencja szefa policji nie służyła temu, żeby zmusić was, byście przegrali.

– Tak, chodziło o presję ze strony trybun. Ale kiedy ostrzegł nas, że albo idziemy na boisko, albo do więzienia, powiedzieliśmy: „Na boisko!”. Oni grali z radością. Mówi się też tutaj (w Barcelonie), że Miró usiadł w bramce. To kłamstwo. Miró nie siedział w bramce, strzelili 11 goli, ale mogli więcej, bo (arbitr) nie uznał jeszcze dwóch czy trzech. Ale mówię, to było okropieństwo, coś...

– Jednak pomijając samą presję, porażka wynikała też z dobrej gry Realu Madryt?

– Real miał wielką drużynę, ale tutaj (w Barcelonie) z łatwością ograliśmy ich 3:0 i nie mieliśmy z tym żadnych problemów. Było ciężko, ale nie odnieśliśmy żadnej kontuzji ani nie wydarzyło się nic z tego, co działo się tam, gdzie nie mogliśmy nawet przekroczyć połowy boiska.

– Z Chamartín wyjechaliście pod eskortą?

– Tak Pojechaliśmy do Aranjuez, gdzie mieliśmy nasze rzeczy, i wyruszyliśmy do Barcelony. W Martorell dyrekcja klubu, która jechała za nami samochodami, kazała nam wysiąść z autokaru, bo w Barcelonie, jak powiedzieli, czekali na nas i mogło się zrobić naprawdę niebezpiecznie. I tak od Martorell sześć czy siedem taksówek rozwiozło nas do domów i nic się nikomu nie stało.

– Dlaczego Miró już nigdy więcej nie zagrał w Barcelonie?

- Miró zakończył karierę. To był jego ostatni sezon.
- A zatem nie obciążono go odpowiedzialnością za to 11:1?
- Nie, nie, nie.
- Można porównać tamten mecz z tym z Figo na Camp Nou?
- Było inaczej. Tam niczego nie rzucali na murawę. Mnie, owszem, złapali kilka razy (za koszulkę), kiedy piłka wychodziła na aut, bo tam zwracali ją sami widzowie. Tak czy inaczej, to z Figo było potworne.
- ...
- Tak właśnie było. Wielka szkoda, ponieważ przeciwko Realowi Madryt rozegrałem mnóstwo meczów i mam tam wielu przyjaciół.

Na temat interwencji szefa policji, mającej zmusić zawodników Barcelony do wyjścia na drugą połowę (w gruncie rzeczy logiczne działanie z każdego punktu widzenia), prawdopodobnie powstała legenda. To przejawskrawienie (albo raczej wymysł) wydłuża listę zniewag wobec Barcelony w tej sprawie. Ale pozostałe są prawdziwe.

Faktem jest, że Samarancha zawieszono, a Teusa nie. Sprawozdanie Teusa, patrząc z perspektywy czasu, nie było niczym nadzwyczajnym. Koniec końców uznaje dobrą grę Barçę, podkreśla ostrą grę Realu Madryt (którą usprawiedliwia „pucharowym” charakterem meczu), a kiedy wskazuje na pasję publiczności na Les Corts, wydaje się, jakby robił to z zazdrością i życzeniem, że widzowie na Chamartín odpowiedzą w ten sam sposób, co – jak się okazało – zrobili z nawiązką. Ale wtedy tak się nie pisało. Wśród rozporządzeń reżimu dla sportowej prasy – niektóre były bardzo ciekawe, jak zakaz mówienia o dymisji, ponieważ wszystkie oznaczały zwolnienia (dymisja jest samowolną rezygnacją ze stanowiska, zwolnienie rozumiano jako decyzję wyższych władz) – znajdowały się między innymi wstrzymanie się od krytyki pod adresem arbitrow i dołożenie wszelkich starań, żeby sportowe relacje nie wywołały konfliktu. Nakłaniano do tego, żeby „rolę dziennikarstwa sportowego postrzegać jako informacyjną, popularyzatorską i orientacyjną, zważywszy na to, jak ważna jest dla kształcenia młodzieży”. I proszono, by dziennikarze „obserwowali nienaganne zawodowe zachowanie, przewyciężając własną etykę w swojej edukacyjnej misji” i „promowali język czysty, poprawny i elegancki, pozostający w harmonii z zasadami sportu”.

Problem Samarancha polegał na tym, że być może posunął się za daleko, ponieważ wymagała tego sprawa, a poza tym jego gazeta należała do prasy Movimiento^[27], gdzie znajdował się w zasięgu reżimu, podczas gdy Teus pracował w wydawnictwie katolickim i szefowie chronili go, czego nie można powiedzieć o szefach Samarancha.

Jednak największa irytacja w Barcelonie pojawiła się wraz z późniejszą decyzją Komitetu Ligi, którego postanowienie odnośnie do zaistniałego zdarzenia zawarte było w czterech punktach:

Należy na Real Madryt Club de Fútbol grzywnę w wysokości 2,5 tysiąca peset za bardzo niestosowne zachowanie jego kibiców podczas spotkania rozgrywanego ostatniej niedzieli na stadionie Chamartín, jako że w żaden sposób nie można usprawiedliwić wrogiemu i

niegościnnego nastawienia, które miało miejsce już wcześniej i zostało odpowiednio ukarane.

Tym samym, z uwagi na to, że do incydentów doszło w dwóch stolicach, w których sport jest najbardziej zakorzeniony, to one muszą wskazać wymogi właściwego zachowania masom kibiców swoich klubów, jeśli chcą zachować wysoką rangę, jaką zdobyły za sprawą wielu lat imponującej pracy, a federacja hiszpańska, będąca w stanie utrzymywać w swoim zasięgu nadzór i dyscyplinę, postanowiła:

1. Nałożyć na każdy z wymienionych klubów grzywnę w wysokości 25 tysięcy peset i ostrzec, że kolejne incydenty o analogicznym charakterze zostaną ukarane z jeszcze większą surowością, nawet zamknięciem stadionów, na których do nich dojdzie.

2. Kwotę z obu grzywien przeznaczyć na nabycie biletów na mecz finałowy Pucharu Jego Ekscelencji Generalissimusa dla Frente de Juventudes^[28] i w ten sposób włączyć do tej wspaniałej sportowej uroczystości tych, którzy będą tworzyć publiczność przyszłości, zdyscyplinowaną i nienaganą, jak wymaga tego sport.

Odpowiedzią władz Barcelony była nieodwołalna dymisja. Enrique Piñeyro w piśmie, w którym składa dymisję, podkreśla zaskoczenie, jakie wywołała u niego informacja, że jego klub został dwukrotnie ukarany za to samo przewinienie, w czym miał absolutną rację. Tak wyglądał cały tekst:

Szanowny Prezesie i drogi przyjacielu,

kampania, którą w ostatnim tygodniu prowadziła przeciwko Barcelonie madrycka prasa, zakończona haniebnym meczem na Chamartín w minioną niedzielę, a także ogromne zaskoczenie, jakie wywołało u mnie nałożenie na ten klub podwójnej kary za to samo przewinienie, powodują, że cały zarząd, i ja sam, nieodwołanie oddaje się do pańskiej dyspozycji, prosząc, żeby powołał pan Ponencję, by kierował naszą kochaną instytucją do czasu, aż zostanie wybrany nowy prezes.

Piłką nadal była w grze. Piñeyro na stanowisku prezesa zastąpił José Antonio de Albert Muntadas, ale sprawował tę funkcję tylko 35 dni, ponieważ został wiceprezesem federacji katalońskiej. Wtedy na czele Barcelony stanął – narzucony bezpośrednio przez generała Moscardó (ministra sportu) – pułkownik José Vendrell, wcześniej odpowiedzialny za porządek publiczny w La Coruña. Bez wątplenia chodziło o większą kontrolę nad klubem, żeby podobne incydenty się nie powtórzyły. Oczywiście, żadna osoba nie daje takiej gwarancji. Sam Piñeyro wszedł do Barcelony w 1939 roku wraz z generałem Moscardó. Jednak tamta sprawa rozwścieczyła go do tego stopnia, że złożył odwołanie od kary grzywny, odrzucone przez federację, do kilku czołowych hiszpańskich klubów w formie biuletynu zatytułowanego *Historia Pucharu Jego Ekscelencji Generalissimusa w edycji z 1943 roku, w odniesieniu do udziału w niej CF. Barcelona*.

I – jak podaje *Historia del FC Barcelona* Jaume Soubrequés władze rozważały możliwość ścigania autora jako „nielegalnego propagandzisty”, czego ostatecznie jednak nie zrobiono.

Tekst odzwierciedla szczerę rozgoryczenie:

Na posiedzeniu Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej pan Enrique Piñeyro Queralt, występujący w roli prezesa C. de F. Barcelona, stawia się przed Hiszpańską Federacją Piłkarską i z należnym szacunkiem wyjaśnia, że z dniem 26 bieżącego miesiąca został powiadomiony przez Katalońską Federację Piłkarską o postanowieniu Komitetu Ligi, tego najwyższego organu, dnia 16 tego samego miesiąca, że na Club de Fútbol Barcelona zostaje nałożona grzywna w wysokości 25 tysięcy peset za incydenty, do jakich doszło przy okazji meczu półfinałowego Pucharu Jego Ekscelencji Generalissimusa, który odbył się przeciwko Realowi Madryt na stadionie Chamartín dnia 13 czerwca. Występując w obronie klubu, uważam, że sankcja ta wymyka się wszelkim rozporządzeniom regulującym nakładanie podobnych kar i z powodów, które następnie zostaną wyszczególnione, w terminie siedmiu dni od otrzymania zawiadomienia klub składa odwołanie, do czego upoważnia artykuł 126 obowiązującego Regulaminu Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej, przechodząc w dalszej części do przedstawienia przebiegu wydarzeń i argumentów, na których opiera odwołanie. Wraz z dzisiejszą datą w sejfie Katalońskiej Federacji Piłkarskiej zostaje zdeponowana suma 25 tysięcy peset – kwota nałożonej grzywny; wierzę, że zostanie ona zwrócona temu klubowi tak szybko, jak szybko zostanie wydane odpowiednie postanowienie, w co nie wątpimy.

STAN FAKTYCZNY SPRAWY: Z całym szacunkiem, jaki należy się decyzjom federacji, ale także z największą stanowczością, na jaką pozwala mi moja rola dziennikarza oraz władza, jaką daje mi patriotyczna praca wykonywana przez ten klub, odkąd miałem zaszczyt pełnić funkcję jego prezesa, posiadam nie tylko prawo, lecz obowiązek zrelacjonowania w sposób obiektywny wszystkiego, co się wydarzyło, tym bardziej że byłem również świadkiem wypadków, do jakich doszło. Los chciał, że przeciwnikami w półfinale Pucharu Jego Ekscelencji Generalissimusa były Club de Fútbol Barcelona i Real Madryt Club de Fútbol. Wszyscy doskonale wiedzą, jakie relacje łączyły nas zawsze ze wszystkimi sportowymi organizacjami w Hiszpanii, a zwłaszcza z takimi klubami jak Real Madryt, który wraz z C. de F. Barcelona i innymi napisał wspaniałą historię hiszpańskiego sportu. Niewątpliwie spełniliśmy w nim naszą rolę dzięki wielkiej pracy wykonanej przez każdy z klubów, rozwijając się tak, by zdobyć ogólnokrajowe zainteresowanie i dołożyć naszą sportową siłę do patriotycznych manifestacji, zgodnie z nakazami, które od czasu wyzwolenia Hiszpanii są nam wskazywane przez kompetentne instytucje.

Pierwszy mecz, na stadionie Las Corts, został rozegrany dnia 6 bieżącego miesiąca. Real Madryt Club de Fútbol został powitany aplauzem i owacjami, jak dzieje się zawsze, gdy ta drużyna pojawia się na naszym boisku. O ile nieznacząca drużyna – niezadowolona być może z incydentów mniejszej bądź większej skali, których my nie będziemy oceniać, a które wydarzyły się podczas jednego z wcześniejszych meczów pucharowych, w którym nie brał udziału nasz klub – starała się wnieść protest przeciwko Realowi Madryt, o tyle w naszym przypadku zajścia zostały automatycznie uspokojone przez przyjazne i uprzejme zachowanie zebranej na naszym boisku publiczności (możemy szacować, że przyszło 40 tysięcy osób). Świadkiem tego zachowania był nie tylko bohaterski i uhonorowany generał Moscardó, minister sportu, lecz również szanowny prezes Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej, a także inni działacze sportowi i polityczni obecni w łożu prezydentkiej.

Mecz rozpoczął się od ostrej walki, jaka cechuje tego rodzaju spotkania; błędy albo brak klarownej wizji boiskowych wydarzeń ze strony arbitra prowadzącego spotkanie spowodowały, że publiczność dawała wyraz swojemu niezadowoleniu, ale trzeba jasno zaznaczyć, że protesty mniejszej bądź większej wagi, do jakich doszło, były spontaniczne i miały związek z tym, co działo się na placu gry, lub, co oznacza to samo, pojawiły się bez żadnego uprzedniego przygotowania, stanowiąc jedynie spontaniczną reakcję na ostrą grę niektórych piłkarzy Realu Madryt, którzy broniąc własnego pola karnego, dopuszczali się przekraczania przepisów. W ten sposób przebiegała pierwsza część meczu, a w drugiej połowie, gdy arbiter skorygował błędy w sędziowaniu, publiczność, jak zawsze, potrafiła docenić grzeczność, z jaką grano w tamtym fragmencie spotkania, a nawet pożegnała brawami zarówno obie drużyny, jak i sędziego, pana Fombonę.

Konsekwencją zachowania (nie chcemy oceniać, czy właściwego, czy niewłaściwego) obecnej na meczu publiczności (nie *socios*, jako że sprzedano 24 tysiące zwykłych wejściówek oraz 14 tysięcy biletów dla posiadających karnety *socios*, co dawało ewidentną większość kibiców spoza klubu, których możemy określić jako zwykłych widzów) było nałożenie przez Komitet Ligi na Club de Fútbol Barcelona sankcji w wysokości 2,5 tysiąca peset, sankcji, która niewątpliwie – oprócz oceny zdarzeń, jakie się do niej przyczyły – jest zgodna z rozporządzeniami regulującymi tego typu kwestie.

Po meczu w madryckiej prasie rozpoczęto – głównie za sprawą osób odpowiedzialnych za kierowanie sportem, jednych z technicznego punktu widzenia, a drugich ze względu na zajmowane stanowiska – przedstawianie wydarzeń w sposób podważający ich faktyczny przebieg. Skupiono się wyłącznie na części niemiłej dla pokonanego przeciwnika i zupełnie pominięto momenty (czyli większość regulaminowego

czasu gry), podczas których publiczność zachowywała się wzorowo, bezstronnie i sprawiedliwie. Wokół widowni wytworzono taką atmosferę, by przygotowała się na to, co wydarzy się w meczu rewanżowym, w odwecie za to, co rzekomo miało miejsce na Las Corts, podczas gdy tam, spontanicznie, nie miało miejsca nic poza niemiłymi okrzykami, jakie w wielu meczach pojawiają się w wyniku logicznej i normalnej pasji kibicowania ulubionej drużynie przez sprzyjającą jej publiczność.

Nie zdziwiło nas zatem – zwłaszcza gdy mamy na uwadze to, o czym mówiono nieprecyzyjnie, że wydarzyło się w Barcelonie – to, co stało się na stadionie Realu Madryt dnia 13 bieżącego miesiąca. Obecny był tam ten, który opisuje to spotkanie, w towarzystwie delegata klubu, pana José de Fontcuberty, i muszę powiedzieć, powołując się na swoje doświadczenie, że nigdy nie byłem, i wątpię, że kiedyś znów będę, świadkiem czegoś podobnego. Obrażano naszą drużynę jeszcze przed przybyciem na Chamartín, kiedy nasi piłkarze zostali obrzuceni kamieniami przy wejściu do hotelu, w którym się zatrzymali. Zebrani ludzie wygwizdali ich, wyszydili i lżyli, manifestacyjnie przyswajając sobie nieszczęsną i tendencyjną propagandę madryckiej prasy, sterowaną przez tych, którzy skierować ją winni na sportową i uprzejmą ścieżkę, czyli zrobić właśnie to, co tyle razy narzucali albo próbowali narzucić reszcie krajowej prasy. Piłkarze pierwszej drużyny znów byli wyzywani podczas całego meczu. Drapieżnik nie zaspokoił się (pozwolę sobie na takie wyrażenie) kolejnymi golami. Zabrakło nawet elementarnej uprzejmości, jak szacunek dla pokonywanego, który zasługuje na godne traktowanie. I chociaż na placu gry nie doszło do wielkich kłótni między piłkarzami, cierpieliśmy, pan Fontcuberta i ja, największe w naszym życiu upokorzenie, będąc zastraszonymi przez motłoch, który nie miał nawet odwagi, żeby stanąć z nami twarzą w twarz i rozwiązać ten problem jak na mężczyzn przystało, tylko pod przykrywką anonimowości wykorzystywał jedynie zniewagę i lżył nas, którzy z grzeczności musieliśmy siedzieć cicho. Ponadto kiedy Real Madryt strzelił czwartego i piątego gola, co oznaczało definitywne wyeliminowanie naszej drużyny z Pucharu Jego Ekscelencji Generalissimusa, widzowie wtargnęli na plac gry – nie w charakterze agresorów, lecz żeby się publicznie zabawić, nieświadomi widać, czego się dopuścili. Czy wszystko to, panie Prezesie, wydarzyło się na stadionie Las Corts? Czy na Las Corts jakiś kibic wszedł na boisko, żeby wyściskać naszych piłkarzy, kiedy strzelili gola? Czy można obstawać przy teorii, że publiczność Barcelony była przygotowana, tak jak przygotowana była publiczność Realu Madryt, żeby sprowokować konflikt sportowy, zdecydowanie daleki od naszych intencji? Dobrym dowodem na to jest fakt, że zanim jeszcze rozegrano pierwszy mecz, władze i piłkarze Realu Madryt otrzymali zaproszenie na kolację w towarzystwie przedstawicieli naszego klubu, zgodnie ze starym

zwyyczajem, by między obiema instytucjami nadal panowały dobre relacje, istniejące od niepamiętnych czasów.

PRAWNE PODSTAWY ODWOŁANIA: Zachowanie publiczności Barcelony podczas tego meczu półfinałowego zostało ukarane przez Komitet nałożeniem na klub grzywny w wysokości 2,5 tysiąca peset. Na stadionie Chamartín Club de Fútbol Barcelona odgrywa rolę ofiary, publiczność Realu Madryt natomiast jak jeden mąż zachowuje się w sposób haniebny wobec naszego klubu, nie tylko przed rozpoczęciem meczu, ale także w trakcie spotkania i po jego zakończeniu, pomimo miażdżącego zwycięstwa ich drużyny. W czasie tych zdarzeń Barcelona nie mogła zareagować w żaden sposób, podobnie jak poszczególni piłkarze, jako że gdyby oni albo zawodnicy Realu Madryt osobiście naruszyli jeden z punktów regulaminu odnośnie do zachowania na placu gry, Komitet Ligi Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej nałożyłby grzywnę na piłkarzy. Dobrym na to dowodem jest fakt, że pierwszy akapit pisma, od którego się odwołujemy, nakłada na Real Madryt grzywnę w wysokości 25 tysięcy peset „za bardzo nieestosowne zachowanie jego kibiców podczas spotkania rozgrywanego ostatniej niedzieli na stadionie Chamartín, jako że w żaden sposób nie można usprawiedliwić wrogiego i niegościnnego nastawienia, które miało miejsce już wcześniej i zostało odpowiednio ukarane”.

W tej ocenie wydarzeń oparto się na podstawach już z góry zaakceptowanych przez tenże organ. A mimo to na Club de Fútbol Barcelona nakłada się kolejną sankcję 25 tysięcy peset. Nie możemy zrozumieć, w oparciu o jakie przepisy prawa czy rozporządzenia została ona nałożona, zwłaszcza kiedy Komitet Ligi w samym TRYBUNALE skazującym przyznaje, że wykroczenie, które w minioną niedzielę mogła popełnić publiczność z Las Corts, zostało już odpowiednio ukarane.

Równolegle w Realu Madryt także nastąpiła zmiana na fotelu prezesa. Antonio Santos Peralba, który stał na czele klubu podczas tamtych wydarzeń, podał się do dymisji. Jak podaje García Candau, z powodu presji ze strony reżimu, za wszelką cenę szukającego spokoju. „Nie byłoby dobrze, gdyby Katalonia się obraziła”. 22 maja, czyli jeszcze przed kontrowersyjnymi meczami, Bernardo Salazar znalazł wzmiankę w prasie, w której mówiono, że Peralba zamierza odejść ze stanowiska. Prawdopodobnie wykorzystał wzbурzenie, przytłoczony omówionymi zdarzeniami. Władze kraju pozytywnie patrzyły na zmianę na czele klubu.

Peralbę zastąpił Santiago Bernabéu, który zaraz po objęciu prezesury wysłał Barcelonie ostrożne pozdrowienia:

Przejmując niezasłużenie stanowisko prezesa Realu Madryt Club de Fútbol, wypełniam jednogłośnie życzenie wszystkich kolegów z nowego zarządu i przesyłam pozdrowienia doświadczonemu klubowi Barcelona, z którym zawsze utrzymywaliśmy serdeczne relacje sportowe i braterską przyjaźń, czego nie mogą zburzyć banalne epizody. Real Madryt

zapewnia o swoim mocnym i trwałym przywiązaniu do idei szlachetnej sportowej rywalizacji i bezwarunkowo oferuje ją Barcelonie, pewny pozytywnego oddźwięku, wynikającego z jej silnych korzeni sportowych i patriotycznych.

Z pozdrowieniami Santiago Bernabéu, prezes.

To oczywiście, że potrzebna była zgoda, że wszystko zaszło za daleko. Równoległe oba kluby otrzymują oficjalne pismo, które ma na celu zapobieganie podobnym zdarzeniom w przyszłości:

Na podstawie raportów pochodzących z różnych prowincji Dyrekcja Generalna stwierdza, że każdego dnia coraz większego znaczenia nabiera niesportowe zachowanie publiczności na meczach piłki nożnej, ze szczególnym uwzględnieniem żalonych okrzyków, niezawierających słów, za pomocą których średnio wykształcona osoba wyraża emocje wywołane przebiegiem meczu, i nieakceptowalnych.

Takie zachowania władze policyjne muszą stanowczo karać, wypełniając w ten sposób swoją powinność... Policjanci będą postępować bezwzględnie i zatrzymywać tych, którzy przekroczą granicę, uciekając się do agresji, słownej lub innej, oraz niezwłocznie powiadamiać o szczegółach zdarzenia Dyrekcję Generalną...

A życie toczy się dalej. I chociaż w przyszłości Santiago Bernabéu nie będzie wyróżniał się pod względem licznych gestów przyjaźni względem Barcy, to jedną z pierwszych jego decyzji było zorganizowanie, w porozumieniu ze swoim katalońskim odpowiednikiem, dwóch meczów przyjaźni. Argumentowano je pragnieniem oddania hołdu Juanito Monjardínowi, środkowemu napastnikowi Realu z czasów, gdy Bernabéu był piłkarzem, i Antonio Franco, który był kapitanem Barcelony i niedawno zakończył karierę (Antonio Franco był wujem słynnego katalońskiego dziennikarza o takim samym nazwisku, najczęściej występującego pod pseudonimem Antonio Bigatá, przez długie lata redaktora naczelnego „El Periódico” i znaczącego głosu barcelonizmu).

Pierwszy mecz rozegrano w Madrycie. Barça została ugoszczona w Urzędzie Miasta, zwiedziła ruiny Alcázaru w Toledo i obejrzała hipodrom. Wydano też przyjacielską kolację dla władz obu klubów w hotelu Palace. Bernabéu, który wręczył Monjardínowi złotą papierośnicę, każdemu z piłkarzy Barcy podarował również złotą zapalniczkę, a klubowi piękną srebrną amforę. W meczu padł wynik 1:1.

W Barcelonie Real uczestniczył we mszy świętej w bazylice La Mercè, odwiedził Wioskę Hiszpańską na Montjuïc^[29] (wówczas Montjuich) i klasztor Montserrat, gdzie zaśpiewano mu chorał i *Vivaldi*^[30]. Żeby jeszcze bardziej zademonstrować przyjaźni, drużyny odbyły wspólny trening w lasach Vallvidrery. Potem Barça wygrała 4:0, a Ipiña, kapitan Realu, otrzymał pamiątkowy puchar z rąk Antonio Franco. Wieczorem Real Madryt został zaproszony do Liceo^[31], a następnego ranka przyjęto drużynę w Ratuszu.

Zapanował pokój. Żeby go podkreślić, Luis Galinsoga (chrześniak Franco, El Caudillo^[32] rzecz jasna, a nie byłego kapitana Barcy) napisał w „La Vanguardii”: „Jeśli był ten, który obrażał,

jeśli był ten, który czuł się obrażony, dzięki takim dowodom sympatii i braterstwa wszystko, co złe, zostało wymazane i pozostawione daleko w tyle”.

Minęło sześć miesięcy. Dwa mecze przyjaźni, serdeczne uściski dłoni między zawodnikami, ale – jak się przekonamy – wszystko bardzo szybko zacznie się od początku.

Real Madryt przegrał tamten finał Pucharu Hiszpanii na Metropolitan 0:1. Jedyne goła strzelił Zarra. W związku z tym meczem powstała legenda: poprzedniej nocy „ktoś” nie wyłączył węża i boisko zostało całkowicie zatopione. Niektórzy podejrzewali, że chodziło o to, żeby utrudnić grę Realowi. Nie było dobrze widziane, żeby wygrał tamtą edycję Pucharu po tym, co wydarzyło się w półfinale, i w związku z odczuciami, jakie zostawił po sobie w Katalonii.

11. SPRAWY RAFY I MOLOWNY'EGO

Dobre relacje między Bernabéu a Barcą miały trwać doprawdy krótko. Pierwsze zerwanie więzi nastąpiło wraz z tak zwaną sprawą Rafa. Rafa to pseudonim, pod jakim występował pochodzący z Ocañi (Toledo) Rafael Yunta Navarro. Przygodę z futbolem rozpoczął w rodzinnej miejscowości, stamtąd przeszedł do Toledo, a następnie do Ferroviarii, już w Madrycie. Z tego też klubu przed sezonem 1944/45 sprowadzili go *los blancos*. Był bocznym pomocnikiem, strzelającym sporo goli. W 50 meczach w Realu Madryt zdobył ich 18.

W tamtym czasie zabronione było (jak niemal zawsze, ale rzadko kiedy to respektowano) nawiązywanie kontaktów z piłkarzami, którzy mieli ważną umowę z innym klubem, nie rozmawiało się uprzednio z jego władzami. Barça zainteresowała się Rafą i omijając zakaz, skontaktowała się z zawodnikiem bezpośrednio. Rafa opowiedział o tym w Realu. A rozłoszczony Santiago Bernabéu, zamiast zadzwonić do Barcelony, żeby zostawiła chłopaka w spokoju, postanowił zastawić pułapkę. Powiedział Rafie, aby udawał, że jest zainteresowany i kontynuował rozmowy. I tak Rafa, podążając za strategią prezesa, umówił się z sekretarzem generalnym Barcy Joaquínem Labueną w jednej z kawiarni przy Gran Vía. Przy stoliku obok Bernabéu usadził notariusza, który wysłuchał całej rozmowy, po czym sporządził protokół. Z nim w ręce udał się do federacji, gdzie złożył odpowiednie doniesienie, na skutek czego Labuena został zawieszony na dwa lata.

Rafa jednak wkrótce zakończył karierę. W 1948 roku zmienił klub na Valladolid. Podczas podróży z meczów zderzył się z bramkarzem Deportivo La Coruña Juanem Acuña, co spowodowało, że przedwcześnie musiał pożegnać się z futbolem w 1950 roku. W hołdzie dla niego Real Madryt rozegrał mecz w Valladolid, który rozpoczęło honorowe kopnięcie piłki poruszającego się o kulach byłego piłkarza. Ale futbol go wynagrodził. Przez wiele lat odnosił sukcesy jako trener w Primera i Segunda División – pracował między innymi w Pontevedrze (z którą wywalczył awans), Valladolid, Celcie i Calvo Sotelo de Puertollano (wiecznie aspirującym do awansu do najwyższej klasy rozgrywkowej).

Nie minęło dużo czasu – był rok 1946 – i Bernabéu znów przechytrzył Barcę. Podczas podróży z Walencji do Barcelony wysiadł na stacji w Reus, kupił „La Vanguardię” i przeczytał w niej, że Barça wysłała sekretarza klubu Ricardo Cabota do Las Palmas w celu sprowadzenia Luisa Molowny'ego. W tamtym czasie Molowny był młodym kanaryjskim piłkarzem, o którym sporo mówiło się na Półwyspie Iberyjskim, chociaż jeszcze na nim nie grał. Oczywiście transport nie był tak rozwinięty jak obecnie, a drużyny kanaryjskie miały własne rozgrywki, w których uczestniczyło wiele zespołów z wysp. Jednym z nich było Marino, w którego barwach występował Molowny.

Piłkarz cieszył się dużym prestiżem na Półwyspie i renomą piłkarza obdarzonego nienaganną techniką, z klasą, trochę w stylu zawodników południowoamerykańskich. A poza tym występował w reprezentacji swojego kraju. Atlético Madryt, jedna z silniejszych drużyn tamtej epoki, miało wielu reprezentantów Hiszpanii: Camposa, Arencibię, Hernández... Dlatego Atlético udało się na Wyspy Kanaryjskie w celu rozegrania kilku meczów. Tam jego piłkarze zobaczyli Molowny'ego w akcji i zaczęli opowiadać o nim cuda.

Barcelona i Real szybko się nim zainteresowały, przeprowadziły własne obserwacje i otrzymały pozytywne raporty. I tak się sprawy miały, kiedy Bernabéu przeczytał w „La

Vanguardii” artykuł zatytułowany *Molowny do Barcy*, w którym informowano, że Cabot wsiadł na statek płynący na Wyspy Kanaryjskie, żeby sprawdzić piłkarza. Na tej samej stacji poszukiwał telefonu, poprosił o pilne połączenie i porozmawiał z Jacinto Quincocesem, byłym piłkarzem klubu, a wtedy sekretarzem technicznym: „Idź do banku, pobierz 100 tysięcy peset w banknotach po 100, a potem wsiądź w pierwszy samolot, który wylatuje do Las Palmas. Gdy będziesz na miejscu, podpisz kontrakt z Molownym. Zabierz ze sobą pieniądze i pokaż je od razu po przyjeździe”. Kiedy się rozłączył, skontaktował się z bankiem, żeby jak najszybciej wypłacono pieniądze Quincocesowi.

Quincoces wsiadł do samolotu i dotarł do Las Palmas dwa dni przed Cabotem. Jako że zapowiedział swoją wizytę, Marino zorganizowało mecz przeciwko Atlético Las Palmas, żeby Quincoces zobaczył Molowny’ego. Dla klubu to była szansa, aby sprzedać zawodnika za duże pieniądze. Nie wiadomo jednak, że Quincoces postanowił kupić piłkarza bez sprawdzania jego umiejętności. Molowny w biografii, wydanej latem 1965 roku w serii *40 días, 40 ases, 40 biografías* (40 dni, 40 asów, 40 biografii) dziennika „Marca”, opowiada, że bardzo się denerwował, ponieważ było to jedno z najbardziej gorzkich doświadczeń w jego karierze: „Zagrałem okropny mecz. Pamiętam wręcz, że piłkarz, który mnie krył, Chucho, mówił mi: » Co ty robisz? Pokaż się!« . I nawet mimo tego, z takimi ułatwieniami, nie byłem w stanie zagrać dobrze”.

Jednak Quincoces przyjechał z jasnym nakazem od Bernabéu i upoważnieniem, żeby podpisać z nim umowę: porozumienie opiewało na 250 tysięcy peset, z czego 175 tysięcy w ciągu pięciu lat miał otrzymać piłkarz, a 75 tysięcy przeznaczone było dla Marino. Marino otrzy mał swoją część, a Molowny wziął do kieszeni pierwszą ratę.

Kiedy Cabot przybył do Las Palmas, Molowny był już zawodnikiem Realu Madryt.

I stał się dla klubu bardzo ważnym graczem. Boczny pomocnik o wspaniałym dryblingu i wybornej klasie, chociaż – trzeba to podkreślić – mało waleczny. Piłkarz bardziej przydatny w meczach u siebie niż na wyjazdach, ale wyjątkowy, z tych potrafiących poderwać publiczność z krzesełek. Pewien starszy dżentelmen, z którym rozmawiałem o początkach kariery Butragueño, powiedział mi bez wahania: „Panie Relafio, proszę zapamiętać: trzy wielkie postaci tego miasta to Celia Gámez^[33], Antonio Bienvenida^[34] i Luis Molowny. Zobaczymy, czy Butragueño im dorówna...”.

Podczas pewnej rozmowy w hotelu w Niemczech, kiedy wokół Bernabéu tradycyjnie utworzył się krąg ludzi, usłyszałem, jak jeden z interlokutorów, który mówił o tamtym Realu jako o najlepszym w historii, powiedział przesow: „Cokolwiek by powiedzieć, Molowny’ego nie może zabraknąć”. Aż tak go doceniano.

Jednak Molowny był jeszcze ważniejszy, stał się jedną z kluczowych postaci w historii Realu Madryt, ponieważ po tym, jak zakończył karierę piłkarską, został „człowiekiem klubu”. Teraz tego rodzaju stanowisko nosiłoby miano generalnego menedżera sportowego. Wtedy taką funkcję pełnił tylko Molowny. Kierował szkołką, decydował o transferach, zaprowadzał porządek i zawsze był gotowy, żeby poprowadzić drużynę, gdy zawiódł pierwszy trener. I z taką samą gotowością, z jaką do niej wchodził, dyskretnie się wycofywał, kiedy sytuacja została opanowana, zresztą prawie zawsze kończąc sezon z jednym albo więcej niż jednym trofeum w klubowych gablotach. Nigdy nie zastawiał pułapek na trenerów, nigdy nie chciał stać na czele drużyny dłużej, niż wymagała tego sytuacja, umożliwiając rozpoczęcie pracy każdemu nowemu szkoleniowcowi w jak najlepszych warunkach. W 1974 roku zastąpił Muñoz (po 13 latach!) i wygrał Puchar Hiszpanii (pokonując na Manzanares Barcelonę 4:0). W 1978 roku zastąpił Miljanicia i zdobył mistrzostwo kraju w tamtych i w następnym roku. W sezonie 1981/82 zastąpił Boškova i wygrał Puchar Hiszpanii (pokonując Sporting Gijón podczas meczu inauguracyjnego nowego stadionu Valladolid, tak zwany stadion zapalenia płuc). W sezonie 1984/85 przejął drużynę po Amancio i

wygrał Puchar UEFA dwa razy z rzędu, a także zdobył mistrzostwo w drugim roku, żeby potem wrócić na stanowisko sekretarza technicznego. W 1990 roku przeszedł na emeryturę.

Z jego szkółki wyszli Los Garcías^[35], Castilla – finalista Pucharu Króla, Quinta del Buitre, a jako ostatni: Guti, Raúl i Casillas.

Vicente del Bosque był jego uczniem, zaufanym człowiekiem i ci, którzy widzą teraz sposób pracy i bycia trenera z Salamanki, mogą wyobrazić sobie, jak wyglądała szkoła, którą Molowny stworzył w Realu Madryt i która utrzymywała klub na szczycie nawet w czasach, kiedy pod względem finansowym nie mógł on rywalizować z najlepszymi w Europie. Bernabéu trafił z tym transferem o wiele lepiej, niż mógł przypuszczać, ponieważ kupił nie tylko znakomitego piłkarza, ale także człowieka, który nazaczył sobą całą epokę w historii klubu.

12. BARÇA BIERZE KUBALĘ

Trudno jest wytłumaczyć dziś, po ponad 50 latach, ile znaczył Kubala w hiszpańskim futbolu. Był pierwszym geniuszem z importu, właściwie można by powiedzieć, że po prostu pierwszym geniuszem, gdyby nie Ben Barek, znakomity Marokańczyk, który będąc już dobrze po trzydziestce, nieco wcześniej przybył do Atlético.

Ale Kubala to był prawdziwy hit. Piłkarz silny i obdarzony niebywałą techniką, posiadający umiejętność kontrolowania piłki i niesamowity strzał. Piłkę, którą wybijał bramkarz, Kubala przyjmował na klatkę piersiową, nogę albo głowę. Do tego nowatorsko dryblował, uderzał efektownie albo mocno, albo jednocześnie i tak i tak praktycznie nie zdarzało się, żeby nie wykorzystał rzutu karnego... A to wszystko w czasach, kiedy nasz futbol był jeszcze dość toporny i trudno było zobaczyć u nas piłkarzy z innych krajów. Nie istniała w Hiszpanii jeszcze telewizja, a w wiadomościach NO-DO oglądało się (o ile w ogóle) jedynie fragmenty lokalnych meczów.

Ponadto Kubala był silny jak tur, nieprawdopodobnie przystojny, z jasnymi oczami, kręconymi blond włosami i wyraźnie zarysowaną żuchwą. W ówczesnej szarej Hiszpanii był jak błyskawica. Pojawił się wcześniej niż Di Stéfano i Puskás, przez kilka lat był jedyną wielką gwiazdą. Dzięki niemu w hiszpańskim futbolu dokonał się przeskok porównywalny do tego, jaki miał miejsce w kinie, gdy zamiast czarno-białych zaczęto kręcić filmy w technicolorze.

Kubalę odkrył Real, chciał go mieć w składzie, skontaktował się z nim jako pierwszy... a piłkarz nawet związał się z Barcą na podstawie kontraktu, który przygotował Real.

Nieżyjący już Kubala (na jego pogrzeb w maju 2002 roku w Barcelonie przybyły tłumy) urodził się w Budapeszcie 10 czerwca 1927 roku jako syn Węgry i Czechosłowaczki. W obu tych krajach bardzo szybko stał się sławnym piłkarzem. Grał w Slovanie Bratysława i Vasasie Budapeszt, występował też w reprezentacjach obu krajów, ponieważ posiadał obywatelstwo węgierskie i czechosłowackie (później, wraz z przyjęciem obywatelstwa hiszpańskiego, będzie grał także w naszej kadrze, zostając tym samym jedynym piłkarzem w historii, który występował w reprezentacjach trzech różnych państw).

Ale dla Kubali było za ciasno w amatorskim futbolu, jak został on określony po drugiej wojnie światowej w krajach Europy Wschodniej. Tam profesjonalizm w sporcie postrzegany był jako kapitalistyczny wymysł i chociaż dla wyróżniających się sportowców istniały „furtki” w postaci fikcyjnych państwowych posad, zapewniających godziwe wynagrodzenie za tak naprawdę uprawianie jedynie danej dyscypliny sportu, to Kubali takie rozwiązanie nie przekonywało. Chciał być prawdziwym profesjonalistą i w wieku 21 lat nawiązał kontakt z jedną z organizacji zajmujących się wyciąganiem ludzi z „komunistycznego raju” do świata kapitalizmu. 27 stycznia 1949 roku, przebrany za radzieckiego żołnierza, został przetransportowany w ciężarówce w pobliże granicy austriackiej. Wiele lat później opowiadał mi, jak bardzo się bał, że zostanie rozpoznany, kiedy przechodzili kontrolę. Ale udało mu się przejechać granicę. Wysadzony w jej pobliżu razem z pozostałymi uciekinierami, maszerował całą noc. W Innsbrucku spotkał się z prezesem włoskiego klubu Pro Patria z Busto Arsizio, do którego trafił. FIFA złożyła Pro Patrii mglistą obietnicę, że piłkarz po upływie roku, mimo że uciekł z Węgier, posiadając ważny kontrakt z Vasasem, będzie mógł pełnoprawnie grać w Italii. Tymczasem Vasas powiadomił o ucieczce węgierską federację, a ta przekazała sprawę do FIFA, która 18 marca zakomunikowała o rocznym zawieszaniu zawodnika.

W Pro Patrii zaczął grać w meczach towarzyskich, jako że nie mógł uczestniczyć w oficjalnych rozgrywkach do momentu wyjaśnienia sprawy. Ale FIFA szybko poinformowała włoski klub, że im częściej będzie wystawiał piłkarza w meczach, tym trudniej będzie rozwiązać drażliwą kwestię jego ucieczki i zdobyć zgodę na transfer od węgierskiej federacji. I po upływie 12 miesięcy, 18 marca 1950 roku, FIFA zakomunikowała, że Kubala nadal nie otrzyma prawa do gry.

Z tego powodu Pro Patria zrezygnowała z zawodnika, a on pojechał do Rzymu, gdzie spotkał grupę piłkarzy znajdujących się w takiej samej sytuacji: zawodników, którzy przekroczyli żelazną kurtynę, żeby znaleźć sobie miejsce w bogatym profesjonalnym futbolu we Włoszech, Francji, Hiszpanii czy jakimkolwiek innym kraju na Zachodzie. Utworzyli drużynę i nazwali ją Hungaria, z racji tego, że z wyjątkiem czterech z nich wszyscy byli Węgrami. Trenerem został Fernando Daucik, z którego siostrą ożenił się Kubala. Na początku dobrze zarabiali, rozgrywając mecze pokazowe w całej Italii. Ale silna wtedy Włoska Partia Komunistyczna zaczęła wywierać tak potężną presję, że przestano ich kontraktować.

I wtedy przenieśli się do Hiszpanii, na terytorium, gdzie nie napotkaliby problemów z uwagi na panującą w tamtej epoce ostry antykomunizm, co podkreśla Duncan Shaw w książce *Fútbol y franquismo*, w której jeden rozdział poświęca przybyciu Hungarii do Hiszpanii w tamtym okresie. I w maju 1950 roku do biura Realu Madryt przychodzi list z propozycją rozegrania spotkania towarzyskiego z Hungarią. Santiago Bernabéu, mając informacje o wysokim poziomie tej drużyny, uznaje ten pomysł za dobry i wyraża zgodę na mecz.

5 czerwca Hungaria wychodzi na boisko Chamartín, z Kubalą w swoich szeregach. W Realu Madryt w bramce stoi Acuña – przybył z Deportivo La Coruña na prośbę selekcjonera, który przymierzał go do podstawowego składu reprezentacji, mając na względzie zbliżający się mundial w Brazylii (również na prośbę selekcjonera Miguel Muñoz grał jako prawy pomocnik, czyli na swojej nominalnej pozycji). Real wygrał 4:2, a oba gole dla Hungarii strzelił Kubala, wprawiając w zachwyt wszystkich zebranych na stadionie.

Real natychmiast rozmawia z Kubalą i proponuje mu kontrakt. Ale pojawiają się trudności: Kubala chce, żeby podpisano również kontrakt z jego szwagrem, trenerem Fernando Daucikiem, na co Bernabéu nie jest gotowy. Wtedy w klubie pracował angielski trener, *mister Keeping*, w którego prezes cały czas wierzył. Po konsultacji z federacją, która dopatrywała się problemów w tej sprawie, Bernabéu postanawia to przemysleć.

Hungaria tymczasem kontynuuje rozpoczęte meczem z Realem Madryt *tournee* po Hiszpanii: 8 czerwca gra na Metropolitan przeciwko reprezentacji Hiszpanii, 10 czerwca na Sarriá przeciwko Espanyolowi, 14 czerwca znów przeciwko reprezentacji na Metropolitan (był to okres tuż przed mundialem, stąd taka aktywność drużyny narodowej, która potem zajmie w Brazylii czwarte miejsce) i 18 czerwca ponownie na Sarriá przeciwko Espanyolowi. We wszystkich tych meczach pada dużo goli, we wszystkich wyróżnia się Kubala. Ale między przodostatnim a ostatnim meczem, 16 czerwca, pojawia się sensacyjna wiadomość: Kubala podpisał amatorski kontrakt z Barceloną!

W Realu Madryt ciskają gromy. Hernández Coronado, sekretarz generalny klubu, składa protest w federacji, donosząc, że Barça, wtrącając się do operacji, która była w toku, nie dotrzywała słynnego „paktu o nieagresji”, obowiązującego między oboma klubami. Barcelona odrzuca oskarżenie, oświadczając za pośrednictwem Narcisa de Carrerasa (wtedy dyrektora, w późniejszym czasie prezesa klubu), że od miesiący utrzymywała kontakt z zawodnikami, co prawdopodobnie nie było prawdą. Z czasem Barça argumentowała, że z racji tego, iż Kubala był amatorem (ponieważ Węgry nie uznawały profesjonalizmu w sporcie), według obowiązujących

w Hiszpanii przepisów dotyczących takich piłkarzy cieszył się całkowitą wolnością i mógł związać się z dowolnym klubem.

Tak czy inaczej, kontrakt piłkarza amatorskiego nie pozwalał Kubali zarabiać pieniędzy, dla których opuścił kraj, i dopóki węgierska federacja nie wysłała zgody na transfer, nie mógł występować w oficjalnych meczach. W rzeczywistości umowa ta była wstępnym kontraktem, obowiązującym do czasu, gdy w sposób formalny będzie można sfinalizować przejście piłkarza do klubu. Hungaria spędzała lato na Majorce i znajdowała się w stanie zawieszenia. 26 lipca drużyna się rozpadła. A Kubala robi kolejny krok, żeby rozwiązać sytuację. Mając szwagra „umieszczonego” już w Barcelonie i z myślą, że prawdopodobnie Real Madryt miałby większe możliwości niż klub kataloński, żeby wyciągnąć go z tej patowej sytuacji, albo po prostu z zamiarem ponaglenia Barcy, by coś zrobiła, wysłała do Realu list, prosząc o wznowienie negocjacji.

Barça, która o tym wie, 27 lipca (dzień po formalnym rozwiązaniu Hungarii) postanawia podpisać z Kubalą kontrakt z miesięczną pensją w wysokości 1200 peset plus dodatkiem rządu 3800 peset na żywność, ale i jako zachętę. Formułując ten kontrakt, Barcelona pogwałciła wiele prawnych mechanizmów, ale miała poparcie sekretarza hiszpańskiej federacji Ricardo Cabota, barcelonisty, przez wiele lat pracującego w klubie. Sprawą interesował się też reżim, który uznał, że za pomocą sprawy Kubali będzie mógł uderzyć w międzynarodowy komunizm, jedną z jego wielkich obsesji.

I 12 października Kubala w końcu debiutuje w drużynie Barcelony na Les Corts w towarzyskim meczu z Osasuną. Real Madryt znów składa protest w federacji, która odpowiada mu takim oto listem:

Z wielką przyjemnością odpowiadamy na pański list dotyczący sytuacji węgierskiego piłkarza Kubali i informujemy, że zarówno wspomniany pan, jaki jego koledzy z Hungarii nie mogą występować w żadnym klubie będącym członkiem narodowej federacji zrzeszonej w FIFA, chyba że zainteresowani przedstawią certyfikat stwierdzający zgodę na transfer z federacji kraju Kubali, która nie wyda go z uwagi na to, że opuścił klub posiadający do niego prawo [...].

[...] jego udział w meczach towarzyskich również nie będzie możliwy, ponieważ aby w nich uczestniczyć, trzeba być członkiem klubu, który chce piłkarza wystawić w składzie, a Królewska Hiszpańska Federacja Piłkarska, przestrzegając norm prawnych, nie rozpatrzy pozytywnie żadnej prośby o takim charakterze [...].

W rozwiązanej tylko połowicznie sytuacji Kubala trenuje z Barçą, służy za wzór swojemu szwagrowi, jak również – jeśli chodzi o technikę i gierki treningowe – innym zawodnikom, nie może jednak być wystawiany w meczach. Kuszą go z „pirackiej” ligi kolumbijskiej (gdzie grają niektórzy jego byli koledzy z Hungarii i gdzie występuje także niejaki Di Stéfano, nieznany wtedy w Hiszpanii). Atlético Bucaramanga nawiązuje z nim kontakt, ale operacja się nie udaje. W grudniu gra w dwóch meczach towarzyskich z okazji świąt Bożego Narodzenia, a Barça znów dostaje śmieszne grzywny w wysokości 50 peset.

Tymczasem do akcji wkraczają reżimowe władze, które dostrzegły w sprawie piłkarza wielką szansę dla siebie. 2 kwietnia 1951 roku Kubala otrzymuje status politycznego uchodźcy jako

bezaństwowiec, a wkrótce potem zostaje mu przyznane hiszpańskie obywatelstwo, po uprzednim katolickim chrzcie w Águilas (Murcja), rodzinnej miejscowości prezesa hiszpańskiej federacji Armando Muñoz Calero (tego od słynnego zdania: „Ekscelecncjo, pokonałiśmy niewierny Albion”).

I jeszcze przed upływem roku od pojawienia się na Chamartín Kubala może zadebiutować w oficjalnym meczu w rozgrywkach pucharowych jako Hiszpan, przeciwko Seville. Później Barça zapłaci za transfer piłkarza jego obu klubom. We wrześniu 1952 roku przekazuje 12 milionów lirów Pro Patrii, która zgłasza do niego prawa. A w sierpniu 1954 roku na kongresie FIFA zorganizowanym w Bernie podczas mundialu w Szwajcarii otrzymuje wreszcie zgodę federacji węgierskiej, która wyśle dokumenty piłkarza w zamian za zapłacenie równowartości 300 tysięcy peset.

Dopiero w tym momencie można powiedzieć, że sytuacja Kubali jest całkowicie uregulowana. Wtedy już od czterech lat był w Barcelonie, z którą wygrał po kolei Puchar, ligę, Puchar, ligę i Puchar. Wszystko, co było do zdobycia. To okres Barcy Pięciu Pucharów – termin ten czasem wiąże się z tą serią pięciu kolejnych tytułów, ale w rzeczywistości pojawił się pod koniec sezonu 1951/52, kiedy Barcelona wygrała wszystko: mistrzostwo, Puchar, Puchar Łaciński (o który walczyli mistrzowie Hiszpanii, Włoch, Francji i Portugalii), a także Puchar Duwarda i Trofeo Martini & Rossi, trofea reklamowe, cenione w tamtych czasach, które otrzymywała drużyna z największą liczbą strzelonych goli i z najmniejszą liczbą straconych.

Tak z Kubalą Barça wykonała duży skok jakościowy, tak duży, że w pewnym momencie stadion Les Corts zrobił się za mały i obecność piłkarza zobligowała Barcelonę do kolejnego kroku, na jaki Bernabéu zdecydował się już w 1947 roku: zbudowania nowego stadionu, o większej pojemności – Camp Nou.

Historie Barcelony napisane od tamtego momentu, nastawione na opowiadanie o mniejszych lub większych cierpieniach, jakie klub musiał znosić za czasów frankizmu, niewiele miejsca poświęcają transferowi Kubali, w którym znaczny udział miał właśnie reżim. W tych historiach Kubala pojawia się jako mag, anioł zwiastujący dobrą nowinę, który objawił się Dziewicy Maryi. Ale żeby go sprowadzić, Barça mogła liczyć na zdeterminowaną współpracę różnych organów rządowych, gdy te zwietrzyły okazję, by zrobić z Kubali antykomunistyczny symbol. I w ten właśnie sposób przedstawiano go w ówczesnej prasie.

Ponadto z Kubalą w roli głównej nakręcono *Los ases buscan la paz* (Asy szukają pokoju), antykomunistyczny film propagandowy, pełen trików tamtej epoki. Według niego Kubala pragnął opuścić Węgry, ponieważ był zmuszany do szpiegowania, kiedy wyjeżdżał za granicę z reprezentacją albo z klubem. Scena pokazująca takie nastawienie piłkarza jest nadzwyczaj prosta. Kubala czeka, przygotowany do wyjścia na boisko w Rzymie, kiedy pyta o niego człowiek ubrany w typowy dla komunistycznego tajniaka płaszcz. Nieznajomy oznajmia piłkarzowi, że ten musi szpiegować. Kubala odmawia, mówi, że jest tylko sportowcem, na co typ odpowiada, żeby zawodnik przygotował się na konsekwencje. Oglądając dzisiaj ten film, widz zadaje sobie pytanie, jak piłkarz może szpiegować, skoro jedzie z drużyną na mecz; i zastanawia się, czy ludzie w tamtym okresie mogli wierzyć w takie rzeczy, czy propaganda była tak ślepa, że nawet o tym nie myślano. Poza tym film opowiada o perypetiach związanych z wyjazdem Kubali z Węgier i o jego problemach do chwili, kiedy jako piłkarz odnoszący sukces znajduje schronienie w idealnym kraju, w Hiszpanii, i w mieście, które również jest idealne, w Barcelonie. Dobry człowiek, który walczy o to, żeby wyrwać się ze sponow komunizmu i prowadzić przyzwoite życie, zarabiając na nie robieniem tego, co umie najlepiej: grą w piłkę. Wiele fragmentów filmu zostało nakręconych na obiekcie Barcy, więc pojawia się w nim kilku innych zawodników klubu, choćby Ramallets i Biosca, uważani za najbardziej fotogenicznych z całej drużyny.

Żeby uzupełnić ten rozdział, w dalszej części oddam głos Sancho Dávili, prezesowi federacji od lutego 1952 do wiosny 1954 roku, kiedy odszedł w wyniku wyeliminowania Hiszpanii przez Turcję w kwalifikacjach do mistrzostw świata w Szwajcarii, odbywających się w tym samym roku. Hiszpania została wyeliminowana po meczu w Rzymie, zakończonym remisem i rozstrzygniętym przez losowanie.

Kilka minut przed meczem, kiedy piłkarze byli już przygotowani do wyjścia na boisko, otrzymano od FIFA telegram z ostrzeżeniem w związku z obecnością w drużynie Kubali. Rozegrał już kilka meczów w reprezentacji Hiszpanii, lecz sprawa jego ucieczki z Węgier nie była jeszcze do końca rozwiązana i federacja, przeczornie, postanowiła wycofać go ze składu, zastępując go Escudero (potem mundial przeszedł nam koło nosa przez papierek z napisem „Turcja”, wyciągnięty z pucharu przez szczęśliwego *bambino* zwanego Franco Gemma, co w Hiszpanii wywołało płacz i zgryzanie zębów).

Wracam jednak do Sancho Dávili. Kiedy po wyeliminowaniu reprezentacji podał się do dymisji, napisał książkę ze wspomnieniami z tych ponad dwóch lat, zatytułowaną *De vuelta a casa* (Z powrotem do domu). I poruszając sprawę Kubali, opisał wszystkie kroki, jakie w trakcie trwania jego mandatu zostały poczynione, żeby całkowicie zalegalizować pobyt piłkarza w Hiszpanii. Zamieszczam tutaj fragment tej książki. Na początku odnosi się do spotkania z przedstawicielami węgierskiej federacji, które zwołano podczas igrzysk olimpijskich w 1952 roku w Helsinkach. Później opowiada o innych spotkaniach. Tekst brzmi następująco:

Zakończę ten rozdział naszą rozmową z Węgrami. Wcześniej jednak muszę poświęcić trochę miejsca takdyktowanej sprawie, którą można streścić jednym słowem: Kubala.

Z pochodzenia Czech, zarejestrowany przez federację węgierską jako piłkarz amator i występujący w Vasasie Budapeszt, László Kubala uciekł z Węgier w styczniu 1949 roku, przekroczył granicę, która oddzielała jego kraj od strefy austriackiej, okupowanej przez Niemcy [errata: chodzi o Amerykanów]. Nie miał przy sobie paszportu. Musiał oszukać policyjny nadzór, według oświadczenia federacji węgierskiej zawartego w liście skierowanym do FIFA z datą 2 lutego tegoż roku.

Już w wolnym świecie do swojej drużyny chciał go wziąć włoski klub Pro Patria. W tym celu 19 marca przedstawił on sekretarzowi FIFA list, wraz z kopią dla federacji węgierskiej, wskazując na jego sytuację „amatora”. Chroniony przez artykuł 31 Regulaminu, wiążąc się z tym klubem w zamian za określoną kwotę na wydatki, nie mógł grać przez rok, jednak jego rejestracja przez federację włoską nie została sformalizowana i naturalnie zobowiązanie zostało unieważnione.

W czerwcu 1950 roku upłynął termin zakazu gry. Wtedy Kubala rozpoczął rozmowy z jednym z hiszpańskich klubów. Z racji tego, że nie posiadał certyfikatu FIFA zezwalającego na transfer, Królewska Hiszpańska Federacja Piłkarska musiała odmówić wydania pozwolenia.

Na spotkaniach w Brukseli i Zurychu sprawę przedstawił pan Muñoz Calero. Zlecił panu Drewry’emu przygotowanie szczegółowego raportu o tej sprawie. Przekazano mu

dossier ze wszystkimi zdarzeniami. I rezultat okazał się korzystny dla strony hiszpańskiej. Zostało jasno podkreślone, że protesty Węgrów miały bardziej charakter polityczny niż sportowy.

Dossier zostało wysłane z Zurychu do Londynu, ale w sposób niewytłumaczalny „się zgubiło”. Niestety, nie wykonano nawet jednej kopii. Nie zachowano też oryginału. Nie zrobiono fotokopii.

W takiej sytuacji trzeba było przygotować nowe dossier, oparte na oświadczeniach Węgrów, bez możliwości porównania. Krótko mówiąc, starano się skazać Kubalę w stylu charakterystycznym dla krajów zza żelaznej kurtyny. Hiszpański Komitet Wykonawczy, za uprzednią zgodą Ministerstwa Sportu, zebrał się i zezwolił, żeby FC Barcelona wystawiała piłkarza w oficjalnych meczach. Tym bardziej że otrzymał on obywatelstwo hiszpańskie, zgodnie z postanowieniem Gabinetu Ministrów z dnia 1 czerwca, zawartym w Oficjalnym Biuletynie Rządu z 27 tego samego miesiąca 1951 roku.

Z drugiej strony w Brukseli Komitet pilnie chciał znowu wprowadzić w życie artykuł 118. Żeby informować Kubalę i bronić jego praw, na zebraniu obecni byli hiszpańscy przedstawiciele, na czele których stali Manuel Valdés, wówczas prezes federacji, członek Komitetu Wykonawczego Agustín Pujol i pan Muñoz Calero, reprezentujący Hiszpanię w FIFA. Dysponując solidnymi argumentami, nasza delegacja jasno wykazała, że kiedy w Statucie zatwierdzano wspomniany artykuł 118, nie można było przewidzieć chaosu, jaki zapanował na świecie po ostatniej wojnie światowej, a rozporządzenie nie może być stosowane przez sportową federację jako środek politycznych nacisków i forma ścigania.

Delegaci dali jasno do zrozumienia, że Kubala uciekł ze swojego kraju nie po to, żeby zaoferować piłkarskie umiejętności najlepszemu oferentowi, ale żeby uciec przed pewną śmiercią, nie godząc się na bycie instrumentem w rękach komunizmu. Zmuszano go do uczestniczenia w komunistycznym seminarium, a on się opierał. I „za opieszałość” postanowiono go zamordować. Tak stwierdził Mathias Toth, były prezes Vasasu i przewodniczący komisji, która zdyskwalifikowała węgierskiego piłkarza. Później on też uciekł z Węgier.

Oskarżenia federacji węgierskiej też nie mogły mieć żadnej wartości, ponieważ doniesienia te były opatrzone datą 31 stycznia 1949 roku, a Kubala ostatni mecz w Budapeszcie rozegrał 25 dnia tego samego miesiąca.

Żeby nie przytłaczać Czytelnika informacjami, zaznaczę jeszcze tylko na koniec, że w październiku 1951 roku odbyło się w Londynie kolejne spotkanie. Oznajmiono na nim hiszpańskiej delegacji, że „sprawa została załatwiona”. I tak też, za pomocą wielkich tytułów, ogłosiła zarówno prasa hiszpańska, jak i zagraniczna.

Dnia 28, w najlepszych nastrojach, spotkałiśmy się z przedstawicielami federacji węgierskiej. Na czele naszej delegacji stał pan Rimet. Obecni byli także dzisiejszy przewodniczący FIFA, pan Seeldrayers, oraz sekretarz, pan Gassmann. Spotkanie zorganizowano w salce hotelu Vaccuna. Od dziecka dużo podróżowałem po wszystkich krajach Europy, z wyjątkiem Rosji, nigdy jednak nie widziałem hotelu o tak oryginalnej konstrukcji. Jego modernistyczny styl, o eleganckich i artystycznych liniach, kontrastuje z solidną, wielką bryłą jednej z największych stacji na świecie o nazwie Helsinki, znajdującej się naprzeciwko.

Usiedli z nami węgierski reprezentant i trzy inne osoby. Przywitaliśmy się chłodno, skinięciem głowy. I natychmiast zaczęli atakować Kubalę: „To zbieg z naszego kraju”.

Odpowiedzieliśmy, żeby ograniczyli się do aspektu sportowego. Przypomnieliśmy im stare powiedzenie: „Z tego, co straciłeś, czerp, ile możesz”. Rozmowa trwała około trzech kwadransów.

Nasze główne propozycje brzmiały następująco: odszkodowanie finansowe i podpisanie zobowiązania z ich strony, że definitywnie rezygnują z jakichkolwiek skarg pod adresem piłkarza.

– Kubala – powiedzieliśmy – ma prawo, by żyć z futbolu.

– Ja też byłem piłkarzem – odparł jeden z nich. – Kiedy Niemcy najechali na mój kraj, uciekłem do Francji i mogłem żyć z udzielania lekcji.

Pan Muñoz Calero zapytał pana Rimeta:

– Czy z FIFA nie uznaje profesjonalizmu? Dlaczego zatem nie można żyć z tego sportu?

Nasza argumentacja była bardzo przekonująca; ich oskarżenia zaś całkowicie pozbawione sensu, więc zbiliśmy wszystkie ich argumenty. I doszliśmy do porozumienia. Hiszpania, to znaczy CF Barcelona, miała przekazać określoną kwotę klubowi Vasas. Zwracając się do pana Gassmanna i Andrésa Ramíreza, poprosiłem ich, żeby sporządzili zobowiązanie, które od razu zostanie podpisane.

– Bez konsultacji? – zapytali.

– I uiszczając uzgodnioną kwotę w FIFA z naszego rachunku – odpowiedziałem.

Wymienili spojrzenia. Porozmawiali ze sobą w swoim języku, chociaż do tego momentu wszyscy porozumiewaliśmy się po francusku. Wstali. I z pośępnym wyrazem twarzy powiedzieli, że nie mogą tego załatwić bez uprzedniej konsultacji z Budapesztem.

Znów, podobnie jak w 1951 roku, sprawa Kubali została zawieszona w próżni, dobra wola hiszpańskiej federacji i jej reprezentanta w FIFA napotkała przeszkody.

Kiedy hiszpańska delegacja żegnała się z panem Rimetem, ten stary, godny najwyższego szacunku i sympatii człowiek zatrzymał moje dłonie w swoich i powiedział

mi:

– Widzi pan, kochany, jakie jest życie. Mówi się, że macie okrutną dyktaturę, a bez konsultacji możecie rozwiązać sprawę. Tymczasem ci z „nowego świata” sami z siebie nie odważą się nawet postawić kroku naprzód.

Do Rzymu, Czytelniku, zostawiam tę sprawę.

Zwrot „do Rzymu” nawiązuje do następnego rozdziału tej samej książki, w którym Sancho Dávila stara się zrzucić z siebie winę za wyeliminowanie Hiszpanii przez Turcję. Ale zdarzenia z Rzymu potwierdzają, że federacja nie miała wtedy jeszcze zgody na transfer Kubali, stąd też wobec ostrzeżenia ze strony FIFA zrezygnowano z wystawienia go w kluczowym meczu. Kwestię tę rozwiązano w sierpniu 1954 roku, po mundialu w Szwajcarii.

Podsumowując, Barça wzięła Kubalę, ponieważ działała skuteczniej. Sekretarzem federacji hiszpańskiej był Ricardo Cabot, barcelonista, i prawdopodobnie to jej pomogło. Ale później potrafiła też poruszyć wszystkie resorty reżimu, który z uśmiechem na ustach pracował nad zbudowaniem swojego symbolu antykomunizmu. Zakontraktowanie Kubali było niczym innym jak *joint venture* między Barcą a reżimem i warto o tym pamiętać, wydając sądy przy porównywaniu historii Realu Madryt i Barcelony. Funkcję ministra sportu w trakcie tamtych wydarzeń sprawował generał Moscardó, prezesi federacji byli ludźmi blisko związanymi z reżimem. Sancho Dávila od początku był falangistą, kompanem José Antonio^[36], którego we wstępie do cytowanej książki *De vuelta a casa* nazywa *El Jefe*. Zresztą stanowisko prezesa federacji było jego największym sukcesem (zastąpił Valdésa Larrañagę, innego profrankistę, który dostał posadę w ambasadzie w Santo Domingo), ponieważ do czasu nominacji był w futbolu człowiekiem całkowicie anonimowym.

Zresztą, jak widać w przytoczonym fragmencie, autor stawia też tezę, że Kubala uciekł z Węgier nie po to, żeby zarabiać pieniądze, lecz żeby uniknąć pewnej śmierci. Jest to wersja z filmu, a zatem oficjalna wersja reżimu.

13. KUBALA I OLIVA, SPRAWA K.O.

Końcówka sezonu 1952/53 zapowiadała się pasjonująco. Na pięć kolejek przed zakończeniem rozgrywek czołówka przedstawiała się tak Valencia – 35 punktów, Espanyol – 34, Real Madryt – 33 i Barcelona – 32. 5 kwietnia na Les Corts spotkały się Barça i Real. A następne mecze drużyny *azulgrana*, co będzie miało niebagatelne znaczenie, to potyczki Espanyol – Barcelona i Barcelona – Valencia. Mecze rozgrywane jest w spokojnej atmosferze, przebiega bez incydentów do chwili, aż jedynego gola, dającego zwycięstwo Barcelonie, strzela Moreno, a Oliva i Kubala zaczynają się bić. Wszystko dzieje się za plecami arbitra Gardeazábal, ale kiedy ten się odwraca, piłkarze jeszcze wymierzają sobie ciosy. Sędzia wyrzuca obu graczy z boiska.

I zaczyna się trwające trzy dni pandemionium, o którym będzie się mówić przez lata. Jakby tego było mało, prasa określa to zdarzenie mianem sprawy K.O., nawiązując do inicjałów nazwisk uwikłanych w nią zawodników.

Według ówczesnego regulaminu obu należało się zawieszenie na cztery mecze, co dla Realu Madryt nie było takie złe. Oliva był środkowym obrońcą, dobrym piłkarzem, jednak nie tak decydującym o obliczu drużyny jak Kubala, największa gwiazda hiszpańskiego futbolu w czasach, gdy nie grał tam jeszcze Di Stéfano. Kubala był najlepszym piłkarzem rozgrywek, pod względem umiejętności wyprzedzającym innych o kilka długości. Poza tym przeciwnikami, z którymi musiał się jeszcze zmierzyć Real Madryt, były Racing Santander, Saragossa, Real Sociedad i Celta, dlatego nieobecność podstawowego środkowego obrońcy nie byłaby tak odczuwalna. A Barça, jak już zostało wspomniane, w najbliższych meczach miała zagrać z dwójką innych aspirantów do tytułu, Espanyolem i Valencią, a potem czekały ją jeszcze spotkania z zawsze groźnym Valladolid i Athletikiem Bilbao.

W Barcelonie wyraźnie starano się zbagatelizować rozmiary tej boiskowej sceny, zamieniając zadane razy w przepychankę, coś podobnego do impertynencji albo zuchwałości, a nie w obustronną agresję. W Madrycie – przeciwnie, trochę w stylu perskiego przysłowia traktującego o dżinie, który ukazuje się mężczyźnie i mówi: „Proś mnie, o co chcesz, ale twojemu sąsiadowi dam dwa razy tyle”. A mężczyzna odpowiada: „Chcę zostać tylko z jednym okiem”. Dla Realu brak Olivy oznaczał utratę jednego oka. Dla Barcelony brak Kubali oznaczał zostanie ślepcem.

Temperatura znacznie się podniosła, kiedy „Marca” – wówczas gazeta należąca do Movimiento – opublikowała fragment raportu Gardeazábal, który brzmiał następująco: „W 20. minucie pierwszej połowy wykluczyłem piłkarzy: Ladislao Kubalę Stecza z C. F. Barcelona i Joaquína Olivę Gomę z Realu Madryt za wzajemną napaść, nie mogąc ocenić, który z nich ją rozpoczął”.

A zatem wzajemna napaść. Cztery mecze zawieszenia dla każdego z nich według rozporządzeń tamtej epoki. Jednak wtedy publikowanie raportu sędziego bynajmniej nie było powszechne, nigdy tego nie robiono. I następnego dnia w „El Mundo Deportivo” zastanawiano się, skąd wziął się przeciek i jaka była jego intencja. Istniało wówczas sześć kopii raportu: po jednej dla każdego z klubów, po jednej dla odpowiednich regionalnych federacji, jedna dla regionalnego komitetu arbitrow (w tym przypadku biskajskiego) i jedna dla Narodowego Komitetu Arbitrow. Skąd „Marca” wzięła raport? Jasne jak słońce...

Napięcie wzrasta, kiedy obecny na meczu Francisco Román Cenarro mówi, że incydent nie wydawał mu się poważny i dodaje niedwuznacznie: „Jeśli mielibyśmy trzymać się tylko raportów sędziowskich przy nakładaniu kar, to do czego potrzebny byłby Komitet Ligi?”.

Ten zbiera się 8 kwietnia. Po trzech dniach, w trakcie których w Madrycie i w Barcelonie nie mówi się o niczym innym, stało się jasne, że dla Realu byłoby wspaniale, gdyby na cztery mecze zawieszono Olivę, jeśli Kubala otrzymałby identyczną karę. W Barcelonie polemika jest jeszcze ostrzejsza – zostało już nadmienione, że Espanyol, który w tamtym czasie miał większe medialne znaczenie niż obecnie, był najbliższym rywalem Barcy i również aspirował do zdobycia tytułu mistrzowskiego. W Walencji też popierano karę.

Komitet musi postanowić, czy ukarać obu piłkarzy za bezczelność wobec przeciwnika, czy zawiesić ich za wzajemną agresję. I wygrywa ukaranie stosunkiem trzech głosów do dwóch.

W Espanyolu panuje oburzenie, zbierane są podpisy w celu odebrania prawa głosu *socio* Cenarro, którego rolę uważa się, prawdopodobnie słusznie, za decydującą. Pięć lat wcześniej był on prezesem Espanyolu; podał się do dymisji w geście protestu, ponieważ klubowi narzucono rozegranie finału Pucharu Hiszpanii z Realem Madryt w La Coruña zamiast w Saragossie, co uznawał za naturalne rozwiązanie. Wtedy został wciągnięty do federacji katalońskiej przez Agustína Pujolá, znanego barcelonistę. Justo Conde, który bardzo dobrze przedstawia całą sprawę w książce *La guerra que nunca cesa* (Wojna, która nigdy nie ustaje), tłumaczy, że Cenarro coraz bardziej starał się o poparcie Barcelony, żeby wzmocnić swoją pozycję w federacji. Zresztą cztery lata później zostanie prezesem federacji katalońskiej. Za głos w sprawie otrzymał zatem nagrodę.

I Kubala zagrał z Espanyolem, strzelając dwa gole, które zapewniły zwycięstwo Barcelonie. Wystąpił także w trzech następnych meczach, Barça wygrała je wszystkie i dzięki tak piorunującej końcówce sezonu została mistrzem. Real Madryt był obrażony na tę decyzję, ale nie mógł też za bardzo narzekać, jako że darując karę Kubali, jednocześnie darowano ją również Olivie. Ale Barça też była obrażona, ponieważ wiedziała, o co tak naprawdę chodziło Realowi, który zrobił nawet więcej niż Espanyol (raport Gardeazábala mógł wyjść tylko z Realu Madryt albo z federacji kastylijskiej, co w rezultacie było jednym i tym samym), żeby doprowadzić do zawieszenia Kubali.

Eulogio Aranguren, szef Narodowego Komitetu Arbitrów i członek Komitetu Ligi, dowiedziawszy się, że zlekceważono raport sędziego, podaje się do dymisji. Za nim podążają jego koledzy, prześladowani falą krytyki przez opinię publiczną, która zarzuca im bycie marionetkami.

14. DI STÉFANO DOPROWADZA DO PODZIAŁU

Między majem a wrześniem 1953 roku trwał spór Barcelony z Realem Madryt o transfer dwudziestosześcioletniego argentyńskiego piłkarza Alfredo Di Stéfano, słynącego z wielkich umiejętności, ale i z niechlubnego niewywiązywania się z kontraktów. Uciekł z River Plate do Millonarios w Kolumbii, a po czterech latach postanowił zostawić klub z Bogoty, mimo że miał jeszcze ważny przez dwa lata kontrakt. Prawa do niego należały do Millonarios aż do końca 1954 roku, a z dniem 1 stycznia 1955 roku wracały do River Plate. W Hiszpanii dał się poznać przy okazji turnieju zorganizowanego w 50. rocznicę założenia Realu Madryt (marzec 1952 roku), na który przyjechał z Millonarios i wszystkich oczarował.

Barça negocjowała jego transfer z River Plate półtora roku przed tym, jak prawa do piłkarza miały wrócić do argentyńskiego klubu. Real Madryt prowadził rozmowy z Millonarios, ówczesnym właścicielem zawodnika, w sposób, który moglibyśmy określić jako prowizoryczny.

Rozpętał się gorący spór, jego rozmiary zostały znacznie wyolbrzymione i rozpowszechniano wersję, wedle której na korzyść Realu Madryt decydowały władze reżimowe; tak niesprawiedliwe potraktowanie sprawy mogło okazać się decydujące dla późniejszych wydarzeń w hiszpańskim futbolu. Najczęściej powtarzane wersje, uwiarygadniające tę tezę, są późniejszymi wymysłami epoki, budowanymi moim zdaniem na błędnych podstawach albo przesadzonych informacjach.

Prawda jest taka, że Barcelona zainteresowała się Di Stéfano wcześniej niż Real Madryt, a zainteresowała się, ponieważ Kubala zachorował na gruźlicę, która początkowo wydawała się nieuleczalna. Gdy Kubala wyzdrowiał, a w kwestii transferu pojawiły się trudności, zainteresowanie Barcy spadło i kataloński klub próbował przenieść Di Stéfano do Juventusu albo zwrócić go River Plate. To rozłościło piłkarza, który postanowił przyjąć propozycję Realu Madryt, kiedy ten wyraził gotowość do negocjacji. Przyczynił się do tego również fakt, że w tamtym czasie Barcelona zrezygnowała z usług Samitiera, wielkiego sprzymierzeńca Argentyńczyka.

Tak pokrótce wyglądała ta sprawa.

Alfredo Di Stéfano w wieku 19 lat zadebiutował w lidze argentyńskiej jako piłkarz River Plate w meczu z Huracánem – drużyną, do której został wypożyczony w następnym sezonie. Po powrocie do River Plate zdobył mistrzostwo, strzelając 17 goli. Z reprezentacją Argentyny wystąpił w mistrzostwach Ameryki Południowej, wygrywając je i zdobywając pięć bramek w sześciu meczach. Był rok 1947.

W roku 1948 w Argentynie doszło do strajku piłkarzy zawodowych i rozgrywki ligowe kończyli amatorzy. Sytuacja wróciła do normy w 1949 roku, już w maju, ale Di Stéfano, jeden z najbardziej aktywnych strajkujących, zbuntował się przeciwko zarządowi klubu kierowanemu przez Libertiego. Na ten rok datuje się jego pierwszą podróż do Europy – przybył do Włoch, żeby zagrać w meczu, z którego dochód miał być przeznaczony dla rodzin piłkarzy Torino, którzy zginęli w katastrofie na wzgórzu Superga.

9 sierpnia 1949 roku w Argentynie pojawia się informacja: „Alfredo Di Stéfano i Néstor Rossi uciekają do Kolumbii”. Rossi, środkowy pomocnik, był innym wielkim piłkarzem River Plate. W tamtym czasie w Kolumbii panowała osobliwa sytuacja. Grupa dyrektorów utworzyła własne stowarzyszenie z dala od federacji (zawodową ligę nazwaną División Mayor) i jako że nie

musieli z nim się rozliczać, zaczęli rekrutować piłkarzy niemal ze wszystkich krajów Ameryki Południowej, oferując im wysokie zarobki bez konieczności płacenia za transfery.

Di Stéfano był tylko jednym z nich, a było ich wielu. Związał się z Millonarios. Kluby z federacji kolumbijskiej wniosły skargę do FIFA i udało im się wywalczyć to, że międzynarodowa federacja nie uznawała drużyn z División Mayor, ale ona i tak działała, na własnych zasadach i bez konieczności rozliczania się z kimkolwiek. Ponieważ konflikt się przedłużał, FIFA postanowiła wysłać Ottorino Barassiego na Kongres Południowoamerykański, który zorganizowano w Limie w 1951 roku. Barassi doprowadził do porozumienia pomiędzy obiema stronami, znanego jako Układ z Limy.

Przyznawano w nim „pirackim” kolumbijskim klubom prawo do piłkarzy do dnia 15 października 1954 roku, ale zabraniano im sprzedawania ich do jakiegokolwiek innego zespołu. Począwszy od tej daty, prawa do tych zawodników wracały do ich poprzednich klubów, z których wcześniej odeszli bez zapłaty za transfer. To oznaczało, że Di Stéfano prawnie należał do Millonarios aż do 15 października 1954 roku, a potem prawa do niego miały wrócić do River Plate.

Jeśli ktoś jest zainteresowany szczegółami, zamieszczam tekst z postanowieniami Układu z Limy, które dotyczyły sprawy Di Stéfano:

2. Piłkarze z klubów División Mayor, którzy uprzednio należeli do klubów zrzeszonych w federacjach narodowych z następujących ośmiu krajów: Argentyny, Boliwii, Brazylii, Chile, Ekwadoru, Paragwaju, Peru i Urugwaju i którzy zostali wytransferowani, nie posiadając odpowiedniego certyfikatu poświadczającego transfer ze swoich poprzednich klubów, mają pozwolenie, by nadal występować w swoich aktualnych klubach z División Mayor aż do 15 października 1954 roku. Po tym terminie piłkarze są zobligowani do natychmiastowego powrotu do swoich poprzednich klubów.

3. Kolumbijska Federacja Piłkarska nie jest upoważniona do wytransferowania ani jednego z tych zawodników do innej federacji narodowej, chyba że wcześniej zostało to już uzgodnione z zainteresowaną federacją.

4. Piłkarze z klubów z División Mayor, wytransferowani bez certyfikatu poświadczającego transfer, wyostrosowanego przez ich poprzednie kluby, i nieprzynależący do klubu z federacji narodowej jednego z ośmiu krajów wspomnianych powyżej, w punkcie drugim, i zawieszeni za ten czyn przez swoją federację narodową, zostają zawieszeni i nie mają pozwolenia, by nadal występować w swoim klubie z División Mayor, dopóki nie dojdzie do porozumienia, o które formalnie i w trybie natychmiastowym ma wnieść odpowiednia federacja narodowa.

Układ ten i późniejsze włączenie do FIFA klubów z División Mayor pozwoliły Millonarios oraz pozostałym drużynom rozgrywać mecze towarzyskie w innych krajach, co do tamtej pory było zakazane. I tak Real Madryt zaprosił Millonarios, razem ze szwedzką drużyną Norrköping, na turniej zorganizowany z okazji pięćdziesięciolecia istnienia klubu, w marcu 1952 roku. Wygrało go Millonarios, a wśród jego piłkarzy szczególną uwagę przykuwał środkowy napastnik Alfredo Di

Stéfano ze względu na swoją ruchliwość, styl gry i zachowanie w polu karnym. Z sześciu goli, które Millonarios strzeliło w dwóch meczach (remis 2:2 ze Szwedami i zwycięstwo 4:2 z Realem Madryt), on zdobył trzy bramki i przyczynił się do strzelenia trzech pozostałych. Władze Realu kusily szefów Millonarios w kwestii ewentualnego przejścia ich piłkarza do Madrytu, ale Kolumbijczycy odpowiedzieli im, że porozumienie jest niemożliwe z powodu klauzuli zawartej w Układzie z Limy, która zabraniała transferowania piłkarzy.

Uzgodniono jednak rozegranie w lipcu dwóch meczów towarzyskich w Kolumbii w ramach *tournée* Realu Madryt po Ameryce, podczas którego mieli też zmierzyć się z Millonarios w Serie Mundial w Wenezueli, turnieju znanym powszechnie jako małe mistrzostwa świata. Od 6 do 27 lipca Real Madryt zagrał z Millonarios cztery mecze, dwa w Bogocie i dwa w Caracas, wszystkie bardzo zacięte.

W święta Bożego Narodzenia w 1952 roku zespół Millonarios odwiedził Chile, żeby zagrać kilka spotkań towarzyskich, a Di Stéfano skorzystał z okazji, by pojechać stamtąd do Buenos Aires. Wtedy postanowił nie wracać do Kolumbii. W tamtym momencie zamierzał nieodwołalnie – jak sam mi opowiadał – wziąć rozbrat z futbolem. Od czterech lat grał w Kolumbii, gdzie trzykrotnie zdobył mistrzostwo i raz wicemistrzostwo; zarobił tam sporo pieniędzy, ożenił się z dziewczyną ze swojej dzielnicy Buenos Aires, miał dwie córki, jego ojcu dobrze się powodziło, więc kupił dość duże gospodarstwo, które piłkarz mógł prowadzić. Di Stéfano panicznie bał się latać samolotami, tym bardziej po kraju, między górzystymi obszarami w Kolumbii, zresztą w trakcie jednego z takich lotów zginął Carlos Gardel. Zainteresowanie w Kolumbii „piracką” ligą, na którą jeszcze do niedawna był prawdziwy boom, spadało, zmniejszały się dochody, a Millonarios, żeby zapewnić sobie wpływ, dość często grało mecze towarzyskie po całej Ameryce Południowej, co było kolejną udręką dla Di Stéfano. Im więcej lotów, tym więcej tortur. Wszystko to skłaniało go do powrotu do Argentyny. Poza tym wcześniej wypłacono mu część należności za następnny sezon: cztery tysiące dolarów.

Kiedy zapytałem go, dlaczego nie oddał tych pieniędzy, odpowiedział, że z racji tego, iż Millonarios swego czasu nie zapłaciło za jego transfer; uważał to za słuszne, ponieważ klub niczego nie tracił. We wspomnieniach (*Gracias, Vieja*, w których redagowaniu uczestniczyłem razem z Enrique Ortego) podaje inną wersję, a mianowicie, że chodziło o jakieś zaległości finansowe, dlatego te pieniądze mu się należały.

Zamierzał, jak mówił, porzucić futbol. Nie uśmiechało mu się wracać do River Plate po czterech latach od ucieczki. A Układ z Limy go do tego obligował. Albo myślał już, co zrobi, kiedy nadejdzie 15 października 1954 roku, gdy znów będzie należał do River. Zostawiał za sobą w Kolumbii imponujące statystyki: w 294 meczach strzelił 267 goli. A wcześniej rozegrał 66 meczów i strzelił 49 goli w rozgrywkach ligi argentyńskiej. Do tego trzeba też dodać występy w reprezentacji *Albiceleste*: pięć goli w sześciu meczach. Kariera, oszczędności, żona, którą ciągnie do domu, dwie córki, do które trzeba się zatroszczyć, nigdy nieprzezwyciężony strach przed lataniem...

Klub Millonarios, tym razem jako poszkodowany, złożył skargę do FIFA, donosząc na Di Stéfano, że ten, mając ważny kontrakt do 15 października 1954 roku, pobrał wspomniane cztery tysiące dolarów jako zaliczkę. I FIFA poinformowała wówczas narodowe federacje o anormalnej sytuacji piłkarza, zwracając uwagę na niemożność sprowadzenia go.

Krótko mówiąc, na początku 1953 roku Di Stéfano przebywał w Buenos Aires, zbuntowany przeciwko Millonarios, do którego należał do 15 października 1954 roku, i z zobowiązaniem powrotu do River Plate wraz z 1 stycznia 1955 roku.

Podczas gdy Di Stéfano próbował uporać się ze skomplikowaną sytuacją w życiu, w Hiszpanii przeżywano niepokój: Kubala zachorował. Po drugim meczu w sezonie 1952/53, który Barça

grała w Oviedo 21 września, przestał pojawiać się w składzie. Od czasu towarzyskiego spotkania z Espanyolem w dniu święta La Mercè zmagał się z urazem kolana, w rzeczywistości jednak dręczyło go coś innego. „Z kolaniem jest w porządku, to, co mi dolega, to kaszel, który nie daje mi żyć” – mówi. Z badań wynika, że nabawił się gruźlicy – choroby, którą dziś łatwo wyleczyć, lecz wtedy przerażała. Kubala zaraził się bakterią Kocha; zdjęcia rentgenowskie ukazały na jego płucu plamę wielkości piłeczki tenisowej, jak wówczas poinformowano. Jego pojemność płuc, podaje prasa tamtej epoki, zmniejszyła się z siedmiu do pięciu litrów.

W karcie lekarskiej Kubali zostaje zamieszczona dramatyczna notatka: „Niezdolny do uprawiania sportu”. Wobec takiego pesymizmu pojawia się nazwisko doktora Recasensa, któremu udało się wyleczyć Aloya, piłkarza Barcelony, również cierpiącego na gruźlicę. Ale wydaje się, że choroba Kubali jest w bardziej zaawansowanym stadium. W kilka dni stracił sześć kilogramów. Wizerunek chorego Kubali porusza cały kraj, to wielka sprawa. Recasens zaleca dużo świeżego powietrza, zdrowe jedzenie i odpoczynek, wybiera też górską miejscowość Monistrol de Calders, która natychmiast zdobywa popularność. Tam udaje się Kubala, a za nim podążają dziennikarze, na bieżąco informując o postępach w leczeniu piłkarza. Pokazywane w NO-DO zdjęcia Kubali spacerującego między sosnami, w grubym golfie, to stały obrazek z zimy 1953 roku. Recasens zapewnia, że za trzy miesiące zawodnik wróci na boisko, jednak nikt w to nie wierzy.

Dlatego też prezes Barcelony Enrique Martí Carreto zleca José Samitierowi, sekretarzowi technicznemu klubu, żeby sprowadził jakąś wielką gwiazdę, która zajmie miejsce Kubali. I Samitier proponuje Di Stéfano, który w Buenos Aires przyjmuje wizytę wysłannika Barcelony: Domingo Valsa Tabernera y Riery. Ten namawia, żeby przeszedł do Barcy, zapewnia, że w Hiszpanii będzie podróżował pociągami, a nie samolotem, opowiada mu o rozgrywkach ligi hiszpańskiej i o Barcelonie. Do transferu zachęca go ojciec. Z pewnością wiedział, że synowi zostało w nogach jeszcze sporo goli i że jeśli zakończy karierę, będzie tęsknił za futbolem. I tak przekonuje jego żonę Sarę. Ponownie opuszczają więc dom i wyjeżdżają do Hiszpanii, chociaż piłkarz, niezbyt chętny, ostrzega wysłanników: „Tyłko na próbę”.

Równolegle Barça kupuje od River Plate prawa do Di Stéfano, za które płaci równowartość dwóch milionów peset, odkładając zapłatę drugiej raty w takiej samej wysokości. Dzięki temu otrzymuje prawa do piłkarza wraz z 1 stycznia 1955 roku i oczekuje, że wobec takiego obrotu spraw Millonarios zgodzi się na transfer wcześniej. A sprawy wyglądają tak, że piłkarz nie chce już wracać do Kolumbii i że River Plate sprzedało go Barcelonie, z przekazaniem praw w 1955 roku.

23 maja 1953 roku Di Stéfano ląduje na lotnisku Barajas. Tam odbiera go Samitier. Di Stéfano nawiązał z nim kontakt podczas turnieju z okazji pięćdziesięciolecia Realu Madryt, na którym obecny był ówczesny sekretarz techniczny Barcy. Polubili się. Samitier autem zabiera Di Stéfano i jego rodzinę (żonę i dwie córki) do Barcelony, zatrzymując się na nocleg w Saragossie. W stolicy Katalonii na początku goszczą go w Residencia Córcega, a potem wynajmują mu mieszkanie.

Tymczasem rokowania Recasensa się potwierdziły i dzięki jego kuracji Kubala wyzdrowiał. Pokonuje chorobę i wraca do treningów nawet wcześniej, niż przewidywano i już 24 lutego występuje na El Sardinero w meczu, który zakończył się remisem 3:3. Stracił 13 kolejek ligowych. W następną niedzielę, na Les Corts, kibice przeżywają szczęśliwe popołudnie, gdy Barça pokonuje Saragossę 8:0. W momencie przybycia Di Stéfano minęło już kilka tygodni od powrotu Kubali, który jest całkowicie wykurowany, a Barcelona pewnie zmierza po kolejny ligowy tytuł.

Di Stéfano nie jest już tak bardzo potrzebny. A jego transfer się komplikuje, ponieważ Millonarios twierdzi, że nadal dysponuje prawami do piłkarza, który nie może być wystawiany

przez Barcelonę nawet w meczach towarzyskich. Nie zezwala na to FIFA, a on zaczął na się nudzić i tracić nadzieję. Czego ja tu szukam? – zastanawia się. W Barcelonie mówią mu, żeby czekał, a on czeka i czeka.

Barça znów zdobyła mistrzostwo kraju i Puchar Hiszpanii. Dzięki temu sukcesowi została zaproszona na małe mistrzostwa świata do Caracas. Martí, prezes klubu, zapowiedział przez wyjazd, że wykorzysta podróż, aby rozwiązać sytuację piłkarza. „Złatwię transfer Di Stéfano” – oświadcza w prasie. Jednak rozmowa, którą odbył z Alfonso Senioem, prezesem Millonarios, nie zakończyła się pomyślnie. Senior za przekazanie praw do Di Stéfano zażądał 27 tysięcy dolarów (1 350 000 peset), kwoty, która Martiemu wydała się przesadzona. Jego wypowiedzi po nieudanych negocjacjach były stanowcze: „Barcelona jest w stanie mieć Di Stéfano przez cały sezon, nawet jeśli nie będzie grał. Millonarios musi obniżyć swoje żądania”. To bynajmniej nie spodobało się Argentyńczykowi, który poczuł się potraktowany przedmiotowo.

Gdyby tylko Martí Carreto zgodził się wtedy na zapłacenie 27 tysięcy dolarów, o które prosiło Millonarios, Di Stéfano byłby pełnoprawnym piłkarzem Barcelony.

Tymczasem gdy drużyna uczestniczy w małych mistrzostwach świata, Di Stéfano występuje w trzech letnich meczach towarzyskich w pobliskich miejscowościach: El Masnou, Sitges i Palafrugell. I jest coraz bardziej sfrustrowany i poirytowany.

I wtedy właśnie Real Madryt wysłał do Bogoty Raimundo Saportę z 27 tysiącami dolarów, jakich Alfonso Senior zażądał od Barcy. Osiągnął porozumienie i Real Madryt otrzymał prawa do Di Stéfano do 15 października 1954 roku. Saporta kontynuował podróż do Buenos Aires; tam udał się do siedziby River Plate, gdzie dowiedział się, że Barcelona dokonała już wpłaty dwóch milionów peset na poczet uzgodnionej kwoty, czyli czterech milionów, dlatego też Real Madryt nie mógł zrobić ostatniego kroku, żeby zdobyć wszystkie prawa do Di Stéfano. Ale przynajmniej zapewniono go, że River Plate nie będzie się mieszał do ewentualnego przyszłego konfliktu.

Z dokumentem od Millonarios w kieszeni Raimundo Saporta pojechał do Barcelony, gdzie w hotelu Regina spotkał się z piłkarzem. Di Stéfano był rozczłuszczony i zdenerwowany, miał dość upału i wilgotnego powietrza Barcelony, do którego nie był przyzwyczajony. „Co państwo robiecie? Blokujecie mnie?” Ale Saporta przekonał piłkarza, że naprawdę są zainteresowani sprowadzeniem go, na dowód czego wręczył mu zaliczkę.

7 sierpnia z Ameryki wróciła drużyna *azulgrana*. Enrique Martí przyjechał bez pucharu i bez złatwienia sprawy Di Stéfano, ponieważ nie zapłacił żądanej przez Millonarios kwoty. 9 sierpnia Samitier odszedł ze stanowiska sekretarza technicznego Barcelony po rozmowie z Martíem, podczas której nie doszli do porozumienia w kwestii przedłużenia umowy dawnego barcelońskiego Czarodzieja, co spowodowało, że Di Stéfano czuł się w Barcelonie jeszcze bardziej samotny. Wszak wielkim sprzymierzeńcem tego transferu i jego wielkim przyjacielem był właśnie José Samitier. Tydzień później prezes Millonarios spotkał się w Madrycie z Santiago Bernabéu, finalizując definitywnie operację zmiany klubu przez Di Stéfano.

Ale nie było to tak oczywiste:

- Barcelona nie mogła wystosować prośby o licencję dla Di Stéfano w Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej bez przekazania praw do niego, które posiadał Real Madryt.
- Real Madryt nie mógł wystosować prośby o licencję dla Di Stéfano bez zatwierdzenia River Plate, który z kolei sprzedał prawa do niego Barcelonie. Koło się zamyka, a federacja hiszpańska, wobec zbliżającego się końcowego terminu rejestracji zagranicznych piłkarzy na sezon 1953/54, zwróciła się do FIFA. W odpowiedzi

najważniejsza piłkarska instytucja orzekła: „Alfredo Di Stéfano nie będzie mógł grać w żadnym hiszpańskim klubie, dopóki jego sytuacja nie zostanie całkowicie wyjaśniona w teście międzynarodowej federacji”.

24 sierpnia 1953 roku zaczęło obowiązywać nowe rozporządzenie Ministerstwa Sportu zakazujące rejestrowania nowych zagranicznych piłkarzy do gry w lidze hiszpańskiej. Pozostało tylko jedno rozwiązanie: Real Madryt i Barcelona powinny dojść do porozumienia, żeby – za przyzwoleniem FIFA – poszukać wyjścia z tej sytuacji dla Di Stéfano. Barcelońskie władze postanowiły jeszcze dokonać ostatniej próby. 26 sierpnia wiceprezes Narcís de Carreras spotkał się w Madrycie z Alfonso Senioem. Z powodu złych relacji, jakie od niedawna łączyły prezesa Barcelony z kolumbijskim klubem, na spotkanie przyszedł Carreras, a nie Martí.

Prezes Millonarios potwierdził wiceszefowi Barcelony, że sprawa została załatwiona na korzyść Realu Madryt. Narcís de Carreras przybył zbyt późno, żeby skorygować błędny kierunek, jaki obrał jego prezes. Enrique Martí zwrócił się wówczas do władz Juventusu Turyn, żeby sprzedać mu prawa do argentyńskiego piłkarza. Ten krok jeszcze bardziej rozłościł Di Stéfano, z którym nikt się wcześniej nie skonsultował i który uważał, że gdyby do tego doszło, dla niego wszystko wyglądałoby tak samo: klub, w tym przypadku Juve, dysponowałby częścią praw od River Plate, a inny klub, Real Madryt, miałby część praw od Millonarios. Widząc, że to rozwiązanie też nie zda egzaminu, Martí zwrócił się do River Plate, starając się anulować podpisany między oboma klubami kontrakt i uzyskać zwrot pieniędzy (dwóch milionów peset), przekazanych już klubowi z Buenos Aires, na co River Plate nie przystał. W tym momencie piłkarz nie interesował już Barcelony, ta wolała odzyskać dwa miliony, ale nie chciała też przekazać praw Realowi Madryt, mimo że zaczynała odczuwać presję pod tym względem.

List, w którym River Plate odrzucał propozycję Barcy, podpisany przez prezesa Enrique Pardo, brzmiał następująco:

1. Kiedy River Plate przekazał prawa do Di Stéfano C.F. Barcelona, nie istniało postanowienie federacji hiszpańskiej, która w późniejszym okresie zabroniła kontraktowania zagranicznych piłkarzy.
2. W umowie transferowej Di Stéfano stwierdzono, że jakiegokolwiek porozumienie z piłkarzem było zawierane na odpowiedzialność C. F. Barcelona.
3. Dostarczając pismo z przekazaniem praw do Alfredo Di Stéfano Argentyńskiej Federacji Piłkarskiej, aby sformalizować jego przejście do Barcelony, River Plate został całkowicie odcięty od piłkarza i „od późniejszych zobowiązań”.
4. Jeśli federacja hiszpańska wydała postanowienie po dokonaniu transferu, River Plate nie ma nic do powiedzenia.

Enrique Martí, z którym przy okazji rozmawiałem o tej sprawie, powiedział mi, że grożono mu skontrolowaniem finansów w jego zagranicznych interesach. Tę samą wersję Narcís de Carreras przedstawił Emilio Pérezowi de Rosasowi i mnie, kiedy w październiku 1982 roku pracowaliśmy razem nad pewnym artykułem dla „El País”, o czym wspominam w innym rozdziale książki:

Nasz prezes Martí Carreto został wezwany do Madrytu. Stamtąd zadzwonił do mnie i powiedział, że wywierają na niego naciski, żeby zrzekł się praw do Di Stéfano. Powiedziałem mu, żeby zaczął i udałem się do Madrytu. Tam, jak się później dowiedziałem, byliśmy śledzeni przez prywatnych detektywów, a nasze rozmowy zawsze były podsłuchiwane. Byliśmy poddawani wszelkiego rodzaju presji. Martí Carreto otrzymał nawet telefon od wysokiego rangą urzędnika z Ministerstwa Handlu, który powiedział mu: „Do tej pory nie miałeś problemów z Instytutem Walut Obcych, ale jeśli będziesz upierał się w sprawie Di Stéfano, nie wiemy, co się wydarzy”.

Enrique Martí i jego zarząd zrozumieli, że rozwiązanie trzeba było szukać w Chamartín i FIFA. Międzynarodowa federacja wyznaczyła jako mediatora Armando Muñoz Calero, byłego prezesa Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej i członka Komitetu Wykonawczego FIFA. Ten zdecydował, że Di Stéfano będzie grał w Realu Madryt w sezonach 1953/54 i 1955/56, a w Barcelonie w 1954/55 i 1956/57. Po zakończeniu tych czterech sezonów oba kluby powinny dojść do porozumienia odnośnie do przyszłości piłkarza w Hiszpanii.

Poniżej przytaczam tekst tej umowy, podpisanej w Madrycie 15 września 1953 roku przez prezesa Barcelony Enrique Martíego, prezesa Realu Madryt Santiago Bernabéu i Muñoz Calero, członka Komitetu Wykonawczego FIFA.

Akceptując w pełni rozjemczość pana Armando Muñoz Calero, jak również ustanowione przez niego klauzule, z adnotacją, że powstały one w najlepszej wierze rozwiązania tej kwestii i wymagają uprzedniej akceptacji ze strony Jego Wysokości Sr. Conde del Alcázar de Toledo, ministra sportu, oraz zgody Królewskiej Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej:

a) Piłkarz Alfredo Di Stéfano, po spełnieniu regulaminowego wymogu prawnego zarejestrowania w Królewskiej Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej, będzie mógł być wystawiany w pierwszej drużynie Realu Madryt C. F. w sezonach 1953/54 i 1955/56 i w Barcelonie C. F. w sezonach 1954/55 i 1956/57 zarówno w meczach oficjalnych, jak i towarzyskich, a także w treningach zamkniętych i otwartych dla publiczności, które oba kluby uznają za stosowne zorganizować.

b) Kluby Barcelona C. F. i Real Madryt C. F. wyznaczą delegata, który posiadając pełnię władzy, będzie rozliczał wydatki dokonywane przez każdy klub.

c) Po zakończeniu sezonu 1956/57 oba kluby, za zgodą piłkarza Alfredo Di Stéfano i jeśli pozwolą na to ówczesne rozporządzenia prawne, zdecydują o późniejszych występach piłkarza w Hiszpanii.

d) Wymienione wyżej kluby, za obopólną zgodą, będą mogły modyfikować powyższe klauzule w kwestii definitywnego przekazania praw do piłkarza na rzecz jednego z nich, pod warunkiem że tej kontraktowej modyfikacji nie będą przeciwne aktualne rozporządzenia wyższych organów.

e) Bez względu na rozwiązanie, jakie Ministerstwo Sportu przyjmie odnośnie do piłkarza Di Stéfano, obaj prezesi zobowiązują się do podjęcia największych wysiłków, żeby wzmocnić przyjazne relacje sportowe, jakie zawsze powinny istnieć między klubami o tak dużej tradycji wśród piłkarskiej publiczności w Barcelonie i Madrycie.

Umowa została podpisana, ale nadal istniała poważna przeszkoda w postaci zakazu sprowadzania zagranicznych zawodników od dnia 24 sierpnia. Barcelona i Real Madryt wniosły odwołanie do generała Moscardó, podając, że działania i zobowiązania między wszystkimi stronami zostały wyjaśnione, zanim zakaz wszedł w życie, z czym zgadza się Ministerstwo Sportu z dniem 19 września:

Ze względu na wniesione przez wiele klubów do Ministerstwa Sportu odwołania z powodu propozycji złożonej wyższemu organowi przez Ministerstwo odnośnie do zakazu sprowadzania zawodowych piłkarzy i widząc powody zamieszczone we wspomnianych odwołaniach, Ministerstwo na sesji z dnia 18 bieżącego miesiąca postanowiło zaproponować wyższemu organowi zatwierdzenie wspomnianego zakazu, z wyjątkiem tych transferów, które były w trakcie realizacji przed 22 sierpnia 1953 roku. Porozumienie to zostało zatwierdzone przez wyższy organ w całej rozciągłości.

Dzięki tej decyzji oprócz Di Stéfano zostały otwarte drzwi także dla takich zawodników jak Faas Wilkes (Holender, którego sprowadziła Valencia), Andrés Prieto (Chilijczyk, który związał się z Espanyolem) i Carlos Ducasse (Francuz, który przeszedł do Valladolid). Przypadki całej trójki były identyczne: ich transfery znajdowały się w trakcie realizacji, zanim ustanowiono zakaz sprowadzania obcokrajowców.

Prezes Enrique Martí wziął na siebie odpowiedzialność za wszystkie błędy popełnione w sprawie Di Stéfano i 22 września złożył dymisję. Powołano komisję zarządzającą, na czele której stanął były prezes Agustín Montal (ojciec). Rozpisał on nowe wybory, które wygrał Francisco Miró--Sans. Pismo, w którym Enrique Martí podawał się do dymisji, zawierało następujący tekst:

Barcelona, 22 września 1953

Przyjmując uprzejme zaproszenie, jakie składa mi szanowny gubernator cywilny, i świadomy moich obowiązków, czuję się zobowiązany do podania do wiadomości publicznej *socios* i wszystkich sympatyków Club de Fútbol Barcelona powodu złożenia dymisji.

Po rozpoczęciu negocjacji z River Plate, mających za cel sprowadzenie piłkarza Alfredo Di Stéfano, nie mogliśmy utrzymywać oficjalnych relacji z zawodnikiem, jako że było to regulaminowo zabronione przez Królewską Federację Piłkarską, dopóki transfer nie stanie się faktem.

Po otrzymaniu zgody ze strony River Plate skontaktowaliśmy się z klubem Millonarios Bogota i po długich negocjacjach i zmianach zakomunikowano nam, że klub, który przedstawi otrzymane prawa od River, uzyska również prawa od Millonarios. Tak się nie stało, ponieważ później dowiedzieliśmy się, że prezes Millonarios przekazał swoje prawa Realowi Madryt. Gdy opublikowano rozporządzenie Ministerstwa Sportu odnośnie do piłkarzy zagranicznych, które z szacunkiem zaakceptowaliśmy, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by przenieść piłkarza do klubu zagranicznego.

Jako że w tym celu potrzebowaliśmy pozwolenia Realu Madryt, udałem się do stolicy i pod auspicjami członka FIFA, który zaoferował pomoc, przeprowadzono wszelkie działania, aby doprowadzić do transferu przy całkowitej zgodzie Realu Madryt, ostatecznie jej nie uzyskując. W tej sytuacji, starając się już tylko bronić sportowych i ekonomicznych interesów klubu, przy rozjemczej roli doktora Muñoz Calero, wystosowana została wspólna petycja do szanownego pana ministra sportu z prośbą o wyjątek dla wspomnianego piłkarza, ponieważ regulaminowe formalności zostały dopełnione już wcześniej.

Konieczne było jednak, żeby oba kluby doszły do porozumienia i po mozolnym wysiłku z mojej strony w celu przewyciężenia wszystkich trudności w sprawie, która bardziej niż trudna wydała mi się wyjątkowa, zaakceptowałem decyzję i podpisałem układ, który ustanawiał równość ekonomiczną i naprzemienny kontrakt z oboma klubami pod warunkiem, że za obopólną zgodą jeden klub mógł definitywnie przekazać piłkarza drugiemu klubowi. Natychmiast po powiadomieniu Komisji Zarządzającej klubem, wiedząc, że wielu *socios* wołałoby, żeby porozumienie miało inną formę, utwierdziłem się w przekonaniu, że którykolwiek z nich z większym powodzeniem mógłby wypełnić tę misję lepiej niż ja i z własnej woli złożyłem nieodwołalną dymisję, przyjętą przez Królewską Hiszpańską Federację Piłkarską.

Stojąc na czele C. de F. Barcelona, pracowałem z radością i największym wysiłkiem, a gdy klub odnosił sportowe sukcesy, zawdzięczał je współpracy moich kolegów z zarządu, pracy trenerów, innych pracowników klubu, a przede wszystkim piłkarzy, których zawsze zagrzewałem do walki i darzyłem prawdziwą sympatią. Ponieważ nie zrobiłem wszystkiego, co chciałbym zrobić na rzecz klubu, nie mam żadnego powodu, aby czuć zadowolenie, chociaż moje pięcioletnie działania na czele klubu są dość znane. Dlatego też, składając dymisję, nie czuję rozgoryczenia. Zawsze pracowałem dla dobra barw *azulgrana* mojego ukochanego C. de F. Barcelona.

Podpisano: Enrique Martí.

Zarejestrowanie Di Stéfano nastąpiło o zmierzchu 22 września 1953 roku. Następnego dnia Argentyńczyk zadebiutował na Chamartín w meczu przeciwko Nancy. Real Madryt przegrał 2:4, a *La Saeta Rubia* (Blond Strzała) w 67. minucie strzelił pierwsze gola w koszulce *los blancos*. Jego występ – po dziewięciomiesięcznej nieobecności w oficjalnych rozgrywkach – nie wzbudził wielkich emocji. Jego waga, 79,8 kilograma, znacznie odbiegała od tej wskazującej na dobrą formę zawodnika. W następną niedzielę, 27 września, zadebiutował w lidze. Po pięciu kolejkach Real Madryt miał nad Barceloną dwa punkty przewagi. W środę 14 października Komisja Zarządzająca Barcy na cotygodniowym zebraniu postanowiła zrzec się wszystkich praw do Di Stéfano, pod warunkiem że klub otrzyma od Realu finansową rekompensatę za wydatki, jakie musiała ponieść Barcelona w trakcie trwania transferowych przepychanek. Albo Daucikowi nie podobał się Di Stéfano, który występował już w Realu, albo uważano, że jako lider drużyny wystarczał całkowicie już wyleczony Kubala, albo też Di Stéfano wydał się Barcelonie szczególnie konfliktową osobą. I tak Agustín Montal i Alberto Maluquer stwierdzili, że Barcelona jest zbyt ważnym klubem, żeby dzielić piłkarza z rywalem, więc spotkali się w Madrycie z Santiago Bernabéu, żeby ostatecznie zakończyć całą sprawę.

25 października, w siódmej ligowej kolejce, obie drużyny mierzyły się na Chamartín. W tym momencie przewodziły w tabeli *ex aequo*, każda z dziesięcioma punktami na koncie. Przed meczem, wygranym przez Real 5:0, między innymi dzięki dwóm golom Di Stéfano, odbyło się spotkanie przedstawicieli obu klubów, kiedy to podpisano dokument, który kładł kres sporowi i którego treść brzmiała następująco:

Madryt, 23 października 1953.

W Madrycie, dnia 23 października 1953, z jednej strony pan José Vidal-Ribas Güell, jako członek Komisji Zarządzającej Club de Fútbol Barcelona, odpowiednio upoważniony oraz w imieniu i na rzecz wskazanego klubu, a z drugiej pan Santiago Bernabéu de Yeste, jako prezes Realu Madryt Club de Fútbol, w imieniu i na rzecz tegoż, w związku z porozumieniem uzgodnionym między prezesami obu klubów w dniu 15 września minionego miesiąca, pod nadzorem pana Armando Muñoz Calero, członka FIFA, uzgadniają i ustalają:

Po pierwsze, Club de Fútbol Barcelona zrzeka się na rzecz Realu Madryt Club de Fútbol wszystkich należnych praw, jakie zapisano w ustępie a) wspomnianej wcześniej umowy odnośnie do piłkarza, pana Alfredo Di Stéfano, który począwszy od tego momentu, będzie należał na wyłączność do Realu Madryt Club de Fútbol w okresie czterech lat obowiązywania wspomnianej umowy.

Po drugie, Real Madryt Club de Fútbol w ramach rekompensaty za zrzeczenie się praw zobowiązuje się przekazać C. de F. Barcelona kwotę 4 005 000 peset na poczet wydatków, jakie poniósł C. de F. Barcelona, a także procent przełożonej zapłaty w części, jaką powinien uiścić Real Madryt C. de F.

Po trzecie, wskazaną kwotę 4 005 000 peset Real Madryt C. de F. uścił w następujący sposób: 1 225 000 peset wręczanych jest na tym spotkaniu przez czek na okaziciela numer 329998, obciążający rachunek numer 20337, który Real Madryt C. de F. ma otwarty w Banco Mercantil e Industrial w Madrycie. 1 500 000 peset w postaci weksła wystawionego przez Real Madryt C. de F., z datą przedawnienia 31 lipca 1954, numer A3351252. 750 tysięcy peset w postaci drugiego weksła wystawionego przez Real Madryt C. de F., z datą przedawnienia 31 stycznia 1955, numer A3351253. 930 tysięcy peset w postaci kolejnego weksła, wystawionego z datą przedawnienia 31 lipca 1955, numer A3351254. Kwota ta reguluje wcześniejszą zapłatę i wszystkie wydatki, a wraz z nią zostają unieważnione wszelkie zobowiązania, jakie Real Madryt C. de F. miał wobec C. de F. Barcelona z racji praw posiadanych do piłkarza, pana Di Stéfano.

Na potwierdzenie powyższego porozumienie w czterech kopiach podpisują obie strony w Madrycie, z datą wskazaną powyżej.

Na dokumencie widnieją oczywiście podpisy wszystkich trzech osób.

Kiedy Di Stéfano przybył do Realu, klub miał na koncie tylko dwa mistrzostwa kraju, oba zdobyte w czasach Republiki. Od 15 lat, tych po ciężkiej wojnie, nie wygrał ligi. Począwszy od przybycia Di Stéfano, Real Madryt zdobył tyle tytułów mistrzowskich, ile wszystkie pozostałe drużyny razem. Poza tym wygrał pięć pierwszych edycji Pucharu Europy, stając się światową legendą i budując niesamowitą władzę, dzięki której górował nad Barceloną praktycznie aż do lat 90.

W Barcelonie wiele się na ten temat pisało i przyjmuje się za historyczną prawdę, że reżim, czyli sam generał Franco we własnej osobie, postanowił, iż Di Stéfano będzie grał w Realu Madryt. Po przeczytaniu wszystkiego na ten temat (w bardzo wielu tekstach napisanych w Barcelonie widziałem mnóstwo przesadzonych i nieścisłych informacji) moja opinia jest taka, że Barça straciła zainteresowanie tym piłkarzem, a Real Madryt przeciwnie: ożywił je.

Gdyby reżim był tak bardzo zainteresowany faworyzowaniem Realu Madryt, ten nie pozostawałby bez triumfu w lidze aż do sezonu 1953/54.

Gdyby reżim chciał zaszkodzić Barcelonie, nie włożyłby takiego wysiłku, żeby ułatwić jej zakontraktowanie Kubali. Wtedy wygrała Barça, ponieważ w federacji miała Cabota, ale przede wszystkim dlatego, że na piłkarzu zależało jej bardziej niż Realowi. Ponieważ zgodziła się na zatrudnienie Daucika jako trenera i ponieważ na każdym kroku działała uparcie i starannie. I troszczyła się o piłkarza w okresie niepewności.

Zupełnie inaczej było z Di Stéfano. Gdyby tylko Martí Carreto zapłacił Seniorowi kwotę, o jaką ten go prosił, miałyby Di Stéfano. Real Madryt, który w tym przypadku do negocjacji włączył się później, był bardziej zdecydowany i nieustępliwy. Zapłacił Millonarios, a potem walczył o resztę praw, najpierw w Buenos Aires, a następnie w Hiszpanii. I zadbał o piłkarza, gdy ten przeżywał trudne chwile.

Tak odnosi wrażenie, że Barça do końca była pod presją. Że to, o czym opowiadali mi Martí Carreto i Narcis de Carreras, musiało być prawdą. Ale dochodzi do tego dopiero pod koniec, kiedy Barcelona stara się „umieścić” prawa do zawodnika w Juve albo zwrócić je River Plate, byle tylko nie przekazać ich Realowi. To tylko przeciągnęłoby sprawę i stawiałoby

federację hiszpańską w złym świetle w oczach FIFA, jako że część praw do Di Stéfano nadal byłaby w posiadaniu jednego klubu (Realu Madryt), a druga część – drugiego (Juve albo River Plate, gdyby zgodzili się na propozycję Barcelony). I stąd wywieranie presji, mniej lub bardziej dyskretne, żeby Katalończycy przyczynili się do rozwiązania tej kwestii.

Jeśli nie chcecie piłkarza, nie przedłużajcie tej sytuacji – taka mogła być teza. Ale Barça miała prawo próbować uniknąć przynajmniej tego, żeby piłkarz trafił do Realu. Można się nie wzmocnić danym zawodnikiem, ale inną sprawą jest, gdy wzmacnia się nim odwieczny rywal. I Barça uważała, że ingerencja Realu i wykupienie przez madrycki klub praw od Millonarios spowodowały, że Senior nie zgodził się sprzedać jej zawodnika.

Di Stéfano, w którego cytowanych już wspomnieniach można śledzić te perypetie w czterech rozdziałach, również słyshał o presji wywieranej na Barcelonę. Opowiada o tym tak

Barcelona miała wielką drużynę. Wygrywała wszystko. Kubala był prawdziwą maszyną. Stadion, mieszczący 45 tysięcy osób, zawsze był zapelniony, by nie rzec – przepełniony. A ja myślałem sobie: „Skoro są takimi mistrzami, to po co mają jeszcze ściągać mnie?”. Zawsze tak myślałem. Mówiło się, że chcieli mnie sprowadzić, ponieważ Kubala był chory na płuca i miałem go zastąpić. Ale uważam, że to nie z tego powodu. Słyszałem, że prezes Enrique Martí otrzymywał groźby, ponieważ prowadził interesy z Marokiem. Mówiło się, że chciano sprawdzić, skąd brał pieniądze, że naciskano na niego z Madrytu.

Mimo wszystko trzeba spojrzeć na to z perspektywy tamtego momentu. Di Stéfano nie był tym, kim stał się później. Był dobrym piłkarzem, znanym nielicznym, a nie supergwiazdą całej epoki, którą miał zostać dopiero później. W tamtej chwili nikt nie mógł przewidzieć, że będzie miał bardziej decydujący wpływ na historię hiszpańskiego futbolu niż sam Kubala czy jakkolwiek inny piłkarz. Niemożliwe, by żelim przewidział coś takiego, żeby wywierać presję. Naciskał po prostu dlatego, żeby sprawa została wreszcie zakończona, kiedy Barça rzuciła już ręcznik, a Real był bardziej uparty w tej kwestii.

Warto jeszcze przytoczyć wywiad, którego Samitier udzielił gazecie „Dicen” kilka dni po dymisji Enrique Martíego Carreto. Wyjaśniał on jeszcze więcej. Zamieścił go Justo Conde, przez wiele lat redaktor „Dicen”, w *La guerra que nunca cesa*.

W tej samej książce opowiada, że niedługo przed opublikowaniem wywiadu Samitier wystąpił na konferencji w Peñi Solera. Podczas późniejszej debaty jeden z obecnych zapytał go: „Gdyby pojechał pan do Caracas, mógłby pan sprowadzić Di Stéfano do Barcelony?”. Odpowiedział: „Transfer Di Stéfano mógłbym załatwić ja albo ktokolwiek inny, ko pojechałby do Ameryki, posiadając wystarczającą władzę. Chodziło jedynie o zapłacenie lub niezapłacenie”. W wywiadzie, który znajduje się poniżej, porusza się tę kwestię.

– Di Stéfano był potrzebny?

– Tak i każdy, kto miałby klasę tego człowieka.

– Z tego, co wiem, przychodził do Barcelony za twoją radą. Jak mogliście go stracić?

– Przyjechał do Barcelony i w każdej chwili wiedział dokładnie, jakie kroki są wykonywane. Prezes Martí, pan Guardiola, Narcís de Carreras i inni robili wszystko, żeby

załatwić jego transfer. Prezes nigdy niczego nie zignorował.

– A więc dlaczego wam się wymknął?

– Dokładnie mógłby to wyjaśnić prezes Martí, ja nie jestem w stanie tego zrobić.

– Transfer Di Stéfano był trudniejszy niż Kubali?

– Poniekąd.

– Ty sprowadziłeś Ladislao Kubalę, a jednak nie udało ci się z Alfredo Di Stéfano.

– Nie jest prawdą, że to ja sprowadziłem Kubalę; to zarząd Agustína Montala i Narcísa de Carrerasa to zrobił; ja tylko szedłem możliwie najszybszą ścieżką moich przyjaciół w Hiszpanii i poza nią, ale powtarzam, że wszelkie działania zawsze należały do Montala, Carrerasa, wraz z Guardiola i Doménechem. Co do Di Stéfano, to ci, którzy pojechali do Ameryki, mieli wszelkie argumenty, żeby go sprowadzić do nas.

– Gdybyś pojechał, ściągnąłbyś go?

– Gdybym dostał polecenie, by tak zrobić, sprowadziłbym go bez żadnej dyskusji. Di Stéfano straciliśmy, kiedy nadszedł najdogodniejszy moment, żeby go ściągnąć.

– A zatem myślisz, że...

– Nie pytaj o nic więcej!

– I...

– Nie!

– Nie denerwuj się tak, człowieku.

Żeby zamknąć całą sprawę, dołączam jeszcze wywiad z prezesem Millonarios Alfonso Senioem, opublikowany rok później w barcelońskim magazynie sportowym „Club”. Rozmowa, przeprowadzona przez Mariano Fernández Pereirę, skupia się głównie na ewentualnym transferze Villaverde z Millonarios do Barcy, do którego szczęśliwie dojdzie później. Poniżej znajduje się fragment odnoszący się do Di Stéfano:

– Panie Alfonso, czy osobiście chowa pan jakąś urazę do Barcelony? Wydaje się, że przez sprawę Di Stéfano relacje między panem a tym klubem bardzo się ochłodziły.

– Z mojej strony mogę pana zapewnić, że nie mam nic przeciwko temu tak podziwianemu hiszpańskiemu klubowi. Co więcej, chciałem, żeby działania podjęte przez Barcelonę w celu sprowadzenia Di Stéfano zakończyły się dla niej pomyślnie. Ale szefowie Barcelony wycofali się i wtedy właśnie Millonarios rozpoczęło negocjacje z Realem Madryt. I od tamtej chwili, gdy rozmowy zostały zerwane (nie relacje, żebyśmy się dobrze zrozumieli), dotrzyaliśmy z panem Santiago Bernabéu naszego słowa. Wiem, że barcelońska prasa nie traktowała mnie wtedy zbyt dobrze, co jest logiczne, ponieważ nie znała niektórych bardzo ważnych szczegółów sprawy Di Stéfano.

15. REAL MADRYT PANUJE W PUCHARZE EUROPY

W połowie lat 50. futbol był gotowy, żeby przekraczać granice w Europie. Wypełniały się stadiony, wieści zaczynały się rozchodzić szybciej i pojawiła się ciekawość, żeby zobaczyć wielkie drużyny z innych krajów. Po odbudowaniu zniszczonych przez wojnę linii kolejowych oraz wobec stale rozwijającego się transportu lotniczego nadszedł właściwy moment.

Dość często organizowano interesujące mecze towarzyskie. Dwa z nich, rozgrywane zimą 1954 roku na należącem do Wolverhampton starym stadionie Molineux, dadzą początek wielkiej inicjatywie utworzenia Pucharu Europy. Wolves pokonali 4:0 Sparta Moskwa, który cieszył się wtedy ogromnym prestiżem, oraz 3:2 Honvéd Budapeszt, drużynę Puskása, Kocsisa i Czibora, uznawaną za najlepszą w tamtym czasie. Jeden ze sprawozdawców, w przyпіlywie entuzjazmu, na łamach „Daily Mail” określił Wolves mistrzami świata.

Gabriel Hanot, specjalny wysłannik „L'Équipe” na tamte mecze, napisał mądry artykuł, który okazał się kamieniem węgielnym Pucharu Europy, dziś Ligi Mistrzów. Stwierdził on, że Wolverhampton wygrało dwa mecze u siebie, pokonując rywali, którzy grali na nieznanym sobie terenie i po długiej podróży. I rzucił pewien pomysł: rozgrywki, w których mierzyliby się ze sobą mistrzowie wszystkich europejskich krajów (zasięg światowy był nie do pomyślenia) w systemie pucharowym (mecz u siebie i na wyjeździe) – i także do finału.

Bernabéu natychmiast podchwycił tę ideę. Dzięki Di Stéfano Real Madryt wygrał ligę w 1954 roku i wygra ją też w 1955. Bernabéu podszedł do tego projektu z wielkim entuzjazmem, skontaktował się z „L'Équipe” i od początku był wielkim propagatorem pomysłu.

Razem z Raimundo Saportą pojechał do Paryża i spotkał się z grupą pionierów projektu. Z tamtego czasu wywodzą się ciepłe relacje, obopólny szacunek i podziw między Realem Madryt a „L'Équipe”, które przetrwały do dziś.

Na początku kwietnia 1955 roku odbywały się spotkania w paryskim hotelu Ambassador, na których Bernabéu i Saporta byli bardzo aktywni. Zebraniom przewodniczył Jacques Goddet, redaktor naczelny „L'Équipe”. Bernabéu zaproponował – bardzo słusznie – wiceprezesa federacji francuskiej Ernesta Bédignansa na szefa komitetu organizacyjnego, co regulowało główną rolę Francji w całym projekcie. Było to sprawiedliwe rozwiązanie – wszak to stamtąd pochodził pomysł. Sam Bernabéu i Węgier Gusztáv Sebes zostali mianowani wiceprzewodniczącymi.

(Na marginesie: to godne podziwu, że tym ludziom, w owym czasie, zaledwie w dekadę po zakończeniu drugiej wojny światowej, udało się wcielić w życie paneuropejską inicjatywę, łączącą demokrację i dyktaturę, kapitalizm i komunizm, monarchie i republiki, kraje z jednej i z drugiej strony tego, co Winston Churchill nazwał żelazną kurtyną. Znamienny jest też wybór wiceprzewodniczących: jeden był z Hiszpanii Franco, a drugi z Węgier, kraju znajdującego się wówczas w orbicie komunistycznej wpływow).

Następne spotkanie odbyło się w Madrycie, w maju, w hotelu Castellana Hilton. Wobec obiekcji niektórych zebranych, uważających, że kluby z większymi stadionami będą miały większe wpływy z biletów, Bernabéu (którego klub miał stadion z największą liczbą miejsc z zespołów liczących się w rozgrywkach) zaproponował podzielenie wpływów na wszystkich uczestników. Takszczodra oferta napotkała jednak trudności.

FIFA i UEFA początkowo patrzyły na ten projekt z pewnym sceptycyzmem, zresztą ta pierwsza patronowała utworzeniu Pucharu Miast Targowych, o czym później się przekonamy. UEFA została założona w 1954 roku. Do tamtej pory sprawami europejskiego futbolu zajmowała

się sama FIFA, która powstała i rezydowała w Europie, co tłumaczy fakt, że na tym kontynencie osobna konfederacja powstała później niż na innych, bardziej od niego oddalonych. Od momentu utworzenia UEFA planowała zorganizowanie europejskiego turnieju reprezentacji w rodzaju tych, które odbywały się już w Ameryce Południowej i Afryce, dlatego też organizatorom Pucharu Europy zabroniono używać tej nazwy, rezerwując ją dla przyszłych mistrzostw z udziałem reprezentacji. Swoje rozgrywki postanowili więc nazwać Pucharem Klubowych Mistrzów Europy.

Widząc, że sprawa robi się poważna, UEFA postanowiła wsiąść do tego pociągu w biegu i na następnym spotkaniu, już w Paryżu, dołączyła do projektu, zgadzając się, by komitet organizacyjny dokonał losowania pierwszej rundy i narzucając warunek, żeby uczestnicy posiadali zezwolenie na udział od właściwej sobie federacji. Dlatego w pierwszej edycji nie wzięli udziału mistrz Anglii, Chelsea, której tamtejsza federacja nie wydała zgody, trochę ze względu na typowe dla Anglików patrzyenie z wyższością na to, co inni robili w „ich” futbolu. Ostatecznie, to oni go wynaleźli. Widząc jednak, że inicjatywa osiąga sukces, wzięli udział już w drugiej edycji, za sprawą mistrza z sezonu 1955/56, Manchesteru United ery Busby Babes^[37].

Inicjatywa „L'Équipe” ruszyła w rekordowym tempie. 4 września w Lizbonie odbył się pierwszy mecz, między Sportingiem Lizbona a Partizanem Belgrad, zakończony remisem 3:3. Nie wszyscy uczestnicy pierwszej edycji byli mistrzami swoich krajów z poprzedniego sezonu, chociaż większość tak Ci, którzy nimi nie byli, decyzją własnych federacji wzięli udział w rozgrywkach choćby dlatego, że mistrz odmówił udziału z powodu braku środków czy niewiary w sens uczestnictwa w turnieju albo dlatego, że dana federacja pokładała większe nadzieje w innej drużynie. Krajami, które reprezentowano, były: Francja, Hiszpania, Portugalia, Włochy, Holandia, Belgia, Szwajcaria, Niemcy, Saara (wtedy jeszcze niezależna federacja, obecnie terytorium Niemiec), Austria, Szwecja, Szwajcaria, Dania, Jugosławia, Węgry i Polska.

Rozgrywki zmieniły historię Realu Madryt dzięki Di Stéfano. Real wygrał pięć pierwszych edycji, pokonując po drodze Servette, Partizana, Milan, Stade de Reims (pierwszy finał), Rapid Wiedeń, Niceę, Manchester United, Fiorentinę (drugi finał), Royal Antwerp, Seville, Vasas, Milan (trzeci finał), Beşiktaş, Wiener Sportklub, Atlético Madryt, Stade de Reims (czwarty finał), Jeunesse d'Esch, Niceę, Barcę i Eintracht Frankfurt (piąty finał).

W oparciu o tę niepowtarzalną passę zbudowano legendę Realu Madryt. Począwszy od drugiej edycji Pucharu, w rozgrywkach brali udział prawie sami mistrzowie swoich krajów, z wyjątkiem Sevilli i Atlético Madryt. A to dlatego, że mistrz Europy (Real) był automatycznie kwalifikowany do udziału w następnej edycji. Spowodowało to, że od drugiej aż do szóstej edycji w rozgrywkach uczestniczyły po dwie hiszpańskie drużyny. W drugiej edycji znalazł się tam Athletic Bilbao jako mistrz z poprzedniego sezonu i na tej samej zasadzie Barça zagrała w piątej i szóstej edycji, w których zmierzyła się z Realem Madryt. W trzeciej i czwartej udział brały Sevilla i Atlético Madryt, wicemistrzowie, ponieważ Real wywalczył sobie prawo do uczestniczenia w europejskim pucharze na dwa sposoby: dzięki tytułowi mistrza Europy i mistrza Hiszpanii, więc do rozgrywek automatycznie dopuszczono wicemistrza tego kraju. W tamtych latach żaden inny kraj nie miał dwóch reprezentantów, jako że tylko Real wygrywał Puchar Europy.

Jak łatwo wywnioskować, patrząc na wymienionych powyżej rywali Realu, aby wygrać rozgrywki, klub z Madrytu musiał przejść przez trzy rundy i zagrać w finale. W rzeczywistości – począwszy od drugiej edycji, kiedy liczba uczestników się prawie podwoiła – rozgrywano cztery rundy, ale Real, jako zwycięzca poprzedniej edycji, był automatycznie zwolniony z gry w pierwszej. Rywalizację zaczynał od razu od 1/8 finału. Inne drużyny z Hiszpanii grały od 1/16 finału.

Barça była poza tym wszystkim. Nie interesowała się spotkaniami organizacyjnymi, na których prym wiodł Real. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego. A stała przed wielką szansą, ponieważ „L'Équipe” skontaktował się z nią, zanim do gry włączył się Real, by uczestniczyć w spotkaniach organizacyjnych. Pierwszym pomysłem było zaproszenie drużyn z każdego kraju, cieszących się największym prestiżem, a to Barça miała za sobą lepszy okres niż Real. Carlos Pardo, ważny kataloński dziennikarz tamtej epoki, opowiada o tym Xavierowi G. Luque i Joaquínowi Lunie w „La Vanguardii”, poświęcając tej sprawie całą stronę w wydaniu z 30 maja 2004 roku. Pardo był patronem hiszpańskiego sportu, wiele razy sprowadzał do Hiszpanii Globetrottersów, organizował Sześć Dni Kolarstwa w Madrycie i zawsze śledził wszelkie sportowe nowinki. On jako pierwszy mówił w Hiszpanii o Pucharze Europy. I pierwszym klubem, który zapoznał z tym pomysłem, była Barcelona. W cytowanym tekście wspomina to tak:

„L'Équipe” poprosił mnie (był ich korespondentem w Barcelonie), żebym z inicjatywy dziennika zaprosił Barcelonę do uczestnictwa w pierwszym Pucharze Europy w 1955 roku, ponieważ zimą sprzedawało się mało egzemplarzy gazety, w przeciwieństwie do lata, gdy odbywał się Tour de France. Uczestniczyć w Pucharze można było jedynie dzięki zaproszeniu, a w Hiszpanii wymagania prestiżowe spełniały tylko Barcelona, Real Madryt, Valencia i Bilbao... Zanim poszedłem porozmawiać z klubem, Samitier ostrzegł mnie: „Odmówię ci, zobaczysz”. Zaskoczył mnie. Umówiłem się na spotkanie w klubie, przy Méndez Vigo, z sekretarzem Doménechem (prezydentem był Martí Carreto), który prowadził wszystkie sprawy klubu. Spotkanie było zaplanowane na siódmą, ale przyjął mnie dopiero o wpół do dziesiątej. Kiedy wyjaśniłem, że przychodzę w imieniu „L'Équipe”, zapytał: „Ze co?”. Przeczytał warunki i odpowiedział: „To jest jakaś utopia, to się nigdy nie uda”. I opowiadał, że należałoby przywrócić rozgrywki o mistrzostwo Katalonii, tak jak było przed wojną. „Bardzo mi przykro, Pardo. Dziękuję”. W tamtych czasach prezes rzadko wtrącał się do takich spraw. Wściekły wróciłem do domu, a żona zasugerowała mi: „Dlaczego nie zadzwonisz do swojego przyjaciela z Realu Saporty?”. Pomyślałem, że ma rację i że przecież nic nie tracę. Rozmowa przebiegała tak „Dzwonię do ciebie w sprawie Pucharu Europy”. „Barça nie jest zainteresowana? I zapraszasz nas?” Był zachwycony. Poprosił, żebym następnego ranka przyleciał do Madrytu. Na lotnisku Barajas stał samochód Bernabéu, który czekał na mnie w biurze razem z Saportą i dyrektorem generalnym Calderónem. A następnego dnia wszyscy udaliśmy się do Paryża, gdzie w jednym z hoteli powołano do życia rozgrywki Pucharu Europy. Pierwszy finał Real zagrał ze Stade de Reims. Zawsze byli mi za to wdzięczni...

(Ze względu na upływ czasu Carlos Pardo popełnia błąd. Prezydentem Barcy w tamtym czasie nie był już Martí Carreto, lecz Miró-Sans).

Sukces Pucharu Europy zaskoczył Barcelonę, podobnie jak i wielu innych. FIFA, która na nowy turniej klubowy patrzyła z mieszkanką sceptycyzmu i zazdrości, zorganizowała własne

rozgrywki – Puchar Miast Targowych. Pomysł polegał na tym, żeby w rozgrywkach mierzyły się ze sobą reprezentacje ważnych miast targowych; wychodzono z założenia, że klubowy futbol nie generował jeszcze wystarczająco dużych wpływów, aby utrzymać taki turniej, więc Puchar mógłby być organizowany przy wsparciu urzędów miast.

Wobec inicjatywy wiceprzewodniczącego FIFA Ernsta B. Thommena, zajmującego się szwajcarskimi zakładami sportowymi, pomysł zaczęto wcielać w życie od 1954 roku. Prezes federacji włoskiej Ottorino Barassi był jednym z jego sprzymierzeńców. Barça należała do drużyn, które poparły pomysł. Musiało jednak minąć trochę czasu, żeby rozgrywki nabrały rozpędu. W pierwszej edycji oprócz Barcelony udział wzięły: Bazylea, Kopenhaga, Frankfurt, Lipsk, Londyn, Zagrzeb, Lozanna, Birmingham i Mediolan. Pierwsza edycja trwała trzy lata, ponieważ starano się, żeby mecze zbiegały się z targami. Tylko cztery miasta wystawiły drużyny klubowe, chociaż pod nazwą miasta: Mediolan, Birmingham, Lozanna i Barcelona. Barça robiła wystarczająco dużo, aby nie dopuścić do gry żadnego piłkarza Hiszpanii, ale mimo to pierwszą edycję rozgrywała z herbem miasta, pod nazwą miasta, nie jako FC Barcelona, i w białych lub niebieskich strojach, a nie granatowo-bordowych. Pozostałe miasta wystawiły połączone siły kilku drużyn. Barça wygrała tamtą pierwszą trzyletnią edycję. W finale pokonała Londyn XI, zespół złożony z piłkarzy z wielu drużyn, który w trakcie tego długiego turnieju w ośmiu meczach wystawił 54 zawodników pochodzących z 11 londyńskich klubów: Tottenhamu, Chelsea, Arsenalu, QPR, Fulham, Charlton Athletic, Millwall, Leyton Orient, Brentford i Crystal Palace.

Druga edycja trwała tylko dwa lata i uczestniczyło w niej już więcej drużyn klubowych, aczkolwiek Belgrad, Kopenhaga, Kolonia, Lipsk, Bazylea i Zagrzeb wystawiły mieszane składy. Barça wygrała również tę edycję, tak samo jak zwyciężyła też w 1966 roku, kiedy udział brały już wyłącznie kluby, chociaż nie kwalifikowały się one do rozgrywek, lecz były do nich zapraszane. Rozgrywki zaczęły przybierać taki charakter, że ostatecznie pod swoje skrzydła przyciągnęła je UEFA i od 1971 roku znane były jako Puchar UEFA. Brały w nich udział najwyższej klasy fikowane kluby z wyjątkiem krajowych mistrzów, którzy grali w Pucharze Europy, a także triumfatorów krajowego pucharu, występujących z kolei w Pucharze Zdobywców Pucharów.

Santiago Bernabéu lekceważył te rozgrywki, nazywał je „miasteczkowym pucharem”, co naturalnie niezmiernie irytowało Barcelonę. I oczywiście w powszechnej opinii było to tylko marne pocieszenie w latach, w których Real Madryt zyskał nieznaną nigdy wcześniej sławę, zarówno w kraju, jak i poza nim, ze swoim zwycięskim białym wojskiem, którego okrzyk triumfu przetaczał się po całej Hiszpanii, najpierw za pośrednictwem radia, później zaś na magicznych zdjęciach NO-DO, w wiadomościach pokazywanych w kinach między filmami podczas podwójnych seansów.

16. REAL MADRYT DOPROWADZA DO ZWOLNIENIA HH

Jedną z ofiar tej wspaniałej passy Realu Madryt była sama Barça. Miało to miejsce podczas piątej edycji Pucharu Europy w sezonie 1959/60. Real wygrał cztery pierwsze, a główne role w drużynie odgrywali Di Stéfano, Puskás i Gento. Ale Barcelona triumfowała w lidze w sezonie 1958/59, podobnie jak w sezonie 1959/60, tym razem dzięki lepszemu bilansowi bramkowemu, po zaciętej walce z Realem. Miała bardzo solidną obronę, złożoną z samych Katalończyków, silnych i skutecznych, a także grających na światowym poziomie ośmiu napastników: Tejadę, Eulogio Martíneza, Kubalę, Kocsisa, Evaristo, Luisa Suáreza, Villaverde, Czibora...

Jej szkoleniowcem był znakomity Helenio Herrera, geniusz tamtej epoki. Człowiek, który na nowo zdefiniował zawód trenera i którego znaczenie, zarówno pod względem piłkarskim, jak i kontrowersyjnego sposobu bycia, można zrozumieć tylko wtedy, gdy spojrzy się dziś na José Mourinho. Niesamowicie uzdolniony i ambitny, został zatrudniony przez Barcelonę, żeby za wszelką cenę zatrzymać Real Madryt i – podobnie jak Mourinho – chwycił się wszystkiego. Jego słowa, prawdziwe czy też tylko mu przypisywane, przeszły do historii: „Wygramy bez wychodzenia z autobusu”, „W dziesięćciu gra się lepiej niż w jedenastu”, „Niech o mnie mówią, nawet jeśli będą mówić dobrze”. Słynna była jego umiejętność sprawiania, że piłkarze ślepo za nim podążali. Rządził w Barcelonie tak samo albo nawet bardziej dyktatorsko niż Mourinho w Realu. Pewnego razu upierał się, że Olivella nie powinien nosić gipsu z powodu kontuzji i sam zdjął go piłkarzowi za pomocą kamienia (później musiał założyć go zawodnikowi na nowo, ale udało mu się doprowadzić do tego, że z klubu zwolniono lekarza).

Do półfinału Barça w Pucharze Europy szła jak burza. W 1/16 finału wyeliminowała CDNA Sofia – 2:2 w pierwszym meczu i 6:2 w rewanżu, w dniu, w którym na Camp Nou po raz pierwszy grano przy sztucznym oświetleniu (Real korzystał z niego już od trzeciej edycji; mecze Pucharu Europy rozgrywano w środku tygodnia, dlatego musiały się one odbywać wieczorami). W 1/8 finału pokonała Milan – 2:0 na wyjeździe i 5:1 u siebie. Najlepiej zaprezentowała się jednak w ćwierćfinale, przeciwko angielskiemu Wolverhampton. Tamten dwumecz jest dzisiaj nieco zapomniany, ale był to jeden z najbardziej chwalebnych momentów w historii Barcelony. Pierwsze spotkanie grano na Camp Nou, gospodarze wygrali je 4:0. Na wyjeździe, na starym Molineux, Barça znów urządziła goleadę, zwyciężając tym razem 5:2. O występie Katalończyków najlepiej świadczy fakt, że po meczu angielscy piłkarze zrobili szpaler Barcelonie, okłaskując jej schodzących do szatni zawodników.

Dotarliśmy do półfinału, w którym losowanie przydzieliło jej Real Madryt, Barça była faworytem. Poza tym w lidze, gdzie w pierwszej części sezonu nie wiodło jej się najlepiej, wygrała osiem kolejnych meczów i znacznie zbliżyła się do Realu, z którym zrównała się liczbą punktów, pokonując go 20 marca na Camp Nou 3:1. W pierwszym meczu Barcelona przegrała na Bernabéu 0:2, ale dzięki wspomnianemu zwycięstwu zrównała się pod względem liczby goli i

znalazła na ścieżce wiodącej prosto do zdobycia tytułu. Udało się to, kiedy w ostatniej kolejce pokonała Saragoosę, kilka dni przed meczami półfinałowymi w Pucharze Europy. Barcelona zakończyła sezon, mając na koncie 86 goli strzelonych i 28 straconych, podczas gdy Real Madryt miał 92 strzelone i 36 straconych. Wtedy nie brano pod uwagę różnicy bramek, tak jak teraz, tylko ich iloraz; większy stosunek goli strzelonych do straconych dał Barcy mistrzowski tytuł, zaś jej bramkarz Antoni Ramallets zdobył Trofeo Zamora^[38]. Przy różnicy bramek stosowanej obecnie, też byłaby mistrzem: +58 kontra +56.

Krótko mówiąc, Barça miała wszelkie dane ku temu, żeby po raz pierwszy przerwać passę Realu Madryt w Pucharze Europy. Zresztą Helenio Herrera był przekonany, że tak właśnie będzie. Jego drużyna była młodsza i silniejsza, Di Stéfano i Puskás mieli już ponad 30 lat i sami mówili, że zaczynają odczuwać trudy sezonu, co brzmiało wiarygodnie, biorąc pod uwagę, jak Barcelona odbierała straty w jego drugiej części.

Ale tak się nie stało. Real Madryt wygrał 3:1 na Santiago Bernabéu i 3:1 na Camp Nou. Był lepszy w obu tych meczach. Jeśli kogoś interesuje tamta epoka, polecam książkę *Los once y uno* (Jedenastu i jeden) Gonzalo Suáreza, reżysera filmowego, który był także dziennikarzem sportowym znanym pod pseudonimem Martín Girard. Gonzalo Suárez śledził z bliska oba sezony Helenio Herrery w Barcelonie (1958/59 i 1959/60) i opowiada o wszystkich wydarzeniach z tamtego czasu. Nazwiska są zmienione, być może z uwagi na okoliczności, z łatwością można je jednak zidentyfikować, jeśli posiada się choćby elementarną wiedzę. Hiszpania to Barataria, Real i Barça to odpowiednio Club Central i Club Condal, Helenio Herrera to Hipólito Hernández, Di Stéfano to Di Paperone, Kubala to Bronko, Puskás – Panko i tak dalej. Lektura jest prawdziwą przyjemnością, książka bardzo dobrze opisuje wydarzenia i atmosferę tamtej epoki.

Dwumecz zbiegł się w czasie z propozycją, jaką za pośrednictwem najsłynniejszego agenta tamtych czasów Luisa Guijarro Santiago Bernabéu złożył Helenio Herrerze – aby przeszedł do Realu Madryt. Wiadomość o zainteresowaniu Realu była powszechnie znana, Bernabéu chciał Helenio Herrere, a oferta ta wśród barcelońskich kibiców wywołała w tamtych dniach podejrliwość i nieufność. Potem okazało się, że Herrera wykorzystał propozycję Realu, żeby otrzymać jeszcze lepszą ze strony Interu Mediolan, którą ostatecznie przyjął. Mając dobre oko, wiedział prawdopodobnie, że Real niebawem będzie potrzebował odmłodzenia drużyny i że nie było to dla niego pieniędzy. I że Barça też nie poddała tak dużym wydatkom. I że wielkie pieniądze i przyszłość znajdowały się we Włoszech. Miał rację: w ciągu dwóch lat Barcelona musiała sprzedać Luisa Suáreza do Interu, a Real Luisa del Sola do Juventusu za odpowiednio 25 i 22 miliony peset. Obaj byli młodymi, utalentowanymi zawodnikami, zmuszonymi do odejścia, żeby ich kluby mogły dalej funkcjonować.

Ale wracając do meczów: Barça w poprzednich rundach odniosła pięć zwycięstw i raz zremisowała, strzelając 24 gole i tracąc 7. 17 kwietnia została mistrzem Hiszpanii. Była też w finale Pucharu Miast Targowych, który dzięki remisowi w pierwszym meczu w Birmingham był już niemal rozstrzygnięty (potem kataloński zespół zdobył trofeum, wygrywając 4 maja w rewanżu 4:1).

Tuż po zakończeniu rozgrywek ligowych Barcelona pojechała do Madrytu na pierwszy mecz półfinałowy. I to właśnie wtedy Helenio Herrera niespodziewanie odpalił lont: zachęcił swoich piłkarzy, żeby poprosili o podniesienie wysokości ustalonej wcześniej premii. Sobrequés tak opowiada o tym w książce o historii Barcy:

I wtedy wybuchł skandal: piłkarze Barcelony, bynajmniej nie w porę, zachęceni przez Helenio Herrere, poprosili o podniesienie uzgodnionej premii. Był to „protest Berzosa”. W

napiętej i dusznej atmosferze nikogo nie zdziwiło to, że Real Madryt pokonał Barcelonę 3:1, a potem znów 3:1

27 kwietnia na Camp Nou. Reakcja władz klubu na tę traumatyczną porażkę była błyskawiczna: 30 kwietnia klub przekazał mediom informację o zwolnieniu trenera Helenio Herrery. Punkt trzeci był kluczem do całej sprawy:

3. Klub stanowczo dementuje rozprowadane oraz publikowane plotki na temat rzekomego niedotrzymywania przezeń zobowiązań finansowych wobec trenera albo piłkarzy; prawda wygląda tak, że wypełnione zostały wszystkie kontrakty, które mimo obowiązywania zostały jeszcze raz przejrane; podobnie jak i skala premii, rosnąca dla piłkarzy profesjonalnych. Wszystko to sprawia, że nie do zaakceptowania są nowe wymagania, które złamałyby ustanowione normy i skomplikowałyby ekonomiczną sytuację klubu, zwłaszcza że czas i miejsce ich przedstawienia oraz nagła i powszechna forma, w jakiej je wysunięto, dowodzą wzrastającej obsesji na punkcie innych rzeczy, całkowicie przedkładanych ponad aspekty sportowe, co prowadzi do mylenia zawodowych zobowiązań i ataku na władzę, którą sprawujemy i z której nie możemy zrezygnować, wypełniając nasze obowiązki.

Helenio Herrera we wspomnieniach, które zatytułował *Yo (Ja)* – to bardzo ciekawa książka, wydana w 1962 roku z pomocą Martina Girarda-Gonzalo Suáreza, autora wstępu – w ten sposób opowiada o sprawie z premiami:

Kiedy na kilka godzin przed meczem delegacja piłkarzy, na czele której stał Evaristo, zapytała pana Miró-Sansa, dlaczego premie są tak niskie w porównaniu do wcześniejszych, pan Miró-Sans, nie myśląc, że jego odpowiedź może wpłynąć negatywnie na zawodników, odparł: „Ten mecz nas nie interesuje”. Enigmatyczne słowa, które bez wątpienia nawiązywały do faktu, że będąc mistrzami Hiszpanii, nawet przegrywając, mieliśmy już zapewniony udział w Pucharze Europy w następnym sezonie.

Nie trzeba przypominać, że Miró-Sans był prezydentem Barcelony. W każdym razie wydaje się, że smartwienie związane z premiami było wszechobecne.

Helenio Herrera przyznaje w autobiografii, że Barça pierwszy mecz zagrała źle (nie uznano jej dwóch goli, do czego nikt nie miał obiekcji) i pogodził się z tym, co wydawało się minimalną porażką, a zakończyło wynikiem 1:3 dzięki bramce Di Stéfano w końcówce.

I bez ogródek mówi o braku wiary ze strony szefostwa klubu, co niewątpliwie miało wpływ na boiskowe wydarzenia:

Szefowie klubu, którzy – zanim rozpoczął się drugi sezon – podwoili moje pobory, mimo że się tego nie domagałem, od dawna mówili mi o przedłużeniu umowy. Ja jednak zawsze odpowiadałem wymijająco. W związku z tym zaczęli podejrzewać prawdę: Herrera podpisał kontrakt z innym klubem. Mówiło się nawet o Realu Madryt, który faktycznie złożył mi propozycję.

Skrzętnie ukrywałem moją umowę z Interem, ponieważ byłem też jeszcze trenerem reprezentacji i obawiałem się, że mój wyjazd za granicę będzie źle postrzegany, chociaż wszyscy rozumieli, że nie było przyjemnie mieszkać w Barcelonie z nożem na gardle.

Doprecyzujmy, że w tym czasie Helenio Herrera oprócz tego, że był trenerem Barcelony, prowadził również hiszpańską drużynę narodową.

Później tak wspominał mecz rewanżowy:

Ciągle wierzyłem, że w Barcelonie odrobimy straty z pierwszego meczu, ale byłem zmartwiony. I słusznie! W Barcelonie moja drużyna zagrała intensywnie przez 20 minut i właśnie wtedy Puskás strzelił nam gola po indywidualnej akcji z kontrataku. Zniechęcenie Barcelony było całkowite, Real Madryt rozegrał zaś wspaniałe spotkanie, tańczył tak, jak chciał, w niesamowitym tempie potwierdzał dominację na boisku. Gento rozrywał naszą obronę tyle razy, ile mu się podobało. Słowem, cała drużyna z Madrytu zagrała na wysokim poziomie, a Ramallets, dzięki odważnym i pewnym interwencjom, uchronił nas od wyższej porażki. 3:1 było wystarczającym wynikiem, żeby Real dalej podążał swą imponującą, triumfalną ścieżką w Pucharze Europy, podczas gdy my byliśmy rozczarowani i naturalnie rozgoryczeni.

Sprawy przybrały szybki obrót następnego dnia po wyeliminowaniu Barcelony. Zdarzenie jest bardzo dobrze opisane w dwóch cytowanych książkach, *Los once y uno* i *Yo*, chociaż w tej drugiej Helenio Herrera łagodzi nieco ton. HH poprosił kilku francuskich dziennikarzy, żeby zrobili o nim reportaż. Ci spacerowali z nim po mieście i go fotografowali. Gdy dotarli do Las Ramblas, przy Canaletas stała spora grupka kibiców. Warto dodać, że dziś jest to miejsce, w którym kibice Barcelony świętują zdobyte tytuły, a wtedy było to centrum nieustannych spotkań. Jeśli ktoś miał ochotę porozmawiać o futbolu, przychodził właśnie tam, ponieważ w pobliżu zawsze przynajmniej kilka tuzinów osób rozprawiało na ten temat. Przechodząc obok grupy fanów, jeden z dziennikarzy zapytał Helenio Herrere: „Odważy się pan zatrzymać?”, a ten potwierdził.

Całą grupę wprawiło to w osłupienie. Niezadowoleni kibice zadawali trenerowi pytania, na które on błyskawicznie odpowiadał.

- Dlaczego zagrał Suárez, skoro bolała go noga?
- A dlaczego jedna noga Suáreza warta jest więcej niż dwie nogi innego piłkarza?
- To prawda, że mecz został sprzedany Realowi?
- Nic z tych rzeczy!
- W Madrycie nie uznali nam dwóch goli.

- Co można zrobić przy dwóch nieznanym golach?
- Skoro nie uznali nam jednego, trzeba strzelić drugiego.
- To nie była wina arbitrów, lecz nasza, ponieważ z góry założyliśmy, że tutaj wygramy.
- Ale tutaj przegraliśmy. Czyja to wina?
- Puskása.

Dziennikarze myśleli, że Helenio Herrera przekonał do siebie grupę kibiców, w związku z czym poprosili ich, by wzięli trenera na ramiona, żeby zrobić zdjęcie. Kiedy do tego doszło, inni fani się wściekli i sytuacja się zaogniła do tego stopnia, że Helenio Herrera musiał wziąć nogi za pas i schować się w najbliższym bezpiecznym miejscu, którym okazał się hotel, gdzie nocowała drużyna Realu Madryt. To jeszcze bardziej rozsierdziło kibiców.

- Nie masz wstydu! Idź po pieniądze, które ci obiecali w zamian za wygraną!

Wobec zamieszania na miejscu pojawił się policjant, który wszedł do hotelu chronić trenera i skontaktował się z komisariatem, żeby przysłano kogoś w celu spacyfikowania grupy fanów, co też uczyniono.

Więści o incydencie były przekazywane z ust do ust i następnego dnia gazety napisały, że Helenio Herrera został zaatakowany przy Canaletas przez wściekłych kibiców. Nie było to nic poważnego, ale sytuacja zrobiła się nie do wytrzymania. Stąd też wystosowana przez klub informacja o zwolnieniu trenera. W rewanżowym meczu finałowym Pucharu Miast Targowych z Birmingham na ławce usiadł już Enric Rabassa, człowiek z klubu.

I tak zakończył się wspaniały okres Helenio Herrery w Barcelonie, który zostawił po sobie dwa mistrzostwa i Puchar Hiszpanii (w sezonie 1958/59 zdobył dublet) i dał nadzieję na zdystansowanie Realu. Tamten półfinał niespodziewanie zatrzymał „formułę HH”, za pomocą której Barça marzyła o zakończeniu prymatu Realu Madryt w Europie. Odejście Herrery spowodowało, że Barcelona wpadła w dołek, z którego długo nie była w stanie wyjść: aż do 1974 roku, kiedy to do klubu przybył Cruyff, nie potrafiła zdobyć mistrzostwa kraju.

17. PAN ELLIS I PAN LEAFE

Dwumeczem z Barceloną Real Madryt wskoczył na szczyt. Krótco potem zagrał swój najlepszy i najsłynniejszy finał, w Glasgow przeciwko mistrzowi Niemiec Eintrachtowi Frankfurt, który wcześniej wyeliminował Glasgow Rangers z sensacyjnym wynikiem dwumeczu 12:4. Mecz wzbudzał wielkie emocje na Hampden Park, jednym z największych stadionów tamtych czasów, który wypełnił się po brzegi 120 tysiącami widzów. Tam Real Madryt rozegrał najwspanialszy mecz, zwyciężając 7:3. Międzynarodowej prasie brakowało słów, żeby nachwalić się drużyny, która wygrała piąty finał z rzędu. Puskás strzelił cztery gole (jednego z rzutu karnego), a Di Stéfano trzy.

Dokładnie w tym samym roku po raz pierwszy zorganizowano rozgrywkę Copa Libertadores, w których grali krajowi mistrzowie z Ameryki Południowej. Pierwszą edycję wygrał Peñarol Montevideo. Wtedy pojawił się pomysł, żeby obaj pucharowi zwycięzcy zmierzyli się ze sobą, aby wyłonić mistrza świata. FIFA zgłosiła zastrzeżenia, że skoro chodzi tylko o dwa kontynenty, to nazwa musi być inna, mimo że poziom futbolu klubów z Europy i Ameryki Południowej był nieporównywalnie wyższy niż na pozostałych kontynentach. Rozgrywkę nazwano więc Pucharem Interkontynentalnym, a zwycięzca miał być wyłaniany w dwumeczu. W Montevideo, zimnego i deszczowego wieczoru 3 lipca, padł bezbramkowy remis. Mecz rewanżowy miał miejsce 4 września na pełnym Santiago Bernabéu. Real Madryt znów osiągnął doskonałość. Po dziesięciu minutach prowadził już 3:0 dzięki dwóm golom Puskása i jednemu Di Stéfano. Ostatecznie zwyciężył 5:1. Pozostałe dwie bramki zdobyli Herrera i Gentó.

Był to czas największej chwały Realu.

Chwały, którą wkrótce potem odebrała mu Barça podczas tego, co można chyba uznać za największe rozczarowanie Realu w całej jego historii. Miało to miejsce w trakcie szóstej edycji Pucharu Europy, do której Real przystąpił jako mistrz piątej, Barcelona zaś jako mistrz Hiszpanii z sezonu 1959/60. W 1/16 finału Barça mierzyła się z belgijskim Lierse, który spokojnie pokonała 2:0 i 3:0. Real, jako mistrz, był zwolniony z gry w pierwszej rundzie. Rywalizację rozpoczęła od 1/8 finału, gdzie traf przydzielił mu Barcelonę.

W Hiszpanii ubolewano, że obie drużyny spotykają się zbyt wcześnie; jedna z nich musiała dość szybko odpaść i wszyscy sądzili, że ten los spotka Barcę. Nie było już czarodzieja Helenio, który odszedł do Interu. Na jego miejsce klub sprowadził Jugosłowianina Ljubišę Broćicia, który z trudem przy stosowywał się do hiszpańskiego futbolu. Owszem, zatrzymał wszystkie gwiazdy Barcelony HH, ale nie wiodło mu się tak dobrze jak jego poprzednikowi.

Do pojedynku dochodzi jeszcze w roku 1960, triumfalnym roku Realu Madryt. Pierwszy mecz zaplanowano na 9 listopada na Santiago Bernabéu, a rewanż na 23 listopada na Camp Nou. Sędziują najlepsi arbitrzy UEFA, Anglicy, pan Ellis i pan Leafe. Obaj cieszą się największym zaufaniem europejskiej federacji. To ci sami arbitrzy, którzy sędziowali półfinały między obiema drużynami w poprzednim sezonie, tylko że wtedy Leafe sędziował w Madrycie, a Ellis w Barcelonie. Teraz będzie inaczej, a kibice Realu nigdy nie zapomną ich nazwisk.

Pierwszy mecz rozgrywany jest w święto Dziewicy z Almudeny, w obecności 120 tysięcy widzów. W tamtym czasie pojemność stadionu była jeszcze większa, ponieważ jedna trzecia miejsc była stojąca i na te strefy sprzedawano bilety prawie bez ograniczeń.

Real Madryt wystawia następujący skład: Vicente, Pachín, Marquitos, Casado, Vidal, del Sol, Herrera, Mateos, Di Stéfano, Puskás i Gento. Trenerem cały czas jest Miguel Muñoz.

Barça, pod wodzą nowego szkoleniowca Broćicia, wystawia następujących zawodników: Ramallets, Rodri, Garay, Gracia, Vergés, Gensana, Villaverde, Evaristo, Kocsis, Suárez i Czibor.

Real Madryt szybko obejmuje prowadzenie dzięki bramce Mateosa (3. minuta); wyrównuje Luis Suárez (27., z rzutu wolnego); Gento znów daje Realowi prowadzenie; jego sprint kończy się przecięciem mocnego dośrodkowania, do którego nie zdąża Ramallets (33. minuta).

W drugiej połowie mecz jest wyrównany. Villaverde zdobywa bramkę w 63. minucie, uderzając głową po dośrodkowaniu z rzutu wolnego, ale gol słusznie nie zostaje uznany z uwagi na pozycję spaloną. I kiedy do końca meczu pozostały dwie minuty, Barcelona doprowadza do remisu dzięki akcji, po której Real protestuje: podanie z głębi od Evaristo zaskakuje Kocsisa na pozycji spalonej, którą boczny arbiter sygnalizuje, podnosząc chorągiewkę.

Ellis nie reaguje jednak na wskazanie kolegi, a Węgier biegnie sam w stronę bramki Vicente, który wychodzi w desperacji i przewraca Kocsisa poza pole karne, przy czym bramkarz Realu, z którym kilka razy rozmawiałem o tej akcji, upiera się do dziś.

Ku powszechnemu zdumieniu i mimo protestów piłkarzy *los blancos* Anglik wskazuje na rzut karny. Luis Suárez zamienia go na gola i jest 2:2. Sędzia boczny stał z podniesioną chorągiewką, co całkowicie zignorował Ellis. Madryści opuszczali stadion wściekły z powodu tej ostatniej akcji, w której dopatrywano się dwóch błędów sędziego: nieodgwizdania spalonego i wskazania złego miejsca, w którym Vicente faulował Kocsisa.

Wszystko miało rozstrzygnąć się 23 listopada na równie wypełnionym Camp Nou. Obaj trenerzy dokonują kilku zmian w składach. Barça wystawia następującą jedenastkę: Ramallets, Olivella, Garay, Gracia, Vergés, Segarra, Kubala, Evaristo, Kocsis, Suárez i Villaverde. Gracze Realu Madryt to: Vicente, Marquitos, Santamaría, Casado, Vidal, Pachín, Canario, del Sol, Di Stéfano, Puskás i Gento.

Tym razem mecz prowadzi inny słynny angielski arbiter, Reg Leafe. W pomeczowym protokole zostało zanotowane zwycięstwo Barcelony 2:1, co będzie oznaczać, że Real po raz pierwszy został wyeliminowany z rozgrywek, którymi zawałdął od początku, triumfując pięć razy w pięciu rozgrywanych edycjach. W protokole nie wspomina się o czterech nieuznanych golach, które strzeliła drużyna z Madrytu.

Pierwszy w 27. minucie, zaledwie dwie minuty po tym, jak Vergés otworzył wynik spotkania. Canario wchodzi w pole karne Barcelony, Gracia zatrzymuje go kopnięciem w klatkę piersiową, ten upada, a piłka trafia do del Sola, który strzela bramkę. Leafe dyktuje rzut wolny przeciwko Realowi, ponieważ uznał, że Canario, upadając, dotknął piłki ręką.

W 82. minucie zostaje zdobyta bramka, której zdjęcie obiegnie cały świat. To jedna z najpiękniejszych fotografii w historii futbolu. Kubala wykonuje rzut różny i zamiast mocno uderzyć piłkę, kopie ją delikatnie w okolicę linii pola karnego, gdzie czeka Olivella. „Była to akcja, którą czasem ćwiczyliśmy. Ja zachowywałem się, jakbym chciał zdezorientować rywali, a kiedy on był już gotowy do wykonania rzutu różnego, szybko do niego podbiegałem, a on kopnął wtedy, gdy ruszyłem, by znaleźć się w odpowiednim miejscu. Przyjąłem piłkę i uderzyłem na bramkę. Był to mocny strzał na średniej wysokości, nie wiem, czy piłka wpadłaby do siatki, czy Vicente by obronił...”

I teraz do opowiadania wkracza on, Vicente. Doprowadziłem do ich spotkania dla „Asa”, by zrobić reportaż związany z tym zdjęciem. Na spotkaniu zabrakło Evaristo, autora gola, który mieszka w Brazylii. Mówi Vicente: „Rzuciłem się w stronę piłki i zrobiłem to dobrze, a dokładnie w chwili, gdy miałem jej dosięgnąć, ubiegł mnie Evaristo. Pojawił się niczym samolot i wbił ją do bramki”.

Istnieją dwie niemal identyczne fotografie, jedna autorstwa Péreza de Rozasa, ojca znanego dziś dziennikarza sportowego, a druga Nicolása. Widać na nich obu zawodników rzucających się w tym samym momencie. Dwie sylwetki: lecącego z lewej na prawą stronę eleganckiego Vicente w białych getrach i ochraniaczach i dotykającego piłki głową Evaristo, lecącego z prawej do lewej.

W akcji następującej po wznowieniu gry ze środka Puskás dośrodkowuje do Di Stéfano, który trafia głową do siatki. Leafe nie uznaje gola, odgwizdując spalonego, chociaż pozycja lewego obrońcy Gracii oznaczała, że nie mogło być o tym mowy.

Real reaguje jak dziki zwierz, zmiana z boiska Barcelonę, która przezornie cofa się na własną połowę, i mimo kontuzji Pachína, ustawionego na prawym skrzydle, drużyna z Madrytu przypiera do muru zespół *azulgrana*. To właśnie Pachín strzela tak zwanego kulawego gola, również nieuznanego. I słusznie, jaktwierdzi sam zainteresowany.

Niemal natychmiast strzał Gento ociera się o Ramalletsa, piłka trafia w słupek, przekracza linię i zostaje wybita przez Gracię. Leafe nawet nie konsultuje się z asystentem, który był lepiej ustawiony, żeby ocenić tę akcję. Real upiera się, że piłka wpadła do bramki.

W końcówce Canario oddaje strzał, który m pokonuje Ramalletsa. Zostały cztery minuty gry i tym razem Leafe uznaje gola. Real nadal atakuje jak oszalały, a Di Stéfano jest o krok od uderzenia głową piłki, która wpadłaby do siatki, gdyby nie ubiegł go Marquitos i nie uderzył ponad bramką. Pan Leafe odgwizduje koniec meczu. Barcelona wygrywa 2:1, a Real po raz pierwszy zostaje wyeliminowany z Pucharu Europy.

Reakcja prasy jest jednomyślna: Real Madryt odpadł niezaskuszenie.

Opinia Pedro Escartína^[39] po tych dwóch meczach brzmiała następująco:

Nasz dobry przyjaciel pan Ellis, numer jeden wśród angielskich arbitrów, zawiódł w sposób żaloszny, i to biorąc pod uwagę cały mecz. Nie respektował prawa przywileju korzyści, zatrzymywał grę niezliczoną ilość razy, faworyzując stronę faulującą, pozwolił, żeby gra z ostrej zmieniła się w dziką, a także popełniał błędy przy ocenie wielu akcji. Przy nieuznanym голу Barcelony nie mogło być pozycji spalonej. Co do akcji, która zakończyła się przyznaniem rzutu karnego, to był tam ewidentny *off-side* Kocsisa, który zaczął biec, znajdując się już na pozycji spalonej.

Jako że w takich przypadkach lepiej jest wesprzeć się opiniami prasy zagranicznej, przytaczam tutaj kilka fragmentów artykułów opublikowanych po tych spotkaniach w znaczących mediach.

Po meczu na Santiago Bernabéu „L'Équipe” zamieścił wielki tytuł: *Zbrodnia pana Ellisa*. W „Paris-Presse” Louis Neville napisał:

Mr Ellis, absolutnie nieświadomy konsekwencji swojej decyzji, tłumaczył po meczu: „Jestem pewien, że widziałem mojego asystenta, jak podnosi chorągiewkę, ale po to, żeby pokazać mi, że jest rzut karny”. Ta odpowiedź nie mogła skywać prawdy. Asystent, bardziej szczerzy niż Mr Ellis, nie zaprzeczył, że popełniono błąd. Przygryzając grube wąsy, jakby czuł się niezręcznie, Mr Stewart powiedział mi: „To ewidentne. Widziałem piłkarza Barcelony na pozycji spalonej”. A zatem zapytałem go: „Dlaczego więc kiedy

Mr Ellis odgwizdał rzut karny, pan nie zareagował?». „Ponieważ pomyślałem – odpowiada – że Mr Ellis miał powód, żeby pozwolić na kontynuowanie akcji. Dlatego biegłem dalej przy linii i widziałem karnego. Wie pan co? Pewne rzeczy w futbolu dzieją się bardzo często. To gra...”

Sam Stewart jeszcze przed zadaniem pytania przyznawał, że Kocsis był na spalonym. Z kolei Jean Eskenazi w ten sposób napisał we „France-Soir”:

Szkoda, że błąd arbitra zniszczył najpiękniejszy mecz piłkarski, jaki można zobaczyć w Europie. Real słusznie wygrywał 2:1. Do końca pozostały trzy minuty. Evaristo [sic] ewidentnie był na pozycji spalonej, sygnalizowanej przez sędziego liniowego. Ale ku powszechnemu zdumieniu angielski arbiter Mr Ellis odgwizdał karnego.

Po drugim spotkaniu krytyka w europejskich mediach była znacznie surowsza. O ile jednak Ellis popełnił jeden błąd, to sędziowanie Leafe’a przekraczało wszelkie granice. W następnych dniach – kiedy zdjęcia jasno dowiodły, że dwa gole zostały strzelone jak najbardziej prawidłowo i pojawiają się tylko wątpliwości, czy przy trzecim piłka przekroczyła linię bramkową, czy też nie – poparcie mediów i opinii publicznej dla Realu jest jednogłośnie. Tylko angielskie gazety pomijały kwestię sędziowania, albo z przyzwyczajenia, albo z uwagi na rodaka. *Piłkarze Realu Madryt żegnają się jak mistrzowie, którymi nigdy nie przestali być* – zatytułował relację z meczu „Daily Express”. Z kolei „Daily Herald” napisał: „Piłkarze Realu Madryt nigdy nie byli tak wielcy jak przy okazji tej porażki. Tragedia polega na tym, że Real był ewidentnie lepszy przez cały mecz, a jego piłkarze byli doprowadzeni do rozpacz, ponieważ nie udało im się zdobyć przewagi bramkowej, na którą zasłużyli”.

Prasa francuska, włoska, niemiecka... były bardziej szczerze i dosadne. „L'Équipe” tytułuje swój artykuł: *Telewizja to pokazała: wynik meczu w Barcelonie został wypaczony przez arbitra*. W środku zaś tekst *Mourir en beauté* (Pięknie umierać). „Wielkim przegranym na Camp Nou był arbiter. Trzy nieuznane gole: Mr Leafe wyeliminował Real Madryt z Pucharu Europy. Piłkarze Realu stracili Puchar Europy wbrew wszelkiej logice, niesprawiedliwie, będąc znacznie lepszymi od przeciwników. Strzelili więcej goli niż ich rywale. Pokazali futbol lepszej jakości. Byli jedynymi bohaterami wczorajszego wieczornego spektaklu w Barcelonie. To było zwycięstwo, ale nie sukces. I bynajmniej nie triumf. Wszystkie honory należą się pokonanemu, ponizonemu przez koalicję pecha i arbitra. Tak więc nie o tym śniła Barcelona całym dniami, tygodniami, miesiącami, latami. Nie wyobrażała sobie, że jeśli pewnego dnia wejdzie do pałacu, zrobi to schodami dla służby”.

I tak dziesiątki stron wychwalających piłkarskie i sportowe zachowanie białych asów, wyeliminowanych ze „swojego turnieju”. Czy był to – jak napisano – spisek, żeby zakończyć supremację Realu?

Oficjalne stanowisko Realu Madryt zostało zamieszczone w następnym numerze klubowej gazety, w której znalazło się też wiele tekstów przedrukowanych z międzynarodowej prasy. We wstępie zatytułowanym *Plebiscyt uczciwości* można przeczytać:

[...] W śpiewie narodowego chóru (na wielką skalę, poczynawszy od tych, którzy być może w drodze wyjątku tym razem są sprawiedliwi i nie mają po co ukrywać swojej przynależności, która w żadnym razie nie kłóci się z ich bezstronnością) panuje wprost porażająca zgodność: Real Madryt nie zasłużył na porażkę. Chór ten obejmuje, co jest nam niezmiernie miło podkreślić, wielką prasę katalońską, która w wielu swoich tytułach nie zawahała się stwierdzić tej prawdy. A prawda jest taka, że Barcelona (posiadająca wspaniałą drużynę, mogącą pokonać nas w każdej chwili na swoim stadionie albo na naszym) nie wyeliminowała z VI Pucharu Europy Realu Madryt, chociaż tak głosi bezduszna, lecz ostateczna oficjalna prawda zawarta w protokole. Na stadionie Santiago Bernabéu i na Camp Nou dwaj angielscy sędziowie (nawet głupi wie o ich dawnej renomie pierwszego i drugiego arbitra na świecie) zachowali się okrutnie wobec Realu Madryt, sprawiając, że nie mógł pokazać swojego najlepszego futbolu, zaprezentować precyzji i dominacji. Ukrzyżowali go absurdalnymi decyzjami, od wydumanego rzutu karnego po bezsensowne nieuznanie czterech goli. Prawdziwy spisek, który w mniej spokojnych głowach kierujących tym klubem mógłby doprowadzić do bardziej bezpośrednich podejrzeń odnoś-

nie do ludzkich słabości, zdolnych do każdego występku. Jako „spisek”, jako fałszywa postawa, jako okazywanie niechęci zostało określone zachowanie tych dwóch Anglików, Arthura Ellisa i Rega Leafe’a, którzy, powtarzamy, ukrzyżowali Real Madryt. I to oni, a nie chwalebny kataloński klub, dokonali tego, co dotąd było niemożliwe: wyeliminowali z Pucharu Europy pięciokrotnego mistrza tego turnieju – Real Madryt. [...] Arthur Ellis i Reg Leafe zapełnili właśnie całe strony oskarżeń. Wobec ich niezdarkości i uporczywości podniosła (powtarzamy, że w porażającej zgodności) cała prasa zagraniczna i hiszpańska. Oni, sędziowie (?), zostali ostatecznie osądzeni.

Dzięki prasie, obrazom z telewizji i kina widać dzisiaj, i można to sprawdzić jutro i zawsze, jak odpadł Real Madryt. Dlatego plebiscyt uczciwości uznaje nas za zwycięzców, chociaż jesteśmy pokonanymi. Niech Bóg dopomoże Barcelonie i oby w tej edycji Pucharu Europy zdobyła najwyższy zaszczyt, który w pięciu poprzednich przypadkach Realowi za jego wysiłek

Real Madryt nadal niezachwianie podąża swoją ścieżką. Odpadł, lecz spłynęła na niego większa chwała niż na jego pogromcę. I ci, którzy widzieli oba mecze VI Pucharu Europy, mówią ze zdumiewającą jednogłośnieścią, że nigdy wcześniej nie był tak wielki, bardziej mistrzowski i wspanialszy niż wtedy, gdy Arthur Ellis i Reg Leafe postanowili, że jego królowanie w Pucharze Europy dobiegnie końca.

Real czuł się poniżony, chociaż ani klub, ani publiczność nie kierowały gniewu przeciwko Barcelonie, lecz przeciwko UEFA. Wyjaśnienie (pamiętam tamte dni, byłem dzieckiem, które nawet nie wiedziało dobrze, o co chodzi, ale dorośli nie rozmawiali o niczym innym) było takie, że chodziło o zbrodnię doskonałą, uknutą już w dniu ukartowanego losowania, mającego skonfrontować ze sobą Real i Barcelonę, żeby atak – jako że chodziło o drużynę hiszpańską – był bardziej znośny. Według tej wersji była to decyzja UEFA, by nie pozwolić dominować w Pucharze Europy tylko jednemu klubowi. Jakby chciała zaprotestować: pięć triumfów to dużo, nie zorganizowaliśmy rozgrywek, żeby zawsze wygrywał je Real Madryt.

Liga jednak przyniosła możliwość rewanżu. Po 11 dniach od kontrowersyjnego wyeliminowania Realu na Camp Nou drużyna z Madrytu wróciła tam na mecz ligowy i wygrała 5:3, dając popis wspaniałej gry.

Ta goleada pozwoliła Realowi uciec w tabeli i ostatecznie wygrać ligę dzięki rekordowej jak na tamte czasy liczbie punktów: 52 na 60 możliwych (rywalizowało 16 drużyn i każda rozgrywała 30 meczów; Barcelona zakończyła sezon z 20 punktami straty do Realu).

Jednak w Pucharze Europy Barça odnosiła sukcesy, eliminując kolejno Spartak Hradec Králové i Hamburger SV, aż dotarła do finału, w którym mierzyła się z Benficą. Z Hamburgerem SV, mającym w swoich szeregach fenomenalnego Uwe Seelera, cierpiała męki. Wygrała 1:0 u siebie, a w Hamburgu przegrywała 0:2 do 90. minuty, kiedy Kocsis strzelił gola w doliczonym czasie gry. To doprowadziło do rozegrania dodatkowego meczu na stadionie Heysel w Brukseli, na który przybyła królewska para Baldwin I i Fabiola (Hiszpanka). I Barça wygrała dzięki jedynej bramce Evaristo, który znow został bohaterem.

Do finału Barcelona przystępowała w roli faworyta. Dokoła już tego, co najtrudniejsze, wyeliminowała Real Madryt i Hamburger SV, i miała przed sobą tylko Benficę, reprezentanta portugalskiego futbolu, który nie cieszył się jeszcze dużą sławą. Grał tam niejaki Eusébio, którego talent miał się niedługo ujawnić, wtedy nie występował jednak jeszcze w podstawowym składzie.

Finał odbywał się 31 maja na Wankdorfstadion w Bernie. Rzadko kiedy jedna drużyna ma takiego pecha jak Barça tamtego dnia. Dominowała, była o wiele lepsza w całym meczu, stwarzała sobie wiele sytuacji, ale przegrała 2:3. Ramallets miał fatalny dzień, praktycznie sprezentował przeciwnikowi dwa gole. Tymczasem Barcelona cztery strzały posłała w słupek, po jednym z nich, oddanym przez Kubalę, piłka trafiła w jeden słupek, przeleciała wzdłuż linii bramkowej, trafiła w drugi i ostatecznie nie wpadła do siatki. To były jeszcze kwadratowe słupki i dla wielu taki ich kształt miał wpływ na końcowy wynik, do tego nawet stopnia, że niektórzy twierdzą, iż od tamtego meczu zabroniono korzystania z takich, ale dla mnie nie jest to takie oczywiste. Regulamin zalecał już wtedy okrągłe słupki albo najlepiej owalne, ale bardziej dlatęgo, że kwadratowe mogły być przy czyną bolesnych kontuzji zawodników.

Barcelona zasłużyła na zwycięstwo, lecz coś nie chciało jej na to pozwolić. A madrydziści odetchnęli z ulgą, awansowałam Realowi, niż przegrać finał w taki sposób. Ale *los blancos* mierzyli się z Benficą rok później i też nie wyszli z tego starcia cało. W siódmej edycji Pucharu Europy Real znow dotarł do finału. Odbywał się on w Amsterdamie. Naprzeciwko stała Benfica, już z Eusébio, diabłem w linii ataku. Benfica wygrała 5:3, mimo że Real prowadził już 2:0 i 3:2 (wszystkie trzy gole strzelił Puskás). Wtedy nadeszła kolej barcelonistów, przypominających żarty z poprzedniego roku, ale – paradoksalnie – to Barça została poszkodowana na skutek tej porażki. Real Madryt zdobył mistrzostwo kraju, Barcelona zajęła drugą lokatę. Gdyby Real zwyciężył w Pucharze Europy, miałby zagwarantowane miejsce w następnej edycji rozgrywek, a jego prawo jako mistrza kraju do udziału w Pucharze Europy przeszłoby na Barcelonę, która w ten

sposób mogłaby wystąpić w nim po raz trzeci z rzędu. Jednaknie udało się to i Barça na powtórny udział w Pucharze Europy musiała czekać aż do sezonu 1974/75.

18. KOSZYKÓWKA NA DRUGIM FRONCIE

Real Madryt i Barcelona, które powstały jako kluby typowo piłkarskie, od bardzo dawna rozwijały także inne sekcje sportowe. Real oprócz koszykówki miał swego czasu sekcję szachową, gry w bule, lekkoatletykę, baseball, siatkówkę, tenis, zapasy, gimnastykę, pływanie, a nawet bolo palmę^[40]. W Barsie nadal uprawia się szeroki wachlarz dyscyplin, podczas gdy już od dawna w Realu poza drużyną piłkarską jest tylko drużyna koszykówki. Zresztą potrzebowała sporo czasu, żeby zacząć dominować w kraju, a kiedy wreszcie jej się to udało, wskoczyła również na szczyt europejski. W dużej mierze kosztem Barcelony.

W latach 40. koszykarska drużyna Realu nie znaczyła jeszcze wiele. Były to czasy, kiedy rozgrywano mistrzostwa regionalne, a później Puchar Generalissimusa, wtedy jedyne krajowe trofeum. Nie było jeszcze ligi. Real Madryt nawet nie w każdym roku wygrywał mistrzostwo Kastylii. Z drugiej strony Barça miała mocny zespół i często triumfowała w Pucharze Generalissimusa. Real pierwszy krajowy tytuł zdobył dopiero w 1951 roku, kiedy to w finale Pucharu w hali Gros w San Sebastián zmierzył się właśnie z Barceloną. Ciekawostka dotycząca tamtego spotkania: pierwotnie mecz zaplanowano w hali Urumea, ale gdy przyszło do zakładania koszy, okazało się, że nie mieszczą się w drzwiach, więc trzeba było przenieść zawody.

Wszystko uległo zmianie, kiedy w Realu pojawił się Raimundo Saporta, urodzony w Paryżu, w rodzinie żydowskiej, syn Hiszpana i Francuzki. Gdy Francja znalazła się pod okupacją nazistowską, rodzina przeprowadziła się do Madrytu, a Saporta uczył się w Liceum Francuskim, gdzie zakochał się w koszykowie. Szybko zaczął pracować w federacji hiszpańskiej, której wiceprezesem był już w wieku 22 lat. Bernabéu wiedział o nim i zatrudnił go, żeby zorganizował turniej koszykarski w 1952 roku z okazji pięćdziesięciolecia istnienia klubu. Saporta podjął się tego wyzwania, i to ze sporym sukcesem. Ale Bernabéu najbardziej zaskoczyło, gdy po rozgrywkach Saporta wręczył mu listę zysków. To sprawiło, że został na stałe przyjęty do klubu, w 1953 roku został księgowym, w 1954 skarbnikiem, a w 1962 – wiceprezesem.

To on był inicjatorem koszykówki w Realu, w Hiszpanii, można nawet powiedzieć, że również w Europie. Odegrał decydującą rolę w organizacji narodowej ligi koszykówki (poprzedniczki ACB, której pierwszą edycję wygrał Real, w sezonie 1956/57), a także Pucharu Europy^[41], który przyniesie *los blancos* tak wielką sławę.

Saporta jako pierwszy nacisnął na odcisk Barcelonie w koszykowie, sprowadzając Joaquína Hernándezę. Hernández, dziś nieco zapomniany, był jednym z pierwszych geniuszy hiszpańskiej koszykówki, można powiedzieć, że poprzednikiem Emiliano Rodrígueza. Trenował w Racingu Bruksela, skąd przeszedł do Espanyolu Barcelona. Latem 1955 roku Miró-Sans, wówczas prezes Barcy, widząc, że siła koszykarskiej drużyny Realu rosła dzięki Saporcie, polecił kierownikowi sekcji Antonio Palésowi, by ten poważnie wzmocnił zespół. I Palés porozmawiał z Hernándezem w kwestii sprowadzenia go do Barcy.

Ale Saporta go uprzedził. Tego samego lata w Barcelonie odbywały się igrzyska śródziemnomorskie. Turniej, który organizował młody Samaranch, kolejny wielki propagator hiszpańskiego i międzynarodowego sportu. Hiszpania zdobyła złoty medal w koszykowie, z Hernándezem jako największą gwiazdą; był to jej pierwszy wielki międzynarodowy sukces w

tym sporcie (który teraz daje nam tyle radości). Saporta, który był kierownikiem drużyny na turnieju, w związku z czym miał ciągły kontakt z Hernándezem, zabrał go ze sobą do Realu.

W sezonie 1955/56 Joaquín Hernández był już gwiazdą Realu Madryt, zdobywcy Pucharu Hiszpanii. W następnym sezonie, również za sprawą Saporty, ruszyły rozgrywki ligi krajowej, a Real zdobył dublet, mistrzostwo i Puchar, nieprzerwanie z Hernándezem jako najlepszym zawodnikiem. Jednocześnie Saporta zdołał także połączyć siły na kontynencie w celu utworzenia koszykarskiego Pucharu Europy na wzór tego piłkarskiego (odbyły się już dwie edycje i w obu triumfował Real Madryt).

I to właśnie Real był pierwszą hiszpańską drużyną, która w nim uczestniczyła, w sezonie 1957/58, kiedy do klubu dołączył znakomity Portorykańczyk Johnny Báez. Odpadł w 1/8 finału, ale nie ulegało wątpliwości, że miał przewagę nad Barceloną, zarówno na poletku krajowym, jak i między narodowym.

Barça przygotowała kontratak na sezon 1958/59 – wiele wzmocnień, których dokonanie prezes Miró-Sans polecił jednemu z dyrektorów, Enrique Llaudetowi. Ten trafił z transferami. Wydarł Realowi braci José Luisa i Alberto Martínezów (barcelończyków sprowadzonych przez Saportę wrócić po Joaquínie Hernándezie), ściągnął także Joana Casalsa z Joventutu i Jordiego Bonareu z Mataró. Poza tym pojawił się jeszcze młodziutki Nino Buscató, który zostanie legendą hiszpańskiej koszykówki (dziś jest komentatorem stacji radiowej Cadena SER). Barça stała się silna i udało jej się zdobyć dublet. Wygrała ligę, pokonując w ostatnim meczu Real Madryt 59:58. W Pucharze wyeliminowała Real w półfinale, a w finale wygrała z Aismalibarem. Barcelona zdobyła podwójną koronę, mając w składzie samych Katalończyków.

Jednak potem przyszło kilka gorszych lat. Mimo sprowadzenia dwóch dość uznanych Portorykańców Barça rozegrała słaby sezon. Nie zdobyła mistrzostwa, została wyeliminowana z Pucharu Hiszpanii przez Real, a z Pucharu Europy, w ćwierćfinale, przez Polonię Warszawa. W sekcji panował ewidentny bałagan, brakowało ciągłości składu. Przed sezonem 1960/61 bracia Martínez odeszli do Joventutu, podobnie jak Buscató. Widzieli, że tam panuje lepsza atmosfera, że drużyna traktowana jest z większą powagą, że w klubie nastawionym głównie na futbol koszykowiec nie poświęcano zbyt wiele uwagi.

Llaudet zajmował się już innymi sprawami. Chciał być następcą Miró--Sansa, co udało mu się osiągnąć w czerwcu 1961 roku, kiedy wygrał wybory. I jedna z jego pierwszych decyzji było zamknięcie sekcji koszykówki ze względu na straty, jakie generowała. Przedstawił swą decyzję na zebraniu zarządu, a ten ją zaaprobował. W sezonie 1961/62 Barça nie brała udziału w rozgrywkach. Llaudet był przygnębiony długami klubu, zaciągniętymi, żeby zbudować Camp Nou. Problem ten zostanie rozwiązany dopiero wraz z rekwaliifikacją Les Corts, o czym piszę w dalszej części książki. Tak więc ten sam człowiek, który stawiał czoła Realowi, usiłując zdominować koszykówkę, i to nie tylko hiszpańską, gdy został prezesem, nagle oddał pole głównemu rywalowi. W tamtych czasach koszykówka była tylko jednym z wielu sportów, którymi interesowała się garstka kibiców, a Llaudet nie potrafił przewidzieć, jak ważną stanie się dyscypliną dzięki rozwojowi nowego medium – telewizji. I dzięki, trzeba to przyznać, wizji Saporty.

A przecież był on bliski odejścia. Po trzech sezonach bez mistrzostwa Saporta stwierdził, że nie działa tak, jakby chciał, i postanowił odsunąć się od sekcji koszykówki, powierzając ją młodemu trenerowi z klubu Pedro Ferrándizowi: „Pan Santiago powiedział mi, że już wystarczy, że wy dajemy zbyt dużo. Proszę wziąć te pieniądze i zrobić, co będzie w pańskiej mocy”.

Ferrándiz był odpowiednią osobą. Pochodził z Alicante, do Realu przybył kilka lat wcześniej z zamiarem odniesienia sukcesu. Koszykówką zainteresował się w rodzinnym mieście, jeszcze jako młody chłopiec; korespondencyjnie zrobił kurs trenerski i planował zarabiać na życie, pracując w Madrycie. W świecie złożonym z ludzi uzależnionych od koszykówki, w latach absolutnej

dominacji klasycznej sportowej triady (futbolu, kolarstwa i boks), został przyjęty z otwartymi ramionami. Jego talent i upór zrobiły resztę.

Ferrándiz pozbył się wielu zawodników i wziął kilku z Hesperii, drużyny rezerw, którą wcześniej sam trenował, między innymi Laso (ojca obecnego trenera Realu) oraz Sevillano, kapitana drużyny w latach sukcesów. Zdobył dublet. Ostatni mecz ligowy w tamtym sezonie rozgrywał przeciwko Barcelonie i był to zarazem mecz otwarcia Palacio de Deportes w Madrycie, mitycznej hali sportowej stolicy, która wiele lat później spłonęła w pożarze i zostanie odbudowana w tym samym miejscu. Po zakończeniu sezonu Ferrándiz sprowadził z Aismalibaru Emiliano Rodrígueza, który przez ponad dekadę będzie symbolem hiszpańskiej koszykówki.

Zanim Barça zdecydowała się wrócić do koszykówki, Real Madryt miał już znaczną przewagę. Barcelona wznowiła działalność sekcji przed sezonem 1962/63, lecz bez powodzenia. Drużynie wiodło się tak źle, że spadła nawet z ligi i w sezonie 1964/65 występowała w Segunda División. Od razu awansowała, jednak w latach sześćdziesiątych Real, za sprawą Ferrándiza i Saporta, rządził i dzielił w tej dyscyplinie. W Hiszpanii był to okres narodzin telewizji, a Saporta działał bardzo sprawnie, żeby koszykówka Realu Madryt stała się jedną z jej największych atrakcji. W latach panowania Realu w piłkarskim Pucharze Europy (uczestniczył we wszystkich edycjach do sezonu 1970/71 włącznie), choć po pierwszych seryjnych triumfach przestał go wygrywać (w tamtym okresie później udało mu się to raz, w 1966 roku), klub z Madrytu uczynił z koszykówki swoją drugą twarz, dzięki której zresztą odnosił większe sukcesy. W latach 60. wystąpił w siedmiu europejskich finałach, wygrywając cztery z nich.

Sáinz, Emiliano, Sevillano, Burgess, Luyk i reszta stali się bardzo bliscy hiszpańskiej publiczności, podobnie jak i Ferrándiz, ten niski, dobrze ubrany człowiek, który niesamowicie bieszał parkietowych gigantów. Kibice piłkarscy, silni i zadziorni, zaczęli z pewną pogardą patrzeć na ten sport, określając mianem zniewieściałego, ponieważ zawodnicy kłepali się po tyłkach. Jednak sposób bycia tej drużyny, walecznej, szybkiej, odpornej na porażki, do pewnego stopnia heroicznej, czyli posiadającej te same cechy co drużyna piłkarska (choć ta odnosiła mniejsze sukcesy), zmienił postrzeganie tego sportu, sprawiając, że stał się on drugą ulubioną dyscypliną hiszpańskiej publiczności.

Sukcesy koszykarzy poszerzały widownię Realu Madryt, i to nawet bardziej, niż można to sobie dzisiaj wyobrazić. Telewizja nadawała tylko jeden program, a drużyna koszykarska Realu często się w nim pojawiała, może nawet częściej niż zespół piłkarski, a już na pewno częściej niż jakakolwiek inna drużyna piłkarska, z uwagi na całkowite zawładnięcie rozgrywkami europejskimi, w których występowała sezon po sezonie dzięki triumfom w lidze.

Wiatr zimnej wojny wiał na korzyść Realu. O Puchar Europy zazwyczaj rywalizowało się z klubami z krajów Europy Wschodniej, Europy socjalistycznej, Europy zza żelaznej kurtyny, jak się wtedy mawiało. Wysiłki tych dobrych hiszpańskich chłopców – wzmocnionych kilkoma Amerykanami, którym z konieczności przyznano obywatelstwo (tak jak w przypadku Kubali, Puskása, Kocsisa czy Czibora) – w rywalizacji z komunistami były metaforą walki naszego zachodniego świata ze światem komunistycznym. Był to czas, kiedy reżim szczylił się tym, że Franco wcześniej niż inni dostrzegł niebezpieczeństwa komunizmu; nazywano go „wartownikiem Zachodu”. Wizytę złożył mu Dwight Eisenhower, prezydent Stanów Zjednoczonych, a Amerykanie otworzyli bazy wojskowe na naszym terytorium (Torrejón, Morón i Rota). Ta hiszpańsko-amerykańska drużyna Realu Madryt idealnie pasowała do sytuacji, o jakiej mówił reżim, i dlatego też tak często można ją było zobaczyć w telewizji.

Pokażano w niej nawet bożonarodzeniowy turniej, który rozgrywano popołudniami 24 i 25 grudnia i w którym uczestniczyły cztery zespoły: Real Madryt oraz trzy zaproszone drużyny, najczęściej z zagranicy. W takim okresie i w czasach istnienia jednego zaledwie kanału obecność

Realu nadawała świętom Bożego Narodzenia oficjalnego charakteru, co potwierdzało ostatecznie, że klub ma charakter oficjalnej instytucji rządu. Często myślałam, że identyfikowanie Realu Madryt z frankizmem należy przypisywać bardziej działaniom Saporty, podjętym na rzecz koszykówki, a nie sprawie związanej z piłką nożną.

Tymczasem Ferrándiz cieszył się zwycięstwami nad Barceloną i nigdy tego nie ukrywał. Ściągał na siebie gniew wszystkich rywali (słynne były bury, jakie dawał kibicom Estudiantes), ale prawdziwa rywalizacja dotyczyła drużyn z Katalonii: Barcelony i Joventutu. Często wychodził na parkiet przed zawodnikami, żeby kibice rywali krzyczeli na niego i rzucali monetami, a potem mówił podopiecznym: „Chłopcy, możecie już wyjść, sprawiłem, że ochrypli”.

To samo robił czasem Helenio Herrera w Sewilli, kiedy trenował Atlético Madryt, chociaż Ferrándiz zawsze mnie zapewniał, że o tym nie wiedział, w co wierzę. Ferrándiz był oryginalny pod wieloma względami. Wymyślił na przykład rzut samobójczy, co spowodowało zmianę regulaminu. Zdarzyło się to w meczu Pucharu Europy w Varese, gdy zespół Ignis na dwie minuty przed końcem doprowadził do remisu (80:80). Ferrándiz miał dwóch graczy wykluczonych i jednego kontuzjowanego. Dogrywka mogłaby sprawić, że Real przegrałby wysoko, a straty okazałyby się nie do odrobienia w rewanżu.

Tak więc na dwie sekundy przed końcem postanowił, że najlepiej będzie przegrać dwoma punktami i powiedział zawodnikom, żeby wrzucili piłkę do swojego kosza. Lluís podał do Alocéna, a ten zdobył punkty dla przeciwnika. 82:80. Publiczność początkowo się śmiała, szybko jednak zdała sobie sprawę z podstępów i wybuchła awantura. W meczu rewanżowym Real Madryt wygrał spokojnie 83:62 i awansował do następnej rundy. W tamtym sezonie wystąpił w swoim pierwszym europejskim finale, w którym przegrał z Dinamo Tbilisi w Genewie.

Śpięcia Ferrándiza z Barceloną o mały włos nie kosztowały go utraty posady. Przytoczoną poniżej anegdotę opowiedział mi sam Ferrándiz, z którym przyjaźnię się od dłuższego czasu. Szczególną niechęcią darzył on pewnego dziennikarza z „Dicen”, którego nazwisko woli pominąć, a który jego zdaniem był bardzo krytyczny wobec koszykarskiej drużyny Realu. Po jednym z meczów, wygranym w Barcelonie, w kiosku przy Rambla de las Flores Ferrándiz kupił pocztówkę przedstawiającą katalońskie danie, pasztetową z fasolą; poprosił, żeby podpisali się na niej wszyscy zawodnicy, co uczynił również i on, i wysłał ją dziennikarzowi. Gazeta „Dicen” oburzyła się na Real Madryt. Saporta mocno skrytykował Ferrándiza i kazał mu obiecać, że nigdy więcej nie zrobi nic podobnego.

Ale Ferrándiz zastosował się do tego tylko częściowo. Po następnym zwycięstwie nad Barceloną kupił pasztetową i podłużne kartonowe pudełko, po czym wysłał pakunek temu samemu dziennikarzowi. Wówczas sam Julián Mir, redaktor naczelny „Dicen”, zadzwonił do Santiago Bernabéu. Tym razem Ferrándizowi dostało się naprawdę mocno.

Jednak i tak zdarzył się jeszcze jeden incydent. W sezonie 1968/69 w Madrycie pojawił się Amerykanin Albie Grant, dobry zawodnik, mający ambicję związania się z klubem. Ferrándiz powiedział mu, że już skompletował drużynę. Wtedy ten udał się do Barcelony, która go przyjęła. Jego pierwsza wypowiedź była arogancka: „Dajcie mi szczęście albo siedmiu juniorów, a zrobię z Barcelony mistrza”. Ferrándiz zachował ten wycinek z gazety i tydzień przed wizytą Barcy w Madrycie przykleił go na tablicy w szatni, gdzie wisiał przez siedem dni, tak żeby widzieli go zawodnicy. Rezultat był taki, że Real wygrał 113:56 z Barceloną Granta, w której występował także późniejszy słynny trener Aito García Reneses. Ale i to mu nie wystarczyło. Kupił podłużne pudełko i znów wysłał je specjalistom od koszykówki z „Dicen”, tym razem puste, żeby niczego mu nie zarzucono.

Dowiedziawszy się o tym, Saporta załamał ręce i udał się do Bernabéu, żeby przynajmniej być pierwszym, który go o tym powiadomi, i tym samym uniknąć awantury. Powiedział prezesowi, że granice zostały przekroczone, że trzeba wyrzucić Ferrándiza. Bernabéu odparł: „Pan go sprowadził, pan go zatrudnił, nie potrzebuje mnie pan, żeby go wyrzucić. Ma pan wolną rękę w sekcji koszykówki”. I rzeczywiście miał. Ale nie zwolnił Ferrándiza, zrozumiał, że nie taka była wola Bernabéu. I że to dzięki Ferrándizowi Real Madryt stał się tak wielki. W ciągu 14 lat w roli trenera 12 razy wygrał ligę, 11 razy Puchar Hiszpanii i cztery razy Puchar Europy. W tym okresie koszykarze Realu czterema Pucharami Europy i trzema przegranymi finałami zrekompensowali widoczny regres drużyny piłkarskiej, która po zakończeniu kariery przez Di Stéfano i Puskása przestała w futbolu odgrywać pierwsze skrzypce, choć utrzymała się w czołówce.

Barça, już z Montalem, zaplanowała atak na dominującą pozycję Realu Madryt. Strategię wyznaczył Ramón Ciurana, pracujący w klubie przez siedem lat, między 1971 a 1978 rokiem. Po odejściu Montala, zastąpionego przez Núñeza, udzielił interesującego wywiadu tygodnikowi „Don Balón” (nr 143, z 4–10 lipca 1978), który przeprowadził Jaime Rius i w którym opowiada między innymi o tym, że starał się zatrudnić Ferrándiza i że ten był w stanie przejść do Barcelony, ale niektórzy dyrektorzy zaprotestowali. Ferrándiz zaprzecza, chociaż przyznaje, że do niego dzwonili: „Zaoferowali mi pewną kwotę, którą miałbym zarabiać rocznie, a była to nieprawdopodobna suma, trzy razy większa niż to, co dostawałem w Realu. Zapytałem: »Miesięcznie?«. I na tym się skończyło”.

W tym samym wywiadzie Ciurana z całkowitą szczerością przyznaje, że próbował przekupić arbitrow: „Starałem się przekupić wszystkich naszych, krajowych, ale nie udało mi się z żadnym. Jednak Real Madryt w decydujących meczach zawsze miał sędziów po swojej stronie. Dość przypomnieć sędziowanie Fajardo w ostatnim meczu ligowym sezonu 1976/77 na parkiecie Joventutu, gdzie arbitrzy nie pozwolili, żeby ligę wygrała Barcelona. Niejeden sędzia uważa, że faworyzując Real Madryt, zostanie arbitrem międzynarodowym, a i Saporta potrafi wywierać na nich presję, zapraszając na bożonarodzeniowy turniej. Z zagranicznymi jest już inaczej. Pamiętam, że pewnego razu dotarliśmy do półfinału Pucharu Koracia dzięki temu, że jeden z jugosłowiańskich sędziów, który przyjechał z żoną, był oczarowany »pralinkami«, które mu wręczyłem. Był tak bardzo wdzięczny, że nawet wziął do mnie kontakt na wypadek, gdyby sędziował nam jakiś jego przyjaciel”.

19. GOL VELOSO PO CZASIE

20 listopada 1966 roku, w dziesiątej kolejce ligowej, na Santiago Bernabéu grają dwaj wielcy rywale. Real Madryt Yeyé^[42] w poprzednim sezonie nie miał szczęścia w lidze, ale wygrał Puchar Europy, pokonując w finale Partizan Belgrad. Trener Miguel Muñoz przebudował drużynę, z której odeszli już Santamaría, Di Stéfano i Puskás, stawiając na wielu piłkarzy z zespołu rezerw, a także na kilku sprowadzonych do klubu Hiszpanów: Amancio, Zoco, Pirriego, Betancorta... Barça też nie miała już wspaniałej generacji, na czele z Kubalą, Evaristo, Kocsisem, Eulogio Martínezem, Villaverde i resztą, więc w pogoni za mistrzostwem, wymyślającym się jej od 1960 roku, również musiała sięgnąć po wychowanków (Sadurniego, Montesinosa, Torresa, Rifé, Fusté, Vidala).

Mecz, na którym jestem jako zwykły kibic, toczy się pod dyktando Realu Madryt, zwłaszcza w drugiej połowie. Barça jest drużyną techniczną, w środku pola dyryguje nią Francuz Lucien Müller (wcześniej występował w Realu Madryt), flegmatyczny wirtuoz. Być może dlatego Bernabéu, gdy nadszedł czas przedłużenia kontraktu, nie chciał dać mu takich zarobków, jakie oferowała piłkarzowi Barcelona. Pewien kataloński dziennikarz, którego nazwiska niestety nie pamiętam, napisał o Müllerze zdanie, które zapadło mi w pamięć: „Nigdy źle nie podał, nigdy nie sfaulował, nigdy nie strzelił gola”. Wspaniały piłkarz, ale zbyt powolny. W pewnym sensie taka była cała Barça. A na przeciwko – zdecydowanie zwawszy Real.

W drugiej połowie Real atakuje i atakuje, stwarza sobie sytuację za sytuacją, a Sadurni wygląda w bramce jak kolos. Broni strzały po ziemi i z powietrza, rzuca się na boki i pod nogi napastnika, który zbliża się do jego terytorium. Opóźnia też, jak tylko może, wznowienie gry od bramki. Zresztą w miarę jak upływa druga część meczu, piłkarze Barcelony „kradną” czas przy każdym wyrzucie z autu albo stałym fragmencie gry. Niektórzy zwijają się z bólu i proszą o masażystę.

Wtedy nie pokazywało się doliczonego czasu gry na specjalnych tablicach. Arbiter ostentacyjnie zatrzymywał zegarek, kiedy dochodziło do przerwy w grze, na przykład gdy trzeba było zająć się zawodnikiem kontuzjowanym albo gdy któryś z piłkarzy celowo opóźniał akcję.

W 85. minucie jak zawsze zapaliły się światła przy wyjściach jako znak dla publiczności, że zostało tylko pięć minut i jeśli ktoś nie chciał opuścić stadionu razem z tłumem, mógł to zrobić wcześniej. Jednak nikt się nie ruszył. Real naciskał i naciskał, minęło 90 minut, ewidentnie trwał już dodatkowy czas gry, kiedy – niemal cztery minuty po upływie regulaminowego czasu – Veloso zdobył bramkę strzałem z bliska lewą nogą, przełamując wreszcie opór niepokonanego dotąd Sadurniego. Barça protestuje, jednak na nic się to zdaje. Gol zostaje uznany. Ale gra toczy się dalej jeszcze przez siedem dodatkowych minut! Ostatecznie Ortiz de Mendibil przedłuża mecz o 11 minut. Wreszcie gwizdże. Real wygrywa i umacnia się na pozycji lidera. Jego przewaga z dwóch punktów przed spotkaniem wzrasta do czterech.

Spieszę jeszcze z wyjaśnieniem, że wtedy nie było zegara na stadionie, ale dziennikarze przychodzili na mecz z chronometrem, dlatego też gazety zawsze dokładnie podawały czas, jaki został doliczony.

Pomeczowe wypowiedzi ze strony Barcelony są pełne oburzenia. Olsen, trener, który grał w Realu od 1951 do 1957 roku, jest zbulwersowany: „Mecz zakończył się bezbramkowym remisem. Tylko niezrozumiałe i nie do przyjęcia zachowanie arbitra – który popełnia wielki błąd, doliczając

aż 11 minut, kiedy, jak wszyscy mogli się przekonać, nie było nawet najmniejszej straty czasu z powodu jakichś incydentów, kontuzji czy innych okoliczności – pozwoliło Realowi strzelić gola, zabierając nam w ten sposób sprawiedliwy remis”. Równocześnie Olsen spodziewał się, że Komitet Arbitrów podejmie „odpowiednie kroki”. Tym bardziej że sędziowanie Ortiza de Mendibila było już kwestionowane przez Barcelonę na początku tego samego sezonu. Teraz znów kataloński klub odrzucił tego arbitra ^[43].

Następne dni pełne są komentarzy i reakcji na nie. W Barcelonie stworzono legendę głoszącą, że Real strzelił gola w 11. minucie doliczonego czasu i że Ortiz de Mendibil przedłużył mecz tyle, ile było trzeba, żeby drużyna z Madrytu zdobyła bramkę, aby potem od razu odgwizdać koniec.

Kiedy odwiedziłem w Barcelonie Sadurniego, bramkarza, który wpuścił gola, żeby porozmawiać o tej sprawie i o kilku innych, twierdził stanowczo, że Real zdobył bramkę w dziesiątej minucie doliczonego czasu gry i że Ortiz de Mendibil dokładnie wtedy zagwizdał po raz ostatni. „Dobrze pamiętam tamtego gola: było to dośrodkowanie, do którego wyszedłem, mając przewagę, ale zderzyłem się z Eladio, piłka spadła na ziemię i Veloso strzelił z bliska. Byłem wściekły”.

W prasie z następnego dnia można przeczytać, że gol został strzelony w czwartej minucie doliczonego czasu i że potem Ortiz de Mendibil dodał jeszcze kolejnych siedem minut. Jednak Sadurni, jeden z bohaterów tamtej akcji, upierał się, że gol padł w dziesiątej minucie. Pomyślałem, że słysząc o tym tyle nieprawdziwych rzeczy, ostatecznie zapomniał, co sam przeżył i teraz odbiera to zupełnie inaczej.

Nie zgadzam się jednak z Olsenem: otóż w meczu były przerwy. Wobec bramki Veloso Ortiz de Mendibil przedłużył mecz o 11 minut, być może po to, żeby uniknąć niepotrzebnych komentarzy, co i tak mu się nie udało. Tych 11 minut spowodowało, że jeszcze bardziej przybrały na sile. Przygotowując tę książkę, odwiedziłem go w Bilbao. W wieku 88 lat trzyma się znakomicie. Był arbitrem o wspaniałej prezencji i elegancji (koleży nazywali go Petroniuszem, arbitrem elegancji) i o famie sybaryty. Jeśli nie podobał mu się hotel, który wyznaczono na dany mecz, zmieniał go na inny, bardziej komfortowy.

– Jedenaście minut!

– Proszę posłuchać, nie wiem, ile trwał doliczony czas gry. Zatrzymałem zegarek za każdym razem, gdy trzeba to było zrobić, i tyle. Według mojego zegarka mecz trwał 90 minut, jak zawsze.

– Ale to dziwne...

– Być może dlatego, że pod tym względem byłem bardziej skrupulatny niż inni. Nie tylko tamtego dnia, lecz zawsze. W tym samym sezonie taka sytuacja z golem strzelonym po czasie przytrafiła mi się jeszcze w dwóch meczach: Las Palmas – Pontevedra, w którym zresztą piłka, zanim wpadła do siatki, odbiła się ode mnie, oraz Saragossa – Las Palmas. Mecz musi być rozegrany w całości i za to odpowiada arbiter. To, co mi się nie podoba, to sytuacja, kiedy w dwóch trzech meczów dolicza się dokładnie trzy minuty. Taknie powinno być.

– Ale wybuchła awantura. Barça pana odrzuciła. Był pan numerem jeden na liście Realu Madryt...

(Spieszę z wyjaśnieniem, że w tamtych czasach kluby wręczały listę z wypisanymi kolejno ulubionymi arbitrami i kiedy nadchodził moment wyznaczania ich do konkretnych spotkań, szukano takiego, który znajdował się na możliwie najwyższej pozycji na listach obu klubów).

– Ja byłem numerem jeden dla dziewięciu z 16 drużyn. Zdarzały się sezony, w których sędziowałem we wszystkich 30 meczach.

Rzeczywiście, Ortiz de Mendibil był bardzo dobrym, cieszącym się dużym prestiżem arbitrem. Pomagał mu (podobnie jak Rigo i Gurucecie) wizerunek Miał autorytet i wiedział

dokładnie, kiedy zastosować tak zwany przywilej korzyści. Był też arbitrem międzynarodowym, wyznaczanym na bardzo ważne mecze. Sędziowałem między innymi półfinał mistrzostw świata w 1970 roku między Brazylią a Urugwajem, finał Pucharu Interkontynentalnego Inter – Independiente, finał Pucharu Europy Milan – Ajax, finał mistrzostw Europy Włochy – Jugosławia, a także kilka finałów Pucharu Zdobywców Pucharów.

– Z czasem Barcelonie przeszło. Kończyłem karierę, prowadząc finał drużyn młodzieżowych, tuż przed finałem Pucharu Hiszpanii między Athletikiem Bilbao i Castellón. Wtedy finał młodzieżowy grało się tego samego dnia i na tym samym boisku, na którym grali zawodowcy. To było piękne. Ponieważ był to mój ostatni sezon, daliby mi finał, ale nie mogli, ponieważ grał w nim Athletic, a ja należałem do baskańskiego komitetu arbitrow. Wyzaczyli mnie do finału młodzieżowego, w którym grały właśnie Barça i Real Madryt. I wie pan, co się stało?

– Nie pamiętam.

– Wygrała Barça 4:2. Widzi pan, tak wyglądało moje pożegnanie: finał, w którym Barça pokonała Real 4:2.

Ortiz de Mendibil zyskał jeszcze większy rozgłos, gdy przestał sędziować. Akurat wtedy w telewizji pojawiła się moviola, narzędzie pozwalające na zatrzymanie obrazu, przewinięcie do przodu i do tyłu każdej akcji. Został zatrudniony przez TVE, żeby komentować takie sytuacje. Kibice zaczęli nazywać go Moviolo albo Pan Moviolo.

– Federacja nie chciała, żebym to robił. Wielu kolegów krytykowało mnie za to, nie podobało im się, że były arbitrem ocenia ich decyzje. Ale uważam, że to było dobre, że telewizja pozwala kibicowi lepiej poznać przepisy, a z drugiej strony zobaczyć, jak trudne jest sędziowanie, ponieważ zdarzają się akcje, które powtarza się po dziesięć razy i ciągle się o nich dyskutuje. Pamiętam, że „Don Balón” przeprowadził ankietę i prawie wszyscy sędziowie byli przeciwko movioli. A teraz wielu z nich komentuje w telewizjach albo w stacjach radiowych!

20. RIGO I FINAŁ BUTELEK

W tamtych czasach w chwili wyznaczania arbitrów na konkretny mecz brało się pod uwagę listę z nazwiskami, jaką każdy klub dostarczał federacji. Kiedy mierzyły się ze sobą dane drużyny, zestawiało się listy obu i starano się wyznaczyć sędziego, który byłby najwyższej klasyfikowany, a co za tym idzie – najlepszy dla obu klubów. Równocześnie istniało prawo odrzucenia; do listy można było dołączyć nazwiska dwóch arbitrów odrzuconych, co było równoznaczne z zakazem sędziowania przez nich meczów tego zespołu. Arbiter odrzucony przez dany klub nie mógł prowadzić meczu tej drużyny aż do chwili wycofania odrzucenia.

Rigo znajdował się wtedy na pierwszym miejscu listy Barcelony i, trzeba to powiedzieć, nieże na to zapracował. Ale choć dla Barcy był numerem jeden, to od aż dziewięciu innych klubów zbierał kolejne odrzucenia za niekorzystne dla nich sędziowanie w meczach właśnie przeciwko Barcelonie. Tak asymetryczna pozycja znacznie ograniczała jego możliwości sędziowania. A zatem często zdarzało się tak, że jedynka na liście Barcy, odrzucona przez tyle klubów, prowadziła mecze Barcelony tylko z tymi drużynami, które przeciwko niemu nie zaprotestowały.

Słowem, bardzo często sędziował Barcelonie. W sezonie 1967/68 prowadził 11 z 30 ligowych meczów Barcy, czyli co trzecie spotkanie. A w Pucharze Hiszpanii – oba jej mecze w ćwierćfinale z Athletikiem Bilbao; awansowała Barça. W półfinale mierzyła się z Atlético Madryt i znów do obu meczów desygnowano Rigo, i to pomimo rosnącego niezadowolenia madryckich kibiców i komentarzy w prasie i w radiu. Pierwszy mecz wygrało Atlético 1:0, ale domagało się dwóch rzutów karnych. Gniew przed meczem rewanżowym był ogromny. I okazało się, że na Camp Nou Barça wygrała 3:1 (jedna z bramek padła po bardzo wątpliwym rzucie karnym). Poza tym trzeci, decydujący gol został strzelony w szóstej minucie po upływie regulaminowego czasu gry.

Czegóż chcieć więcej? A jako że diabeł kule nosi, drugim finalistą był Real Madryt. I w Realu, od prezydenta Bernabéu aż po ostatniego kibica, zapanowała wielka podejrzliwość, kiedy okazało się, że na arbitra znów wyznaczono Rigo. W rzeczy wistoci była to sprawa względnie automatyczna: numeru jeden Barcelony nie odrzucił Real, podczas gdy numer jeden Realu Ortiz de Mendibil od czasu meczu z golem Veloso, o czym pisałem w poprzednim rozdziale, został ponownie odrzucony przez Barcelonę.

Real Madryt interweniował w federacji, żeby zmienić tę decyzję, ale bezskutecznie. Wiele lat później Antonio Calderón, dyrektor generalny Realu, opowiadał w wywiadzie dla stacji Telemadrid w serii *De Cibeles a Neptuno*: „Andrés Ramírez (który był sekretarzem federacji) powiedział mi, żebym był spokojny. Że to finał i że z Caudillo w łóżu arbiter będzie sędziował dobrze. Ale jego guzik obchodził Caudillo czy cokolwiek innego!”.

Już od samego początku meczu atmosfera była tak napięta, że na Santiago Bernabéu, gdzie odbywał się finał, można było kroić ją nożem. W tamtych latach praktycznie wszystkie finały rozgrywano na Bernabéu, chyba że jakaś podróż Franco sprawiała, że finał organizowano w innym miejscu, co należało do rzadkości. Zazwyczaj odbywały się w Madrycie, z Realem czy bez Realu, który zresztą przegrał na własnym stadionie finały w 1958, 1960, 1961, a nawet w 1968, w gry wając tylko ten w 1962 roku.

Publiczność owego wieczoru w absolutnej większości była z Madrytu. Wtedy nie podróżowało się tak jak dzisiaj. Tylko kibice z Bilbao mieli to w zwyczaju, kochali Puchar ponad wszystko i dlatego zdobywali się na ten wysiłek. Na Bernabéu zasiadła więc znaczna większość madrytistów, było trochę neutralnej publiczności, typowej dla wielkich wydarzeń, niewielka grupka sympatyków Atlético i bardzo mało barcelonistów.

Mecz dla Realu rozpoczął się źle: dośrodkowanie Rexacha z lewej strony Zunzunegui chciał wybić swoją prawą, gorszą nogą, lecz skłisował, po czym piłka wpadła do siatki przy przeciwnym słupku Betancorta. Była szósta minuta, a Real już przegrywał 0:1.

I rzucił się do ataku trwającego 84 minuty, w czasie których Barcelona broniła tego jedyne go gola przewagi. W przerwie publiczność robi się niecierpliwa i zaczyna domagać się karnych przeciwko Barcelonie. Druga połowa znów zaczyna się atakiem na bramkę po południowej stronie stadionu, ulubioną bramką madrytistów. Tam upada Amancio, co wywołuje wybuch emocji. Widziałem tę akcję i nie przypominam sobie, żeby w tej sytuacji Realowi należał się karny (Amancio, wspaniały piłkarz, był trochę aktorem, kiedy widział, że może na tym skorzystać). Niedługo potem i oszczę: Serena sciera się z Eladio, wpada w pole karne, a Eladio, padając niby na plecy, chwytając skrzydłowego i go powała. Karny, chociaż połączony z symulowaniem.

I wtedy rozpętuje się pandemium, na murawę zaczyna się lecieć butelki – wyraz największej wściekłości w tamtych czasach. Dość często rzucono poduszeczkami, zarówno na meczach piłki nożnej, jak i na korridzie (kiedy Atlético otwierało Manzanares, wypuszczono w obieg bardzo lekkie poduszeczki, które kopano; nie można było ich rzucić, ponieważ nie dolatywały na murawę), ale butelki były prawdziwym ekstremum. Mówię o butelkach ze szkła, po piwie, coca-coli albo fencie, ćwierćlitrowych, które nawet puste mogły wyrządzić poważną krzywdę, gdyby trafiły kogoś w głowę.

Sprzątnięto butelki i kontynuowano grę. Niedługo potem po faulu Eladio w pobliżu linii końcowej Amancio skręca się z bólu i na boisko pada kolejny deszcz butelek skierowany w stronę Eladio, ale w niebezpieczeństwie są też inni. Pirri i Velázquez pokazują publiczności, żeby przestała. Mecz trwa dalej, choć w kierunku Sadurniego, bramkarza Barcelony, butelki lecą za każdym razem, gdy przerywa jakiś atak Realu, a on spokojnie odrzuca je z murawy.

Aż nadchodzi koniec wraz z jeszcze większą frustracją madrytistów. Z głównej trybuny lecą kolejne butelki, kiedy Zaldúa wchodzi do łóży, aby odebrać Puchar z rąk Franco, podczas gdy pozostali piłkarze Barcelony trzymają się z boku w bezpiecznej odległości. Potem chcą wykonać rundę wokół boiska, ale jest to niemożliwe. Butelki lecą wszędzie tam, gdzie tylko się pojawiają. Rezygnują więc i kierują się do prowadzącego do szatni tunelu. Udaje im się przejść bezpiecznie po tym, jak w tej strefie stadionu wyczerpuje się zapas butelek, ale i tak musi ochraniać ich policja.

Tymczasem w łóży dochodzi do sceny komentowanej we wszystkich opowieściach o Barcy, które przedstawiają to zdarzenie (i które, nawiasem mówiąc, pomijają kwestię sprzyjania Barcelonie przez Rigo). Żona ministra spraw wewnętrznych Camilo Alonso Vega była bardzo smutna i powiedziała do Bernabéu: „Jaka szkoda, panie Santiago, że przegraliśmy!”. Zważywszy na to, że obok nich siedział także prezydent Barcelony, jej mąż zgañił ją czule i zachęcił, żeby pogratulowała prezydentowi zwycięskiego klubu, co też zrobiła, używając niezbyt fortunnych słów: „Ach tak, gratuluję panu, bo Barcelona to też jest Hiszpania, prawda?”. Na co Narcís de Carreras odpowiedział: *Senyora, no fotem* (Proszę pani, proszę mnie nie wkurzać).

Ta anegdota, która mogła powstać zgodnie z regułą *se non è vero, è ben trovato*^[44], nie jest jedyną trwałą pozostałością po tamtym meczu. Wizerunek Realu Madryt został mocno nadzarpięty rzucając butelek na boisko w liczbie nieznaną dotąd w hiszpańskim futbolu, co przyniosło następującą konsekwencję: w odpowiedzi na nakaz Oficjalnego Biuletynu Rządowego

w sierpniu federacja wysłała do wszystkich klubów okólnik, w którym zakazywała sprzedawania na stadionach napojów w szklanych butelkach. Ich zawartość musiała być uprzednio przelana do papierowych albo plastikowych kubków i tylko z nimi można było zasiąść na meczu. Nakaz ten nie spodobał się w całej Hiszpanii, nie tylko dlatego, że dla prawdziwego kibica piwo w plastikowym kubku „smakowało gorzej”, ale także dlatego, że przelewanie z butelki do kubka zajmowało więcej czasu i w przerwie robiły się kolejki, jakich wcześniej nigdy nie widziano, co powodowało, że wielu kibiców wracało na miejsca już po rozpoczęciu drugiej połowy.

Barça była uszczęśliwiona ze zdobycia Pucharu, ale i oburzona, że Real w żaden sposób nie ukarał kibiców za to, co się wydarzyło. A nie ukarał z tego powodu, że organizatorem meczu nie był Real, tylko federacja i chociaż zachowanie madrydstów na ich stadionie było naganne, to w tym przypadku nie klub powinien nakładać kary. Gdyby to samo wydarzyło się na meczu ligowym, stadion zostałby zamknięty dla publiczności na co najmniej dwa spotkania.

Rigo też wyszedł z tego meczu poszkodowany. Jego fama barcelonisty rosła, przez co sędziował coraz rzadziej. W tamtym czasie Ministerstwo Sportu propagowało slogan mający na celu zachęcić ludzi do uprawiania sportu: *Contamos contigo* (Liczymy na ciebie). Z łatwością przerobiono go na *Contamos con Rigo* (Liczymy na Rigo), twierdząc, że tak właśnie mawiano w Barcelonie. Nawet przy okazji tamtego finału w jednej z gazet ukazał się tytuł: *Liczyli na Rigo*.

Arbiter z Majorki dźwigał to piętno do końca kariery. Aż wpadł na skutek dochodzenia federacji (o czym piszę dalej), wszczętego najpierw przeciwko innym arbitrom: Antonio Camacho i Lópezowi Samperowi, a później również przeciwko samemu Rigo, w wyniku czego zostali oni oskarżeni o udział w ustawianiu meczów.

Sadurni obie akcje pamięta bardzo dobrze. Bardziej prawdopodobny wydawał mu się karny po sytuacji z Eladio, chociaż obaj zgodziliśmy się, że ten zrobił to z naprawdę ogromnym sprytem. To było coś takiego jak zgedzenie Robbena przez Puyola w finale mistrzostw świata w 2010 roku, gdy Holender biegł w stronę bramki Casillasa. Coś w stylu: chwycę cię, ale nie do końca, w połowie potknięcie, w połowie nie... Tylko że w tym przypadku Eladio i Serena padli na murawę. Eladio był wielki i postawny, Serena zaś mały.

– Problem polegał na tym, że atmosfera była gorąca już od półfinału, ze względu na mecz z Atlético. I oczywiście w Madrycie dużo się o tym mówiło, była to przecież druga drużyna ze stolicy.

– Może nie powinien sędziować Rigo.

– Myślę, że Real starał się o to, ale wydaje mi się, że to działo się automatycznie. Był numerem jeden na naszej liście i numerem dwa na liście Realu. Jedynek u nich był Ortiz de Mendibil, którego odrzuciliśmy, tak więc...

– A pan w bramce mógł się w ogóle skoncentrować na meczu pośród tych butelek?

– Mniej więcej. Kiedy gra się oddalała, szedłem do bramki i stawałem pod siatką, żeby się chronić. Ale Real bardzo naciskał, tak więc nie mogłem stać tam przez cały czas.

– Ale kiedy Real atakował, nie rzucono butelek

– Owszem, rzucono. Na przykład kiedy był faul. Mogli trafić kogoś z Realu. Odetchnąłem, kiedy wszystko się skończyło. Jednak najbardziej zdenerwowało nas to, że nie pozwolili nam wykonać rundy wokół boiska. Kiedy zaczęliśmy, w naszą stronę leciało jeszcze więcej butelek i musieliśmy jak najszybciej ukryć się w tunelu.

Rigo, arbiter międzynarodowy, zniknął z boisk jakiś czas później. W tej samej mgłę rozpułnął się Antonio Camacho, ten, który powiedział: „Dopóki Plaza będzie szefem arbitrow, Barça nie wygra ligi” (o tej sprawie piszę w innym rozdziale). Nie tak dawno temu Rigo udzielił długiego wywiadu Pedro Pablo San Martínowi, zastępcy redaktora naczelnego „Asa”, który odwiedził go w Palmie, skąd arbiter pochodzi i gdzie zamieszkał po zakończeniu kariery. Opublikowaliśmy go w

sumie na czterech stronach w dwóch kolejnych numerach i wydało mi się interesujące zamieszczenie tej rozmowy również tutaj.

Tytuł pierwszej części brzmiał: *Finał butelek sprawił, że stałem się antymadrydystą, zaś podtytuł: Antonio Rigo prowadził pucharowy „finał butelek” Real – Barça w '68.* (W tamtych latach oskarżany był o sprzyjanie klubowi *azulgrana*. O wszystkim opowiada dla „Asa”). Potem następował krótki wstęp i pierwsza część wywiadu. Przytaczam go w takiej formie, w jakiej został on opublikowany:

Mieszka w centrum Palma de Mallorca. Antonio Rigo Sureda od dawna już nie pojawia się w gazetach, ale w latach 60. i 70. codziennie pisano o nim na pierwszych stronach, prawie zawsze w kontekście spekulacji dotyczących jego sprzyjania Barcelonie. Dziś, w środku sędziowskiego chaosu wywołanego znową na linii federacja – Barça, Rigo znowu wychodzi z cienia.

– Proszę posłuchać, po piętnastu latach w Primera División, po sędziowaniu meczów międzynarodowych nie mam nawet kartetu, żeby pójść na stadion. Tak wygląda rzeczywistość. Jestem z dala od wszystkiego, i to nie z własnej woli. To mnie odsunęło.

– Pomówmy o pańskim odejściu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku na skutek podejrzeń o sprzedawanie meczów, o aktualnym systemie wyznaczania arbitrow... Jednak na początek proszę mi powiedzieć: czy zawsze był pan kibicem Barcy?

– Nie, ani nim nie byłem, ani nie jestem. Raczej po finale w sześćdziesiątym ósmym stałem się bardziej antymadrydystą niż kibicem Barcelony. Ale miałem powód: widziałem, że ręka Realu sięgała bardzo daleko i mi szkodziła. Od finału butelek byłem odrzucony przez Real, a potem przez innych siedem klubów. I uważam, że większość z nich robiła to dlatego, że Real był ich klubem-mamką i wypełniały polecenia... Ten finał nigdy się dla mnie nie skończył, a jego skutki na zawsze naznaczyły moje życie. Dlatego wołałem, żeby Realowi źle się wiodło.

(W finale Pucharu Generalísimusa w 1968 roku zagrały na Santiago Bernabéu Real Madryt i Barcelona. *Los blancos* przegrali 0:1 po samobójczym golem Zunzuneguiego. Rigo wywołał skandal, nie dyktując dwóch rzutów karnych za faule na Amancio i Serenie. Gdy Franco wręczał Puchar Barcelonie, na boisko leciały butelki, stąd takie określenie finału).

– Mówię panu dziś, że nie widziałem faulu na Amancio i że Serena upadł sam. Serena się potknął i chciał mnie oszukać, kładąc się, kiedy był już siedem milimetrów za linią pola karnego.

– W artykułach z tamtego czasu można przeczytać, że za tę przysługę Barça podarowała panu willę i biznes w Palmie.

– Bzdura. Otworzyłem w Palmie drukarnię Rigo dwa miesiące wcześniej, a willę kupiłem do spółki z moim bratem. Zawsze prześladowała mnie zła sława,

przez którą miałem poważne problemy, także rodzinne. Barça nigdy niczego mi nie zaproponowała, nawet odznaki. Jednak Real...

– Real...?

– Pamięta pan pana Antonio Calderóna? Chyba był dyrektorem generalnym klubu. W szatni, przed meczem, powiedział, że zrobi mi ładny prezent. Że tradycją Realu Madryt jest podarunek w postaci złotego zegarka. Przypuszczam, że było to uzależnione od zwycięstwa jego drużyny, ponieważ do dziś czekam na ten prezent. Proszę rozejrzeć się po moim domu, gabloty pełne są pamiątek z Realu nie mam nawet jednego drobiazgu. Ale zostawiłem wolne miejsce, w razie gdyby przyszło im do głowy, żeby coś mi podarować.

– A zachował pan jakąś pamiątkę z tamtego meczu?

– Nie. Mieli nam dać małą replikę pucharu, ale powiedzieli, tam na murawie, że ją zgubili. Myślę, że nie spodobał im się wynik.

– Wywołał pan niezłą awanturę...

– Owszem. Na Barajas pojechaliśmy zakamuflowani pięcioma jeepami Policji Szturmowej. Na lotnisku policjant nie odstępował mnie na krok aż do chwili wejścia na pokład. Powiedział, żebym w razie problemów wyjął chusteczkę, jakbym miał zamiar kichać. Ha, ha, ha.

– No tak. Ale Real nigdy panu tego nie wybaczył.

– Pewnie tak. Niedawno jedna ze stacji połączyła mnie z Zoco. Obrażał mnie, więc się broniłem. Był zły za tamten finał i powiedział, że okazałem się najgorszym arbitrem w historii. Odpowiedziałem, że jeszcze widać u niego wściekłość, ale wtedy nas rozłączyli...

– W tamtym sezonie prowadził pan trzynaście z trzydziestu meczów Barcelony. Rigo był nadwornym arbitrem klubu, prawda?

– Jest na to wytłumaczenie. Wtedy kluby wysyłały listę swoich ulubionych arbitrow. Ja byłem numerem jeden Barcelony, więc to normalne, że wyznaczano mnie najczęściej. A Barça wygrywała ze mną mnóstwo meczów, ponieważ była lepsza niż inne drużyny. To było naturalne. Z kolei Ortiz de Mendibil prowadził wiele meczów Realu, bo był numerem jeden na jego liście i z nim Real zawsze wygrywał. Wydaje mi się, że to normalne.

– W półfinale tamtej edycji Barça wyeliminowała Atlético też dzięki pańskiemu skandalicznemu sędziowaniu.

– Pewnie, pewnie. Tak się stało w historii. Za tamto Atlético też mnie odrzuciło. Ale uważam, że nie mieli żadnego powodu, a poza tym konsekwencje pojawiły się później.

– Jakie konsekwencje?

– W następnym roku nie mogłem sędziować meczów Burgos, ponieważ ich trenerem został człowiek, który wcześniej był asystentem w Atlético. I pierwsze, co zrobił, to kazał klubowi mnie odrzucić (Rigo ma na myśli Mariano Moreno, który z Atlético przeszedł na ławkę trenerską Burgos). Prezes Burgos mnie przeproszał, ale tak czy inaczej, było to niesprawiedliwe.

– Przepis dotyczący odrzucania arbitrów brzmi jak anachronizm, ale możliwe, że w obecnej sytuacji znów zacznie obowiązywać.

– Powiem panu, za czym bym optował. Jeśli istnieją udokumentowane powody, dla których dany arbiter ma być odrzucony przez klub, to proszę bardzo. Tak samo jak uzasadnione jest zwolnienie jakiegokolwiek pracownika, który zdradzi swoją firmę... Ale nie liczy się odrzucenie bez podania powodów, co mnie przytrafiło się tyle razy.

– Pan był odrzucany aż dziewięciokrotnie. To dużo.

– Opowiem panu o jednym zdarzeniu. Sędziowałem mecz Saragossy. Pewien piłkarz nazwał mnie skurwysynem. Odesłałem go do szatni. Podszedł do mnie inny i powiedział mi, że wyrzuciłem jego kolegę z takiego powodu. A on na to: „A nie jesteś?”. Też wyleciał. I pojawił się trzeci, który powiedział mi: „Wyrzuciłeś dwóch piłkarzy za to, że powiedzieli ci prawdę”. Jego także odesłałem do szatni. Rok później Roque Olsen został trenerem Saragossy i powiedział mi, że on wszystkich trzech wyrzuciłby z klubu. Jednak klub już mnie odrzucił. Taki jest futbol.

– O Realu Madryt mówiło się, że był klubem reżimu Franco, ale dużo meczów i tytułów wygrywała Barcelona. Jaka jest pańska opinia na ten temat?

– Ja nigdy nie zamieniłem z Franco ani słowa. I nikt z góry nie narzucał mi, żebym faworyzował Barcelonę. Wiem, że bardzo ważne osoby, ówczesne wielkie postaci sportu, mówiły o mnie źle w wielu klubach, łącznie z Realem Madryt, namawiały, żeby zespoły mnie odrzucały. Ale nie było to możliwe. A ja powtarzam, że nie czuję się winny. Proszę przypomnieć sobie Gurucetę, który podyktował karnego za faul dwa metry przed polem karnym... ale jestem pewien, że nie zrobił tego celowo. Był daleko od całej akcji. Czy my, sędziowie, nie mamy prawa popełniać błędów tak jak piłkarze? Też się mylimy. Nie jesteśmy z kamienia i czasem nawet gdy stoimy dwa metry od akcji, nie widzimy faulu.

– Ale pan, proszę przyznać, wyrządził wiele sfaulowań Realowi.

– Proszę posłuchać, opowiem panu o jednym zdarzeniu, którego zawsze żałowałem. W meczu Real – Murcia Puskás biegnie po skrzydle. Przeciwnik go chwytą, ciągnie i ciągnie, a ten dopiero wpadając w pole karne, pozwala się przewrócić. Ja dyktuję rzut wolny poza

polem karnym. Puskás zaczy na się burzyć i ręką uderza mnie w klatkę piersiową, prawie mnie przewracając.

– I czego pan żałuje?

– Że go nie wyrzuciłem. Widzi pan, faworyzowałem Real. Nauczyłem się, że nikomu nie można darować. Nie są ci za to wdzięczni.

– Co się dzieje z dzisiejszym sędziowaniem? Jest jakaś konspiracja na rzecz Barcelony?

– Nie, skąd. Sędziowanie było, jest i zawsze będzie takie samo. Są polemiki, błędy i dziś jeden wychodzi na tym korzystnie, a inny jest poszkodowany. Widzę natomiast, że sędziowie nie są chronieni.

– To znaczy?

– Nie rozumiem, jak to możliwe, że uchyla się kary dla piłkarzy. To dodaje im śmiałości i dlatego na boisku dzieje się to, co się dzieje. Kopia, protestują, robią, co chcą, bo wiedzą, że nie spotka ich kara ani ze strony federacji, ani klubu. Nikt nie współpracuje z arbitrem, nawet komitety nakładające sankcje. W ten sposób trudno jest zaprowadzać porządek na murawie. Drużyny z zawodnikami ze złymi intencjami mają na boisku przewagę.

– Ale jest też wielu arbitrow, którzy chcą być w centrum widowiska, czyż nie?

– Tak, to prawdopodobne. Widziałem takich, którzy na zdjęciu ustawiali przed sobą piłkę, żeby stanąć na palcach i wydawać się wyżsi, niż są w rzeczywistości. Inni każą asystentom nosić walizki... Ja mogę powiedzieć, że nigdy nie chciałem być głównym bohaterem, mimo że cieszyłem się dużą popularnością i ludzie zatrzymywali mnie na ulicy, prosząc o autograf.

Następnego dnia, również na dwóch stronach, opublikowana została druga część wywiadu, opatrzona tytułem *Prasa nastawiała Real przeciwko mnie* i podtytułem *Antonio Rigo opowiada o kontrowersyjnym półfinale Pucharu z 1968 roku Atlético – Barça, a także o próbie przekupienia go przez Espanyol w 1962 roku i o końcu swojej kariery wobec wysuwanych przeciwko niemu oskarżeń o ustawianie meczów.*

I znów krótki wstęp: „Razem z Antonio Rigo wspominamy przeszłość. I wracamy do sezonu 1967/68, kiedy sędziował 13 z 30 meczów Barcy...”

(Na marginesie: było ich 11, nie 13. We wstępie do wywiadu jest błąd).

– Już panu mówiłem, że z uwagi na system wyznaczania arbitrow było czymś normalnym, że to ja gwizdałem Barcelonie. Byłem pierwszy na ich liście...

– Tak Ale niesamowita była ta władza Barcy, dzięki której prowadził pan oba mecze półfinałowe w Pucharze przeciwko Atlético, co zakończyło się awansem drużyny

azulgrana i wielkimi skandalami (0:1 w pierwszym meczu i 3:1 w rewanżu).

– Proszę uważnie posłuchać: niech dopadnie mnie jakaś choroba, jeśli w tamtych meczach sędziowałem przeciwko Atlético.

– Proszę się nie denerwować, panie Rigo... Chodzi o to, że nie widział pan dwóch karnych dla Atlético na Vicente Calderón, a potem odgwizdał pan dwie jedenastki dla Barcelony na Camp Nou. W sprawozdaniach nazwano pana barcelonistą pełną gębą...

– Pamiętam tylko jedną akcję na Calderón, kiedy odgwizdałem przewinienie, dyktując rzut wolny pośredni, ponieważ blokowali Gárate. I podobną sytuację, tyle że wtedy chwycili i przewrócili Rifé, miała miejsce w meczu rewanżowym. Powalenie na ziemię to karny czy nie?

– Tak Ale to było w szóstej minucie doliczonego czasu i był to gol na 3:1, który oznaczał awans Barcelony.

– Nic z tego nie pamiętam. Wiem, że prasa z Madrytu bardzo podgrzewała atmosferę i mnie krytykowała. Ale w odniesieniu do tamtych meczów jestem absolutnie spokojny. Chociaż prawdą jest, że miały one wpływ na to, co wydarzyło się w finale Real – Barça. Prasa już nastawiła przeciwko mnie ludzi z Madrytu. Gdybym nie gwizdał tamtych półfinałów, finał byłby spokojny.

– Powiedział nam pan, że przez finał butelek stał się pan antymadrystą. Był pan także anty-Atlético?

– Nie, nie. Atlético odrzuciło mnie po tamtym półfinale i przez rok nie prowadziłem ich meczów, ale w następnym sezonie uchylili odrzucenie. Mam mnóstwo pamiętek od Atlético... Nie mieli mi za złe tego, jak sędziowałem, inaczej niż Real. Poza tym powiem panu, że po tamtym meczu dostałem jakieś 200 listów. Dzięki jednej setce poczułem się dobrze, dzięki drugiej źle. Tak więc widzi pan.

– Ale prawda jest taka, że zawsze był pan podejrzewany.

– Powiem panu, że tylko jeden jedyny raz próbowali mnie kupić. To było w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku w jednym z meczów grupy północnej, chodziło o awans do Primera. Jeśli wygraliby gospodarze, awansowaliby, w przypadku remisu albo zwycięstwa gości awansowaliby oni. Byłem w hotelu, kiedy przyszedł do mnie pewien człowiek z drużyny miejscowych, którego znałem. Zabrał mnie do baru, żeby się czegoś napić, i powiedział mi, że jeśli wygra jego drużyna, to w poniedziałek będę miał w Palmie dom, jaki mi się tylko zamarzy, najlepszy samochód i tyle pieniędzy, ile będę chciał. (Rigo ma na myśli mecz Espanyol – Pontevedra z 1962 roku. Później przyzna to w tym wywiadzie).

– I co pan zrobił?

– Zapytałem, czy to żart. Odpowiedział, że nie. Wtedy wskazałem mu drzwi, a potem już nigdy ze mną nie rozmawiał. Kiedy byłem już na stadionie, opowiedziałem o tym szefowi mojego związku arbitrow. Tłumaczyłem, że nie mam ochoty sędziować, ale poradził mi, żebym patrzył do przodu i wykonał swoją pracę. Ostatecznie Pontevedra wygrała dzięki dziwnej bramce: Riera źle wybił piłkę i napastnik ją przyjął, składając się do strzału. Boczny pokazał mi, że jest spalony, ale ja taknie uważałem... Tyle.

– A zatem pośredniknie osiągnął swojego celu.

– Nie wiem, bo widzi pan, po meczu, nie wiem jak, ale dostał się do mojej szatni i powiedział mi: „Bardzo dobrze”. Zamurowało mnie. Czyżby pracował dla obu drużyn?

– Minęło czterdzieści lat, proszę powiedzieć, czy kiedykolwiek kuśilo pana...

– Raz się zgodziłem. Ale to anegdota. Mallorca brała udział w letnim czterodrużynowym turnieju, tutaj, w Palmie. Zespół spadł właśnie z ligi i prezes powiedział mi, że aby podnieść ludzi na duchu i nie stracić nabywców sezonowych karnetów, dobrze by było, gdyby Mallorca zagrała w finale tego turnieju. Miałem sędziować pierwszy mecz z jakąś zagraniczną drużyną, nie pamiętam już z kim, i zapewnić ten finał Mallorce. Dzień przed meczem zadzwoniłem do Bernardo, który był kapitanem i obrońcą. Powiedziałem mu, że jeśli na minutę przed końcem na tablicy wyników będzie remis, to żeby przy rzucie rożnym wszedł w pole karne i dał się przewrócić. Ja odgwizdałbym łarnego.

– I co się stało?

– Mallorca do przerwy przegrywała 0:4 i powiedziałem im, że tego nie da się już załatwić. Mecz zakończył się zwycięstwem gości 7:1. Niewiele mogłem zrobić, ha, ha, ha.

– Ale jest znacznie poważniejsza sprawa, która kosztowała pana zakończenie kariery po czternastu latach sędziowania. Oskarżono pana o przyjęcie łapówki przed meczem Celta – Murcia w sezonie 1973/74, który wygrali goście 2:0.

– Cóż, opowiem panu, jak to wyglądało z mojej strony. W sezonie 1975/76 zauważyłem, że prawie na żaden mecz nie wyciągano piłeczki z moim nazwiskiem (wtedy arbitrow wyznaczano drogą losowania). W ciągu czterech miesięcy sędziowałem cztery razy. Wtedy zapytałem szefa mojego związku z Balearów Simó Fiola, czy w Madrycie działo się coś przeciwko mnie. Powiedział, że wykona kilka telefonów. Tak zrobił, ale zakomunikował mi, żebym zadzwonił sam, bo Escartín powiedział mu, że sprzedałem się w jednym meczu (Pedro Escartín był informatorem Narodowego Komitetu Arbitrow, na czele którego stał José Plaza).

– Poważne oskarżenie.

– A jak Chwyćcielem za telefon, zadzwoniłem do Escartína i powiedziałem mu, żeby mi wyjaśnił, co to znaczy, że sprzedałem się w jednym meczu. Wtedy zaczął krzyczeć: „Ja tego nie powiedziałem!” i się rozłączył. Oczywiście moja piłeczka znów nie wychodziła z bębna przez cały rok i zmusili mnie do tego, bym zrezygnował z zarejestrowania się jako arbiter na następny sezon. I po trzydziestu latach zadaję sobie pytanie: dlaczego nie dali mi prawa do obrony? Escartín i Plaza nie odważyli się przedstawić mi dowodów na to, o co mnie oskarżali. Prawda jest taka, że zadali mi cios na odległość, z Madrytu, przez co sprawili, że poczułem awersję do futbolu i sędziowania.

– W tamtych miesiącach ty się dziesięć siedemdziesiątego szóstego roku magazyn „Don Balón” ujawnił prawdziwy skandal z przekupywaniem arbitrow, co zakończyło pańską karierę, a także Camacho i Lópeza Sampera, którzy byli bardzo uznanymi arbitrami.

– Cóż, to było straszne. Pewien dziennikarz wszystkim trząsł i rządził. Taki niski typ, którego wszyscy znają. Spotkałem go podczas jednej z podróży i powiedziałem mu, że ze skurwysynami się nie witam. Po powrocie poszedłem do Narodowego Komitetu Arbitrow, gdzie oberwałem po uszach za obrażenie dziennikarza.

– Bez wątpienia był to brzydki finał kariery.

– Od tamtej pory i aż do dzisiaj zniknąłem dla całego świata sędziowskiego. Proszę zwrócić uwagę, że tutaj, w Palmie, wręczano nagrody dla najważniejszych Majorłkanów w futbolu XX wieku i otrzymali je Miguel Ángel Nadal oraz Serra Ferrer. Ta, która należała się arbitrowi, nie została wręczona, mimo że Borrás del Barrio powiedział, że będzie mnie popierał. Uważam, że po tylu latach sędziowania i prowadzenia meczów na mistrzostwach świata nie zasłużyłem na taki koniec kariery. Nie mam nawet legitymacji, która potwierdzałaby, kim byłem.

– Mimo że otrzymał pan pięć złotych gwizdków.

– Są tutaj (pokazuje mi je, obchodząc się z nimi tak, jakby były unikatowymi klejnotami). Jeden z nich, ten największy, osobiście dał mi Escartín, ten, który potem powiedział o mnie to, co powiedział. Zdradzę panu ciekawostkę: sędziowałem mecz Real – Barça z tym złotym gwizdkiem, który ofiarował mi pewien klub kibica z Palmy. Ale musiałem go zmienić, bo jest ze złota, więc nie gwizdał! Ha, ha, ha.

– A więc to prawda, że po tylu kontrowersjach zapadł się pan pod ziemię.

– Pewnego razu miałem pojawić się w telewizji, aby komentować mecze za pomocą osławionej movioli, ale dzień przed wyjazdem do Madrytu zadzwonili, żeby mi powiedzieć, bym nie przyjeżdżał. Okazało się, że tamtego dnia w meczu Real Madryt – Barça doszło do bardzo kontrowersyjnej sytuacji, więc pomyśleli, że w telewizji będę się

opowiadał za Barceloną, ponieważ dla mnie gol, którego nie uznano w Barcelonie, został zdobyty prawidłowo. A to mogła być bardzo delikatna sprawa dla środowiska arbitrow.

– I już nigdy więcej nie pracował pan dla środowiska arbitrow?

– Nie, ale nie dlatego, że nie chciałem. Pewnego razu spotkałem na ulicy Borrás. Powiedział mi, żebym przygotował kilka raportów z meczów, aby dali mi legitymację informatora. Wysłał mnie na drugi koniec świata, gdzie prawie nie było zawodników, żebym zobaczył jakichś juniorów. Napisałem do niego, że rezygnuję, i do dziś czekam na odpowiedź. Ja nie istnieję dla tych ludzi.

– Co myśli pan o obecnym związku arbitrow, z Sánchezem Arminio na czele, czyli jednym z tych sędziów, którzy w czasie tamtego kryzysu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku stali u boku José Plazy?

– Proszę nawet nie wspominać przy mnie o Sánchezie Arminio. Kiedy on był arbitrem międzynarodowym, a ja na dobrej drodze, aby nim zostać, wyznaczyli mnie, żebym był jego liniowym w jednym z meczów w europejskich pucharach. Gdy dowiedział się, że to ja, od razu zadzwonił z protestem. Powiedział, że nawet nie chce na mnie patrzeć. Teraz ja nie chcę patrzeć na niego.

– Obecnie związek arbitrow przeżywa głęboki kryzys wiarygodności. Wie pan, bliskość Barcelony i Villara w federacji plami arbitrow...

– Ja nie wiem, czy są sojusznikami jakiegoś klubu, czy też nie. Teraz to nie moja sprawa. Ale powiem panu, że zarówno prezes federacji, pan Villar, jak i prezes arbitrow, pan Arminio, tylko spijają śmietankę, a im więcej, tym dla nich lepiej. Na tych stanowiskach są właśnie po to.

– Ale w sędziowaniu skandal goni skandal...

– Tak samo jak dawniej. Jest trzydziestu arbitrow, z których zaledwie kilku nadaje się do sędziowania w Primera. To jak kolarski peleton: startuje stu, a zawsze wygrywa czterech. Nie uważam, że jest to jakiś ogólny trend, żeby gwizdać na korzyść jednych czy przeciwko drugim. Szczerze mówiąc, uważam, że sędziowie są po prostu dobrzy albo słabi.

21. BERNABÉU KOCHA KATALONIĘ „POMIMO KATALOŃCZYKÓW”

Santiago Bernabéu lubił karmić dziennikarzy takimi kontrowersyjnymi wypowiedziami.

Wtedy najważniejszy człowiek w klubie był już siedemdziesięcioletkiem, który podążał własną ścieżką, nie wadząc nikomu. W tamtych czasach 70 lat znaczyło o wiele więcej niż teraz, i to pod każdym względem. Z Realu Madryt uczynił klub wyjątkowy i już od pewnego czasu obywatel się bez społecznej aprobaty. Mieszkał w Santa Pola, w małym domku nad morzem; klubem kierował telefonicznie, kontaktując się z Saportą, a po latach prowadzenia pewnego rodzaju prowincjonalnego marketingu ostatecznie czuł się w tej roli swobodnie. Bernabéu nie był prowincjuszem (to syn sędziego, dobrze wykształcony, czytał w oryginale niemieckich filozofów), ale lubił za takiego uchodzić. Obwieszczał, że futbol to wielka rozrywka ludzi ubogich (choć był też, i jest, rozrywką bogatych), a on zawsze starał się do nich upodobnić. Popularny był jego wizerunek człowieka zaniedbanego, chodzącego w poprzecieranym płaszczu. Dziennikarzy przyjmował w piżamie, w skromnym fotelu obok nocnego stolika, na którym stał telefon. I coraz bardziej cheplił się tym, że zawsze mówił wszystko bez ogródek.

Z tego powodu bystry dziennikarze, jeśli brakowało im ciekawych, aktualnych tematów, przychodzili do Bernabéu. A ten nigdy nie zawodził:

– Cóż to za kraj? Gdyby kozy umiały latać, trzeba by było zamontować semafony na niebie!

I gotowe!

finał butelek postawił Bernabéu w złym świetle. Nic dziwnego, że kilka tygodni później przeraził się, gdy pewne jego wypowiedzi, opublikowane w tygodniku „Murcia Deportiva”, przetoczyły się przez kraj niczym huragan. W tamtym czasie prezesem Espanyolu był Vilá Reyes, słynny przedsiębiorca, który źle skończył przez problemy ze sprawą Matesa – jednym z finansowych skandali okresu frankizmu. Zrobił z Espanyolu dobrą drużynę ze wspaniałą linią ataku, znaną jako „delfiny”: z Amasem, Rodillą, Ré, Marcialem i José Marią. Wówczas był w trakcie budowania wielkiej drużyny, a jego śmiałość w podejmowaniu decyzji była powszechnie znana. Dziennikarz Antonio Montesinos przy okazji pyta o niego Bernabéu, odnosząc się do Lico, piłkarza Elche, o którego starał się Vilá Reyes: „Wie pan, panie Santiago, że Vilá Reyes oferuje jedenastacie milionów peset, Ramíreza i mecz na Altabix, którego koszty ma pokryć Espanyol, w zamian za pomocnika Elche? Co pan myśli o takiej operacji?”. Odpowiedź patriarchy Realu jest pełna entuzjazmu: „Kiedy jakiś człowiek dysponuje pieniędzmi i chce szczerze zainwestować w swój klub, uważam, że to wspaniale. I to jest przypadek Vili Reyesa. Podziwiam go. Już sam fakt, że w Katalonii stoi na czele klubu, który nazywa się Espanol, jest godny podziwu. I myślę się ci, którzy mówią, że ja nie kocham Katalonii. Kocham ją i podziwiam pomimo Katalończyków”.

To było jak podłożenie bomby. Wypowiedź zacytował najpierw barceloński tygodnik „Barcelona Deportiva” i od tej chwili dalszych reakcji nie dało się już powstrzymać.

Bernabéu dotknął tematu tabu tamtej epoki: katalonizmu. Patrząc z dzisiejszego punktu widzenia, wydaje się to dziwne, wtedy jednak udawano, że katalonizm nie istnieje i nawet sama Barça robiła wszystko, by go ukryć. Czasem coś się wymykało, jak wtedy, gdy Narcís de Carreras, obejmując urząd prezesa, powiedział coś, co później zostanie skondensowane w hasło *més que un club*^[45]: „Barcelona jest czymś więcej niż klubem piłkarskim, to duch, który jest zakorzeniony głęboko w nas, to barwy, które kochamy ponad wszystko”. Ale postrzegano to

bardziej jako deklarację wielkiej miłości do barw klubowych niż głęboką identyfikację z tym, co katalońskie. Poza tym Narcís de Carreras był wygodnym człowiekiem dla frankizmu, niepodjezwany m o to, co wtedy znane było jako separatyzm.

Przekonanie tamtej epoki było takie, że Hiszpania jest jednym państwem, że „jedność miast i terenów Hiszpanii” jest święta i że po futbolu można się spodziewać wszystkiego, ale nie tego, że zaatakuje właśnie tę kwestię. A Bernabéu zniszczył tamtego dnia wieloletni wysiłek tylu ludzi, by doprowadzić do trudnej zgody.

Reakcja w Barcelonie była błyskawiczna, i to nie tylko w prasie sportowej, lecz także w ogólnej. Jako pierwszy zareagował „Tele-Expres”:

Słowa pana Santiago Bernabéu są tak obraźliwe, że może w tym dzienniku (w którym tyle razy chwaliliśmy go za sukcesy sportowe) wolelibyśmy przejść nad nimi do porządku dziennego, gdyby nie zacytowały ich inne gazety z miasta. To, czego nie możemy zrobić, to przytoczyć takiej wypowiedzi, nie potępiając jej z największą surowością, do czego obliguje nas nasz podwójny i nierozłączny charakter Hiszpanów i Katalończyków.

Pan Santiago Bernabéu ma trzy wyjścia: oświadczyć, że słowa te nie zostały wypowiedziane, zapewnić, że zostały wypowiedziane prywatnie, a ich celem nie była publikacja albo potwierdzić je jasno i wyraźnie lub w milczeniu.

Innego sposobu nie ma.

To wydanie gazety ukazało się 7 sierpnia. Następnego dnia w całej barcelońskiej prasie pojawiły się edytoriale oraz artykuły o takiej samej wymowie: „La Vanguardia”, „El Noticiero Universal”, „La Solidaridad” (należąca do prasy Movimiento). „Arriba” z Madrytu, główny tytuł prasowy Movimiento, również opublikowała bardzo krytyczny tekst pióra Gabriela Cisnerosa, członka Narodowej Rady Movimiento.

Prezes Barçy Narcís de Carreras udzielił w tej sprawie wywiadu Juliánowi Mirowi, redaktorowi naczelnemu „Dicen”. Mówił w nim tak

– Wypowiedź pana Santiago Bernabéu wywołała we mnie ogromny smutek i wielkie oburzenie. Jak można pozwolić sobie na stwierdzenie, że kocha się Katalonię „pomimo Katalończyków”? Uważam, że to w porządku, gdy ironizuje, mówiąc, iż darzy sympatią Vilę Reyesa, ale głupotą jest twierdzenie, że wynika ona z tego, że w Katalonii kieruje klubem, który nazywa się Español. A czy nazwa Barcelony nie jest hiszpańska? Czy Katalończycy nie są Hiszpanami? Nie chciałbym włączać Bernabéu do grupy ludzi dzielących kraj, którzy są bardziej niebezpieczni niż separatyści, ale takie wypowiedzi to największa krzywda, jaką można wyrzucić polityce jedności, którą zawsze wspieraliśmy.

– Te słowa bardziej boją pana jako prezesa Barcelony czy jako Katalończyka?

– Gdyby pan Bernabéu ograniczył się tylko do zaatakowania Barcelony, nawet nie przejmowałbym się odpowiadaniem mu. Zarzuciłbym mu coś, czego nie podzielam,

choć przynajmniej, że jest to ludzkie: nieumiejętność przegrywania. Lecz on obraża wszystkich Katalończyków, a to jest nie do przyjęcia, zwłaszcza gdy robi się to w cieniu sportowej flagi, w tym przypadku z pozycji prezesa klubu historycznego, godnego szacunku i szanowanego, jakim jest Real Madryt. Nie idźmy tą drogą, panie Bernabéu. Naszą polityką nadal będzie jedność wszystkich hiszpańskich klubów. Prezes Realu Madryt nie może się pogodzić z tym, że to Barça wygrała Puchar Jego Ekscelencji Generalissimusa.

Jak widać, zarówno w mieście, jak i w klubie panuje oburzenie, ale równocześnie podnoszą się głosy sprzeciwu wobec przedłożonej wtedy kwestii hispanizacji. Nikt nie wyszedł na ulicę, mówiąc „dumny katalonista”. W tamtych czasach funkcjonowała jeszcze pewna poprawność, którą Bernabéu bardzo naruszył i która pośrednio spowodowała, że Barça odzyskała tożsamość, przed którą wzbierała się tyle czasu. Ponieważ reakcja „stolicy”, jak mawiano wtedy w Barcelonie, wcale nie była dla niej zachwycająca. Z wyjątkiem artykułu Cisnerosa w „Arribie” reszta madryckiej prasy była wyrozumiała wobec prezesa Realu i pogardliwa wobec barcelońskiej irytacji. Nawet pióra i głosy związane z Atlético, zazwyczaj krytyczne wobec Realu, ale koniec końców madryckie, podchodziły przychylnie do „sprawy katalońskiej”.

W samym Realu nieoficjalnie zaczęła krążyć wersja, że była to pułapka. Tak jakby ktoś bez pozwolenia zebrał wygłoszone podczas prywatnego spotkania opinie różnych osób, spośród których znajdowałyby się ta autorstwa Santiago Bernabéu, nie mając nawet pewności, że te słowa zostały wypowiedziane przez niego.

Ale sam Bernabéu zniszczył tę strategię obrony, ogłaszając swego rodzaju sprostowanie w wywiadzie udzielonym „El Alcázar”, madryckiemu dziennikowi wieczornemu, który wtedy przykładał dużą wagę do sportu (później, po zmianie właściciela, stał się instrumentem wywrotowców).

– To, co ukazało się w „Murcia Deportiva”, nie było w zasadzie wywiadem przeznaczonym do publikacji, lecz ogólną rozmową, z której dziennikarz powinien wyciągnąć informację o charakterze sportowym, co jest naturalne. Problem polega na tym, że takie osoby bardzo często nie uważają, a potem formułują tekst tak, jakby chodziło o dosłowne cytaty. W każdym razie pierwsze zdanie, które mi się przypisuje w tygodniku, nie może być prawdziwe z tej prostej przyczyny, że mam tysiące wspaniałych katalońskich przyjaciół, którzy, proszę mieć tego pewność, musieli się nieźle uśmieć, dowiedziawszy się, co mi przypisywano.

– A drugie zdanie, panie Santiago, to o panu Vili Reyesie i o tym, że jest on godny podziwu, ponieważ w Katalonii stoi na czele klubu, który nazywa się Español?

– Owszem, to powiedziałem. Zresztą nie po raz pierwszy.

– Panie Bernabéu, dokuczają panu całe to zamieszanie?

– Przeszkadzają mi, że muszę udzielać całej serii wyjaśnień. Kiedy w Katalonii atakują Real Madryt, nie robimy takich komplikacji...

Prawda jest taka, że Bernabéu nie miał nic przeciwko Katalończykom, ale przeciwko katalonistom, którzy stanowili, stanowią i będą stanowić znaczną część Katalończyków, i owszem. Zaczęłam rozmawiać z Bernabéu, będąc jeszcze młodym dziennikarzem „Marki”, a przez kilka lat także korespondentem „El Mundo Deportivo” z Madrytu. Wystarczyło mi kilka konwersacji, żeby przekonać się, że kataloński separatyzm był być może jego największą fobią. Podczas wyjazdów na mecze Pucharu Europy zazwyczaj widywało się go siedzącego w holu, otoczonego dziennikarzami albo wielbicielami. Wspaniale się z nim rozmawiało, miał w zanadru wiele anegdot i ciekawostek, słuchając go, nietrudno było dać się zauroczyć, skwitować uśmiechem jego opowieści. Naprawdę mądry człowiek. Ale w temacie katalonizmu trzeba było z nim uważać.

Pewnego razu odważyłem się dołączyć do tego kręgu i usłyszałem, jak mówił o czymś, co – jak się później dowiedziałem – opowiadał jeszcze wiele razy: „Kiedy przejeżdżaliśmy przez Lleidę, przemierzając górskie miejscowości, nikt nie wychodził, żeby nas przywitać. Ulice były puste. Odważyli się tylko położyć, z wysokości drugiego piętra, starcy, którzy płakali z nienawiści. A kiedy starcy płaczą z nienawiści, to znaczy, że w miasteczku nie może być już lepiej”.

Wstrząsnęło to mną, dwudziestokilkuletnim synem Katalonki. Wiele lat później zatelefonowałem do jego domu w Madrycie przy ulicy Jericó, żeby przeprowadzić z nim wywiad dla „El Mundo Deportivo”, gdzie podpisywałem się jako Antonio Estapé, czyli moim drugim imieniem i drugim nazwiskiem. Działo się to tuż przed uroczystością w hołdzie dla Manuela Velázquez. Byłem zagorzałym velazquistą, a w moim odczuciu Real Madryt nie zachowywał się względem niego dobrze. To z pewnością stanowiło pokłosie tamtej sprawy z finału w Atenach^[46], kiedy wystąpił w obronie De Felipe. Myślę, że Bernabéu nie wiedział dobrze, kim jestem, nie rozpoznał mnie. W trakcie tej rozmowy byłem dla niego tylko katalońskim dziennikarzem, który chciał go wkurzyć.

– Wy, Katalończycy, zawsze drażnicie Real Madryt...

– Panie Santiago, ależ ja jestem madrytczykiem.

– Jest pan madrytczykiem i pracuje dla pan Katalończyków? No to ma pan problem...

Pamiętam, że wysłałem rozmowę w takiej formie do „El Mundo Deportivo” i że jakaś zycziwa ręka wycięła ten fragment wywiadu.

Jakiś czas później, już w latach 80., rozmawiałem z Fernando Luginem, Riojańczykiem, który w tamtym okresie zyskał sobie sławę jako „chorąży Realu Madryt”. Miał gigantyczną klubową flagę, z którą przychodził na ważne mecze. Pozwalano mu wychodzić na środek boiska i machać nią przed spotkaniem, żeby zagrzewać publiczność, zwłaszcza wtedy, gdy Real grał w Pucharze Europy. Potem siadał na trybunach, a jego flaga była punktem odniesienia. Był kimś w rodzaju Manolo el del Bombo^[47]. Na co dzień dyrektor oddziału banku w Logroño, człowiek wykształcony, oddany Realowi do tego stopnia, że dziś można by go porównać tylko do naszego Tomása Roncero^[48]. Również wielki antybarcelonista. Miał dwie flagi, tę drugą, wykonaną ze znacznie lepszego materiału, przynosił tylko na mecze z Barceloną.

To on opowiedział mi, że dla Santiago Bernabéu wielką sprawą było drażnienie Katalończyków.

– Powiedział mi o tym pewnego dnia. Powiedział, że najbardziej złości ich fakt, iż w Madrycie jest drużyna, która zawsze z nimi wygrywa, i temu poświęcił życie.

W każdym razie tamto zdarzenie pozostawiło Bernabéu gorzki smak w ustach, jak wynika z rozmowy, którą wiele lat później, w 1974 roku, przy okazji koszykarskiego finału Pucharu Europy w Nantes, odbył z Justo Conde, a którą ten ostatni opublikował w formie wywiadu w „Dicen”. W książce *La guerra que nunca cesa* Conde zamieszcza taki jego fragment:

Odnosnie do pańskiej aluzji, że Samaranch jest Katalończykiem, muszę pana powiadomić, że w przyszłym miesiącu (maj 1974 roku, czyli sześć lat po tamtej sprawie) odbędzie się proces przeciwko temu, który swego czasu chciał włożyć w moje usta to smutne zdanie, że lubię Katalonię pomimo Katalończyków. Ale na Boga, jakże mógłbym mówić źle o tej ziemi, w której pochowany jest mój brat! Tam zawsze zawiązywałem wielkie przyjaźnie, na przykład z nieodżałowanym Samitierem, i stamtąd otrzymuję dzisiaj najserdeczniejsze listy. Od złych Katalończyków? Nie, od prawych ludzi.

Źli Katalończycy? Dla mnie to klucz do rozumowania Bernabéu. Złymi Katalończykami byli w jego opinii „źli Hiszpanie”, katalońscy separatyści, jak wtedy mawiano, nacjonałiści albo niepodległościowcy, jak nazywamy ich dzisiaj. To właśnie wyprowadzało go z równowagi. Z drugiej strony dobrzy Katalończycy to Katalończycy nie-separatyści. Chodzi o to, że bardzo często – podobnie jak jeszcze dziś dzieje się w wielu przypadkach – wnioskował o całości na podstawie części, niekoniecznie reprezentatywnej. A bycie nacjonalistą wcale nie oznacza bycia złym Katalończykiem, to po prostu znacznie szersza forma bycia Katalończykiem. To stąd brały się tego typu osądy i wypowiedzi Bernabéu. A wszystko to, okraszone rywalizacją obu klubów, prowadziło go do przesady, której *a posteriori* wolałby uniknąć.

22. DE FELIPE POWODUJE GROŹNĄ KONTUZJĘ BUSTILLO

Rozgrywki ligowe w sezonie 1969/70 rozpoczęły się meczem Real Madryt – Barça w pierwszej kolejce. To już się nie zdarzy, ponieważ od pewnego czasu kalendarz gier układa się tak, żeby starcia między dwoma gigantami miały miejsce na sześć albo na cztery kolejki przed końcem rundy. Chodzi o to, by nie rozgrywano tych meczów zbyt wcześnie, kiedy o niczym jeszcze nie przesądzą, ani zbyt późno, kiedy jeden z tych klubów mógłby już mieć znaczną przewagę nad drugim. Niewiele osób o tym wie, nikt tego nie mówi oficjalnie, ale tak się dzieje.

Jednak w tamtych czasach tak nie było. Odbywało się zwykłe losowanie i los chciał, że pierwszym meczem sezonu było wyjazdowe spotkanie Barcelony na Santiago Bernabéu. A Barça miała w swoich szeregach nowego środkowego napastnika Bustillo, którego sprowadziła z Saragossy.

Nie był nowy, ale tak to wyglądało z prawnego punktu widzenia. Barcelona kupiła go z Saragossy 19 października 1968 roku za 8 900 000 peset plus dwóch zawodników, Oliverosa i Borrás, a do tego dochodził występ Saragossy w turnieju o Puchar Gampera. Ale jeden z warunków umowy głosił, że piłkarz dokończy sezon 1968/69 w Saragossie, co zrobił z dużym powodzeniem (11 goli w 20 meczach) i po zakończeniu sezonu dołączył do Barcelony na rozgrywki pucharowe. W tamtych latach mecze Pucharu sezonu po zakończeniu ligi i między innymi a innymi rozgrywkami można było dokonać wzmocnień. Tylko że Barcelona, aktualny obrońca trofeum (dzięki finałowi z Rigo i butelkami), nie miała szczęścia w tej edycji: od razu została wyeliminowana przez Real Sociedad, który zaskoczył ją w pierwszym meczu na Atocha, wygrywając ku powszechnemu zdumieniu 5:1. W rewanżu Barça otarła się o bohaterski wyczyn, ale zwycięstwo 3:0 nie dawało jej awansu.

Tak więc mecz Real Madryt – Barcelona był dniem jego faktycznego debiutu. Bustillo był wysokim środkowym napastnikiem, ale był ruchliwy i strzelał sporo goli. Wywodził się ze szkółki Saragossy i ze środka ataku aragońskiej drużyny wygryzł samego Marcelino, tego od słynnego gola strzelonego Jaszynowi w finale mistrzostw Europy w 1964 roku i gwiazdę Saragossy ery „pięciu wspaniałych”, dzięki której klub przeżywał dni chwały. Choć jeszcze młody, Marcelino grał już gorzej, a umiejętności Bustillo przesądziły o odsunięciu go od składu. Wiele od niego oczekiwano. W maju 1968 roku zadebiutował w reprezentacji i do końca sezonu zagrał w niej pięć meczów.

Bustillo był nową wielką nadzieją Barcelony, razem z Marcialem, którego sprowadzono do klubu w tym samym roku. Barça znajdowała się w trakcie przebudowy drużyny po tym, jak karierę zakończył Olivella, a Pereda odszedł do Sabadell. Od 1960 roku nie wygrała ligi. Był to czas, kiedy przy okazji każdego turnieju o Puchar Gampera prezentowano nowych piłkarzy, a kibice byli mniej lub bardziej zadowoleni, skandując osławione *aquest any, sí* albo *aquest any, tampoc*, w zależności od tego, jak się sprawy miały. W tamtym roku Barça wygrała Puchar Gampera; w półfinale pokonała Słowana Bratysława (rewanż za porażkę sprzed kilku miesięcy w finale Pucharu Zdobywców Pucharów w Bazylei), a potem, w finale, Saragossę, zaproszoną, jak już wiadomo, w ramach umowy transferowej.

Ale jesteśmy na Bernabéu, 14 września 1969 roku. Rozpoczyna się nowy sezon. Bustillo kieruje atakiem Barcelony, mając po prawej stronie Rexacha i Marciala, a po lewej Castro i

Pujola. I początek ma piorunujący: pierwszego gola strzela w trzeciej minucie, drugiego w piątej, Barça obejmuje prowadzenie 2:0 dzięki bramkom nowego piłkarza. Reakcja publiczności sprzyja Realowi: widownia dopinguje i dopinguje, żeby drużyna na odrobiła straty. Gospodarze rzucają się do szturm, którego efektem są dwa gole Fleitasa. Do przerwy jest remis 2:2. Wielki mecz.

Po rozpoczęciu drugiej połowy Real Madryt nadal atakuje. Tymczasem szybki kontratak przeprowadza Bustillo; De Felipe, środkowy obrońca Realu, zatrzymuje go brutalnie, a napastnik upada. Musi zostać opatrzony, ale na boisko już nie wraca. Zastępuje go Pellicer. Mecz nadal toczy się w szybkim tempie. Weteran Gento strzela na 3:2 po akcji, w której biegnie z piłką do bramki, po czym potyka się o Sadurniego. Na 20 minut przed końcem doskonały Rexach strzela gola wyrównującego. Ostatecznie jest 3:3, wspaniały mecz, piłkarze opuszczają boisko pośród owacji. Doskonały początek sezonu.

Ale pozostała niepewność: co dolega Bustillo?

Po odpowiednich badaniach klub powiadamia we wtorek, że kontuzja jest poważna. Już pierwsze przecucia lekarzy Barcelony były złe, ale musieli zacząć, aż zmniejszy się wywołane wewnętrznym krwotokiem zapalenie, żeby postawić dokładną diagnozę. A ta jest brutalna: „Całkowite zerwanie boczno-więzadła wewnętrznego w lewym kolanie z możliwym urazem łątki, co wymaga natychmiastowej interwencji chirurgicznej. Przewiduje się przerwę w uprawianiu futbolu na okres trzech miesięcy, chyba że wystąpią komplikacje”.

Jak się później okaże, będzie znacznie gorzej.

Ale już tego samego dnia, w którym opublikowano komunikat lekarski, na tej samej stronie barcelońskiego „El Mundo Deportivo” pojawia się notatka, zawierająca pytanie, które *culés* zadawali sobie na ulicy: czy De Felipe zostanie ukarany? Tekst brzmiał następująco:

Kontuzja Bustillo jest poważna. Trzy miesiące przerwy, jeśli nie będzie komplikacji. A faul, który do niej doprowadził, może przynieść konsekwencje dla De Felipe, środkowego obrońcy Realu Madryt, który spowodował tak ciężką kontuzję. Proszę sobie przy pamiętać, że Kanaryjczyk Guedes z podobnego powodu został zawieszony na dłuższy okres w poprzednim sezonie. Jest to sprawa, którą powinien zająć się Komitet Ligi. Nie rozstrzygamy, czy faulujący miał złe intencje, czy nie, ale można o nich mówić przy innym faulu bez piłki, również De Felipe, na Pujolu.

I była to prawda. W tamtych czasie często działo się tak, że piłkarzowi, który spowodował ciężką kontuzję przeciwnika, odbierano prawo do gry na tyle czasu, ile trwał powrót do zdrowia poszkodowanego. Cortizo, boczny obrońca Saragossy, w 1964 roku nie zagrał aż w 24 meczach za spowodowanie kontuzji Collara, skrzydłowego Atlético Madryt. A w poprzednim sezonie Guedes, pomocnik Las Palmas, został zawieszony na 12 meczów za atak na Planasa II, który zakończył się urazem. Poza tym kibice i prasa z Katalonii byli bardzo zdenerwowani pobłażliwością Ortiza de Mendibila, arbitra spotkania, wobec De Felipe przy tej i przy innych sytuacjach. W oczach Barcelony Ortiz de Mendibil był tym, kim w oczach Realu Madryt był Rigo – nadwornym arbitrem klubu.

Operacja zostaje przeprowadzona w środę, a po jej zakończeniu doktor Cabot informuje: „Podczas zabiegu pierwsze wrażenie było katastrofalne”. Potwierdza to komunikat: 1. Całkowite zerwanie boczno-więzadła wewnętrznego. 2. Obwodowe oderwanie całej łątki. 3. Zerwanie przedniego więzadła krzyżowego.

To oznacza, że jest gorzej, niż pierwotnie przypuszczano, ponieważ zerwane jest także więzadło krzyżowe. Komunikat nie mówi już o trzech miesiącach przerwy. Zapowiada całkowite wyleczenie, lecz nie podaje terminu powrotu piłkarza do gry.

Tego samego dnia – i to właśnie wywołało ogromne oburzenie barcelonistów – ukazują się cotygodniowe postanowienia Komitetu Ligi. Żadnego napomknięcia o De Felipe, za to aż sześciu (!) piłkarzy Barcy ukaranych „za zgłaszanie zastrzeżeń do arbitra”: Torres, Eladio, Castro, Gallego, Marcial i... sam Bustillo! Ortiz de Mendibil zdecydowanie przesadził w swoim raporcie. Poza tym w tamtych czasach nie było jeszcze kartek (wprowadzono je na mundialu w 1970 roku), więc kibice i sami piłkarze aż do ogłoszenia decyzji Komitetu Ligi nie wiedzieli, kto zostanie ukarany. Faktycznie, doszło do protestów przy drugim голу dla Realu Madryt, ponieważ barceloniści uważali, że został strzelony ze spalonego.

W Barcelonie postanowienia Komitetu Ligi przyjęto jako zniewagę. Reakcja była tak silna, że Juan Antonio Samaranch, minister sportu, postanowił zobaczyć całą akcję w NO-DO, razem z Antonio Calderónem i De Felipe. Oglądali ją aż 20 razy. De Felipe utrzymywał, i nadal utrzymuje, że nikogo nie uderzył. Że mocno zaatakował piłkę, był przy niej wcześniej niż Bustillo, zagarnął ją czubkiem buta, a noga Bustillo zaplątała się między jego nogę. Podskakując, żeby się uwolnić, piłkarz Barcelony zrobił to zbyt gwałtownie i doznał urazu kolana. To było nieszczęśliwe zdarzenie, jak stwierdził De Felipe. Oglądając raz za razem powtórki akcji, Juan Antonio Samaranch kupił tę wersję i De Felipe nie został ukarany.

Po 20 latach w rozmowie z „La Vanguardią” Bustillo przedstawił podobną wersję: „Miałem zaklinowane nogi i nie mogąc się ruszyć, podskoczyłem nad De Felipe, ale źle upadłem”.

Jednak prawda jest taka, że to zdarzenie zmieniło życie Bustillo. W tamtym sezonie już nie zagrał; w dwóch następnych wystąpił po jednym meczu w każdym, aż w końcu przeszedł do Malagi. Te dwie błyskawicznie zdobyte bramki na Bernabéu w pierwszym meczu nowego sezonu to jego jedyne gole strzelone dla Barcelony. Do katalońskiego klubu przybył w wieku 22 lat, do Malagi trafił, mając 25. Tam grał przez cztery sezony, ale z każdym coraz mniej. Nie występował już na środku ataku, lecz jako cofnięty napastnik. W pierwszym sezonie rozegrał 31 meczów, w drugim 27, w trzecim 24, w czwartym – 13. Sukcesywnie spadała też liczba jego goli: osiem – trzy – dwa – zero. Kontuzja definitywnie zaważyła na jego karierze, nawet gdy występował w słabszym klubie, takim jak Malaga. Tam jeszcze czterokrotnie spotkał się z De Felipe, który z kolei jakiś czas później odszedł z Realu Madryt, by zakończyć karierę w Hiszpanii. Nie było między nimi żadnych animozji.

Po upływie lat De Felipe nie czuje się winny, a przynajmniej tak mówi. Uważa, że po prostu doszło do nieszczęśliwego zdarzenia, i upiera się, że kontuzja nie była wynikiem uderzenia, lecz gwałtownego, groźnego dla zdrowia skrzywienia kolana. Chociaż prawda jest taka, że nastąpiło to na skutek wcześniejszego ataku De Felipe. Z kolei Bustillo, który prowadził hotel w Salou, nadal ma wyryte w pamięci wejście obrońcy Realu.

A dla Barcelony był to jeszcze jeden dowód na bezkarność, jaką cieszył się Real Madryt w latach 60.

23. KARNY GURUCETY!

Sezon 1969/70, rozpoczęty ciężką kontuzją Bustillo, zakończył się ligowym zwycięstwem Atlético Madryt, które miało zaledwie jeden punkt przewagi nad Athletikiem, a to dzięki wygranej w ostatnim meczu na stadionie Sabadell, w którym gole strzelali Ufarte i Calleja. Wyskok tego drugiego po strzeleniu gola (robił to rzadko, ponieważ był obrońcą) stał się jednym z legendarnych obrazków w historii Atlético. Barcelona i Real Madryt nie miały udanego sezonu. Barça zakończyła rozgrywki na czwartym miejscu, za Atlético, Athletikiem i Sevilla, Real był zaś szósty, za Valencią.

Dla Realu była to niebywale zła pozycja, z którą wiązała się katastrofalna konsekwencja: po raz pierwszy nie awansował do Pucharu Europy. Dotąd brał udział w tych rozgrywkach nieprzerwanie od momentu ich utworzenia w odległym już jak na tamte czasy sezonie 1955/56. Zresztą Gento występował we wszystkich edycjach. Droga Realu do Europy wiodła zatem przez triumf w krajowym Pucharze i grę w Pucharze Zdobywców Pucharów. Spekulowano, że w razie gdyby się to nie udało, klub mógłby chwycić się Pucharu Miast Targowych, rozgrywek, w których nie wymagano wtedy zajęcia konkretnego miejsca w lidze, żeby się zakwalifikować, ponieważ uczestniczyło się w nich na zaproszenie. A bardzo dobrze dbano o te rozgrywki, zapraszając cieszące się prestiżem kluby, które nie zakwalifikowały się do innych europejskich pucharów. Ale, proszę Państwa, chodziło przecież o Real Madryt, *Realísimo*, jak z sarkazmem mawiali jego krytycy! A Bernabéu zawsze traktował te rozgrywki z pogardą, nazywając je „miasteczkowym pucharem”. Jak można było myśleć, że Real mógłby się na to zgodzić? Lecz mimo to istniała pewność, że jeśli nie wygra Pucharu Generalísimusa (a nie były to jego rozgrywki, zawsze kosztowały go wiele wysiłku i nigdy nie traktowano ich priorytetowo), będzie musiał chwycić się właśnie Pucharu Miast Targowych.

W Madrycie zapanował na tym punkcie rodzaj obsesji. Dużo się o tym mówiło i pisało. Świat *culé* zacierał ręce: *Realísimo* Santiago Bernabéu w miasteczkowym pucharze!

Jedynym sposobem, by tego uniknąć, był Puchar Hiszpanii. A w nim, 6 czerwca 1970 roku na Camp Nou, spotkali się Real Madryt, Barça i Guruceta. Real dotarł tam po uprzednim wyeliminowaniu Castellón i Las Palmas, tego drugiego z problemami, za sprawą gola Velázquezua w meczu rewanżowym, dzięki czemu uniknął rozgrywania dodatkowego meczu. Barça wyeliminowała Espanyol i Celtę, ale w tym przypadku nie obyło się bez dodatkowego meczu. Los chciał, że oba wielkie kluby trafiły na siebie w ćwierćfinale. Pierwsze spotkanie miało miejsce na Bernabéu i wygrał je Real 2:0, ale przy drugim голу, strzelonym przez Amancio, piłkarze *azulgrana* mocno protestowali, twierdząc, że liniowy sygnalizował pozycję spaloną. Ale arbiter Zariquiegui ich nie słuchał.

(Widziałem ten mecz i pamiętam tę dość niecodzienną akcję. Kiedy Real odzyskuje piłkę, Amancio jest wysunięty. Cofa się, żeby uniknąć spalonego. Posyłają do niego piłkę. Kiedy ją przyjmuje, jest już na prawidłowej pozycji, odwraca się i strzela. Nie mam jednak pewności, czy nie znajdował się na spalonym w momencie podania).

Wokół meczu rewanżowego tworzy się atmosfera odrabiania strat. Barça też potrzebuje tytułu. Nie wygrała ligi od 1960 roku, kiedy odszedł Helenio Herrera, i przeżyła ten smutny okres, zdobywając dwa Puchary Generalísimusa i jeden Puchar Miast Targowych, ale to mało jak na

takiego giganta. (W tej samej dekadzie Real Madryt wygrał osiem tytułów mistrza kraju, Puchar Hiszpanii oraz Puchar Europy).

Tak więc mamy rewanż Barça – Real, głównym celem gospodarzy jest odrobienie strat. A w środku tego wszystkiego znajduje się Guruceta. Emilio Carlos Guruceta Muro, młody arbiter, wysoki, szybki, posiadający naturalny autorytet, potrafiący rozmawiać z piłkarzami, chociaż czasem trochę niebezpieczny; gwiazdę szybko, sprawnie podąży za grą. Oceniano go bardzo dobrze, jako wielką przyszłość sędziowania. Do najwyższej klasy rozgrywkowej trafił w wieku 29 lat, ciesząc się sławą młodego geniusza; rzeczywiście, posiadał wspaniałe umiejętności. Później jego pragnienie bycia w centrum uwagi powoli będzie przyćmiewać jego karierę. Tak charakterystyczne dla niego podejście, żeby robić to, czego inni by się nie ośmielili (wyrzucił Rojo na San Mamés, innym razem wykluczył Gárate; było to coś niepojętego, to tak jakby swego czasu wyrzucono Butragueño), splamiło jego karierę. Później robił jeszcze gorsze rzeczy, o czym przekonamy się pod koniec tego rozdziału. Przy okazji zawsze miał większe skłonności do mylenia się na korzyść Realu Madryt niż na korzyść jego przeciwnika.

Ale wtedy był nową gwiazdą.

Rozpoczyna się mecz. Głos oddaje Vázquezowi Montalbánowi, wielkiemu pióru barcelonizmu tamtych lat, a może i w szerszym czasie. Jego opublikowany w „Triunfo” artykuł pod tytułem *Barça, Barça, Barça* stanowił punkt wyjścia do odzyskania przez Barcelonę duszonej przez tyle lat narodowej tożsamości. Jego pióro jest najlepszym przewodnikiem, by śledzić zdarzenia w Barcelonie tamtego okresu. Był obecny na meczu, a jego sprawozdanie dla magazynu „Triunfo”, zamieszczone potem w książce *Fútbol. Una religión en busca de un Dios* (Futbol. Religia w poszukiwaniu Boga), będącej zbiorem tekstów wybranych przez syna na jego przedwczesnej śmierci, wydało mi się kompletne, ponieważ precyzyjnie łączy boiskowe wydarzenia z głębokim oburzeniem drużyny Barcelony.

Tekst nosi tytuł *Barça – Real Madryt: na wieki wieków*, podtytuł zaś brzmi: *Noc miłości i wojny na Nou Camp*. Oto i on:

Marcial i Zabalza, a zwłaszcza Marcial, nie byli w stanie przeciwstawić się grze, którą reżyserowali i prowadzili Velázquez i Grosso. 100 tysięcy widzów, najwięcej w historii Nou Camp, przywitało Real Madryt niesamowitą porcją gwiazdów, nie przez „gola Zariquieguiego”, ale dlatego, że to Real Madryt, a od czasów hrabiego-księcia de Olivares^[49] Madryt tkwił w zbiorowej podświadomości Katalończyków niczym zadra.

Pisałem, że Marcial i Zabalza nie mogli poradzić sobie w środkowej strefie boiska, a teraz dodam jeszcze, że Pujolowi brakowało ostatniego dryblingu, tego dryblingu, który w poprzednim sezonie, a nawet na początku obecnego, potrafił wykonać w Sabadell. Torres tego wieczoru też nie imponował zwyczajową regularnością, Gallego nie wychodziły podania z tyłu, a Reinie wybicia, które przez jakiś dziwny magnetyzm trafiały pod nogi Velázqueza.

„Są zdenerwowani” – mówili ludzie. I była to prawda. Pan Guruceta sędziował, delikatnie mówiąc, przeciwko miejscowym. Na wszystkich arbitrach ciąży cień Rigo, mieszkańca Majorlki, który po sędziowaniu meczów, kiedy to skrzywdził Atlético i Real Madryt, nie był już tym samym arbitrem co wcześniej i o którym mówi się, że w tym

roku zdegradują go do drugiej ligi. Barcelona mocno naciskała, ale nie udało jej się uporządkować gry. W tej drużynie brakuje płuc, które w poprzednim sezonie mieli Zabalza i Fusté, żeby raz za razem zagrywać piłki do przodu. Ale, w pewnym sensie, po co zagrywać piłki do przodu? Kto by wykańczał te akcje? Brakuje też zawodników, którzy strzelaliby gole. Co więc jest w tej drużynie? Średnio 50, 60 tysięcy zagorzałych kibiców. To oni są Barcą. Oni i wspomnienia.

A tymczasem, kiedy pierwsza połowa dobiegała końca, strzał z boku Rexacha wywołuje na chwilę ekscytację, ponieważ piłka odbija się od dwóch słupków i wpada do bramki madrystów. Wybuchła wielka radość.

Po rozpoczęciu drugiej połowy wydaje się, że pan Guruceta zmienił nastawienie. Odgwiszkuje kilka przesadzonych fauli w pobliżu pola karnego Realu. „Aj, aj, aj...” – mówi ktoś siedzący za mną. Potem komentuje, że kiedy arbiter jest za uprzejmy, to znaczy, że coś przygotowuje. Nagle piłka znajduje się w górze. Velázquez, jeden z nielicznych hiszpańskich piłkarzy posiadających prawdziwą klasę, przyjmuje ją i biegnie w stronę pola karnego Barcelony. Ściera się z Rifé i upada. Zderzenie obu zawodników miało miejsce przed polem karnym. Upadek powoduje jednak, że Velázquez znajduje się w jego obrębie. Pan Guruceta wyciąga rękę i biegnie w kierunku jedenastego metra. Kilka sekund ciszy i przerażenia. A kiedy karny staje się faktem, z gardeł kibiców wydiera się bolesny krzyk gesty barcelońskich piłkarzy znamionują zaś histerię. Wokół arbitra rozpoczyna się daremna gra przekonywania. Poduszczyki przypominają już maki polne na zielonej łące. Policja Szturmowa zrywa się, żeby zlokalizować tych, którzy je rzucili. Nagle piłkarze Barcelony zaczynają kierować się w stronę szatni. Rifé, Torres, Rexach i Reina wydają się najbardziej zdecydowani. Na murawę nadal lecą maki. Deszcz poduszek jest doprawdy imponujący.

Buckinghamowi^[50], pomimo jego historycznych związków z muszkietierami, nie w głowie jednak potyczki, więc zmusza piłkarzy do powrotu na boisko. Rzut karny wykonuje Amancio. Gol. Eladio zaczyna bić brawo arbitrowi. Niewiele razy widziałem okłaski bite z taką szybkością. Wyrzucenie Eladio z boiska staje się faktem. I znów słychać sprzeciw trybun, ale nic nie można na to poradzić. Do końca meczu pozostało 30 minut i ledwie można grać z powodu maków. Publiczność jednogłośnie domaga się, żeby piłkarze opuścili plac gry. Kiedy piłka wpada na trybuny, już nie wraca na murawę. Widzowie śpiewają: *Campeones, campeones!* (Mistrzowie, mistrzowie).

„Niech sobie wsadzą ten Puchar w d...!” – to najbardziej delikatny okrzyk, jaki można usłyszeć tego wieczoru. Guruceta co chwilę zatrzymuje grę, żeby usunąć poduszczyki. Ale momentami jest to niemożliwe. 20, 30 tysięcy poduszczyków wypełnia boisko, a za

poduszczałkami pojawiają się pierwsi kibice. Nie wchodzi na murawę po to, żeby zaatakować arbitra, wchodzi, żeby powiedzieć piłkarzom, by opuścili murawę. Mieszają się z kilkoma kibicami Realu w białych czapkach, chętnymi, by zdobyć koszulki swoich piłkarzy. Ale fala ludzi staje się coraz większa. Pan Guruceta zaczyna się niepokoić. Podczas całego wieczoru nikt nie tknął go nawet palcem, mimo że był otoczony przez pięć tysięcy osób, ktoś radzi mu jednak, żeby brał nogi za pas, więc razem z sędziami liniowymi zaczyna walkę z chronometrem i biegnie jak John Carlos^[51] za swoich najlepszych czasów, a po drodze jest mu zupełnie obojętne, po jakim terenie biegnie; chce tylko dotrzeć do drzwi szatni. Boisko jest już pełne ludzi: pięć, sześć, dziesięć tysięcy ludzi spaceruje z flagami Barcelony; kibice wykrzykują nazwę klubu i zbliżają się do łoża prezydenckiej. Spektakl przewyższa jakością najlepszy mecz, jaki widzieli Państwo w życiu. Kolory lata i entuzjazm ciał, zielona murawa, maki-poduszczki, ciemnoniebieskie niebo, fajerwerki, flagi *azulgrana* oraz absolutna satysfakcja nawet najbardziej bezstronnych ludzi; nawet bogacze z cygarami krzyczą: „Wreszcie, wreszcie...”. Wreszcie co? Odpowiedź znajduje się w ciemnej, głębokiej studni, do której być może pewnego dnia się dotrze. W fieście na murawie uczestniczyli widzowie z najtańszych sektorów, którzy przeskoczyli przez wszystkie możliwe barierki, by dotrzeć na zielony i oświetlony plac. Policja Szturmowa stoi skoncentrowana przy drzwiach szatni, nie interweniując. Po co miałyby interweniować? Ludzie tylko wykrzykują nazwę klubu i machają legalnymi flagami. Być może gdyby ktoś mocno wdychał powietrze tamtego niesamowitego wieczoru, wśród perfum fiesty poczułby dziwną gorycz, jaką nabrzmiewały wydarzenia.

Boisko jest już całkowicie opanowane przez kibiców. Chłopcy się bawią, kąpiąc poduszczki, tarzają się po murawie, ktoś staje na rękach, inni biorą z niego przykład i się przewracają. Dziś jest fiesta. Oddycha się wolnością, wieczór przybiera coraz piękniejsze barwy. Publiczność krzyczy, bije brawo, skanduje: „Barça! Barça! Barça!”, nie zważając na porażkę, z którą już się pogodziła, ale delektując się zwycięstwem etycznym i moralnym; uważa, że dokona się sprawiedliwość, że pokona Komitet Ligi, Królewską Hiszpańską Federację Piłkarską i tym podobne instytucje.

I wtedy jakaś sekretna trąbka powinna ostrzec, że wszystko ulegnie zmianie. Ciemniej trawiasty prostokąt i zaczynają się inne hałasy oraz krzyki. Wrzask publiczności się ujednolica, na bezkarnych trybunach przeczuwa się to, co dzieje się na pociemniałym prostokącie. Sprawa przybrała inny obrót. Pojawia się ogień. Z rozerwanych poduszczek wystaje słoma, która zaczyna się palić. Okrzyki stają się cierpkie... Publiczność się rozchodzi... Ale są też oznaki oburzenia. Przechodząca obok mnie grupka krzyczy: „Barça! Barça! Barça!”.

Kilka godzin później spontaniczne grupki ze swoimi okrzykami pojawiały się w różnych częściach miasta. Zebrani pod latarnią przy Canaletas dy skutaneci zostali rozgonieni.

Pan Calderón, dyrektor generalny Realu Madryt, oświadczył: „Stało się to, co może się zdarzyć w jakiegokolwiek mieście. O ile przy innych okazjach prasa atakowała nas w taki sposób, że wyczerpała wszystkie przymiotniki, o tyle to, co wydarzyło się tego wieczoru, jak najgorzej świadczy o Barcelonie”.

Myślę, że pan Calderón i inni panowie nic a nic nie zrozumieli.

Nie była to bowiem typowa reakcja kogoś, kto nie umie przegrywać.

W tym miejscu kończy się opis wydarzeń pióra Vázquez Montalbána. Warto dodać, że akcja miała miejsce w 14. minucie drugiej połowy, a faul nastąpił bezsprzecznie przed polem karnym. Nie dwa metry przed linią, jak zostało napisane, ale dobre pół i owszem. Co do tego jest absolutna zgodność w prasie z Barcelony i Madrytu, która ukazała się następnego dnia.

To oczywiście, że karny podyłkowany za faul poza szesnaścą wywołał w Barcelonie oburzenie i bunt przeciwko nadużyciu – prawdziwemu czy metaforycznemu – przez Real Madryt mechanizmów administracji sportowej. A idąc dalej, podsycił obsesję na punkcie Madrytu-miasta, Madrytu-stolicy, Madrytu-władzy, Madrytu-jaskini frankizmu, zwalczającego narodowego ducha Katalończyków. Dziesięć lat bez wygrania ligi, doliczony czas gry Ortiza de Mendibila, ostracyzm Rigo, kontuzja Bustillo, bezkarność faulującego, gol Amancio w pierwszym meczu, ten karny w rewanzu... I wszystko to w czasie, gdy Barça znów domagała się – coraz mniej się z tym kryjąc – by traktowano ją jako kluczową instytucję katalonizmu, a przynajmniej znajdującą się na równi z Madonną z Montserrat i chórem Orfeó Català.

Do tego wszystkiego brakowało jeszcze, żeby Calderón nazwał Barcelonę mieściną. I żeby Bernabéu, spędzając emeryturę w Santa Pola, skomentował wszystko tonem, w którym pobrzmięwało coś między sarkazmem a cynizmem: „Ale na co oni narzekają? Przecież karny był jak stodoła!”.

Kolejne dni były straszne i w prasie, i na ulicy. Dzięki awansowi madrzyści zacierali ręce i z pogardą traktowali reakcję widzów na Camp Nou. Jakby oburzenie barcelonizmu było jeszcze niewystarczające, na zdjęciu w oficjalnej gazecie Realu Madryt przemalowano linie pola karnego tak, aby wyglądało, że faul został popełniony w jego obrębie.

Jednak mimo tej porażki w ćwierćfinale Pucharu Barça okaże się zwycięzcą pod wszelkimi innymi względami.

Po pierwsze, dzięki sprawie Gurucety ponownie zapanowała w klubie jedność, rozbita niedawnymi wyborami, w których zwyciężył Agustín Montal, niewielką liczbą głosów pokonując wojownikowego Pedro Baret. Montal, przedsięwzięcia włókienniczy, był synem prezesa Barcelony o takim samym imieniu, rządzącego klubem w latach 50. Pedro Baret był mężczyzną śmiałym i ambitnym, typowym człowiekiem sukcesu w czasach frankizmu, a swój status, jak pisze Carles Santacana w *El Barça i el franquisme*, osiągnął dzięki niezbyt przejrzywej działalności finansowej. Podczas lektury tej doskonałej książki przypomniałem sobie coś, co w okresie dorastania bardzo mnie intrygowało.

Wiedziony żądzą poznania wszystkiego, co wiązało się z futbolem, szukałem we wskazanych kioskach w Madrycie (głównie przy Cibeles) dwóch magazynów Barcelony. Jeden był probarceloński, a drugi antybarceloński, co wydało mi się tyleż interesujące, co niepojęte. Ten

pierwszy nazywał się „Barça”, a drugi „Revista Barcelonista”. Santacana wyjaśnia, że ten drugi powstał jako odłam pierwszego; został zainicjowany przez Baretę i zajmował się działalnością opozycyjną.

W sezonie 1969/70 Narcís de Carreras, oskarżony o słabe wyniki i nieudaną próbę odzyskania trenera Helenio Herrery, podał się do dymisji. To doprowadziło do wyborów, które wygrał Montal stosunkiem głosów 126 do 112. Bardzo niewielka przewaga, by utrzymać na dystans takiego rekina jak Baret, którego magazyn dał wtedy taki tytuł: *Montal wybrany na prezydenta*; socios z *Baretem*.

Jednak Montal ze sprawy Gurucety wyszedł bardzo wzmocniony. Mimo łagodnego głosu i bojaźliwego wyglądu zareagował z energicznym oburzeniem, doskonale wpisując się w falę powszechnego gniewu, który bez wątpienia rozumiał i podzielał.

W długiej pisemnej skardze sprawę Gurucety przedstawił nie jako odosobniony przypadek, lecz kulminację serii sędziowskich i federacyjnych decyzji krzywdzących Barcelonę; przy pominięciu poprzedni sezon z sędziowaniem Rigo i rzucaniem butelek oskarżał o niewyjaśniony ostracyzm, jakiemu został poddany Rigo, i zastanawiał się, jak taka sprawa mogła ciężać na pozostałych arbitrach, którzy mieli prowadzić mecz Realu lub Barcelony. Ponadto w skardze wspominał o fałszywych oriundach^[52] – federacja interweniowała tylko wtedy, gdy chodziło o utrudnienie sprowadzenia takiego zawodnika do Barcy (Irala), nie bardziej fałszywego oriundo niż wielu z tych, którym pozwolono na transfer, co udowodnił późniejszy słynny polityk Miquel Roca i Junyent, wysłany przez klub do Ameryki Południowej w celu zbadania tej sprawy. Montal zgłaszał też zniewagę Calderóna, który nazwał Barcelonę mieściną... Jego nieugięta postawa i charakter wyostrowanego przezeń pisma, cechującego się niezłomnym sprzeciwem, sprawiły, że zyskał wiele w oczach kibiców.

W długim, poważnym i dobrze uargumentowanym piśmie stwierdzał, że nie chodziło o doprowadzenie jedenastki za faul przed linią pola karnego, lecz o cały łańcuszek spraw, które doprowadziły Barcelonę do skrajnej sytuacji i które nie usprawiedliwiają zamieszania powstałego na Camp Nou, choć w jakiś sposób je tłumaczą.

Umiejętnie dawał do zrozumienia, że Katalonii bardzo przeszkadza taka sytuacja. Nie tylko Barcelonie, lecz także Katalonii. Sprawa zrobiła się poważna. Samaranch, minister sportu, spotkał się z José Luisem Costą, prezesem federacji hiszpańskiej, i z Pablo Portą, prezesem federacji katalońskiej. Przyjął również Montala, tyle że pod pretekstem przyjęcia prośby klubu o pomoc przy budowie hali lodowiska, ale okazało się, że rozmawiali właśnie o tej kwestii.

A Barcelona otrzymała porządną rekompensatę ze strony władz. Komitet Ligi otrzymał odpowiednie instrukcje. Wydawało się pewne, że Camp Nou zostanie zamknięte, biorąc pod uwagę nieznaną do tamtej pory rozmiary naruszenia porządku, jednak tak się nie stało. Barça uratowała się dzięki grzywnie w wysokości 90 tysięcy peset. Eladio dostał dwa mecze kary za naśmiewanie się z arbitra. Guruceta natomiast, co było decyzją bez precedensu, został zawieszony na sześć miesięcy (!) za „sprowokowanie zakłócenia porządku publicznego”. Barcelonie nie udało się jednak, jak prosił Montal w swoim piśmie, wywalczyć ponownego rozegrania meczu od feralnej 14. minuty drugiej połowy, ale decyzja Komitetu Ligi spowodowała, że cały barceloński świat i tak odetchnął z ulgą.

W konsekwencji José Plaza, szef Narodowego Komitetu Arbitrów, podał się do dymisji, co w oczach barcelonistów (i ogólnie w środowisku antymadrydistów) tylko zwiększyło jego sławę madrydysty. Plaza zrezygnował ze stanowiska, ponieważ w jego odczuciu zawieszenie arbitra ze względu na błąd w ocenie sytuacji było niedorzeczne.

Nie był to jednak koniec rekompensat dla Barcelony. Torcuato Fernández-Miranda, sekretarz generalny Movimiento, który okazał wielką wrażliwość wobec Barcy w kwestii re kwalifikacji

terenów starego stadionu Les Corts, wziął sprawy w swoje ręce. Sam Montal opowiedział o tym w wywiadzie udzielonym w grudniu 2003 roku (Santacana zamieścił tę rozmowę we wspomnianej książce). Fernández-Miranda wyłożył 50 milionów (duża kwota jak na tamte czasy), żeby Barça zbudowała wcześniej zaprojektowaną halę lodowiska, przyjął dymisję Juana Antonio Samarancha, niezadowolonego z rozwoju wypadków, jak podaje wiele źródeł (z tego, co wiem, on sam nigdy tego nie powiedział), i powołał na jego miejsce Joana Gicha Becha de Carede, od 1965 roku dyrektora generalnego Barcelony. Joan Gich, falangista, był przyjacielem pana Torcuato (jak go powszechnie nazywano), który z kolei był ojcem chrzestnym jednego z jego dzieci.

Reasumując: niezamknięcie stadionu, sześciomiesięczne zawieszenie Gurucety, 50 milionów na halę lodowiska i hiszpański sport w rękach samego dyrektora generalnego Barcelony. Wszystko to w zamian za 90 tysięcy peset grzywny i dwa mecze kary dla Eladio.

I – jak pisze Justo Conde w *La guerra que nunca cesa* – Felipe Ruiz de Velasco, sekretarz Komitetu Ligi, jakiś czas później został zatrudniony przez Barcelonę, żeby załatwić obywatelstwo trzem koszykarzom: Thomasowi, Carmichaelowi i Sibilio.

Skoro tyle mówi się o tym, jak bardzo cierpiała Barça w czasach frankistowskich, warto mieć na względzie takie rzeczy.

Poza tym Guruceta nie poprowadził już nigdy żadnego oficjalnego meczu Barcelony po odbyciu kary, którą inni arbitrzy uznali za oburzającą. Odpowiedzialni za całą sprawę bardzo się starali, by desygnować go na mecz Barcelony, jednak stało się to dopiero 14 lat później podczas towarzyskiego letniego turnieju na Majorce, 10 sierpnia 1985 roku.

Barça wygrała wtedy ligę, po 11 latach bez mistrzowskiego tytułu, prowadząc w tabeli od początku do końca. Rozpoczęła rozgrywki od zwycięstwa 3:0 na Bernabéu i była liderem przez cały sezon, zdobywając tytuł w Valladolid, na cztery kolejki przed końcem, tamtego dnia, kiedy Joaquim Maria Puyal wykrzyknął swoje słynne: *Urruti, t'estimo!* (Urruti, Kocham cię!), gdy bramkarz z San Sebastián obronił rzut karny w 88. minucie. Barça „ułaskawiła” tymczasowo Gurucetę i pozwoliła, żeby sędziował ten towarzyski mecz na Majorce – organizatorzy chcieli w ten sposób nadać mu większą atrakcyjność. Barcelona grała wtedy przeciwko Grêmio Porto Alegre, które pokonała 1:0, tak więc nie powtórzyły się wcześniejsze wydarzenia. Był to po prostu zwykły mecz po 15 latach od słynnego meczu, i to podczas letniego turnieju.

Pewnego razu rozmawiałem z Gurucetą o tamtej akcji. Powiedział mi, że to był szybki kontratak i mimo że sam słynął z szybkości (w tamtym czasie był bardzo młody), nie znajdował się wystarczająco blisko, kiedy Rifé przewrócił Velázquezę, ale naprawdę wydawało mu się, iż faul miał miejsce w obrębie pola karnego. Odnoszę wrażenie, że siłąc się na odwagę, Guruceta pragnął czegoś innego niż wszyscy pozostali sędziowie, czy to ówczesni, czy obecni: odgwiżdżać karnego w polu karnym gospodarzy i się wyróżnić. I zobaczył karnego tam, gdzie go nie było.

Rozmawiałem kiedyś o tym zdarzeniu również z Velázquezem. Nie miał pojęcia, gdzie doszło do faulu, ale po obejrzeniu zdjęć i nagrań nie miał wątpliwości. Ze względu na tempo kontrataku błąd arbitra go jednak nie dziwił:

– Byliśmy rozpedzeni, to była błyskawiczna akcja po ataku pozycyjnym Barcy, w tym momencie sędzia musiał być daleko; Rifé stanął mi na drodze, a ja wyleciałem w powietrze, spadając aż na jedenasty metr.

Życie Gurucety toczyło się dalej bez Barcelony. Był arbitrem międzynarodowym, cieszył się dobrą reputacją, chociaż później widziałem, jak nieraz mylił się na korzyść Realu Madryt, zwłaszcza w meczu pucharowym w Santiago Bernabéu z Atlético, któremu nie uznał dwóch goli, do dziś nie wiem dlaczego. Zginął w wypadku samochodowym 25 lutego 1987 roku, gdy nadal był czynnym arbitrem. Zresztą jechał, by poprowadzić mecz pucharowy Osasuna – Real

Madryt, kiedy na drodze szybkiego ruchu stracił panowanie nad pojazdem i uderzył w tył stojącej na poboczu ciężarówki.

Dziesięć lat później wyszedł na jaw czarny epizod z jego życia jako arbitra. Constant Vanden Stock, który był prezydentem Anderlechtu Bruksela, zeznał przed sądem w swoim kraju, że przekupił Gurucetę, wręczając mu milion franków belgijskich przy okazji meczu w Pucharze UEFA, który jego drużyna grała z Nottingham Forest w 1984 roku. Anderlecht wygrał 3:0 i awansował. Widziałem skrót tego spotkania i faktycznie, Guruceta odgwizdał wydumanego karnego. Vanden Stock przyznał, że operacji dokonał za pośrednictwem pewnego rzeźmieszka (tak jak robi się takie rzeczy) – od tamtej pory ten nie przestawał go szantażować. Po jego zeznaniach UEFA przeprowadziła własne dochodzenie, które potwierdziło wręczenie łapówki i na rok zdyskwalifikowała Anderlecht z rozgrywek europejskich, a Vandena Stocka dożywotnio. Zmarły dziesięć lat wcześniej Guruceta nie mógł się bronić. Jego sędziowie asystenci w tamtym meczu, Enriquez Negreira i Crespo Aurré, twierdzili potem, że cała historia została wyssana z palca.

24. FERMÍN STRZELA Z KARNEGO W KORDOBIE

Zbliżała się końcówka sezonu 1971/72, Real Madryt liderował w lidze, ale widać było, że uszło z niego powietrze. Przegrał trzy kolejne mecze wyjazdowe; w Barcelonie 0:1, chociaż akurat to można było zrozumieć: Barça aspirowała do tytułu, uparcie podążając za liderem. Był to pierwszy mecz na Camp Nou, na jaki poszedłem. Gola strzelił Asensi, wcześniej pomagając sobie ręką. Poza tym to zwycięstwo dawało Barcelonie przewagę bramkową w przypadku ewentualnej takiej samej liczby punktów na koniec sezonu, ponieważ w pierwszej rundzie zremisowała na Santiago Bernabéu (1:1). Ale Real Madryt przegrał również następny mecz wyjazdowy, w Granadzie (1:2). Były to czasy tamtej nieobliczalnej Granady. Amancio, który w pierwszym meczu posprzeczał się z Fernándezem, nie pojechał na to spotkanie w obawie przed odwetem. I to właśnie Fernández strzelił pierwszego gola dla Granady. Drugiego zdobył Enrique Porta, najlepszy strzelec ligi w tamtym sezonie. Jednak naprawdę zaskakującą porażką Realu była ta w La Coruñi (0:1), na trzy kolejki przed końcem sezonu. Guruceta podyktował dwa rzuty karne, oba mocno naciągane, jak następnego dnia napisał „As”. Cervera strzelił tego dla Deportivo, a Pirri zmarnował jedenastkę dla Realu, trafiając w słupek. Był to jego pierwszy niewykorzystany rzut karny w karierze.

Barça wygrała tamtej niedzieli w Burgos (2:1) i dzięki temu zmniejszyła stratę do Realu do dwóch punktów. Do końca sezonu zostały jeszcze dwie kolejki. Nagle zaczęła widzieć siebie jako faworyta do zdobycia tytułu. Miała do rozegrania dwa łatwe spotkania: wyjazdowe z Cordobą, która była już spadkowiczem, a potem u siebie w Malagą. Real z kolei musiał spotkać się z Atlético na Manzanares i u siebie z Sevillą, która walczyła o utrzymanie. Mecz na Manzanares postrzegany był przez madridistów jako góra nie do pokonania. Atlético było mocne, w formie, potrzebowało punktów, żeby zakończyć sezon na czwartym miejscu i zapewnić sobie grę w Pucharze UEFA, a do tego dochodził jeszcze element silnej lokalnej rywalizacji. To Atlético zostało mistrzem dwa sezony wcześniej i zajęło trzecie miejsce w poprzednim sezonie. Było to dobre Atlético z Rodrim, Melo, Jayo, Ovejero, Calleją, Adelardo, Iglesiasem, Ufarte, Luisem, Gárate, Irureta, Alberto, Salcedo, Orozco...

Tak więc w tym przedostatnim tygodniu Barcelona jest postrzegana jako faworyt. Przeglądając prasę z tamtych dni, można wywnioskować, że Santiago Bernabéu był podirytowany: „Jesteśmy liderami, a musimy chodzić po ulicy, zasłaniając twarze!”. Mimo że w owym czasie niemal na stałe mieszkał już w Santa Pola, zarządzając klubem przez telefon, to teraz jest w Madrycie, ponieważ w hotelu Wellington ma przyjąć popularną wówczas nagrodę *Fak famoso* (sławny). Podczas uroczystości spotykają się największe, ale tak różne osobistości jak Emilio Romero^[53], Pedro Carrasco^[54] czy César Pérez de Tudela^[55], a także cała drużyna Realu Madryt z Miguelem Muñozem na czele. Rozdrażnionego Bernabéu prześladowuje chmara dziennikarzy: „Kiedy zdobył gola z karnego, pół Hiszpanii wystrzeliło fajerwerki”. Mimo masowego poparcia, którym cieszył się Real w Hiszpanii, Bernabéu zawsze narzekał na krytykę, jaka spadała na klub. W końcu Real Madryt zapelniał wszystkie stadiony, nabijając kasę tam, gdzie grał, a mimo to był źle traktowany. Zdjęcie z uroczystości przedstawiające moment, w którym Solís Ruiz, były sekretarz generalny Movimiento, obsypuje Bernabéu całą masą pochlebstw (*Efe de famoso, de fuerte, de fenómeno, de fabuloso, de franco... Todas menos fe* – *Fak sławny, silny, fenomenalny, bajeczny, szczery... Wszystkó, tyłkó nie brzydki*), pokazuje go wyraźnie rozszoszczonego.

Co do Montala, to w jego wypowiedziach daje się wyczuć spokój i nadzieję. To jego drugi sezon. W pierwszym Barça zakończyła rozgrywki ligowe, zrównując się liczbą punktów z Valencią, która została mistrzem. W ostatniej kolejce przegrała w Sarrià, podczas gdy Barcelona i Atlético zremisowały na Manzanares. W tamtym pierwszym sezonie Montal triumfował w Pucharze. W drugim jego klub aspirował do zdobycia tytułu, po tym, jak w listopadzie wytrzymał presję i nie zwolnił trenera Rinusa Michelsa, kiedy drużyna była o krok od strefy spadkowej. Zatrzymał go i od tamtego czasu Barça przegrała tylko jeden mecz, z Granadą, w którym dwa gole strzelił Porta. Przed meczem Montal oświadcza: „Nie uważam, że to ja przyniosłem klubowi szczęście. Uważam, że szczęścia trzeba szukać i że pracując z wiarą, nadzieją i wytrwałością, można je znaleźć”.

Dyskusja wokół zakończenia sezonu zostaje nagle przerwana w czwartek wraz ze smutną wiadomością o śmierci Samitiera. Choć był wspaniałym piłkarzem Barcy z czasów przedwojennych i wielką postacią barcelonizmu, utrzymywał także dobre relacje z Realem Madryt, o czym pisałem w poprzednich rozdziałach. Był bardzo bliskim przyjacielem Bernabéu, który sięgnął po tego gracza pod koniec jego kariery piłkarskiej, a wiele lat później ponownie go zatrudnił, tym razem jako sekretarza technicznego, kiedy Samitier miał problemy z tymi, którzy akurat rządzą Barceloną. Ciało zmarłego wystawiono na Camp Nou, a Bernabéu i zarząd Realu udają się, by go pożegnać. Panuje prawdziwy smutek Bernabéu, którego wypowiedź na temat Katalonii i Katalończyków wcale nie jest tak odległa, korzysta z okazji, żeby załagodzić konflikt: „Wszyscy byli wobec mnie uprzejmi. Jestem wdzięczny Barcelonie i Katalończykom za wszelkie przejawy sympatii, jakie otrzymałem”.

Ale życie i futbol muszą trwać dalej. Real Madryt przebywa na zgrupowaniu w Navacerradzie, dokąd udaje się również Bernabéu, żeby wspierać swoich chłopców, jak zwykli ich nazywać. Przedmeczowe wypowiedzi ze strony Realu są bojaźliwe („Real nie miał ostatnio szczęścia” – narzeka Muñoz, „wieczny” trener drużyny), za to odważne ze strony Atlético, przebywającego z kolei na zgrupowaniu w El Escorial. W powietrzu unosi się coś, co każe myśleć, że Atlético wygra ten mecz. Jest lepsze, bardziej znotywowane. Real Madryt znajduje się – jak twierdzą wszyscy dookoła – w dołku, który pojawia się w najmniej spodziewanym momencie sezonu; zespół obniża loty i osiąga słabe wyniki.

Barça tymczasem jedzie do Kordoby z wględną pewnością siebie. Nie ma wątpliwości, że Real przygotował premię dla Cordoby, ale różnica pomiędzy obiema drużynami jest wielka. Barcelona natomiast przygotowała premię dla Atlético. Jeden z dyrektorów klubu spotkał się z Adelardo i Calleją i wręczył im walizkę z połową ustalonej sumy. Drugą część mieli otrzymać po meczu; Adelardo i Calleja naradzili się, jak dokonać podziału. Wtedy na zgrupowania zabierano 15 zawodników, chociaż grać mogło maksymalnie 13. Poza tym był jeszcze trener, który zazwyczaj brał podwójną stawkę. Nie wiedzieli, czy mają w ogóle z nim o tym rozmawiać. Był też tłumacz Negrillo, z którym należałoby pomówić w przypadku zaangażowania Merkela. Ostatecznie wysłannicy Barcelony doszli do wniosku, że najlepiej będzie podzielić pieniądze tylko między piłkarzy. W każdym razie Atlético interesowało wyłącznie zwycięstwo, ponieważ chodziło o mecz z Realem i drużyna potrzebowała punktów, żeby zapewnić sobie udział w Pucharze UEFA.

Żeby zdobyć wejściówkę na Manzanares, kibice wszczyniają nawet bójkę. Mecz okazuje się kasowym rekordem madryckiego futbolu: przynosi 15 milionów peset.

Do tego wszystkiego trzeba dodać, że w Cordobie gra Fermín, młody napastnik wypożyczony z Realu. Był perłą madryckiej szkółki, piłkarzem eleganckim, dysponującym dobrym dryblingiem i strzałem, mogącym grać w pomocy i w ataku. W klubie miał swoich zwolenników i przeciwników. Zwolennicy cenili jego klasę. Przeciwnicy zarzucali mu, że jak na wymagania

Realu jest za mało waleczny. „W jego domu jadało się dużo filetów” – powiedział mi pewnego dnia człowiek odpowiedzialny za klubową szkołę. Oznaczało to, że młody piłkarz pochodził z zamożnej rodziny (faktycznie tak było) i dlatego nie miał w sobie tego wojowniczego ducha, którego żądano w Realu. Jednak piłkarzem był znakomitym. W poprzednim sezonie znajdował się już w kadrze pierwszej drużyny, ale grał mało. Wypożyczono go do Cordoby, żeby nauczył się twardej walki. Miał już 24 lata i pociąg do Realu Madryt powoli zaczynał mu uciekać. Żeby czytelnik lepiej mógł go skojarzyć, dodam jeszcze, że był agentem Raúla w trakcie pierwszych lat kariery piłkarskiej tego ostatniego. Dziś nadal zajmuje się futbolowym biznesem. Do Cordoby wypożyczony jest także Vicente del Bosque, obecny selekcjoner reprezentacji Hiszpanii, ale nie będzie on miał tak dużego wpływu na boiskowe wydarzenia.

Przeglądając gazety z tamtego okresu, natknąłem się na wywiad, który przed meczem przeprowadziłem z Fermínem; we wtorek, w tygodniu poprzedzającym spotkanie, piłkarz pojawił się w ośrodku treningowym Realu. Cierpiał na ból pleców i przyjechał zobaczyć się z doktorem Lópezem Quilesem, który powiedział zawodnikowi, że zagra, jeśli będzie ostrożnie trenował. *Mam podwójny interes w tym, żeby Barcelona przegrała* – brzmi tytuł wywiadu, który jest ilustrowany naszym wspólnym zdjęciem: ja jeszcze jako młody chłopak, rozmawiający z piłkarzem z długopisem w dłoni. Jest rozczarowany spadkiem Cordoby, ale przede wszystkim myśli o Realu. Chce wrócić do klubu w następnym sezonie, i to do drużyny mistrzowskiej, żeby grać w Pucharze Europy. Na tym etapie rozegrał w sumie 28 meczów (nie mógł wystąpić w obu przeciwko Realowi; już w tamtych czasach obowiązywały podobne zapisy) i strzelił tylko pięć goli. Mało, mówię mu. „Być może tak, ale trzeba pamiętać, że sama Cordoba nie zdobyła zbyt dużo bramek i że grałem w drugiej linii. W każdym razie powinienem strzelić jeszcze jakiegoś gola”. I jeszcze strzeli, jak się później przekonamy.

W niedzielę Manzanares przypomina kocioł. Jest tam mnóstwo madridistów, których nie sposób nie zauważyć. W Kordobie tymczasem gorąco, a na trybunach rzesze barcelonistów; można powiedzieć, że na stadionie zebrali się wszyscy mieszkający w Andaluzji. Na El Arcángel też przyszły tłumy. Przypomnijmy, że Barça traci tylko dwa punkty do Realu. Potrzebuje własnego zwycięstwa i porażki Realu. Kiedy Reina, bramkarz Barcelony z Kordoby, staje w bramce, otrzymuje owację na stojąco. Jako młody zawodnik broniał bramki andaluzyjskiego klubu i został obwołany odkryciem, a później sprowadziła go Barça, żeby rywalizował z Sadurním.

Atlético wychodzi na mecz niczym huragan i w 21. minucie prowadzi już 2:0; gole strzelają Alberto i Adelardo. Istniały już wtedy radia tranzystorowe, chociaż nie cieszyły się jeszcze taką popularnością, jak to się stanie wkrótce; w każdym razie na stadionach instalowano tablice, na których informowano o przebiegu zdarzeń na innych stadionach. Każdy gol padający na Manzanares wywołuje olbrzymią radość na El Arcángel, nie powoduje to jednak żadnej reakcji Barcelony, która gra wolno, ospale, skrępowana presją. W 31. minucie bramkę zdobywa Velázquez, co daje madridistom nadzieję. W przerwie aż wrze od komentarzy. Madridista myśli o uratowaniu chociaż remis, barcelonista sądzi, że zdobycie bramki w Kordobie nie może być rzeczą trudną. Wszak Barça od wielu miesięcy w niebywały sposób odrabiała straty.

Wznowienie gry. W 54. minucie (oba mecze rozgrywane są równocześnie, jak było i jest w przypadku dwóch ostatnich kolejek sezonu, kiedy trwa decydująca walka o miejsca) człowiek odpowiedzialny za tablicę wyników na Manzanares wysuwa zero z przegródki należącej Barcelonie, co wywołuje natychmiastową radość kibiców Atlético, którzy oczekują, że zostanie zastąpione jednynką, czyli golem dla Barcy. Ale zamiast tego pojawia się biały kwadrat z czerwonym punktem: karny przeciwko Barcelonie. Radość wybuchła teraz po stronie madridistów, chociaż jest krótka chwila niepewności, bo nie wiadomo, jak to się zakończy.

Wreszcie człowiek odpowiedzialny za tablicę usuwa czerwony punkt i znów umieszcza w przegrodzie zero. Pozostało tylko przekonać się, co pojawi się w miejscu przeznaczonym dla Cordoby: pozostanie zero, znak, że karny nie został wykorzystany, czy jednak pojawi się jedynka? Jedynka! Madryści nie posiadają się z radości. Ponieważ na trybunach jest kilka odbiorników radiowych, daje się słyszeć głosy: „To Fermín, to Fermín...”.

Tymczasem w dole toczy się mecz i natychmiast pada gol na 3:1, którego strzela Gárate, a w 85. minucie Zoco trafia do własnej bramki i jest 4:1. Ale uwaga madryistów skupiona jest na drugiej tablicy wyników, w której w napięciu wyczekują zmian. Na boisku nie ma czego oglądać, Atlético bije zrezygnowany Real. W końcu na Manzanares (czarna wstążka na obu tabelkach) wybucha radość. Real został pokonany, ale będzie mistrzem, nawet jeśli w przyszłym tygodniu tylko zremisuje na Bernabéu z Sevillą. Wszyscy są zadowoleni. Atlético urządziło goleadę odwiecznemu rywalowi i zajmie czwarte miejsce, więc zagra w Pucharze UEFA. Realowi goleada obniża morale, ale pewną rekompensatę dla niego stanowi niespodziewana porażka Barcelony na El Arcángel. Jest 7 maja, a Barça nie przegrała od listopada. A teraz pokonała ją drużyna, która nie ma już szans na utrzymanie w lidze.

Ze sprawozdań wynika, że Barcelona grała wolno i źle, była skrępowana, brakowało jej ambicji. Jednak karny był tym, co teraz nazwalibyśmy *penaltito* (malutką karny). Manolín Cuesta wbiegł w pole karne i według jednej wersji został zablokowany przez Rifé i Zabalzę, a według drugiej zderzył się z jednym z nich. Tak czy inaczej, arbiter Pascual Tejerina podyktował rzut karny. Do jego wykonania zabrał się Fermín. Wziął duży rozbieg, zanim dobiegł do piłki, zrobił zwód, po czym posłał ją tuż przy lewym słupku Reiny.

Wtedy Barça rzuciła się do ataku. Sprawozdania wskazują od jednej do trzech akcji, w których Pascual Tejerina mógł odgwizdać karnego, zwłaszcza kiedy López przewrócił Asensiego, jednak sędzia tego nie zrobił. Atak Barcelony, do którego przyłączył się środkowy obrońca Gallego, grał chaotycznie. Bramkarz Molina bronił dobrze, ale najwyższe noty w gazetach otrzymał przede wszystkim Fermín. Rozegrał wielki mecz.

Wspominając tamte wydarzenia, Fermín przyznaje, że od Realu Madryt przyjęli wysoką premię: „Nie pamiętam dokładnie ile, ale jak na tamte czasy była to bardzo wysoka kwota. Żebyś mógł to sobie wyobrazić, powiem, że tamtej niedzieli każdy z nas dostał więcej, niż wynosiły roczne zarobki Manolína Cuesty. Pamiętam, ponieważ o tym rozmawialiśmy”.

W kwestii karnego się nie wypowiada. Ale w prasie z tamtego okresu można przeczytać, że w poniedziałek stwierdzono za pomocą movioli, że karny nie powinien zostać podyktowany.

Ówczesny bramkarz Barcelony Miguel Reina jest obecnie radnym Kordoby. Nie ma wątpliwości. Dla niego karnego nie było:

– Manolín Cuesta wszedł z prawej strony, blisko linii końcowej. Nie było karnego, jestem pewien. Ale Pascual Tejerina go odgwizdał. Tejerina był jednym z arbitrow, którzy zaliczali się do tych sprzyjających Realowi Madryt.

– Tak jak Ortiz de Mendibil i Zariquiegui, prawda?

– I Bueno, Aragończyk I znalazłoby się jeszcze kilku innych. Nie mówię, że ich przekupywali, nigdy tego nie widziałem ani nawet o tym nie myślałem. Ale owszem, ci sędziowie mieli skłonności do faworyzowania Realu.

– Tak jak Rigo cieszył się sławą barcelonisty...

– Cóż, on był z Balearów...

– Tak czy inaczej, Cordoba dostała premię, prawda?

– Tak, już wtedy były premie za wygranie meczu, to musi być bardzo stara praktyka. Mieszałem teraz w Kordobie, przyjaźnię się z wieloma piłkarzami, którzy grali tamtego dnia, a

wcześniej byli moimi kolegami z drużyny. Proszę pamiętać, że zaczynałem grać w Cordobie. Podobnie jak Garrido, środkowy obrońca i sam Manolín Cuesta. Wydaje mi się, że dostali po 150 tysięcy peset na głowę.

Podczas rozmowy z Fermínem zauważam jednak, że w jego wspomnieniach tamte wydarzenia lekko się zdeformowały. Mówił, że pamięta, iż karny został podyktowany tuż przed końcem meczu i że Barcelonie wystarczył remis, żeby zostać mistrzem. W rzeczywistości karny był w 54. minucie, a Barça musiała wygrać.

Dzień później Michels, nie bezpośrednio, ale ostro, narzekł na sędziowanie: „W trakcie pierwszego sezonu w Barcelonie, a co za tym idzie w hiszpańskim futbolu, nauczyłem się wystarczająco wiele, między innymi tego, że nasza drużyna, Barcelona, żeby zdobyć tytuł, będzie musiała bardzo wyraźnie przewyższać innych, to znaczy mieć dużo punktów przewagi nad drugim zespołem. Moje słowa zapewne wydadzą się państwu mocne, ale tak właśnie uważam. W Kordobie moi piłkarze dali z siebie wszystko, nie są jednak w stanie walczyć przeciwko pewnym osobnikom”.

Ostatni mecz to dla Realu Madryt pestka. Urządza goleadę Sevilli, drużynie ubranej dość dziwnie: białe koszulki z przecinającą je czerwoną wstęgą oraz niebieskie spodenki. Mecz kończy się wynikiem 4:1 po bramkach Amancio, Santillany i dwóch Pirriego. Tuż przed końcem Acosta zdobywa bramkę honorową dla Sevilli, która musi pogodzić się ze spadkiem; zajęła trzecie miejsce od końca. Na Santiago Bernabéu zaczyna się fiesta, podczas gdy na Camp Nou panuje grobowa atmosfera. Tam psychicznie rozbita Barça niespodziewanie przegrywa z Malagą, w związku z czym nie kończy sezonu na drugim miejscu (wicemistrzem zostaje Valencia), lecz dopiero na trzecim, tracąc cztery punkty do Realu Madryt. Cztery punkty z tych dwóch ostatnich kolejek, nawet gdyby zrównała się punktami z Realem, zapewniłyby jej mistrzowski tytuł.

W następnym sezonie Fermín wrócił do Realu, ale też nie występował w podstawowym składzie. Potem odszedł do Castellón i wreszcie szczyt swojej kariery osiągnął w Rayo Vallecano, gdzie grał przez kilka sezonów w Primera División. Już nie jako cofnięty napastnik, jak na początku, lecz jako organizator gry w środku pola, na pozycji, którą dziś zajmuje Xabi Alonso, żebyśmy się dobrze zrozumieli. „Tylko tam naprawdę cieszyłem się futbolem, czułem się jak prawdziwy piłkarz”.

Tak było, ale do historii przeszedł dzięki karnemu strzelonemu 7 maja 1972 roku na El Arcángel, kiedy w zielono-białym stroju zrobił największą w karierze przysługę Realowi Madryt.

25. „BARÇA TO WIĘCEJ NIŻ KLUB”

Kiedy Narcís de Carreras objął stanowisko prezesa Barcelony 17 stycznia 1968 roku, wypowiedział słowa zacytowane w „La Vanguardii”, które w tamtym momencie nie zostały zauważone: „Barcelona jest czymś więcej niż klubem piłkarskim, to duch, który jest zakorzeniony głęboko w nas, to barwy, które kochamy ponad wszystko”. Wtedy nikt nie zwrócił na nie uwagi, ale jasne było, że Narcís de Carreras zaczynał mówić o wartościach i uczuciach wykraczających znacznie dalej niż w przypadku innych klubów, jakby o tożsamości katalońskiej, chociaż nie zostało to sformułowane tak dosłownie (oficjalnie był to wtedy temat tabu), ponieważ żyliśmy w jednej Hiszpanii, gdzie podziały terytorialne z definicji nie istniały.

Jednak tamta namiastka miała się przekształcić w pełne zdanie, i to zdanie oficjalne: *El Barça es más que un club* albo *El Barça es més que un club*, jeśli ktoś woli po katalońsku. Zdanie w ostatecznej formie stworzył Javier Coma, człowiek zajmujący się reklamą i zarazem znany specjalista od komiksów, publikujący wiele artykułów na ten temat w różnych gazetach tamtej epoki. Z okazji wprowadzenia katalońskiego wydania „El País”, w październiku 1982 roku, gazeta poprosiła Emilio Péreza de Rozasa i mnie o przygotowanie wspólnego artykułu na temat Barcy i jej znaczenia, który 10 października miał trafić na okładkę niedzielnego wydania pierwszego numeru w Katalonii. W tym celu spotkał się z Javierem Comą. Z tamtego reportażu zacerpnąłem jego wypowiedź:

W październiku 1973 roku pracowałem w reklamie i dostawałem różne zlecenia od Víctora Sagiego. Akurat wtedy poprosił mnie o przygotowanie kampanii reklamowej na Światowy Dzień Futbolu, który organizowała Barcelona i w którym miały wziąć udział reprezentacje z Europy i Ameryki. Chodziło o to, żeby stworzyć wokół tego wydarzenia odpowiednią atmosferę i wymyślić zdanie służące kampanii Montala, który dwa miesiące później miał ubiegać się o reelekcję. „Niech to będzie coś, co będzie wyrażać istotę barcelonizmu” – powiedział mi Sagi.

Tak więc Javier Coma wrócił do domu i zaczął myśleć. Zabazgrał mnóstwo kartek, ułożył listę słów, które podsuwały mu jakieś pomysły i nagle znalazł to, czego szukał: „Barcelona to więcej niż klub”. Zdanie przypisywane później wielu. „Powieм szczerze, że nie uważam tego za moją wielką zasługę jako profesjonalisty. Ten »slogan« mógłby wymyślić jakikolwiek Katalończyk, ponieważ tutaj wszyscy uważają, że Barcelona to więcej niż klub. Kiedy pracowałem w reklamie, zawsze gdy proszono mnie o życiorys, umieszczałem to zdanie na pierwszym miejscu, chociaż wydaje mi się, że wielu sądziło, iż była to bzdura. Przekonałem się nawet, że Narcís de Carreras w przemowie, którą wygłosił jako prezes, już o tym wspominał, chociaż nie wyraził tego za pomocą takich samych słów”.

Co ciekawe, slogan ten, jeden z najbardziej trafnych, jakie kiedykolwiek powstały, został wyceniony znacznie poniżej ceny rynkowej: „Za kampanię Sagi zapłacił mi 35 tysięcy peset. Ale zdanie, chociaż wykorzystane z okazji Światowego Dnia Futbolu, nie zostało użyte przez Montalę, gdy ubiegał się o reelekcję, ponieważ od razu powstał żart: » Więcej niż klub, ale mniej niż drużyna«. Tak więc Sagi powiedział mi, że skoro zdanie nie będzie użyte, to da mi tylko siedem tysięcy peset. W tamtym czasie » slogan« wyceniany był na 50 tysięcy. Dziś jego wartość przekracza 300 tysięcy”.

Pamiętam, że rozmawialiśmy w 1982 roku.

Więcej niż klub. Więcej niż klub, ale mniej niż drużyna. Owszem, tak się mówiło. Więcej niż klub: nocny klub, tak też mawiano w Madrycie. Ale zdanie to brzmiało niepokojąco, ponieważ puszczało w obieg to, o czym madrydziści wiedzieli, że jest prawdą: inną wartość Barcy dla jej kibiców, większy ładunek emocjonalny, charakter, wtedy jeszcze nieoficjalny, sztandarowej instytucji katalonizmu. Na potrzeby tego samego artykułu Nicolau Casaus powiedział nam, że Katalonia posiada trzy filary: Montserrat, Orfeó Català i Barcę (rozmawialiśmy w czasie, gdy Katalonia nie miała jeszcze własnych instytucji politycznych). „Powiedziałbym, że Barcelona jest domem, o jakim marzy Katalończyk Schronieniem w pełnym tego słowa znaczeniu”.

Dostrzegał to już Jordi Pujol, począwszy od lat 60. W *El Barça i el franquisme* od 51. strony Santacana zamieszcza wspaniały opis i refleksję na ten temat. W latach 60. wojnę domową zaczynało już postrzegać jako odległe czasy, katalońskie społeczeństwo się zmieniało, przyjęło blisko milion imigrantów, a nowa generacja Katalończyków odczuwała niepokój przed przymusową homogenizacją Hiszpanii Franco oraz pragnęła potwierdzenia swojej tożsamości. I tutaj pojawia się Jordi Pujol, wtedy młody aktywista, który przez pewien czas siedział w więzieniu za zdarzenia w Palau (odśpiewanie *Santa Espina*^[56] przed Franco w Palau de la Música) i który później uruchomił wiele narodowych inicjatywy promujących to, co nazywał *fer país* – budować kraj, budować Katalonię. Pujol stoi za objęciem fotela prezesa przez Narcisa de Carrerasa, kiedy do dymisji podał się Llaudet (1961–1967). Oficjalnie stało się tak wskutek braku sukcesów sportowych, ale decydujące było co innego: jako sekretarza technicznego zatrudnił Argentyńczyka Casildo Osésa, co wywołało oburzenie w barcelońskiej prasie. Oburzenie, które zamieniło się w lament, kiedy Osés oświadczył: „Wydaje się, że moim wielkim grzechem, moim śmiertelnym grzechem jest to, że nie jestem Katalończykiem. Do tego wręcz stopnia, że myślę, iż zanim pojedę do Katalonii, powinienem udać się do Ojca Świętego, żeby nie nałożył na mnie ekskomunikacji za to, że nie jestem Katalończykiem. [...] Wydaje się, że w Katalonii istnieje dyskryminacja. Podobnie jak są czarni i biali, szaleńcy i rozumni, tak są Katalończycy i nie-Katalończycy”.

Oczywiście słowa te zakończyły jego barcelońską karierę, a niedługo potem również karierę Llaudeta. Ale wybuch Osésa wyjaśnia (pomijając jego werbalny brak umiarkowania) obecność pewnego nurtu katalońskiej tożsamości, ukrywanej od czasu wojny domowej, która teraz zaczynała wychodzić na powierzchnię. Były to lata stowarzyszenia Òmnium Cultural, ruchu Nova Cançó, pomysłu Joana Manuela Serrata, by zaśpiewać po katalońsku na festiwalu Eurowizji (w 1968 roku; był to wielki narodowy skandal tamtej epoki, przewyższający jakiegokolwiek futbolowe zamieszanie, a przynajmniej ja tak to pamiętam), a Jordi Pujol widział w Barcelonie jeden ze swoich celów, mając świadomość, jak dużą reprezentatywną wartość posiada. Pujol przychodził na mecze, i to dosyć często, ale – jak pisze Santacana – bardziej niż piłkarski spektakl interesowali go widzowie.

Pujol, jak już wspominałem, popierał kandydaturę Narcisa de Carrerasa, człowieka podczas wojny stojącego po stronie „narodowej”, deputowanego do Kortezów, desygnowanego przez Geronę, ale nie falangistę, raczej monarchistę, dokonującego daremnych prób, żeby reżim w

jakis sposób miał na uwadze katalońską odrębność. Był wiceprezesaem za kadencji Agustina Montala ojca i Martiego Carreto. Na prośbę Pujola, jak pisze Santacana, funkcję jednego z wiceprezesów sprawował Agustín Montal syn, o którym Pujol być może już myślał jako o przyszłym prezesaem.

(Na marginesie: działania mające na celu zrobienie z Barcelony symbolu katalonizmu nie mogły być ignorowane przez Santiago Bernabéu, człowieka dobrze poinformowanego, co tłumaczy jego arogancją wypowiedź dla „Murcia Deportiva”, o czym pisałem w jednym z poprzednich rozdziałów. Szerszej publiczności takie nastawienie Barcy nie będzie znane do momentu, aż zostanie wypowiedziane zdanie *més que un club*. Ale Bernabéu musiał o tym wiedzieć już w tamtych czasach, stąd najprawdopodobniej ton jego wypowiedzi, mniej lub bardziej świadomy czy kontrolowany, w „Murcia Deportiva”).

Prawda jest taka, że w rezultacie Narcisa de Carrerasa – który stracił stanowisko po dwóch latach, padając ofiarą sportowych potknięć, ale w większej mierze związanej przeciwko niemu konspiracji wewnątrz zarządu – zastępuje Agustín Montal syn, przedsiębiorca włókienniczy, tak jak jego ojciec, ale już należący do generacji nowych Katalończyków. A jako sekretarz do zarządu wchodzi Raimon Carrasco, dyrektor banku Banca Catalana, człowiek o zdecydowanie anty frankistowskich poglądach, jako że należał do Republikańskiej Lewicy Katalonii. W zarządzie jest też Josep Lluís Vilaseca, adwokat, doradca Banca Catalana. Zwracam uwagę na Banca Catalana, ponieważ był to wielki projekt Pujola, który w czasach, gdy jeszcze obowiązywał zakaz tworzenia partii politycznych, zrobił coś o wiele bardziej inteligentnego, czyli założył bank

To właśnie za kadencji Montala wyraźnie domagano się Barcy jako narodowego symbolu, jako czegoś, co było częścią głębokiego uczucia większości *culés*, ale czego mniej lub bardziej unikano od czasów wojny. Hiszpania była „Jedna” (a także „Wielka” i „Wolna”) i słowo „Jedna” pisało się wielką literą. Lecz zbliżał się biologiczny koniec Franco, społeczeństwo było już inne, lata powojenne zostały daleko w tyle i nadchodził już czas na zmiany. W Katalonii prawie nikogo nie przestraszyło takie nastawienie Barcy. W Madrycie patrzyło się na nie podejrzliwie. To było upolitycznienie futbolu, mówiono, a poza tym zakładało wywieszenie niewidzialnej (albo widzialnej, bo *senyera*^[57] zaczęła być widoczna w klubie wcześniej niż w jakimkolwiek innym miejscu) flagi buntu przeciwko słabnącej sile koncepcji zjednoczonej Hiszpanii, która tak bardzo podobała się w Madrycie.

Z drugiej strony katalonizm Montala był integracyjny. Z okazji 75. rocznicy założenia klubu i równoległe ze sloganem *més que un club* powstaje nowy hymn, czwarty w historii Barcelony. Pierwszy datuje się na 1923 rok, drugi pojawił się z okazji pięćdziesięciolecia klubu w 1949 roku, a trzeci na inaugurację Camp Nou w 1957 roku. Ten czwarty, *Blaugrana al vent* (Blaugrana na wietrze), z perspektywy czasu wydaje mi się najlepszym hymnem piłkarskim, jaki znam. Wzbudza entuzjazm i szacunek, ładnie brzmi z trybun, porusza, a jego słowa i muzyka pełne są znaczeń. I posiada jasny i pozytywny przekaz integracyjny: *Tant se val d'on venim, si del Sud o del Nord, ara estem d'acord, estem d'acord, una bandera ens agermana...* (Nieważne, skąd pochodzimy, czy z południa, czy z północy, ale zgadzamy się, zgadzamy się, łączymy nas flaga...).

Ta atmosfera katalonizmu wyraźnie pokazuje, że Barça rzuciła wyzwanie zjednoczonej Hiszpanii, której tak się broniło i broni z Madrytu. Wśród madrydistów wywołało to reakcję hiszpańskości – kiedy grała Barcelona, na trybunach powiewały hiszpańskie flagi jako sprzeciw wobec dążeń separatystycznych. Dość często widywało się je na Santiago Bernabéu (nigdy jednak nie było ich dużo) podczas meczów Pucharu Europy rozgrywanych przeciwko drużynom zagranicznym, ale nie przeciwko Barcelonie, jak działo się wtedy, ani przeciwko Athleticowi i Realowi Sociedad, jak stanie się niedługo potem, w czasach transformacji ustrojowej, kiedy zaczęła być widoczna *ikurriña*^[58].

Senyery pojawiły się w Barcelonie wcześniej niż *ikurriña* w Kraju Basków. Ta druga zadebiutowała w sposób spektakularny, pamiętny do dziś, 5 grudnia 1976 roku, kiedy Irribar i Kortabarría, kapitanowie odpowiednio Athleticu Bilbao i Realu Sociedad, wyszli na murawę, wyprowadzając drużyny na derby Kraju Basków i wspólnie niosąc flagę. Był to jeden z najbardziej uderzających obrazków okresu transformacji. *Senyera* pojawiała się wcześniej, stopniowo, bardziej dyskretnie, aż w maju 1979 roku, podczas finału Pucharu Zdobywców Pucharów w Bazylei, nastąpił prawdziwy wybuch. W *El profeta del gol* (Proroku, gola), filmie poświęconym Johanowi Cruyffowi, znalazł się fragment dokumentujący świętowanie zdobycia tytułu mistrzowskiego w sezonie 1973/74 na placu Sant Jaume. Jeśli dobrze pamiętam, był to pierwszy raz, gdy *senyery* pojawiły się w tak dużej liczbie, wymieszane z flagami Barcy. W scenie tej widać policjantów (wtedy tak zwanych szaraków, z uwagi na kolor mundurów), którzy nie robią nic, aby je usunąć. W tamtych czasach jeśli ktoś wyszedłby na ulicę z samą *senyerą*, zostałby zabrany na komisariat, gdzie by mu ją odebrano, i pobity. Ale w takich okolicznościach mogła być noszona do woli.

W Madrycie wrażliwość Barcy na punkcie katalońskiej przynależności postrzega się z pogardą i niezrozumieniem. To denerwuje. Denerwują *senyery*, denerwuje, że Cruyff, który w czwartym sezonie został kapitanem (1976/77), wkłada opaskę z *senyerą*, a synowi nadaje imię Jordi. Oskarża się go o uprawianie demagogii i że od tego momentu żyje na cudzy koszt, co faktycznie było prawdą. Cruyff grał w Barcelonie na najwyższym poziomie tylko w tym sezonie.

Reakcja madrydzizmu na te wydarzenia przyczynia się do wzmocnienia jego wizerunku jako bastionu frankizmu, nawet już po śmierci Franco. Zresztą wiele flag, jakie przez lata przynoszono na Santiago Bernabéu przeciwko Katalończykom i Baskom, miało „orzęka”, jak go nazywano, symbol Hiszpanii w czasach frankistowskiej dyktatury, zamiast herbu wprowadzonego przez nową konstytucję.

I to pozwalało na opowieści – w moim odczuciu przesadzone i niesprawiedliwe – o związkach Realu Madryt z frankizmem, które przedstawiają czasy Franco jako okres idealnej symbiozy i współpracy klubu z władzą. I tłumaczą sukcesy Realu jako bezpośrednio wywodzące się z protekcji i wsparcia reżimu.

A taknie było.

Przy tworzeniu tych opowieści zignorowano albo pominięto pewne, dziś już zapomniane, istotne fakty. Real Madryt osiągał znacznie większe sukcesy za czasów Republiki. Wygrał dwa mistrzostwa kraju (w 1932 i 1933 roku) i dwa Puchary (w 1934 i 1936 roku). 40 procent tytułów, o które walczono w tamtym okresie, przy ani jednym Barcelony. Real najgorszy czas przeżywał od końca wojny domowej aż do przybycia Di Stéfano: dokładnie w latach najsurowszego frankizmu. Pierwsze dwa tytuły mistrzowskie tego okresu zdobyło Atlético Aviación – klub powstały z połączenia przedwojennego Atlético (znanego jeszcze jako Athletic) z Aviación, drużyną utworzoną przez siły frankistowskie, żeby móc grać podczas wojny. (Atlético w sezonie 1935/36 spadło do Segunda División, ale mogło zająć miejsce w Primera, ponieważ Oviedo miało po wojnie kompletnie zniszczony stadion. Mecz z Osasuną, innym spadkowiczem z 1936 roku, wygrany przez nowe Atlético Aviación, pozwolił utrzymać mu się w Primera, a potem wygrać dwa tytuły). To oznacza, że na początku reżim przysłużył się Realowi tylko tym, że niesamowicie wzmocnił jego rywala z miasta, który niedługo potem, już jako Atlético Madryt, wygra ligę w sezonach 1949/50 i 1950/51.

Real z powojennego dołża wyszedł dzięki transferowi Di Stéfano, co jest kluczową kwestią w porównawczej historii obu klubów. W Barcelonie wszyscy są przekonani, że doszło do tego na skutek bezpośredniej ingerencji reżimu, żeby wzmocnić Real Madryt. To nieprawda, o czym pisałem w jednym z poprzednich rozdziałów. Jak wiadomo, przed Di Stéfano przyszedł Kubala,

do którego transferu do Barcy reżim przyłożył rękę. Ale tak jak w Barcelonie napisano mnóstwo o przybyciu Di Stéfano wiele lat po tym wydarzeniu (Justo Conde w *La guerra que nunca cesa* cytując artykuł Luisa Permanyera z „La Vanguardii”, z niedzieli 30 listopada 1980 roku, jako pierwszy wyraz protestu, jeśli chodzi o ten temat), to wokół sprawy Kubali przechodzi się na palcach. Real chciał Kubalę, zanim zainteresowała się nim Barça, nie dostał go jednak ponieważ działał mniej efektywnie, ponieważ był mniej uparty, ponieważ w tamtym momencie w lepszej pozycji była Barcelona, która włożyła w ten transfer więcej wysiłku. Żeby doszedł do skutku, zgodziła się zatrudnić Daucika jako trenera drużyny. I reżim, jak można się było przekonać, dołożył wszelkich starań, żeby zdobyć piłkarza. Z pewnością nie w celu faworyzowania Barcelony i szkolenia Realowi, tylko żeby zyskać doskonały argument do użycia w antykomunistycznej propagandzie. Ale ostatecznie przyniosło to korzyści Barcelonie.

Sprawa Kubali ciągnęła się znacznie dłużej i obfitowała w więcej intryg niż sprawa Di Stéfano, ale w historii Barcy Kubala pojawia się po prostu jako czarownik, anioł zwiastujący dobrą nowinę, który objawił się Dziewicy Maryi.

Wiem, że trudno jest do tego przekonać nowe (i nie tylko nowe) generacje barcelonistów. Pojawiało się wiele przeinaczonych albo przesadzonych informacji, nawet od osób, które wniosły do tej debaty wiele cennych głosów.

Na przykład Santacana w znakomitej książce *El Barça i el franquisme* pisze już w pierwszym rozdziale, zatytułowanym *Un club que viene de lejos* (Klub o długiej tradycji): „W odróżnieniu od stolicy Hiszpanii, gdzie Real Madryt stanie się najważniejszą drużyną miasta dopiero po wojnie domowej, dla Barcy dekada od 1910 roku będzie decydująca, bo zaczyna odgrywać doniosłą rolę w swoim mieście”.

To poważna nieścisłość. Do 1936 roku Real Madryt zdobył dwa tytuły mistrzowskie, siedem Pucharów Hiszpanii, dwanaście tytułów regionalnych i pięć prowincjonalnych (rozszerzone rozgrywki regionalne, w których brały udział kluby z więcej niż jednego regionu, żeby je wzmocnić, odkład profesjonalny futbol zabrał inne drużyny z miasta). Najbliżej niego było Atlético (wtedy Athletic), które nie wygrało jeszcze żadnego krajowego trofeum, wystąpiło tylko w dwóch finałach Pucharu, zdobyło trzy tytuły regionalne i ani jednego prowincjonalnego. W ciągu siedmiu sezonów istnienia oficjalnych rozgrywek dwukrotnie spadało z ligi, w tym raz w sezonie 1935/36. Po pierwszym spadku, w sezonie 1929/30, wróciło po czterech latach. Dopiero tuż po wojnie domowej Atlético przeżyło jedyny okres w historii, kiedy było lepsze od Realu.

Barça zasiadała na tronie w Barcelonie, chociaż jej przewaga nad Espanyolem była mniejsza. Wygrała jeden tytuł ligowy, osiem Pucharów Hiszpanii, dziewiętnaście tytułów regionalnych oraz jeden Puchar Macaya, poprzedzający rozgrywki regionalne w Katalonii. Tymczasem Espanyol zdobył jeden Puchar (dwa razy przegrywał w finale), sześć tytułów regionalnych, również jeden Puchar Macaya i przynajmniej utrzymywał się w Primera División od czasu utworzenia ligi do 1936 roku. A dwukrotnie nawet zajmował wyższe miejsce niż Barça. Oczywiście był mniejszym i słabszym klubem od Barcelony, ale dzieliła go od niej znacznie mniejsza odległość niż Atlético od Realu.

Dlaczego więc Santacana napisał to, co napisał, nie sprawdzając danych w dobrze udokumentowanej historii? Z pewnością dlatego, że w Barcelonie mówiono o tym i wylądowało to tyle razy, iż przyjmowano to za niezmienną prawdę.

Vázquez Montalbán (wspaniały sprawozdawca istnienia Barcy i naszego futbolu, poczynawszy od tamtych lat aż do swojej przedwczesnej śmierci) jest jedną z 19 osób przepytanych w znakomitej książce Perego Ferrerera *Cien años azulgrana* (Sto lat *azulgrana*), która za pośrednictwem głosów różnych postaci w sposób prosty, a jednocześnie pełny, zagłębia się w uczucia barcelonizmu. Zaskoczyło mnie, że na temat zakazu sprowadzania zagranicznych piłkarzy

od 1962 roku Vázquez Montalbán powiedział, co następuje: „[...] i podejrzewam, że podczas gdy Real Madryt miał w swoich szeregach takich napastników jak Kopa, Di Stéfano, Puskás, Gento i Rial, wprowadzono zakaz sprowadzania z zagranicy...”. W 1962 roku Kopy i Riala nie było już w Realu, Di Stéfano i Puskás mieli zaś po 36 lat. Ich kariery powoli dobiegały końca, podobnie jak i zagranicznych gwiazd Barcelony, która również je miała: Kocsisa, Evaristo, Villaverde, Eulogio Martíneza... Zakaz wprowadzono po potknięciu Hiszpanii na mundialu w Chile, co w dalszej części książki dobrze opisuje Vázquez Montalbán. Real, tak jak Barça, bardzo chciał utrzymać otwarte granice. Bernabéu toczył w tej sprawie spór z federacją, co ostatecznie doprowadziło do zerwania z nią stosunków, a przecież na jej czele stał madridista Benito Pico. W „Biuletynie Realu Madryt” (numer 159 z sierpnia 1963 roku) zamieszczona została żarliwa obrona korzyści płynących z zatrudniania obcokrajowców. A wszystko to pomimo faktu, że nasze wielkie kluby były praktycznie zrujnowane. Barça musiała sprzedać Luisa Suáreza do Interu (1961), a Real Luisa del Sola do Juventusu (1962). (W tym samym roku Atlético sprzedało Joaquína Peiró do Torino). Ale równocześnie kluby uważały, że zamknięcie granic powodowało, iż ceny na rynku hiszpańskim znacznie wzrosły. Chociaż od dawna zastanawiam się, czy miałyby wystarczające fundusze, żeby ściągnąć największych piłkarzy tamtej epoki: Eusébio, Bobby'ego Charltona, Uwe Seelera, Gianniego Riverę, Sandro Mazzolę i przede wszystkim Pelé.

Jednak granice zostają zamknięte, ponieważ Real Madryt ma już wszystko, co chciał mieć. Kolejne sformułowanie, które ciągle powtarzane, nabiera charakteru niepodważalnej prawdy.

I jako niepodważalną prawdę przyjęto także stwierdzenie, jakoby Franco kibicował Realowi Madryt. Nicolau Casaus powiedział dokładnie coś przeciwnego Emilio Pérezowi de Rozasowi i mnie, kiedy przygotowaliśmy artykuł o Barcelonie (*Barça, Barça, Barça!*), opublikowany 10 października 1982 roku, do którego odwołuję się w innych rozdziałach. Oto, co się w nim znalazło: „Franco nie był madridistą. Franco był kibicem Samitiera i Zamory. Pewnego razu przyjął Barcelonę w El Pardo i Samiego, który był sekretarzem technicznym, nie zabrano przez jakąś kłótnię z dyrekcją. Był ogromnie niezadowolony. Później, kiedy cały zarząd i drużyna znalazły się już w salonie, wszedł Franco i od razu zapytał, gdzie jest Sami. Wszyscy chcieli zapaść się pod ziemię. Ale o ile Franco był kibicem Samiego i Zamory, o tyle reżim miał pewne obawy przed sukcesami Barcelony, temu nie można zaprzeczyć”.

Nie ma żadnego dowodu na to, że Franco sympatyzył z Realem Madryt, chociaż prawdą jest, że podłączył się pod sukcesy Realu od czasów Di Stéfano. Ale Franco prawie nie przychodził na Bernabéu, nie pojawił się nawet 14 grudnia 1947 roku, w dniu otwarcia stadionu. Nie pojechał też na otwarcie Camp Nou, 24 września 1957 roku, ale udał się tam, razem z żoną, 10 października na mecz ligowy z Sevillą. Na Bernabéu po raz pierwszy przyszedł nie na mecz Realu, lecz na spotkanie Hiszpania – Portugalia (2:0) 21 marca 1948 roku, po raz drugi zaś na finał Pucharu Hiszpanii Sevilla – Celta (4:1) 4 lipca 1948 roku.

Na Santiago Bernabéu, żeby zobaczyć Real, pojawiał się bardzo rzadko, by nie powiedzieć, że prawie nigdy. Był na finale drugiej edycji Pucharu Europy, który odbywał się właśnie na Bernabéu, gdzie wręczał trofeum jako głowa państwa. Ale nie oglądał meczów wcześniejszych rund. Gdyby był pasjonatem futbolu i kibicem Realu Madryt, przychodziłby na stadion znacznie częściej, jak robił to José María Aznar^[59]. W drugiej połowie lat 50. na Bernabéu oglądało się najlepszy futbol w tamtym okresie; goleady urządano tam najlepszym europejskim drużynom. A Franco nie zadawał sobie nawet trudu, by przy tej okazji pozdrowić tłum.

Oczywiście był obecny na finałach Pucharu Hiszpanii. Kolejnym powtarzanym argumentem jest to, że Real wszystkie finały grał na swoim stadionie. Prawie wszystkie finały organizowane były w Madrycie, ponieważ tutaj urzędował Franco, który wręczał puchar, chyba że finał zbiegał się, albo starano się, żeby się zbiegł, z jakąś jego podróżą do innego miejsca w

Hiszpanii. A odbywały się na Bernabéu, ponieważ Metropolitano, stadion Atlético do 1966 roku, był o wiele gorszy. Od czasu otwarcia Vicente Calderón finały odbywały się naprzemiennie na obu stadionach.

I finałów nie organizowano na Bernabéu po to, żeby wygrał je Real. Na Bernabéu i z Caudillo, jak się go nazywało, w loży Real przegrał finał w 1958 roku z Athleticem Bilbao, w 1960 i 1961 z Atlético Madryt, wygrał w 1962 roku z Sevillą i przegrał w 1968 z Barceloną. W tym okresie Barça miała szczęście grać jeden finał na swoim stadionie, ponieważ Franco akurat przebywał w Barcelonie, w 1963 roku z Saragossą, i go wygrała. Real też wygrał jeden finał w Barcelonie, gdy Franco znów udał się tam z wizytą, w 1970 roku (po półfinale z karnym Gurucety) z Valencią.

Inna rzecz, z jaką się zetknąłem, to stwierdzenie, że Barça przegrała finał Pucharu Europy w 1961 roku z Benficą, ponieważ Franco nie zgodził się na przełożenie wcześniejszego meczu pucharowego z Espanyolem i to spowodowało, że drużyna wyszła na mecz przemoczona. Mówi tak chociażby Andrés Mercé Varela (przez długie lata prawa ręka Samarancha) w wywiadzie opublikowanym w „La Vanguardii” 18 kwietnia 2004 roku na stronie 68. Moim zdaniem to kolejna bzdura. Szanowało się kalendź gier, Realowi przytrafiła się podobna sytuacja i przeglądając składy, można zauważyć, że prawie zawsze w meczu poprzedzającym finał (albo nawet decydujący mecz półfinałowy) grali piłkarze rezerwowi. I nie tylko wtedy, gdy było to łatwe spotkanie ligowe, kiedy drużyna miała już w kieszeni mistrzowski tytuł, jak się czasem zdarzało. Również w przypadkach, gdy były to ważne spotkania. Podam przykład: przed finałem w Wiedniu w 1964 roku Real grał pierwszy ćwierćfinałowy mecz Pucharu Hiszpanii grał z Atlético Madryt. Real wystawił następujący skład: Araquistáin, Miera, De Felipe, Casado, Felo, Echarri, Serena, Pipi Suárez, Yanko Daucik, Grosso i Bueno. Jest 24 maja. 27 maja w Wiedniu skład wygląda tak Vicente, Isidro, Santamaría, Pachín, Müller, Zoco, Amancio, Felo, Di Stéfano, Puskás i Gento. W obu wystąpił tylko Felo, który, co ciekawe, strzelił gola, chociaż Real i tak przegrał tamten finał (1:3), będący zarazem pożegnaniem Di Stéfano.

Dodam jeszcze, że cztery lata wcześniej Hiszpania grała mecz towarzyski w Anglii w niedzielę poprzedzającą finał w Glasgow, ten zakończony wynikiem 7:3, z czterema golami Puskása i trzema Di Stéfano. Zostali powołani na niego czterej madrydziści: Pachín, del Sol, Di Stéfano i Gento. Trzech zagrało cały mecz, a del Sol drugą połowę.

Mówienie, że Barça przegrała tamten finał, ponieważ Franco zakazał zmiany daty meczu, jest bzdurą. Barcelona poniosła porażkę przez niewiarygodnego pecha: cztery razy trafiała w słupek, a Ramallets akurat wtedy miał jedyny fatalny wieczór w karierze. W tym samym wywiadzie Mercé Varela twierdzi też, że rozgrywki ligowe przerwano z uwagi na towarzyskie *tournée* Realu Madryt, co jest absolutną nieprawdą.

W każdym razie wydarzenia historyczne ułatwiły podział ról. Katalonia odczuwała niepokój związany bezpośrednio z czelającą nas demokratyczną przyszłością. Real Madryt w zbiorowej świadomości jawił się jako przeciwwaga Barcelony: drużyna frankizmu. Przy okazji – niektórym madrydistom to się podobało. „Hiszpańskość” stanowi jedną z najcenniejszych wartości madrydzizmu i była obsesją frankizmu, traktującego separatyzm jako swoją wielką fobię (obok komunizmu, masonerii i pornografii).

A poza tym w latach 60. dominacja Realu Madryt była przytłaczająca i to usprawiedliwiało złość barcelonizmu. W drugiej połowie lat 50. Real cieszył się niemal bezwarunkową popularnością. Wszędzie było za Realem: ulica, telewizja, koszykarze, ministrowie, psy rolników, NO-DO... Nawet większość arbitrowi sympatyzowała z drużyną z Madrytu, być może nie o tym nie wiedząc, podobnie jak bohater Moliera nie wiedział, że mówił prozą. Wystarczyło porozmawiać z tymi sędziami po zakończeniu przez nich karier, żeby się o tym przekonać.

Wszak Real Madryt niemal zawsze wygrywał ligę (od sezonu 1960/61 do 1968/69 wymknęła mu się tylko raz), zawładnął Pucharem Europy, którego mecz jako jedyne były pokazywane w telewizji w środku tygodnia. I to samo, a może nawet w jeszcze większym stopniu, działo się w przypadku koszykówki, również pokazywanej w telewizji. A bożonarodzeniowy turniej koszykówki w jedynej dostępnej telewizji 24 i 25 grudnia zatruwał święta barcelonistom. Do tego Castiella, minister spraw zagranicznych, mówiący, że Real Madryt to najlepszy ambasador Hiszpanii.

Sadurní, bramkarz Barcelony w tamtym okresie, występował w klubie przez 16 lat i zdobył tylko jedno mistrzostwo kraju, już po przybyciu Cruyffa. Chociaż i tak miał więcej szczęścia niż Fusté, inteligentny piłkarz środka pola, który niedługo przedtem zakończył karierę bez mistrzowskiego tytułu na koncie. Sadurní uważa, że Real Madryt grał wtedy z dodatkową przewagą:

– Wiele razy zajmowaliśmy drugie miejsce, mieliśmy dobry zespół, ale o tytułach mistrzowskich często decydowali sędziowie. Powiedzmy, że im przyznawali trzy punkty, a nam trzy odbierali. W tamtym czasie w Madrycie często rozmawiałem z Zoco. Mówią, że oni byli większymi walczakami, że zdobywali mistrzostwo, wygrywając na trudnych stadionach, w Kordobie czy w Elche, i że Barça była drużyną bardziej techniczną, ale mniej waleczną. To też prawda, ale nie tłumaczy 14 lat bez wygranego ligi. Nieważne, jak źle byśmy grali my i jak dobrze oni... Barça każdego roku sprowadzała doskonałych piłkarzy. Real też miał fenomenalnych zawodników. Amancio był wyjątkowy. Podobnie Zoco, który teraz jest moim przyjacielem, lato spędza w Cambrils, widzujemy się i świetnie razem spędzamy czas. Ja ich naprawdę kocham, wszystkich bardzo dobrze wspominam. Ale sędziowie byli po ich stronie.

– Aż tak?

– Coś panu opowiem. W jednym z moich pierwszych meczów pokonali nas 5:1 na Camp Nou. Puskás strzelił mi trzy gole, pierwszego z karnego. Kolejnego zdobył z bezpośredniego rzutu wolnego; podczas gdy arbiter ustawiał mur, on trzymał piłkę przy sobie. Kiedy mur był już ustawiony, postawił sobie piłkę tam, gdzie chciał, trochę z boku. Żeby mieć lepszy kąt. Krzyczałem, ale sędzia nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Potem Puskás strzelił i trafił. Pozwalali im na takie rzeczy.

– A jak wyglądały relacje z piłkarzami Realu w reprezentacji?

– Przyjaźniliśmy się. Nawet sam Puskás był moim wielkim przyjacielem, to był wspaniały człowiek. Byliśmy na mundialu w Chile. Piłkarze Realu naprawdę się wyróżniali... Ale prawda jest taka, że sędziowie bardzo im sprzyjali.

Z tym, co mówi Sadurní, zgadza się wielu piłkarzy tamtej epoki, praktycznie wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy grali w Realu Madryt. Opowiada się o ich duchu walki, jakiego nikt inny nie miał, o ich doskonałej technice, ale znaczna większość, i nie chodzi tylko o zawodników Barcelony czy Atlético, utrzymuje, że cieszyli się przywilejami. Zbiorowa psychoza czy rzeczywiście? By wzmocnić tę tezę, w roli wielkiego świadka pojawił się Miguel Muñoz, który po spędzeniu w Realu Madryt całego życia – dziesięciu lat jako piłkarz, trzy nastu jako trener – kiedy prowadził potem Granadę, udzielił znamiennej wypowiedzi, w której wspomniał mimochodem, że Realowi zawsze pomagali sędziowie, chociaż grając w nim, nie zdawał sobie z tego sprawy.

Prawda jest jednak taka, że pod koniec lat 60. i na początku 70., kiedy w Katalonii pojawiają się tendencje separatystyczne, dominacja Realu jest niepodważalna, a jego charakter narodowej instytucji, wspieranej przez reżim, nie ulega wątpliwości. Wizerunek ten wzmacniało jeszcze wykorzystanie przez reżim stadionu Santiago Bernabéu na demonstrację związków zawodowych 1 maja (trzeba dodać, że w 1960 roku zorganizowano ją na Camp Nou), wydarzenie, które łączyło występy grup gimnastycznych (gimnastycy kończyli pokaz, leżąc na ziemi i układając ze

swoich ciał takie hasła jak „Niech żyje Franco”, „25 lat pokoju” i tym podobne) z regionalnymi tańcami, a całość pokazywana była w telewizji.

Wyjaśnia to całą listę argumentów po stronie barcelonistów, sięgających wstecz aż do meczu, w którym padł wynik 11:1, do sprawy Di Stéfano, a nawet do śmierci Suñola. I tak tworzy się lawina, która zbiera wszystko po drodze. Ponadto w rywalizacji obu klubów w tamtych latach doszło do wielu zatargów, takich jak gol Veloso, finał butelek (bez zamknięcia Santiago Bernabéu), karny Gurucety, gol Fermína... Wszystko to na przestrzeni kilku lat, a więc kiedy pojawiała się nowa kontrowersja, nadal pamiętano o poprzedniej.

Poza tym, kiedy Barça znów zaczęła odwoływać się do katalonizmu, ponieważ czuła, że nadszedł właściwy ku temu moment, Real Madryt postrzegał ten gest jako niezdrowe zanieczyszczenie futbolu polityką. I ogłosił się klubem apolitycznym, którym faktycznie był, ale tak jak zrobił to w filmie *La escopeta nacional* (Narodowa strzelba) grany przez José Sazatornila sprzedawca domofonów: „Ja? Apolityczny! Prawicowiec, odkład sięgam pamięcią!”. Nadchodzący czas miał tę pozycję podkreślić.

Postrzegam tę kwestię podobnie do Duncana Shawa, który pisał o tym w książce *Fútbol y franquismo*. To reżim opierał się na Realu Madryt i pomagał mu od chwili, gdy klub zaczął odnosić europejskie sukcesy. Sukcesy, z którymi Franco nie miał nic wspólnego, ponieważ w Europie nawet się nie pokazywał.

26. HISTORIA DWÓCH REKWALIFIKACJI

Jako uzupełnienie poprzedniego rozdziału warto przypomnieć, że Santiago Bernabéu poniósł porażkę przy próbie rekwalfikacji terenu stadionu, który nosi jego nazwisko. Chciał go zburzyć, żeby sprzedać działkę (miał na niej powstać biurowiec) w celu zbudowania stadionu bardziej nowoczes-

nego, ze wszystkimi miejscami siedzącymi i w całości zadaszonego, przy wyjeździe na drogę krajową w stronę Burgos. Nie udało mu się. A działo się to w okresie frankizmu. Barça natomiast, i owszem, dziesięć lat wcześniej zdołała doprowadzić do rekwalfikacji terenu po Les Corts, dzięki czemu mogła spłacić długi.

Sprawy wyglądały następująco.

Wzrastająca popularność Barcelony jako klubu w latach 50. postawiła jej zarządców przed koniecznością powiększenia Les Corts albo zbudowania nowego stadionu. Tamta drużyna, na czele z Ramalletsem, Basorą, Kubalą, Césarem, Moreno, Manchónem i innymi, potrzebowała obiektu mogącego pomieścić wszystkie oczekiwania, wzbudzone przez jeden z najlepszych zespołów w Europie tamtego okresu.

Kwestia powiększenia stadionu albo zbudowania nowego zapoczątkowała ostrą debatę między prezesem Agustíнем Montalem ojcem, zwolennikiem pierwszej opcji, a późniejszym jego następcą Enrique Martím (który został szefem klubu 16 lipca 1952 roku), zapałym obrońcą budowy nowego obiektu.

Ogromna pojemność nowego stadionu Chamartín, wzniesionego przez Santiago Bernabéu niedługo po objęciu fotela prezesa (inauguracja obiektu miała miejsce w 1947 roku; początkowo nazywał się Nuevo Chamartín, a osiem lat później, w 1955, nadano mu imię jego twórcy), sprawiała, że Barcelona czuła się klubem gorszym. Real miał większy stadion, większe zyski, większe szanse na sprowadzenie dobrych piłkarzy i zdobywanie tytułów. Dlatego Barça postanowiła to zmienić.

27 września 1950 roku podpisano umowę kupna 1700 metrów kwadratowych terenu usytuowanego między Riera Blanca i ulicą Maternidad za 10 092 445 peset. Rozpoczęły się spotkania między szefami Barcelony i władzami miasta. Te zasugerowały zamianę tych terenów na inne, mieszczące się przy końcowej części Diagonal, która w miejskich planach urbanizacyjnych została zarezerwowana dla parków, ogrodów i terenów sportowych, podczas gdy te nowo zakupione miały przeznaczenie budowlane. 11 marca 1951 roku nowym burmistrzem Barcelony został Antonio María Simarro. Z nim oraz z Francisco Miró-Sansem, nowym prezesem Barcy, uzgodniono, że klub mógłby zbudować nowy stadion w zaplanowanym przednim miejscu. W tym celu potrzebna była modyfikacja planów zagospodarowania przestrzennego tych terenów poprzez usunięcie ulic, które hipotetycznie przecinałyby nabyte tereny. 28 marca 1954 roku, w obecności tłumnie zebranych kibiców, wmurowano kamień węgielny pod budowę nowego stadionu.

11 czerwca 1955 roku, podczas Zgromadzenia Ogólnego *socios*, Miró--Sans mógł wyrazić swoje zadowolenie: „Trzeba powiedzieć, że wszystkie nabyte tereny są całkowicie do naszej dyspozycji, jako że opuszczają je osiedli tam dzierżawcy. Dlatego też nasze największe wyrazy wdzięczności kierujemy do szanownego pana gubernatora cywilnego Felipe Acedo Colungi, który

zawsze mając na uwadze to, co przyczynia się do wielkości Barcelony jako miasta, od pierwszej chwili dostrzegł spektakularność naszych projektów i okazał im entuzjastyczne wsparcie”.

I tak rozpoczęto budowę Camp Nou. Publiczność Barcelony pożegnała stary Les Corts 28 sierpnia 1957 roku meczem z Racingiem Paryż, zakończonym remisem 2:2. Dla wielu starszych kibiców był to wzruszający dzień. W święto Mercè (24 września) odbyła się inauguracja Camp Nou: to uroczysty dzień, z tańcami sardany, których wykonawcy utworzyli cztery wielkie koncentryczne koła. José Solís Ruiz, sekretarz generalny Movimiento, i Elola-Olaso, minister sportu, wygłaszają stosowne przemowy obok lokalnych dygnitarzy. Barça gra z reprezentacją Warszawy (w rzeczywistości była to drużyna złożona z piłkarzy Legii, Górnika, Łódzkiego Klubu Sportowego, Gwardii i Szombierek Bytom) w obecności 93 053 widzów. Na nowym obiekcie nie mieściło się 150 tysięcy osób, jak ktoś zaplanował, gdy rozpoczęto prace, ale i tak było dwa razy więcej miejsc niż na starym, ukochanym Les Corts.

W podstawowym składzie Barcy zagraли wtedy: Ramallets, Olivella, Brugué, Segarra, Vergés, Gensana, Basora, Villaverde, Eulogio Martínez, Kubala i Tejada. Potem na boisku pojawili się: Gracia, Flotats, Bosch, Ribelles, Hermes González, Evaristo i Sampedro. Siedmiu pierwszych z podstawowego składu to Katalończycy, podobnie jak czterej pierwsi rezerwowi. Barça wygrała 4:2. Eulogio Martínez utworzył wynik w 11. minucie. Następne gole strzelili Tejada, Sampedro i Evaristo, już w drugiej połowie meczu. Publiczność opuszczała stadion, nie mogąc nachwalić się wspaniałej widoczności i rozmawiając o nowych możliwościach dla klubu w związku z nowym stadionem.

Les Corts opustoszał. Trudno było czerpać z niego jakieś korzyści czy zyski. Espanyol chciał go kupić, nie miał jednak odpowiednio dużo pieniędzy ani możliwości, by je zdobyć, a i Barça nie była chętna, żeby sprzedać swój matecznik lokalnemu rywalowi. I w środku miasta pozostał „szkielet tłumu”, jak nazywał później opuszczony stadion Benedetti.

Ale Barça potrzebowała pieniędzy, żeby spłacić długi zaciągnięte na budowę nowej, fantastycznej areny: ponad 75 milionów w krótkim terminie, 164 miliony w dłuższym w obligacjach hipotecznych i 55 milionów zadłużenia u *socios*. Kiedy w czerwcu 1961 roku Enrique Llaudet objął funkcję prezesa, zastępując Miró-Sansa, dług klubu wynosił 230 milionów peset (Luis Suárez, zdobywca Złotej Piłki w 1960 roku, został sprzedany do Interu za 25 milionów. Podają tę informację, żeby pokazać rozmiary zadłużenia: była to dziewięciokrotność wartości jednego z najlepszych piłkarzy tamtych czasów).

Jednym ze sposobów na spłatę zadłużenia była więc sprzedaż Les Corts. Po odrzuceniu propozycji Espanyolu, zarówno kupna, jak i wynajmu obiektu, Enrique Llaudet spotkał się z José Marią de Porciolesem, burmistrzem miasta, prosząc o rekwizycję Les Corts – pozwolenie na zmianę przeznaczenia tych terenów na budowlane i ich rewaloryzację, by móc je sprzedać. W następnych miesiącach dokonywano wszelkiego rodzaju nacisków, aż 4 sierpnia 1962 roku na posiedzeniu Rady Miasta zatwierdzono zmianę kwalifikacji tych terenów.

Operacja była usprawiedliwiana przekazaniem przez klub Urzędowi Miasta 1000 metrów kwadratowych przy Travessera de Les Corts, żeby dokonano jej poszerzenia, a także kolejnych 4443 metrów kwadratowych, żeby zbudować zakryte miejskie obiekty sportowe. W ten sposób działka klubu zmniejszyła się do ośmiu tysięcy metrów kwadratowych przystosowanych pod zabudowę z 24 tysięcy metrów wyznaczonych przez ulice Vallespir, Travessera, Numancia i Marqués de Sentmenat.

W związku z tym faktem Barcelona wynagrodziła José Marię de Porciolesa nadaniem mu tytułu honorowego *socio* podczas Zgromadzenia Ogólnego klubu 27 września 1963 roku. W końcu prywatna zielona strefa zamieniła się w teren budowlany, aby uratować finanse Barcelony.

7 maja 1963 roku na zgromadzeniu nadzwyczajnym, zwołanym w celu przedyskutowania wyłącznie kwestii rekwalfikacji, *socios* zatwierdzili zburzenie stadionu, zorganizowanie licytacji terenów od ceny 100 milionów peset, a w przypadku braku ofert parcelację Les Corts. 17 maja Llaudet zwrócił się z prośbą do Rządu Cywilnego o pozwolenie na wyburzenie starego stadionu, które zostało przyznane niedługo potem. Ta druga rekwalfikacja, a pierwsza na terenie starego Les Corts, rozwiązywała poważne problemy finansowe, z jakimi borykał się barceloński klub.

Mimo pozytywnej odpowiedzi ze strony Rządu Cywilnego pojawiło się jeszcze kilka sprzeciwów różnych miejskich instytucji, co spowodowało, że sprawa trafiła do wyższych władz, mimo że 25 lutego 1965 roku Generalna Dyrekcja Urbanistyki wydała zgodę na zmianę kwalifikacji tych terenów.

Ówczesny dyrektor Barcy Juan Gich, później dyrektor generalny klubu, a jeszcze później minister sportu, zwrócił się do swojego przyjaciela Torcuato Fernández-Mirandy, by ostatecznie 13 sierpnia 1965 roku uzyskać potwierdzenie realizacji tego przedsięwzięcia ze strony Rady Ministrów, która pod przewodnictwem Franco zebrała się w Pazo de Meirás.

W Oficjalnym Biuletynie Rządu (numer 228, z datą 23 września 1965 roku) pojawia się Dekret 2735/1965 z 14 sierpnia, na mocy którego „zatwierdza się zmianę użytkowania terenów zielonych miejskiego Planu Zagospodarowania Przestrzennego północnej części alei Generalísimo Franco, między placami Calvo Sotelo i Papa Pío XII w Barcelonie”.

Jeśli ktoś jest zainteresowany, cały tekst dekretu brzmi następująco:

Urząd Miasta Barcelona podczas sesji z dnia 4 sierpnia 1962 roku przyjął jednogłośnie postanowienie o wydaniu wstępnej zgody, pod pewnymi warunkami wymienionymi w tymże postanowieniu, na projekt „zmiany użytkowania i zarządzania obszarem wyznaczonym przez ulice Vallespir, Travessera de Les Corts, Numancia i Marqués de Sentmenat”, przedstawiony przez Club de Fútbol Barcelona. Strefa ta została zakwalifikowana przez Plan Okręgu jako teren zielony o charakterze prywatnym i w Planie Zagospodarowania Przestrzennego strefy północnej alei Generalísimo Franco, między placami Calvo Sotelo i Papa Pío XII, zatwierdzony przez postanowienie ministra gospodarki mieszkaniowej z 1 dnia czerwca 1963 roku jako teren zielony o charakterze prywatnym, zdalny do użytkowania sportowego.

Niedługo potem, bez takiego rozgłosu, jaki zyskał José María Porcioles, Torcuato Fernández-Miranda y Hevia znalazł się w gronie honorowych *socios* Barcelony. 33 dni później z panem José Sabatą Anfrunsem uzgodniono sprzedaż Les Corts za łączną kwotę 25 milionów peset. Reszta wydarzeń to już inna historia.

Ale kiedy Santiago Bernabéu w ostatnich latach życia chciał dokonać rekwalfikacji Bernabéu, żeby zbudować nowy stadion, musiał się zmierzyć z okropnym atakiem frustracji. Klub zaskoczył wszystkich, wydając 8 września 1973 roku komunikat, w którym po długim wstępie na temat swojej historii, roli w życiu społecznym, swoich potrzeb i perspektywy ogłasza, że ma projekt nowego stadionu w dzielnicy Fuencarral, tuż przy wjeździe na drogę krajową I (Madryt – Burgos – Irun); budowa miała zostać sfinansowana dzięki sprzedaży działki, na której stoi Bernabéu. Projekt został przygotowany przez znaną między narodową pracownię z siedzibą w Szwajcarii, kierowaną przez Williama Zeckendorfa, jak zostaje wyjaśnione, pochodzącego z

Sewilli. Firma była odpowiedzialna między innymi za projekt budynku Place Ville Marie w Montrealu.

Zaprojektowany stadion może pomieścić 120 tysięcy widzów; połowa to miejsca siedzące, całość ma być zadaszona. Projekt przewiduje wykorzystanie działki, na której stoi Bernabéu, na zbudowanie ogromnego wieżowca biurowego o wysokości przekraczającej jakikolwiek inny w Madrycie w tym samym czasie (248 metrów, 70 pięter biur i hotel z 600 pokojami). Planowano także budowę niższego bloku mieszkalnego, którego fasada wychodziłaby na ulicę Padre Damián. Sama zabudowa zajmowałaby 12 procent powierzchni działki. Pozostałe 88 procent zostałoby przeznaczane na park miejski. Real Madryt liczy, że sprawa zostanie zakończona pomyślnie: w radzie szwajcarskiej firmy zasiada Alfonso Borbón, mąż starszej wnuczki Franco.

W pałacu El Pardo odbywa się uroczystość, na której pojawił się Santiago Bernabéu, żeby zaprezentować państwu Franco makietę projektu. Ona rozplynęła się w zachwytach. On się uśmiechał, zadał kilka pytań i pogratulował Realowi Madryt, chociaż nie powiedział nic więcej. Taki miał styl. Zachęcony reakcją głowy państwa, zarząd klubu rozpoczął działania na rzecz zdobycia przychylności mediów i opinii publicznej, stawiając czoła dość dużej krytyce. Nie podważano piękna projektu ani jego funkcjonalności, sprzeciw wynikał z konieczności naruszenia ładu przestrzeni miejskiej. Uciekano się nawet do kłamstwa (opublikował je dziennik „Arriba”), że tereny pod stadion zostały wywłaszczone po wojnie, żeby faworyzować Real Madryt, który teraz mógł na tym skorzystać, kupując je za niską kwotę, by zrobić wielki interes. Klub zdementował te informacje, ale spisek przeciwników zdobył wsparcie burmistrza Ariasa Navarro, a ten pogrzebał całą operację.

Zaskakujące jest to, że jednym z największych wrogów budowy nowego stadionu był otwarcie sprzyjający Realowi Madryt dziennik „ABC”, na łamach którego pojawił się najgłośniejszy artykuł w czasie całej tej kampanii. Warto go tutaj zamieścić:

Real Madryt to wielki klub. Real Madryt jest hiszpańską chlubą. Real Madryt przynosi chwałę naszej ojczyźnie. Real Madryt ma najlepszą organizację, najzdolniejszych dyrektorów, najskuteczniejszych pracowników, najbardziej zapełnione trofeami gabloty. Wszyscy Hiszpanie o tym wiedzą. A powtarzają nam to na każdym kroku. Co więcej, Real Madryt to klub słynący z wyobraźni, wynalazczości, klub perspektyw i przewidywania przyszłości.

Musi być to prawdą. Ponieważ nie można zanegować, że Real Madryt zaskoczył właśnie całą Hiszpanię innowacją na obszarze prawa. Real Madryt wynalazł właśnie sposób na ominięcie prawa, uprzednio to ogłaszając. A precyzyjniej mówiąc, ogłaszając to na konferencji prasowej.

Oprócz tego wynalazku trzeba też przyznać Realowi Madryt inną zasługę, tę mianowicie, która odnosi się do popularnego przysłowia: „nie strzelać do posłańca”. Real Madryt ma zamiar ominąć przepisy, oszukać prawo, nie zważać na dobro publiczne, czerpać korzyści dla siebie, szkodząc innym, potęgować problemy obywateli, żeby poprawić własny dobrobyt. I nie robi tego po cichu, o nie. Gromadzi media i „to ogłasza”. Jak dobrze. Trzeba mu jeszcze podziękować za ten miły gest.

Znają już Państwo podstawowe informacje na temat tej afery. Warto jednak je przypomnieć. Co się więc dzieje? Real Madryt chce zbudować nowy stadion piłkarski. Wielki, doskonały, wspaniały stadion. Cytując słowa wiceprezesa Realu Madryt, miały to być „nowy, lepszy stadion, tak bajeczny, jak to tylko możliwe, wielki i najlepszy na kontynencie”. Proszę przeczytać tę artystyczną prozę w oficjalnej notatce Realu Madryt, żeby odkryć, jaki jest zamiar klubu: „Na ambitny projekt, który rozważa zarząd klubu, składa się przede wszystkim zbudowanie nowego stadionu przy wykorzystaniu najbardziej zaawansowanych technik współczesnej architektury, z całym wachlarzem udogodnień, otoczonego szerokim parkingiem i ważnymi obiektami sportowymi, z możliwością dodania w późniejszym czasie szeregu innych obiektów, które pozwolą na zorganizowanie w Hiszpanii rozgrywek na najwyższym światowym poziomie”. Wszystko to Real Madryt planuje, co również pojawia się w notatce, w celu „wyposażenia widzów, trenerów, piłkarzy i dziennikarzy w serię udogodnień nieporównywalnie lepszych niż te, które mają do dyspozycji obecnie”. Wspaniale, prawda?

Ile ma kosztować ten bajeczny stadion? Mało. Miliard peset czy coś koło tego. Czyli tyle, ile wynosi całkowity dwumiesięczny przychód prowincji Soria. Skład *socios* Realu Madryt wezmą miliard peset, żeby pokryć koszty nowego stadionu? Ach! Znikąd. *Socios* Realu Madryt mają niesamowite szczęście do niebywale bystrych dyrektorów. I ci niebywale bystry dyrektorzy znaleźli sposób, aby ich *socios* podarowano (dobrze Państwo przeczytali: podarowano) miliard peset, które kosztować będzie stadion.

Gdzie tu haczyk? Bo owszem, jest i haczyk. Chodzi o to, że to prosty, bardzo prosty zabieg. Przekonają się Państwo. Real Madryt miał stary stadion, stadion Chamartín, znajdujący się tam, gdzie teraz przebiega aleja Generalísimo. Do tego stadionu dołączono 27 tysięcy metrów kwadratowych, które Real Madryt przejął od państwa Ruiz del Villar (20 tysięcy metrów kwadratowych) i od państwa Maqueda y Chávarri (siedem tysięcy metrów kwadratowych). Pierwszym zapłacono dwa miliony peset, a drugim milion. Kiedy trzeba było udostępnić ten teren w celu zurbanizowania go (wybudowania tam ulic, placów i tym podobnych), Real Madryt otrzymał za to milion peset. W ten sposób, za dwa miliony peset, miał na własność 43 tysiące metrów kwadratowych. Na tym terenie postawiono stadion Santiago Bernabéu, otwarty 14 grudnia 1947 roku, którego budowa kosztowała 37 milionów peset. Łącznie stadion Santiago Bernabéu kosztował Real Madryt zaledwie czterdzieści milionów peset plus jego stary stadion.

Co się teraz dzieje? Dzieje się to, że tych, którzy są dobrzy i czynią dobro, Bóg wynagradza stokrotnie. A skoro Real Madryt był dobry, działał na chwałę ojczyzny i zapewniał dni chwały swojemu krajowi, majątek zwiększa mu się stokrotnie. Wiedzą

Państwo, za ile sprzedano niedawno metr kwadratowy terenu, na którym znajduje się Santiago Bernabéu? Za prawie 100 tysięcy peset. 43 tysiące metrów kwadratowych terenu, na którym stoi stadion Bernabéu, mogą przynieść cztery miliardy peset zysku. 100 razy tyle, ile klub zapłacił za ten teren i stadion. 2000 razy więcej niż dwa miliony, jakie kosztowały go wywłaszczenia.

Cóż za interes, prawda? Cóż, jednak nie. Proszę czytać i podziwiać. Real Madryt, mówi jego wiceprezes, pan Saporta, nie chce zarobić ani grosza. Real Madryt chce mieć tylko nowy, „bajeczny” stadion. I ani pesety dla siebie. Czy nie cisną się Państwu do oczu łzy na myśl o tej nadzwyczajnej szczodrości, o tym wyrzeczeniu Realu?

W czym tkwi problem? Problem jest malutki, prawie nieznaczący, mówią dyrektorzy Realu Madryt. Na drodze tej wspaniałej operacji stoją jedynie przeszkody w postaci prawa, przepisów, władzy oraz zdrowego rozsądku. Okazuje się, że te 43 tysiące metrów kwadratowych warte są 100 tysięcy peset za metr, jeśli można na nich zbudować mieszkania albo lokale użytkowe. I okazuje się, że prawo, przepisy, władza oraz zdrowy rozsądek mówią, że NIE można zbudować mieszkań ani lokali użytkowych na terenach stadionu Santiago Bernabéu. Te tereny są uznane za obszar do użytku wyłącznie sportowego. I burmistrz Madrytu Carlos Arias Navarro był stanowczy: „Kategorycznie nie można zezwolić na budowanie na obszarze sportowym. I nie z powodu jakiegoś kryterium, tylko dlatego, że jest to zakazane przez prawo, tak samo jak zakazane jest zabójstwo. Tereny, z których zamierza się zdobyć środki na budowę nowego stadionu, są terenami sportowymi, żeby nie było żadnych wątpliwości. Aby zmienić tę kwalifikację, byłaby potrzebna publiczna informacja, zgoda Rady Urzędu Miasta, zgoda Komisji Obszaru Metropolitalnego, pozytywny raport Rady Państwa oraz raport Rady Ministrów”.

Wydawałoby się, że sprawa jest jasna. To, co zamierza zrobić Real Madryt, nie może być wykonane, ponieważ zabrania tego prawo, podobnie jak zabrania popełnienia zabójstwa. Myślą Państwo, że klub zrezygnował z projektu wobec tak energicznej i stanowczej postawy burmistrza, dziś ministra spraw wewnętrznych? Jeśli tak Państwo myślą, to nie znają Państwo niebywale bystrych dyrektorów Realu Madryt, którzy nie wiedzą, co to zniechęcenie. Real Madryt odpowiada burmistrzowi zagmatwaną notatką, która oznacza „jeszcze zobaczymy” i przypomina, że istnieją „precedensy, o których wszyscy pamiętają”. Magazyn „Cambio-16” w 81. numerze komentuje, że „królobójstwa też mają precedensy, podobnie jak ojcobójstwa, ludobójstwa i inne nikczemne czyny, jakich pełno w historii ludzkości. Zabicie króla nie usprawiedliwia zabicia wszystkich kolejnych, tak samo jak postępkę Sinobrodego nie usprawiedliwiają wszystkich

kryminalistów, a czyny Heroda zabójców. Z precedensem czy bez precedensu, łamanie prawa w sprawie Santiago Bernabéu nie ma żadnego usprawiedliwienia”.

Tak się sprawy mają. To będzie próba. Zobaczymy, czy Real Madryt posiada aż taką władzę, że może łamać przepisy, deptać prawo, niszczyć dobro publiczne, szkodzić ogólnemu interesowi i robić „bajeczny” biznes, bo taki ma kaprys. Oczywiście, nietrudno jest robić biznesy takie jak ten, jeśli komuś, używając terminologii burmistrza Madrytu, daje się „licencję na zabijanie”. Wyobrażają sobie Państwo biznes, jaki Państwo albo ja moglibyśmy zrobić, gdyby pozwolono nam kupić, za dziesięć czy 12 milionów, Plaça de Cataluña, a potem pozwolono by nam postawić tam trzy czy cztery wieżowce?

Ale w tym wszystkim jest aspekt, który szczególnie mnie martwi. Zawiera się on w starym łacińskim pytaniu: *Cui prodest?* Kto odniesie korzyści? Kto dostanie te miliardy peset, jeśli Realowi Madryt uda się ominąć prawo? Ponieważ, proszę pamiętać, cena „zabójstwa” (podążajmy za metaforą burmistrza Madrytu) wynosi cztery miliardy peset. Real Madryt „zadowoli się” tylko miliardem, gdyż tyle ma go kosztować nowy stadion. Pozostałe trzy miliardy wzbogacą tych, którzy będą budować na terenie obecnego Bernabéu. Kim oni są? Jak się nazywają? Gdzie mieszkają? Czym się zajmują? Co może sprawić, że pozwoli im się na to, co mają zamiar zrobić? Trzy miliardy peset to dużo milionów peset. A wiemy, że dyrektorzy Realu Madryt są niebywale bystrzy i zdolni. Tutaj, w tym załączniku Katalonii, niektórzy, a przynajmniej ja, chcieliby poznać nazwiska i zobaczyć twarze tych innych niebywale bystrych i zdolnych panów, którzy wydobędą trzy miliardy peset jako słuszną rekompensatę za umiejętność ominięcia prawa przez Real Madryt. Nie bez powodu.

Tylko żeby m zdążył uciec, kiedy zobaczę, że patrzą na mój portfel.

Pod tekstem podpisał się Luis Pascual de Estevill. Real Madryt był zdumiony tym artykułem, tym bardziej że ukazał się on w tak ważnej i znaczącej gazecie jak „ABC”, najbardziej wpływowym tytule tamtych czasów, który zawsze z sympatią patrzył na sprawy związane z madryckim klubem. Wielu dyrektorów domagało się złożenia skargi. Ale Bernabéu nie chciał problemów.

O Pascualu de Estevillu było w ostatnim czasie głośno. Od tamtego momentu stale piął się po szczeblach prawniczej kariery, aż został członkiem Generalnej Rady Sądownictwa. Niedawno został skazany za różne wykroczenia, przestępstwa podatkowe, nielegalne wzbogacenie się, łapownictwo i przekupstwo...

Dodam tylko, że Santiago Bernabéu zbudowano na terenach wynajętych w 1924 roku i kupionych przez zarząd Luisa de Urquijo w 1928 roku oraz na sąsiednich działkach nabytych w 1944 i 1945 roku. Kiedy zostały kupione przez klub, nie były objęte żadnym planem zagospodarowania przestrzennego, ani jako obszary zielone, ani sportowe. Wszystkie te tereny nabyły bezpośrednio od ich właścicieli, bez wywłaszczenia ani interwencji jakiegokolwiek organu publicznego, tylko dzięki poświęceniu *socios* i sympatyków klubu.

Pierwszy Plan Zagospodarowania Przestrzennego Madrytu ogłoszono już po budowie stadionu w 1947 roku i w nim właśnie uznano, że tereny te mają służyć publicznemu użytkowaniu sportowemu. Po wielu latach utworzono Obszar Metropolitalny i uruchomiono nowy Generalny Plan Zagospodarowania Przestrzennego Madrytu, obowiązujący właśnie w roku 1973. Ale obszar stadionu należał do Realu, zanim jeszcze weszły w życie wszystkie te przepisy. Real Madryt to udowodnił, zapewnił też, że parter wieżowca zajmą tylko 12 procent działki i że pozostałe 88 procent zostałyby przeznaczone na park do użytku publicznego. Ale przeważyła opinia burmistrza Carlosa Ariasa Navarro, że taki wieżowiec zakorkowałby całe Paseo de la Castellana.

I Bernabéu musiał wyrzucić projekt, który pozwoliłby Realowi Castelli posiadać lepszy, większy i bardziej komfortowy stadion, dystansując pod tym względem Barcelonę.

Przeważający argument dotyczący korków z dzisiejszej perspektywy wydaje się dziecinny. W tym samym rejonie znajduje się wiele wieżowców, ten najbardziej znaczący to Torre Picasso, jest także starszy od niego Torre Europa, a ruch uliczny wygląda tak, jak wygląda, podobnie jak w innych częściach miasta. Dlaczego odrzucono projekt Santiago Bernabéu? Jak wiele lat później powiedział mi Agustín Domínguez, wówczas sekretarz administracji klubu, a potem sekretarz generalny: dlatego że Carlos Arias Navarro prowadził biznes we wspomnianym Torre Europa, którego projekt właśnie wtedy powstawał, a Torre del Madrid, jak nazywano projektowany budynek, byłby dla niego wielką konkurencją.

Sprawa wygląda tak, że Real Madryt, pomimo ciągnącej się za nim złej sławy, jakoby był chroniony przez frankizm, nie mógł dokonać rekwizycji terenów stadionu, żeby wykonać krok naprzód, co z kolei dziesięć lat wcześniej mogła zrobić Barcelona. Z pewnymi trudnościami, ale jej się to udało. Jest to jeszcze jeden argument przeciwko tak szeroko rozpowszechnionej opinii, że wielki Real Madryt był stale faworyzowany przez reżim, podczas gdy Barçę prześladowano. W tamtym autorytarnym systemie oba kluby radziły sobie, jak mogły i taki komentarz wystarczy. Realowi by najmniej nie wszystko wychodziło tak dobrze, a Barcelonie także.

Odmowa tak bardzo rozżłościła Santiago Bernabéu, że w rozmowach z Martínem Semprunem, zamieszczonych w książce zatytułowanej *La causa* (Powód) i wydanej już po śmierci prezesa Realu, zastanawia się nawet, czy nie pomylił się co do strony, po której stał podczas wojny domowej: „Walczyłem po stronie narodowej, ale gdyby tamta sytuacja powtórzyła się dzisiaj, nie wahałbym się postąpić inaczej i wróciłby cały mój gniew przeciwko nim”.

Bez wątplenia to spora przesada. Bernabéu walczył po swojej stronie. Był człowiekiem prawicy, wojskowym i działaczem CEDA (Hiszpańskiej Konfederacji Prawicy Autonomicznej) w czasach Republiki. Jego brat pełnił funkcję deputowanego w 1936 roku, z ramienia katolickiej partii Acción Popular. W pierwszych dniach wojny ukrywał się w szpitalu ze strachu przed tym, by „milicjanci z czerwonego Madrytu nie zabrali go na spacer”. Kiedy ktoś go rozpoznał, wyszedł, by schronić się w ambasadzie francuskiej, w której przebywał przez pewien czas, aż ewakuowano go do Francji. Gdy tylko mógł, przedostał się stamtąd do strefy narodowej i zgłosił na ochotnika. Był kapralem (już z wojska wyszedł ze stopniem kaprała) w dywizji dowodzonej przez Muñoza Grandesa, co przyda mu się w późniejszym czasie. Uczestniczył w wielu akcjach na froncie, zwłaszcza w oddziale Bielsy, co przyniosło jego jednostce zbiorowe wyróżnienie; stąd wzięła się nieścisła informacja, że Franco odznaczył go indywidualnie za zasługi wojenne.

Jednak identyfikację tej postaci z frankizmem zniszczyła rzeczywistość, i to po raz kolejny. Z Franco łączyło go to, że żyli w tej samej epoce, byli niemal w tym samym wieku i mieli bardzo rozległą władzę. Mieli również zbliżoną wizję zjednoczonej Hiszpanii i razem odrzucali komunizm. Znaczące jest to, co prezes Realu opowiada Candau w książce *Historia de un desamor*: „Ja nie jestem polityczny. W czasie wojny na ochotnika walczyłem przeciwko komunizmowi i teraz też

bym tak zrobił, pomimo wieku”. (A zatem tak jak bohater Szatornila: „Apolityczny! Prawicowiec, odkład sięgam pamięcią!”).

Ale Bernabéu miał poglądy monarchistyczne i nigdy się z tym nie krył, a przecież Juan Borbón był zmorą Franco, zwłaszcza w pierwszych latach, gdy z zewnątrz i od wewnątrz pojawiały się naciski, żeby w Hiszpanii przywrócić demokrację za pośrednictwem osoby Borbóna. Kiedy Real Madryt grał pierwszy wyjazdowy mecz w Pucharze Europy, ze szwajcarskim Ser-

vette, odwiedził w Lozannie przebywającą na wygnaniu rodzinę królewską. W następnym numerze „Biuletynu Realu Madryt” znajduje się zdjęcie zrobione na schodach wejściowych Ville Fontaine, rezydencji rodziny. W pierwszym rzędzie stoją, od lewej do prawej: Juanito Alonso, Santiago Bernabéu, don Juan, królowa Victoria Eugenia, wdowa po Alfonsie XIII, z bukietem kwiatów, Juan Carlos, Raimundo Saporta (sekretarz zarządu) i Antonio Calderón. Z tyłu znajdują się piłkarze Realu Madryt: Navarro, Molowny, Muñoz, Rial, Pérez-Payá, Di Stefano, Marquitos, Gento... Fotografia nie pojawiła się w prasie tamtej epoki, ponieważ bardzo uważano, wspominając o don Juanie. Poinformowano tylko, i to długo po spotkaniu, że Real złożył wizytę królowej Victorii Eugonii.

Bernabéu miał też zatargi z ludźmi reżimu. Historia Realu zatytułowana *75 años del Real Madrid* (75 lat Realu Madryt), wydana przez oficynę Prensa Española („ABC”) w 1977 roku, pod redakcją Enrique Gila de la Vegi (cenionego sprawozdawcy piłkarskiego, podpisującego artykuły jako Gilera), opowiada o dwóch sytuacjach.

Pierwszą, z Millánem-Astrayem, w książce opisuje się tak

Bernabéu nie podobało się to, że Millán-Astray przychodził do łoży, jakby należała do niego, a czasem nawet przyprowadzał kogoś ze sobą. Wiadomo było, że wybitny żołnierz lubił obcałowywać kobiety. Pewnego dnia w łoży przedstawiono mu piękną damę, żonę pewnego dyplomaty; pocałował ją i mało brakowało, a doszłoby do ostrej scysji z jej mężem. Dla Bernabéu był to argument, żeby nakazać zamknięcie łoży i nie pozwolić nikomu do niej wchodzić.

Na następny mecz Realu Millán-Astray przyszedł jak zawsze, ale spotkała go niespodzianka: nie mógł wejść do łoży. Zezłościł się i „wziął” ją ze swoimi dwoma legionistami, tak jak zdobywał pozycje w Afryce, kiedy był dowódcą legionu. A kiedy przyszedł Bernabéu, poprosił go o wyjaśnienie, dlaczego nie mógł wejść.

Bernabéu nie chciał mu go udzielić, a ten, obrażony, wyciągnął pistolet i wyzwał go na pojedynek, zbliżając się do niego na odległość trzech metrów, po czym otworzył ogień.

Bernabéu opowiedział o tym generałowi Moscardó, wtedy ministrowi sportu, który poprosił go, żeby usprawiedliwił się przed generałem Millánem-Astrayem.

Bernabéu się na to nie zgodził i zakomunikował o całym zajściu generałowi Muñozowi Grandesowi, który był ministrem wojsła, a także jego przyjacielem od czasów, gdy Bernabéu służył w Błękitnej Dywizji. I Muñoz Grandes powiedział mu:

– Nie przejmuj się. To nie jest już twoja sprawa. Jeśli chcesz posłać Millána na jedną z trybun, żeby oglądał mecze, to pošlij go tam, ale od tej chwili Millán nie wejdzie do łoży

na tym stadionie, ponieważ jest to łoża prywatna, a nie oficjalna.

Millán-Astray nie przyszedł już więcej na stadion. Wykazał się dyscypliną i wypełnił rozkaz ministra.

W tej anegdocie jest błąd. Santiago Bernabéu nie był w Błękitnej Dywizji, ale owszem, służył pod rozkazami Muñoz Grandesa w dywizji w Katalonii. W tej samej książce znajduje się opis zatargu z Rafaelem Cavestany, ministrem rolnictwa.

Innego dnia, podczas meczu z reprezentacją Urugwaju, w łoży prezydenckiej, w jej centralnym miejscu, siedział Bernabéu, a po jego prawej stronie ambasador Urugwaju w Madrycie. Pojawił się tam też Rafael Cavestany, wówczas minister rolnictwa. Zobaczył Bernabéu, zastukał w fotel, żeby zwrócić jego uwagę, Bernabéu wstał, przywitał się z nim i wskazał mu miejsce po prawej stronie ambasadora. Cavestany zapytał, wskazując na centralny fotel:

– A tutaj kto siedzi?

Bernabéu odpowiedział mu:

– Tutaj siedzi prezes Realu Madryt.

Cavestany obejrzał pierwszą połowę meczu i wyszedł w przerwie. Na najbliższej Radzie Ministrów opowiedział kolegom o nieuprzejmości Bernabéu wobec ministra rządu. Wtedy zainterweniował Muñoz Grandes i zwrócił uwagę ministrowi rolnictwa:

– Kiedy ktoś idzie do cudzego domu, tym, który w nim rządzi, jest gospodarz, a pozostali są jego gośćmi i siadają po prawej i po lewej stronie albo z przodu. Stadion należy do Realu Madryt, więc prezes zajmuje honorowe miejsce, chyba że obecny jest minister sportu, szef rządu albo głowa państwa.

Chodziło o mecz towarzyski w czerwcu 1954 roku, który Urugwaj grał na Santiago Bernabéu w drodze na mundial w Szwajcarii. Było to spotkanie, z którym wiązano wielkie oczekiwania, ponieważ drużyna *Celeste* miała bronić tytułu mistrza świata zdobytego w 1950 roku w słynnym finale, który przeszedł do historii jako *maracanazo*^[60]. Real Madryt wygrał 2:0.

27. „DOPÓKI PLAZA BĘDZIE PRZEWODNICZĄCYM...”

„Dopóki Plaza będzie przewodniczącym, Barça nie będzie mistrzem”. Było to jedno z najczęściej powtarzanych zdań w naszym futbolu pod koniec lat 70. i przez całe lata 80. Nawet dzisiaj można je usłyszeć przy okazji wspomnień z Klasyków. Plaza, José Plaza Pedraz, urodził się w 1919 roku i zmarł w Madrycie w wieku 82 lat. Był przewodniczącym Narodowego Komitetu Arbitrów w dwóch okresach: najpierw, gdy szefem federacji był José Luis Costa, od 1967 do 1970 roku, kiedy podał się do dymisji przez sprawę Gurucety. Na stanowisko wrócił za kadencji Pablo Porty, w 1975 roku, by utrzymać się na nim przez cały czas trwania mandatu tegoż oraz jego następcy José Luisa Roki. Plaza podał się do dymisji w 1990 roku, gdy na czele federacji stał już Ángel María Villar, tłumacząc się zmęczeniem, ale i nie ukrywając problemów z Villarem.

Zdanie „Dopóki Plaza będzie przewodniczącym, Barça nie będzie mistrzem” nie zostało wypowiedziane przez osobę związaną z Barceloną ani napisane w jakiegokolwiek katalońskiej gazecie. Jego autorem jest Antonio Camacho, madrycki arbiter, którego José Plaza, w porozumieniu z prezesem federacji Pablo Portą, odsunął od sędziowania, uważając go – razem z innymi, również odsuniętymi arbitrami – za członka siatki zajmującej się przekupywaniem sędziów. Całą aferę można dokładnie prześledzić na stronach tygodnika „Don Balón”, w numerach od 24. do 33. z wiosny 1976 roku. W wielu z nich jest sporo stron poświęconych tej sprawie; w tamtych dniach zajmowała ona większą część programu słynnego wtedy dziennikarza radiowego José Maríi Garcíi, równocześnie jednego z trzech redaktorów naczelnych magazynu.

W pierwszym ze wspomnianych numerów, na którego okładce widnieje Antonio Camacho stojący przy wspaniałym białym mercedesie (samochodzie, na który w tamtej epoce mogli pozwolić sobie nieliczni), w artykule pod tytułem *Upadek Camacho*, po wprowadzeniu do sprawy i pod śródtytułem *Medina Iglesias – Camacho*, można przeczytać:

Antonio Camacho Jiménez jest arbitrem międzynarodowym, który 12 czerwca tego roku skończy 42 lata. Należy do kastylijskiego związku arbitrów.

To człowiek serdeczny i bardzo sympatyczny, posiadający rzeszę przyjaciół i wspaniałego mercedesa, prezent od prezesa Elche, pana Manuela Martíneza Valero, któremu auto kupił pośredniczący w operacji – to on wręczył czek – pan Roberto Dale, znany agent zajmujący się sprzedawaniem i kupowaniem piłkarzy.

W swoim czasie, jak przyznał sam pan Camacho, zwrócił panu Dalemu wartość tego czeku, który otrzymał podczas kolacji w jednej z madryckich restauracji.

Mariano Medina Iglesias, Asturyjczyk, antypatyczny i zamknięty w sobie (przeciwieństwo pana Antonio), również jest arbitrem w Primera División. Pan Mariano, który niedawno się ożenił, był kierownikiem sklepu żelaznego w Oviedo, w ostatnim czasie zaczął jednak pracować w jednym z banków, dzięki, jak myślę, popularności, jaką zapewnił mu jego czarny uniform i gwizdek

Przedstawiamy tych dwóch dżentelmenów, ponieważ wraz z jeszcze jedną osobą – choć ich role są oczywiście różne – są bohaterami tej afery.

Pierwsze dowody

W niedzielę, 17 grudnia 1972 roku, w Burgos rozegrano spotkanie między drużyną miejscowych a Barceloną. Rozjemcą był pan Medina Iglesias.

11 lutego 1973 roku (również w rozgrywkach ligowych sezonu 1972/73) w Barcelonie odbył się mecz między *azulgranas* i *béticos*. Arbitrem także był pan Medina Iglesias.

Korzystając z obecności Asturyjczyka na Camp Nou, jeden z dyrektorów *azulgrana*, pan Amat, odwiedził sędziego w szatni, chcąc się dowiedzieć, czy otrzymał kosiarki.

Wobec zdziwienia Mediny Iglesiasa, który nie wiedział, o co chodzi, sprecyzował:

– Czy pan Camacho nie wręczył panu ostatnio kłopoty ze 100 tysiącami peset?

Negatywna i stanowcza odpowiedź arbitra kończy część pierwszą tego przedstawienia.

Druga rozpoczyna się kilka tygodni później, kiedy Medina Iglesias przyjeżdża do stolicy Hiszpanii, żeby poprowadzić mecz Realu Madryt. Camacho przychodzi do niego do szatni na Santiago Bernabéu i rozmawiają. Madrytczyk chce wszystko wyjaśnić.

– Nie dzwoniłem do Amata, żeby go o to prosić. To on mi ją dał.

Ale, jak się wydaje, o 100 tysiącach peset nie wiadomo nic więcej ponad to, co już Państwo wiedzą: zostały wręczone Camacho.

I mniej więcej, co właśnie przedstawiliśmy, znajduje się w liście Mediny Iglesiasa wysłanym do Narodowego Komitetu Arbitrów i hiszpańskiej federacji na prośbę pana Plazy, do którego dotarły te pogłoski i który chciał przekonać się o prawdziwości zdarzeń.

Wykluczenie

Nie znamy reakcji Camacho, wiemy natomiast o decyzji, jaką po otrzymaniu listu podjął Narodowy Komitet Arbitrów. Wykluczył wspomnianego sędziego z losowań. To znaczy, że jego piłeczka od dwóch tygodni nie jest wrzucana do bębna i nie będzie do niego wrzucana już do końca rozgrywek.

Zastanawiano się też, co stanie się z nim w następnym sezonie.

Jeśli nasze władze nie zmienią zdania, pan Camacho straci status arbitra międzynarodowego i nie będzie sędziował decyzją swojego regionalnego związku, jak dzieje się w innych krajach. Przeniesienie go do niższej ligi nie wydaje się wskazane, zważywszy, że pozostał mu tylko jeden sezon w zawodzie, by dotrzeć do granicy 47 lat.

Inny arbiter, który od kilku tygodni też nie jest brany pod uwagę w losowaniu, również decyzją Narodowego Komitetu i zgodnie z upoważnieniami, jakie nadaje mu

obowiązujący Regulamin, to sędzia López Samper.

Segunda División

Oprócz wspomnianego już listu Mediny Iglesiasa Narodowy Komitet i federacja posiadają także inne informacje w tej otwartej walce, mającej na celu zaprowadzenie porządku.

Jak już w swoim czasie informował „Don Balón”, dwaj sędziowie z Santander, jeden z Primera División, a drugi z Segunda (Olavarría i Sánchez Arminio), musieli stawić się przed Komitetem Ligi Królewskiej Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej. Wobec poważnego doniesienia wezwano ich, aby wyjaśnili wszystko na piśmie. Tak też zrobili.

Jednak nie zostało powiedziane, a my już możemy to ogłosić, że nie złożono doniesienia przeciwko żadnemu pośrednikowi, lecz przeciwko koledze, również arbitrowi, Olasagastiemu.

Sprawa przedstawia się następująco: Sánchez Arminio, młody i już wyróżniający się arbiter z Santander (33 lata), sprzedawca z zawodu i ojciec dwójki dzieci, ma poprowadzić spotkanie Alavés – Coruña.

Wizytę składa mu wspomniany kolega, proponując to, co sobie Państwo wyobrażają. Sánchez Arminio rozmawia z przełożonym, a ten nakazuje mu, by brnął w to dalej, zdobywając sympatię...

I tak robi. Jakaś rozmowa telefoniczna i mecz. Skrupulatnie wypełnia swoje zadania i Alavés, które rozgrywa fenomenalne spotkanie, pokonuje 2:0 Galisyjczyków bez konieczności pomocy ze strony arbitra.

I Sánchez Arminio otrzymuje czek na 40 tysięcy peset, którego fotokopia także znajduje się w federacji.

Olavarría, drugi z oskarżonych, odkrywa, że wpadł w pułapkę. Zadzwonił do niego jeden z dyrektorów z Andaluzji (dość znany przemysłowiec), dziwiąc się, że ten nie przekazał mu tego, co ustalił pośrednik, który, jak się wydaje, przedwcześnie ogłosił swój triumf. I właśnie w tym momencie wyczuwa, że zrobiono coś za jego plecami. Automatycznie składa doniesienie.

A na kogo donoszą dwaj sędziowie z Santander? Na arbitra z prowincji Guipúzcoa Olasagastiego Echániza, którego w minioną sobotę wezwano do siedziby Hiszpańskiej Federacji Piłkarskiej w celu złożenia wyjaśnień przed Komitetem Ligi.

Olasagasti również od kilku tygodni nie jest brany pod uwagę przy losowaniu i niemal na pewno już więcej nie będzie sędziował. Zaproponowano mu możliwość złożenia dymisji, ponieważ w przeciwnym razie zostanie wyrzucony.

Jak Państwo widzą, wszystko to jest żałosne i mało budujące. Śledztwo trwa, a redakcja „Don Balón” nadal będzie czujna na wszystkich frontach, żeby przedstawić Państwu informacje z pierwszej ręki.

Podsumowując i żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości: na razie z losowania wyłączeni są López Samper i Camacho z Primera (Rigo raz jest brany pod uwagę, a raz nie), a także Pérez Quintas, Pascual Tejerina i Olasagasti z Segunda División.

Na razie to wszystko, ale niedługo może być tego znacznie więcej, jeśli federacja nadal będzie wspierać José Plazę, jak robiła to do tej pory... A znając Pablo Portę, nic się pod tym względem nie zmieni.

Reportaż „Don Balón”

I w tym miejscu kończy się zbiorowy artykuł redakcji, ale styl pisania wskazuje na autorstwo José Marii Garcíi. Tekst przedstawiał podejrzenia, o których dziennikarz mówił wcześniej w swoim słynnym programie *Hora 25* (25. godzina) na antenie stacji Cadena SER.

W skrócie: niektórzy sędziowie mieliby brać pieniądze w charakterze pośredników, żeby w określonych meczach dawać kolegom łapówki. Czasem (albo bardzo często; nie zostało to udowodnione) „kupiony” nawet nie wiedział, że został kupiony. Jeśli mecz nie układał się po myśli płacącego, mówiło się mu, że „kupiony” stchórzył w ostatniej chwili i zwracano pieniądze. Jeśli mecz układał się tak jak chciał płacący, wtedy arbiter, który pośredniczył w operacji, zostawiał pieniądze dla siebie, a ten, który prowadził mecz, nieświadomie zostawał „skorumpowanym”.

W następnym numerze „Don Balón” (25) z 23 marca 1976 roku poświęcono tej sprawie bardzo dużo miejsca. Na okładce był Olavarria, pokazujący, że nie przyjął łapówki w wysokości miliona peset, żeby ustawić dwa mecze, o których mowa w środku gazety. W tym samym numerze w tekście na ten temat znajdowała się zbieżność z pewnym szczegółem z magazynu „Barrabás” (magazynu-komiksu piłkarskiego ze świetnymi tekstami i znakomitym poczuciem humoru, dość popularnego w tamtej epoce), który w tym samym dniu, gdy ukazał się „Don Balón” z sensacyjnymi doniesieniami, przedstawiał dyrektorów klubów mających częste kontakty z arbitrami, a w przypadku Barcelony wymieniał właśnie Amata, tego samego, na którego Medina Iglesias wskazywał w piśmie do komitetu jako człowieka zainteresowanego tym, czy pieniądze dotarły do odbiorcy za pośrednictwem Camacho.

Oprócz tego pisano o reakcji osób uwikłanych w sprawę, które od razu wszystkiemu zaprzeczyły i zagroziły sądem. Ujawniono też kolejny skandal: doniesienie na Medinę Iglesiasa (mówimy o sezonie 1975/76, ale wzmiankowany mecz Burgos – Barcelona rozgrywany był w sezonie 1972/73) zostało złożone w Narodowym Komitecie Arbitrów w lutym 1973 roku, tuż po wizycie Amata w szatni na Camp Nou przed spotkaniem Barcelona – Betis. Od tamtej pory José Plaza był trzecim przewodniczącym komitetu. Kiedy złożono doniesienie, funkcję szefa arbitrów pełnił Pardo Hidalgo (który w chwili, gdy wybuchł ten skandal, był kierownikiem działu kadr w Atlético Madryt). Zastąpił go Rodríguez Barroso, a jego z kolei Plaza, który postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Francisco Yagüe, w tamtym czasie szanowany dziennikarz, w artykule na stronie dziesiątej przedstawia tę sprawę i dziwi się jej.

Temat kontynuowany jest w kolejnych numerach i zajmuje znaczną część programu *Hora 25* José Marii Garcíi. Podejrzeni sędziowie zostali odsunięci od losowania, a na okładce 31.

numeru pojawia się Rigo i tytuł: *Rigo, kolejny odsunięty*. W reportażu można przeczytać, że Rigo od trzech miesięcy nie jest brany pod uwagę przy losowaniu, nikt jednak nie wie, czy jest uwikłany w ten skandal, czy nie, gdyż powody jego odsunięcia mogą być inne. W rzeczywistości Rigo, za którym ciągnie się szeroko rozpowszechniona fama barcelonisty, został odrzucony przez dziewięć klubów: Real Sociedad, Hérculesa, Betis, Athletic, Valencię, Las Palmas, Saragossę, Real Madryt i Elche. Ale nawet dysponując taką informacją, trudno było wytłumaczyć, że do maja, czyli do 32. kolejki, prowadził zaledwie cztery mecze: Sporting – Racing Santander w trzeciej kolejce, Sevilla – Espanyol w piątej, Barcelona – Sporting w 17. i Sporting – Oviedo w 21. A potem już żadnego. Trzy miesiące bez sędziowania. Artykuł zawiera rozmowę, w której Rigo wyraża zdziwienie, nie wie, dlaczego tak się dzieje, i stwierdza: „Zawsze odpowiadali mi, przedstawiając te same argumenty: mówili, że moja piłeczka była w bębnie, ale nie wypadła”.

Jako że José María García wspominał o nim w swoim programie w związku z kupowaniem i sprzedawaniem meczów, mówił: „Tak, w całej tej sprawie z arbitrami moje nazwisko się nie pojawiało, bo nie ma ku temu powodu. Pod tym względem byłem i jestem spokojny. Moje nazwisko pad-

ło tylko z ust pewnego pana, prowadzącego program radiowy w późnych godzinach nocnych. Powtarzam: to był jedyny raz, chociaż nie przykładałem do tego wagi”.

Sezon kończy się tak, że podejrzani arbitrzy zostają odsunięci od sędziowania, mniej lub bardziej dyskretnie. Dzięki systemowi punktowania, odrzuceniom i ostatecznemu losowaniu można było użyć do tego wielu środków. Tymczasem Plaza ogłasza przygotowanie raportu na koniec sezonu.

W piątek, 28 kwietnia 1976 roku, w sądzie numer 10 w Madrycie dochodzi do ugody, ponieważ oskarżenie przeciwko Camacho nie zostało wniesione przez Plazę, lecz przez media informacyjne. Camacho nadal jednak nie sędziuje.

A wraz z rozpoczęciem następnego sezonu, 1976/77, Camacho przechodzi do ataku za sprawą pełnego agresji wywiadu udzielonego sportowemu dziennikowi „Dicen”, który został opatrzony wielkim tytułem: *Dopóki Plaza będzie przewodniczącym, Barça nie będzie mistrzem*.

Camacho wzywa w nim do telewizyjnej debaty, żeby móc wszystko wyjaśnić, i dziwi się, jakim cudem Plaza, będąc sprzedawcą, nagle stał się milionerem; traktuje jako insynuację informację, że rzekomo brało się pieniądze, by wyświadczyć komuś przysługę. „On nic na mnie nie ma. Wszystko to robi z zemsty, ponieważ nie chciałem wspierać bojkotu w sprawie Gurucety” – stwierdził Camacho, przywołując znajomego ducha świata barcelonizmu.

Odpowiedź Plazy pojawia się w następnym, 51. numerze „Don Balón”, trzymającego w tej sprawie rękę na pulsie. Plaza tłumaczy, że Camacho nie sędziuje „z artykułu 113 naszego regulaminu, którego zmiany zostały zatwierdzone podczas ostatniego zgromadzenia. Posiadamy pewne raporty wskazujące na to, że musimy działać pod tym względem energiczniej. Nie powiem jednak, w jaki sposób je zdobyliśmy”.

Ale sam autor wywiadu Juan José Paradinas w oddzielnym akapicie wprost wyjaśnia sedno sprawy. Akapit brzmi następująco: „Okazuje się, że Narodowy Komitet Arbitrów posiada wystarczające dowody, żeby odsunąć od sędziowania pana Camacho. Ale te dowody nie są ważne przed sądem, ponieważ ci, którzy osobiście dostarczyli je w sekrecie, nie mogą przed nim zeznać [...]”. Paradinas wyjaśnia, że są czynnymi arbitrami, choć w przyszłości nie będą wyznaczeni na żaden mecz.

Jednocześnie Plaza broni swojego prawa do wzbogacenia się, gdy pełnił funkcję sprzedawcy: „To nie jego sprawa ani nikogo innego. Nie jest to owoc rocznej pracy, lecz poświęcenia ponad 12 lat życia”. Plaza sprzedawał nadwyżki firm włókienniczych do Banco de España i Casa de la Moneda na produkcję banknotów i to zapewniło mu wysokie dochody; posiadał mieszkanie w

Madrycie, willę w Alicante i mercedesa, jak twierdził Camacho w „Dicen”, czemu Plaza nie zaprzecza.

Zdanie „Dopóki Plaza będzie przewodniczącym, Barça nie będzie mistrzem” stało się popularne wśród wszystkich rywali Realu, a zwłaszcza barcelonistów, i bardzo często wypowiadano je przeciwko klubowi z Madrytu, zapominając, że jako pierwszy zrobił to arbiter oczyszczony z poważnych podejrzeń o korupcję.

Dziś Camacho i Plaza już nie żyją. Camacho nie wrócił do sędziowania, tak samo jak López Samper, który odszedł bardziej dyskretnie, czy łączony z tą sprawą Rigo. Federacja wyciszyła swoje dochodzenie, ale ostateczne wrażenie jest takie, że środowisko arbitrów poczuło ulgę po odejściu tej trójki, zwłaszcza zaś Camacho. W tym samym numerze „Don Balón”, w którym pojawiły się wypowiedzi Plazy, głos zabiera też wielu sędziów, wszyscy opowiadają się za podjętą decyzją.

Oto zdania, które tygodnik wyciągnął z ich wypowiedzi. López Cuadrado: „Plaza prosi nas tylko o bezstronność”. Guruceta: „Nie mieszam się w takie nikczemności”. Franco Martínez: „Nie gwizdźmy pod niczyje dyktando”. Borrás del Barrio: „Camacho powinien podziękować Plazie i Porcie za zachowanie milczenia”. Sánchez Arminio: „Camacho nie wie, co mówi”. Ausocia Sanz: „Camacho kłamie”. Acebal Pezón: „Nie dla Camacho i tak dla Plazy”. Olavarría: „Wypowiedzi Camacho są absurdalne”. Santana Páez: „Dla mnie ten pan nie jest kolegą”. Soriano Aladrén: „Plaza jest wyzwolicielem naszych problemów”. Balsa Ron: „Dlaczego Camacho nie powiedział tego, kiedy jeszcze sędziował?”. Soto Montesinos: „Skoro nie sędziował, musiał być ku temu jakiś powód”. Są to, jak informuje tygodnik, wszyscy sędziowie, do których się zwrócono, z wyjątkiem Orellany, który nie chciał się wypowiedzieć („On będzie wiedział dlaczego” – można przeczytać w tekście).

Zdanie jednak pozostało: „Dopóki Plaza będzie przewodniczącym, Barça nie będzie mistrzem”. Plaza stał się dla Barcelony obsesją, kimś w rodzaju antychrysta. W końcu kataloński klub widział, że lata mijają, a on rzeczywiście nie zdobywa mistrzowskiego tytułu.

Núñez ukuł w odniesieniu do arbitrów wyrażenie „synowie Plazy”, Nicolau Casaus, wiceprezes klubu, człowiek w podeszłym wieku, przykład mądrości i roztropności, zawsze towarzyszący drużynie na wyjazdach (Núñez nigdy nie jeździł, a Gaspard tylko przy okazji bardzo ważnych meczów), oskarżył zaś Plazę o bycie „człowiekiem przejawiającym starą nienawiść do Katalonii”.

Znamienne jest, że to słynne zdanie było bliskie prawdy. Barça nigdy nie wygrała ligi (Puchar i owszem) za kadencji Plazy. W „La Vanguardii” z 15 listopada 1985 roku można przeczytać interesujący artykuł autorstwa Domingo Garcíi i X. Garcíi Luque, odnoszący się do tej kwestii, który usprawiedliwia nieufność (albo i coś więcej) barcelonistów wobec Plazy: w okresie jego pierwszej kadencji, od 1967 do 1970 roku, Real Madryt wygrał ligę w sezonach 1967/68 i 1968/69, a Atlético w 1969/70, kiedy Real zajął dopiero szóste miejsce, niespotykane w przypadku klubu z Chamartín, nawiasem mówiąc. W każdym razie Real wygrał ligę w dwóch z trzech sezonów. Potem, pod nieobecność Plazy do sezonu 1975/76, ligę wygrywają: Valencia (1970/71), Real Madryt (1971/72), Atlético Madryt (1972/73), Barcelona (1973/74) i Real Madryt (1974/75). Real zdobywa dwa mistrzostwa na pięć możliwych. Plaza wraca przed sezonem 1975/76, zyskuje wyłączną władzę desygnowania arbitrów (to będzie miało wielkie znaczenie dla barcelonizmu, opowiadającego się zawsze za tym, by tę władzę z kimś dzielił) i pięć tytułów z tego okresu rozkłada się tak Real Madryt (1975/76); Atlético Madryt (1976/77), wtedy Real zajął wyjątkowo niskie, 12. miejsce; Real Madryt (1977/78); Real Madryt (1978/79); Real Madryt (1979/80). Real wygrywa rozgrywkę ligową cztery razy na pięć. Od tego momentu przeciwnikom Realu udaje się wreszcie wywalczyć to, żeby Plaza dzielił władzę wyznaczania arbitrów z Varą

de Reyem i Martínezem Lafuente, po czym mistrzowskie tytuły rozkładają się następująco: Real Sociedad (1980/81), Real Sociedad (1981/82), Athletic Bilbao (1982/83), Athletic Bilbao (1983/84) i Barcelona (1984/85). Była to Barça prowadzona przez Terry'ego Venablesa. I są to pierwsze rozgrywki ligowe wygrane przez Barcelonę od jedenastu lat, czyli od wypowiedzenia przez Camacho pamiętnego zdania. Na tym kończy się artykuł przedstawiający niezbity dowód: z Plazą u władzy Real Madryt nie wygrał tylko dwa razy. Dominacja absolutna. Bez Plazy, albo kiedy wyznaczaniem arbitrow dzielił się on z dwiema innymi osobami, Real już rzadziej zdobywał mistrzowski tytuł.

Później, nadal z Plazą jako szefem arbitrow, przyjdzie pięć kolejnych ligowych triumfów Piątki Sępa: 1985/86, 1986/87, 1987/88, 1988/89 i 1989/90. Plaza odchodzi, gdy prezesem federacji jest już Villar i właśnie wtedy nadchodzi okres *Dream Teamu*, wygrywającego ligę cztery razy z rzędu, drugi i trzeci po kontrowersyjnie przebiegających ostatnich kolejkach, po których Real Madryt bardzo narzekał na sędziowanie w meczach na Teneryfie (tym tematem zajmuję się w oddzielnym rozdziale).

Plaza podał się do dymisji przez sprawę Gurucety, a po powrocie wyeliminował Camacho za stworzenie siatki korumpowania arbitrow, w czym aktywnie uczestniczył dyrektor Barcelony, pan Amat. Poza tym pod koniec pierwszego okresu panowania odebrał status arbitra międzynarodowego Rigo, ulubionemu sędziemu Barcelony, ale został mu on przywrócony przez następców Plazy – Pardo Hidalgo i Rodrígueza Barroso; jednak po powrocie na stanowisko w 1975 roku Plaza znowu odebrał Rigo ten status i ostatecznie dyskretnie się go pozbył, razem z Camacho i Lópezem Samperem. A później następuje kumulacja ligowych triumfów Realu Madryt w okresie jego największej dominacji. Núñezowi, dzięki jego znaczeniu w federacji, której został nawet wiceprezesa, udało się wywalczyć, żeby począwszy od sezonu 1980/81, Plaza podzielił się władzą; powstał triumwirat, który tworzył z Varą de Reyem i Martínezem Lafuente aż do maja 1985 roku, kiedy Realowi Madryt w ostatniej chwili podczas zgromadzenia udaje się przeforsować, żeby do czasu, gdy przestaną obowiązywać odrzucenia, to Plaza znów jako jedyny wyznaczał sędziów. I zmienny jest fakt, że Real, który nie wygrał żadnych z wcześniejszych pięciu rozgrywek ligowych, wygra pięć następnych batalii, czyli wszystkie do odejścia Plazy w 1990 roku.

Prawda jest jednak taka, że ten okres zbiega się z narodzinami Piątki Sępa, co może wyjaśniać dominację *los blancos*. W poprzednich latach Real miał słabsze drużyny. Ale tak czy inaczej, statystyki mówiły same za siebie; ci, którzy wskazywali na Plazę jako madridistę, raz za razem przypominali pamiętne zdanie Camacho.

Jeszcze jedno zdarzenie umocniło w przekonaniu osoby postrzegające Plazę jako instrument w rękach madridizmu: w sobotę, 9 listopada 1985 roku, Barça i Real grały na Camp Nou, sędziował Urío Velázquez. Wygrała Barça 2:0, ale z meczu zapamiętano akcję, która chociaż nie miała później decydującego wpływu na wynik, wywołała wzburzenie. Schuster zagrał z głębi pola piłkę do Marcosa, za obrońcę Realu; Marcos dobiegł do piłki, przyjął ją i wobec wyjścia Ochotoreny zagrał w bok, tak żeby Archibald strzelił do pustej bramki. Gol został zdobyty prawidłowo, ale arbiter nie uznał go przez absurdalny błąd, dość często popełniany w tamtym okresie, moim zdaniem przez niewłaściwą interpretację przepisów w *Reglamento de fútbol comentado* (Przepisy gry w piłkę nożną) Escartína, biblii tamtych czasów, jeśli chodzi o takie właśnie przypadki. Podanie było do przodu, ale Archibald biegł za Marcosem i za piłką, dlatego nie mogło być pozycji spalonej.

Na marginesie: najlepszym sposobem zdefiniowania i zrozumienia pozycji spalonej jest stwierdzenie: „Na pozycji spalonej znajduje się każdy piłkarz, który w momencie podania jest bliżej linii bramkowej rywali niż piłka i przedostatni zawodnik drużyny przeciwnej, z wyjątkiem

następujących przypadków...”. I tutaj wymieniane są wyjątki: znajduje się na własnej połowie boiska, piłka wprowadzana jest do gry od bramki albo z rzutu z autu, między nim a linią końcową jest dwóch lub więcej przeciwników (a przynajmniej jeden i drugi w tej samej linii, według ostatniej korekty) i tak dalej... Jednak kluczowym warunkiem, żeby być na pozycji spalonej, jest znalezienie się przed piłką, tak jak w rugby. Potem dopiero pojawiają się wyjątki.

Tymczasem Plaza, po przeanalizowaniu z kilkoma asystentami akcji w gabinecie, stanął w obronie Urío Velázquez i oświadczył, że bramka słusznie nie została uznana, ponieważ podanie było do przodu. I to samo pokazała moviola TVE (którą wówczas śledzono niemalże z nabożeństwem); za jej pomocą akcję analizował Rodríguez Barroso, poprzedni przewodniczący komitetu. To było straszne, ponieważ potwierdziło wszystkie argumenty barcelonizmu: osoby stojące na czele hiszpańskich arbitrów albo nie miały o niczym pojęcia, albo robiły wszystko co w ich mocy, żeby pilnować interesów Realu Madryt, albo oba przypadki zachodziły jednocześnie.

Była to wielka pomyłka tego, o którym napisałem artykuł w „El País” (z 12 listopada 1985 roku). Jego fragment zamieszczam poniżej:

[...] To, co robi Plaza, jest naprawdę żalosne. Przez 20 lat był arbitrem, z czego cztery lata międzynarodowym, potem przewodniczącym Komitetu Arbitrów w dwóch okresach: od 1967 do 1970 i od 1975 do teraz. A mimo to nieuznany gol usprawiedliwił dziwną teorią „podania do przodu”, która w przyszłości może wywołać mnóstwo zamieszania. Dla niego nie było ważne, że Archibald znajdował się za piłką, a nie przed. Wczoraj, po skrupulatnej analizie za pomocą movioli i po sięgnięciu po Regulamin, zmienił ocenę. Jak dobrze, ale w takim razie według jakich kryteriów ten człowiek rozstrzygał mecze, awanse i spadki drużyn oraz wyznaczał arbitrów do prowadzenia spotkań?

Na szczęście następnego dnia w oficjalnym komunikacie, trzeba przyznać, że dość zagmatwanym, Plaza zmienił opinię. Ale uczucie krzywdy pozostało.

Plaza zmarł w czerwcu 2002 roku w wieku 82 lat, 12 lat po odejściu ze stanowiska. Biografie, które się wtedy pojawiły, wskazywały, że zanim zajął się sędziowaniem, jako nastolatek grał w Plus Ultra i Atlético Aviación. Później spośród tylu rzeczy, jakie o nim napisano, usunięto nieprawdziwą informację, że grał w Realu Madryt. Prawdopodobnie było to efektem błędnej dedukcji: wiele lat po tym, jak Plaza grał w zespołach juniorskich, Plus Ultra stał się rezerwową drużyną Realu, by w końcu zmienić nazwę na Castilla. Ale ponieważ pasuje to do jego legendy zagorzałego madrydysty, którą wokół niego zbudowano, wśród kibiców Barcelony krąży wersja, że występował właśnie w Realu.

28. OD 5:0 CRUYFFA DO FINAŁU 4:0

26 maja 1973 roku Ministerstwo Sportu zniósł zakaz sprowadzania zagranicznych piłkarzy, który obowiązywał od 1962 roku. Został on wprowadzony jako konsekwencja bardzo słabego występu naszej reprezentacji na mundialu w Chile. Uważano, że zbyt wielu obcokrajowców zabierało miejsca obiecującym hiszpańskim zawodnikom i że z wyjątkiem kilku, którzy coś potrafili, większość służyła tylko wzbogacaniu się ludzi zajmujących się piłkarskim biznesem. W ten sposób wyeliminowano podobne praktyki. I od tamtego momentu kluby mogły podpisywać kontrakty wyłącznie z Hiszpanami.

Nadszedł rok 1964 i wydawało się, że taki system się sprawdza, ponieważ Hiszpania wygrała mistrzostwa Europy (tamte z golem Marcelino w finale z ZSRR, pamiętacie Państwo?). Ale potem zawiedliśmy na mundialu w 1966 roku, kiedy odpadliśmy już w fazie grupowej, zaś do turnieju rozgrywanego cztery lata później nawet nie awansowaliśmy. Tak samo jak nie awansowaliśmy na Euro w 1968 ani w 1972 roku. Tak więc zakaz nie spełniał jednak swojej roli. Poza tym dochodziło do zabawnych sytuacji, ponieważ niektórzy chcieli go ominąć, przemycając oriundich, przyjeżdżających ze sfałszowanymi dokumentami. Zbyt duża liczba takich piłkarzy doprowadziła do tego, że oszustwo zostało wykryte. Byli tacy, którzy przybywali, mówiąc: „Moi rodzice są Nawarczykami z Osasuny” albo: „Moi dziadkowie byli Galisyjczykami z Celty”, ponieważ nazwy klubów wydawały im się nazwami miast albo regionów. A byli też i tacy, którzy przyjeżdżali z zaświadczeniami, że nie są reprezentantami danego kraju, a w rzeczy wistości nimi byli.

Ostatecznie zakaz został zniesiony. Walczyły o to Real Madryt, Barça i jeszcze kilka klubów. Przeciwno byli oczywiście Baskowie (zwolennicy szkoły piłkarskiej) i kluby mające najmniej pieniędzy. Zwłaszcza Barça bardzo na to naciskała. W 1967 roku w celu wymuszenia zmiany tej sytuacji jej ówczesny prezes Enrique Llaudet za 180 tysięcy dolarów sprowadził Silvę, znakomitego brazylijskiego napastnika. Kiedy przypomniano mu o zakazie, powiedział, że „zawsze chciał mieć czarnego szofera” – za to wyrażenie musiał później przeproszać. Silva zagrał w kilku meczach towarzyskich, potem został wypożyczony na rok do Santosu i wreszcie sprzedany do Bangu za 80 tysięcy dolarów. Bez wątpienia była to katastrofalna operacja.

Jednak Barcelona nadal prowadziła otwartą wojnę, która przybrała na sile, kiedy stała się z oficjalnymi organami, usiłując przemycić Paragwajczyka Iralę, piłkarza o statusie, trzeba to podkreślić, nie innym niż wielu mu podobnych. I wreszcie nastąpiło otwarcie granic. W tamtym momencie miano najlepszego piłkarza na świecie należało się niewątpliwie Johanowi Cruyffowi. Był gwiazdą Ajaksu Amsterdam, który wygrał trzy ostatnie edycje Pucharu Europy. On sam zdobył Złotą Piłkę w 1971 roku (w 1972 roku otrzymał ją Franz Beckenbauer, ale Holender wygrał dwie kolejne, już jako gracz Barcelony). Techniczny, elegancki, inteligentny lider, potrafiący szybko myśleć i szybko się poruszać, piłkarz kompletny w ataku, artysta piłki występujący w

Ajaksie, rewelacyjnej drużynie, która zrewolucjonizowała futbol. Był symbolem wysypu piłkarskich talentów w Holandii, kraju do tamtej pory znajdującym się w peletonie średniaków.

Barcelona starała się o niego od 1970 roku (wcześniej w magazynie „Barça” został już przedstawiony w koszulce *azulgrana*). Real Madryt też był nim zainteresowany, bo inaczej być nie mogło. Oba kluby zabiegają o piłkarza, ale Real wycofuje się dość wcześnie, kiedy widzi, że limit cenowy, jaki sobie narzucił – 60 milionów peset – nie jest nawet brany przez Ajax pod uwagę jako punkt wyjścia. (Potem Bernabéu powie, że nie chciał Cruyffa, ponieważ „nie podoba mi się »gęba« tego faceta”). Poza tym Barça już wcześniej wykonała ruch stawiający ją w korzystniejszej sytuacji: przed sezonem 1972/73 zatrudniła holenderskiego trenera Rinusa Michelsa. Bez wątpliwości był to pewien sposób, żeby ułatwić decyzję Cruyffowi.

Prezesem Barcelony był wtedy Montal, który miał pierwszorzędno dyrektora generalnego Armanda Carabéna, ożenionego – szczęśliwie dla klubu w kontekście tego transferu – z Holenderką. To on prowadził te niezwykle trudne negocjacje i ostatecznie udało mu się sprowadzić Cruyffa już w drugiej połowie sierpnia, za milion dolarów, czyli 100 milionów peset *grosso modo*. Wcześniej Barça kupiła znakomitego peruwiańskiego napastnika Hugo „Cholo” Sotila, ruchliwego i strzelającego sporo goli. Real Madryt natomiast, zresztynowawszy z Cruyffa, ściągnął Güntera Netzera (niemieckiego rozgrywającego, słynącego z niesamowitych długich podań) oraz lewoskrzydłowego Óscara Masa z River Plate, daremnie usiłując ukoić tęsknotę madrydstów za Gento, który chwilę wcześniej zakończył karierę. Żeby pokazać prawdziwą wartość Cruyffa, trzeba zaznaczyć, że Netzer, wtedy megagwiazda, kosztował 36 milionów peset.

Transfer Cruyffa spowodował, że świat *culé* wybuchł entuzjazmem jak chyba nigdy wcześniej. Do tamtej pory był to najgłośniejszy transfer, a możliwe, że przenosiny Holendra to w ogóle najbardziej medialny transfer wszech czasów, biorąc pod uwagę również te z ostatnich lat. Kolejne działania klubu śledzono krok po kroku, a ich oddźwięk był ogromny. Kiedy doszło do porozumienia, Barça znacznie poprawiła swój wizerunek, zrzuciła z siebie poczucie, że tylko Real Madryt zawsze wszystko osiągał. W oczach Hiszpanii, Europy i świata odniosła finansowe i polityczne zwycięstwo nad wielkim rywalem. W momencie, kiedy ponownie można było sprowadzać obcokrajowców, wydawało się, że rozpoczyna się era dominacji Barcelony, klubu o niewątpliwie nowoczesnym wizerunku, którego uosobieniem stawał się holenderski piłkarz. Barça nie wygrała ligi od 1960 roku i wreszcie w tym bardzo długim tunelu pojawiło się bardzo wyraźne światło. Poza tym trzeba dodać, że w trakcie tych wielu lat Real Madryt aż dziewięciokrotnie zdobywał mistrzostwo, tylko cztery razy widząc plecy rywali: trzy razy Atlético i raz Valenci.

Poślizg z finalizacją transferu sprawił, że opóźniło się też przybycie Cruyffa. Nie mógł wystąpić w Pucharze Gampera ani w pierwszych meczach ligowych. Barça zorganizowała serię spotkań towarzyskich, żeby zebrać trochę pieniędzy i pozwolić zawodnikowi przygotować się do sezonu. A ponieważ grał w nich dobrze i strzelał gole, zwiększało to zniecierpliwienie kibiców, którzy chcieli w końcu zobaczyć go w lidze. Zanim zadebiutował, wyniki zespołu były słabe.

Pod koniec października Barça znajdowała się w okolicy ostatnich miejsc w tabeli. Przegrała trzy mecze wyjazdowe, z Elche, Celtą i Realem Sociedad, a u siebie wygrała z Espanyolem i zremisowała z Realem Madryt (0:0), który też nie najlepiej rozpoczął sezon. Na domiar złego została wyeliminowana z Pucharu UEFA przez OGC Nice. To wtedy w Madrycie mówiło się, że Barcelona jest stawem pełnym żab, bo wszyscy na ulicach mówili „Cruyff, Cruyff, Cruyff”.

Ale Cruyff zagrał wczesnie 28 października z Granadą i wszystko uległo zmianie. Barça wygrała 4:0 dzięki jego dwóm bramkom i zachwycającemu występowi. Granada miała dobrą i grającą dość ostro drużynę; Aguirre Suárez i Fernández, środkowy obrońca i defensywny pomocnik, siali postrach w całej lidze. Podobnie jak pomocnik Montero Castillo. Fernández wcześniej grał w Barcelonie i rano w dniu meczu w hotelu odwiedził go były środkowy obrońca

Kubu Rodri, który teraz pracował z drużyną *azulgrana*. Anegdota pochodzi z książki *Los años del Pichichi* (Lata najlepszego strzelca) Ramóna Ramosa, wielkiego znawcy historii Granady. Spotkanie opisuje w ten sposób:

– Wiesz, że dużo zainwestowaliśmy w Cruyffa, że wiele od niego oczekujemy...

– Widzisz, z jakim składem przyjechaliśmy, bez Aguirre, bez Echecopara...

– Prosimy cię, żebyś go przepuszczał, ale proszę, nie bądź wobec niego bardzo ostry, nie przekraczaj pewnej granicy, dużo nas kosztował, nie może doznać kontuzji, on jest inny niż wszyscy...

Joseito, trener Granady, nakazał, żeby w początkowej fazie akcji krył go Montero Castillo i żeby Fernández wychodził, by je kasować. A Cruyff obu sprawiał kłopoty. Na Fernándezie nie zrobiło większego wrażenia błaganie Rodrigiego: jak opowiada Ramón Ramos, w jednej z akcji posłał Holendra poza linię boczną. Dostał kartkę (wtedy białą) i wielką burę od publiczności.

Cruyff pokazał swoją wizytówkę. Barça mogła z nim nabrać tempa. I tak z rozpedzoną Barcą i przygnębionym Realem docieramy do meczu na Santiago Bernabéu 17 lutego 1974 roku.

Real Madryt przechodził traumę. Po porażce w Castellón 13 stycznia zwolniony został Miguel Muñoz, trener od 1960 roku. To on dokonał przejścia od wspaniałego Realu Di Stéfano (z którym grał i którego później trenował w ostatnich sezonach kariery) do Realu Yeyé, zdobywcy Pucharu Europy w 1966 roku. Wygrał dziewięć z 14 tytułów mistrza kraju, wydawało się, że będzie pracował całą wieczność. Jednak nie powiodła mu się druga przebudowa drużyny. Netzer się rozlewił, Óscar Mas również. Pierwszy ograniczał się tylko do długich podań, drugi, sporadycznie, do niesamowitych wolejów. Drużyna nie funkcjonowała, a Miguela Muñoz zastąpił Luis Molowny i w ten sposób rozpoczął długą karierę trenera od nagłych wypadków. Dzięki niemu Real powoli odzyskiwał formę i wygrał trzy kolejne mecze, wszystkie po 1:0.

I wtedy, zimowego wieczoru, na Bernabéu stawiła się Barça.

To był pogrom. Drużyna, która przeszła do historii, a jeszcze do dziś w Barcelonie można zobaczyć jej zdjęcia: Mora, Rifé, Torres, Costas, de la Cruz, Juan Carlos, Marcial, Asensi, Rexach, Cruyff, Sotil. W 71. minucie za Marciala wejście Tomé. Oczywiście gole padają jeden po drugim, co jest efektem nieustannej przewagi, osiągniętej dzięki futbolowi technicznemu, szybkiemu i błyskotliwemu: 1:0 Asensi w 31. minucie, 2:0 Cruyff w 39., 3:0 Asensi w 53., 4:0 Juan Carlos w 65., 5:0 Sotil w 70. Na Bernabéu panuje grobowa atmosfera. Po kilku miesiącach krzyczenia „Wynocha, Muñoz!” teraz nie ma przeciwko komu krzyżeć, nikt nie obwinia Molowny 'ego ani nikogo innego o porażkę. Przyczyną takiego obrotu sprawy jest doskonała gra Barcy, która od tego momentu będzie podążać w stronę ligowego tytułu.

Tymczasem w Barcelonie trwa ekstatyczna fiesta. Mecz postrzegano jako koniec okresu tyrańskich rządów madrydistów, przerwanie serii 14 lat przytłaczającej dominacji, znak, że nadeszły nowe czasy. Była to już końcówka frankizmu, w Katalonii ożywały nastroje niepodległościowe, uśpione od czasu wojny domowej aż do końca lat 60., a to zwycięstwo Barcy idealnie pasowało do tego rodzaju nowego entuzjazmu. Kończyła się frankistowska dyktatura, kończył się też Real Madryt. Teraz nadchodziła era Barcelony. Czas zweryfikuje ten hurraoptymizm, ale wtedy tak właśnie myślano, o czym można przeczytać w licznych artykułach prasowych z tamtych lat.

Samochody jeżdżą z flagami Barcy, między którymi łopoczą *senyery*, narodowe sztandary katalońskie, których nie widziano od czasów wojny. Canaletas i Las Ramblas robią się za małe, więc grupy kibiców kierują się na plac Sant Jaume, polityczne serce miasta, gdzie mieścił się budynek Diputació (dziś znajduje się tam Parlament) i Urząd Miasta.

To, do jakiego stopnia postrzegano tamto świętowanie jako wybuch katalońskiego nacjonalizmu z uśpionej tożsamości, najlepiej wyjaśnia piosenka zespołu La Trinca; powstała ona z inspiracji tymi wydarzeniami i idealnie łączyła piłkarską radość tamtego momentu, dumę z bycia Katalończykiem, spojrzenie z ukosa na Real Madryt i oczekiwanie na nowy czas, a wszystko to w formie zabawnego utworu synkretycznego, który można zdefiniować jako satyryczną odę:

Catorze anys de passar gana,
catorze anys d'anar fent figa,
potser si que eren molts anys
catorze anys sense una lliga

Un, dos, tres, botifarra de pagès!

Quan la cosa no funciona
no ens ve pas de cent milions,
i com que la bossa sona
hem portat a Barcelona
les millors cuixes del món.
Si tot va millor que abans,
gastar duros no ens espanta,
ja ho diem els catalans
que pagant Sant Pere canta,
amb permís dels capellans.

La senyera ja voleia amb gran eufòria,
la tenora llença al vent son cant joiós,
recordant un gran moment de nostra història,
celebrant un cinc a zero gloriós!

Sonaren cinc campanades
allà a la Porta del Sol,
cinc cops plorà La Cibeles,
Madrid estava de dol,
pels carrers es comentava:
en Flandes se ha puesto el sol.

Un, dos, tres, botifarra de pagès!

I ara els culés de veritat
ens volem gastar els bitllets,
comprant discos, ninotets,
pòsters, discos dedicats,
pintures i calçotets.

Mentre ragi la mamella
ens voldram per fer el titella

I arribaran a inventar-se
desodorant per l'aixel·la
que porti els colors del Barça

I ara cantaires, ve lo principal,
au, preparéu-vos pel cor final.
Cruy ff, Cruy ff, Cruy ff...

Qual vulgar cor de granotes
'ensalcem' les teves potes,
i cridem plens de moral:
L'any que ve no farem riure
;Visca Catalunya Lliure!
;Visca el Barça i en Montal!

Catalanistes, ajunteu-vos
que ara es pot, gràcies al futbol,
cridar ben fort fins escanyar-se
som y serem... socis del Barça
tant si es vol, com si no es vol!
tant si es vol, com si no es vol!

(Czternaście lat głodu, / czternaście lat wykończenia, / być może to zbyt wiele lat, / czternaście lat bez wygrania ligi. / Raz, dwa, trzy, kaszanka wieśniaków! / Kiedy nic nie funkcjonuje, / wydają sto milionów, / a skoro mamy pieniądze, / sprowadziliśmy do Barcelony / najlepsze nogi na

świecie. / Jeśli wszystko pójdzie lepiej niż dotąd, / nie przeraża nas wydawanie pieniędzy, / już mówią Katalończycy: / płacąc, San Pedro śpiewa / jeśli pozwolą mu kapelani. / *Senyera* powieś w wielkiej euforii, / solistka puszcza na wiatr pieśń radosną, / przy pominając wielką chwilę naszej historii, / świętując wspaniałe pięć do zera! / Zabiło pięć dzwonów / przy Puerta del Sol, / pięć razy zapłakała Cibeles, / Madryt pogrążony był w żalobie, / na ulicach mawiano: / we Flandrii zaszło słońce. / Raz, dwa, trzy, kaszanka wieśniaków! / A teraz, prawdziwi *culés*, / chcemy wydać te pieniądze, / kupując płyty, lalki, / plakaty, płyty poświęcone Barcelonie, / obrazy i skarpetki. / Dopóki będziemy wygrywać, nic nas nie będzie obchodzić / będą mieć nas za marionetki. / I wymyślą nawet / dezodorant pod pachy / z kolorami Barcy. / A teraz śpiewacy, czas na najważniejsze, / przygotujcie się na końcowy chór. / Cruyff, Cruyff, Cruyff... / Co za prosty chór żab, / „podnieście” wasze łapy / i krzyczcie bez ustanku: / W przyszłym roku nie będziemy doprowadzać do śmiechu, / Niech żyje Wolna Katalonia! / Niech żyją Barça i Montal! / Zjednoczeni katalońscy, / teraz możemy, dzięki futbolowi, / krzyczeć głośno, aż ochrypnjemy: / Jesteśmy i będziemy kibicami Barcy, / czy się to podoba, czy nie! / czy się to podoba, czy nie!).

Kończówka jest parafrazą *Santa Espina*, jednej ze świętych pieśni katalońskiego nacjonalizmu: *Som y serem gent catalana, tant si es vol, com si no es vol...* (Jesteśmy i będziemy Katalończykami, czy się to podoba, czy nie...).

Ale Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek 11 dni po zwycięstwie nad Realem zarząd Montala, z nim samym na czele, udaje się do Madrytu, żeby wręczyć Franco honorowy medal z okazji siedemdziesięcioletnia istnienia klubu, które obchodzone jest w tym roku. Sobrequés w swojej książce opowiada o tym tak

Występ piłkarzy *azulgrana* na Santiago Bernabéu został zauważony i pochwalony przez najsłynniejszego zwolennika Realu Madryt Francisco Franco przy okazji audiencji, jakiej 28 lutego udzielił barcelońskiemu zarządowi, który odznaczył generała Honorowym Medalem FC Barcelony. Tamtego dnia, powołując się na kroniki, „Franco wychwalał dobre występy Barcelony w obecnych rozgrywkach ligowych, dodając, że oglądał w telewizji jej ostatnie spotkanie z Realem Madryt”.

Dla Realu nie był to koniec pewnej epoki, karierę kończył jedynie Zoco, defensywny pomocnik, przez długie lata z powodzeniem grający dla klubu z Chamartín. Tak opowiadał o tym meczu:

– Tamtego wieczoru robili z nami, co chcieli. To było coś nowego, zupełnie inna szybkość. Czuję, że jestem skończony, zdałem sobie sprawę, że naprawdę jestem skończony. Kiedy brałem prysznic, postanowiłem, że to wystarczy. Że już więcej nie będę grał w piłkę. W poniedziałek poprosiłem o spotkanie z Saportą i powiedziałem mu o tym. On powiadomił Bernabéu, który oświadczył: „Posłuchaj, Ignacio, goleada wyprowadziła cię z równowagi. Weź sobie dwa dni wolnego, skonsultuj się z Marią, a potem podejmiesz decyzję”. Tak więc wziąłem sobie dwa dni wolnego, wyjechałem, skonsultowałem to z Marią, a później poszedłem do niego: „Panie Santiago, zrobiłem to, o co mnie pan prosił. I nie zmieniłem zdania. Nie chcę więcej grać”.

Bernabéu przyjął jego decyzję i w rezultacie Zoco więcej nie zagrał... z wyjątkiem kilku minut, o czym się przekonamy, doczytując ten rozdział do końca.

Barça wygrała wtedy ligę, i to ze wspaniałym wynikiem; miała osiem punktów przewagi nad drugą drużyną, Atlético, najwięcej strzelonych i najmniej straconych goli. I to wszystko pomimo bardzo słabego początku. Real Madryt nadal grał źle, kończąc sezon jako ósma drużyna.

Oczywiście to miejsce nie dawało prawa gry w Pucharze Europy. I znów, tak jak w 1968 roku, istniało ryzyko, że w ogóle nie zagra w europejskich pucharach. Ponownie mógł to zrobić poprzez triumf w Pucharze Hiszpanii, który zapewniał występ w Pucharze Zdobywców Pucharów, czyli Pucharze Europy dla triumfatorów krajowego pucharu.

W rozgrywkach pucharowych nie mogli uczestniczyć obcokrajowcy. Tak było już od dawna, zanim jeszcze w 1962 roku pojawił się dotyczący ich zakaz, i tak też pozostało po jego zniesieniu. Obcokrajowcy nie mieli prawa występować w Pucharze aż do sezonu 1977/78. W ten sposób w tych rozgrywkach nie grali Netzer i Mas z jednej oraz Sotil i Cruyff z drugiej strony. Uwolniony od obcokrajowców, którzy w rzeczywiście byli tylko ciężarem, Real Madryt brylował w tych rozgrywkach. Wyeliminował kolejno Betis, Granadę i Las Palmas za sprawą niebywałych golead na Bernabéu: odpowiednio 7:1, 7:3 i 5:0. Chociaż jeden z tych meczów kosztował go utratę Amancio.

Piłkarz od dwóch sezonów nie jeździł do Granady z powodu awantury na Bernabéu z Fernándezem, w wyniku której obaj zostali wyrzuceni z boiska. Fernández obiecał Amancio zemstę, więc ten przeczornie wołał się tam nie pojawiać. Ale teraz Real Madryt potrzebował tego Pucharu, więc Amancio pojechał do Granady na pierwszy mecz ćwierćfinałowy. Po kwadransie gry nie było go już na boisku: brutalny faul Fernándezę uszkodził mu mięsień dwugłowy uda. Było to wejście z przodu, na wysokości mięśnia, podczas gdy piłka znajdowała się na murawie. Wywołało to tak wielki skandal, że oznaczało koniec tego, co mogliśmy nazwać erą zastraszania ze strony Granady, o czym do dziś nie przestają mówić napastnicy z drużyn przeciwnych tamtej epoki.

Real Madryt grał dalej bez Amancio, ale i tak dotarł do finału. Tam spotkał się z Barceloną. Sceneria: stadion Vicente Calderón, a na trybunach zdecydowana większość żądnych rewanżu madридistów. Drużyna Barcy wygląda prawie tak samo, skład Realu jest bardziej zmieniony. Tego dnia na boisko wychodzą: Miguel Ángel, José Luis, Benito, Pirri, Rubiñán, del Bosque, Velázquez, Grosso, Aguilar, Santillana i Macanás. Finał rozgrywany jest już po rozpoczęciu mundialu (Hiszpania do niego nie awansowała), dlatego to nie Michels, lecz Rodri prowadzi pierwszą drużynę Barcelony. Michels łączy pracę trenera Barcelony z obowiązkami selekcyjera reprezentacji Holandii i razem z Cruyffem przebywa właśnie na mistrzostwach świata w Niemczech. Chociaż w ostatniej chwili przyleciał, żeby tylko być obecnym na meczu.

Na murawie dominuje Real z del Bosque i Velázquezem, panami boiska i piłki. Prowadzenie obejmuje już w szóstej minucie dzięki szybkiej akcji Aguilara, którego dośrodkowanie wykańcza Santillana. I takim wynikiem kończy się pierwsza połowa. W 47. minucie, po długiej akcji, odbicie piłki od przeciwnika wykorzystuje Rubiñán, żeby strzelić na 2:0. Real Madryt uważa się już za zwycięzcę i myśli o urządzeniu goleady. Tym bardziej że w 50. minucie Aguilar finalizuje kolejny atak, zdobywając trzecią bramkę. A w 83. Velázquez wykonuje długie podanie do Macanása, który dośrodkowuje, a Pirri strzela na 4:0. Wtedy Molowny dokonuje dwóch zmian: José Luis ustępuje miejsca Touriño, a Grosso, kapitan w tym meczu, Zoco, nawet niespodziewającemu się, że może zagrać. Grosso przekazuje opaskę Zoco, który w ten sposób gra ostatnie pięć minut w życiu. Ten wruszający gest jest pięknym zwieńczeniem kariery Nawarczyka, który wchodzi do łoża, żeby odebrać puchar z rąk Franco.

– Nic mi nie powiedzieli, nie spodziewałem się tego. Myślę, że to był pomysł Grosso, który tym samym rezygnował z odebrania pucharu, co mu się należało jako kapitanowi i najstarszemu zawodnikowi na boisku. Zawsze byłem mu wdzięczny za ten gest. Moje ostatnie zdjęcie jako piłkarza przedstawia mnie w momencie, gdy odbieram puchar. Zrekompensowało mi to tamtą goleadę z lutego.

– Tyle że goli nie było pięć, lecz cztery...

– Tak, ale to był finał. Zrewanżowaliśmy się.

29. NÚÑEZ, DE CARLOS I TARRADELLAS

Po zakończeniu sezonu 1977/78 w obu klubach doszło do znaczących zmian. W Barcelonie 6 maja 1978 roku po trudnej walce wybory wygrywa Josep Lluís Núñez. Przedstawił program, powiedzmy, apolityczny, kładąc duży nacisk na zdystansowanie Barçy od nacjonalistycznego zaangażowania (był to gorący okres transformacji, a Barcelona pod rządami Agustína Montala zaczyna wiele znaczyć w tym kontekście), i rzucił hasło *Per un Barça triomfant* (O triumfującą Barçę). Nie minął miesiąc, kiedy 2 czerwca zmarł Santiago Bernabéu, po 35 latach sprawowania funkcji prezesa klubu, którym był jeszcze w dniu śmierci. Zmarł na raka okrężnicy, wykrytego dziesięć miesięcy wcześniej. Zostawił Real Madryt w mistrzowskiej koronie. Siły dominujące w klubie uzgodniły, że jego następcą zostanie Luis de Carlos, człowiek siedemdziesięcioletni, przez długi czas skarbnik i bezpośredni współpracownik Bernabéu. Krótko mówiąc, osoba najlepiej nadająca się do tej funkcji.

Dla obu klubów zaczynała się zatem nowa epoka. A profile obu prezesów były zupełnie odmienne. Núñez był młody, agresywny i miał do zdobycia teren, ponieważ Barça, po zdobyciu mistrzostwa z Cruyffem w 1974 roku, odchodzącym już w zapomnienie, znów znajdowała się za Realem Madryt, który ponownie zdominował wszystko, a zwłaszcza struktury władz federacji. Luis de Carlos był jego pełnym przeciwieństwem. Siedemdziesięcioletek, konserwatywa w pełnym znaczeniu tego słowa, pokojowy, zajął stanowisko trochę wbrew własnej woli, przejmując tę odpowiedzialność tylko dlatego, że został o to poproszony. Mało brakowało, a nie zostałby prezesem, ponieważ poważnie rozpatrywano kandydaturę Gregorio Paunero, człowieka o podobnym do niego profilu, równie od lat pracującego w klubie. Ale Paunero należał do Opus i był inspektorem Urzędu Skarbowego, toteż nadzorujący zmianę Saporta uznał, że te funkcje wykluczają się nawzajem.

Núñez traktował Real Madryt bardzo szorstko, co źle znosił Luis de Carlos. I to mimo czynionych przez niego starań, żeby zbliżyć się do Barcelony. To najbardziej znaczące nastąpiło pod koniec pierwszego sezonu pracy obu prezesów, w 1979 roku, kiedy Barça wygrała w Bazylei Puchar Zdobywców Pucharów, pokonując w finale Fortunę Düsseldorf. Núñez przejął Barcelonę, zdobywcę Pucharu Hiszpanii, i chociaż w trakcie pierwszego jego sezonu na czele klubu drużyna dość szybko została w tyle w zmaganiach ligowych, to w Pucharze Zdobywców Pucharów kroczyła w stylu *triomfant*. W pamięci pozostał zwłaszcza mecz rewanżowy w 1/8 finału z Anderlechtem Bruksela, który miałem szczęście oglądać na żywo. W pierwszym meczu Barça przegrała 0:3. W rewanżu grała fantastycznie, ale trzeci gol nie padł aż do 88. minuty, kiedy Zuviría dzięki wspaniałej indywidualnej akcji doprowadził do remisu w dwumeczu. Dogrywka, gdy wszyscy byli już wyczerpani, okazała się niebywale emocjonująca. Wreszcie po rutach karnych do następnej rundy awansowała Barcelona. Był to pierwszy wieczór *triomfant* „núñizmu”.

Po tym horrorze Barça pokonała jeszcze Ipswich Town i Beveren, aż w finale spotkała się z Fortuną. Luis de Carlos, co było absolutnie niespotykane, poprosił o możliwość towarzyszenia Barcelonie wraz z delegacją klubu i tak też zrobił. Uczestniczył w najbardziej radosnym, do tamtej pory, dniu w życiu barcelonistów, w podróży tysięcy kibiców, wśród których flagi *blaugrana* mieszały się z *senyerami*, a która zakończyła się wybuchem radości dzięki spektakularnemu wynikowi – 4:3 po dogrywce – i wielkiemu meczowi, który rozegrał wtedy

„Lobo” Carrasco. De Carlos miał wpięte w marynarkę przycięnięte do siebie herby obu klubów, Realu Madryt i Barcelony, i zrobił sobie niezliczoną ilość zdjęć z *culés*. Na jednej z fotografii Joan Gaspart założył na jego ramiona szalik Barcy. Dotarła ona do redakcji „Asa”, który następnego dnia opublikował ją na pierwszej stronie. Madrydziści mieli już dosyć takiej euforii barcelonistów (to wtedy powstało hasło „Nasz puchar jest kolorowy, puchary Realu były czarno-białe”) i byli zaskoczeni, że zepchnięto ich z piedestału krajowego futbolu. Patrzyli trochę pogardliwie („W sumie to tylko Puchar Zdobywców Pucharów”) i źle ocenili takie marnotrawstwo entuzjazmu prezesa de Carlosa w tej sprawie.

Marnotrawstwo, za które, jak się wkrótce okaże, Núñez bynajmniej nie będzie wdzięczny. Pragnął zdobyć prymat w Hiszpanii, zaczął być naprawdę antypatyczny dla Realu Madryt. O wiele bardziej niż którykolwiek z poprzednich prezesów Barcelony.

A w jego drugim sezonie Barcelonie nie wiodło się dobrze. Núñez roztrwonił część kredytu zaufania otrzymanego na początku, doprowadzając do wyrzucenia, mimo triumfu w Bazylei, Johana Neeskensa, piłkarza kochanego przez kibiców, żeby sprowadzić duńskiego napastnika Allana Simonsena, laureata Złotej Piłki z Borussia Mönchengladbach, gracza zdecydowanie w innym typie niż Holender. Duńczyk był mały i lekki, a przy tym zwinny i szybki. Kibice darzyli Neeskensa tak dużą sympatią, że z uwagi na jego nieuchronne odejście świętowanie zdobycia europejskiego trofeum stało się gorzkie. Okłaskiwano go najbardziej ze wszystkich, co sprawiło Núñeza w takie przygnębienie, że poważnie zastanawiał się nad złożeniem dymisji.

Jak wspominałem, drugi sezon rozpoczął się źle. Joaquim Rifé (który w trakcie poprzedniego sezonu zastąpił Luciena Müllera i zdobył Puchar Zdobywców Pucharów) starł się z Kranklem (wypożyczonym do First Vienna) i z Juanem Carlosem „Milonguitą” Heredią, który musiał odejść. Obaj byli znakomitymi napastnikami. Klub sprowadził trenerowi Roberto Dinamite, ołbrzymiego Brazylijczyka, ale ten się nie sprawdził. Rifé, przez długie lata piłkarz, a przez ostatnie również kapitan drużyny, zwycięzca Pucharu Zdobywców Pucharów, znajdował się w nieciekawej sytuacji, do tego wręcz stopnia, że niedługo po meczu Barça – Real (o którym opowiem w tym rozdziale) został zwolniony. Zastąpił go dobiegający sześćdziesiątki Helenio Herrera (urodził się w 1912 roku, chociaż miał sfałszowane dokumenty z rokiem urodzenia 1917), który wrócił do klubu po 20 latach. Jego najlepszy okres już minął.

W Madrycie odnoszono wrażenie, że Barça coraz bardziej pogrążyła się w chaosie i że Núñez zaczął używać Realu jako pretekstu, aby zmieniać sytuację. Po części była to prawda, ale prezes *azulgrana* miał też pewne nierozwiązane problemy. Stał na czele ofensywy, w której towarzyszyły mu pozostałe zespoły, przeciwko Televisión Española (TVE). Panował wtedy zły zwyczaj: TVE nie płaciła klubom za transmisje meczów... z wyjątkiem Realu Madryt, któremu przekazywała 60 milionów peset rocznie.

Warto przypomnieć szczegóły tej sprawy. Kiedy na początku lat 60. zaczęto transmitować mecze ligowe, TVE nie płaciła. A dla klubów mecze w telewizji oznaczały mniejsze wpływy do kasy. Rozpoczęły się więc protesty, w wyniku których jednym czy drugim udało się zdobyć obietnicę pewnej finansowej rekompensaty za ponoszone straty. Teoretycznie TVE powinna zapłacić za wszystkie niesprzedane wejściówki, w praktyce tego nie robiła. Udawała, że nie wie, o co chodzi.

Real Madryt (albo raczej Saporta) zajął się tą sprawą i podpisał umowę na pokazywanie meczów koszykówki. Koszykarska drużyna na Realu była w tamtym okresie wielką nowością w kraju i rozpoczęła pasmo sukcesów. Z Ferrándizem na czele oraz z Emiliano, Luykiem i kompanią albo wygrywała Puchar Europy, albo dochodziła w nim bardzo daleko (w latach 60. wystąpiła w siedmiu finałach, z których wygrała cztery). Saporta stworzył również bożonarodzeniowy turniej, rozgrywany w dniach 24 i 25 grudnia pomiędzy czterema drużynami, co dawało cztery mecze

(dwa półfinały, mecz o trzecie miejsce i finał), czyli bardzo dobry program dla jedynej wtedy telewizji w kraju w tak trudnych do zapełnienia ramówki dniach (w rzeczy wistości dla *culés* było to niemal jak zniewaga: „Real Madryt wrzucali nam nawet do świątecznej zupy”). A poza tym były jeszcze mecze Pucharu Europy drużyny piłkarskiej, która wtedy zawsze je rozgrywała. A także te ligowe. Wszystko za 60 milionów rocznie.

Tak więc Real Madryt już od pewnego czasu otrzymywał pieniądze, ale prawda jest też taka, że miał do zaferowania więcej od innych klubów. Núñez wezwał do wojny. A poza tym zaczął też systematycznie atakować arbitrow i wykorzystywać ducha Plazy, przewodniczącego Komitetu Arbitrow, ciągle wskazywanego jako madridistę, odłąk podał się do dymisji w geście solidarności z Gurucetą, żeby wrócić na stanowisko jakiś czas później.

Od tego czasu i na skutek wydalenia ze środowiska sędziowskiego Antonio Camacho i pozostałych Barça przyswoiła sobie zdanie wyrzuconego madryckiego arbitra: „Dopóki Plaza będzie przewodniczącym, Barça nie będzie mistrzem”. Nicolau Casaus, nastawiony pokojowo i mający już swoje lata wiceprezes klubu (osoba ugodowa, w przeciwieństwie do agresywnych Núñez i Gasparta), powiedział, że Plaza to człowiek „zapiękie nienawidzący Katalonii”. Poza tym utworzono wtedy ANAFE, stowarzyszenie arbitrow stojących w opozycji do rządów Plazy, posiadające charakter związkowy (omawianie wpływów, awanse, spadki, desygncje), ale widziane także (przez tych, którzy chcieli tak je postrzegać) jako grupa zbuntowana przeciwko systemowi „madridisty” Plazy, mającemu – według tej teorii – nagradzać tych, którzy gwizdali na korzyść Realu, a karać tych, którzy robili odwrotnie.

Kryzys rozpoczął się wraz z meczem Saragossa – Real Madryt. Arbitr Miguel Pérez (co ciekawe, Katalończyk) uznał gola strzelonego w końcówce przez Rincóna, co dawało Realowi zwycięstwo 3:2, a jak pokazała później moviola, bramka padła ze spalonego. Na następnym spotkaniu z dyrekcją federacji Sisqués, prezes Saragossy, skarzył się na sędziowanie. Núñez wykorzystał to, by zwołać swoją konferencję i ostro zaatakować Real i Plazę. Prezesi Valencii i Almerii, klubów ostatnio grających z Realem, też zgłosili zastrzeżenia, dzięki czemu Núñez coraz bardziej rósł w siłę. Bardzo niezadowolony de Carlos zażądał od niego sprostowania, a gdy ten się na to nie zgodził, zapowiedział, że już nigdy więcej nie usiądzie z Núñezem ani w łoży, ani przy stole negocjacyjnym, ani przy obiedzie, ani podczas zebrania zarządu federacji, po prostu nigdzie. I że zrywa wszelkie relacje.

Tak się sprawy miały, gdy 10 lutego, w niedzielę, nadszedł mecz w rundzie rewanżowej między Barceloną a Realem Madryt na Camp Nou. Początkowo ani de Carlos, ani nikt z Realu nie chciał jechać i zasiąść w łoży, a tym bardziej udać się na tradycyjny oficjalny obiad. A i Núñeza zupełnie to nie obchodziło.

Wtedy zainterweniował Tarradellas, prezydent katalońskiego parlamentu, bardzo ważna postać w okresie transformacji. W czasach Republiki polityk nacjonalistyczny, od zakończenia wojny domowej żyjący na wygnaniu. Jeszcze przed powrotem w swojej francuskiej rezydencji w Saint-

-Martin-le-Beau był odwiedzany przez członków zarządu Montala, który przywrócił mu godność *socio*, utraconą wskutek wygnania. Do Hiszpanii wrócił 23 października 1977 roku, dziewięć dni po ogłoszeniu amnestii. Jego przywitanie „Mieszkańcy Katalonii, już tu jestem!” to szczytowy moment transformacji w Katalonii.

Tarradellas i Adolfo Suárez byli zaniepokojeni napięciami na linii Real Madryt – Barcelona w tamtych trudnych dniach. Minęło już dużo czasu, ale trzeba wiedzieć, że wtedy, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej od ostatniej wojny, kwitła nieufność między Katalończykami a resztą Hiszpanów, że było wiele trudnych spraw do uzgodnienia i że futbol, jako element niezgody, mógł

zaskodzić niezbędnym krokiem prowadzącym do wspólnego życia w pokoju. Tak więc Tarradelläs postanowił wykorzystać mecz, żeby pogodzić obie strony.

Ówczesne wydarzenia przedstawiam w oparciu o bezpośrednie świadectwo Antóna Parery, wówczas młodego dyrektora generalnego klubu.

Tarradelläs nie miał trudności z de Carlosem, człowiekiem z natury pokojowym. Zaproponował mu nawet, żeby pierwsze spotkanie odbyło się na neutralnym gruncie, na przykład w Saragossie. Odpowiedź de Carlosa była wzorcowa:

– Prezydencie, pojedę tam, gdzie pan zechce.

Została jeszcze Barça. Tarradelläs przypuszczał, że w tym przypadku spotkają go większe trudności. Z jego biura zadzwoniono do Barcelony, informując, że prezydent chciałby uczestniczyć w zebraniu zarządu Barcy, podobnie jak ze względu na swój tytuł uczestniczył w zebraniach rad najważniejszych katalońskich stowarzyszeń. Jednak, zaznaczono, musiałoby do tego dojść przed najbliższym meczem Barcelona – Real Madryt.

Pierwsza odpowiedź była odmowna. Prośba została wystosowana we wtorek a zebranie zarządu klubu odbywało się (zazwyczaj dzieje się tak we wszystkich klubach) w poniedziałek po południu. Lecz biuro prezydenta bardzo nalegało. Nuñezowi wcale się to nie podobało i bardzo niechętnie wyznaczył termin spotkania na dziesiątą wieczorem. Tarradelläs starał się osobiście porozmawiać z Nuñezem, ale udało mu się jedynie z Parerą:

– Uważa pan, że dziesiątą wieczorem to odpowiednia pora, żeby człowieka w moim wieku zzywać na zebranie zarządu?

Parera zaimprovizował inteligentną odpowiedź:

– Oczywiście, że nie, prezydencie. Ale proszę wziąć pod uwagę fakt, że Barceloną zarządzają ludzie, którzy mają dokładnie zaplanowany cały dzień albo w klubie, albo w różnych firmach, którzy czynią Katalonię wielką i którzy poświęcają wolny czas na to, żeby kierować Barcą. Po poniedziałkowym zarządzie nie było innej możliwości, aby ich zebrać, a nikt nie chciał, by kogoś zabrakło.

– W porządku. Przekonał mnie pan.

I tak o godzinie dziesiątej wieczorem rozpoczęło się bodaj najbardziej osobliwe zebranie zarządu w historii Barcy. Tarradelläs zabrał głos i bez ogródek przedstawił sprawę: konieczne jest, by do czasu meczu pomiędzy oboma klubami zapanowała zgoda, Real Madryt wyraził gotowość do pojednania, a od uczestników zebrania oczekiwaliśmy tylko, że się zgodzą na tę propozycję.

Jako pierwszy głos zabrał zuchwały Joan Gaspart, ale Tarradelläs przerwał mu od razu, gdy ten zaczął się sprzeciwiać:

– Czy pan to nie Joan Gaspart, prezes HUSA, firmy hotelarskiej, którą odziedziczył pan po ojcu? A więc proszę zająć się tym, żeby podawali tam lepsze śniadania, bo pozostawiają one dużo do życzenia!

Wtedy w jego obronie stanął Guillem Chicote, inny z dyrektorów, ale Tarradelläs wszedł mu w słowo w równie gwałtowny sposób:

– Czy pan, Chicote, nie jest dyrektorem generalnym firmy Confort, która podlega Caixy, którą zarządzam ja? A więc proszę się zamknąć, bo właśnie przemawia pański przełożony!

Wtedy stanowczo zainterweniował sekretarz zarządu Antón Maria Muntanyola, postać o wielkim znaczeniu – członek Rady Królewskiej i bliski przyjaciel don Juana. Był dość ostry:

– Szanowny panie prezydencie. Czuję się w obowiązku przypomnieć panu, że przez 40 lat cierpieliśmy z powodu pewnych form traktowania i nie chcemy, by się one powtórzyły. Nie walczyliśmy po to, żeby teraz przeżywać takie sceny. To zarząd wybrany demokratycznie przez socios Barcelony i decyzje podejmuje autonomicznie i legalnie. Nie pozwolimy, żeby narzucano

nam coś z zewnątrz, nawet przez tak ważne osobistości jak pan. Nie mamy zamiaru zamieniać Franco na Tarradellasa.

Tarradellas zrozumiał, że przynajmniej przez chwilę musi się pohamować i zaczął się usprawiedliwiać:

– W porządku. Ma pan rację. Prawdopodobnie przesadziłem i proszę o wybaczenie. Panie Gaspard, proszę mi wybaczyć. Panie Chicote, proszę mi wybaczyć. Pozostałych też proszę o wybaczenie za moje zachowanie. Ale chodzi o to, że sprawa jest poważna i mam nadzieję, że panowie się zgodzą. Ten kraj przeżywa trudny czas i nie jest dobrze, gdy dwie instytucje o takim charakterze i tradycji jak Barça i Real Madryt, ze wszystkim tym, co sobą reprezentują i z taką liczbą sympatyków, zamieniają futbol w pole walki.

Wtedy głos zabrał Josep Lluís Núñez, który powiedział mu, że z przyjemnością zdobyliby się na tak wielki wysiłek, ale że nie ma na to szans. Że to przekracza ich możliwości. Reakcja Tarradellasa była mocno ryzykowna:

– Proszę posłuchać, jutro na godzinę dwunastą wyznaczyłem spotkanie z de Carlosem i prasą, aby doprowadzić do pojednania. Zanim tutaj wszedłem, powiedziałem, żeby podano to do wiadomości publicznej. To pańska sprawa, czy pan przyjdzie, czy nie. Ale chcę, żeby pan wiedział, że zakomunikowałem, iż liczę na pańską zgodę, a jeśli pan nie przyjdzie, ludzie uwierzą mnie, a nie panom, ponieważ jestem bardziej wiarygodny, a fakt, że zostałem zaproszony na zebranie zarządu, działa na moją korzyść. Teraz niech się panowie nad tym zastanowią już beze mnie. Ja tymczasem zaczęłam w gabinecie pana dyrektora generalnego, jeśli uzna on za stosowne towarzyszyć mi i pokazać mi ten interesujący projekt muzeum, o którym wiem, że jest w planach i o którego poparcu ze strony Parlamentu mogę zapewnić.

I wyszedł. Parera, uzyskawszy pozwolenie Núñeza, wyszedł razem z Tarradellasem. Udali się do gabinetu, gdzie Parera zaprezentował gościowi projekt muzeum, a potem odbyli długą rozmowę. Mijały godziny. Zebranie zakończyło się dopiero o czwartej nad ranem, gdy zarząd poinformował Tarradellasa, że wszyscy, z wyjątkiem wstrzymującego się od głosu Núñeza, zgodzili się na pojednanie.

Tak więc następnego dnia, w atmosferze wielkiego oczekiwania (mgła sprawiła, że lot do Madrytu został opóźniony), de Carlos i Núñez spotkali się i uścisnęli w obecności Tarradellasa. Potem był pojednawczy obiad, na którym ustalono, że na mecz mogli pojechać dziennikarze José María García i Álex Botines ze stacji Cadena SER, uznani wcześniej za *personae non gratae*. Botines bez zgody Rifé nagrał rozmowę, w której trener powiedział, że „ten klub to burdel bez gospodyni”. Nagranie zostało wyemitowane nie tylko w paśmie lokalnym, ale także w ogólnokrajowym programie José Marii Garcíi.

Ale Tarradellas chciał jeszcze więcej, być może ze względu na wstrzymanie się od głosu Núñeza poprzedniej nocy. Opowiada o tym Gaspard. Odbylem z nim ciekawą rozmowę na ten i inne tematy w barcelońskim Ritzu, w przeddzień gali wręczenia nagrody Planeta, do której przygotowywał się hotel.

– W sobotę w nocy, o pierwszej, nie o dziewiątej ani o dziesiątej, tylko o pierwszej, kiedy byłem już w łóżku, dzwonią do mnie. Mówią, że trzeba przyjechać do klubu. Nie mówią mi po co. Jadę. Na miejscu wszyscy spotykamy się z Tarradellasem, który pojawił się z pismem dobrej woli i sympatii wobec Realu Madryt, które, jak nam powiedział, wszyscy mamy podpisać. Chciał całkowicie jednorodności. Znowu zaczęliśmy debatować i w końcu pismo podpisał cały zarząd z wyjątkiem jednej osoby. Wie pan, kto tego nie zrobił?

– Znowu Núñez?

- Nie, ja. Nie podpisałem tego dokumentu. I wyjaśniłem Tarradellasowi dlaczego. Powiedziałem mu, że nie zrobiłem tego z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że dawałem wyciąganie się z łóżka o pierwszej w nocy, tylko gdy chodziło o zdrowie mojego ojca albo matki. Po drugie dlatego, że nie czułem tego, co zostało podpisane. I po trzecie, ponieważ koniec końców nic złego chyba by się nie stało, jeśli porozumienie nie zostałoby podpisane przez wszystkich, gdyż ży jeden sprzeciw nigdy nie zaszkodzi, a nawet nadaje sprawie większej wiarygodności.

- I...?

- Obraził się. Przez długi czas nawet się ze mną nie witał, kiedy z jakiegoś powodu dochodziło do spotkań obu stron, co nie było wcale takie rzadkie. Z czasem, przez wspólnego przyjaciela Bruguerasa, udało mi się doprowadzić do naszego spotkania. Rozmawialiśmy spokojnie, a w pewnym momencie powiedział mi nawet: „Prawdopodobnie miał pan rację. Nie było to takie złe, że zabrakło jednomyslności, jeden głos sprzeciwu nie był zły”. I pożegnaliśmy się po przyjacielsku. Od tamtej pory miałem z nim lepsze relacje.

W końcu nadszedł mecz. Od początku było widać, że zawarcie pokoju nie za bardzo przekonało Núñeza. W protokole uzgodniono podział miejsc w łóż, który on zmienił. Łoża na Camp Nou posiada centralny sektor liczący pięć miejsc i przejścia ze schodkami po bokach, oddzielające go od innych sektorów. Ustalono, że Tarradellas będzie siedział w środku, Núñez i żona Tarradellasa po jego prawej stronie, a de Carlos i żona Núñeza po lewej. Jednak tuż przed meczem de Carlos został usadzony po lewej stronie Tarradellasa, ale dalej od przejścia. W sektorze centralnym usiedli Tarradellas z obiema żonami po prawej i Núñez po lewej. Z lewej strony Núñeza pozostało wolne miejsce. A dalej – za przejściami i po drugiej stronie – de Carlos. Pablo Porta, prezes federacji, usiadł obok niego, po lewej stronie. I rozpoczął się mecz o napięciu, jakim można obdzielić wszystkie dotychczasowe spotkania Barça – Real Madryt.

Sędziował Fandos, o którym gdzieś napisano, że zamknął się w Benidorm, żeby pozostawać z dala od tego całego hałasu. Tak się nie stało, co pospieszył zdementować, dzwoniąc do redakcji „El País”, gdzie pracowałem wtedy w dziale sportu. I to ja odebrałem telefon. Powiedział, że bardzo skoncentrował się na przygotowaniu stoisk na targi zabawek (z zawodu był dekoratorem) i dlatego nie mogli go znaleźć. Był bardzo rozmowny. „Moi przyjaciele współczują mi, jakbym szedł na wojnę”. Przyznał się do dwóch błędów w ostatnim meczu, który prowadził, Realu Madryt z Realem Sociedad. „Odgwizdałem karnego przeciwko Realowi, którego nie było, co potwierdziła mowiola, ponieważ piłka nie trafiła w rękę Benito; a potem nie odgwizdałem karnego, tym razem ewidentnego, za faul Garcii Remóna na Zamorze...”. Te błędy usprawiedliwiał faktem, że od pewnego czasu nie sędziował.

Wydawało mi się, że miał ochotę, by znaleźć się w centrum uwagi. Ale w godzinie prawdy nie podykował rzutu karnego, kiedy był jeszcze bezbramkowy remis. Robiłem relację z tego meczu dla „El País”, oglądałem go na żywo i tak też napisałem. Pamiętam tę akcję, chociaż wydawało mi się, że faulowano Estellę, a gdy przeglądałem sprawozdanie, okazało się, że był to Serrat, boczny obrońca, który grał niewiele. Minęło pół godziny gry: uciekł przeciwnikom po szybkiej akcji, wpadł w pole karne, wyszedł do niego García Remón i go powalił. Miało to miejsce w obrębie pola karnego, a Fandos wskazał, że przewinienie nastąpiło przed linią. Núñez podniósł się rozszluszczony i opuścił łóż. Ponownie przekazuję głos Gaspardowi:

- Ja i inni dyrektorzy również wyszliśmy razem z nim. Powiedział nam, żebyśmy wracali, co zrobiliśmy, chociaż bardzo niechętnie. Chciałem, żeby Tarradellas poczuł się zlekceważony. I wróciliśmy. Po chwili wrócił też on.

(Później, wobec pytań dziennikarzy, wyjaśniono, że wyszedł, aby zaspokoić potrzebę fizjologiczną. Czyli do toalety).

Tymczasem przebywając na trybunie prasowej, myślałem, że może wybuchnąć wielka awantura. Ale Real grał lepiej, Cunningham w pojedynkę tworzył spektakł, a reakcja publiczności nie była zbyt przesadna. Jeden głośny protest, i to szybko zapomniany. Real i Cunningham spisywali się coraz lepiej, Anglik brylował w starciach z coraz bardziej zdziwionym Zuvirią. Jedną z rzeczy, które utkwiły mi w pamięci z tylu lat oglądania meczów: barcelońska publiczność zaczęła okłaskiwać jego akcje z uwagi na ich widowiskowość. Coś takiego, co kilka lat temu zdarzyło się na Santiago Bernabéu przy okazji występu Ronaldinho, kiedy Barça wygrała 3:0. Przyznaję, że to mnie zdumiało. Kiedy przeglądałem relację z meczu, przypomniałem sobie także zagranie ręką Sabido, obrońcy Realu, co do którego nie miałem pewności, czy było umyślne, czy przypadkowe. Nie pamiętam już tamtej akcji, pamiętam jednak, że na trybunach nie doszło do żadnego incydentu, że Cunningham schodził z boiska żegnany owacjami i że byłem zachwycony reakcją barcelońskiej publiczności.

Parera opowiedział mi, że Tarradellas pod koniec meczu okazał solidarność z Núñezem. Wziął go pod ramię i powiedział: *Vós teniu rao. Són mala gent* (Miał pan rację. To źli ludzie). I tego samego wieczoru zaprosił go razem z żoną na kolację do Casa dels Canonges, oficjalnej rezydencji prezydenta Parlamentu.

30. KOSZYKÓWKA. DWA KOLEJNE WYCOFANIA

Pod koniec sprawowania mandatu Montalowi wreszcie udało się zbudować dobrą drużynę koszykówki z takimi zawodnikami jak Solozábal, Epi, Flores, Sibilio, de la Cruz, López Abril i Ansa, którzy zdołali wygrać finał Pucharu Hiszpanii w Saragossie, pokonując Real Madryt 103:96. Oznaczało to krajowy tytuł dla Barcelony po 19 (!) latach od poprzedniego. Krótko przed tym finałem stanowisko prezesa objął Núñez, więc mógł już świętować ten tytuł jako swój.

Wielu jego współpracowników uważa, że to sprawiło, iż zmienił pierwotny zamiar, aby zlikwidować sekcję koszykówki, co wiele lat wcześniej zrobił już Llaudet, chociaż tymczasowo. Do tamtego momentu Núñez odnosił wrażenie, że jeśli chodzi o koszykówkę, Barça tylko wydawała pieniądze, żeby nadać większego splendoru zwycięstwom Realu. Ale tamten Puchar sprawił, że zaczął myśleć inaczej. Poza tym po śmierci Bernabéu z klubu odszedł Saporta, który zawsze powtarzał: „Odejdę z Realu pięć minut po panu Santiago”. Nie stało się to wprawdzie po pięciu minutach, lecz po czasie niezbędnym, żeby przygotować zmianę na stanowisku prezesa i po objęciu fotela przez de Carlosa. Ferrándiza też już nie było. Uszczęśliwiony sukcesami i oszczędnościami, zakończył karierę trenerską w wieku 47 lat i od tamtej pory wracał do klubu tylko na krótko jako doradca prezesa albo kierownik sekcji.

Tak więc Núñez dobrze to przemyślał i utrzymał koszykówkę. W sezonie 1982/83 poszerzył o nią pole walki z TVE, żeby uzyskać większe wpływy z meczów transmitowanych z Camp Nou. Zostało już powiedziane, że jednym z pierwszych celów, jakie sobie postawił, było pozabawienie Realu Madryt uprzywilejowanej pozycji przy telewizyjnych kontraktach.

Transmisja meczów ligi koszykówki to była inna sprawa. Raczująca wtedy ACEB (która później przejmie kontrolę nad arbitrami i systemem sankcji, odbierając ją federacji) podpisała umowę z TVE, aby ta pokazywała mecze, co było interesujące dla samej koszykówki i jej sponsorów, którzy w ten sposób, w zamian za inwestycje, mieli zagwarantowaną obecność na małym ekranie. Koszykówka weszła już wtedy w nowoczesny reklamowy obieg, z reklamami zarówno na bandach okalających parkiet, jak i na koszulkach zawodników albo ze sponsorami w nazwach prawie wszystkich klubów. W tamtym sezonie TVE pokazywała mecze pierwszej rundy z hali Realu Madryt. Kiedy przygotowywała się do transmitowania rundy rewanżowej z Palau Blaugrana, Núñez nie wydał na to zgody, podając jako powód transmisje meczów piłki nożnej. Zebrało się Stowarzyszenie Klubów i wobec ogólnej szkody, jaką to wyrządzało, ogłosiło bojkot Barcy. Ponadto starano się jej uniemożliwić udział w rozgrywkach pucharowych.

Ale Núñez działał sprawnie, przekonywał wszystkich, że wykluczenie Barcy w ten sposób, siłą, stanowi reakcję niewspółmierną do winy (był to okres transformacji; Hiszpania potrzebowała ludzi, którzy potrafią zapanować nad trudną sytuacją i działać zgodnie, aby coś osiągnąć), dlatego kluby, oprócz Realu Madryt, wycofały się ze swojej decyzji. TVE też nie wyciągnęła wobec Barcelony żadnych konsekwencji i nadal pokazywała jej mecze ku satysfakcji sponsorów. I tak obrażony Real Madryt wypadł z gry, a Luis de Carlos był oburzony, zdając sobie sprawę, że wszyscy odwrócili się od jego klubu, lekceważąc go. Jakby sytuacja była jeszcze niewystarczająco zagmatwana, Real Madryt i Barcelona w tamtym sezonie walczyły o mistrzostwo w dodatkowym meczu. Wtedy nie było jeszcze play-offów, mistrzostwo zdobywała drużyna, która zgromadziła najwięcej punktów. W przypadku takiej samej ich liczby na koniec sezonu brało się pod uwagę *average basket*. Akurat w tamtym sezonie został on jednak

zlikwidowany, więc o tytule musiał zdecydować dodatkowy mecz w Oviedo, który wygrała Barcelona. To jeszcze bardziej rozsierdziło Luisa de Carlosa.

I tak nadszedł czas Pucharu. W półfinale zmierzyły się Real i Barça. Real oświadczył, że wypełniając warunki ogólnego postanowienia (z którego wycofały się wszystkie kluby z wyjątkiem samego Realu), nie zamierza grać z Barceloną. I tak też zrobił. Real odmówił gry, zostawiając Barcelonie wolną drogę do finału, w którym pokonała Inmobanco, i w ten sposób zdobyła dublet. Núñez odniósł podwójne zwycięstwo: polityczne i sportowe.

Nie minął rok, a doszło do kolejnej awantury. Kończył się sezon 1983/84, pierwszy, w którym rozgrywano play-offy. ACB przejęła kontrolę nad ligą i wprowadziła tę nową formułę, zapożyczoną bezpośrednio ze Stanów Zjednoczonych, z NBA. Osiem najwyższej klasy fikowanych ch drużyn walczyło o tytuł w systemie pucharowym do dwóch zwycięstw. Ewentualny trzeci mecz miał odbyć się na parkiecie tego zespołu, który zajął wyższe miejsce w sezonie zasadniczym.

W finale pierwszych play-offów spotkały się Real i Barcelona. Dzięki bazie odziedziczonej po Montalu Núñez zbudował drużynę koszykarską grającą na wysokim poziomie. Rozwijał ją dalej i znalazł w tej sekcji klubu drugi idealny środek by zakończyć panowanie Realu Madryt.

Pierwszy mecz rozegrano w Palau Blaugrana. Real wygrał ze znaczną przewagą, 80:65, i wydawało się, że zdobycie tytułu zostało już przesądzone. Żeby odwrócić losy rywalizacji, Barça musiałaby najpierw pokonać Real w Madrycie, a potem zwyciężyć również w trzecim meczu, rozgrywanym także w Madrycie. A wszystko to w momencie, gdy zdano sobie sprawę, jak duża różnica formy i jakości gry jest między obiema drużynami.

W piątek 13 kwietnia 1984 roku oba zespoły spotykają się w hali Realu Madryt i po emocjonującym, nerwowym i chwilami brutalnym starciu Barcelona zwycięża – po dogrywce – 81:79.

Zanim jednak zakończył się regulaminowy czas gry, doszło do zdarzeń, które doprowadzą do późniejszego wycofania się Barcelony. Madridista López Iturriaga odpowiada brutalnym uderzeniem łokciem na blok Davisa (mecz już o wiele wcześniej stał się bardzo nerwowym), co spowodowało, że zawodnik Barcelony się odwrócił i ruszył na przeciwnika z pięściami, powalając go na ziemię. Fernando Martín podążył koledze z pomocą i uderzył Davisa. Sędziom z wielkim trudem udało się zakończyć awanturę, po czym wyrzucili z parkietu całą trójkę. Mecz toczył się dalej w maksymalnym napięciu i przy ciągłych zmianach prowadzenia, i tak aż do dogrywki, która zakończyła się wspomnianym zwycięstwem Barcelony 81:79. Trzeba było rozegrać trzecie spotkanie. Zgodnie z regulaminem miało się odbyć następnego dnia w tej samej hali.

Wcześniej jednak musiał orzekać Komitet Ligi, który zebrał się w trybie pilnym. Tymczasem w szatni Lolo Sáinz, trener Realu Madryt, nie krył oburzenia sędziowaniem Marcé: „Jedyny faul w ataku został odgwizdany Rullánowi, podczas gdy Davis i Starks biją się przez cały mecz [...]. Marcé działał na korzyść Barcelony. Ale to jest kampania i na obu arbitrowi wpływało, co pokazuje, że nie są to odpowiedni sędziowie do prowadzenia takich meczów”. Mówiąc o kampanii, ma oczywiście na myśli ciągłe narzekania, które w trakcie sezonu dochodziły z Barcy Núñeza na sędziowanie w meczach Realu Madryt, czy to koszykówki, czy piłki nożnej.

A tymczasem Fernando Martín zapewniał, że „zawsze gdy ktoś zaatakuję mojego kolegę, będę go bronił”. López Iturriaga wykazał się szczerością, która okaże się decydująca, jeśli chodzi o późniejsze zdarzenia: „To była nieprzyjemna akcja, za którą przepraszam, bo przez to zepsułem widowisko. Podczas bloku uderzyłem łokciem Davisa. Później on rzucił się na mnie. Potem nic już nie widziałem; kiedy arbiter mnie wyrzucił, opuściłem halę”. To znaczy, że López Iturriaga przyznał, że to on był agresorem.

W raporcie sędziowskim o incydencie można przeczytać:

W 15. minucie drugiej połowy zawodnik Realu Madryt z numerem 14 López Iturriaga, licencja nr 121 599, z premedytacją uderzył łokciem zawodnika FC Barcelony z numerem 14 Mike'a Davisa, licencja nr 430 353, który odepchnął go, zadając cios w plecy zawodnikowi wymienionemu w pierwszej kolejności.

Następnie zawodnik Realu Madryt z numerem 10 Fernando Martín, licencja nr 187 567, znalazł się na miejscu wydarzeń i wymierzył cios w twarz zawodnikowi Davisowi, doprowadzając do awantury, która spowodowała przerwanie meczu na około pięć minut.

Komitet zebrał się jeszcze tej samej nocy. Gazety zamknęły wydania, nie podając jego decyzji. „As” zamieścił notatkę, w której poinformował, że kwadrans po drugiej w nocy komitet nadal obradował. Wszyscy byli przekonani, że cała trójka uwikłana w bójkę zostanie ukarana. Barça dążyła nawet do zamknięcia hali Realu Madryt z powodu incydentów, do jakich pod koniec meczu doszło wśród publiczności.

Ale jeszcze przed rozpoczęciem zebrania sam przewodniczący komitetu Eugenio Mazón zapowiedział na antenie TVE, że prawdopodobnie jeden z tych trzech zawodników uniknie konsekwencji. Rozmawiała z nim María Antonia Iglesias, dziennikarka szczególnie znienawidzona przez barcelonistów i kibiców Joventutu, nazywających ją La Merengona^[61]. W opinii barcelonistów wywiad ten był podstępem i Iglesias naciskała na Mazóna, aby Iturriaga nie został ukarany. W Barcelonie wywołało to tak wielką irytację, że w tym samym wydaniu „El Mundo Deportivo”, w którym zamieszczono relację z meczu, znalazła się też notatka informująca, że Barça mogłaby się wycofać, jeśli dwójka madrydstów nie poniesie kary. Z drugiej strony w tej samej notatce zaznaczono, że jeden z arbitrow, madrytczyk José Gárate, nie chciał podpisać raportu.

Decyzja zapadła o trzeciej nad ranem w sobotę. Komitet zawiesił na sześć meczów Mike'a Davisa, na trzy Fernando Martína i ukarał López Iturriagę, dzięki czemu mógł on wystąpić w trzecim meczu. Na delegację Barcy wiadomość ta, chociaż w pewnym sensie spodziewana, spadła niczym bomba. Delegat klubu Josep María Miralles zadzwoił do Núñeza i efektem tej rozmowy była decyzja o niestawieniu się w hali. Zawodnicy nie poszli spać, dopóki nie poznali decyzji komitetu. Potem zasnęli na krótką chwilę, albo i wcale, i kwadrans po szóstej wyruszyli z hotelu na pierwszy tego dnia samolot, który odlatywał o ósmej. Barça odmówiła rozegrania trzeciego meczu w tym dniu i złożyła odwołanie od decyzji.

Lecz ACB nie odwołała meczu. Mimo pewności, że Barcelona nie stawi się w hali, Real Madryt sprzedawał bilety, a w kasie zebrano 1 600 000 peset. W chwili rozpoczęcia meczu w hali znajdowały się prawie dwa tysiące rozentuzajmowanych kibiców z flagami Realu i Hiszpanii. Lolo Sáinz i jego zawodnicy wyszli na parkiet w momencie, gdy należało rozpocząć rozgrzewkę. O wpół do siódmej sędziowie uruchomili chronometry, pozwolili, żeby minął regulaminowy kwadrans i po sporządzeniu raportu ogłosili zwycięzcą Real Madryt.

Komitet Apelacyjny zebrał się w trybie pilnym na wypadek, gdyby pojawiło się odwołanie Barcelony, ale kataloński klub miał cztery dni, żeby je przygotować, tak więc nie planowano składać go od razu. Po prostu kataloński klub postanowił nie grać i nie grał. Niezrozumiałą jest też wymóg rozgrywania meczu wcześniej niż w terminie wyznaczonym na złożenie odwołania, ponieważ sama możliwość jego wystosowania jest wtedy bezsensowna.

I tak Real Madryt został mistrzem. Zdarzenie to zasługiwało na dużą uwagę nie tylko w prasie sportowej. „ABC” poświęcił mu w niedzielę pierwszą stronę. Przy zdjęciu walczących o piłkę

Sibilio i Corbalána i pod tytułem *Real Madryt i Barcelona w stanie wojny* znajdował się tekst, w którym ubolewano nad tym, co zaszło. W środku wydania zaś narzekano na coraz większe upolitycznienie meczów między obiema drużynami.

Barça wystosowała ostre pismo, w pełni popierając wycofanie się zespołu i podkreślając, że „[...] jest to kropla, która przelewa czarę naszej historycznej cierpliwości, ponieważ niemożliwa jest uczciwa rywalizacja bez sportowej sprawiedliwości, a ta nie może istnieć, jeśli nadzorowana jest przez struktury działające całkowicie na korzyść określonego klubu, dowodem czego jest niepojęte zachowanie przewodniczącego Komitetu Ligi, który zamiast zamknąć się dyskretnie, jak przynależy sędziemu, natychmiast udaje się przed kamery TVE, żeby razem z dziennikarką tej stacji urządził groteskowe i absolutnie stronicze show, które całkowicie oburzyło naszą publiczność”.

Irytacja w Barcelonie osiągnęła olbrzymi poziom i spekulowano nawet, że powołani do reprezentacji Epi, Solozábal i de la Cruz, mający stawić się na zgrupowaniu kadry w poniedziałek, znów w Madrycie, nie pojadą. Ale do tego nie doszło. Pojechali.

Odwołanie od decyzji komitetu pojawiło się we wtorek W środę zostało odrzucone. Real Madryt ogłoszono mistrzem. Już we wrześniu odwołanie dotarło do Komitetu Dyscypliny Sportowej przy Ministerstwie Sportu i uprzednio nałożone kary zostały zmienione: López Iturriaga został zawieszony na trzy mecze, Fernando Martín zamiast trzech otrzymał tylko jeden mecz kary, a Davisowi utrzymano sześć meczów zawieszenia. Ale wtedy cała sprawa została objęta amnestią ze strony federacji hiszpańskiej, polegającą na tym, że od nowego sezonu anulowano kary wszystkim zawodnikom. Ułaskawienie było wynikiem srebrnego medalu zdobytego na igrzyskach olimpijskich w Los Angeles – sukcesu będącego udziałem trzech wspomnianych barcelonistów (Epi, Solozábal i de la Cruz) oraz madrydistów, w tym Fernando Martína i Lópeza Iturriagi, głównych sprawców awantury.

Barça nie otrzymała żadnej kary za niestawienie się na trzecie spotkanie finałowe. To również podlegało ułaskawieniu. Real Madryt też nie został ukarany za wycofanie się z meczu pucharowego rok wcześniej. Ponadto mógł uczestniczyć w Pucharze Zdobywców Pucharów, jako że Barça zdobyła dublet i grała w Pucharze Europy; pokonany finalista Pucharu Hiszpanii Inmobanco został rozwiązany. Cotonificio Badalona (tymczasowo znany jako Licor 43), pokonany w półfinale przez Inmobanco, domagał się prawa do gry, ale pierwszeństwo przyznano Realowi Madryt, mimo że klub wycofał się z półfinałów z Barceloną, a w Katalonii wywołało kolejną falę oburzenia.

Te uważnie śledzone starcia były w rzeczy wistości ostrzeżeniem, jak bardzo zdeterminowany jest Núñez, by poważnie stawić czoła dominacji Realu Madryt w koszykówce, która począwszy od lat 60., była jeszcze większa niż w futbolu. Pod tym względem Barça działała bardzo sprawnie, żeby zbliżyć się do centrum koszykarskiej władzy. Kiedy powstały zawodowe ligi futbolu i koszykówki, Barcelonie udało się sprawić, aby siedziba ligi basketu znalazła się w stolicy Katalonii.

Był to okres transformacji, więc bardzo przeciwstawiano się koncentracji władzy w Madrycie, widzianej jako jedna z charakterystycznych cech frankizmu. W przypadku koszykówki zebrało się kilka klubów katalońskich, aby usprawiedliwić takowe żądanie. Ale co ciekawe, Núñezowi udało się to osiągnąć dzięki jednemu głosowi madryckiemu, należącemu do Estudiantes. Fernando Bernal, sekretarz tego klubu, oddał głos, który zadecydował o tym, że siedziba organizacji znanej wtedy jako ACEB (Asociación de Clubes Españoles de Baloncesto – Stowarzyszenie Hiszpańskich Klubów Koszykarskich) znalazła się w Barcelonie. Estudiantes też nigdy nie czuł się swobodnie pod butem Realu Madryt, najgorszego rywala (niedawno podebrał im braci Fernando i Antonio Martínów, podobnie jak lata wcześniej braci Ramosów i wielu

innych zawodników). W Studentach sądzono, że lepiej na tym wyjdą, jeśli ACEB funkcjonowała będzie z dala od madridistów. Później nie będzie dokładnie tak ale...

W 1986 roku ACEB traci „E” od „Españoles” (hiszpańskich), aby stać się po prostu ACB; jak głosił komunikat, to „nazwa bardziej komercyjna i bliższa NBA”. Argument jest dobry, ale oczywiście w Madrycie postrzega się tę zmianę jako ruch inspirowany przez katalońskich nacjonalistów, dlatego to się nie podoba. Ostatecznie, w 1991 roku, ACB podpisuje umowę z federacją, kierowaną wówczas przez Ernesto Segurę de Lunę, na mocy której przelazuje ona kontrolę nad arbitrami stowarzyszeniu klubów. A także nad systemem dyscyplinarnym, czyli sankcjami nakładanymi na zawodników i kluby.

I tak pozostało do dzisiaj. Zawodową koszykówką zarządza się z Katalonii. Można pomyśleć, że to zwykły przypadek, ale fakt jest taki, że hegemonia Realu Madryt została kompletnie zniszczona. Do 1983 roku rozegrano 27 sezonów ligowych, z których Real wygrał 22, Barcelona trzy, a Joventut Badalona, popularna i sympatyczna *penya*, pozostałe dwa. Od sezonu 1983/84 (pierwszego pod rządami ACEB, już z siedzibą w Barcelonie) do 1990/91 podział przedstawiał się następująco: Barça cztery tytuły, Real trzy, Joventut jeden.

Barça już przewyższyła Real. Zdobyła cztery mistrzostwa, czyli połowę wszystkich z tego okresu i więcej w ciągu ośmiu lat niż w trakcie poprzednich 27.

A od sezonu 1991/92, czyli odłąd barcelońska ACB sprawuje kontrolę nad arbitrami i systemem sankcji, bilans wygląda tak Barça 11 zwycięstw, Real sześć, Baskonia (drużyna z Vitorii, zmieniająca nazwę w zależności od sponsora) trzy, Joventut, Manresa i Unicaja po jednym. Barça definitywnie dystansuje Real Madryt.

Bez względu na to, jak dobrze prezentowałyby się jedni i jak słabo drudzy, niemożliwe jest wy tłumaczenie takiej zmiany, nie wzięwszy pod uwagę korzyści płynących z działalności organizacji kierującej rozgrywkami bliżej danego zespołu.

Zresztą jest to front, na którym mało brakowało, a doszłoby do rozbrojenia. Oba kluby rok po roku wydają mnóstwo pieniędzy. Są to sekcje bardzo deficytowe, coraz bardziej od momentu, gdy Barça z Núñezem tak poważnie usadowiła się na czele stawki. Kiedy za 100 milionów peset sprowadzono Jiménezę, Mendoza powiedział mi: „Koszykówka doprowadzi nas ruiny”. Doszło do tego, że zaniepokojenie było tak duże, iż Antón Parera zasugerował rozwiązanie obu sekcji. Wykorzystał moment, w którym między innymi klubami ACB zaczęto mówić, że dwaj giganci psują rynek, że dzięki wspaniałemu kapitałowi pochodzącemu z futbolu i wzajemnej obsesji płacili olbrzymie kwoty, silnie wpływające na wzrost cen.

– Ktoś zaproponował nawet, żeby w lidze nie mogły występować kluby, które posiadałyby inną sekcję sportową. Nie zaaprobowano tego, nie wiem nawet, czy poddano ten pomysł pod głosowanie, ale dla mnie to wystarczyło. Skoro nas nie chcieli, a my z kolei nie chcieliśmy tracić pieniędzy, to po co było dalej to ciągnąć? Porozmawiałem z Núñezem i powiedziałem mu, że moglibyśmy dojść do porozumienia z Realem Madryt i jednocześnie zlikwidować obie sekcje. Zgodził się ze mną. Porozmawiałem zatem z Mendozą i nawet uzgodniliśmy neutralne miejsce spotkania, żeby zwołać tam konferencję prasową i to ogłosić: Gran Hotel w Saragossie. Ale w ostatnim momencie Núñez zrezygnował.

– Dlaczego?

– Bo nie ufał Mendozie, który wiele razy go oszukiwał. Obawiał się, że po ogłoszeniu tej decyzji Mendoza zostawi swoją sekcję, argumentując to presją ze strony kibiców albo czymś podobnym.

31. ZAPŁADNIAJĄC KOBIETY ZA ROGIEM

Przed sezonem 1982/83 Núñez zdobył się na największy wysiłek sprowadził Maradonę, umieszczając go w jednej drużynie z Schusterem. Bez wątplenia byli to dwaj najlepsi obcokrajowcy w lidze hiszpańskiej i prawdopodobnie dwaj najlepsi piłkarze na świecie, w tamtym momencie w takiej właśnie kolejności. Núñez wygrał już Puchar Hiszpanii i dwa Puchary Zdobywców Pucharów, ale brakowało mu jeszcze sukcesu w lidze, więc był zdeterminowany, żeby go osiągnąć. Drużynę prowadził wybitny niemiecki szkolenowiec Udo Lattek. Z kolei Real Madryt trenował Alfredo Di Stéfano, wracający do Hiszpanii po wygrananiu mistrzostwa Argentyny z River Plate (12 lat wcześniej zdobył je z Boca Juniors). W międzyczasie z Valencią wygrał mistrzostwo Hiszpanii i Puchar Zdobywców Pucharów. De Carlos, który pozostał na drugą kadencję, pokonując w wyborach Ramóna Mendozę stosunkiem głosów 10 752 do 7660, zaufał dawnej gwiazdzie klubu i powierzył mu swój nowy projekt.

Rozpoczęły się rozgrywki, a zdesperowany Núñez tylko patrzył, jak Real Madryt ucieka Barcelonie w tabeli. Chociaż jedynym znaczącym wzmocnieniem Realu był holenderski libero John Metgod (który okazał się bardzo powolny i niezbyt inteligentny), do pierwszego Klasyku sezonu, 27 listopada na Santiago Bernabéu, drużyna *los blancos* przystępowała bez porażki po 12 kolejkach, mając cztery punkty przewagi nad Barceloną. W katalońskiej prasie panował niepokój i mocno krytykowano w niej zespół. Zaczęto opowiadać, że Maradona wychodzi wieczorami, że żyje otoczony tłumem ludzi, że pozwala, by widywano go nocami, że w klubie brakuje dyscypliny. Z Schusterem też były kłopoty, o czym powszechnie wiadomo. Mówiło się, że piłkarze biorą kokainę. To właśnie wtedy od narkotyków uzależnił się Julio Alberto, którego tyle kosztowało wyjście z nałogu.

Jednak w Realu Madryt był inny temat do plotek. Żonaty Juanito od czasów gry w Burgos miał romans z młodą dziewczyną, która zaszła z nim w ciążę (później związek został sformalizowany i mieli razem trójkę dzieci). Był to fakt powszechnie znany przez opinię publiczną. I wtedy Núñez, oddalając się od uporczywej krytyki wobec arbitrów, rzucił swoje najbardziej nieszczerne i pamiętne zdanie:

– Co by o nas powiedziano, gdybyśmy mieli, tak jak inny klub, piłkarza, który zapładnia kobiety za rogiem?

Miało to miejsce podczas spotkania z prasą w Barcelonie, tuż przed wyjazdem Barcy na mecz na Santiago Bernabéu, tak więc proszę sobie wyobrazić atmosferę panującą na stadionie. Ultrasi ukuli tamtego dnia okrzyk, który przetrwał całe lata, tyle, ile Núñez stał na czele Barcelony: *Núñez, cabrito, tu hijo es de Juanito!* (Núñez, rogaczu, ojcem twojego syna jest Juanito).

Ale sam mecz nie należał do zabawnych. W siódmej minucie ewidentnie powinien zostać podyktowany karny po faulu na Isidro, ale García de Loza go nie odgwiszduje, co wywołuje wielką irytację. W 14. minucie gola strzela Esteban, co wprawia w naprawdę zły humor całej Barcelony. Ale najgorsze dzieje się w drugiej połowie, kiedy arbiter wyrzuca z boiska madrydistów – Boneta i Metgoda – gdy tablica wyników wskazywała jeszcze 0:1. W 86. minucie Quini ustala wynik na 0:2. Na murawę leżą liczne poduszeczki i inne przedmioty.

Po meczu García de Loza udziela wypowiedzi, która jeszcze bardziej irytuje madrydistów: „Nie było karnego. Jeśli w powtórkach telewizyjnych okaże się, że był karny, utnę sobie głowę”.

Powtórki pokazały, że owszem, rzut karny był, nikt nie miał co do tego wątpliwości. De Loza powiedział wówczas, że było jeszcze zbytek wcześniej, żeby odgwizdać karnego, który mógłby wpłynąć na przebieg tak ważnego meczu.

García de Loza został zawieszony na trzy miesiące, Real Madryt otrzymał wysoką karę finansową, a stadion zamknięto na jeden mecz z powodu incydentów na trybunach. Klub wybrał Rico Pérez^[62], żeby podjąć na nim drużynę Las Palmas, którą pokonał 1:0.

Przywołana wypowiedź sprawiła, że Núñez urosł w siłę. Chociaż Juanito wytoczył mu proces, a federacja wszczęła postępowanie, to obie te sprawy rozmyły się gdzieś po drodze. Núñez był zadowolony z wykonania tego destabilizującego ruchu i krok po kroku zyskiwał coraz większe wpływy w federacji, ku udręce Luisa de Carlosa, który na domiar złego musiał patrzeć, jak Real jego Di Stéfano zajmował drugie miejsce we wszystkich pięciu rozgrywkach, w których uczestniczył w tamtym sezonie – zdarzenie bez precedensu.

Najpierw w grudniu przegrał w Supercupie Hiszpanii z Realem Sociedad w meczu rewanżowym w Atocha, kiedy wytrzymał do dogrywki z wielkim trudem, grając w dziewiątkę, w deszczu padających z trybun śrubek i łóżysk. Później rozgrywki ligowe, w których w ostatniej kolejce zwyciężył Athletic, urządzając goleadę Las Palmas, podczas gdy Real Madryt przegrał w Walencji. W Pucharze Zdobywców Pucharów porażka z Aberdeen w Göteborgu 1:2. W Pucharze Ligi, rozgrywanym w tamtym czasie, finał z Barceloną – 2:2 na Bernabéu (ze słynnym golem Maradony, który czekał tuż przy linii bramkowej, żeby potem ograć Juana José i posłać piłkę do bramki) oraz 1:2 na Camp Nou. I wreszcie w Pucharze Hiszpanii również porażka z Barçą 1:2, z pięknym strzałem głową Marcosa w 89. minucie spotkania.

Tak więc Núñez miał przyjemność bezpośredniego pozbawienia Realu dwóch tytułów i uniemożliwienia mu wygrania ligi, w której jego Barça pokonała klub z Madrytu w obu meczach, co ostatecznie okazało się decydujące.

32. NÚÑEZ WYGRYWA TELEWIZYJNĄ WOJNĘ

W trakcie pierwszych lat na stanowisku prezesa Núñez traktowany był przez madrystów z pogardą. Ci gorzej wychowani nazywali go „karłem z Las Ramblas”. Uważano go za człowieka słabego, nieporadnego, skłonnego do płaczu, niemal śmiesznego, który nie potrafi niczego zrobić jak należy. Nie uważano go za wroga. Nie miał nawet największego wsparcia w Barcelonie, gdzie był bardzo strofowany przez „4-2-4”, dziennik sportowy z tamtego okresu.

Josepa Luísa Núñeza, człowieka o poglądach pravicowych, źle przyjęto w środowiskach nacjonalistycznych, zawsze domagających się prawa do sprawowania „opieki” nad Barcą. Podczas pierwszych wyborów sektor ten reprezentował Ferran Ariño, który miał ogromne medialne wsparcie, szczególnie ze strony „4-2-4”.

Dlatego też wiceprezes Joan Gaspart popierał utworzenie nowego sportowego dziennika, „Sportu”, co miało oznaczać rewolucję. Nie była to „gazeta Gasparta”, jak myśleliśmy w Madrycie, chociaż ten ją wspierał, lecz pomysł grupy młodych Katalończyków, połączonych nazwą Equipo 10, na której czele stali Antonio Hernáez, José María Casanovas (dziś jeden z redaktorów dziennika) i José María Minguella. Mieli zapał, lecz brakowało im pieniędzy, więc Gaspart pospieszył im z pomocą:

– Brakowało im miliona peset, a w tamtym czasie były to duże pieniądze. Ja też tyle nie miałem, ale chciałem im pomóc. Wtedy, jako że byłem przedsiębiorcą hotelowym, a wszystkie moje lokale współpracowały z Coca-Colą, poprosiłem ich, żeby dołożyli do gazety. Odmówili. Ale ponieważ w tamtym czasie posiadałem koncesję na wszystkie restauracje i kawiarnie na hiszpańskich lotniskach, powiedziałem im, że jeśli nie wypłacą tego miliona, to przestanę zapatrywać się w ich Coca-Colę i że zamienię ją na Pepsi-Colę. I tym ich przekonałem. Wyłożyli milion i „Sport” mógł zacząć się ukazywać.

Dziennik „Sport” pojawił się w 1979 roku i była to nowość na rynku sportowej prasy. Początkowo postrzegano go jako coś ekstrawaganckiego: „TBO”^[63] Gasparta, jak mawiano w Madrycie. Ale ich formuła na dziennikarstwo sportowe była analogiczna do tej, jaką wszyscy teraz uprawiamy: koncentracja przede wszystkim na futbolu, a w ramach tego na jednym klubie, Realu Madryt albo Barcelonie, okupującym okładkę i mnóstwo stron w środku; duża waga przykładana do potencjalnych transferów, krótkie teksty, wszystko w kolorze, promocje najczęściej związane z klubem, zaledwie jedna trzecia danego numeru poświęcona innym dyscyplinom.

„Sport” zaczął wychodzić jako dziennik ściśle związany z Barceloną, ale nie służący Núñezowi, tylko niezależny. Borykał się z poważnymi problemami, co zwiększało wrażenie zdystansowania się od Núñeza i jego ekstremalnej nieporadności, jak uważano wśród madrystów.

Ale w trakcie długiej, niebywałej wręcz w tamtym okresie walki podjętej w celu zniszczenia uprzywilejowanej pozycji Realu Madryt w TVE Núñez zaczął być uważany w Madrycie za bardzo poważnego wroga. Real dostrzegł, że usuwa się go z centrów władzy, gdzie znajdował się od lat 60.

Telewizja stopniowo wracała do futbolu, by ostatecznie stać się fenomenalnym instrumentem tego sportu. TVE zaczęła nadawać 28 października 1956 roku; w Madrycie było zaledwie 600 telewizorów, a ich cena wahała się od 24 do 32 tysięcy peset, co stanowiło prawdziwą fortunę jak na tamte czasy. Zasięg obejmował tylko Madryt. Jedną z

przeprowadzonych prób stanowiła transmisja fragmentów meczu Real Madryt – Racing Santander z Santiago Bernabéu. A zatem, jak widać, dość wcześniej zaczęto myśleć o futbolu. W 1958 roku było już 30 tysięcy odbiorników, a 13 marca pokazano pierwszy mecz, Francja – Hiszpania, rozgrywany w Paryżu na Parc des Princes. Ale była to retransmisja. Grano o trzeciej po południu, komentował Matías Prats, który z nagraniem pod pachą przyleciał do Madrytu, gdzie dopiero wieczorem wyemitowano mecz. Było 2:2. Jeśli ktoś jest ciekaw, dodam, że Hiszpania zagrała w następującym składzie: Carmelo, Quincoces II, Garay, Callejo, Santisteban, Zárraga, Miguel, Kubala, Di Stéfano, Suárez i Collar. 27 kwietnia pokazano pierwszy mecz na żywo: Atlético Madryt – Real Madryt na Metropolitano, decydujący o mistrzostwie. Było 1:1, co zapewniło tytuł Realowi.

Do Barcelony telewizja dotarła w lutym 1959 roku. Wcześniej, w październiku, w La Muela zainstalowano nadajnik, który zapewniał zasięg Saragossie, a pierwszą transmisją był mecz Hiszpania – Włochy drugich reprezentacji, które zniknęły już jakiś czas temu, a stanowiły coś na kształt przedsiönka pierwszej kadry, ale bez limitu wiekowego dla piłkarzy. W drużynie włoskiej wystąpił między innymi Maldini senior. Hiszpania wygrała 3:1, wszystkie trzy gole strzelił Joaquín Peiró. Ale wracając do Barcelony: 15 lutego na linii Madryt – Saragossa – Barcelona pokazano mecz Real – Barça na Santiago Bernabéu. Z barcelońskich sklepów zniknęły wszystkie telewizory, około 20 tysięcy odbiorników, a więc w stolicy Katalonii dzięki temu meczowi w ciągu tygodnia ich liczba wzrosła dwukrotnie. Real wygrał 1:0, a gola strzelił Chus Herrera.

Zasięg sygnału obejmował coraz większy obszar Hiszpanii i począwszy od 20 stycznia 1963 roku, mecze ligowe transmitowano regularnie o godzinie 19:00. W tamtym okresie spotkania zaczynały się o 16.30, tak więc kibice „stadionowi” mieli trzy kwadranse, żeby wrócić do domu. Albo, co działo się częściej, żeby pójść do domu zamownego krewnego.

Telewizja nie płaciła za transmisje. Ale jak już zaznaczyłem, pojawiły się pewne naciski i obiecano, że wybrany klub otrzyma rekompensatę za niesprzedane bilety, jednak nigdy tej zapowiedzi nie spełniano. Jako że na boiskach zaczęto umieszczać reklamy (mimo wielkiego oporu części tradycyjnych kibiców), TVE twierdziła, że to stanowi dla klubów wystarczającą rekompensatę.

Kluby nawet nie były w stanie sobie wyobrazić, jak trafna to przepowiednia. Bernardo Salazar, dziś znany historyk futbolu, którego wymieniam w podziękowaniach za ogromną pomoc, był wtedy dyrektorem jednej z centrali reklamowych i opowiedział mi taką anegdotę:

– Udałem się do Athleticu Bilbao z ofertą reklamową pewnej krajowej marki, jednej z wielu, które w tamtych czasach były zainteresowane pojawieniem się na boisku, a co za tym idzie w telewizji. Przedstawiłem im propozycję na 500 tysięcy peset. Powiedzieli mi, że już od dłuższego czasu mają reklamę Impermeables El Búfalo, lokalnej firmy, i z uwagi na tak niewielką różnicę nie opłacało im się od niej odchodzić. Zdziwiło mnie, że lokalna firma płaci aż tyle. „A ile wam dają?” „450 tysięcy za sezon”. Ale ja im oferowałem 500 tysięcy za mecz! Telewizja była dla firm jak manna z nieba. Przychody zwiększały się wielokrotnie. Były też niewyobrażalne jak na tamte czasy podarunki: zaproszenia na rejsy, do Cannes, gdzie pewnego razu wylądował helikopter, z którego wysiadł Charles Aznavour, żeby zaśpiewać dla nas na żywo.

Futbol był od tego daleki, nie potrafił wykorzystać okazji. Zarabiał niewiele za statyczne reklamy (bardziej wtajemniczeni nazywali to nietypowymi wpływami) i TVE, oprócz tego, że nie płaciła klubom za transmisje, pobierała procent od przychodów z tych reklam. W TVE pracowała osoba łącząca wysokie stanowisko programowe z posadą w ważnej agencji reklamowej i kierująca wyborem meczów dla własnych korzyści. Ponieważ już nie żyje, pomiję jej nazwisko z szacunku dla jej rodziny i dlatego że chcę tylko nakreślić obraz tamtej epoki.

Jedynym klubem, który coś z tym zrobił, był Real Madryt, chociaż też miał pewne trudności. García Candau w książce *Historia de un desamor* przytacza doskonałą historię na ten temat, powołując na świadka Antonio Calderóna, dyrektora generalnego klubu w wielkiej epoce Santiago Bernabéu:

Real Madryt był jedynym klubem, który uczestniczył w bardzo ważnych rozgrywkach międzynarodowych i był zobligowany do transmitowania meczów, co wyrządziło mu poważną szkodę. Arias Salgado był nieugięty pod tym względem i pewnego razu zagroził nam „zarekwirowaniem” meczu. Powiedzieliśmy mu, że aby nas do tego zmusić, potrzebne jest specjalne rozporządzenie. Doszliśmy do porozumienia, na mocy którego mieli nam zapłacić za niesprzedane bilety. Ustalono rozsądną kwotę, ale nie zrekompensowali nam strat. Po trzech meczach bez płacenia Santiago powiedział, że następnym razem drzwi dla telewizji zostaną zamknięte. W dniu meczu ekipa telewizyjna była na stadionie już o dziewiątej rano, ale jej nie wpuściłem. Ludzie z telewizji zadzwonili do komendanta głównego policji, minister zatelefonował do dyrektora generalnego służby bezpieczeństwa, którym był Carlos Arias Navarro, i ten rozkazał zatrzymać dyrektora Calderóna. Zatelefonowałem do Santiago i przekazałem mu informacje o tym, co się dzieje, a on odpowiedział, żeby słuchać poleceń dyrektora generalnego.

Do takich rzeczy dochodziło w Realu. Jednak Saporta dzięki swoim działaniom potrafił naprawić sytuację. Wiedział, jak działać, by opinia publiczna była po stronie Realu. Bardzo dobrze radził sobie z poważnymi tematami, nie tylko w gabinetach władzy, ale także w sferze medialnej. W domu, uroczej willi przy ulicy Serrano, co miesiąc organizował kolacje dla szefów działów madryckich dzienników, czasem z jakimś wybitnym gościem. Tam rozmawiano *off the record*. Poruszano różne sprawy, zaznaczając wcześniej, że nie są one przeznaczone do publikacji, ale też odpowiednio „nastawiano” zaproszone osoby – po podniesieniu serwetki znajdowały schowany dyskretnie prezent.

Łącząc w jeden pakiet mecze ligowe, mecze Pucharu Europy, w których to rozgrywkach Real zawsze uczestniczył, a także mecze koszykówki i koszykarski bożonarodzeniowy turniej, Saporta otrzymał kontrakt, na mocy którego klub zarabiał 50 milionów peset rocznie. A rywale Realu nie dostawali nic. Pozostali płacili – z wyjątkiem Barcy, jak mówił mi Parera, której pozwolono nie płacić – i nie zarabiali.

Tak się sprawy miały, kiedy pojawił się Núñez. Znamy już przeprowadzoną przez niego zwycięską batalię w związku z koszykówką. O wiele bardziej zacięta okazała się walka na polu piłki nożnej. Núñez zdobył solidną pozycję zarówno w federacji, jak i w Lidze Futbolu Zawodowego (LFP), utworzonej, podobnie jak w koszykówce, na mocy prawa sportowego przegłosowanego już w okresie demokracji. Wykorzystując tę władzę, chwycił się futbolu, argumentując, że wszystkich grabiono na rzecz Realu Madryt, co było prawdą w całej rozciągłości. Jego siła i argumenty doprowadziły do tego, że w sezonie 1984/85 nie transmitowano futbolu w telewizji, przez co kibice pomstowali jak kraj długi i szeroki. Ale Núñez działał twardo i latem RTVE ugięła

się i podpisała umowę z LFP, na mocy której w przyszłości wszyscy mieli otrzymać pieniądze, niezależnie od reklamy statycznej, a tę kluby mogły wykorzystywać bez ograniczeń.

Poza tym Barça wygrała ligę w sezonie 1984/85. Rozpoczął się on od jej wspaniałego zwycięstwa 3:0 na Bernabéu, a zakończył najbardziej pamiętnym triumfem w historii Barcelony z powodu okrzyku Joaquima Marii Puyala (*Urruti, t'estimo!*) podczas transmisji w Radio Barcelona, kiedy w końcówce meczu w Valladolid bramkarz obronił rzut karny wykonywany przez Mágico Gonzáleza przy wyniku 2:1 dla Barcelony.

Za każdym razem, gdy patrzę wstecz, wydaje mi się, że Núñez był wielkim prezesem Barcy, chociaż zauważam, że nie jest tam zbyt ceniony. Jako człowiek-prawicowy był nieco oddalony od katalońskiej esencji Barcelony, ale w Katalonii jest też spora liczba osób o takich podglądach. Podobnie było z Gaspartem, który dobrze kierował klubem. Po kadencji Núñeza rozkład sił w sporcie był zupełnie inny niż wcześniej. Gdy obejmował stanowisko prezydenta, Real Madryt dzielił i rządził we wszystkim. Kiedy odchodził, oba kluby posiadały podobną władzę. Zwiększył majątek klubu, zarządzał nim ostrożniej i rozsądniej, niż zazwyczaj ma to miejsce w świecie futbolu (za co nikt nie okazał mu wdzięczności) i na poziomie krajowym odzyskał duży udział w rynku w stosunku do Realu Madryt.

33. NADEPNIĘCIE PRZEZ STOICZKOWA I GENTIALIA SÁNCHEZA

Superpuchar Hiszpanii został stworzony przez José Luisa Rocę, prezesa federacji, na prośbę Josepa Lluisa Núñeza, który dostrzegał w nim kolejną możliwość dobrego zysku. W rzeczy wistoci Superpuchar istniał już dawno temu, od 1947 do 1953 roku, pod nazwą Pucharu Evy Duarte de Perón, w hołdzie dla pierwszej damy Argentyny, żony Juana Peróna. A także w podzięce – żeby być bardziej precyzyjnym – za dostawy pszenicy, jakie otrzymywaliśmy od Argentyny w trudnych powojennych latach izolacji.

W każdym razie w 1982 roku Superpuchar został wznowiony i w 1988 przyszło się w nim zmierzyć Realowi Madryt i Barcelonie. Real, w środku epoki Piątki Sępa, wygrał ligę, trzeci raz w ciągu pięciu sezonów. Była to wielka drużyna Realu, która stanowiła część madryckiej odpowiedzi na autonomiczną gorączkę. W tamtych latach madrytscy cy spotykali się z opiniami, że Madryt to miasto biurokratyczne i bezduszne, zajmowane przez leniwych urzędników, wykorzystujące bogatą w historię i piękne krajobrazy prowincję, która w nowych czasach wreszcie mogła się pokazać. W takiej sytuacji Madryt odwołał się do swoich cech charakterystycznych. Stąd miłość do Tierno Galvána i jego książek pisanych archaicznym kastylijskim, do movidy^[64] jako wyrazu kulturalnej awangardy, do Las Ventas^[65], gdzie na nowo pojawił się madrycki toreador Antoñete, i do Realu Madryt. A Real nie zawiodł swojego miasta, ponieważ w tamtych latach miał drużynę Piątki Sępa – czterech^[66] madryckich chłopców o artystycznym stylu gry, którzy nazaczyli całą epokę.

Barça natomiast wygrała Puchar, pokonując w finale Real Sociedad, który, co ciekawe, był drugi również w lidze. Tak więc obie drużyny przystąpiły do tego dwumeczu, rozgrywanego we wrześniu w środku tygodnia, a konkretnie w dniach 21 i 29 września, pomiędzy meczami ligowymi. Pierwsze spotkanie rozgrywane jest na Santiago Bernabéu, gdzie Real zwycięża 2:0 dzięki bramkom Míchela i Hugo Sáncheza. To komfortowa zaliczka przed meczem rewanżowym.

Na Camp Nou panuje atmosfera wielkiego oczekiwania, pragnienie odrobienia strat i duże napięcie, ponieważ okazuje się, że w podstawowym składzie Realu wychodzi Bernd Schuster. Wspaniały niemiecki piłkarz w brzydkim stylu rozstał się z Barceloną po swoim niedopuszczalnym zachowaniu w finale Pucharu Europy ze Steauą Bukareszt w Sewilli. Schuster został zmieniony przed dogrywką i od razu opuścił stadion. Wziął prysznic, wsiadł w taksówkę i pojechał na lotnisko. Barça przegrała tamten finał po rzutach karnych; szczęśliwy wieczór miał Helmuth Duckadam, który obronił cztery z nich. Spekulowano jednak, że w przypadku zwycięstwa Schuster mógł zostać wylosowany do kontroli antydopingowej, a ponieważ go nie było, mogłoby to kosztować Barcelonę nawet utratę pucharu. Nie doszło do tego, niemniej jego zachowanie było niewłaściwe. Núñez zapowiedział, że Niemiec już więcej w Barcelonie nie zagra; i rzeczywiście, nie grał przez cały następny sezon. Pozwał klub, ale doszło do ugody i w końcu Núñez zaproponował mu nawet kontrakt na kolejne trzy lata. W tym momencie jednak zainteresował się nim już Real Madryt (Núñez tak przy puszczał, dlatego też zaoferował piłkarzowi przedłużenie umowy). Faktycznie, gdy nadeszło lato, Schuster związał się z Realem. Mecz o Superpuchar był jego pierwszą wizytą na Camp Nou po tamtych wydarzeniach, a zatem można sobie wyobrazić panującą na stadionie atmosferę. Nie było może tak, jak wiele lat później w przypadku Figo, chociaż mało brakowało.

I przechodzimy do meczu. Po 15 minutach Butragueño ochładza atmosferę golem. Bakero wyrównuje jednak tuż przed przerwą, co sprawia, że nadzieje barcelońskich kibiców odżywiają na nowo. Na kwadrans przed końcem Bakero strzela na 2:1, co jeszcze bardziej potęguje radość na trybunach. Barça naciska, Real wytrzymuje, gra na czas, ukarany zostaje nawet masażysta, który wszedł na boisko bez pozwolenia arbitra Pesa Péreza. Mecz kończy się wynikiem 2:1 i Real Madryt zdobywa Superpuchar. Kiedy drużyna ma zamiar wykonać rundę wokół boiska, uniemożliwia jej to deszcz lecących z trybun przedmiotów i zawodnikom Realu z trudem udaje się przemknąć do szatni. Później pojawiają się już wręcz rytualne wypowiedzi: Katalończycy znajdują powody, żeby skrzyć się na sędziowanie i grę na czas Realu, m adridziści z kolei uważają za oburzające zachowanie publiczności, która nie pozwoliła im wykonać rundy wokół boiska. Tymczasem Gaspard stwierdza, że domaganie się tego było z ich strony jawną prowokacją.

Dwa lata później, w 1990 roku, obie drużyny znów spotkały się w Superpucharze. I znów Real jako mistrz Hiszpanii (to piąty tytuł Piątki Sępa), a Barça jako zdobywca Pucharu Króla (w finale zasłużenie pokonała Real). Ten wygrany w Walencji finał uratował głowę Cruyffa, który o mały włos nie został zwolniony przez Núñeza. Finał ten miał jeszcze nieszczesny epilog za sprawą Chendo, który schodził z boiska wściekły jak diabeł. W 90. minucie, kiedy Real naciskał w poszukiwaniu remisu i dogrywał, popełnił błąd, co zapewniło Barcelonie wynik 2:0 i koniec meczu w regulaminowym czasie gry. Do tego dochodziło jeszcze oburzenie Realu na Garcíę de Lozę, którego sędziowanie oceniano jako bardzo stronnicze. Jeszcze przed przerwą wyrzucił Hierro, pokazując mu żółte kartki za dwa faule. Więc gdy po końcowym gwizdłu do Chendo zbliżyła się telewizyjna kamera, jego wypowiedź była zatrważająca: „Wygrali ci, którzy nie są Hiszpanami”. Wywołało to wielkie wzburzenie i Chendo, na prośbę klubu, następnego dnia musiał pojawić się na konferencji prasowej, żeby to wyjaśnić. Powiedział, że nie miał na myśli Barcy ani jej piłkarzy, tylko liczną grupę kibiców (siedzącą pod transparentem z napisem *Freedom for Catalunya*), którzy przez cały mecz znieważali Hiszpanię i króla. „Jako Hiszpana bardzo mnie to bolało, wydawało się, jakbyśmy grali przeciwko jakiejś zagranicznej drużynie. Ale absolutnie nie zamierzałem obrażać Katalonii i Katalończyków. A jeśli poczuli się urażeni, to przepraszam”.

Tym razem mecze o Superpuchar rozgrywano 5 i 12 grudnia, w środy pomiędzy ligowymi kolejkami. Real słabo radził sobie w tamtym sezonie ligowym, który zakończył się pierwszym mistrzostwem ery Cruyffa. Odeszli: Schuster do Atlético (nie obyło się przy tym bez awantury) oraz Martín Vázquez do Torino.

Zanim zakończyła się pierwsza część sezonu, drużynie wiodło się tak źle, że zwolniony został John Toshack. Na ławce trenerskiej zastąpił go Di Stéfano do spółki z Camacho. Tak więc Superpuchar jawił się jako duża szansa na wyjście z dołka. Cruyff, któremu przeciwnie, wszystko szło jak po maśle, podejrzewał, że rozgrywki te posłużą Realowi za bodziec i celowo nie przykładał do nich wagi. Dlatego też wystawił dwóch bardzo młodych obrońców Áleksa i Herrere, których Hugo Sánchez doprowadzał do rozpaczcy swoimi sztuczkami. Urizar Azpitarte, arbiter meczu, miał dosyć protestów Cruyffa:

– Wpuścił tych dwóch młodych i miałem już dość jego narzekania. Ostrzegałem go. Tymczasem na dwie minuty przed końcem pierwszej połowy Chendo ostro atakuje Stoiczkowa tuż przy linii bocznej, obok ławki rezerwowych Barcy. Zawodnik Realu jednak nie kopie przeciwnika, Stoiczkow zwija się, ewidentnie symulując, a Cruyff wyskakuje i zarzuca mi, że nie odgwiżdżałem faulu. Wskazałem na wyrzut z autu. Ponieważ zaczął krzyczeć i machać rękami, powiedziałem mu: „Mam cię już dosyć, ostrzegałem cię, wracaj na swoje miejsce” i pokazałem mu żółtą kartkę. Wtedy on mi odpowiedział: „Nie mam ochoty. A przy takiej atmosferze nie odważysz się mnie wyrzucić”. „Nie? Chcesz się przekonać?” I pokazałem mu czerwoną. Wtedy Stoiczkow, który już się podniósł, przedarł się do kręgu, który utworzył się wokół mnie i mnie

nadepnął. Jego też wyrzuciłem. Staralem się wytrzymać, robiąc wszystko, żeby nie było widać po moim bólu, ale nie dałem rady. Ból mnie wykańczał. Całe szczęście, że zdarzyło się to tuż przed przerwą; zagwizdałem i zesłiśmy z boiska.

– I...?

– Pomyślałem nawet o przerwaniu meczu. Ale Ángel Mur przyszedł do szatni, zdjął mi but, opatrzył stopę i doprowadził mnie do porządku na drugą połowę, więc mogłem sędziować dalej. I powiedział mi jeszcze: „Słusznie zrobiłeś, Chendo go nie kopnął. To była symulka”.

Mecz kończył się w gorącej atmosferze, wygrał Real 1:0 dzięki bramce Michela w drugiej połowie. Minęło trochę czasu, zanim drużyna na Realu zeszła z boiska, a to z uwagi na lecące z trybun przedmioty. Piłkarze zatrzymali się przed tunelem, czekając, aż skończy się ten osobliwy deszcz.

I kiedy tam stali, Hugo Sánchez zrobił coś niestosownego, co w przekazie na żywo nie zostało jednak dostrzeżone: chwycił się za genitalia, patrząc wyzywająco w stronę publiczności. Jakś czas temu Meksykanin pojawił się w programie *Punto Pelota* i nie pozostawił najmniejszych wątpliwości, że było to celowe zachowanie. „Poprawiałem sobie superpuchary” – powiedział Cristinero Cubero, która skrytykowała go za ten gest.

Pomeczowe wypowiedzi były okropne, a prym wiódł zwłaszcza Stoiczków: „Hiszpania i Madryt zazdroszczą Barcelonie i Katalonii. Hugo zarabia tyle pieniędzy, że może zapłacić arbitrom, by nie pokazywali mu czerwonej kartki”. Núñez stwierdził: „Chcę zachować szacunek dla Hugo Sáncheza, ale gdyby grał w mojej drużynie, nie zrobiłby niczego podobnego. W jego klubie mu na to pozwalają, a prasa to toleruje. Mogę Państwa zapewnić, że nie chciałbym go w mojej drużynie, chociaż przyznaję, że jest bardzo dobrym piłkarzem”. A Hugo dołał jeszcze oliwy do ognia: „Wystarczy mi to, że za każdym razem, gdy strzelam gola albo zdobywam jakieś trofeum, Núñez i Gaspard biją głowami w mur. Tak właśnie jest, powiedziały mi o tym osoby blisko związane z Barceloną. Tak naprawdę tym całym gadaniem jedynie sławią Hugo Sáncheza. Núñez i Gaspard mają problem ze swoją miernością i wulgarnością”.

TV3 zarejestrowała gest Hugo Sáncheza i postarała się, żeby następnego dnia często go powtarzano, co w pewnym sensie umniejszało wagę czynu Stoiczkowa, najpoważniejszego, jakiego można dopuścić się w futbolu: ataku na arbitra. Porównanie obu występów było głównym tematem rozmów następnego dnia.

Komitet zawiesił Hugo Sáncheza na jeden mecz i nałożył na niego wysoką grzywnę. Real się odwołał i zawieszenie zostało anulowane. Stoiczków otrzymał karę dwóch miesięcy i dwóch meczów, która po złożeniu odwołania została zwiększona do sześciu miesięcy. Ale dziennik „Marca” przygotował zmienny reportaż, doprowadzając do spotkania Urizara i Stoiczkowa, piłkarz przeprosił, a arbiter przyjął przeprosiny. Dzięki temu Barcelonie udało się zmniejszyć karę zawodnika ponownie do dwóch miesięcy i dwóch meczów, w związku z czym po upływie tego czasu Barça mogła znowu liczyć na Bułgara w lidze.

W meczu rewanżowym wystąpił Hugo, Stoiczków nie zagrał. Barça, która nie miała zamiaru się poddawać, objęła prowadzenie dzięki bramce skrzydłowego Goikoetxei. Ale Real zdołał odwrócić losy spotkania, wygrywając aż 4:1; dwa gole strzelił Butragueño, jednego Hugo i jednego, ostatniego, Aragón. Cruyff znów postawił na młodziutkich Herrere i Áleksa. Czwartą bramkę strzałem z koła środkowego boiska zdobył Aragón, który przelobował Zubizarrete, co niesamowicie uszczęśliwiło madrydistów. Do tego wręcz stopnia, że Ramón Mendoza w przypływie entuzjazmu następnego ranka wezwał do gabinetu Aragóna i dał mu podwyżkę z 30 do 60 milionów peset. Był to czas, gdy zarobki zawodników z Piątki Sępa, jednego po drugim, rosły do 100 milionów; stąd też określenie „Klub Stu”.

Tamten Superpuchar był też jedynym trofeum Alfredo Di Stéfano w roli trenera Realu Madryt. Potem klub kontynuował złą passę, co przyczyniło się do odejścia Argentyńczyka i zatrudnienia Radomira Anticia. Wcześniej Di Stéfano pracował w Realu w sezonach 1982/83 i 1983/84, ale nie zdobył żadnego tytułu. Pierwszy z nich zakończył pięcioma drugimi miejscami: w lidze, Pucharze, Superpucharze, Pucharze Ligi i Pucharze Zdobywców Pucharów.

34. DWIE LIGI Z TENERYFY

Końcówka sezonu 1991/92 była niezwykle intensywne. Do ostatniej kolejki Real Madryt przystępował z punktem przewagi nad Barceloną, która zdobyła mistrzostwo w poprzednim sezonie. Był to czas, gdy zaczął brylować *Dream Team* Johana Cruyffa, Piątka Sępa weszła zaś w powolny i długi okres agonii. W poprzednim sezonie Realowi wiodło się źle, podczas gdy Barça szybko oddalała się w tabeli dzięki nowatorskiej, ofensywnej i eleganckiej grze.

Toshack, trener, z którym Real zdobył mistrzostwo w sezonie 1989/90, piątę w erze Piątki, wcześniej stracił panowanie nad sytuacją. Piłkarze obwiniali go o to, że zbyt wiele uwagi poświęca Realowi Sociedad, gdzie wobec nieuchronnych wyborów do przejęcia władzy przygotowywał się kandydat widzący go w roli dyrektora generalnego. Wyzначаł treningi wcześniej rano w poniedziałek, we wtorek dawał zawodnikom wolne i wracał w środę po południu po spędzeniu 48 godzin w San Sebastián. Real grał coraz gorzej, aż w końcu Mendoza zwolnił Toshacka. Zastąpili go Di Stéfano i Camacho, którzy utworzyli trenerski tandem, drużyna jednak się nie podniosła. Później zespół tymczasowo (na dziesięć dni) objął Ramón Grosso, aż pojawił się Radomir Antić, już 31 marca. Naprawa sytuacji zajęła mu kilka meczów, ale wreszcie wyszedł na prostą (osiem zwycięstw i jeden remis w dziewięciu ostatnich meczach) i Realowi udało się zająć trzecie miejsce w lidze.

Drużynie w tamtym sezonie wiodło się tak źle, że w połowie sezonu, podczas kolacji z grupą osób z Canal+ (gdzie w tamtym czasie pracowałem jako szef sportu), Michel powiedział, że mogą nawet spaść z ligi, ponieważ wielu piłkarzy było rozkojarzonych i niezainteresowanych sytuacją zespołu.

Przyspieszenie w ostatnich meczach pozwoliło jednak zakończyć rozgrywki na przyzwoitym miejscu, ale Mendoza, jeszcze przed finałowym sprintem Anticia, który miał być tylko przejściowym rozwiązaniem, zobowiązał się zatrudnić Leo Beenhakera, trenera z najlepszych lat Piątki Sępa. Później ta końcówka Realu Anticia sprawiła, że Mendoza poczuł się zobligowany do przedłużenia umowy z Serbem, ale jednocześnie uszanował moralne zobowiązanie wobec Beenhakera, mianując go menedżerem. To znaczy, że Antić rozpoczynał sezon 1990/91 z oddechem Beenhakera na karku. To nie wróżyło niczego dobrego. I stało się to, co się stało.

Chociaż Antić radził sobie dobrze, panowało przekonanie, że jego posada jest jedynie tymczasowa. Ostatecznie – przypadek niebywały w historii futbolu – zwolniono go tuż po pierwszej rundzie... kiedy Real był liderem! Jako powód podano to, że drużyna miała nawet osiem punktów przewagi nad Barceloną, a zostały jej już tylko trzy, po tym, jak przegrała dwa ostatnie mecze wyjazdowe, z Atlético i Valencią.

Prawda jest jednak taka, że po pierwsze, Mendoza od początku chciał zmienić Anticia na Beenhakera. Po drugie, w ciągu całej rundy rewanżowej, z Beenhakera na ławce trenerskiej, drużyna zdobyła o osiem punktów mniej (!) niż w pierwszej rundzie z Anticiem.

Ale mimo to i tak była liderem przed ostatnią meczem, z 54 punktami na koncie. Na zakończenie sezonu Real grał na Teneryfie, podczas gdy Barça podejmowała Athletic. Dwaj pretendenci do tytułu zremisowali w obu bezpośrednich starciach (1:1). Pod względem różnicy goli przewagę miał Real, dlatego do zdobycia mistrzostwa wystarczyłby mu remis.

Dni przed meczem były pełne napięcia. Złożyły się na to dwie istotne sprawy. Z jednej strony przed Teneryfę nie brakowało Madridistów. Trenerem zespołu był Jorge Valdano,

były piłkarz Realu, kolega z drużyny z czasów Piątki, z heroicznego dnia odrabiania strat w Pucharze UEFA, będących wtedy jeszcze świeżo w pamięci (Valdano wróci później do Realu jako trener, a następnie dyrektor generalny w dwóch okresach rządów Florentino Péreza). W bramce (i to wywoływało największą nieufność w Barcelonie) stał Agustín, który także występował w Realu Madryt, wychowywał się w pamiętnej drużynie Castilli, grającej w finale Pucharu Króla. Poza tym w składzie Tenerife znajdowali się również Francis, kolega z Castilli Butragueño, Míchela i reszty, i Julio Llorente, też były piłkarz Realu, brat Paco, który nadal grał w klubie, i koszykarzy José Luisa i Toñina – sami madrydziści, a na dodatek bliska rodzina Gento (synowie jego siostry). A jakby jeszcze tego było mało, w Tenerife występował także Manolo Hierro, brat Fernando Hierro, wspaniałego piłkarza *los blancos*.

(Później mecz ten przyczyni się do wybuchu dziennikarskiej bomby z opóźnionym zapłonem: złożono doniesienie o największej wiarygodności, o którym poinformowano w programie *El Larguero* na antenie stacji Cadena SER, że jeden z piłkarzy Barcelony, były kolega z La Masii Luisa Milli, zaproponował temu ostatniemu łapówkę, aby umożliwić wygraną Barcy. Najpierw spekulowano, że mógł to być Amor, ale ostatecznie podejrzenia padły na Angoya, zięcia Cruyffa. Milla wychowywał się w La Masii, a Real Madryt sprowadził go z Barcelony, wykorzystując biurokratyczne zaniedbania klubu. Jeśli ktoś chciałby poznać więcej szczegółów tej sprawy, znakomicie opowiada o nich książka José Ramóna de la Moreny *Aquí unos amigos* [Oto kilku przyjaciół], podobnie jak i o późniejszej premii w wysokości 20 milionów peset, którą Barça wypłaciła Tenerife za tamto zwycięstwo).

W Canal+ bardzo przeżywaliśmy te wydarzenia. Dzięki kontraktowi mogliśmy pokazać oba mecze, ponieważ wcześniej starałem się nie wyczerpać limitu transmisji ani jednego, ani drugiego zespołu (przewidując, że dopiero w ostatniej kolejce któryś z nich może zdobyć mistrzostwo) i jako że oba mecze rozgrywano w niedzielę, równoległe z pozostałymi, były to transmisje kodowane. Do dziś pamiętam trudności z tygodnia poprzedzającego tę kolejkę, kiedy Javier Pérez, prezes Tenerife, robił wszystko, żeby nie pozwolić na transmitowanie spotkania, jeśli klub nie otrzyma dodatkowych pieniędzy. Musiałem dyskutować z nim na żywo w programie José Marii Garcíi, jedyny raz w moim życiu. Moje relacje z Garcíą nigdy nie były dobre, muszę jednak przyznać, że w tym przypadku zachował się uczciwie.

Na arbitra wyznaczony został García de Loza, wobec którego Real stał się podejrzliwy po ligowym meczu z Barceloną 27 listopada 1982 roku (porażka 0:2 i zamknięcie Santiago Bernabéu), ale niewiele osób to zauważyło. W tamtym czasie madrydziści praktycznie nie zwracali uwagi na sędziów. Zaczęli to robić po tych właśnie wydarzeniach.

W sali dowodzenia w Canal+ wybierałem, na którym stadionie jesteśmy w danym momencie wieczoru. Dopisywało mi szczęście, bo udało nam się pokazać na żywo sześć z siedmiu goli. Na początku podzieliłmi ekran na pół, żeby udowodnić, że faktycznie oba mecze rozgrywane są równoległe, o co zadbali obaj sędziowie. Więcej czasu przeznaczyliśmy na mecz na Teneryfie, bo była to prawdziwa esencja całego sezonu, ale końcówkę prawie w całości poświęciliśmy Camp Nou, gdzie wybuchła niesłychana euforia, kiedy okazało się, że mistrzem została Barcelona.

Mecz rozpoczyna się dobrze dla Realu, który obejmuje prowadzenie dzięki bramce Hierro (ósma minuta). Agustín, którego występ do końca stał pod znakiem zapytania z powodu bólu barku, prosi o zmianę, co wywołuje немало komentarzy. Ci najbardziej złośliwi podsumowują to tak wyszedł, żeby jak najszybciej pozwolić wbić sobie gola, a potem zejść z boiska i w ten sposób wykorzystać jedną ze zmian. Zastępuje go Manolo, któremu dość szybko (w 28. minucie) Hagi

strzela gola z rzutu wolnego. W przerwie Real Madryt czuje się już mistrzem, mimo że w 36. minucie Estebanz trafia dla Tenerife. Ale wynik 2:1 wygląda dobrze.

Jednak w drugiej połowie wszystko się zmienia. García de Loza, który pokazuje już, o co mu tak naprawdę chodzi z kartkami, nie uznaje gola Milli, chociaż powtórki potwierdzają, że został strzelony prawidłowo. Beenhakker przestawia drużynę, zastępując napastnika Alfonso bocznym obrońcą Lasą (59. minuta). García de Loza nie odgwiżdzuje ewidentnego rzutu karnego po faulu na Butragueño, a w 69. minucie wyrzuca z boiska Villarroyę za dwie pokazane w krótkim odstępie czasu żółte kartki, obie bardzo naciągane (w trakcie całego meczu pokazał jedną kartkę Tenerife i sześć Realowi). Real zaczy na się denerwować, a Tenerife atakuje w poszukiwaniu zwycięstwa i zaferowanej przez Barcelonę premii. W 76. minucie, po szybkiej akcji przeciwnika, Rocha, brazylijski stoper, myli się i trafia do własnej bramki na 2:2. I zaledwie dwie minuty później dochodzi do niemalże groteskowej akcji. Sanchís ze środka pola zagrywa długą, wysoką piłkę do Buyo (wtedy bramkarz mógł łapać piłkę po podaniu od swojego kolegi, załącz wprowadzono później). Piłka leci i leci, źle skierowana, wydaje się, że wyjdzie na rzut różny. Buyo do niej biegnie, rzuca się poza prawy słupek bramki i odbija ją w lewą stronę, żeby nie wypaść z futbolówki poza boisko. Kiedy zdaje sobie sprawę z tego, co zrobił, zostawiając piłkę samą w polu bramkowym, toczącą się przed bramką, podnosi się i biegnie, ale Pier zjawia się niczym pocisk, dosięga jej przy drugim słupek i strzela.

Przez pozostałą część spotkania Tenerife ku uciesze swojej publiczności kontroluje mecz. Opóźnia grę, zagrywa piłkę do tyłu, bawi się z rozbitym Realem. Barça tymczasem, co było do przewidzenia, pokonała Athletic (2:0) w meczu bez historii, podczas którego całe Camp Nou oczekiwalo na zakończenie spotkania na Teneryfie. W przerwie pokazaliśmy w Canal+ pełne rozczarowania wypowiedzi z łóży na Camp Nou, łącznie z kilkoma szkalującymi insynuacjami. Ostatecznie jednak cały stadion utonął w euforii. *Dream Team* wygrał ligę po raz drugi, do czego wkrótce dołoży pierwszy Puchar Europy, zdobyty w słynnym finale na Wembley z golem Ronalda Koemana w dogrywece.

(Co ciekawe, w przededniu meczu w Londynie, który zapewni Barcelonie pierwszy „uszaty” puchar, Joan Gaspart użył określenia *Dream Team* na określenie tamtej wielkiej Barcy, zapożyczając termin od przydomka amerykańskiej drużyny koszykarskiej zbudowanej na igrzyska olimpijskie w Barcelonie. Samaranchowi udało się otworzyć igrzyska na profesjonalizm i po raz pierwszy w koszykarskiej reprezentacji Stanów Zjednoczonych mieli spotkać się wielcy zawodowcy z NBA, grając w drużynie marzeń. Przed meczem w Londynie Gaspart w rozmowie z Manuelem Oliverosem z SER oświadczył: „Ta Barça to prawdziwy *Dream Team*”. I określenie to zrobiło furorę).

Na domiar złego trzy tygodnie później Real przegrał finał Pucharu Króla na Santiago Bernabéu z Atlético 0:2 po bramkach Futre i Schustera. Był to katastrofalny epilog powrotu Beenhakera, pokonanego przez dwóch wielkich rywali z rzędu.

Ale naprawdę niezwykłe było to, że w następnym roku wydarzenia z Teneryfy powtórzyły się niemal co do joty. W ostatniej kolejce Real ma punkt przewagi nad Barceloną, w bezpośrednich starciach pod względem bramek jest remis, ogólny bilans wypada na korzyść Barcy. Real znów kończy sezon na Teneryfie (!), gdzie trenerem miejscowej drużyny cały czas jest Valdano. Barça ostatni mecz gra u siebie, nie z Athletikiem, ale blisko: z Realem Sociedad. Szkoleniowcem Realu Madryt jest teraz Benito Floro, w którym Mendoza upatrywał kogoś w rodzaju hiszpańskiego Arrigo Sacchiego, by w oparciu o niego budować przyszłość. W Barcelonie nadal pracuje Cruyff, już zdobywca Pucharu Europy, w trakcie triumfalnego pochodu.

I znów mamy w Canal+ przywilej transmitowania równolegle obu meczów. Nasze zespoły pracują w tych samych składach co przed rokiem. Carlos Martínez i Michael Robinson

komentowali spotkanie na Teneryfie, gdzie było znacznie więcej do opowiedzenia; z kolei Chus del Río i „Lobo” Carrasco relacjonowali wydarzenia na Camp Nou („Lobo” Carrasco ubrał się tak samo jak rok wcześniej, żeby przekonać się, czy znów przyniesie swoim szczęście). Główni reporterzy, podobnie jak przed rokiem, też znajdowali się na Camp Nou: Josep Pedrerol (dziś prowadzący program *Punto Pelota*) w łoży i Juan Carlos Nieto przy murawie. Ja ponownie zasiadłem w sali dowodzenia w Madrycie, wybierając, który mecz transmitujemy w danym momencie. I znów pokazaliśmy podzielony ekran na początku meczu i w chwili rozpoczęcia drugiej połowy, aby potwierdzić, że faktycznie oba spotkania rozgrywane są w tym samym czasie.

Tym razem nie sędziuje García de Loza, lecz Gracia Redondo, który już na wieki pozostanie w pamięci madrytistów, w jeszcze większym stopniu niż poprzedni arbitrer.

Valdano, jak już wspominałem, nadal był w Tenerife. Podobnie jak Agustín i Julio Llorente, ale ze strony Barcy nie ma już tylu podejrzeń. Tenerife stało się klubem zaprzyjaźnionym z *culés*. I ma lepszą drużynę. W poprzednim roku Valdano objął zespół w trakcie sezonu i zdołał uratować go przed spadkiem niedługo przed ostatnią kolejką. Teraz, lepiej ułożony i ze znacznymi wzmocnieniami, zespół ma aspiracje, żeby awansować do Pucharu UEFA, co ostatecznie uda mu się dzięki zwy cięstwu tego dnia.

Mecz rozpoczyna się pomyślnie dla Tenerife: w 11. minucie obejmuje prowadzenie za sprawą gola Dertycii. W 40. minucie Zamorano staje twarzą w twarz z Agustínem, mija go, ten zahacza Chilijczyk rękami i go przewraca, ale Gracia Redondo pozwala grać dalej. Niedługo potem sytuacja się powtarza, tym razem Zamorano drybluje w drugą stronę, Agustín znów go przewraca, a Gracia Redondo znów udaje, że niczego nie widzi. Dosłownie kilka chwil później Chano strzela głową na 2:0. Tuż przed przerwą uderzenie głową Hierro zostaje zastopowane przez rękę Toniego, wykonującego coś w rodzaju siatkarskiego bloku. Gracia Redondo ponownie pozwala grać dalej. Koniec pierwszej części.

Druga połowa jest praktycznie bez historii, z wyjątkiem wyrzucenia z boiska Zamorano i Césara Gómeza oraz rozpaczy Realu, który zupełnie nie może odnaleźć się w tym meczu. Tymczasem Barça, zgodnie z przewidywaniami, wygrywa 1:0 z Realem Sociedad, tak więc znów zdobywa mistrzowski tytuł. To trzecie z rzędu mistrzostwo *Dream Teamu*. Czwarte zapewni sobie dzięki niewykorzystanemu rzutowi karnemu Djukicia w końcówce spotkania Deportivo – Valencia w La Coruña.

Madrytista zawsze będzie przypominał kibicom Barcelony, że z czterech ligowych triumfów *Dream Teamu* trzy zapewnił sobie w ostatnim momencie sezonu, o mały włos, a dwa z nich dzięki bardzo stronniczemu sędziowaniu w meczach Realu Madryt w ostatnich kolejkach.

Núñez odwodził się Tenerife, zapraszając drużynę do udziału w Pucharze Gampera i wręczając prezesowi klubu medal ze złota i brylantów. A w tym samym czasie sprowadził do Barcelony Quique Estebananza, w opinii madrytistów było jawną kpiną.

35. „KTO NIE SKACZE, TEN POLAKIEM” I PODWÓJNE 5:0 W CIĄGU 364 DNI

Przed rozpoczęciem sezonu 1993/94 Barça ze swoim *Dream Teamem* miała na koncie trzy ligowe mistrzostwa z rzędu i kroczyła po czwarte. Real Madryt utrzymał Piątkę Sępa, chociaż nie udało mu się zrekomensować odejścia weteranów, wokół których zbudowano drużynę. Mendoza dołożył wszelkich starań, żeby sprowadzić Jugosłowianina Roberta Prosinečkiego, najważniejszą postać Crveneje Zvezdy, zdobywcy Pucharu Europy z sezonu 1990/91, i w tym celu udał się nawet do Jugosławii, gdzie toczyła się wtedy wojna. Zostało już powiedziane, że w poprzednim sezonie zatrudniono trenera Benito Floro, którego doktorski wizerunek na początku zaskakiwał. Zrobił z Albacete niezłą drużynę, ale gdy przychodził do Realu, jego bagaż doświadczeń nie był o wiele większy, co w dłuższej perspektywie będzie mu doskwierać.

Rywalizacja między oboma klubami osiągnęła szczyt. Poprzednie rozgrywki były drugą „Ligą z Teneryfy”. Tę porażkę Real zrekomensował sobie po części, wygrywając finał Pucharu Króla w Walencji przeciwko Saragossie. To sprawiło, że oba kluby ponownie miały spotkać się w Superpucharze, rozgrywanym w grudniu. 2 grudnia – zwycięstwo Realu Madryt 3:1 na Santiago Bernabéu. 16 grudnia – remis 1:1 na Camp Nou. Był to jeden z niezliczonych momentów zerwanych więzi między oboma klubami, w związku z czym Mendoza nie pojechał na Camp Nou. Nie udał się tam też wiceprezes Lorenzo Sanz. Na tradycyjnym obiedzie prezesów Real reprezentowali dwaj członkowie zarządu – Stampa Braun i Juan Bustos.

Ale Mendoza, i owszem, wybrał się na lotnisko Barajas, żeby powitać wracającą z Barcelony drużynę. Tam dołączyli do niego ultrasi, którzy intonowali przyśpiewki wychwalające Real i obrażające Barcę, aż w pewnym momencie jeden z nich zaśpiewał: *Un bote, dos botes, polaco el que no bote!* (Jeden podskok, dwa podskoki, kto nie skacze, ten Polakiem!). Rozentuzjowany Mendoza, nie zważając na znajdujące się dookoła kamery telewizyjne, przyłączył się do okrzyków i skłania. Następnego dnia obrazek ten pojawił się we wszystkich programach informacyjnych i wywołał falę oburzenia w Katalonii. Jakiś czas później w rozmowie ze mną przyznał, że kiedy zobaczył siebie w telewizji, poczuł się trochę zawstydzony: „Wiem, że nie powinienem tego robić. Ale czasem zdarza się tak, że człowiek daje się ponieść...”.

Niedługo po zdarzeniu na Barajas, gdy skoki prezesa Realu były jeszcze świeżo w pamięci Katalończyków, obie drużyny spotkały się w lidze. Miało to miejsce 8 stycznia na Camp Nou. Obie zajmowały wysokie miejsca w tabeli, Barça zgromadziła o punkt więcej od Realu, ale fotele lidera zajmowało Deportivo, które marzenia o tytule zachowało aż do ostatniej kolejki. Żaden z wielkich rywali nie był zadowolony z ligowych występów. Na tym etapie, jeszcze przed zakończeniem pierwszej rundy, Barcelona przegrała już cztery mecze i cztery zremisowała. Real z kolei przegrał sześć i zremisował trzy. Zmieniali się w górnej części tabeli ze Sportingiem i Athletikiem jako grupa pościgowa tamtego niesamowitego Depor z Beбето, Donato, Franem, Mauro Silvą i innymi.

Dni poprzedzające mecz są niespokojne. Spotkanie wyznaczone zostało na sobotę; następnego dnia ma się odbyć Klasyk drużyn koszykarskich, a Real, który otrzymał od Barcelony 70 wejściówek na to spotkanie, rozdzielił je między ultrasów (wtedy bardzo aktywnych i cieszących się bardzo złą sławą), tymczasem ci jadą do Barcelony dzień wcześniej z zamiarem pójścia na mecz piłkarski. Jest ich znacznie więcej, aż 300, jak podały gazety tamtego dnia. Lorenzo Sanz

negocjuje z Barcą wejściówki na mecz piłkarzy, ale Antón Parera mu odmawia. Na kilka godzin przed meczem dochodzi do ulicznych zamieszek, ultrasi niszczą zaparkowane samochody, ale nie wchodzi na stadion. Jednak w pewnym sensie wyjdą z tych ekscesów zwycięsko, ponieważ Real dostanie srogie lanie.

Gdy rozpoczyna się mecz, cała Hiszpania siedzi przed telewizorami. Barça, dodatkowo zmotywowana zwycięstwami, znajduje wreszcie koncentrację i inspirację, czego brakowało jej od początku sezonu, i gra dobrze. Decydujący jest pierwszy gol, później często powtarzany w telewizji: Guardiola podaje do Romário, który będąc przed Alkortą, wykonuje „krowi ogon” (brazylijski drybling, praktycznie niestosowany w Hiszpanii: zawodnik zagarnia piłkę w jedną stronę, żeby za chwilę gwałtownie zmienić kierunek), biegnie i korzystając z wyjścia z bramki Buyo, strzela przy dalszym słupku. Piękno tego gola sprawia, że Camp Nou nie posiada się z radości. Mimo to do przerwy jest tylko 1:0. Real Madryt, mimo kontuzji Alfonso (obiecujący napastnik ze szkółki, który posadził na ławce rezerwowych Butragueño), broni się i utrzymuje wynik.

Niedługo po wznowieniu gry Stoiczków upada w pobliżu pola karnego Realu. Madryścićci upierają się, że nie było faulu, jednak Urío wskazuje na rzut wolny. Koeman uderza w swoim stylu, zdobywa bramkę na 2:0 i wywołuje szaleństwo na trybunach. Cruyff natychmiast zmienia Stoiczkowa (mającego już na koncie złotą kartkę i dalej bardzo pobudzonego), wprowadzając Laudrupa.

Więcej mądrości i mniej ognia, ale ogień już na boisku nie był potrzebny. Teraz opanował trybuny. Na marginesie: wtedy można było wystawić tylko trzech obcokrajowców, a w składzie Barcy znajdowało się czterech: Koeman, Laudrup, Romário i Stoiczków. Laudrup najczęściej był tym poszkodowanym, co zdecyduje później o jego przejściu do Realu Madryt, o czym piszę w dalszej części rozdziału.

Od tego momentu Barcelonie idzie jak po maśle. W 57. minucie strzela na 3:0 (Romário), w 81. na 4:0 (trzeci gol Romário tego wieczoru) i w 87. na 5:0 (Iván, młody asturyjski piłkarz, który potem nie zrobi wielkiej kariery w Barcelonie). Camp Nou tonie w ekstazie. Toni Bruins, asystent Cruyffa, podnosi się, trzymając w górze otwartą dłoń i pokazując pięć palców, magiczną liczbę dla publiczności. Tych pięć goli kibicom w podeszłym wieku odejmuje 20 lat, przypominając sobie 5:0 na Santiago Bernabéu z lutego 1974 roku, jeden z najbardziej radosnych wieczorów w historii Barcelony. Cruyff był wtedy nowo przybyłym piłkarzem, teraz jest wybitnym trenerem klubu i uczynił Barcelonę naprawdę wielką. Znowu Cruyff.

Barcelońskie gazety rozpisują się w ironicznym tonie, madryckie lamentują. Piłkarze Barcy, wraz z żonami i narzeczonymi, wychodzą, żeby się zabawić, do Up & Down, najslynniejszego lokalu w mieście, gdzie raz za razem rozbrzmiewa piosenka *Botifarra de pagès* zespołu La Trinca, opowiadająca o tamtym 5:0 sprzed lat: *Sonaren cinc campanades allà a la Porta del Sol. Cinc cops plorà la Cibeles. Madrid estava de dol...* Ci najstarsi z najstarszych pamiętali jeszcze 5:0 z marca 1945 roku, ze wspaniałych lat Césara. Tamto zwycięstwo pozbawiło Real pierwszego miejsca w lidze, którą ostatecznie wygrała Barça z jednym punktem przewagi.

W Realu wynik ten pogrzebał projekt Benito Floro. Chociaż jego pierwszy sezon na ławce trenerskiej nie był zły (przegrał ligę na Teneryfie, ale wygrał Puchar, a także Superpuchar Hiszpanii), to Real źle znosił trzy kolejne mistrzostwa barcelońskiego *Dream Teamu*; nie był do czegoś takiego przyzwyczajony, więc pragnął jak najszybciej odzyskać tytuł. Benito Floro, wypowiadając się następnego dnia dla mediów, ostatecznie sam przystawił sobie nóż do gardła. W rzeczywiście odniósł się do wcześniejszych słów Lorenzo Sanza, wtedy wiceprezesa Ramóna Mendozy (a później prezesa), który po meczu uzależnił przyszłość Benito Floro od tego, co

wydarzy się w dwumeczu Pucharu Króla z Atlético. Pierwsze spotkanie, na Santiago Bernabéu, które właśnie się odbyło, zakończyło się remisem 2:2.

Dzień po meczu Benito Floro udzielił wywiadu dziennikowi „As”. Stwierdził, że nie ma zamiaru podawać się do dymisji, że problemem nie jest trener, lecz szefostwo, że przed jego przybyciem w krótkim odstępie czasu zwolnili Tosta, Anticia i Beenhakera i że on nie wyrzuciłby żadnego z tej trójki. Mówił, że latem prosił o określone transfery, ale go zignorowano i że jego odszkodowanie nie jest najważniejszym problemem, jaki teraz ma klub. Powiedział też, i była to prawda, że odłąd pracuje w Realu, drużyna mierzyła się z Barceloną siedem razy i odniosła pięć zwycięstw. Lecz wszystkie te argumenty ulatywały wobec frustracji po 0:5, którą Benito Floro przypisywał skuteczności zaprezentowanej przez Barcę: „Oddali siedem strzałów i zdobyli pięć bramek”.

W reakcji na te słowa Real ukarał go grzywną w wysokości dwóch milionów peset. Szkoleniowiec utrzymał jednak posadę, ponieważ pokonał Atlético na Manzanares 3:2. Ale w następnej rundzie, mierząc się z Tenerife, odpadł z rozgrywek pucharowych i w marcu, po ligowej porażce z Llei-

dą (pewniakiem do spadku), został zwolniony. Był to ten mecz, w którym skompromitowały go zarejestrowane przez Canal+ krzyki do piłkarzy w przerwie („Fujarą ich pieprzymy...!”). To definitywnie przyczyniło się do jego odejścia. Drużynę tymczasowo objął Vicente del Bosque.

Barça wygrała wtedy ligę. Znowż rzutem na taśmę, ale tym razem kosztem Deportivo, kiedy w ostatnich minutach ostatniego meczu ku osłupieniu całego Riazor Djukić nie wykorzystał rzutu karnego. Rozpędzona Barcelona dotarła aż do finału Pucharu Europy, rozgrywanego w Atenach, w którym mierzyła się z Milanem. Barça, zdobywca Pucharu sprzed dwóch lat, przystępowała do meczu w roli faworyta, ale niespodziewanie przegrała 0:4. Grała źle, a ten wynik faktycznie oznaczał koniec *Dream Teamu*. Cruyff obrazził się na wielu piłkarzy (między innymi na Zubizarretę, który musiał odejść do Valenci, gdzie kontynuował karierę jeszcze przez kilka lat), a Laudrup sam postanowił zmienić klub. Nie zagrał w tamtym meczu, bo w podstawowym składzie znowż wyszli Koeman, Stoiczko i Romário. Real Madryt kusił go już od marca, gdy piłkarz potajemnie spotkał się z Mendozą w paryskim hotelu Orly. Przegrany finał ostatecznie go przekonał i Duńczyk zaakceptował propozycję Realu. Pozycja Cruyffa, który miał już spięcia z Núñezem i z wieloma innymi ludźmi z klubu (zwłaszcza z wpływowym dyrektorem generalnym Antónem Parerą), była mocno kwestionowana. Tym bardziej gdy dokonał kilku trudnych do racjonalnego wytłumaczenia transferów, jak zakup Hagiego, który wcześniej występował w Realu Madryt, albo Eskurzy, a poza tym w bramce postawił na Carlosa Busquetsa (ojca obecnego pomocnika Barcelony i reprezentacji Hiszpanii), bramkarza ekstrawaganckiego, grającego w spodniach od dresu, który bardzo dobrze radził sobie z grą nogami, rozpoczynając akcję, ale między słupkami daleko mu było do wybitnego zawodnika. Dla jasności: jego klasa znacznie odbiegała od tej prezentowanej przez skazanego na zsyłkę Zubizarretę. Oprócz tego relacje między Cruyffem a Romário pogarszały się coraz bardziej. Romário, który z Brazylią wygrał mistrzostwa świata w Stanach Zjednoczonych, bardzo opóźnił swój powrót z wakacji. Cruyff kazał mu trenować w górach tylko z trenerem przygotowania fizycznego Ángelem Vildą i poinformował prasę o dokładnym miejscu ćwiczeń, aby w gazetach pojawiły się stosowne artykuły.

Tak więc dla Barcelony sezon malował się w odmiennych barwach niż poprzednie. Dla Realu Madryt również, chociaż w pozytywnym sensie. Jorge Valdano reprezentował projekt pełen nadziei. Był piłkarzem Realu, dobrym piłkarzem. Mimo że u części kibiców wzbudzał pewne podejrzenia ze względu na zdeklarowane lewicowe poglądy i mimo że niektórzy krzywili się na widok jego „złotego dzioba”, to był człowiekiem szanowanym, wykształconym, który w trakcie

krótkiej kariery trenerskiej zrobił z Tenerife drużynę wyjątkową, dobrze radzącą sobie w Pucharze UEFA^[67], co było czymś nie do pomyslenia w kontekście klubu tego pokroju. W Realu Madryt aż trzykrotnie wywoływał gniew, wszak zajmował ławkę trenerską Tenerife w fatalnych dniach, dwukrotnie decydujących o tytule mistrzowskim, a poza tym wyeliminował Real z Pucharu Króla w drugim sezonie pracy Benito Floro dzięki głośnej wygranej 3:0 na Santiago Bernabéu. Był to mecz, w którym Real stracił nerwy; z boiska wyleciało trzech piłkarzy: Milla, Zamorano i Sanchís, a murawa pokryła się poduszczkami w reakcji na grę drużyny.

Później, w sali prasowej, Valdano złożył deklarację głęboko przesiąkniętą duchem madrydzmu, otwierającą mu drzwi do klubu: „Pewnego dnia zwrócę Realowi Madryt wszystko to, co mi odebrałem”.

I nadszedł jego czas. Wrócił jako trener, a jego obecność rozbudziła nowe nadzieje. Pożegnał się między innymi z Prosińskim, więcej czasu spędzającym na leczeniu kontuzji niż na grze, i sprowadził Laudrupa oraz Redondo. Ten drugi był jego kluczowym zawodnikiem w Tenerife, organizatorem gry. Wzrost, prezencja, kontrola, elegancja. Kontrastował z Millą, piłkarzem niskim, typowym dla szkoły pomocników Barcelony, którego zresztą miał zastąpić. Ale Redondo padł ofiarą brutalnego faulu w przedsezonowym sparingu na San Mamés i Valdano musiał rozpocząć sezon bez niego. Ale za to z Zamorano i Amaviscą, którym w okresie przygotowań zapowiedział, że nie będą mieli miejsca w składzie i że powinni poszukać sobie nowego klubu. Nie znaleźli go, zostali i zdołali przekonać do siebie nowego trenera.

Pierwszy ligowy Klasyk nadszedł 364 dni po 5:0 na Camp Nou. O ile tamten mecz rozgrywany był 8 stycznia 1994 roku, ten odbywa się 7 stycznia 1995. W Realu Madryt rozpoczynały się wybory. Ramón Mendoza rywalizował z dwoma aspirantami do fotela prezesa: Florentino Pérezem (który przegra minimalną liczbą głosów) i Gómezem Pintado, byłym piłkarzem klubu, do którego przyłgnęło hasło *Bueno para el Madrid* (Dobry dla Madrytu). Do meczu Real przystępuje z pozycji lidera, mając taką samą liczbę punktów co Saragossa; następne jest Depor ze stratą dwóch punktów i Barça ze stratą trzech. Różnica jest niewielka, ale wysokie morale ma teraz Real.

I do przerwy jest już 3:0, wszystkie trzy gole strzelił Zamorano, kolejno w 5., 21. i 39. minucie. Ten trzeci idealnie oddaje zmianę cyklu: Bakero zatrzymuje się z piłką nieopodal linii bocznej, z prawej strony swojego pola karnego; Laudrup zaczyna wywierać na nim presję, odbiera mu piłkę, pędzi w pole karne, zagrywa do Zamorano, a ten strzela ku szalonej radości kibiców. Jest 3:0.

Poza tym Barça gra już w dziesiątkę, ponieważ przy wyniku 2:0 Stoiczków został wyrzucony za nadeptanie bez piłki Quique Floresa. Stoiczkowa, wielkiego wroga madrydzmu w tamtych latach, ciągle prowokowano bardzo nagannymi okrzykami „Cygan, Cygan!”, a także szyderczą przyśpiewką nawiązującą do oszustwa, którego padł ofiarą przy kupnie samochodu, o czym wieść się rozeszła. Na melodię *Guantanamery* ultrasi śpiewali: „Gdzie jest samochód? Stoiczków, gdzie jest samochód...?”.

Po przerwie padają jeszcze dwie bramki, w obu udział ma Zamorano. Przy czwartej, po podaniu Martína Vázquez, Chilijczyk uderza z woleja, piłka odbija się od słupka, po czym przejmują ją Luis Enrique (który później przejdzie do Barcelony) i spokojnie strzela gola. Przy piątej Zamorano dostaje długie podanie od Sanchísa i kiedy jest już przed bramkarzem, słyszy, że Amavisca prosi go o piłkę, podaje mu ją na lewą stronę, aby ten ze spokojem wykończył akcję, strzelając do pustej bramki.

Niedawno Zamorano odwiedził nas w redakcji „Asa” i Roncero nie przestawał wypytywać go o tamten wieczór:

– Grałem w piłkę dziewiętnaście lat, a ten mecz był jednym z najwspanialszych, w jakich kiedykolwiek wystąpiłem. Nie przystępowaliśmy do niego z myślą, żeby zrewanżować się za manię, nasz cel był inny, chcieliśmy wygrać, oddalić się w tabeli. Mieliśmy za sobą dobrą passę. Stale powtarzaliśmy, że byliśmy urażeni, ale nie rozmawialiśmy o rewanżu.

– Ale potem...

– Potem tak Począwszy od 3:0, słyszeliśmy szmer i poruszenie na trybunach i zrozumieliśmy, że jest okazja, żeby oddać im tamto 5:0, że ludzie tylko wtedy będą w pełni usatysfakcjonowani, jeśli uda nam się to osiągnąć. I walczyliśmy o to.

– A co się stało rok wcześniej, przy tamtym 5:0? Rzeczywiście była tak duża różnica?

– Stało się tylko to, że trafiliśmy na najlepszego Romário. A najlepszy Romário był niesamowity.

Przeglądając składy z obu meczów, widać, że wielu piłkarzy zagrało i w jednym, i w drugim spotkaniu. Laudrup oczywiście po obu stronach barykady. Łącznie z zawodnikami podstawowego składu i rezerwowymi w Barcelonie było ich dziesięciu, a w Realu ośmiu. *Manita*, którą Laudrup zabrał ze sobą w walizce z Barcelony do Madrytu, potwierdzała, że futbol to kwestia stanu ducha. W drużynie Barcy morale spadło po porażce z Milanem w Atenach. W Realu wzrosło po przybyciu Valdano, który tchnął w zespół nowego ducha.

Tamten mecz był zarazem pożegnaniem Romário. Trwały już rozmowy w sprawie sprzedaży go, które skrytykowały się niedługo potem. Cruyff ostro skrytykował swoich piłkarzy, łącznie ze Stoiczkowem, którego oskarżył o celowe sprowokowanie wykluczenia, żeby mógł umyć ręce w związku z tą porażką.

Dream Team był już cieniem samego siebie. Tamto 5:0 okazało się dla niego wyrokiem śmierci.

Prawdopodobnie wynik ten miał także wpływ na reelekcję Mendozy. W tamtym momencie wyszło na jaw, że przedstawiając poręczenia (podpisy *socios*), Mendoza wykorzystał karnety zmarłych *socios*, których ch numerami i podpisami dysponował klub (później się bronił, utrzymując, że to Lorenzo Sanz, jego wiceprezes, zorganizował to w taki sposób). Postawiło go to w bardzo złym świetle. W dniu meczu „As” przeprowadził ankietę wśród fanów przychodzących na stadion i wychodzących z niego. Więcej osób przepętał przy wejściu, mając na to więcej czasu, ponieważ kibice schodzą się stopniowo, zupełnie inaczej niż przy opuszczaniu obiektu. Publiczność wskazała na Florentino Péreza, który otrzymał 50,9 procent głosów wobec 34,5 procent urzędującego prezesa Mendozy i 11,5 procent Gómeza Pintado. Ale gazeta podkreślała ciekawą rzecz: wśród ankietowanych po meczu (kórych było mniej) odsetek chcących zagłosować na Mendozę wzrósł o 12 punktów procentowych w porównaniu z sondażem przed meczem.

W następnej kolejce Real Madryt pojechał do La Coruñi, gdzie zremisował, dzięki czemu umocnił się na pozycji lidera. W dalszym ciągu uzyskiwał dobre wyniki i wreszcie 19 lutego, tego samego dnia, gdy Albacete, którego trenerem na powrót został Benito Floro, wywiozło z Santiago Bernabéu bezbramkowy remis, Mendoza został ponownie wybrany na prezesa, wygrywając minimalną różnicą głosów. Real zdobył wtedy mistrzowski tytuł, i to na dwie kolejki przed końcem sezonu, pokonując u siebie Depor dzięki decydującej bramce Zamorano w 85. minucie, kiedy zespół z Galicji, przy wyniku 2:1, cały czas naciskał.

36. GASPART SPRAWIA, ŻE NA BERNABÉU ROZBRZMIEWA HYMN BARÇY

Finał Pucharu Króla w 1997 roku rozgrywany był na Santiago Bernabéu, podobnie jak wiele poprzednich. I awansowały do niego Barcelona i Betis, który wtedy przeżywał szczęśliwe dni z Manuelem Ruizem de Loperą. Był to Betis Finidiego i Alfonso w ataku. Naprzeciwko Barça po erze *Dream Teamu*, z Guardiola i Stoiczkowem jako najbardziej reprezentatywnymi zawodnikami tamtego okresu, ale też między innymi z Ivánem de la Peñą i Luísem Figo.

Barça dotarła do tego finału po niesamowitych spotkaniach ćwierćfinałowych z Atlético Madryt. W tym czasie pojedynki między tymi klubami przynosiły zazwyczaj wielkie niespodzianki. Już pierwszy mecz, zakończony wynikiem 2:2, miał w sobie dużo intensywności. Ale w rewanżu działo się wszystko to, co najlepsze w spotkaniu futbolowym. Prezes Jesús Gil, uwikłany w jedną ze swoich wojen, o mały włos nie wycofał drużyny; był wściekły, ponieważ Komitet Ligi zawiesił jego zawodnika Esnáidera za symulowanie ataku na rywala w meczu ligowym z Betisem (a także Simeone i Gelięgo z innych powodów). Atlético pojechało do Barcelony po południu w dniu meczu, po tym, jak przez cały rano w klubie utrzymywano, że mecz jest odwołany. Wreszcie dziesięć minut po szesnastej Gil zezwolił na wyjazd. Żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, tamtego popołudnia lotnisko w Barcelonie zamknięto na dwie godziny z powodu niespotykanego zdarzenia: samolot lecący z Dublina musiał lądować awaryjnie na pasie pokrytym pianą, którą później trzeba było usunąć. Na domiar złego w stolicy Katalonii trwał strajk w metrze, w związku z czym przejazd z lotniska na stadion był prawdziwą udręką. Piłkarze Atlético przebiegali się w autobusie w drodze na Camp Nou, gdzie dotarli dokładnie dziesięć minut przed pierwszym gwizdkiem. Sam mecz był istnym szaleństwem: 0:1, 0:2, 0:3, 1:3, 2:3, 2:4, 3:4, 4:4 i 5:4. Wszystkie cztery gole dla Atlético strzelił Milinko Pantić. Remis 4:4 dałby awans do finału jego drużynie. Jednak awansowała Barça dzięki bramce zdobytej w 81. minucie.

Według Gasparta podczas jednego z zebrań w federacji „ktoś” zasugerował, że byłoby dobrze, gdyby po zakończeniu finału Pucharu Króla rozbrzmiał hymn zwycięskiego klubu. Kiedy mi o tym opowiedział, podejrzewałem, że tym „kims” był sam Gaspart, ale gdy go o to zapytałem, zaśmiał się tylko i odparł, że już nie pamięta.

Tak czy inaczej, to on osobiście zajął się dostarczeniem nagrania hymnu i dwie godziny przed meczem udał się do pomieszczenia zapewniającego nagłośnienie, żeby wręczyć je odpowiedniemu człowiekowi, z którym zawarł pakt:

– Proszę posłuchać, to jest hymn, niech pan go włączy, jeśli wygramy. I poproszę pana o coś, co panu wynagrodzę: proszę puścić go pięć razy. Dam panu dwadzieścia pięć tysięcy peset, pięć tysięcy za każdorazowe odtworzenie. Pierwszy raz jest obligatoryjny, ale i tak za niego zapłacę.

– Panie Gaspart, jeśli powtórzę hymn, to ktoś tutaj wejdzie i...

– Nie, proszę się nie martwić. Zamknij pan drzwi od środka i włącz pan hymn. Teraz daję panu piętnaście tysięcy peset, placę panu za trzy razy z góry, ponieważ panu ufam. Wrócę po meczu i dam panu pozostałe dziesięć tysięcy, jeśli odtworzy go pan pięć razy.

Następnie, dla zabicia czasu, wyszedł na ulicę. Wszedł do znajdującego się obok stadionu baru, żeby napić się herbaty z lipy. To bar przy ulicy Rafaela Salgado, który dziś nazywa się

Drakar, ale wtedy, jak mi się wydaje, nosił inną nazwę. A tam niespodzianka.

– Zauważyłem, że kelner dzwinnie mi się przyglądał, ale rozumiałem to. Być może widok wiceprezesa Barcy pijącego herbatę z lipy tuż przy Bernabéu nie był czymś normalnym, pomyślałem. Później zauważyłem, że na ścianach wisiało dużo pamiątek Realu Madryt, zdjęcia, flagi, herby... Wydawało mi się to normalne, w końcu siedziałem w barze tuż obok Bernabéu. Dostrzegłem tam też jednak symbole nazistowskie. W końcu zobaczyłem, że na końcu baru siedziało kilku patrzących na mnie ultrasów. Odwiedziłem bar ultrasów Realu Madryt! Potem zrozumiałem, że trafiłem do ich miejsca spotkań! Natychmiast zacząłem się trząść. Wie pan, jak wyglądają takie rzeczy: spotkali się tam, żeby potem wyjść na ulicę, szukając zaczepki. A ja, Joan Gaspart, wchodząc do tego baru, znalazłem się w paszczy lwa!

– I...?

– Patrzyli na mnie i szeptali między sobą. Nie wiedziałem, co robić, byłem sparaliżowany. Jeśli rzucę się do ucieczki, będzie jeszcze gorzej, pomyślałem. A zatem powierzyłem się opiece moich przodków i postanowiłem wytrzymać. Nagle jeden z nich, ten, który dowodził, podszedł do mnie i powiedział: „Panie Juanie, proszę się nie przejmować. Wiemy, jaki pan jest, jest pan taki sam jak my. Bardzo kocha pan Barcę, w gruncie rzeczy pana podziwiamy. Ale lepiej, żeby pan tutaj nie siedział, ktoś mógłby to źle zinterpretować. Radzę, żeby pan sobie poszedł”. Odetchnąłem z ulgą. Poczulem się jak nowo narodzony. Zabierałem się do płacenia, a on mi powiedział: „Nie, panie Juanie, jeszcze czego. My zapraszamy. Jest pan w naszym domu. Ale proszę już iść”. Wyszedłem na ulicę i powietrze w Madrycie nigdy wcześniej nie wydawało mi się tak przyjemne.

Udał się na stadion, wszedł do łóży i tam w pierwszym rzędzie poczękał na rozpoczęcie meczu.

– Po prawej stronie króla siedział Lopera. Wyciągnął całe mnóstwo obrazków z wizerunkiem Jezusa Wszechmocnego i inne sewilskie dewocjonała, żeby umieścić je na półeczce, która znajduje się przed pierwszym rzędem. Ja siedziałem kilka miejsc na lewo od króla, po drugiej stronie. Ale Juan Carlos bardzo mnie lubi, a jako że cieszę się sławą zagorzałego kibica, powiedział mi: „Juan, zobacz, co przyniósł pan Manuel. Betis wygra finał”. Wtedy wyciągnąłem obrazek Dziewicy z Montserrat, który noszę przy sobie, i go położyłem. „To jeden do czterech”, zażartował Jego Wysokość. Ale powiedziałem, że obrazek Dziewicy jest wart tyle, co cztery obrazki Loperzy, a ten wziął to na poważnie, prawie się obraził i musiałem wycofać się z tego żartu.

A później był mecz. Wielki mecz. Betis wyszedł na prowadzenie dzięki bramce Alfonso, wyrównał Figo, Finidi ponownie dał prowadzenie Betisowi, wyrównał Pizzi i tak wynikiem 2:2, skończył się regulaminowy czas gry. A w dogrywce Figo zdobył piękną bramkę i Barcelona wygrała. Wyrośnięty Popescu wchodzi do łóży po puchar. Guardiola odstępuje mu ten zaszczyt z uwagi na charakter Rumuna: jest piłkarzem przyjacielskim i solidarnym ze wszystkimi. Popescu schodzi, Barça robi sobie obowiązkowe zdjęcie i zaczyna się runda po boisku, tak zwana runda olimpijska, wśród aplauzu kibiców.

Gaspart prawie nic z tego wszystkiego nie zobaczył. Jak ma w zwyczaju, prędko wyszedł ze stadionu i zaczął spacerować (robił tak w trakcie każdego ważnego meczu). Sam dokładnie tego nie pamięta, ale dotarł aż do Cibeles. Tam wziął taksówkę z powrotem na stadion. Wiem to, ponieważ taksówkarz wiozł kiedys Roncero i opowiedział mu o tym. „To była niespodzianka. Barça gra finał Pucharu, a Gaspart przy Cibeles! Zapytałem go o to, a on odparł: » Proszę się nie martwić, proszę zabrać mnie na plac Castilli, a stamtąd pójde pieszko na stadion«. Robił tak od dłuższego czasu, ponieważ oglądanie meczu sprawiało, że bardzo się denerwował. Jak mi

powiedział, wolał pospacerować i przemyśleć swoje sprawy. Wydał mi się bardzo sympatycznym człowiekiem. Cóż za sposób przeżywania meczów swojej drużyny!”

Po zakończonym meczu łoża szybko pustoszała. Kiedy król chciał wyjść, Gaspart go zatrzymał: „Chwileczkę, Wasza Wysokość, teraz zabrzmi hymn zwycięskiej drużyny”.

– Król został obok mnie, obaj milczeliśmy. Nie staliśmy, ale milczeliśmy, słuchając hymnu, wszystko jak należy, podczas gdy piłkarze wykonywali rundę wokół boiska i pozdrawiali kibiców. Czekałem, czy się powtórzy. I tak się stało! Kiedy zaczynał rozbrzmiewać po raz drugi, król zapytał: „Ten hymn jest trochę długi, prawda?”. Odpowiedziałem: „Nie, Wasza Wysokość, puszczają go drugi raz. Możemy już iść”. I Jego Wysokość wyszedł, a ja zszedłem na murawę, żeby wyściskać piłkarzy i zrobić sobie kilka pamiątkowych zdjęć. A hymn rozbrzmiał po raz trzeci! Stadion był już prawie pusty, więc postanowiłem pójść do kabiny. Kiedy tam dotarłem, hymn właśnie się kończył, zapukałem, powiedziałem, że to ja i mężczyzna, który go puszczał, mi otworzył. „Dziękuję! Bardzo dobrze się pan spisał. Nie trzeba, żeby puszczał go pan więcej razy, już prawie nikogo nie ma. Ale ponieważ tak dobrze wywiązał się pan z zadania, dam panu kolejne dziesięć tysięcy peset, tak jakby puścił go pan pięć razy. Ponieważ dotrzymuje pan słowa”.

– I co się z nim stało? Dostał jakąś naganę od klubu?

– Nie wiem. Nie sądzę. Ale było to najlepiej wydane dwadzieścia pięć tysięcy peset w moim życiu!

37. GASPART I BABCIA KŁOZETOWA

Jednak najbardziej pamiętną anegdotą z udziałem Gasparta jest ta z babcią kłozetową. Wydarzenie miało miejsce w listopadzie 1997 roku, kilka miesięcy po finale Pucharu Króla z Betisem. Barça przyjechała na Santiago Bernabéu 1 listopada na mecz ligowy. Zaczynała sezon, który zakończy fenomenalnie: zdobyciem mistrzostwa i Pucharu, czyli dubletem, Real Madryt wygra jednak najważniejsze rozgrywki, Ligę Mistrzów, swój tak upragniony siódmy Puchar Europy, pierwszy od 32 lat. To odsunie na dalszy plan dublet Barcelony, czwarty w jej historii. Ale dojdzie do tego później.

Jesteśmy na Santiago Bernabéu, gdzie Barça wygrywa 3:2. Mecz jest żywy, gole strzelają kolejno: Rivaldo, Raúl, Luis Enrique, Šuker i Giovanni. Rivaldo i Luis Enrique zdobywają bramki na początku pierwszej i drugiej połowy, tak zwane bramki psychologiczne. Luis Enrique (obecnie trener Barcelony) występował w Realu Madryt, ale miał złe wspomnienia z lat spędzonych w klubie i za każdym razem, gdy grał przeciwko *los blancos*, wyglądał jak dziewczynka z *Egzorcysty*, jak wyraził się kiedyś Paco González. Po strzeleniu gola pokazał wiele prowokacyjnych gestów, po bramce Giovanniego kilka razy wykonał zaś gest Kozakiewicza.

Real dominował, ale przegrał. Zły humor madrydistów przeniósł się do łoży. Funkcję prezesa sprawował wtedy Lorenzo Sanz. W łoży siedziało wiele żon dyrektorów klubu, Gaspart był wyspą *azulgrana* na lagunie *merengue*.

– Słyszałem inwektywy, „katalońskie psy” i tym podobne określenia. Ale ignorowałem je. Wychodziłem kilka razy, jak zawsze, ponieważ futbol sprawia, że się denerwuję.

(Te „ucieczki” Gasparta z łoży były słynne. Na meczach cierpi jak nikt inny, zwłaszcza kiedy Barça prowadzi różnicą tylko jednego gola. Nie potrafi tego znieść, więc często opuszcza łożę, a nawet stadion. W meczach szczególnej wagi wychodził z pierwszym gwizdkiem, spacerował 45 minut w jakimkolwiek kierunku; po upływie tego czasu wchodził do kawiarni i wypijał herbatę z lipy, wykorzystując w ten sposób kwadrans przerwy, po czym wracał tą samą drogą następnie 45 minut, aby dotrzeć dokładnie przed końcem meczu. „Ale zawsze docierałem przed końcem, ponieważ wracając, z nerwów spacerowałem szybciej i musiałem wytrzymać ostatnie pięć minut, które są najgorsze!”)

Tamtego dnia, jako że stał na czele delegacji Barcelony, nie opuścił stadionu, ale i tak często wychodził z łoży. Po meczu dziennikarze zapytali o jego zachowanie Lorenzo Sanza, a ten odpowiedział: „Nie wiem, co mu dolegało, że ciągle musiał wychodzić do toalety”.

Zapytany o to kiedyś w Catalunya Ràdio, Gaspart wypalił: „Owszem, często wychodziłem do toalety. Najbardziej uprzejmą i najlepiej wychowaną osobą w łoży jest babcia kłozetowa. To jedna kobieta, która zasiada w łoży”.

– Wiem, że tego nie powinienem mówić. Popełniłem błąd z tą „jedyną kobietą, która zasiada w łoży”. Ale już tłumacząc: babcia kłozetowa na Bernabéu była wobec mnie bardzo miła. Darzyła mnie ogromną sympatią, a ponieważ wiedziała, że jestem, jaki jestem, zawsze nosiła dla mnie tabletki na serce, tak na wszelki wypadek i mówiła mi: „Panie Juanie, proszę się nie przejmować, noszę w torebce tabletki na serce, w razie gdyby pan potrzebował”. I mówiła prawdę: pokazała mi je. Poza tym, kiedy wychodziłem w przerwie, zawsze miała dla mnie przygotowaną herbatę z lipy. Tak więc naprawdę ją lubiłem.

Ale był jeszcze jeden powód, coś bardzo osobistego, o czym Gaspart również mi opowiedział:

– Mój dziadek ten, który uruchomił biznes hotelowy, który później prowadziłem z ojcem, zaczął od pracy w hotelu i ożenił się z babcią kłozetową, wtedy zajmującą się i toaletami, i garderobą. Tamta kobieta była więc moją babcią. Razem założyli firmę i dlatego zawsze i wszędzie z sympatią patrzę na babcie kłozetowe, bo przypominają mi moją babcię, przypominają mi o moich korzeniach. Tak więc mówienie o niej dobrze nic mnie nie kosztowało, nie miałem zamiaru nikogo obrazić, jak to zinterpretowano. I wiem, że nie powinienem mówić o tej „jedyniej kobiecie, która zasiada w łoży”. Nie było to ładne. Nie powtórzyłbym tego.

– Bo wywołało to gniew.

– Tak Ale w rzeczy wistości to nie dyrektorzy Realu się obrazili, tylko ich żony. I rozumiem, że miały powód. Dzwoniły do siebie, potem do swoich mężów, zmuszając ich, żeby zrobili ze mnie *persona non grata*. To znaczy, żeby nie pozwolono mi więcej wejść na Santiago Bernabéu. I otrzymałem list, w którym mnie o tym powiadamiano.

– I...?

– He, he, he... Trzymam go oprawionego za szkłem w moim salonie.

– Co pan mówi?

– Tak Mam go obok dwóch zdjęć: tego, na którym kąpię się w Tamizie^[68], i tego, gdy zostałem w łoży, żeby mnie wyzywali, kiedy byłem prezesem. Najlepszy i najgorszy moment, abym pamiętał o obu. A razem z nimi to *non grata* od Realu Madryt, a także od Espanyolu, które tak naprawdę trzymam jako dwa dyplomy.

– No tak, bo Espanyol też uznał pana za *persona non grata* przez sprawę z Saviolą...

– W rzeczy samej. Oni chcieli Saviolę, a ja nie pozwoliłem, żeby go wzięli, i wypożyczyłem go do Seville, przez co uznali mnie za *persona non grata*. Oba listy mam do dzisiaj na ścianie w salonie, starannie oprawione, jeden w hołdzie mojemu ojcu, a drugi w hołdzie mojej matce.

– Pańskiemu ojcu i pańskiej matce?

– Tak Już wyjaśniam. Oboje byli wielkimi sympatykami futbolu. Moja matka też. W Barcelonie częściej niż w Madrycie można było spotkać kobiety idące na mecz ze swoimi mężami. Mnie nie mieli z kim zostawić, więc zabierali mnie w koszu i zostawałem przed wejściem na sektor ze strażnikiem, którego proszono, żeby mnie pilnował. Zresztą po latach, kiedy byłem już wiceprezesem u Núnieza, przyszedł i mi się przedstawił. Był wtedy bramkarzem na łoży VIP i opowiedział mi tę anegdotę, ja tego nie pamiętałem, moi rodzice nigdy o tym nie wspominali. Zawsze darzyłem wielką sympatią tego człowieka, który opiekował się mną, gdy byłem niemowlakiem. Mówił, że płakałem przez cały mecz, a uspokajałem się, kiedy strzelano gola. Przy puszcza, że to krzyk ludzi sprawiał, że przestawałem...

– Ale jaki ma to związek z oprawieniem tych listów?

– Mówiłem panu, że moja matka też kibicowała. I powtarzała mi, że najgorszym wrogiem Barcelony jest Espanyol. Z kolei mój ojciec powtarzał: nie, nie, to Real Madryt, który posiada dużą władzę, jest naszym prawdziwym rywalem. Ale moja matka mówiła mi, że kiedy przegrywaliśmy jakiś mecz, na ulicy spotykaliśmy kibica Espanyolu, który nas dręczył, i powtarzała, że Madryt leży daleko. Że trzeba być przeciwko Espanyolowi. A mój ojciec, że nie, że nie, że wrogiem jest Real, że to on jest prawdziwym zagrożeniem dla Barcelony. Tak więc skoro teraz mam w domu dwa *non grata*, patrzę na nie każdego dnia i czuję, że spełniłem życzenie obojga, mojego ojca i mojej matki.

– Jednak później wrócił pan na Bernabéu.

– Tak Przy okazji kolejnego meczu wyjazdowego Barcelony zadzwoniłem do Lorenzo Sanza i powiedziałem mu, że chcę pojechać na mecz, że nie chcę zostawiać piłkarzy samych. Odpowiedział, że nie, że nie mogą przyjechać, że nie może mi na to pozwolić, że jestem *persona non grata* i tak dalej. Że on nie ma nic przeciwko, ale żony dyrektorów nie zgodziłyby się na to.

Porozmawiałem z innymi dyrektorami, z którymi miałem dobre relacje, i powiedzieli mi to samo: że nie mają nic przeciwko, ale że ich żony są jeszcze obrażone.

– I co pan zrobił?

– Powiedziałem im, że skoro są takimi pantoflarzami, to sam to załatwię. I dzwoniłem do każdej po kolei, zaczynając od żony prezesa, która była czarująca. Przeprosiłem, szczerze przeprosiłem, powiedziałem, że nie powinienem mówić tego o „jedyniej kobiecie w łoży”. One to zrozumiały, wysłałem im nawet po podarunku, i powiedziały mężom, że jestem dobrym człowiekiem. Dzięki temu mogłem pojechać na mecz.

38. FLORENTINO ZABRAŁ FIGO!

Lato 2000 roku było najbardziej ożywione w historii rywalizacji między Realem a Barceloną. Oba kluby zmieniły prezesów, a poza tym doszło do kontrowersyjnego transferu Figo, głośnego przejścia portugalskiego piłkarza z Barcy, gdzie był idolem, do Realu Madryt, w którym również nim będzie.

W Barcelonie, po 22 latach, ze stanowiska prezesa ustępuje Núñez. Prawdopodobnie zaczyna czuć się zagrożony przez aferę podatkową, która jakiś czas później doprowadzi do skazania go wraz z synem. Núñez odchodził, zostawiając niezłatwioną sprawę: Luís Figo czuł się niedoceniany i niezadowolony. Uważał, że zasługuje na wyższą pensję w drużynie, w której – obok Rivaldo – jest najlepszy, ale wcale nie zarabia najwięcej. Núñez zawsze ostrożnie wydawał klubowe pieniądze. Jego sztandarową cechą było dobre zarządzanie. I w przeciwieństwie do znacznej większości szefów klubów piłkarskich nie palił się do sprowadzania wielkich gwiazd, dokładnie rozważał, czy dany transfer będzie opłacalny, czy nie. Podchodził do tego bardzo rygorystycznie. Można się było o tym przekonać, gdy na początku sprawowania swojego mandatu nie miał problemu z pozbyciem się Neeskensy. Później sprzedał Maradonę, który według niego kosztował klub zbyt wiele w porównaniu z tym, co dawał drużynie. (Ale sprzedał go drogo. Jako że jedynym człowiekiem otwarcie sprzeciwiającym się sprzedaniu Argentyńczyka był Gaspard, to właśnie jemu powierzył dobicie targu z Napoli. „Ponieważ wiem, że nie chcesz go sprzedać, zrobisz to właśnie ty, bo jesteś w stanie sprzedać go najdrożej”. I tak się stało. Gaspard sprzedał Maradonę za duże pieniądze). Tak więc Núñez nie przerażała też złość Figo. Joan Gaspard, jego zastępca przez długie lata, przygotowywał się do przejścia po nim fotela prezesa, mając za głównego przeciwnika Lluísa Bassata, poważanego przedsiębiorcę zajmującego się reklamą. Pierwszym celem Gasparda było podwyższenie pensji Figo.

Tymczasem Real Madryt pod koniec tego sezonu zdobył swój ósmy Puchar Europy, w finale w Paryżu pokonując Valencię. Prezes Lorenzo Sanz, którego mandat wygasł dopiero w październiku 2001 roku, dzień po zwycięstwie w programie *Los desayunos de TVE* ogłosił niespodziewanie, że niezwłocznie rozpisuje nowe wybory. Chciał zapewnić sobie reelekcję dzięki właśnie wygranym dwóm edycjom Ligi Mistrzów. Ponieważ zdobył także Puchar Europy w 1998 roku, nieosiągalny siódmy Puchar, dzięki któremu Real Madryt po 32 latach odzyskał europejski tron i zdezaktualizował frazę „Puchary Europy Realu Madryt są czarno-białe”. Gdyby ponownie został prezesem, sprawowałyby tę funkcję podczas obchodów stulecia istnienia klubu w 2002 roku, co było jego marzeniem.

Sanz rywalizował z Florentino Pérezem. W świecie futbolu nie był on wprawdzie nieznanym, ale stał na straconej pozycji. Niezwykłe rzutki przedsiębiorca, w poprzednich wyborach był bliski pokonania Ramóna Mendozy (przegrał minimalną różnicą głosów). Dał się poznać jako człowiek poważny i rzetelny, lecz nijaki, pozbawiony uroku. Sam poznałem go właśnie w tamtym czasie i w kolejnych latach utrzymywaliśmy dyskretne stosunki, jak czynił również z pozostałymi dziennikarzami sportowymi. Pamiętam, że zawsze mi powtarzał, że wygra następne wybory. Czasem go pytałem:

– A jeśli Lorenzo znów zdobędzie Ligę Mistrzów i przyspieszy wybory, żeby zapewnić sobie drugą kadencję?

– On może ogłosić wybory, kiedy tylko zechce. Ale mogę cię zapewnić, że bez względu na to, kiedy to zrobi, będą przygotowany. I go pokonam.

Uznałem go za człowieka naiwnego, ale zadziwiła mnie jego pewność.

Rozpoczęła się kampania wyborcza, która wydawała się nierówna. Florentino Pérez dobrze się przygotował, ale niewielu dawało mu jakiegokolwiek szansę. Myślałem oczywiście, że wygra Lorenzo Sanz, choć nadmiernie epatował pewnością siebie i zaniedbywał kampanię, a jego program, co dawali mu do zrozumienia rywale, był chaotyczny.

Bomba wybuchła 5 lipca, dokładnie w dniu, kiedy Lorenzo Sanz wydawał córkę za mąż za Michela Salgado, piłkarza Realu. José Ramón de la Morena ogłosił w radiu o ósmej wieczorem (pojawił się w serwisie informacyjnym poza swoim czasem antenowym, przypadającym na północ), że Florentino Pérez jest po rozmowie z Figo i że piłkarz przejdzie do Realu Madryt, jeśli on wygra wybory.

Autorytet dziennikarza i stanowczość, z jaką przekazał tę wiadomość, sprawiły, że brzmiała ona bardzo prawdziwie. Była zadziwiająca, niemal niewiarygodna, ale czegoś takiego nie można było wymyślić. Na ślubie stało się to głównym tematem rozmów. Chociaż starano się unikać tej sprawy, mimowolnie pojawiała się w trakcie całego wieczoru, również na wieściach z zaproszonymi gośćmi, wśród których znajdował się sam de la Morena. W jednej z jego książek (z tytułowanej *Diario 2000 de El Larguero*, wydanej przez El País-Aguilar) na stronach 75–92 znalazł się długi rozdział poświęcony tej kwestii.

W pierwszych dniach Florentino Pérez niczego nie komentował. Ale była to prawda. Kandydat na prezesa rozpoczynał to, co później stanie się galaktycznym projektem. Chodziło o sprowadzenie do klubu najlepszych piłkarzy za wszelką cenę, w myśl tego, że tylko najlepsi przynoszą największe zyski. Pierwszym takim zawodnikiem, kołem napędowym, miał być Figo, ponieważ gwarantował zwycięstwo w wyborach i oznaczał zadanie dotkliwego ciosu Barcelonie, bezpośrednio rywalowi Realu. Później Pérez sprowadzi kolejno Zinedine'a Zidane'a, Ronaldo, Davida Beckhama...

Był to dobrze przemyślany i śmiało wykonany ruch. W książce *El Portugués* (Portugalczyk), autoryzowanej biografii Paulo Futre, napisanej przez portugalskiego dziennikarza Luísa Aguilara, cały 15. rozdział poświęcony jest tej sprawie, w której uczestniczył także sam Futre. Poniżej przytaczam fragment, w którym głos zabiera sam były reprezentant Portugalii, odgrywający kluczową rolę w negocjacjach, a zaproszony do udziału w nich dlatego, że był idolem z dzieciństwa Figo.

Futre opowiada o tym tak

Kilka dni po ogłoszeniu wyborów byłem przejazdem w Madrycie, chcąc się z kimś spotkać. Zadzwonił do mnie mój serdeczny przyjaciel Santos Márquez (agent piłkarski). Waży ponad 130 kilogramów. W jego przypadku to rodzinne. Ja nazywam go czule „Gordito”^[69].

– Portugalczyku, gdzie jesteś?

– W Madrycie, Gordito.

– Świetnie. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć.

– Nie mogę, mam spotkanie.

– Portugalczyk, to bardzo pilne, przełoż spotkanie. To zbyt ważna sprawa, żeby rozmawiać o niej przez telefon. Musisz przyjechać w tej chwili.

Przekonał mnie, zapytałem o adres i udałem się tam.

Przyjechałem na miejsce, gdzie był już Gordito. Uścisnęliśmy się na powitanie. Był z nim jakiś człowiek „To pan Florentino Pérez”. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Zachowywał się elegancko. „Miło mi pana poznać”. Usiedliśmy razem z Gordito i od razu przeszliśmy do rzeczy. „Portugalczyk, ten człowiek startuje w wyborach na prezesa Realu Madryt”. Zaniemówiłem. Myślałem, że to kolejny przedsiębiorca, który chce być w centrum uwagi przez miesiąc czy dwa. Ale ten człowiek nie wyglądał na głupiego! Sprawiał wrażenie bardzo poważnej osoby, niezainteresowanej medialnymi szopkami. Byłem zdezorientowany. Gordito rzucił mi bombę: „Żeby posunąć się naprzód, potrzebuję ciebie, Portugalczyk. Ty będziesz kluczem do wszystkiego, będziesz mógł zdecydować o przyszłości twojego odwiecznego rywala, Realu Madryt”. Popatrzyłem na Gordito tak, jakbym za chwilę miał go zamordować. Ponieważ dobrze się znamy, powiedziałem mu, że jest kompletnie szalony. Jak niby ja, symbol Atlético Madryt, miałbym brać udział w tym przedstawieniu?! Rozejrzałem się dookoła, żeby sprawdzić, czy znajdę jakąś ukrytą kamerę, na wypadek gdyby zostało to ukartowane. Ale jej nie znalazłem. O ile jednak pierwsze słowa Gordito były jak wybuch granatu, kolejne miały siłę rażenia bomby atomowej: „Ten człowiek osiągnie swój cel pod jednym warunkiem. Może wygrać wybory, tylko jeśli sprowadzi Luísa Figo. A ty jesteś jedyną osobą na świecie, która może przekonać do tego Figo. Jedyną”. W tej chwili miałem zamiar wstać i wyjść. Florentino musiał chyba zdawać sobie sprawę, co o tym wszystkim myślę, i wkroczył do akcji. Zaczął opowiadać mi o swoim życiu prywatnym i zawodowym. Był wielkim przedsiębiorcą. Prezesem i głównym akcjonariuszem grupy ACS, jednej z największych na świecie firm sektora budowlanego. I kibicował Realowi Madryt od dziecka. Powiedział, że pomimo wygrania Ligi Mistrzów Lorenzo Sanz fatalnie zarządza finansami, że Real ma dług przekraczający 300 milionów euro i chyli się ku upadkowi, a on czuł, że powinien spróbować uratować ukochany klub. Wiedział jednak, że Lorenzo Sanz posiada o wiele większą władzę, wystarczającą, żeby pokonać w wyborach każdego rywala. Dlatego jedynym sposobem, żeby odwrócić tę sytuację, było sprowadzenie Luísa Figo – jednego z najlepszych piłkarzy w tamtym czasie, kapitana i wielkiego symbolu Barcy, odwiecznego rywala *los merengues*. Dla Katalończyków były to potężny cios. Wobec takiej perspektywy wyrządzenia krzywdy rywalowi *socios* Realu nie wahałoby się specjalnie przed głosowaniem na kogoś innego. Wówczas Figo miał wystąpić z reprezentacją Portugalii w mistrzostwach Europy w 2000 roku. To jedyny człowiek

mogący wyrównać siły w walce w wyborach na prezesa Realu Madryt. Nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zgodziliśmy się z Florentino Pérezem, który poruszył ważną kwestię.

– Właśnie powiedział mi pan, że Real Madryt ma problemy finansowe. Skoro tak jest, to kto zapłaci Barcelonie klauzulę odstępnego za Figo, wynoszącą 60 milionów euro plus VAT? Kto może wyłożyć taką gotówkę?

– Ja – odpowiada Florentino. – Ja mogę zdobyć te poręczenia i gwarancje, których chcesz dla Figo (mówił o zaświadczeniu potwierdzającym, że faktycznie ma pieniądze, a ja patrzę na Gordito, żeby przekonać się, co powie).

– Powiedziałeś temu panu, że nie jesteś agentem Figo?

– Tak, powiedziałem mu prawdę. Agentem jest pan José Veiga. Ale ty jesteś dla portugalskich piłkarzy królem i jedynym człowiekiem, który może przekonać Figo, żeby zgodził się na ten transfer.

Wiedziałem, że ta operacja jest prawie niemożliwa, ale nie miałem nic do stracenia, próbując. Ryzyko wynosiło zero. Wystarczył jeden telefon do José Veigi. Jeden zwykły telefon. On mi odpowie, że to niemożliwe, i w ten sposób sprawa umrze śmiercią naturalną, a Lorenzo Sanz nadal będzie prezesem Realu Madryt. Przygotowywaliśmy najdroższy i najbardziej kontrowersyjny transfer w historii światowego futbolu. Wszystko albo nic.

Dzwonię w obecności Gordito i Florentino, wyjaśniam wszystko José Veidze i kończę takim oto zdaniem: „Ten człowiek wygra wybory w Realu tylko wtedy, jeśli będzie miał Figo”. Gdy to powiedziałem, Gordito i Florentino przysunęli się, usiłując usłyszeć, co dochodziło z drugiej strony linii. Panowało ogromne napięcie. Wiedzieliśmy, że to decydujący moment, wszystko albo nic. Veiga daje odpowiedź, jakiej się spodziewałem: „Pauli-

nho, w co ty się wpakowałeś? Nie zwracaj mi głowy głupotami. Porozmawiamy później, przyjacielu. Na razie”. I się rozłączył. Ja jednak udawałem, że rozmowa nadal trwa. „Okej, Zé, doskonale. Cześć”. W ułamku sekundy wpadłem na pomysł, jak można spróbować uratować tę operację. Wiedziałem, że od takiego człowieka jak Florentino, mającego 60 milionów euro w gotówce, mogłem wyciągnąć coś więcej. W tym tkwił klucz do wszystkiego. Dzięki temu Florentino został prezesem Realu Madryt.

Rozłączyłem się i zobaczyłem jego niespokojne i zmartwione oczy.

– Da się to zrobić przy dziesięciu milionach euro prowizji – mówię.

– Pięć milionów – targuje się Florentino.

– On chce dziesięć.

– Sześć milionów. Wiesz, że to prawdziwe szaleństwo. Nie mogę dać ci więcej. Mówimy o ponad pięciu procentach prowizji od całej transakcji.

– Okej. Porozmawiam z nim.

Tym razem wstałem i poszedłem do innego pomieszczenia, żeby się skoncentrować. Musiałem w jakiś sposób przekonać Veigę. Musiałem się zastanowić i w ciągu dziesięciu minut wymyślić jakąś strategię. Odebrał.

– Słucham cię, Paulinho.

– Na razie cztery miliony euro. Tyle daje nam prezes. To poważna sprawa. Dwa miliony dla ciebie, jeden dla mnie i jeden dla osoby, która mnie tutaj sprowadziła.

– Jesteś tego całkowicie pewien, Paulinho? On zapłaci klauzulę Figo gotówką, łącznie z VAT-em?

– Ten człowiek tak da nam poręczenia, jakich potrzebujemy. Wiesz przecież, Zé, że gdyby taknie było, możesz mnie zamordować.

– Okej. Spróbuj wyciągnąć dla mnie pięć milionów.

Czekam, aż minie pięć minut, podczas gdy Gordito i Florentino siedzą w drugiej sali. Znów telefonuję do Veigi.

– Udało mi się wynegocjować sześć milionów. Trzy dla ciebie. Ale chce, żebyś przyleciał już jutro. Możesz?

– On naprawdę jest jednym z największych przedsiębiorców w Hiszpanii, jak mi powiedziałeś?

– Zé, przyleć jutro i przekonasz się na własne oczy.

– Zgoda. Jutro tam będę. Daj mi chwilę, oddzwonię do ciebie, aby podać ci godzinę przylotu, żebyś wyjechał po mnie na lotnisko.

Pierwsza część została załatwiona. Udało mi się przekonać agenta Figo, żeby wysłuchał Florentino Péreza, i wyciągnąłem go z Portugalii. Przekazałem tę wiadomość Gordito i Florentino. Słuchali mnie z entuzjazmem. Następnego ranka pojechałem na lotnisko po Veigę i spotkaliśmy się wszyscy razem. Veiga i Florentino doszli do porozumienia.

Jeszcze tego samego dnia Veiga udał się do Holandii, do hotelu, w którym na zgrupowaniu reprezentacji Portugalii przebywał Figo. W tak ważnej sprawie nie wystarczyłaby rozmowa telefoniczna.

Figo był bardzo niezadowolony z postawy prezesa Barcy. Jako zawodnik miał dla drużyny znaczenie wręcz symboliczne, ale nie znajdował się w gronie najlepiej opłacanych piłkarzy w zespole. Prawdziwa niesprawiedliwość. Wiedział, że klub źle go traktuje, oczekiwał podwyżki, ale ta się nie pojawiała. Mimo to byłoby niesłychanie trudno

przekonać go, żeby zgodził się przejść do Realu Madryt. Veiga przyjechał do niego z propozycją pięciokrotnie wyższych zarobków od tych, na które Figo liczył w Barcelonie. Ale mówimy o transakcji mogącej pociągnąć za sobą dramatyczne skutki zarówno dla piłkarza, jak i jego rodziny. O decyzji mogącej narazić życie na niebezpieczeństwo. Nawet życie wielkich mistrzów. A Figo zawsze nim był.

Veiga zadzwonił do mnie następnego dnia, powiedział, że sprawa posuwa się do przodu, i przekazał mi Figo. Byłem jego piłkarskim idolem, bardzo mnie podziwiał. Pamiętam dokładnie, co mu wtedy powiedziałem.

– Zakończyłem karierę półtora roku temu. Federacja portugalska nie zaprosiła mnie nawet na jeden mecz mistrzostw Europy. Tutaj możesz zobaczyć, jak funkcjonuje świat futbolu. Kiedy człowiek kończy karierę, liczy się tylko jego konto bankowe. Gdy minie trochę czasu, zapomina się o wszystkim, co zrobiłeś dla futbolu w twoim kraju. To jest twoja chwila, Luís. Rób to, co najlepsze dla twojej rodziny. Trudno będzie o inną szansę zarobienia tylu pieniędzy.

– Paulinho, wchodzimy w to. Zgoda.

Następnego dnia Veiga wrócił do Madrytu i zaczęliśmy sporządzać kontrakt. Po upływie kilku godzin Veiga podpisał go jako agent FIFA i reprezentant Figo. Florentino również podpisał kontrakt, który będzie ważny tylko wtedy, jeśli wygra wybory. Florentino, jak przystało na poważnego biznesmena, zabezpieczył kontrakt potężną klauzulą. W razie gdyby wygrał, a Figo zrezygnowałby z przejścia do Realu, wówczas Pérez otrzymałby 30 milionów euro odszkodowania.

Tutaj kończy się opis Paulo Futre dotyczący negocjacji. Trzeba jednak zaznaczyć, że kwoty podaje w euro, aktualnej walucie, a w tamtym czasie istniały jeszcze pesety, nie euro. Przy redakcji jego wspomnień postanowiono (moim zdaniem słusznie) używać euro, co pozwala dziś lepiej wyobrazić sobie kwoty, o jakich mówiono.

Florentino zgłosił swoją kandydaturę na prezesa Realu, kiedy miał już kontrakt w garści. W Barcelonie nikt o tym nie wiedział aż do momentu podania tej informacji na antenie stacji SER w dniu ślubu Michela Salgado i Maluli Sanz. Wieść spadła niczym bomba. Jak już wcześniej wspomniałem, Barça była w impasie, między dymisją Núnęza a wyborami, które zakończą się dokładnie tydzień po wyborach w Realu Madryt.

Gaspard był rozpaczony.

– Zapytałem Figo: „Jak możesz nam to zrobić?”. A on wyjaśnił, że klub za mało mu płaci. Wtedy zapewniłem go, że jeśli wygram, zapłacę mu tyle, co Real. On odpowiedział, że nie mogę mu zagwarantować, że wygram. Poprosiłem, żeby zaczął, że wciąż mamy czas, by wszystko rozwiązać. I żeby ostudzić całą sprawę, jako że Real podał tę informację, poprosiłem, żeby złożył deklarację wierności Barcelonie. Ustaliliśmy to z Asensio, właścicielem dziennika „Sport”, spowinowaconym z Lorenzo Sanzem, którego syn Fernando ożenił się z Ingrid Asensio. „Sport” wysłał do Figo delegację, by zrobić reportaż z jego wakacji.

Skończyły się mistrzostwa Europy i Figo przebywał na wakacjach w luksusowym hotelu na Korsyce. 5 lipca, na okładce „Sportu”, Figo demontuje: „Chcę uspokoić kibiców Barcelony, klubu, do którego zawsze czułem i będę czuł wielką sympatię... Chcę zapewnić *socios*, sympatyków i kibiców Barcelony, że Luís Figo stawia się na Camp Nou 24 lipca, żeby rozpocząć nowy sezon... Nie podpisałem wstępnego kontraktu z kandydatem na prezesa Realu Madryt. Nie, nie jestem tak szalony, żeby zrobić coś podobnego”.

Wydaje się, że dla Florentino jest to cios (Lorenzo Sanz drwi sobie z niego i pyta, czy jego przeciwnik za chwilę ogłosi, że sprowadzi do Realu Claudię Schiffer), ten jednak reaguje z zimną krwią:

– Jeśli wygram wybory, a Figo nie przyjdzie, obiecuję wszystkim *socios* Realu Madryt, że w trakcie pierwszego roku trwania mojego mandatu na mecze będą przychodzić za darmo.

Była to jego wielka karta przetargowa: pięć miliardów peset odszkodowania, jakie mieli wypłacić mu Veiga i Figo w przypadku, gdyby się wycofali, to równowartość składek członkowskich Realu w jednym sezonie.

Patrząc to bardziej brutalnie, można powiedzieć, że zapłacenie tej kwoty przez Gasparta (albo innego zwycięzcę) oznaczałoby zapraszanie na mecze przez cały rok wszystkich płacących składki *socios* Realu Madryt.

W dniach, które pozostały do zakończenia tej sprawy, Gaspart cały czas się upierał.

– Rozmawiałem z adwokatami, żeby wiedzieć, jak oni to widzą. Powiedzieli, że nie wygląda to dobrze, że sprawa idzie w złym kierunku i że prawdopodobnie trzeba będzie zapłacić. Ale i tak dalej wywieraliśmy presję na Figo, dając mu do zrozumienia, jak będzie wyglądać jego odejście z Barcy do Realu, co to będzie oznaczać. Mówiliśmy mu też, że Madryt to nie jego dom, że tam go nie lubią.

I Figo zaczął się wahać. Dostawał groźby. Przypomniawszy sobie swój okrzyk z balkonu Parlamentu Katalonii z okazji zdobycia trofeum z Barceloną: *Blancos, llorones, felicit a los campeones* (Biali, mazgaje, pogratulujcie mistrzom). Tymczasem Florentino Pérez nadal prowadził kampanię, zbierając głosy za pośrednictwem poczty. Dwa dni przed wyborami rozeszła się wiadomość, że ma ich już tak dużo, że z pewnością wygra. Głosowanie na miejscu nie mogło odwrócić sytuacji na korzyść Lorenzo Sanza. Wygrał, zdobywając 16 469 głosów wobec 13 302 Sanza. I ciekawostka: z 33 116 głosujących (ponad 65 procent wyborców) 19 380, czyli ponad połowa, oddało głos za pośrednictwem poczty. Skrupulatność, z jaką Pérez potraktował tę metodę głosowania, a także zapowiedź transferu Figo zapewniły mu przewagę.

Ale kiedy Florentino świętował triumf i zaczynał snuć plany, nie wiedział, że Figo definitywnie się wycofał z przejścia do Realu. Nadal przebywał na Korsyce razem z rodziną. Futre i Veiga ukrywali przed Pérezem decyzję piłkarza, teraz jednak nie można już było grać na zwłokę. Jak opowiada sam Futre we wspomnianej biografii, obaj wsiadli w samolot na Korsykę, żeby przekonać Figo. Veiga był przestraszony tym, że jeśli Figo się wycofa, będzie musiał wyłożyć pięć miliardów peset. To oznaczałoby finansową ruinę jego albo Figo, kłótnię o to, który z nich ponosi za to odpowiedzialność, a także koniec jego wiarygodności jako agenta. Futre opowiada, jak przed spotkaniem ustalili, że Veiga będzie udawał, iż płacze, aby wzruszyć Figo, ale gdy przyszło co do czego, nie było to potrzebne. Veiga płakał naprawdę. Zablokował się. Początkowo Figo nie chciał nawet przyjąć Futre, którego w głębi ducha uważał za winnego swojej udręki.

Ostatecznie przekonali go, żeby przynajmniej zgodził się spotkać z Florentino, który w tym momencie był pewny, że ma już piłkarza w ręku, i tylko czekał na moment, gdy będzie mógł zaprezentować go kibicom. W całej tej operacji Florentino ryzykował własnym majątkiem,

ponieważ aby zdobyć pieniądze na klauzulę i pokrycie kosztów całego przedsięwzięcia, oddał w zastaw swoje akcje w ACS.

Kiedy Figo wyraził zgodę na spotkanie, Futre zatelefonował do Florentino. Powiedział mu, że koniecznie trzeba porozmawiać. Pérez musiał zrezygnować z kilku zobowiązań i zgodził się spotkać w Lizbonie o godzinie pierwszej w nocy.

Przyleciał z Madrytu wraz ze swoimi adwokatami i Santosem Márquezem. Z Korsyki przylecieli Figo, Futre, Veiga i Jorge Gomes, który z nim pracował i wcześniej wybrał się już razem z nimi, żeby przekonać Figo. Oczywiście obie strony działały w największej tajemnicy i korzystały z prywatnych samolotów. O pierwszej w nocy w lizbońskim biurze Veigi stało się aż 12 osób, w tym kilku jego zaufanych współpracowników.

Po raz pierwszy Pérez i Figo spotkali się twarzą w twarz.

Przywitali się, wszyscy usiedli i rozpoczęło się decydujące dla przyszłości Realu Madryt spotkanie. Wracam teraz do opowieści z biografii Futre, przytaczając fragment, w którym Florentino zabiera głos na początku spotkania:

– Luís, po pierwsze chcę ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś. Bez ciebie nie zostałbym prezesem. Chcę stworzyć najlepszą drużynę wszech czasów. Ty jesteś najlepszym piłkarzem świata. Real Madryt potrzebuje Luísa Figo do swojego projektu. To podstawa. Nic nie będzie takie samo, jeśli nie zostaniesz naszym zawodnikiem. Obiecuję, że stworzę najlepszą drużynę na tej planecie, z najlepszymi piłkarzami świata. Zdobędziesz Złotą Piłkę i wygramy Ligę Mistrzów.

– Panie prezesie, jestem ogromnie wdzięczny za zaproszenie, ale nie mogę tego zrobić. Nigdy nawet nie wyobrażałem sobie takiego szaleństwa. To osiągnęło poziom prawdziwego okropieństwa i bardzo boję się o moją rodzinę. Proszę mnie zrozumieć, panie prezesie. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę przejść do Realu Madryt.

Spotkanie rozpoczęło się chwilę po godzinie pierwszej. O szóstej sytuacja nadal wyglądała tak samo. Florentino mówił, że potrzebuje Figo, a Figo prosił o wybaczenie. Zaczynało świtać, kiedy Florentino zadał piłkarzowi istotne pytanie:

– Co chcesz w zamian za zostanie naszym piłkarzem?

W tym momencie nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Figo poprosi o dwa razy więcej pieniędzy, niż zostało wcześniej ustalone, i że Florentino się zgodzi. To bardzo poważny, prawdopodobny człowiek. Nie chciał tych 30 milionów euro z klauzuli. Chciał Figo do projektu, który wymyślił. Powiedział, że nigdy nie czułby się prezesem klubu, gdyby nie miał twarzy firmującej ten projekt. Dlatego znów zapytał zawodnika:

– Co chcesz w zamian za zostanie naszym piłkarzem?

W reakcji na odpowiedź Figo wszyscy (oprócz mnie) otworzyli usta ze zdziwienia.

– Chcę Sá Pinto.

Florentino oglądał mecze Realu Madryt i niewiele więcej. Nie miał pojęcia, o kim mówił Figo.

Dlatego zapytał:

– Kto to jest?

Siedzący obok niego Gordito rzucił najlepsze zdanie tej nocy:

– Florentino, to kolarz, jakie to ma znaczenie?

Po raz pierwszy tej nocy wszyscy obecni zaśmiali się równocześnie.

Wyjaśniłem Florentino, że Sá Pinto to portugalski piłkarz, który gra w Realu Sociedad, i że to wielki przyjaciel Figó. Miał wystarczające umiejętności, żeby grać w Realu Madryt, a z drugiej strony jego obecność ułatwiłaby adaptację Figó.

– Okej – odpowiada Florentino. – Sporządzimy kontrakt i dołączymy do niego klauzulę dotyczącą Sá Pinto.

Doskonale rozumiałem prośbę Figó. On i Sá Pinto byli serdecznymi przyjaciółmi, a Figó potrzebował kogoś bliskiego, żeby wejść do szatni Realu Madryt. Chciał czuć czyjeś wsparcie podczas pierwszego kontaktu z wrogami. Myślał, że piłkarze Realu będą chcieli wyrzucić mu krzywdę. Ale nic takiego się nie stało. Wprost przeciwnie. Został bardzo dobrze przyjęty. Na przykład Raúl do dziś jest jednym z jego wielkich przyjaciół. Ostatecznie Figó wcale nie potrzebował Sá Pinto. Real Sociedad zażądał horrendalnej sumy za transfer i cała operacja spełza na niczym.

Ale w tamtym momencie te ustalenia nie wyszły na jaw. Co więcej, Gaspert nadal był optymistą w kwestii Figó, którego prezentacja w Realu Madryt odwleka się jeszcze o tydzień. W Barcelonie – z racji tego, że wciąż nie doszło do prezentacji – zaczęto wierzyć, że sprawa z Figó była tylko blefem. Uważano, że piłkarz jest zbyt przywiązany do klubu, żeby zrobić coś takiego. Tak więc do wyborów przystąpiono z nierozwiązaną jeszcze kwestią Portugalczyka. Gaspert tymczasem rozmawiał z Figó, powtarzając, że jeśli ostatecznie trzeba będzie zapłacić odszkodowanie, to Barça weźmie je na siebie. Dla Gasperta jako prezesa okropna była myśl, że musiałby się dać upokorzyć zapraszaniem na mecze wszystkich płacących składki kibiców Realu przez cały sezon, ale skłonny był zaryzykować. Dokładnie tydzień po wyborach w Realu odbyły się wybory w Barcelonie. I wygrał je Gaspert, otrzymując 25 181 głosów przy 19 791 Lluísa Bassata.

Wracam teraz do rozmowy z Gaspertem.

– Świętowałem właśnie z moimi bliskimi, była już pora kolacji, kiedy zatelefonował do mnie Figó. Składa mi gratulacje, a potem wprawia mnie w przerażenie. „Mam dwa bilety w jedną stronę na lot jutro rano: jeden z Lizbony do Madrytu, a drugi z Lizbony do Barcelony. Od ciebie zależy, który wykorzystam. Polecę do Barcelony, jeśli mi zagwarantujesz, że na lotnisku dadzą mi poręczenie z La Caixy na sumę pięciu miliardów peset, żeby zapłacić odszkodowanie, w razie gdyby było to konieczne. Jeśli nie, wsiądę w samolot do Madrytu i po południu zostaną zaprezentowany jako piłkarz Realu”. Zamarłem. Zniknęła cała radość z najszcześniejszego dnia w moim życiu. Tyle lat pragnień, by stać na czele Barcy, tyle lat cierpienia i w dniu, w którym zostałem prezesem, spotkało mnie coś takiego! Powiedziałem mu, że nie jestem w stanie tego załatwić w ciągu jednej nocy, ale mogę dać mu poręczenie Barcy. Odparł, że to za mało, że interesuje go tylko poręczenie z La Caixy, że innego nie chce. Nalegałem: „Figó, jesteśmy

przyjaciółmi, jak możesz mi to zrobić?”. On powtarzał, że darzy mnie sympatią, ale tak się sprawy mają i nic nie da się zrobić. „Jeśli dotrę do Barcelony i nie będę miał poręczenia, Veiga popełni samobójstwo”. Zrozumiałem, że jest po wszystkim. Straciliśmy Figó.

I w poniedziałek po południu, 24 godziny po zwycięstwie Gasparta i osiem dni po zwycięstwie Florentino, ten drugi, u boku Di Stéfano, z dumą zaprezentował nowego piłkarza Realu. Pierwszy z jego galaktycznych, po którym rok po roku przyjdą Zidane, Ronaldo i Beckham, aż powstanie fantastyczny gwiazdozbiór.

Figó w dniu prezentacji nie wydawał się szczęśliwy. Miał twarz człowieka udręczonego, nie malowała się na niej radość z powodu nowego etapu w karierze, chociaż dostał kontrakt z pięciokrotnie wyższymi zarobkami. Później jeden z ważnych pracowników Realu Madryt opowiedział mi, że do końca cierpiał z powodu prześladowania, a kiedy jechał na stadion, otrzymał wiadomość, że jeśli dojdzie do prezentacji, to w magazynie „Interviú” zostaną opublikowane nagie zdjęcia jego żony. Nic takiego się nie wydarzyło, zresztą takie fotografie nawet nie istniały, ale te pogrózki jeszcze bardziej go przygnębiły.

Z drugiej strony Gaspert powiedział, że to, co zrobił mu Florentino, „położył na nocnym stoliku”.

– Jest to wyrażenie Jordiego Pujola. On zawsze mówi, że kiedy ktoś robi ci jakieś świństwo, trzeba to zapisać i włożyć do szufladki nocnego stolika. W ten sposób od czasu do czasu możesz na to spojrzeć i nie zapomnieć. Stąd zapożyczyłem to zdanie. Rozumiem to, co zrobił Florentino, dla niego było to kluczowe, ale mnie zabiło.

– Ale razem z klauzulą dostał pan dziesięć miliardów peset w gotówce...

– Owszem. Ale byłem zmuszony do przeprowadzenia jakiegoś transferu. A wszyscy wokół wiedzieli, że mam pieniądze i już tylko czekali na mnie ze szurmakiem. Trenujący wtedy drużynę Serra Ferrer powiedział mi, że najlepsze, co możemy zrobić, to sprowadzić Overmarsa, Holendra z Arsenalu. Ten wspaniały piłkarz doznał kontuzji i dlatego nie grał na najwyższym poziomie, ale byłby to dobry wybór. Tak więc pojechałem do Londynu. Sprzedali mi go, skorzytali z okazji, żeby w pakiecie dorzucić Petita, francuskiego pomocnika. Zadzwoiłem do Serry Ferrera, który powiedział, że to całkiem niezły zawodnik. Wzięli za nich tyle, ile chcieli. Na całą operację wydaliśmy sześć miliardów peset. Reszta też wkrótce się rozeszła. Patrząc na to z perspektywy czasu, lepiej byłoby wyłożyć się cierpliwością, zachować pieniądze i zacząć, żeby zobaczyć, jakie były rzeczywiście potrzeby zespołu. Ale w futbolu nie jest to możliwe, a tym bardziej w takiej sytuacji, w jakiej się wtedy znaleźliśmy. To oczywiste, że popełniliśmy błąd, ale na naszym miejscu każdy postąpiłby tak samo. Nie dało się zrobić niczego innego.

Wydawało się, że nad mandatem Gasparta wisi kłątwa. I rzeczywiście tak było przez ten cały bałagan spowodowany ucieczką Figó. Gaspert utrzymał się na stanowisku przez trzy lata, a w tym czasie klub nie wygrał ani jednego trofeum, z wyjątkiem Pucharu Katalonii. To wielka wyrwa w najnowszej historii klubu. Poza wspomnianymi Overmarsem i Petitem w trakcie swojej kadencji Gaspert sprowadził także Alfonso, Gerarda, de la Peñę, Saviolę, Geovanniego, Rochembacka, Christianvala, Bonano, Anderssona, Sorina, Mendię, Riquelme i Enkę. Każdy kosztował dużo albo bardzo dużo i we wszystkich przypadkach cena była niewspółmierna do prezentowanego w Barcelonie poziomu gry.

W Realu działo się zgoła inaczej. Figó rozpoczął serię transferów, która zapewniła klubowi magiczny okres. Krótkotrwała, ale magiczna. Galaktyczny Real Madryt wywoływał emocje, jakich kibice nie przeżywali od czasu Kopy, Riala, Di Stéfano, Puskása i Gento.

A przecież początki Figó w Realu nie należały do łatwych. Musiało minąć trochę czasu, zanim poczuł się swobodnie, co dało się zauważyć na jednej z konferencji prasowych, kiedy ktoś go zapytał:

– Czuję się pan madridistą?

A on odpowiedział:

– Czuję się Portugalczykiem.

Florentino natychmiast wystąpił w jego obronie, wypowiadając jedno z najbardziej trafnych i pamiętnych zdań: „Figo urodził się, żeby grać w Realu Madryt”. Mówiąc to, miał na myśli charakter piłkarza, który łączył w sobie wszystkie cechy, jakich zawsze wymagali madridiści. Figo był zawodnikiem ogromnej klasy, a jednocześnie odważnym, walecznym, silnym i odpornym na porażki. Tego wymaga się na Santiago Bernabéu.

Na początku swojego mandatu Florentino zadziwił barcelonistów, kiedy błyskawicznie udało mu się spłacić dług Realu za sprawą re kwalifikacji terenów ośrodka treningowego. Tego, czego Bernabéu nie mógł zrobić ze stadionem w czasach frankistowskich, Florentino dokonał w okresie demokracji. Chodziło o zdobycie pozwolenia od Urzędu Miasta i Urzędu Wspólnoty Autonomicznej Madrytu na przystosowanie pod zabudowę działki o powierzchni 150 677 metrów kwadratowych. Teren ten został kupiony przez Bernabéu w 1960 roku.

Wgento opowiadał mi:

– Pan Santiago zabrał nas pewnego dnia, żebyśmy zobaczyli teren. Powiedział nam, że kupił go za grosze. Była to pokryta kamieniami działka za miastem. Mnie przyszło na myśl, żeby go zapytać: „Panie Santiago, po co to panu? Będziemy musieli tutaj przyjeżdżać?”. A on na to: „Zobacz, Paco, tędy jedzie się na północ. A tą drogą przyjeżdżają do tego miasta wszystkie pieniądze”. Wkrótce miejsce to stało się bardzo ważne.

Tak było. Otwartym w 1962 roku ośrodkiem treningowym Real na początku bardzo się szczylił. Później koszty utrzymania obiektu zaczęły martwić de Carlosa i Mendozę. Dopiero Florentino znalazł rozwiązanie dzięki dobrym kontaktom wśród polityków z miasta. Alberto Ruiz-Gallardón nie był wtedy burmistrzem, lecz prezydentem Wspólnoty Autonomicznej. Urząd burmistrza piastował Álvarez del Manzano, który rzucał kłody pod nogi, ale jego zastępca Ignacio del Río (pomysłodawca kandydatury olimpijskiej Madrytu; doprowadził także do organizacji w tym mieście turnieju tenisowego Masters 1000) ostatecznie go przekonał.

Umowa pozwalała na zbudowanie czterech ogromnych wież, zajmujących 19,91 procent powierzchni terenu. Pozostałe 80,09 procent stało się terenem publicznym. Ogłoszono, że miała tam powstać wielka hala sportowa, także z myślą o igrzyskach olimpijskich. Ale nie zbudowano jej. W rzeczy wistości nie ma już na to szans. Brzmiało to trochę jak utopia, mówiąc szczerze, coś uknuto, żeby dać ludziom do zrozumienia, że część terenu zachowano na użytek sportowy.

Zbudowano za to cztery wieże zmieniające skyline Madrytu. Nie wszystkie jednak były przeznaczone dla Realu. Jedną z wież wykorzystywał Urząd Miasta, połowę drugiej Wspólnota Autonomiczna, a dwie i pół klub, który z tego tytułu otrzymał 80 miliardów peset, co regulowało zadłużenie klubu i ułatwiało kupowanie *galácticos*, którzy pojawili się po Figo.

Fakt, że już na początku sprawowania mandatu Florentino zabrał Figo i błyskawicznie spłacił długi, przygnębił kibiców Barcelony. Re kwalifikacja wywołała falę krytyki; jeszcze do dzisiaj są ludzie twierdzący, że Urząd Miasta dał Realowi Madryt 80 miliardów peset należących do wszystkich mieszkańców, madridistów czy niemadridistów. To bardzo dalekie od prawdy. Urząd Miasta za wieżę wypłacił 32 miliardy, Wspólnota Autonomiczna 16 za swoją część, a skarb państwa trzecią część całej kwoty. Były to przecież pieniądze na zbudowanie wież służących wszystkim mieszkańcom Madrytu. Jedyna racjonalna krytyka dotyczyła obaw związanych ze zbyt dużym ruchem ulicznym w tej okolicy po tym, jak wieże powstaną. Zorganizowano nawet sąsiedzki protest, wspierany przez Zjednoczoną Lewicę. Ale minęło już wiele lat, a ruch w tym miejscu wcale nie jest bardziej nieznosny niż w pozostałych rejonach miasta.

Nie zamknęło to ust przeciwnikom projektu w Hiszpanii, a zwłaszcza w Barcelonie, co spowodowało, że Komisja Europejska, na wniosek grupy socjalistów, zdobyła raporty od hiszpańskiego rządu. Wspólnota Autonomiczna i Urząd Miasta je przesłały i naciski się skończyły.

39. WIECZÓR ŚWIŃSKIEGO ŁBA

Figo, jak już wspomniałem, nie czuł się zbyt swobodnie w pierwszych tygodniach w Realu Madryt. Dało się to zauważyć. Odczuwał *saudade*^[70] za Barcę, odnosiło się wrażenie, że nie był przekonany do tego, co zrobił. Jednak ostatecznie w objęcia Realu popchnęło go to, co przeżył podczas pierwszej wizyty na Camp Nou, 21 października tego samego roku. Oczekiwano na niego w bardzo wrogiej atmosferze. Dziennik „Sport” na pierwszej stronie zamieścił tytuł *¡Pesetero!* (Sprzedawczyk), w środku natomiast plakat-banknot o wartości dziesięciu miliardów peset ze zdjęciem Figo w stylu zasłużonych postaci, jakie normalnie zajmują miejsce na pieniądzach.

Gdy drużyna Realu wyszła na boisko, trybuny ogarnęła niebywała furia. Na Figo leciały różne przedmioty za każdym razem, gdy zbliżał się do linii bocznej, w związku z tym częściej niż zwykle grał w środku pola. Puyol krył go indywidualnie, i to z bardzo dobrym skutkiem. Mimo to Figo domagał się piłki i starał się grać swoje, chociaż zrezygnował z wykonywania rzutów różnych, co zazwyczaj należało do jego zadań. Real przegrał ten mecz 0:2. Pamiętam, że w „Asie” skrytykowałem go za to, iż nie wykonywał rzutów różnych i ewidentnie uciekał od linii bocznej, o co później spierał się ze mną Valdano. „Dla mnie był odważny, prosił o piłkę, brał udział we wszystkich akcjach...”

Począwszy od tego dnia, Figo naprawdę zaczął czuć się piłkarzem Realu Madryt. I dobrze mu się wiodło. Chociaż jego nowa drużyna rozpoczęła sezon od rozczarowującej porażki w Superpucharze Europy z Galatasaray Sztambuł i słabych wyników w lidze, to już zimą Real funkcjonował jak należy, a zaakceptowany przez kibiców Figo był gwiazdą cieszącą się takim samym statusem jak Raúl (który został jego przyjacielem i pomagał mu w adaptacji). 19 grudnia przyznano mu zaś nagrodę dla najlepszego piłkarza grającego w Europie, Złotą Piłkę „France Football”.

Wywołało to kolejną dyskusję: Złotą Piłkę wygrał jako piłkarz Barcelony, w której występował do lata, czy jako piłkarz Realu Madryt, w którym występował od lata? W każdym razie to Real zrobił wielkie wydarzenie z wręczenia nagrody. 14 stycznia, przy okazji meczu Real – Oviedo, Florentino zorganizował wspaniałą i elegancką uroczystość. Zaprosił kierownictwo „France Football”, redaktor naczelny magazynu wręczył nagrodę Figo na murawie tuż przed meczem, czego świadkami byli Kopa, Luis Suárez, Eusebio, Bobby Charlton i Di Stéfano, laureaci Złotej Piłki sprzed lat. Był to hołd dla futbolu, dla gazety-pomysłodawcy nagrody, dla wielkich w historii, dla Figo. Florentino potrafił robić takie rzeczy. Figo naprawdę zaczynał być szczęśliwy w nowym klubie. Czuł się jak u siebie w domu. I w pierwszym sezonie jako madridista zdobył mistrzostwo Hiszpanii.

W drugim sezonie nie musiał jechać na Camp Nou. Akurat złapał kontuzję. Zresztą pojawiło się sporo wątpliwości odnośnie do tego urazu. W meczu rok wcześniej panowała duszna atmosfera, obecność Figo była niesamowitym bodźcem dla Barcy i prawdopodobnie del Bosque pomyślał, że lepiej mogło im się powieść bez niego. Albo rzeczywiście był kontuzjowany. Tak czy inaczej, Real zagrał bez Portugalczyka i zremisował. W tym drugim roku, w stulecie istnienia klubu, Real nie wygrał ani ligi, ani Pucharu Króla (ze słynnym finałem *Centenario*^[71]), ale triumfował w Lidze Mistrzów (z pamiętnym golem Zidane’a, kolejnego galaktycznego), a także w

Superpucharze Europy i w Pucharze Interkontynentalnym, już z Ronaldo w składzie. Figo występował w najlepszym klubie świata.

Do naprawdę poważnego zamieszania doszło jednak w trakcie trzeciego sezonu, kiedy Real udał się na mecz ligowy na Camp Nou. Figo pojechał tam poirytowany oskarżeniami o ucieczkę z Klasyku w pierwszym sezonie i podejrzeniami, że w drugim stchórzył. „Tym razem będę bił rzuty różne” – zapowiedział kolegom. Przekonywał też do tego del Bosque, człowieka pokojowego, który zaproponował, by wykonywał je ktoś inny. Trener uważał, że całe meczowe zamieszanie może mu zaszkodzić. Ale Figo był zobowiązany do zagrywania piłki ze wszystkich kornarów, robił to w każdym meczu, dysponował precyzyjnym dośrodkowaniem i ostatecznie postawił na swoim.

I zrobił tak, jak zapowiedział: grał przy bocznej linii i wykonywał rzuty różne, na co publiczność zareagowała bardzo nieprzychylnie, uznając to za prowokację. Wściekłość sięgała zenitu. Na Figo sy pało się mnóstwo przedmiotów. Rzucono nawet coś tak niebywałego jak świński łeb, którego zdjęcie wykorzystałem następnego dnia, żeby przygotować zwracającą uwagę pierwszą stronę „Asa”. Pojawiły się głosy z klubu mówiące, że coś takiego nie mogło się wydarzyć, ale J.J. Santos, szef sportu w stacji Telecinco, pokazał ujęcie z boiska, na którym widnieje leżący tuż przy linii bocznej łeb w odpowiednim powiększeniu. W pewnym momencie deszcz przedmiotów był tak intensywny, że arbiter Medina Cantalejo postanowił przerwać mecz i razem z piłkarzami udał się do szatni. Była to zagrywka taktyczna, która potrząsnęła kibicami i częściowo uspokoiła nastroje. Spiker poprosił o spokój i po upływie 16 minut zawodnicy wrócili na murawę. Mecz został wznowiony i dalej przebiegał w miarę normalnie. Zakończył się bezbramkowym remisem. Figo zagrał dobrze, bohaterem spotkania był jednak Iker Casillas miewający na Camp Nou szczęśliwe wieczory.

Po meczu Gaspart oskarżał Figo o prowokację przez opóźnianie wykonania rzutów różnych.

Kiedy drużyna na Realu ląduje na Barajas o wpół do drugiej w nocy, spotyka się z dziesiątkami kibiców, którzy obwołują Figo bohaterem. Następnego dnia wszyscy zadają sobie tylko jedno pytanie: na ile meczów zostanie zamknięte Camp Nou? Medina Cantalejo ocenia zajścia jako poważne, a nie bardzo poważne, co pozwala spekulować odnośnie do decyzji. Ostatecznie Komitet Ligi zamyka stadion na dwa mecze, do czego Barça na początku nie zamierza się stosować. Udaje się do sądu powszechnego, czym narusza futbolowy pakt, by nie mieszać sądów do kwestii sportowych, ale dzięki temu otrzymuje zawieszenie wykonania kary. Federacja, która sprzymierza się z Barceloną, nie naciska na klub, aby zrezygnował z drogi sądowej (co robiła wobec jakichkolwiek wcześniejszych prób ze strony innego klubu, jak stało się w przypadku Deportivo), lecz wykorzystuje zdobyty przez Barceloną czas, żeby zmienić regulamin tak, by poważne zdarzenia (jak Medina Cantalejo skłasyfikował ten sporny incydent) kończyły się tylko karą finansową, a nie zamknięciem stadionu. Kiedy regulamin zmodyfikowano, Barça wycofała apelację z sądu i poprosiła o możliwość powołania się na zapis głoszący, że prawo nie działa wstecz, na co jej zezwolono. Stadionu nie zamknięto.

Było natomiast ogólne potępienie i zbiorowy wstyd. Wszyscy barceloniści wstydzili się tego epizodu. Figo, oprócz tego, że swym odejściem spowodował obniżenie poziomu gry Barcy, doprowadził też do haniebnego zachowania kibiców, przez które stracili oni swe dobre imię.

Z kolei wśród madrydistów pojawiła się frustracja, że nie zamknięto Camp Nou, którego legenda – jako obiektu „bezkarnego” – sięga przypadków Gurucety i Melero Guazy.

40. SZPALER I 2:6

Rozgrywki ligowe w sezonie 2007/2008 wygrał Real Madryt, który był już matematycznie mistrzem po 35. kolejce. Udało się to dzięki trudnemu, ale pełnemu emocji zwycięstwu na Reyno de Navarra, gdzie w 86. minucie Real przegrywał 0:1, żeby ostatecznie pokonać Osasunę 2:1 po bramkach Arjena Robbena i Gonzalo Higuaína.

A w następnym meczu podejmował na Santiago Bernabéu Barcelonę! Normy futbolowej grzeczności nakazują, że kiedy drużyna wychodzi na boisko jako mistrz, przeciwnik powinien pojawić się na nim wcześniej i zrobić szpaler, bijąc jej brawo. Z niecierpliwością mówiło się o tym od tygodni.

Czy do tej kolejki Real zapewni już sobie mistrzostwo? Czy Barça podporządkuje się tej tradycji i robi szpaler? Gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego rywala, nie miałyby to większego znaczenia, ale w tym przypadku sprawa zajmowała całe strony gazet i była głównym tematem w debatach radiowych oraz w wiadomościach telewizyjnych.

Nadszedł dzień meczu i Barça zachowała się jak trzeba: zrobiła szpaler. Potem Real wygrał 4:1. W 77. minucie było 4:0 i publiczność marzyła o piątym голу, żeby zaokrąglić wynik do klasycznej manity, lecz piątego strzelił Thierry Henry dla Barcelony. Tak czy inaczej, rezultat 4:1 prezentował się okazale.

W „Asie” daliśmy tytuł *Zabawa na Bernabéu*. I taki podtytuł: *Szpaler trwał 90 minut*. Swoją relację Juan Trueba zatytułował *To nie był szpaler, lecz spacer*^[72].

Jak widać, szpaler obecny był dosłownie wszędzie. „Marca” zrobiła nawet plakat ze zdjęciem szpalera, który następnego dnia podarowała czytelnikom.

Real Madryt wygrał wtedy ligę z 18 punktami przewagi nad Barceloną. I z punktowym rekordem wszech czasów: zdobył ich 85. Teraz, gdy popatrzymy na osiągnięcia obu drużyn w ostatnich sezonach, wydaje się, że to mało, wtedy jednak wystarczyło to do rekordu. Barça Franka Rijkaarda grała poniżej oczekiwań, Real wygrał dwa mistrzostwa z rzędu i miał nadzieję, że kolejne też zdobędzie bez większych problemów, ale...

W następnym sezonie sprawy przybrały inny obrót i w Realu Madryt, i w Barcelonie. W Realu, pomimo zdobytego mistrzostwa, Schuster stracił pewność siebie, co dość szybko zaczęto zauważać. Drużynie nie wiodło się już tak dobrze. Grała przeciętnie, by nie powiedzieć słabo. Barça tymczasem rozpoczynała nową epokę. Joan Laporta ledwo uratował posadę w głosowaniu nad wotum nieufności (otrzymał 23 870 głosów za odwołaniem przy 14 871 głosach przeciw; wymagane było 66 procent, a przeciwko niemu głosowało 60,6 procent wyborców) i pozostał na stanowisku. Po tym, jak nie udało mu się sprowadzić José Mourinho (ten temat rozwijam w dalszej części książki), postawił w Pepa Guardiolo, wielkiego piłkarza Barcelony, w poprzednim sezonie trenującego Barcę B w Tercera División (nie awansował z nią do Segunda). Jego osiągnięcia wydawały się niewystarczające, żeby już teraz mógł objąć pierwszą drużynę Barcelony, ale Laporta wybrał go z trzech powodów: przez upór stojącego u jego boku Evarista Murtry, niebawem inteligentnego dyrektora (później odepłdzie z klubu, podobnie jak wielu innych), przez odmowę Mourinho, o czym będzie się można przekonać później, a także dlatego, że uważał, iż sympatia barcelonistów do Guardioli jest tak wielka, że z nim na ławce trenerskiej klub (i sam Laporta) będzie mógł liczyć na pewną pobłażliwość ze strony kibiców i mediów,

przynajmniej przez kilka miesięcy. Był to bardzo niespokojny czas i obecność Guardiola miała działać łagodząco.

I Guardiola zaczął dobrze, ponieważ jego diagnoza okazała się trafna: Ronaldinho, Deco i Eto'o, trzej znakomici piłkarze, nie stanowili już o siłę drużyny. Najlepiej było pozbyć się ich wszystkich, nie przejmując się tym, że graliby później w drużynach rywali w Lidze Mistrzów. Pierwszego lata nie mógł odejść Eto'o, ale pożegnano się z pozostałą dwójką (Eto'o prezentował się dobrze w trakcie pierwszego sezonu Guardiola, ale ten i tak uznał, że lepiej się go pozbyć. „Kwestia feelingu” – tłumaczył. I miał rację).

Kiedy drużyny Barcelony i Realu spotykają się w pierwszym ligowym Klasyku sezonu 13 grudnia, Barça jest liderem z 35 punktami w 14 meczach (11 zwycięstw, dwa remisy i jedna porażka, tak wyglądał początek Guardiola), podczas gdy Real Madryt, aktualny mistrz, zajmuje piątą miejsce i traci dziewięć punktów do rywali. Praktycznie już nie uczestniczy w wyścigu o tytuł, ponieważ Barça błyszczy. Poza tym sytuacja zaogniła się po porażce na Bernabéu z Sevillą, kiedy sędziował González Vázquez, który oburzył madridistów. Lista błędów z tego meczu była zatrważająca: gol ze spalonego Kanouté (0:1), faul Kanouté na Cannavaro przy 1:2, nieodwizdane dwa rzuty karne za faule na Higuaínie, niepokazanie czerwonej kartki Palopowi i wyrzucenie Robbena z boiska za głośne domaganie się jedenastki. Poza tym mecz z Sevillą znacznie osłabił Real przed spotkaniem z Barceloną: nie zagra Marcelo, który dostał piątą żółtą kartkę, a także Robben, który zobaczył czerwoną.

A Schuster, pytany na konferencji prasowej, czy drużyna może się podnieść, wygrywając na Camp Nou, zaskakuje wszystkich, rzucając ręcznik „Teraz pokonanie Barcy jest niemożliwe”. Ten defetyzm bardzo źle odbierają kibice, a jeszcze gorzej ludzie w samym klubie, gdzie już od pewnego czasu widziano, że Schuster słabnie. Co ciekawe, tego lata Real Madryt, podobnie jak Barça, kontaktował się z Mourinho, jednak nie zdecydował się zwolnić Schustera po zdobyciu mistrzostwa. Sezon wcześniej klub z Madrytu też sięgnął po tytuł z Fabio Capello, a mimo to i tak zwolnił Włocha za defensywną i nudną grę zespołu. Wyrzucenie drugi rok z rzędu trenera, który wygrał ligę, wydawało się ekstrawagancją. To sprawiło, że Schuster zachował posadę... Do grudnia.

We wtorek dyrektor sportowy Predrag Mijatović ogłasza zwolnienie Schustera. Zastępuje go Juande Ramos, trener o sporym doświadczeniu; prowadził Sevillę, osiągając największe sukcesy w historii tego klubu, aby później zanotować niezbyt szczęśliwy okres pracy w Tottenhamie.

W takich okolicznościach i w środku okresu wielkiej niestabilności instytucjonalnej (Calderóna atakowano, więc zwołał zgromadzenie *socios*, na którym obecność popierających go ultrasów przysporzyła mu jeszcze więcej krytyki) Real Madryt miał pojechać na Camp Nou. Bez zawieszonych Marcelo i Robbena i bez innych szczęściu zawodników zmagających się z kontuzjami: van Nistelrooya, Diarry, Pepe, Heinze, Miguela Torresa i de la Reda. Juande włącza do drużyny czterech wychowanków, na co dzień niewystępujących w pierwszym zespole: Agusa, Antóna, Bueno i Palancę. Nie pamiętam Klasyku, do którego Real Madryt przystępowałby tak osłabiony. Barça czekała w pełnej gotowości, brylowała w lidze, w drużynie panował optymizm oraz chęć rewanżu za poprzednie rozgrywki i za podniecenie, jakie w Madrycie wywołał zrobiony przez Barcelonę szpaler.

W Barcelonie mówi się o goleadzie, kolejnym 5:0 albo jeszcze wyższym wyniku. W Realu mówi się szepem, stara się podnosić na duchu, ale nikt nie wierzy w słowa otuchy. W przeddzień meczu Calderón doznaje ataku kółki nerkowej, tak więc nie jedzie z zespołem i można odnieść wrażenie, że udaje, że zrezygnował z wyjazdu z powodu fatalnej sytuacji drużyny (później przyłeci do Barcelony w dniu meczu i będzie na nim obecny).

Wygrała Barça, ale nie było goleady. Juande zrobił coś niecodziennego jak na tego typu mecz: ustawił Real zbyt defensywnie, grając w formacji 4-4-1-1 (Raúl i Higuaín). Sergio Ramos miał kryć Leo Messiego (wtedy występującego na prawym skrzydle, nie tak jak teraz), więc były zawodnik Sevilli przeszedł na lewy bok obrony, prawy zostawiając Michelowi Salgado. Plan był taki, żeby stawiać opór i od czasu do czasu posyłać długą piłkę, którą mógłby przyjąć bardzo szybki Drenthe, występujący na lewej stronie. Raúl i Higuaín pracują głównie w środku pola i prawie nie pojawiają się w polu karnym przeciwnika. Wobec Messiego stosuje się zwielokrotnione krycie; jeśli ucieka od Ramosa, niemal automatycznie faulowany jest przez innych piłkarzy, którzy zmieniają się w tej roli w miarę upływu meczu, by w ten sposób uniknąć złotej kartki za kolejny atak na rywala.

Real bliski jest cudu. Do 82. minuty utrzymuje się bezbramkowy remis dzięki dobrej grze defensywnej całej drużyny, a zwłaszcza dzięki Casillasowi, broniącemu wszystko, nawet rzut karny. Zespół z Madrytu miał dwie szanse na zdobycie gola w akcjach sam na sam z Victorem Valdésem, po jednej w każdej połowie. Pierwszą dzięki szybkości Drenthe (mającemu dużo miejsca i czasu, żeby pomyśleć), a drugą Palanki, debiutującego wychowanka, który zastąpił kontuzjowanego Sneijdera. Valdés obronił oba strzały. W 82. minucie Puyol wygrywa powietrzny pojedynek, a jego strzał odbija się od uda Eto'o, po czym piłka wpada do siatki. Później, już w doliczonym czasie gry, kiedy Real wreszcie się otworzył w poszukiwaniu remisu, następuje szybki kontratak, po którym Messi pokonuje Casillasa. Spotkanie kończy się wynikiem 2:0.

W gruncie rzeczy wszyscy są zadowoleni. Barça pogrzebała szanse Realu na tytuł (albo przynajmniej tak sądzi), ponieważ różnica wynosi już 12 punktów, a poza tym klub z Madrytu znajduje się w sytuacji beznadziejnej niemalże na każdym polu. Real nie padł ofiarą goleady, nie został ośmieszony, a obawy były tak wielkie, że porażka 0:2 wydaje się wręcz dobrym rezultatem. W Barcelonie krytykuje się mało odważną grę Realu, ale madrydziści odetchnęli z ulgą. Następnego dnia Juande Ramos w długim wywiadzie udzielonym dziennikowi „As” odważnie zapowiada: „Nie poddam się; Barcelonę dopadnie jeszcze zniżka formy. Moja formuła jest jasna: wygrać, wygrać i wygrać. A kiedy Barça zacznie zawodzić, my będziemy gotowi”.

I rzeczywiście, Real wciąż nie jest stabilny instytucjonalnie (Calderón odchodzi ze stanowiska na początku roku, po tym, jak „Marca” ujawniła, że na wspomnianym zgromadzeniu nad jego wotum zaufania głosowały nieuprawnione do tego osoby, i zastępuje go dotychczasowy wiceprezes Vicente Boluda), ale Juande udaje się odbudować drużynę, która znów zaczyna funkcjonować. Między meczem na Camp Nou a spotkaniem rewanżowym w lidze wygrywa 17 spotkań i tylko jedno remisuje, z Atlético. I chociaż Barça nadal rozgrywa dobry sezon, tych kilka punktów, które traci, sprawia, że różnica powoli zaczyna się zmniejszać: z 12 punktów przewagi zostały cztery.

Tak więc w oczekiwaniu na Barcelonę na Santiago Bernabéu, 2 maja 2009 roku, Real Madryt zyskał pełne prawo, by liczyć punkty i rozważać możliwe scenariusze. Wygrywając, traciłby tylko jeden punkt. Zostałyby dwa kolejne mecze wyjazdowe, z Valencią i Villarreal, a potem spotkanie z Mallorcą u siebie i w ostatniej kolejce mecz z Osasuną. Nic prostego, ale w tym momencie Real nie bał się już niczego. Barcelona miała mecz u siebie z Villarreal, wyjazdowy z Mallorcą, u siebie z Osasuną i wyjazdowy z Deportivo. Zdecydowanie lepszy kalendarz, ale pomiędzy tymi meczami musiały jeszcze rozegrać dwa półfinały Ligi Mistrzów z Chelsea, finał Pucharu Króla z Athletikiem, a w przypadku wyeliminowania Chelsea (co jej się udało ze sporą pomocą Øvrebø) jeszcze finał Ligi Mistrzów. Trzeba było włożyć w to sporo wysiłku. Real Madryt naprawdę czuł, że może zdobyć mistrzowski tytuł: jedno zwycięstwo, jeden punkt straty,

cztery mecze do rozegrania, podczas gdy Barça miała ich jeszcze osiem, wszystkie najwyższej wagi, i to w ciągu miesiąca...

Madridista przyszedł więc na stadion w euforycznym nastroju, a przeżył być może największe rozczarowanie w życiu. Od początku lepiej grała Barcelona, a Guardiola dokonał zmiany, która później zrobi furorę: Messi, zamiast występować po prawej stronie, jak zwykle do tamtej pory, zagrał na środku jako fałszywa dziewiątka, jak to robi obecnie. Eto' o natomiast został ustawiony na prawym skrzydle. Ta zmiana zniweczyła cały plan Realu i Barça dość wcześnie zaczęła wpędzać Casillasa w kłopoty. Ale w 13. minucie na Bernabéu wybuchła radość, kiedy po szybkiej akcji i dośrodkowaniu Sergio Ramosa Higuaín strzałem głową zdobył pierwszą bramkę. Do tego momentu Real Madryt nie zrobił niczego, ten gol zapewniał mu jednak tylko jeden punkt straty do Barcelony i rozpałał wielkie nadzieje.

Ale później nastąpiła hekatomba. Błąd źle ustawionego Sergio Ramosa, który podskakując, chce przeciąć długie podanie do Henry'ego, sprawia, że w 17. minucie Barcelona doprowadza do wyrównania. Znowu robią się cztery punkty różnicy. W 19. minucie Puyol zdobywa bramkę głową, wykorzystując dośrodkowanie Xaviego z rzutu wolnego. W 35. Xavi odbiera piłkę Lassowi w środku pola, zagrywa do Messiego, a ten strzela na 1:3. W przerwie nikt nie postawiłby na Real, ponieważ Barça gra tak, jak nigdy przedtem. W 55. minucie Ramos strzela głową na 2:3, co daje trochę nadziei madridistom, ale ona znika zaledwie kilka minut później, kiedy Henry dostaje perfekcyjne podanie od Xaviego, ucieka Sergio Ramosowi i pokonuje Casillasa. Później gra już tylko Barça: Casillas broni, Xavi dowodzi, w 74. minucie Messi strzela na 2:5, a w 84. Piqué na 2:6, po akcji, w której młody stoper w polu karnym Realu zachowuje się jak rasowy środkowy napastnik.

Madridista opuszcza Bernabéu w ciszy, przybity, oszołomiony stylem gry Barcy. W Barcelonie samochody trąbią, powiewają flagi *blaugrana* i *senyery*, a na Canaletas śpiewa się *¡Eo, eo, eo, esto es un chorreo...!* (Eo, eo, eo, to jest dopiero lanie), robiąc aluzję do niezbyt trafnych słów Boludy, tymczasowego prezesa Realu, odnoszących się do wizyty Liverpoolu w Lidze Mistrzów: „Otworzą się, a wtedy ich zlejemy”.

Chociaż Juande Ramos mówi jeszcze, że matematycznie wszystko jest możliwe, wszyscy uznają już Barcelonę za mistrza. I faktycznie nim zostanie. W pewnym sensie nie musi już się martwić rozgrywkami ligowymi, co ułatwi jej wygranę Pucharu Króla i Ligi Mistrzów, a tym samym zdobycie trzech tytułów. Do nich, jeszcze przed końcem roku, dorzuci kolejne trzy: Superpuchar Hiszpanii, Superpuchar Europy i Klubowe Mistrzostwo Świata, już w grudniu. Guardiola, prowadząc po raz pierwszy drużynę z Primera División, za jednym zamachem wygrał wszystkie sześć trofeów.

Szóstka była kluczową liczbą. Sześć goli na Bernabéu, które dały początek sześciu tytułom. Laporta powtarzał później, że dla niego 2:6 było jaksiodme trofeum.

I jeszcze ciekawostka: w meczu ze szpalerem i w meczu zakończonym wynikiem 2:6 (rozgrywano je na przestrzeni roku bez jednego tygodnia) wystąpiło aż siedmiu tych samych piłkarzy Realu i ośmiu Barcelony. To prawie identyczne drużyny. Barça sprowadziła tylko Alvesa i Piqué; pozostałe zmiany w obu składach spowodowały kontuzje albo słabsza forma danych zawodników. Ale, jak wiadomo, futbol to przede wszystkim stan ducha.

41. WYBORY VILLARA W 2004 ROKU

W trakcie przedostatnich wyborów na prezesa federacji, w 2004 roku, Ángel María Villar (który stanowisko objął w 1988 roku, kiedy zastąpił José Luisa Rocę) musiał stoczyć zażartą wyborczą walkę. Jego rywalem był Gerardo González, przez długie lata zajmujący stanowisko sekretarza generalnego federacji. Sam Villar powierzył mu tę funkcję po tym, jak ten uprzednio szefował w biurze prasowym. Ale Gerardo González stał się z wiceprezesa Juanem Padrónem i Villar, gdy przyszło mu opowiedzieć się po jednej ze stron, poparł tego drugiego. Gerardo González, już poza federacją, ale wciąż posiadając dobre informacje o tym, co się w niej dzieje, postanowił ubiegać się o fotel prezesa, by zakończyć rządów Villara. Była to ciężka walka z zaangażowaniem mediów, bardzo nieprzyjemny okres.

Wybory wygrał Villar, uzyskując 98 głosów przeciwko 57 i jednemu pustemu. W zwycięstwie pomogło mu poparcie Barcelony – stanęła u jego boku, łamiąc tym samym umowę Ligi Futbolu Zawodowego (LFP), której członkowie na prośbę Realu Madryt postanowili, jak jeden mąż, zagłosować na Gerardo González. Joan Laporta był wtedy prezesem Barcy, a Florentino Pérez Realu Madryt. Pérez zaoferował poparcie Villarowi, jeśli ten rozpatrzy dwie natychmiastowe prośby: o wzmoczoną kontrolę antydopingową (w Realu nie podejrzewano wówczas Barcy, ale inne drużyny i owszem, więc uważano, że ta zakazana praktyka jest coraz powszechniejsza) oraz o większą przejrzystość przy wyznaczaniu arbitrow. Villar odrzucił obie prośby, jak opowiadał mi José Ángel Sánchez, dziś dyrektor generalny klubu, a wtedy dyrektor korporacyjny. Nie chciał zagwarantować takich zmian, więc Real opowiedział się przeciwko niemu. Villar odniósł zwycięstwo dzięki wsparciu arbitrow i trenerów, grupy, do której Gerardo González nie mógł przyniknąć (łącznie 26 głosów), i dzięki ruchowi Laporty, który pociągnął za sobą inne kluby: Athletic, Racing, Betis, Eibar, Tenerife i Osasunę. Poza tym mógł także liczyć na pomoc Joana Gasparta, który zdobywał poparcie dla Villara podczas spotkań w jednym z hoteli swojej sieci w Madrycie, HUSA Princessa. Gaspard nie zasiadał już we władzach Barcelony, ale pracował w federacji i miał możliwość doradzania Laportce pod tym względem.

W tym samym numerze „Asa”, gdzie pojawiła się informacja o reelekcji, na sąsiedniej stronie znajdował się tekst zatytułowany *Barça uniknie zamknięcia swojego stadionu po amnestii Villara*. Jak wspomniałem w rozdziale o Figo, Barcelonę ukarano zamknięciem Camp Nou, kiedy mecz ze świńskim łbem musiał zostać przerwany na 16 minut. Barça założyła sprawę w sądzie powszechnym i przetrzymała ją tam do czasu zmiany regulaminu, dzięki której przypadki zakwalifikowane przez arbitra jako poważne, a nie bardzo poważne, przestały oznaczać zamknięcie stadionu. Wtedy wycofała sprawę z sądu, mając pewność, że najbliższe mecze będzie mogła rozegrać na Camp Nou.

Rozpoczął się okres, w którym Real Madryt po raz pierwszy czuł się prześladowany przez federację i arbitrow. Tego samego lata podczas corocznego spotkania z sędziami Sánchez Arminio powiedział, że wszystko stało się „przez człowieka, który wydał dużo pieniędzy, a niczego nie wygrał”, czyniąc aluzję do Florentino Péreza.

Villar już wcześniej spełniał nadzwyczajne prośby Barcelony. Znamienny był przypadek jej wycofania się z Pucharu Króla w kwietniu 2000 roku. Pierwszy mecz półfinałowy Barça przegrała 0:3 z Atlético. Przed rewanżem van Gaal wy musiał przedłożyć meczu, ponieważ miał w składzie wielu Holendrów, którzy otrzymali powołanie do reprezentacji (wtedy kalendarz był

jeszcze bardziej napięty niż obecnie). Było to towarzyskie spotkanie ze Szkocją. Kilka miesięcy wcześniej rozegrano mecz towarzyski Holandia – Maroko i wtedy jego rodacy zrobili mu uprzejmość, nie powołując barcelonistów, by ci mogli zagrać w meczu Barcelona – Brazylia, zorganizowanym z okazji stulecia klubu. Tym razem van Gaal i Barça postanowili o to nie prosić, woleli wycofać się z rozgrywek. Przekazali federacji, że z powodu nieobecności i kontuzji (Amunike miał już pozwolenie na grę, ale nie pojawił się jeszcze na boisku) mają do dyspozycji tylko dziesięciu zawodników. Że uzupełnienie składu wychowankami (regulamin nakazuje, że musi być przynajmniej siedmiu piłkarzy pierwszego zespołu, by mecz mógł zostać rozegrany, a La Masia już istniała) nie dałoby rywalizującym zespołom równych szans. I tak Barça stawiała się z dziesięcioma piłkarzami i rozegrała się komiczna scena. W odpowiednim momencie Guardiola wyszedł na środek boiska, by zakomunikować arbitrowi Díazowi Vedze, że dysponuje zbyt małą liczbą zawodników. Santi Denia, równie znamienity kapitan Atlético, także dyskretnie uczestniczył w tym krótkim dialogu. Wszystko pokazywano na żywo w telewizji. Ostatecznie piłkarze rozjechali się do domów, nie biorąc pryszniców.

W półfinałach występowały obie drużyny z Madrytu i obie z Barcelony. Wszystkie cztery miały w składach reprezentantów różnych krajów. Pozostałe trzy zagrały, obijając się bez nich, jako że dzień meczów półfinałowych zbiegł się z terminem FIFA. Nikomu innemu nie przyszło do głowy, żeby zrobić coś podobnego. Karą za to zachowanie jest wykluczenie z Pucharu w następnym roku. Latem, wykorzystując fakt kolejnej reelekcji, Villar ułaskawił Barcelonę (choć nie należało to do jego kompetencji). A w tym momencie definitywnie kończył sprawę z zamknięciem Camp Nou za zajęcia w meczu z udziałem Figo.

W 2003 roku Barcelona miała kolejny problem z reprezentantami. Żeby zapewnić Ronaldinho należyty odpoczynek pomiędzy meczem reprezentacji a ligowym, Barça rozegrała spotkanie z Sevillą pięć minut po północy, popisując się tym samym władzą poruszenia nieba i ziemi, byle osiągnąć cel. A już w 2004 roku doprowadziła do tego, że finał Pucharu Króla między Realem Madryt a Saragossą, odbywający się w Barcelonie, przeniesiono z Camp Nou na Montjuïc. Był to Real Galaktyczny, chodziło o to, by nie pozwolić na triumf *los blancos* na Camp Nou, ponieważ przyjmowano za pewnik, że zespół z Madrytu zdobędzie Puchar. W tamtym momencie drużyna osiągnęła szczyt swoich możliwości. Ale właśnie w tym finale na wiele się to nie zdało za sprawą słynnego gola Gallettiego. Wywołało to zniechęcenie Realu, który odpadł później z Ligi Mistrzów, przegrywając w ćwierćfinale z Monaco, i poddał się w lidze, notując pięć porażek z rzędu.

Do innego, jeszcze bardziej ewidentnego pokazu siły Barcelony doszło latem po porażce drużyny Luisa Aragonésa na mundialu w Niemczech w 2006 roku. Hiszpania zorganizowała jeden z tych dziwnych meczów towarzyskich, tym razem na Islandii. Nikomu się to nie podobało. Dwa dni później Barça miała rozegrać mecz o Superpuchar Hiszpanii z Espanyolem. Postanowiła zatem, że Puyol i Xavi nie pojadą na spotkanie kadry, i tak się stało. Klub zakomunikował, że obaj odnieśli kontuzje. W takich przypadkach regulamin nakazuje wprost: zawodnik, który nie pojawia się na zgrupowaniu z powodu kontuzji, w klubie może zagrać dopiero po upływie pięciu dni od meczu reprezentacji. Xavi i Puyol wystąpili w Superpucharze, a Espanyol złożył skargę, bo przypadek był typowy. Oczywiście w federacji sprawa została zamieciona pod dywan.

Ale tym, co naprawdę zirykowało Real, była polityka desygnowania oraz nagradzania i karania arbitrow, bo ludzie z Madrytu zaczęli dostrzegać w tym procesie czarodziejską rękę. Sędziowie to przecież ludzie, a przeznaczeniem arbitrow kierują ci, którzy desygnują ich do prowadzenia spotkań, awansują i degradują, nadają status arbitra międzynarodowego albo go odbierają, umożliwiając wyjazdy na dobrze opłacane kursy w Katarze i tym podobne rzeczy.

Kiedy sędziowie widzą, że wiatr wieje w jednym kierunku, to normalne, że większość stara się ustawić żagle do tego wiatru.

Był to wiatr często w przeszłości wiejący na korzyść Realu Madryt, dlatego zmiana jego kierunku stanowiła wielkie zaskoczenie. A za kadencji Villara dochodziło do naprawdę niebywałych zdarzeń. Na przykład wszyscy widzieliśmy, jak Rodríguez Santiago uznaje gola Messiego strzelonego ręką (w meczu z Espanyolem, w dniu *tamudazo*^[73]), co mogło zdecydować o tytule mistrzowskim na dwie kolejki przed końcem sezonu, a następnego dnia ten sam arbiter zostaje wyznaczony na sędziego finału Pucharu Króla. Ten sam Rodríguez Santiago w tym samym sezonie uznał gola Espanyolowi strzelonego Realowi Madryt, chociaż dosłownie chwilę wcześniej odgwizdał faul, co spowodowało, że Florentino Pérez poważnie rozważał złożenie prośby o unieważnienie wyniku i powtórzenie meczu.

Widzieliśmy, jak Mejuto González odgwizduje jedenastkę na korzyść Barcy (przeciwko Atlético) mimo przewinienia popełnionego poza polem karnym i w tym samym roku zostaje wyznaczony do sędziowania na mistrzostwach świata, na które ostatecznie nie pojechał, ponieważ jeden z jego asystentów miał nadwagę.

I odwrotnie: widzieliśmy, jak Tristante Oliva przyznaje dyskusyjny rzut karny Realowi Madryt w końcówce meczu z Valencią (*ushiro-nage*^[74], pamiętaj Państwo?), który, moim zdaniem, został podyktowany prawidłowo, ale w tym przypadku nie ma to znaczenia. Arbitra odsunięto od prowadzenia spotkań. W następnym sezonie był kierownikiem boiska Murcii (nie osiągnął jeszcze wieku emerytalnego). Widzieliśmy też, jak Daudén Ibáñez nie uznaje prawidłowo strzelonego gola Atlético w meczu z Realem Madryt (co Helguera wymusił protestami), po czym traci status sędziego międzynarodowego.

Nic więc dziwnego, że Real stał się w tamtym czasie podejrzliwy. Arbitrów nie oceniają kluby, lecz komitet. Na jego czele stoi Sánchez Arminio, ten sam, który powiedział arbitrom zdanie o człowieku, który „wydał dużo pieniędzy, a niczego nie wygrał”. To naturalne, że podobne sformułowania, padające z ust przełożonych sędziów, irytowały Real. Koniec końców wiadomo, że w świecie futbolu arbitrzy, którzy daleko zachodzą i sędziują mecze na mundialach czy mistrzostwach Europy, to nie ci, którzy nie popełniają błędów, lecz ci, którzy w razie popełnienia błędu robią to ku zadowoleniu ludzi wyznaczających ich do prowadzenia meczów.

Proszę spojrzeć wstecz i poszukać jakiegoś mundialu, na którym arbiter skrzywdził Brazylię, Niemcy albo Włochy. Jeśli go Państwo znajdą, to dlatego, że korzyść odnosiła drużyna gospodarzy.

Na przykład w finale mistrzostw świata w 1966 roku na Wembley Niemcy stracili gola, którego nie było, na rzecz Anglii. (Na tamtym mundialu haniebny przebieg miały też mecze ćwierćfinałowe, Anglia – Argentyna z arbitrem niemieckim i Urugwaj – Niemcy z arbitrem angielskim. Obaj skrupulatnie zrobili to, czego od nich oczekiwano. Otworzyło to do dziś niezabliźnioną futbolową ranę między Ameryką Południową a Europą). Włochów „ugotowali” w meczu z Koreą Południową na tym samym mundialu co nas, w 2002 roku. Później, kiedy Korea grała z Niemcami w półfinale, nie zdarzyło się już nic dziwnego. Brazylii w niebywały sposób nie uznano gola na mundialu w Argentynie. Coś, czego wcześniej świat nie widział: był rzut różny przeciwko Szwecji; do dośrodkowania wyskoczył Zico i zdobył bramkę głową. Arbiter uznał jednak, że między wykonaniem rzutu różnego a strzałem Zico czas gry dobiegł końca i wziął gwizdek do ust, by odgwizdać nie strzelenie gola, lecz koniec meczu.

A zatem nic dziwnego, że nam, zawsze uchodzącym za naiwniaków, ogólnie wiodło się bardzo źle. Pamiętaj Państwo, jak Tassotti (aj, Włochy!) uderzył łokciem Luisa Enrique i ten drugi zalał się krwią? Oczywiście pamiętaj Państwo, co zrobił Al-Ghandour w meczu z Koreą. Albo gola Michela w meczu z Brazylią w Meksyku? Jednak był jeden wyjątek, proszę sobie przypomnieć:

mundial w Hiszpanii. Żeby przepchnąć nas do następnej rundy, przyznali nam wtedy nawet rzut karny za faul poza polem karnym. Zostając na tych samych mistrzostwach, mogą Państwo pamiętać, że Lamo Castillo (nasz arbiter na tym turnieju) „załatwił” ZSRR w Sewilli w meczu przeciwko Brazylii. Albo jak Gentile pozwalał sobie na wszystko w starciach z Maradoną w dniu, w którym Włochy pokonały Argentynę, gdy Grondona nie był jeszcze tym, kim jest dzisiaj [75]. Albo potworny wstyd, jaki czuliśmy, kiedy Schumacher brutalnie sfaulował Battistona, o którego życie mi mocno drżeliśmy, ale obyło się bez poważnych konsekwencji.

Sędziowanie w ten sposób jest mądrością, sztuką, cy nizmem, wszystkim po trochu. Najwyżej zachodzą ci, którzy robią to najlepiej. Musi to wyglądać na wypadek, niedopatrznie, w przeciwnym razie się nie liczy. Jeśli przekroczy się granicę, odsuwają cię, ponieważ „Rzym nie płaci zdracom”. Ale gorsze od przekroczenia granicy jest popełnienie błędu, jakiego popełnić nie przy stoi.

Tak dzieje się w futbolu, chociaż przyznanie tego się nie podoba, a mówienie o tym nie jest w dobrym tonie. A często korzystał na tym Real Madryt, zawsze potrafiąc się poruszać w strukturach władzy. Nagle jednak zobaczył, że wiatr wieje mu w oczy i role się odwróciły. Barça, dotychczasowa ofiara, przez lata narzekająca na arbitrow, zaczęła patrzeć z góry na skargi Realu, który dopuszczał się rzeczy, jakich nigdy wcześniej nie robił. I nie mam na myśli skarg prasy. Prasa to nie klub. Istnieje prasa sprzyjająca madридistom i prasa sprzyjająca barcelonistom, ale ich stanowiska nie powinny być traktowane jako stanowiska klubów, ponieważ gazety nimi nie są, chociaż często, ale nie zawsze, dziennikarze są blisko zespołów.

Mówię o klubie. O tamtej groźbie unieważnienia meczu za pozwolenie kontynuowania akcji Espanyolu po wcześniejszym użyciu gwizdka. O umieszczeniu na klubowej stronie „siedmiu grzechów głównych” Gonzáleza Vázqueza w meczu z Villarreal (23 kwietnia 2005 roku), do momentu wypunktowującego – jedna po drugiej – aż siedem akcji, w których, zdaniem klubu, został on skrzywdzony. Były to najostrejsze dni tamtego kryzysu. Następnego dnia „As” podał informację, że Barça miała bilans rzutów karnych 9:2 przy bilansie 4:4 Realu. Odnośnie do żółtych kartek – Barça dostała ich o 29 mniej niż jej rywale, Real zaś o 13 więcej niż jego przeciwnicy. Czerwone kartki – Barça o cztery mniej niż jej rywale, a Real o jedną więcej.

Podobna sytuacja jak ta z meczu z Villarreal wydarzyła się całkiem niedawno, kiedy Mourinho, po meczu Real Madryt – Sevilla, pojawił się w sali prasowej z kartką, na której wymienionych było 13 błędów arbitra. Nie wspominając już o tyradzie po meczu Real Madryt – Barcelona w Lidze Mistrzów w sezonie 2010/2011 na Santiago Bernabéu, tym z czerwoną kartką Pepe.

I jeszcze więcej podobnych detali, które Real widział albo wydawało mu się, że widział, w mniejszych sprawach, jak choćby reakcje na odwołania od kartek jednych czy drugich. Piłkarzy Realu albo zawodników drużyny, która miała grać przeciwko Realowi. I jeszcze jeden bardzo zmienny przypadek. Latem 2008 roku miała miejsce kolejna amnestia z okazji mistrzostw Europy. Pepe był zawieszony na mecz o Superpuchar, co stanowiło półkosie spotkania sprzed roku. Ale jego amnestia nie objęła. Lista ułaskawionych została podana tuż po meczu. Przy padek? Amnestia objęła między innymi Daniego Alvesa, który miał zawieszenie jeszcze z poprzedniego sezonu, a dzięki temu mógł normalnie rozpocząć nowe rozgrywki. Zresztą wtedy Superpuchar wygrał Real dzięki wspaniałej drugiej połowie w rewanżu na Bernabéu z Valencią, grając w dziewięciu przeciw jedenastu. Van der Vaart i van Nistelrooy dostali czerwone kartki, jeden pod koniec pierwszej połowy, a drugi na początku drugiej. Sędziował Iturralde González, arbiter, z którym Real miał wyraźnie gorsze statystyki niż w tym samym czasie w pozostałych meczach. To właśnie Iturralde sędziował spotkanie Barça – Real Madryt w pierwszym sezonie pracy Mourinho, to zakończone wynikiem 5:0. Real mógł jeszcze zostać w grze, kiedy Víctor Valdés

przy stanie 2:0, mając już na koncie żółtą kartkę, sfaulował Cristiano Ronaldo, ale Iturralde nie przykładał rządu karnego.

Tyle się o tym mówiło, że ostatecznie powstało słowo *villarato* na określenie tegoż procederu. To ja je wymyśliłem, chociaż nie powinienem być chyba z tego dumny.

Kiedy stworzyłem ten termin, nie miałem na myśli sędziowania na korzyść Barcelony, lecz swoisty sposób, w jaki Villar sprawował władzę i się przy niej utrzymywał. A także aluzje do długowieczności jego mandatu. Wiedzą Państwo dobrze, o czym mówię: przedłużę kontrakt z Clemente, bo tak mi się podoba, jeśli go wyrzucę, to mu zapłacę, jeśli wyrzucę Luisa Suáreza, to mu nie zapłacę, reprezentacja nie zagra w Saragossie (w ostatnich 25 latach zagrała tam tylko raz), ponieważ ten z federacji aragońskiej na mnie nie głosuje, temu z Kastylii-La Manchy, który na mnie nie głosował, dam futbol halowy, bo wtedy już na mnie zagłosuje, Samperowi^[76], który poprzez swoją firmę Santa Mónica zapłaci mi duże pieniądze, przyznam spotkanie Hiszpania – Argentyna, żeby rozegrano pierwszy mecz na świeżo położonej murawie (kontuzja Maxiego Rodrígueza)...

Albo tak proste rzeczy, jak mówienie Esperanzie Aguirre (wówczas minister kultury i sportu), że nie ma potrzeby ubiegania się o organizację mistrzostw Europy razem z Portugalią (o co prosili oni), ponieważ możemy zrobić to sami, żeby potem dowiedzieć się, że prawo organizacji otrzymuje Portugalia! Albo podjęcie próby zdobycia zgody na przyznanie mundialu w 2018 roku bez szukania najmniejszego wsparcia ze strony rządu ani nikogo innego, ufając swoim „wyjątkowym” międzynarodowym kontaktom (wiedzą Państwo, paktował z Katarzem wymianę przysług, a ostatecznie wygrały Rosja i Katar). I ten pełen darmozjadów luksusowy samolot lecący wszędzie tam, gdzie gra reprezentacja, żeby zdobyć więcej głosów. Albo prezentowany w Muzeum Federacji Puchar Świata, a tego samego dnia (działo się tak wiele, wiele razy) wystawiony w jakimkolwiek innym miejscu w Hiszpanii inny wędrowny puchar, żeby kibice mogli się z nim póżnifować. Bez ogłaszania, że żaden z nich nie jest prawdziwy.

Albo ciągle jeżdżenie i wykorzystywanie diet, podczas gdy federacja jest sparaliżowana i czeka na jakąś jego decyzję. Albo Regulamin Ligi, starszy niż Garibaldi, spisany w sposób niemalże nieczytelny, dający się interpretować w taki czy inny sposób, z powtarzaniem przysłówkami, zdaniem podrzędnie złożonymi, a często też z przeczącymi sobie zapisami. Albo komitety, które zamiast czynić sprawiedliwość, uprawiają politykę, które czasem załatwiają sprawy, a czasem nie, które za to samo przewinienie w jednym roku zawieszają kogoś na cztery mecze, a trzy lata później tylko na jeden, pływając między prawnymi glonami, jakich pełno jest w rozporządzeniach, aby wszystko można było interpretować według własnego widzimisię.

Wszystko to i jeszcze wiele innych podobnych rzeczy (nie chcę Państwa zanudzać), a także to, jak długo to trwa, i rządy osoby, która to wszystko symbolizuje, jakiś czas temu określiłem właśnie mianem *villarato*. W rzeczywistości Villar nie wymyśla tego, czym jest esencja *villarato*, to coś tak starego jak władza, która zawsze miała swoje sposoby, aby się utrzymać. Ale jego przykład jest tak szczególny, długotrwały i niemalże podręcznikowy, że zasługuje na hołd w postaci terminu, który po nim zostanie.

Albo jako że od czasu do czasu słowo to pojawiało się odnośnie do korzystnego sędziowania na rzecz Barcelony i krzywdzącego na rzecz Realu (chodzi o to samo, ponieważ zwykle to, co jednym dają, drugim zabierają), termin ten został utrwalony w zbiorowej świadomości jako sposób definiowania błędów sędziowskich. Tych, które przy noszą korzyść Barcelonie i krzywdzą Real.

Realu Madryt to nie boli. Tak naprawdę doskwiera mu brak wpływów w sferach władzy, w których zawsze doskonale się poruszał. Dzieje się tak i w Hiszpanii, i w Europie. Villar jest wiceprzewodniczącym UEFA, a oprócz tego również przewodniczącym komisji wyznaczającej

arbitrów, o czym w Hiszpanii wiele osób nie wie i prawie nikt tego faktu nie docenia. W strukturach UEFA działa również Gaspart jako członek Komisji Rozrywek Klubowych (czyli Ligi Mistrzów i Ligi Europy), a nawet Laporta znajdował się w tak zwanej Strategicznej Radzie Zawodowego Futbolu, tylko nie wiem, czy nadal piastuje tam jakieś stanowisko.

Real nie ma swoich ludzi w żadnej komisji. Piastującą stanowisko w UEFA osobą najbliższą związaną z Realem jest Fernando Hierro (z którym nieładnie rozstano się w klubie), który działa w tak zwanej Komisji Futbolu, gdzie zajmuje się propozycjami zmian regulaminowych^[77].

Z drugiej strony Florentino Pérez brał udział w spisku wielkich klubów grupy G-14, starających się umocnić jako przeciwwładza dla UEFA. Tamten bunt się rozwiął, ale uraza pozostała.

Żeby jeszcze bardziej przeciwstawić się Realowi, Platini, odkład został szefem UEFA, wypowiadał się krytycznie o wielkich kwotach w futbolu i sprzyjał zespołom stawiającym na wychowanków. Szczególnie skrytykował transfer Cristiano Ronaldo za 94 miliony euro, podobnie jak linię obroną przez Romana Abramowicza w Chelsea. Tak więc według oficjalnych władz, w których Barça ma swoich reprezentantów, jest ona klubem dobrym, Real Madryt zaś podejrzany.

W przypadku Chelsea idzie się dalej, postrzega się ją niemalże jako wroga systemu. Mimo to szczęśliwie dotarła do finału Ligi Mistrzów w Moskwie w 2008 roku. Ale w poprzednich edycjach ją neutralizowano. Zwłaszcza kiedy stanęła na drodze Barcelony, symbolizującej coś przeciwnego. Tamtego dnia zapowiadało się na istną burzę z piorunami, Abramowicz, a naprzeciwko Barça; gdyby awansowała Chelsea, powtórzyłby się finał z poprzedniego roku, Manchester United – Chelsea. Znowu dwa kluby z jednego kraju. Wszystko to wyjaśnia zachowanie Øvrebø, który przekroczył wszelkie granice.

A zatem nic dziwnego, że Barcelonie pod względem sędziowania zazwyczaj wiedzie się dobrze także w Europie, a Realowi zazwyczaj źle. Nie dziwi zatem, że jeśli Guardiola wyraża smutnienie w reakcji na wyznaczenie pewnego portugalskiego arbitra, ten ląduje w innym półfinale. Albo jeśli Mourinho atakuje pięciu arbitrów po pierwszym półfinale Ligi Mistrzów z Barceloną, na najbliższy mecz wyznaczają mu jednego z nich, De Bleeckere. I że ten przy stanie 0:0 nie uznaje gola Higuaína za to, że wcześniej Cristiano Ronaldo postawił nogę Mascherano.

Barça nie robi nic nadzwyczajnego: jest w miejscach, w których być należy i ucieka się do środków zawsze stosowanych przez Real. Sam Gaspart powiedział mi, że kiedy on i Núñez przyszli do Barcelony, miał 30 lat, ogromny zapał i niewielkie pojęcie o tego typu sprawach.

– Dowiadywałem się, pytałem wielu. I powiedziano mi, że człowiekiem, który w Hiszpanii najlepiej potrafi poruszać się w świecie futbolu, jest Raimundo Saporta. Tak więc zadzwoniłem do niego i poprosiłem, żeby mnie przyjął, co też zrobił.

(Był rok 1978. Saporta odszedł właśnie z Realu Madryt, po tym, jak pomógł w przejściu władzy Luisowi de Carlosowi).

– Zapytało mnie: „A dlaczego sądzi pan, że panu pomogę?”. Odpowiedziałem: „Ponieważ powiedział mi, że jest pan bardzo dobrym człowiekiem i jedynym, który naprawdę zna się na futbolu”. Widocznie wywarłem na nim dobre wrażenie, bo dał mi serię rad, wedle których od tamtego czasu działałem.

– Na przykład jakich?

– Na przykład w kwestii arbitrów. Zdumiewało mnie, że sędziowie aż tak bardzo sprzyjali Realowi. Powiedział mi, że sędziowie są istotami ludzkimi, osobami, które chcą czuć się doceniane i poważane. Że się nie sprzedają, ale mogą być wrażliwi na gesty sympatii. Na przykład telefon, kiedy chory jest ktoś bliski albo kiedy rodzi im się dziecko i w rodzinie panuje radość. A jeśli

można rozwiązać jakiś ich problem, trzeba to zrobić: przywieźć ze szpitala krewnego i tym podobne rzeczy.

– Real Madryt to robił.

– Real Madryt robił nawet więcej. Jego ręce sięgały tak daleko, że nietrudno było na przykład z arbitra pracującego w banku zrobić dyrektora oddziału albo przenieść go do innego, lepszego oddziału. I Real miał dobre relacje z Philipsem, pamięta pan? Przez pewien czas wszystkie reklamy na Bernabéu należały do Philipsa. Ponadto myślę, że wielu arbitrów było regionalnymi przedstawicielami tej firmy.

– A w Europie?

– Powiedział mi, żebym był blisko UEFA. Że ważne jest bywanie tam, nawiązywanie znajomości. Żebym był dyskretny i uprzejmy, ale żebym uważał na kelnerki i portierów. Żebym robił im prezenty. Niekoniecznie drogie, ale dowodzące zainteresowania i sympatii. Że to otworzy mi różne drzwi.

– I przekonał się pan, że tak właśnie było.

– Tak przekonałem się, że tak właśnie było.

O tym, że Gaspard stosował wskazówki Saporty, w Realu Madryt chyba zapomniano. Po latach nastąpiła zmiana. Wcześniej Real desygnował swoich ludzi do instytucji futbolowych, od strony organizacyjnej funkcjonował stabilnie, nie narzekał na arbitrów, brał dobrych piłkarzy ze szkółki i cieszył się wzorcowym wizerunkiem. Barça narzekała na arbitrów, wydawała miliony na piłkarzy, którym stale przedłużała kontrakty i co chwilę miała nowe pomysły. Teraz wszystko się zmieniło. Gaspard potrafił wziąć z Realu to, co najlepsze: *know-how* Raimundo Saporty.

42. TYLKO MOURINHO TU BRAKOWAŁO

Zostało już powiedziane, że po zakończeniu sezonu 2007/08 Barça miała problem. Dobra drużyna Rijkaarda rozpadła się, głównie przez lenistwo Ronaldinho, który trenował mało i coraz bardziej przybierał na wadze, i postępujące opętanie Eto'o, czego punktem kulminacyjnym był wybuch w Vilafranca del Penedès^[78]. Barça zakończyła rozgrywki ligowe ze stratą 18 punktów do Realu. Laporta musiał stawić czoła wotum nieufności. Projekt Rijkaarda dobiegał końca.

Żeby znaleźć wyjście z tej patowej sytuacji, Laporta zamierzał zatrudnić Mourinho – taki pomysł, jak już wcześniej wspomniałem, miał też Real Madryt, ale ostatecznie się z niego wycofał. Barcelońskie gazety sportowe zdawały sobie sprawę z tego zainteresowania. Wszak nie było w nim nic dziwnego. Mourinho cieszył się już wielką sławą. Laporta rozpoczął negocjacje, a kiedy osiągnęły już dość zaawansowany poziom, razem z Markiem Ingłą, wiceprezesem do spraw sportowych, udał się do Lizbony na wspólny obiad z Mourinho. Tam doszli do całkowitego porozumienia, aż...

– Doskonałe. A więc to już wszystko. Chcemy tylko prosić cię o jedno.

– Słucham.

– Żebyś spotkał się z Cruyffem.

– Z Cruyffem? Cruyff pełni jakąś funkcję w Barcelonie? Jest dyrektorem sportowym, członkiem zarządu?

– Nie, oficjalnie nie. Nie ma żadnego stanowiska. Ale lubię się go radzić i chcę, żeby też był w to zaangażowany.

Mourinho stanowczo odmówił. Nie miał zamiaru być choćby w najmniejszym stopniu zależny od Cruyffa i w tym momencie cała sprawa została zakończona. Laporta i tak skłaniał się ku zatrudnieniu Guardioli, o czym już wcześniej pisałem.

Mourinho, jak powszechnie wiadomo, pracował w Barcelonie razem z Robsonem, z którego polecenia przybył do klubu. Razem odeszli z FC Porto, gdzie pełnił funkcję asystenta Robsona, podobnie jak wcześniej w Sportingu Lizbona. I w Barcelonie był drugim trenerem. Ale jako że występował także jako tłumacz Robsona podczas konferencji prasowych – z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu – opinia publiczna uznawała go za zwykłego tłumacza. Deprecjonowano go, trochę przez to absurdałne hiszpańskie przekonanie, że osoba posługująca się więcej niż jednym językiem nie posiada większej wartości; opowiadano nawet anegdoty o rzekomej homoseksualnej relacji łączącej Mourinho i Robsona, jakoby ten zamiast asystenta sprowadził sobie kochanka. Podczas gdy w rzeczywistości był po prostu drugim trenerem, i to dobrym. Tak dobrym, że kiedy Robson odszedł i przyszedł Louis van Gaal, Holender zatrzymał Mourinho na stanowisku.

Nadszedł jednak moment, gdy dostał szansę i zaczął pracować na własny rachunek. W 2002 roku postawiło na niego Porto i w ciągu dwóch sezonów wygrał Puchar

Portugali, Puchar UEFA, Superpuchar Portugalii, Ligę Mistrzów, a także dwukrotnie mistrzostwo kraju. Niebawyła początek Zainteresował się nim Roman Abramowicz i chociaż w Chelsea nie wygrał Ligi Mistrzów, to dwa razy triumfował w Premier League, zdobył Puchar Anglii, dwa razy Puchar Ligi oraz Tarczę Wspólnoty. Odszedł przez konflikt z Abramowiczem i po sondowaniu go przez Real i Barcelonę ostatecznie podpisał kontrakt z Interem Mediolan, gdzie czekały go kolejne sukcesy.

Jako trener Interu stanął na drodze Barcy w półfinale Ligi Mistrzów. W pierwszym sezonie z włoską drużyną zdobył mistrzostwo i Superpuchar Włoch, w drugim sięgnął po wszystkie trzy trofea: mistrzostwo, Puchar Włoch i zwycięstwo w Lidze Mistrzów – pierwszy po 45 latach Puchar Europy dla Interu. Ale żeby to osiągnąć, musiał najpierw poradzić sobie w półfinale z Barceloną, wielką Barceloną Guardioli, która w poprzednim roku zdobyła sześć trofeów i która znów miała sięgnąć po mistrzostwo Hiszpanii, tym razem z rekordową liczbą punktów.

Pierwszy mecz, w Mediolanie, kończy się wynikiem 3:1, a Barça bardzo narzekła na sędziowanie. Pamiętam, że w tamtym okresie nie przytrafiło jej się w rozgrywkach europejskich ze strony arbitrow nic gorszego (jedyny raz, kiedy sędziowie naprawdę orzekali na niekorzyść Barcelony). Gol Mai-

cona po przednim faulu na Xavim, gol Milito z ewidentnego spalonego i oczywisty niepodyktowany karny za faul na Alvesie. Później w Barcelonie będzie się o tym uparcie przypominać Mourinho, kiedy – już pracując w Hiszpanii – zacznie narzekać na sędziowanie na korzyść Barcy. Przed meczem rewanżowym panuje ogromne oczekiwanie, ponieważ dla Barcelony ma on jeszcze dodatkowy bodziec: finał odbędzie się na Santiago Bernabéu. Perspektywa wygrania Ligi Mistrzów na Bernabéu niesłychanie ekscytuje barcelonistów, podczas gdy dla madrydstów byłaby to jedyne w swoim rodzaju katastrofa. Dzień przed meczem w Barcelonie panuje nadzieja, w Madrycie zaś obawa.

Mourinho wykorzystuje ten fakt – moim zdaniem umiejętnie – w wypowiedziach w przeddzień meczu, wskazując, że Barça żywi się niezdrowym pragnieniem, podczas gdy Inter wyjdzie na boisko z pozytywnym nastawieniem, tylko po to, żeby się dobrze bawić.

Inter jest zaryglowany na własnej połowie. Gra jeszcze bardziej defensywnie, gdy po niespełna dwóch kwadransach z boiska zostaje wyrzucony Thiago Motta – kontrowersyjna czerwona kartka, która w przyszłości pozwoli Mourinho odwoływać się do niej jako do niesprawiedliwości wyrządzonej jego drużynie. Eto'ó gra jako boczny obrońca. Inter wytrzymuje, wytrzymuje i jeszcze raz wytrzymuje, jest dobrze zorganizowany, linie obrony i pomocy są blisko siebie, co uniemożliwia podania rywalowi, gra z największym poświęceniem, jest ostrożny i nie ma najmniejszego zamiaru przeprowadzać kontrataków. Barça naciska i naciska, ale trudno jej stworzyć sytuację strzelecką. Ostatecznie bramkę zdobywa Piqué, na sześć minut przed końcem, z minimalnej pozycji spalonej, z tych, które da się wypatrzeć tylko na powtórkach. I już w doliczonym czasie gry pada drugi gol, który dałby awans Barcelonie, strzelony przez Bojana, ale zanim piłka do niego trafiła, odbiła się od ręki Touré i arbiter bramki nie uznaje. Moim zdaniem niesłusznie. Tak czy inaczej, barceloniści w mgnieniu oka od wybuchu radości przechodzą do rozczarowania. W Madrycie odwrotnie. Madrydźci czują się jak wtedy, gdy po słuczce samochodowej okazuje się, że nic nie jest uszkodzone i można spokojnie jechać dalej.

Mourinho świętuje sukces na murawie razem z piłkarzami, Barça w brzydkim geście włącza zraszacze, co później usprawiedliwia się jako niedopatrzenie. Do Madrytu na finał pojedzie Mourinho. Barcelona musi obejrzeć go w telewizji.

Real czyni starania, żeby zatrudnić Mourinho. Manuel Pellegrini, pierwszy trener podczas drugiej kadencji Florentino Péreza, nie wypełni do końca dwuletniego kontraktu. Real rozegrał

dobry sezon, zdobył 96 punktów, ale stracił trzy do Barcy. W Lidze Mistrzów odpadł w 1/8 finału w starciu z Olympique Lyon, w tamtych latach czystym europejskim przeciwnikiem drużyny z Madrytu. W Pucharze Króla odpadł już na początku, wystawiając się na pośmiewisko przez porażkę 0:4 z Alcorcón i nie potrafiąc odrobić strat w rewanżu. Florentino Pérez chciał Mourinho, ale jak go ściągnąć, gdyby w Lidze Mistrzów poległ z Barcą? Gdy tylko Inter został finalistą, Portugalczyk wirtualnie był już trenerem Realu Madryt. Mourinho wygrał tę Ligę Mistrzów na Bernabéu, pokonując Bayern Monachium, ale nawet nie świętował z drużyną. Tego samego wieczoru uzgodniono szczegóły kontraktu.

Mourinho przybywał do Realu jako broń mająca skutecznie przeciwstawić się hegemonii Barcelony. Od początku było oczywiste, że musi stanąć na drodze klubu, dla którego pracował wiele lat wcześniej, zostawiając po sobie dobre wspomnienie i mając przyjaciół we wszystkich sferach z wyjątkiem medialnej.

Gaspard opowiadał mi: „Mourinho był dobrym chłopakiem, kiedy u nas pracował”. I dodawał pół żartem, pół serio: „Zepsuliście go w Madrycie”. Od początku potwierdziło się, że to postać bardzo głośna, o czym wiadano już wcześniej, widziany z bliska okazał się jednak jeszcze głośniejszy. Real wikał się w wiele polemik, do których ludzie w Madrycie nie byli przyzwyczajeni. Mourinho prawie każdego dnia pojawia się na okładkach gazet przez swoje prowokacje, spotykające się ze stosownymi odpowiedziami, na które reagował nowymi prowokacjami. W rezultacie zapracował sobie na fatalny wizerunek, który niesamowicie kontrastował z anielskim zachowaniem Guardioli, zawsze wyrozumiałym, łagodnym i tolerancyjnym. Jego podejście irytuje nawet najbardziej radykalnego madrydystę, czującego wsparcie Mourinho i uważającego, że Guardiola udaje, ponieważ łatwo być dobrym, kiedy wygrywasz i otrzymujesz pomoc od arbitrow. „Jeszcze nie widzieliśmy prawdziwego Guardioli” – to jedno ze zdań powtarzanych od dłuższego czasu przez większość kibiców Realu.

Wizerunek Mourinho-awanturnika powoduje, że część madrydystów marszczy brwi, ale na stadionie i pośród młodych ludzi ma poparcie większości. „W końcu jest ktoś, kto nas broni”. Wizerunek Realu Madryt, klubu wyznającego pewne wartości, dżentelmeńskiego, który nigdy nie narzeka, również na arbitrow, odchodzi do lamusa. Wokół Mourinho idea madrydzizmu nabiera nowego znaczenia.

Do pierwszego starcia dochodzi podczas spotkania ligowego na Camp Nou. Mecz rozgrywany jest 29 listopada 2010 roku, w poniedziałek. Z powodu niedzielnych wyborów w Katalonii zorganizowanie tego spotkania dzień wcześniej wiązałoby się z trudnym do realizacji podwojeniem środków bezpieczeństwa i odwróciłoby uwagę publiczności oraz mediów. Real Madryt krzywi się, twierdzi, że poniedziałek umniejszy rangę meczu, wolałby grać w sobotę, w środku tygodnia Real grał jednak we wtorek, Barça zaś w środę, tak więc miałyby jeden dzień odpoczynku mniej. Oczywiście w poniedziałek również, ale wtedy nie ma to już takiego znaczenia. A zatem przed meczem Barça wygrywa tę małą psychologiczną wojnę. I wygrywa też inną: wyznaczenie arbitra Iturralde González. To dobry baskijski sędzia, z którym Real nie ma jednak dobrych statystyk. Średnia punktów, jakie Real zdobywa z Iturralde, nie przekracza połowy w porównaniu z punktami zdobytymi w tym samym okresie z innymi sędziami. Do tego dochodzą czerwone kartki. Bez zagłębiania się w inne szczegóły, w owej chwili to arbiter, którego Real obawia się najbardziej.

Obie drużyny są rozpedzone, zyskały już znaczną przewagę w tabeli. Real Madryt nie doznał jeszcze porażki, ma na koncie dziesięć zwycięstw i dwa remisy. Barça ma tylko punkt straty: dziesięć zwycięstw, remis i porażka. Trzecia Valencia została daleko w tyle.

Już na kilka tygodni przed meczem spekuluje się odnośnie do podstawowego składu Mourinho. Zacznie spotkanie tą samą jedenastką co zawsze czy będzie chciał chronić środek pola,

wstawiając jeszcze jednego defensywnego pomocnika? Robił tak już dość często, zwłaszcza kiedy jego drużyna prowadziła.

Guardiola obawia się, że mecz stanie się nerwowy i to może zaszkodzić grze jego podopiecznych. Według teorii, którą przekazał zawodnikom, Barça gra lepiej, gdy presja i temperatura widowiska są normalne. Jakakolwiek zmiana atmosfery będzie faworyzować styl Realu, mniej harmonijny, bardziej siłowy, bardziej fizyczny, bardziej agresywny. Poucza piłkarzy pod tym względem, zabrania indywidualnych wywiadów i na przedmeczowych konferencjach prasowych pozwala pojawiać się zawodnikom wykazującym się rozwagą, doświadczonym i ostrożnym, jak Puyol i Mascherano, którzy w wypowiedziach faktycznie trzymają się wyznaczonych przez trenera ram. Ze strony Realu Madryt dochodzi do większej liczby prowokacji, pamięć o porażce 2:6 jest dość świeża, Barça wygrała ligę w poprzednim sezonie, ale Mourinho zabrał jej Ligę Mistrzów i dzięki niemu Real dokona kolejnej zmiany warty w hiszpańskim i europejskim futbolu.

Kilka dni przed meczem Realowi przytrafia się prawdziwy pech: u Higuaina zostaje zdiagnozowana dyskoptia, która nie pozwoli mu grać przez dwa miesiące. Wystąpi Benzema, mniej waleczny i apatyczny w tamtym okresie, bardzo różniący się od zawodnika, którym stanie się w końcu rok później. I z nim podstawowy skład Realu jest taki jak zawsze, bez wzmocnień w drugiej linii.

Mecz to jedna wielka masakra. Real jest bezsilny wobec tiki-taki Barcelony, nawet nie dotyka piłki. Ani Cristiano, ani Özil, ani Benzema nie wywierają presji na przeciwniku, jak wielu wcześniej podejrzewało (stąd wcześniejsza niepewność co do wyjściowego ustawienia), i obrońcy Barcy swobodnie mogą współpracować z pomocnikami, niwecząc wysiłki Di Marii, Khaledy i Xabiego Alonso. 1:0 w 9. minucie, 2:0 w 17. Real Madryt potrafi wejść w mecz dopiero, co ciekawe, z winy Guardioli, który robi coś niewłaściwego. Piłka wychodzi poza linię boczną, on ją bierze, a kiedy zbliża się Cristiano, żeby wykonać wyrzut z autu, najpierw mu ją podaje, po czym – w brzydkim, pogardliwym geście – natychmiast ją cofa, zostawiając go z wyciągniętymi rękami, i rzuca w bok Cristiano odpowiada, odpychając szkoleniowca. Publiczność natychmiast się podpala, wybucha nagromadzone napięcie, piłkarze są wzburzeni, a Iturralde potrzebuje dłuższej chwili, żeby zapanować nad sytuacją. Kartki dostają Cristiano i Valdés, który z bramki przybiegł aż do ławki rezerwowych.

Podczas gdy wszyscy są wzburzeni, Real do przerwy gra znacznie lepiej. Barcelona przestaje być tak precyzyjna, a przeciwnik zaczyna być widoczny. I następuje akcja, o którą Real będzie miał później pretensje: Cristiano wbiega w pole bramkowe, drybluje, Valdés rzuca się mu pod nogi i przewraca Portugalczyka. Karny. Zdaniem niektórych powinna to być nawet druga żółta kartka dla Valdésa, ale Iturralde by na hipotetyczne 2:1 i mecz dziesięciu na jedenastu w drugiej połowie. Ale Iturralde nie gwizdże.

W drugiej połowie Barça się uspokaja. Teraz trzeba się jeszcze bardziej opancerzyć: Mourinho wprowadza Lassa za Özila, ale jest już za późno. Gospodarze ponownie grają swoje i znów pojawiają się bramki: 3:0 w 54., 4:0 w 57. i 5:0 w 90. minucie. Przez ostatnie pół godziny publiczność bawi się doskonale, śpiewając na melodię *Guantanamo*: „Podnieś się z ławki, Mourinho, podnieś się z ławki...”

Mourinho, jak najgłębiej usadowiony na ławce rezerwowych, załamany, jest uosobieniem porażki. Przy 5:0 Piqué pokazuje otwartą dłoń, kierując ją w stronę publiczności, tak samo jak przed laty uczynił Toni Bruins. To podpala Sergio Ramosa, który w kolejnej akcji, już w doliczonym czasie gry, kopie brutalnie od tyłu Messiego i zostaje wyrzucony z boiska. Swoją tekst w „Asie” następnego dnia zatytułowałem *Pokonani i niezrównoważeni*. Z kolei „Sport” tytułuje

swą relację *Klaps dla Mourinho*, dając do zrozumienia, że w Barcelonie ten wynik uznawano przede wszystkim za osobistą porażkę Mourinho.

Jego wyjaśnienia po meczu są nieprzekonujące. Tak naprawdę nie miał nic do powiedzenia. Tymczasem Guardiola jest błyskotliwy, elegancki, lojalny: „Nie wygraliśmy ligi, zdobyliśmy tylko trzy punkty, ale sposób, w jaki to zrobiliśmy, zostanie zapamiętany na zawsze. Real Madryt się nie podda, mają to w swoim DNA, po raz kolejny będziemy potrzebowali niesamowitej liczby punktów, żeby wygrać ligę. Jest to dziełem wyjątkowej generacji, która wygrała wszystko i nadal chce wygrywać”.

Barça czuje się spełniona. Jej styl jest ceniony na całym świecie, jej piłkarze przyczynili się do sukcesu reprezentacji Hiszpanii na mundialu. W meczu z Realem w podstawowym składzie pojawiło się ośmiu wychowanków, a dwaj kolejni weszli na boisko z ławki rezerwowych. W Realu Madryt zagrało tylko dwóch, Casillas i Arbeloa, przy czym ten drugi tylko ostatnie pół godziny. Perfekcja gry, wysokie morale, rozentuzjasmowana opinia publiczna... W tym momencie wszystko znajduje się po stronie Barcelony. A poza tym jest liderem z dwoma punktami przewagi.

Mourinho przez dwa tygodnie siedzi cicho. Obmyśla zemstę.

43. BURZA KLASYKÓW

Mijają miesiące i zbierają się czarne chmury. Wiosną przyniosą silne wyładowania. Wcześniej, na początku roku, Barça triumfowała, zajmując całe podium w plebiscycie Złotej Piłki: stanęli na nim Messi, Iniesta i Xavi. Zwycięstwo Messiego przyjmowane jest z wielką radością przez barcelonistów, podczas gdy madrydziści woleliby, żeby wygrał któryś z pozostałej dwójki, zawodnik reprezentacji Hiszpanii, świeżo upieczonego mistrza świata. Ale dzięki Messiemu barcelonista nie musi dzielić się Złotą Piłką z kibicami innych zespołów. I tak właśnie woli.

Mijają więc miesiące, obie drużyny dystansują resztę stawki i gdy nadchodzi wiosna, okazuje się, że o wszystko będą walczyć między sobą. Mecz rundy rewanżowej w lidze, finał Pucharu Króla i spotkania półfinałowe Ligi Mistrzów, podczas których wejdą w konflikt, odbywają się w ciągu trzech tygodni. Trochę tak jak play-offy w koszykówce, tyle że tutaj chodziło o trzy różne trofea. Pamiętam, że niedługo przed rozpoczęciem tej serii meczów rozmawiałem na ten temat z Joanem Marią Gavaldą, prezesem Stowarzyszenia Trenerów Koszykówki. Był pesymistą: „Nie wiem, jak to się skończy. To zbyt wiele emocji. W koszykówce taka sytuacja jest normalna, więc zniewagi nie przenoszą się z jednego meczu na następny. Ale w futbolu nie są do tego przyzwyczajeni, dotąd między jednym a drugim meczem mijały długie miesiące i czas zablizniał rany. Ale teraz...”.

Jak się później okazało, miał rację.

Pierwszy mecz to spotkanie ligowe na Santiago Bernabéu. Sobota, 16 kwietnia. Barça przez cały czas grała regularnie i o ile po jesiennym Klasyku miała dwa punkty przewagi, teraz ma ich już osiem. Nawet wygrywając, Real będzie w bardzo trudnej sytuacji: traciłby pięć punktów do Barcelony, mając niekorzystny bilans bramkowy w bezpośrednich starciach, chyba że zwyciężyłby różnicą sześciu lub więcej goli, podczas gdy do końca sezonu zostanie tylko sześć kolejek. Ale kto wie. W ostatnich latach Real Madryt cechowały niesamowite pościgi za Barceloną, niektóre – wbrew wszelkim prognozom – zwieńczone sukcesem.

Mecz transmitowany jest dla trzech czwartych kuli ziemskiej. W dniach poprzedzających spotkanie przyjmuję – podobnie jak redaktorzy naczelni innych gazet sportowych z Madrytu czy Barcelony – częste wizyty zagranicznych wysłanników z prasy, radia i telewizji, przeprowadzających ze mną wywiady. Wszyscy oczekują czegoś fantastycznego po tej serii Klasyków, w której spotykają się dwaj giganci walczący o trzy tytuły. Na meczu obecny jest Lula da Silva, ówczesny prezydent Brazylii. Zasiada po prawej stronie Florentino Péreza.

Sprawdzam okładkę „Asa” z tego dnia. Widnieją na niej sylwetki obu trenerów i tytuł *Wszystko albo nic*. W tamtym okresie rywalizacja w Klasyku skupiała uwagę na dwóch trenerach, tak różnych od siebie osobowościach. Tym razem Mourinho, owszem, opancerza się – ku rozczarowaniu najbardziej ortodoksyjnych madrydistów. Nakazał zostawić długą i niepodlaną trawę. Przesławia Pepe z obrony na środek pola, żeby krył Messiego, gdy ten cofa się po piłkę, i mącił, ile tylko się da. Real sprawia, że mecz jest toporny, a Barça nie czuje się swobodnie. Do przerwy nie ma ani goli, ani gry, jedynie brutalność i niewłaściwe zachowania. Owszem, obie strony wypracowują sobie kilka sytuacji bramkowych, ale golkiperzy bronią dobrze. W reakcji na indywidualną akcję Villi Casillas wychodzi z bramki i go przewraca – akcja niemal identyczna jak ta z pierwszej rundy, kiedy Valdés przewrócił Cristiano Ronaldo. Tutaj też nie ma rzutu karnego.

W 51. minucie Albiol chwytą w polu karnym zbliżającego się do Casillasa Villę. Rzut karny i czerwoną kartką. Bez żadnego chę zastrzeżeń. Messi strzela na 1:0. Gdy wszystko jest stracone, grając dziesięciu na jedenastu, Real reaguje z dumą, zrywa z założeniami taktycznymi, atakuje, dominuje i doprowadza do wyrównania w 81. minucie dzięki rzutowi karnemu wykonanemu przez Cristiano Ronaldo. Dani Alves przewraca Marcelo, arbiter daruje drugą żółtą kartkę piłkarzowi Barcelony, co nabije bębenek rewolweru Mourinho, który później powie: „Chciałbym pewnego dnia móc grać przeciwko Barcelonie występującej w dziesiątkę”. Do tamtego momentu w meczach z Barcą jego drużyny były osabiane aż pięć razy: dwukrotnie Chelsea, kiedy z boiska wylaty wali Didier Drogba i Asier del Horno, raz Inter z czerwoną kartką Thiago Motta i dwa razy Real Madryt, gdy arbiter wykluczał Sergio Ramosa (chociaż już w doliczonym czasie gry) i teraz Raúl Albiola.

Ale najważniejsze jest to, że mecz kończy się wynikiem 1:1. Wszyscy mówią, że są zadowoleni, i rzeczywiście tak jest. Barça powoli szykowała się do świętowania mistrzostwa, mając osiem punktów przewagi na sześć kolejek przed końcem. Real pokonał niezły odcinek drogi od 0:5 do 1:1 i chociaż krytykowano jego podejście do meczu (wysoka, niepodlana trawa), doprowadzenie do remisu podczas gry w osabieniu napawało optymizmem przed tym, co miało nastąpić.

Ponadto Messi posłał piłkę w trybuny, co odnotowują madridiści. Nie dostał kartki ani napomnienia ze strony klubu i nie wykonał żadnego przeproszającego gestu. Później usprawiedliwi go oficjalna wersja klubu, że chciał uderzyć futbolówką w bandę i w nią nie trafił.

Czas na finał Pucharu Króla w Walencji, w scenerii neutralnej. Mecz wyznaczony jest na środę, 20 kwietnia, zaledwie cztery dni po pierwszym Klasyku. Dużo dyskutuje się o Pepe. Dla madridistów jest kluczowym zawodnikiem w środku pola, żeby rozbić grę Barcelony. Dla barcelonistów to dowód na toporny styl gry Mourinho – stoper w środkowej strefie, żeby powstrzymać, kopać i popychać, słowem – działać w mało kreatywny sposób. Pojedynek coraz bardziej postrzegany jest jako odwieczna rywalizacja między eleganckim stylistą a twardym bokserem.

Bilety rozdysponowano po połowie. Oba kluby rozstawiają fan zony. To wesoły dzień, świeci wiosenne słońce i jest przyjemnie ciepło. Dochodzi też do spięcia.

Kiedy Tomás Roncero udaje się po akredytację (hotel, w którym federacja je wydawała, znajduje się tuż przy stadionie, ale obok fan zony barcelonistów), wpada w tarapaty. Zostaje rozpoznany, gdy wchodzi do hotelu, a kiedy wychodzi, przed budynkiem czekają na niego dziesiątki radykalnych kibiców; otaczają go i znieważają. Cierpi ogromnie, ale na stadion dociera cały. Przestraszony, ale cały.

Tego dnia na naszej okładce widnieje tytuł *Puchar Stulecia*; litery przecinają sylwetki Leo Messiego i Cristiano Ronaldo, między którymi umieściliśmy Puchar Króla ze wstążką granatowo-bordową przy jednym uchwycie i białą przy drugim. Drużyny wychodzą na boisko. Pepe znów występuje w drugiej linii, a Real gra bez typowego środkowego napastnika, co zdumiewa, ponieważ Higuaín już wyzdrowiał i zaczął grać, Benzemie też nic nie dolega, a klub od stycznia ma jeszcze do dyspozycji Emmanuela Adebayora, pozyskanego po długich naciskach ze strony Mourinho, co wywołuje kryzys, który ostatecznie przyczyni się do odejścia z klubu Valdano (w meczu ligowym w podstawowym składzie zagrał Benzema, a Adebayor zmienił go pół godziny przed końcem). Finał jest intensywny, dobrze prowadzony przez Undiano Mallenco, nie licząc może pobłażliwości, z jaką spotkało się brzydkie kopnięcie Sergio Busquetsa w udo Xabiiego Alonso niedługo po rozpoczęciu spotkania. W pierwszej połowie Real naciska na Barcelonę dzięki sile i odwadze. Rozbija jej grę, wprowadza zamieszanie. Barça nie jest sobą. Pepe od czasu do

czasu idzie do przodu, oddaje nawet strzał głową, ale piłka trafia w poprzeczkę. W pierwszej części meczu lepszy jest Real.

W drugiej, podczas gdy drużyna z Madrytu próbuje odetchnąć, Barça uspokaja się i powoli zaczyna grać w swoim stylu. Rozkręca się i nagle rozpoczyna swój spektakl: wymianę krótkich, szybkich, precyzyjnych podań, by stworzyć okazje do oddania strzału. Real zamyka się w swoim polu karnym i ustępuje. Casillas wykonuje kilka niebywałych parad. Pedro udaje się strzelić gola, ale z pozycji spalonej, więc arbiter słusznie go nie uznaje. Ale Barça też słabnie. Po pięknym meczu przy aplauzie publiczności dochodzi do dogrywk. W niej, pomimo zmęczenia, Di María biegnie wzdłuż linii bocznej, dośrodkowuje do Cristiano Ronaldo, który dotąd rozgrywał słaby mecz, a ten wysłakuje na niesamowitą wysokość i uderza głową. Pada zwycięska bramka. Barcelona nie ma już siły, żeby doprowadzić do wyrównania. Real zdobywa Puchar, który odbiera Casillas, kompletując w ten sposób idealną kolekcję wszystkich możliwych do zdobycia tytułów, którą mogą się pochwalić także Xavi, Puyol i Iniesta. Nie występował w przegranych przez Real finałach i zawsze pozostawała wątpliwość, jak by się skończyły, gdyby to on stał w bramce. W drużynie Barcelony jedynym zawodnikiem niepodstawowego składu był właśnie bramkarz, Pinto, zastępujący w Pucharze Valdésa. Nigdy się nie dowiemy, czy Valdés obroniłby strzał Cristiano.

W Madrycie entuzjazm po wygrananiu Pucharu jest ogromny. 0:5, 1:1, 1:0 dla Realu w trzecim meczu. Tak wydaje się, że Mourinho posiada sposób na Barcelonę, a teraz czas na najlepsze: Ligę Mistrzów. Pośród takiej radości, gdy drużyna przejeżdża ulicami Madrytu odkrytym autobusem, puchar wypada Sergio Ramosowi z ręki i zostaje uszkodzony. Sergio staje się obiektem drwin w Barcelonie, a federacja wykazuje się wątpliwym gustem: nie naprawia go i wstawia zniszczony puchar do swojego muzeum. Real uważa to za kpinę i kolejny znak nikczemności z jej strony.

Guardiola reaguje pozytywnie: „W życiu nie zawsze się wygrywa. Musimy się z tym pogodzić”. Ale atmosfera się zmieniła, porażka 0:5 to już przeszłość, Real Madryt poważnie aspiruje teraz do wygrania półfinału Ligi Mistrzów. Stoiczków, którego spotykał przy wyjściu z Mestalla, mówi, że drużyna jest zniszczona. W Barcelonie morale jest niskie. Duch Realu Madryt, odwiecznego rywala, który nigdy się nie poddaje, unosi się nad wszystkimi. Po raz kolejny, gdy już wydawało się, że został przegoniony.

A jego oblicze jest gorsze niż kiedykolwiek wcześniej. To Real brutalny, grający futbol fizyczny, prowadzony przez człowieka, który w tych dniach staje się niemal obsesją Barcelony. Można odnieść wrażenie, że gorzej jest przegrać z Mourinho niż z Realem Madryt.

W wyniku losowania pierwszy mecz rozgrywany jest na Santiago Bernabéu, 27 kwietnia. Trzeci w ciągu 11 dni.

Dwa dni przed półfinałem, na konferencji prasowej, Guardiola po raz pierwszy jest nieuprzejmy. Pojawiła się informacja, że spotkanie sędziować ma Portugalczyk Pedro Proença, wobec czego trener Barcelony mówi: „Mourinho musi być szczęśliwy, skoro sędziuje Portugalczyk. Ostatnio ma dużo szczęścia. Miał dużo szczęścia, kiedy asystent arbitra zobaczył dwucentymetrowego spalonego Pedrito”.

Pierwszy raz podczas całego tego konfliktu Guardiola odnosi się do arbitrów. Do tej pory wydawało się, że to domena Mourinho. Jego słowa interpretuje się jako oznakę słabości i nerwowości. Mówi również rzeczy, jakich w innych okolicznościach by nie powiedział: „Będziemy trenować na Bernabéu, żeby przyzwyczaić się do wysokiej trawy”. „Oni są faworytami. Wszystko jest przeciwko nam. Bardzo niewielu kibiców na nas stawia i za faworyta uznaje się drużynę, nad którą mamy osiem punktów przewagi w lidze”.

W przeddzień meczu konferencja prasowa Realu Madryt odbywa się przed południem. Okazało się, że arbitrem nie będzie jednak Proença, lecz Wolfgang Stark. W Madrycie odbiera się to tak, że UEFA zareagowała na utyskiwanie Guardioli i postanowiła zmienić sędziego. Mourinho wykorzystuje to, żeby zażartować:

– Ważniejsze od wyznaczenia arbitra i presji, by nie był nim Proença, jest to, że wchodzimy w nowy cykl. Do tej pory mieliśmy dwie grupy trenerów. Jedną małą, niewypowiadającą się na temat arbitrow, oraz drugą dużą, do której zaliczam się też ja, krytykującą arbitrow, gdy popełniają poważne błędy. Ludzie tacy jak ja, którzy nie kontrolują swojej frustracji, ale także ludzie tacy jak ja, którzy chwalą wspaniałą pracę, jaką może wykonać arbiter. A teraz, wraz z wypowiedziami Pepa, wchodzimy w nową erę. Mamy trzecią grupę: trenerów krytykujących trafne decyzje arbitra. On ma wielu sympatyków ze względu na fantastyczną grę Barcelony, ale zobaczymy, czy będzie miał też sympatyków po skrytykowanej trafnej decyzji arbitra. To konsekwencja tego, co przeżył w swoim pierwszym sezonie ze skandalem na Stamford Bridge. Od tego momentu nie jest zadowolony z trafnych decyzji arbitrow. W poprzednim roku, gdy byłem w Interze, przez ponad godzinę moja drużyna grała w dziesiątkę. W tym roku na przykład jedną nogą był już poza rozgrywkami i stało się to, co się stało w meczu z Arsenalem [79]. A w finale Pucharu Króla, kiedy asystent arbitra podejmuje fantastyczną, właściwą i bardzo trudną decyzję, on ją krytykuje. Stark czy Proença... Jest mi wszystko jedno. Życzę sędziemu powodzenia i niech piłkarze mu pomogą. Spodziewam się bardzo dobrego arbitra.

Największą siłą napędową, większą niż para albo energia atomowa, jest wola.

Później, w rozmowie na żywo ze stacją Telemadrid, na pytanie o to, czy Guardiola się zmienił, Mourinho odpowiada: „Nikt nie zmienia się przez jeden wynik. Ale jeśli ktoś sprzedawał pewien wizerunek, a potem pokazał, że taki nie jest... To jak historia o wilku i owcy. O wilku w skórce owcy. Ja zawsze jestem taki sam. Uważam, że to dobra cecha. Nie zmieniam się, kiedy wygrywam ten mecz czy przegrywam tamten”.

Podczas gdy pojawiają się te wypowiedzi, Barça jedzie do Madrytu. W atmosferze panującej w drużynie z Katalonii wyczuwa się pewne zniechęcenie. Tego dnia w jednej z madryckich restauracji spotkałem się z Amadorem Bernabéu, dziadkiem Gerarda Piqué i jednym z dyrektorów klubu. Był przygnębiony. Podzielał teorię, że na tym etapie sezonu drużyna jest fizycznie zmęczona i przypuszczał, że do finału awansuje Real Madryt.

Ale Guardiola zachował się jak prawdziwy lider i udało mu się odbudować morale drużyny dzięki występowi tego wieczoru na Santiago Bernabéu. Na konferencji prasowej w samym *sancta sanctorum* madrydistów, na terytorium Mourinho, okazał się agresywny i stanowczy, zaskakując wszystkich, tym bardziej że zazwyczaj był nastawiony pokojowo:

– Niedawno Mourinho zacytował pana na konferencji prasowej, zaskoczony tym, że skrytykował pan arbitra, i sugerując, że jest pan przyzwyczajony do odnoszenia korzyści z decyzji sędziów. Co ma pan do powiedzenia?

– Mourinho, przepraszam, José, jako że on zwracał się do mnie na ty, ja też będę zwracał się do niego na ty. A zatem José, która kamera jest twoja, José? Cóż, przypuszczam, że wszystkie. José jest najlepszy, jest panem i władcą tej sali. Normalnie zawsze tutaj wygrywa, ja nie mam arbitrow, którzy przygotowują dla mnie raporty, ani sekretarzy generalnych, nie porównuję krzywd. Nie mam nic do powiedzenia. Pracowałem z nim przez cztery lata. Jeśli większą wagę przykładam do tego, co mówią

przyjaciele Florentino, niż do tego, co mówię ja, chociaż mnie zna, to pewnie dobrze na tym wyjdzie. Nie mam zamiaru z nim rywalizować, nie nadaję się do tego i w związku z tym Barcelona potrzebuje innego trenera. Może nadal czytać swoich przyjaciół dziennikarzy i tak dalej... Przyjaciele Florentino, mleczarnia^[80]. Nie będę się usprawiedliwiał. Pogratulowałem tylko Realowi, wielkiej drużynie, ale on myśli jedynie o tym, co mówią przyjaciele Florentino. Nie mogę walczyć z nim w sali prasowej, ponieważ tutaj jest lepszy ode mnie. Mogę mu tylko powiedzieć, że zobaczymy się jutro za kwadrans dziewiąta. Daję mu Puchar Ligi Mistrzów poza boiskiem. W tym jest najlepszy.

– Iniesta ma uraz. Będzie mógł wystąpić?

– Iniesta nie zagra. Na osiemdziesiąt procent nie zagra.

– Spodziewa się pan czystego meczu, bez teatru, jak prosił Sergio Ramos?

– Killka lat temu José powiedział to w Chelsea. Minęło wiele lat i teraz może uciec się do tej samej strategii. Zrobiliśmy wiele rzeczy źle, ale zawsze staramy się grać dobrze. Wie o tym Mourinho, któremu pomagaliśmy rozwijać się jako trenerowi, kiedy pomagał mi rozwijać się jako piłkarzowi. Na początku myślałem, że to z teatrem wymyślił Ramos, ale teraz widzę, że powtarza się tu pewne hasło.

– Pańskie wypowiedzi sprzed kilku dni zostały źle zinterpretowane?

– Kiedy ktoś mnie nie rozumie, to oznacza, że źle się wyraziłem. Wypowiedzi z finału Pucharu Króla, do których trener Realu Madryt wygłosił wspaniały komentarz, nie dotyczyły tego. Arbiter był ważny. Pan Mourinho może wierzyć mnie albo temu, co czyta. Bliżej jest mu do tego, co czyta.

– Skąd taka zmiana tonu w pańskich wypowiedziach?

– Mój ton jest taki jak zawsze. Zawsze reaguję tak samo na oskarżenia pod moim adresem... To nasza droga. Jeśli mówią, że narzekamy na arbitrów... to trudno. To mój trzeci sezon, który za chwilę dobiegnie końca, i mówią, że kiedy przegrywam, narzekam na arbitrów... A zatem dobrze. Rywalizujemy z bardzo dobrą drużyną. Rywalizujemy, mając w kadrze dwunastu wychowanków, a wielu piłkarzy nie może zagrać. W ciągu sześciu lat to piąty półfinał przeciwko Cristiano, Di Maríi, Kace, Benzemie, Özilowi i Pedro Leónowi, bardzo dobremu piłkarzowi. Zrobimy w tej rywalizacji, co w naszej mocy. Staram się w to nie bawić, nie wyrażać mojej opinii. On potrafi to robić znacznie lepiej. Świetnie to opanował, na boisku i poza nim. Reprezentuję instytucję, która nie robi takich rzeczy. Jeśli Real Madryt nas pokona, to dlatego, że będzie lepszy. To złości i jest nieprzyjemne, że José bardziej wierzy w to, co czyta, niż w słowa kolegi, ale wiadomo, jak tutaj funkcjonuje przekazywanie informacji.

– Co sądzi pan o Realu Madryt?

– Rywal jest w najlepszym momencie sezonu. Niech wie, że rywalizujemy z tym, co mamy. To luksus być na konferencji prasowej przed półfinale Ligi Mistrzów. Na ławce mamy czterech czy pięciu młodych chłopaków. Nie uważamy tego dwumeczu za przegrany.

– Czy piłkarze Barcelony będą jeszcze bardziej zmotywowani przez słowa Mourinho?

– Uważasz, że piłkarze będą szybciej biegać, ponieważ rozmawiałem z José za pośrednictwem kamer? Jesteśmy w półfinale Ligi Mistrzów. Dla nas to wielki sukces móc rywalizować z jedną z najlepszych drużyn na świecie. Rywalizować w finale Pucharu Króla i być na tym miejscu, na którym jesteśmy w lidze. Dla nas ten półfinał jest prezentem. Piłkarze wiedzą, jakie jest moje zdanie o ich grze.

– Spodziewa się pan wyrównanego meczu?

– Przyjeżdżałem tutaj wiele razy jako piłkarz i kilka razy jako trener. Jeśli przyjeżdżasz, żeby bronić wyniku, rozniosą cię. Cristiano, Benzema, Pedro León... Jeśli będziesz się bronić przeciwko nim... Jest jeszcze mecz rewanżowy. Nie wyjdziemy na boisko, nie zabezpieczając tyłów, ale esencja naszej gry musi być taka sama.

– A Wolfgang Stark? Podoba się panu arbiter, który ma prowadzić tak ważne spotkanie?

– Nie mamy wyboru. To uznany arbiter. I z nim będziemy grać. Nie ma problemu, mam nadzieję, że dobrze mu pójdzie.

– Widział pan kiedykolwiek tak agresywny Real Madryt jak w trzech ostatnich meczach?

– Nie, ale odpowiedzialności nie ponosi za to Real Madryt. Jest arbiter, który musi reagować w zależności od tego, co widzi. Każdy musi grać tak jak może.

– Co sądzi pan o grze Mourinho? Podoba się panu jego styl?

– Nie pozwoliłbym sobie na ocenianie stylu gry kolegi po fachu. Już to kiedyś powiedziałem. On jest trenerem, który wygrał więcej tytułów. Staram się od niego wiele nauczyć. Staram się uczyć od niego, kiedy gra. Poza boiskiem staram się nie uczyć za wiele.

– Mourinho przygotowuje mecz w ten właśnie sposób, prowokując pana?

– Nie pierwszy raz zdarza się, że mówi „Pep”. Dlatego powinienem odpowiedzieć. Zazwyczaj wypowiada się ogólnie. Kiedy on o czymś mówi, odpowiadam na pytanie. Sprzyjano nam w meczu przeciwko Chelsea, ale my nie przypominamy tego z Benquerença^[81]. No dobrze, teraz tak. Czasem odnosiliśmy korzyści z sędziowania, jak na Stamford Bridge, ale ja nigdy nie powiedziałem niczego o karnym Alveśa albo o голу ze spalonego Milito. Jeśli on nadal będzie mówił do mnie po imieniu, ja też będę to robił.

– Jakie opcje rozważa pan na lewą obronę, bez Maxwella, Abidala i Adriano?

– Nie mam wielu możliwości. Wszyscy trzej zostali w Barcelonie. Ale mam alternatywy, żeby zatrzymać Özila i kompanię.

– Jak ocenia pan murawę na Bernabéu?

– O niczym nie będzie decydować. Już jakiś czas temu powiedziałem, że zagramy na takiej murawie, jaką nam przygotowują. W Barcelonie zagramy zaś na takiej, jaką przygotowujemy my.

– Ma pan dość tej utarczki z Mourinho?

– Czuję się urażony. On wie, że to mecz, który na pewno wygra. Jest od tego specjalistą. Podziwiam go. Mnie nie wychodzi rozgrywanie tego rodzaju potyczek. Jeśli Barcelona chce mieć trenera, żeby pogrywać w ten sposób, ja nie umiem tego robić. Jutro za kwadrans dziewięta zagramy mecz. W przyszły wtorek znów zagramy. Jeśli wygrają, pogratuluję mu, a jeśli my wygramy, mam nadzieję, że on pogratuluje mi. Jeszcze do niedawna nie mieliśmy ani jednego Pucharu Europy. Real Madryt ma dziewięć, a my trzy i cieszymy się jak dzieci. Zobaczymy, czy uda nam się zdobyć czwarty Puchar. Robimy to z dwunastoma piłkarzami ukształtowanymi w naszej szkółce. Z nimi będziemy rywalizować przeciwko klubowi mającemu dziewięć Pucharów Europy. Jesteśmy, jacy jesteśmy, nie wyręczamy się wymówkami. To dla mnie powód do największej dumy. Wiele razy ponieśliśmy porażkę jako kraj i jako drużyna, a później się podnosiliśmy. To jest bardzo mały kraj, w którym z każdej dzwonnicy można zobaczyć dzwonnice z sąsiedniej miejscowości.

Po powrocie do hotelu Guardiola przywitany zostaje gromkimi brawami przez piłkarzy, którzy oglądali transmisję z konferencji w telewizji. Atmosfera się zmienia. Gigantyczne wyzwanie rzucone Mourinho na jego własnym terenie i madryckiej prasie, promowanie Barcy jako zespołu wychowanków, końcowa przemowa z kilkoma wersami z piosenki Lluïsa Llach'a – wszystko to potwierdza, że Guardiola jest doskonałym liderem na trudny czas. Drużyna wybiega na Santiago Bernabéu z zamiarem odwzajemnienia mu się za to.

Mecz okazuje się jedną wielką awanturą. Real z wysoką trawą, z grającym ostro, na granicy przepisów, Pepe w środku pola. W drużynie Barcy trzech zawodników, Alves, Busquets i Pedro, udaje, że zostało uderzonych w twarz, a telewizja raz za razem potwierdza, że nie miało to miejsca. Gra jest brzydka, Real paraliżuje Barcelonę, ale jednocześnie sam nie potrafi skonstruować akcji. W przerwie, kiedy obie drużyny schodzą do szatni, Pinto czeka na Arbeloę i podąża w jego kierunku. Powstaje zamieszanie, na skutek którego czerwoną kartką zostaje ukarany sam Pinto. Druga połowa jest tak samo brzydka i brutalna. W środku tej futbolowej awantury Pepe zahacza Alvesa, który wyskakuje w powietrze i zwija się tak, jakby złamano mu nogę. Stark wyrzuca Pepe, co w moim odczuciu było decyzją przesądającą o losach dwumeczu. Jest 60. minuta, Mourinho bije brawo i też zostaje wyrzucony na trybuny.

Bez Pepe wydaje się, jakby puściły stawidła powstrzymujące grę Barcelony. Messi strzela gole kolejno w 75. i 86. minucie, gdy Barcelona gra jedenastu na dziesięciu. Mecz kończy się wynikiem 0:2, Barça jest szczęśliwa, ale tylko połowicznie. To kolejny skandal, aż wstyd, że ten mecz oglądano w tylu krajach na świecie. Z twarzą wychodzi Messi, zdobywca dwóch wspaniałych bramek. A także ci, którzy nie mieszały się do awantury: zwłaszcza Xavi, Casillas i kilku innych.

Na pomeczowej konferencji prasowej Mourinho grzmi. „Dlaczego?!” – woła. To „dlaczego?”, z tym jedynym w swoim rodzaju akcentem i tonem głosu, stanie się od tamtej chwili jego znakiem rozpoznawczym, pytaniem niemal klasycznym. Jego konferencja prasowa to jeden wielki wybuch:

– Co powiedział pan arbitrowi, że został pan wyrzucony?

– Nic mu nie powiedziałem, tylko się śmiałem i okłaskiwałem jego decyzję dwoma palcami, nic więcej. Jeśli powiedziałbym jemu i UEFA o tym, co myślę, moja kariera od razu byłaby skończona. Ponieważ nie mogę powiedzieć tego, co myślę, zadam pytanie. Dlaczego Øvrebø? Dlaczego Busacca? Dlaczego Stark? Dlaczego De Bleekere? Dlaczego? Dlaczego w każdym półfinale zawsze dzieje się to samo? Mówimy o fantastycznej drużynie piłkarskiej. I niech nikt nie przekręca moich słów, ponieważ powtarzałem to wiele razy. Dlaczego Øvrebø trzy lata temu? Dlaczego Chelsea nie mogła awansować do finału? Dlaczego Inter? To był cud. Dlaczego próbować zakończyć sprawę awansu w tym roku? Moglibyśmy grać przez trzy godziny i skończyłoby się 0:0. Potem z Kaka, Lassesem zaryzykowalibyśmy. Nie wiem, czy to przez reklamę UNICEF-u, którą mają na koszulkach, czy przez władzę Villara w UEFA, ale tego nie rozumiem. Gratuluję Barcelonie fantastycznej drużyny piłkarskiej. Ale gratuluję także tego, co mają. Oni zdobyli tę władzę. Pozostali nie mają żadnej szansy. Drogba, Motta, van Persie, Mourinho... To pytanie, na które pewnego dnia spodziewam się dostać odpowiedź. Może ktoś z was mi odpowie, bo nie rozumiem. Odgwizduje się faul na zawodniku Barcelony i nagle jakimś cudem czerwona kartka. Wygranie drugiego meczu w Barcelonie nie jest zadaniem niewykonalnym, ale będzie to trudne. Oni muszą dotrzeć do finału i do niego dotrą. Mam nadzieję, że pewnego dnia otrzymam odpowiedź. Dlaczego ta drużyna tego potrzebuje? Wszyscy to widzą. Øvrebø, De Bleekere, Busacca, Stark... W piłkę gra się według przepisów jednakowych dla wszystkich. Potem wygrywa lepszy. Może dziś zremisowalibyśmy, a potem Barça nie wygrałaby u siebie. Ale dlaczego dzisiejszy mecz nie był wyrównany? Tylko arbiter może odpowiedzieć. A on teraz pojedzie do domu i nikomu z niczego nie musi się tłumaczyć.

– Real Madryt został wyeliminowany z Ligi Mistrzów?

– Tak Pojedziemy tam z dumą, z całym szacunkiem dla naszego świata, którym jest futbol, chociaż czasem brzydzę się, że żyję w tym świecie i zarabiam w nim pieniądze.

Pojedziemy bez Pepe, który jest zawieszony i który niczego nie zrobił, bez Ramosa, który niczego nie zrobił, i z wynikiem, który jest niemożliwy do odrobienia. Jeśli strzelimy tam gola i będziemy mieli choćby niewielkie szanse na odwrócenie sytuacji, znów nas zabiją. Nie ma żadnej szansy i moje pytanie brzmi: dlaczego? Są lepsi, na końcu wygrywają, po co im to?

– Zaplanowanie meczu przeciwko Barcelonie...

– (Mourinho przerywa dziennikarzowi, nie pozwalając mu dokończyć). Ma różne momenty, etapy, które polegają na nietraceniu goli i frustrowaniu przeciwnika. Polega to na grze wszystkich linii blisko siebie i w pewnym momencie wejściu klasy cznej dziewiątki, zmianie organizacji gry. Trzecim etapem było granie klasyczną dziesiątką za napastnikami. Jest to planowanie gry na bezbramkowy remis; wydaje się, że tak się może skończyć, ale starasz się zaryzykować. Jednak arbiter nie pozwolił nam na planowanie. Dlaczego wyrzuca Pepe, Mottę, van Persiego, dlaczego nie odgwizduje czterech rzutów karnych dla Chelsea? Dlaczego nie wygrywają dzięki piłkarskim umiejętnościom? Dlaczego? Trzeba być bardzo złym człowiekiem, żeby mieć satysfakcję, wygrywając w taki sposób albo w ostatniej minucie dzięki ręce. Wiem, co czuli ludzie z Chelsea, wiem, ile cierpiał Inter, i wiem, co czują ci ludzie. Mówię to szczerze, to nie hipokryzja, to nie dramat. Nie jestem zbyt smutny ani sfrustrowany. Jutro jest nowy dzień. W domu czeka na mnie cudowna rodzina. Jedyna rzecz, która czyni mnie takim, to niemoc. Jeśli ludzie z Barcelony są uczciwi, doskonale wiedzą, co się dzieje. Im jest łatwo, mogą to ukryć. Ale nie są złymi ludźmi, znam wielu Katalończyków, mam wśród nich prawdziwych przyjaciół i w głębi serca muszą mi współczuć... Są szczęśliwi, ponieważ pojadą na Wembley, ale wygrana w taki sposób nie ma tego samego smaku. Wygramy finał, będziemy świętować, a Real Madryt to wielki klub.

– Czy wypowiedzi obu trenerów mogły wpłynąć na arbitra?

– Nie. Nie sądzę, by atmosfera była zbyt gorąca. Skomentowałem słowa Josepa Guardioli, mam prawo to robić, ponieważ były to publiczne deklaracje. On odpowiedział mi z odrobiną polityki i to mi się podoba, a arbiter powinien normalnie poprowadzić mecz, ale tego nie zrobił. Kiedy nie odgwizdał karnego za faul Gourcuffa^[82], pomyślałem, że go nie widział. Być może nie chciał, żebyśmy awansowali do ćwierćfinału, i tak było ustalone. Nie wiem. To, co zrobił arbiter, było niewiarygodne.

– Guardiola powiedział, że wręcza panu Puchar Ligi Mistrzów sali prasowej. Co pan na to?

– Nie, wygrałem dwa Puchary Ligi Mistrzów i wygrałem je na boisku z dwiema drużynami, które nie nazywały się Barça. Z FC Porto z kraju, który nie wygrywa Ligi

Mistrzów, i z Interem, który nie wygrał jej od pięćdziesięciu lat. Wygraliśmy, pocąc się i walcząc. Guardiola jest trenerem drużyny piłkarskiej i wygrał Ligę Mistrzów, którą mnie byłoby wstyd wygrać, ponieważ wygrał ją dzięki skandalowi na Stamford Bridge. A jeśli wygra ją w tym roku, zrobi to dzięki skandalowi na Santiago Bernabéu. Życzę mu tego i pragnę, żeby pewnego dnia wygrał Ligę Mistrzów dzięki futbolowi. Wczoraj nie okazałem mu braku szacunku, myślałem, że mogłem zwracać się do niego na ty. Życzę mu, żeby pewnego dnia wygrał Ligę Mistrzów czy sto, bez skandali.

– Co stało się z Pinto?

– Nie wiem, o czym mówisz. Jako pierwszy poszedłem do szatni.

W następnym dniu dochodzi do wymiany doniesień i kontrdoniesień do UEFA, w telewizji zaś ciągle powtarzają naganne zachowania zawodników i członków sztabów obu drużyn z dotychczasowych meczów. Barça wnosi skargę do UEFA na Mourinho, co jest zbędne, ponieważ ta wszczęła już przeciwko niemu postępowanie z urzędu z powodu jego niestosownych wypowiedzi, podważających cały system sędziowski. Real Madryt kontratakuję, donosząc na symulowanie Barcelony, oskarżając ją o świadome działanie (w Madrycie wszyscy są o tym przekonani), którego celem było sprowokowanie wykluczenia piłkarzy Realu. Wiadomości telewizyjne raz za razem pokazują sceny ze wszystkich trzech meczów. Nadeptnięcie Villi przez Arbeloę i Pedrito przez Marcelo. Kopnięcie Xabiego Alonso przez Busquetsa. Irytujące symulowanie piłkarzy Barcy. Scena w tunelu w przerwie ostatniego meczu. Piłka posłana w trybuny przez Messiego. Pojawia się wersja – niepotwierdzona – że w jednym z meczów Xabi Alonso miał opluć Iniestę, jednak nie znajduję się na to dowód. Na jednym z ujęć widać natomiast, że Busquets nazywa Marcelo małpą, i Real dołącza je do swojego doniesienia. Wszystko to wywołuje bezprecedensową wymianę wzajemnych oskarżeń. Najgorszy moment w historii tej długiej rywalizacji; albo tak mi się wydaje ze względu na to, że wydarzył się niedawno.

W międzynarodowej prasie widać rozczarowanie. Prasa nie atakuje tylko zdobywcy dwóch bramek Messiego, tylko jego. Pozostali piłkarze potraktowani zostali okropnie.

Mimo narzekań Realu Madryt w oczach opinii publicznej z tej batalii zwycięsko wychodzi Barça. Są tacy, którzy wyrzucenie Pepe uznają za słuszniejsze niż ja. W każdym razie pojawia się argument, że postawienie na Pepe w środku pola było igraniem z ogniem z uwagi na nieprzewidywalny charakter tego piłkarza. Koniec końców większość uważa, że racja znajduje się po stronie Barcelony. Chce grać, ma wychowanków... Ale mimo to i tak wychodzi z tej sprawy zraniona. Symulowanie fauli było zbyt oczywiste. W niektórych artykułach prasy angielskiej i południowoamerykańskiej pojawiają się w tej kwestii poważne zarzuty. W świecie anglosaskim, gdzie takie rzeczy są źle postrzegane, Barça jest krytykowana.

Został tylko jeden mecz, który po 0:2 nie może już o niczym zdecydować, ale który może jeszcze pogorszyć sytuację. Dochodzi do niego we wtorek, 3 maja, sześć dni od ostatniego Klasyku i 17 od pierwszego z całej serii meczów między oboma klubami. UEFA desygnuje jednego z arbitrow w wymienionych przez Mourinho podczas konferencji prasowej, w związku z czym Portugalczyk nie może oczekiwać niczego dobrego. Ten sam arbiter, De Bleckere, prowadził mecz Liverpool – Real Madryt w poprzedniej edycji Ligi Mistrzów, kiedy klub z Chamartín radził się Duponta^[83] w sprawie Lassa i Huntelaara, sprowadzonych w zimowym okienku transferowym, nie wiedząc, że tylko jeden z tej dwójki może grać w Lidze Mistrzów. De

Bleekere skutecznie wykonał swoją pracę: uznał pierwszego gola Liverpoolu, strzelonego po bezdyskusyjnym faulu Torresa na Pepe, i przyznał angielskiej drużynie rzut karny w akcji, w której Heinze odbił piłkę ramieniem. 2:0 w ciągu kilku minut. Dwa kolejne gole zostały już strzelone bez pomocy arbitra.

W przeddzień rewanżu zagadką pozostaje to, gdzie mecz obejrzy Mourinho – czy zostanie mu udostępniona prywatna łoża, czy usiądzie w łoży głównej, czy w telewizji na stadionie. Ostatecznie zostaje w hotelu. Oczywiście jest zawieszony. Potem dostanie jeszcze więcej meczów kary. Tego dnia w Barcelonie leje jak z cebra. Tym razem, bez zawieszonego Pepe, Real wystawia lepszą drużynę, z czterema obrońcami, Lassem i Xabim Alonso w środku pola, Di Marią, Kaką i Cristiano przed nimi i Higuaínem na szpicy. Pierwsza część spotkania toczy się bez poważniejszych incydentów, w dobrej atmosferze. Real naciska, ale bez brutalności znanej z poprzednich meczów. Barça porusza się sprawnie, chociaż zmęczenie sprawia, że traci błysk. Publiczność od czasu do czasu śpiewa *olé*, ale na darmo. Przerwa i 0:0.

W drugiej połowie ma miejsce akcja meczu. Cristiano biegnie w stronę pola karnego i w momencie, gdy wykonuje ostatnie podanie do Higuaína, Piqué go popycha, a Portugalczyk upada; padając na murawę, zahacza o piętę Mascherano, który wrócił na swoją połowę w pościgu za Higuaínem; ten dosięga piłki i trafia do bramki. Ale chwilę przed oddaniem strzału De Bleekere odgwizdał... faul Cristiano (!). Gol nie zostaje uznany. W 53. minucie bramkę zdobywa Pedro po fantastycznym zagraniu Iniesty, w 63. do remisu, po podaniu Di Marii, doprowadza Marcelo, który uderza ponownie, po tym, jak piłka po jego pierwszym strzale odbiła się od słupka. Jednak stopniowo wszystko się rozmywa, wracają ostre zagrania, symulowanie (nawet Mascherano), kopniaki chcących sobie ulżyć piłkarzy Realu, kartki... Obraz gry z pierwszej połowy diametralnie zmienia się w końcówce.

Ostatecznie awansuje Barça i później z łatwością pokona w finale Manchester United. Ale wraz z zakończeniem tego meczu na Camp Nou zaczęliśmy odliczanie: zostało 100 dni do następnych pojedynków, meczów o Superpuchar Hiszpanii, w których oba kluby spotkają się latem.

44. CASILLAS I XAVI ZAWIERAJĄ POKÓJ

I nadszedł czas na Superpuchar. Mimo ogromnego potencjału, który sprawił, że Real i Barcelona w Hiszpanii nie mają już żadnego innego rywala, drugi raz z rzędu zostawiając daleko w tyle trzecią drużynę w tabeli (bardzo dobrą Valencię), i który uczynił z nich zespoły dominujące również w Europie (finał Ligi Mistrzów był dla Barcelony spacerkiem), oba kluby wydały sporo pieniędzy na wzmocnienia. Real Madryt sprowadził Coentrão, Varane'a, Şahina, Callejóna i Altintopa za łączną kwotę 55 milionów euro. Barça włączyła do pierwszej drużyny Thiago, nowy diament, właśnie wyszlifowany w szkółce, i wydała 83 miliony (część miała być zapłacona w przypadku zdobycia tytułów) na Alexisa Sáncheza i Cesca Fàbregasa.

Real Madryt przystępuje do wyznaczonego na 14 sierpnia meczu w znacznie lepszej dyspozycji. Widać wyraźnie, że doskonale się przygotował, żeby rozpocząć sezon od wygrania tego trofeumu, które – chociaż najmniej istotne – interesuje go ze względu na rywala i chęć zemsty za ostatnie wydarzenia.

Okres przygotowawczy rozpoczął wcześniej i chociaż Di María i Higuaín, z uwagi na udział w Copa América, trenowali mniej, pozostali zawodnicy podstawowego składu są w doskonałej formie. Zupełnie inaczej wygląda Barça. Do treningów wróciła bardzo późno, miała krótszy i gorszy okres przygotowawczy, ewidentnie nie jest w optymalnej dyspozycji. A Messi znajduje się w takiej samej sytuacji jak Di María i Higuaín: ledwie zaczął trenować. Podobnie jak Alexis. Najnowszy nabytek Cesc Fàbregas nie jest jeszcze gotowy do gry. W ogóle nie przepracował okresu przygotowawczego w poprzednim klubie, Arsenalu, przez kontuzję, którą złośliwcy zinterpretowali jako udawaną w celu wymuszenia transferu.

Mimo to przedmeczowe wypowiedzi wydają się bardziej ostrożne ze strony Mourinho, określającego ten tytuł jako „najważniejszy tego lata i najmniej ważny w całym sezonie”. Guardiola jest bardziej śmiały, przyjmuje na siebie odpowiedzialność, jaka zawsze wynikała z konfrontacji z Realem Madryt, nie chce uciekać się do różnic między obiema drużynami, co w dniach poprzedzających mecz staje się głównym tematem rozmów: „Dla mnie nie liczą się usprawiedliwienia. Ten, kto wygra, będzie lepszy”.

Ponadto wszyscy zastanawiają się, co zrobi Mourinho; czy znów zostawi długą i suchą trawę, czy będzie się bronił, czy znów wystawi Pepe w środku pola, czy może – o co masowo proszą kibice – będzie grał ofensywnie.

Pasja do Klasyku – zatyłowaliśmy artykuł w „Asie”. A w środku przypomnieliśmy, że Real Madryt zawsze pokonywał Barcelonę w Superpucharze. Obie drużyny czterokrotnie spotykały się w tych rozgrywkach i wszystkie cztery trofea trafiły do Realu.

Przenosimy się na boisko. Barça wychodzi bez Piqué i Xaviego, którzy nie są w pełni zdrowi po ostatnim meczu reprezentacji, z udziału w którym zwolniony został obecny na murawie Sergio Ramos. Brakuje też Puyola, od dłuższego czasu kontuzjowanego. Defensywa załatana jest Mascherano i Abidalem, występującymi w roli stoperów, co zdarzało im się już w poprzednim sezonie... Ale nigdy nie grali w parze, lecz albo z Puyolem, albo z Piqué u boku. Real Madryt wychodzi w optymalnym ustawieniu, z podstawowymi obrońcami, z Pepe na stoperze, Xabim Alonso i Khedirą w środku pola, Di Marią, Özilem i Cristiano przed nimi oraz z Benzemą na środku ataku. To najlepszy skład. Real jest w szczytowej formie. I gra ofensywnie, dobrze, lepiej, o wiele lepiej niż w którymkolwiek z ostatnich meczów z Barceloną.

Barça, przeciwnie, nie może się odnaleźć. Pozbawiona przywódcy w osobie Xaviego, z niepełną obroną, nie potrafi nawiązać współpracy z trójką napastników – Alexisem, Messim i Villą. Santiago Bernabéu szybko wpada w ekstazę, tym większą, gdy Özil strzela w 13. minucie (tabela w wydaniu „Asa” z następnego dnia wskazuje, że był to 700. gol zdobyty w Klasycu; Escolá strzelił 100., Molowny 200., Gento 300., Santillana 400., „Boquerón” Esteban 500., a Mijatović 600.). Real nadal prezentuje się wspaniale, przypierając do muru Barcelonę, grającą topornie i popełniającą błędy, i stwarza sobie sytuacje, które o mały włos nie kończą się kolejnymi bramkami. Stopniowo powstaje wrażenie, że spotkanie może się zakończyć goleadą, ponieważ przypuszcza się, że wraz z biegiem czasu Barça coraz bardziej będzie odczuwać niepełne przygotowanie do rozgrywek Ale w pierwszej akcji, w której Barcelonie udaje się zbliżyć do pola karnego Realu, Villa przyjmuje piłkę z lewej strony, dwoma zwodami uwalnia się spod opieki Sergio Ramosa i z krawędzi pola karnego z chirurgiczną precyzją umieszcza piłkę przy dalszym słupku. Następuje kilka chwil oszołomienia. Ale publiczność natychmiast dochodzi do siebie i oklaskuje Real. Po wznowieniu gry piłkarze Mourinho nadal robią swoje, wypracowują kolejne sytuacje, znów wraca entuzjazm. W 45. minucie Barça po raz drugi jednak pojawia się w polu karnym; Messi korzysta na złym wybieciu piłki przez Khedirę, biegnie niczym kot i strzela gola. 1:2. I przerwa.

Publiczność na Bernabéu zastyga w osłupieniu. Czy to możliwe? Gra wskazywała na to, że może być 3:0, a jest 1:2. Druga połowa nie wygląda już tak samo, Real nie jest tak ożywiony, nie gra jak wcześniej. Nawet po wyrównaniu na 2:2 dzięki bramce Xabiego Alonso po dośrodkowaniu z rzutu różnego w 54. minucie. Niedługo potem na boisku pojawiają się Xavi i Piqué, żeby zagrać przez ostatnie pół godziny. Barça utrzymuje się przy piłce, już nie cierpi. Real jest bezradny. Nogi madridistów robią się ciężkie, zespół nie może uwierzyć, że nie wygra tego meczu. I nie wygrywa go.

W czasie jednej z interwencji, w 82. minucie, Víctor Valdés, upadając, łokciem uderza w kolano Cristiano, który goni piłkę. Teixeira Vitienes pozwala na kontynuowanie akcji, co rozwściecza publiczność, mającą jeszcze świeżo w pamięci wspomnienia z meczów Ligi Mistrzów. W 86. minucie powinien być odgwizdany kolejny rzut karny za faul Marcelo na Pedro, nad którym arbiter przechodzi do porządku dziennego, ale madridista tego nie widzi. Pamięta tylko o pierwszym, za niezamierzone zaganie ręką Abidala, a także o starciu między Messim a Pepe przed strzeleniem drugiego gola, kiedy publiczność domagała się odgwizdania faulu, ponieważ Pepe upadł. W opinii kibiców te wydarzenia składają się na kolejną wyrządzoną przez arbitra krzywdę, z czym nie mogą się zgodzić. Powinien podyktować po jednym rzucie karnym dla każdej ze stron, nie odgwizdał żadnego. To wszystko. Arbiter nie wpłynął na wynik spotkania; przesądziły o nim szczęście i skuteczność obu drużyn, nic więcej.

Nad Realem cięży klątwa – zatyłowałem następnego dnia mój wstępniak w „Asie”. Mimo wszystko wrażenia z meczu nie są jednak takie złe dla madridisty. Real grał znacznie lepiej niż Barcelona i to się nie zmienia od niedzieli 14 sierpnia do środy 17 sierpnia, na kiedy zaplanowany jest mecz rewanżowy na Camp Nou. Mnóstwo osób, nawet dość wielu barcelonistów, uważa, że Real może wygrać ten mecz. Na Bernabéu było widać, że pomiędzy obiema drużynami istnieje spora różnica formy i jakości gry.

Ale skład Barcy, który wybiega na murawę w rewanżu, jest silniejszy. Piqué i Xavi grają od początku i wytrzymują cały mecz. Real wystawia tych samych zawodników, z wyjątkiem jednego; pojawia się Coentrão, zastępując na lewej obronie Marcelo. W pierwszej połowie mecz jest fantastyczny, znów bardzo dobrze gra Real; ale teraz lepsza jest Barça, która obejmuje prowadzenie dzięki bramce Iniesty (15. minuta). Real doprowadza do wyrównania (20. minuta) za sprawą Benzemy, który trafia w jednego z obrońców, a ostatecznie piłkę do bramki posyła

Cristiano, będący – jak pokazują powtórki – na pozycji spalonej. W 45. minucie po wspaniałej akcji Messiego i Piqué (który oddaje Argentynicywki piłkę zagranieniem piętą w polu karnym) pada kolejny gol. Do przerwy jest 2:1. Znową ta sama historia: Real był lepszy, ale przegrywa. Valdés był fantastyczny, podobnie jak i w drugiej części, w której Real prezentuje się nieco gorzej i sprawia, że gra staje się brzydsza – głównie przez Pepe i wprowadzonego po przerwie Marcelo. Widać, że są pyszałkowaci, prowokują, grają brutalnie. Ich faule wywołują falę wzburzenia wśród publiczności. Realowi udaje się jednak doprowadzić do remisu w 82. minucie dzięki bramce Benzemy po dośrodkowaniu z rzutu różnego. Wydaje się, że dogrywka powoli staje się faktem. Na boisku ze świeżymi siłami pojawia się Cesc Fábregas (debiutując w Barcelonie) i ma udział przy голу na 3:2 w 88. minucie, strzelonym przez Messiego – to jego trzecia bramka w tym dwumeczu. Na Camp Nou wybucha radość. Z kolei Real Madryt reaguje bardzo brzydło. W roli głównej Marcelo, który – w doliczonym czasie gry, kiedy Real mógł jeszcze strzelić trzeciego gola, zapewniającego mu zwycięstwo w dwumeczu – w brutalny sposób fauluje Cescą, tuż obok ławek rezerwowych, chociaż akcja była zupełnie nieistotna z punktu widzenia wyniku spotkania. Zemsta, bez wątpienia. Zemsta za wszystkie podłe zagrania w meczach Ligi Mistrzów, sędziowanie i symulowanie, i to na nogach człowieka, który przecież nie miał z tym nic wspólnego. Powstaje zamieszanie. Özil i Villa się biją. Obaj zostają wyrzuceni, razem z Marcelo.

Kamera skupia się na zgiełku i wtedy pojawia się ujęcie: Mourinho z tyłu zbliża się do Tito Vilanovy, asystenta Guardioli, i sprytnie wkłada mu palec w prawe oko, po czym odwraca się, wyniośle odchodząc. Vilanova przechodzi od stanu oszołomienia do oburzenia i odpowiada Portugalczykowi, uderzając go w kark. Scena wprawia w osłupienie wszystkich widzów. Mourinho niszczy go jeszcze bardziej podczas konferencji prasowej:

– Kto? Tito, Pito^[84]? Nie wiem, kto to jest ten Pito Vilanova.

Tym razem nagannie zachowuje się również Casillas. Jeszcze przy boisku, tuż po zakończeniu meczu, udziela wywiadu TVE:

– Było wejście, a on rzucił się na murawę, jakrobi to zawsze...

Kiedy Casillas wypowiada te słowa, telewizja już wiele razy powtórzyła przerażający atak Marcelo. Cesc nie symuluje, to prawdziwy, naprawdę brutalny faul, który mógł się skończyć poważną kontuzją. Casillas zachował się jak nie on.

Między tamtymi i meczami w Lidze Mistrzów a tymi w Superpucharze umówiliśmy się z nim w redakcji „Asa”. Robiłem mu delikatne wyrzuty za te jego gesty, gdy uderzał się w twarz na Camp Nou po rewanżu w półfinale, i zauważyłem, że bardzo bolało go to, co się wydarzyło. Powiedział, że nigdy nie czuł się tak bezsilny, jak wobec sędziowania w tamtych dwóch meczach Ligi Mistrzów. Nawet bronił taktyki Mourinho w pierwszym spotkaniu: „Wszystko szło po naszej myśli, nie byłoby wcale źle, gdyby mecz zakończył się wynikiem 0:0. 1:1 w rewanżu dałoby nam awans, tym bardziej że nie uznali nam jednego gola”. Skarżył się, że Pedrito nie pozwalał mu wprowadzić piłki do gry, wobec czego arbiter był bardzo pobłażliwy.

Tymczasem uważam, że Real Madryt podszedł do meczów o Superpuchar, wciąż rozpamiętując to, co się stało, miał taką obsesję, że wyobrażał sobie rażące błędy sędziego i symulowanie, coś, co miało miejsce w Lidze Mistrzów, ale na pewno nie w Superpucharze. Ta obsesja i frustracja, wynikająca z porażki mimo dobrej gry, spowodowały, że Real zareagował bardzo źle: od palca Mourinho wsadzonego w oko Tito Vilanovy po niestosowny komentarz Casillasa w telewizji.

Ale tym razem Real Madryt nie przegrał przez arbitra; doniesienie w związku z porażką można było złożyć tylko na Messiego. *Dlaczego? Przez Messiego* – dałem tytuł na okładce „Asa”, nawiązując w ten sposób do długiej przemowy Mourinho sprzed kilku miesięcy. Messi dopiero co wrócił z wakacji i praktycznie w kłapkach – jak ktoś wtedy stwierdził – strzelił trzy gole i zapewnił

Barcelonie 12. z 15 tytułów, które wywalczyła drużyna z Guardioli na czele. Mourinho w trakcie pierwszego sezonu w Realu Madryt (uznajmy Superpuchar za ostatnie mecze poprzedniego sezonu, chociaż rozgrywa się je już po wakacjach) odebrał Barcelonie tylko jeden triumf, w Pucharze Króla, i patrzył z boku, jak rywał wygrywał pozostałe rozgrywki: wspomniany powyżej Superpuchar oraz mistrzostwo i Ligę Mistrzów.

Wizerunek Mourinho stał się katastrofalny. A wraz z nim wizerunek Realu Madryt, którego postrzeganie jako drużyny zadziornej, niepotrafiącej przegrywać i narzekającej na arbitrowi osiągnęło apogeum.

Casillas zareagował szlachetnie. Kiedy zobaczył w telewizji faul Marcelo, zrozumiał, że się pomylił. Wysłał SMS-a do Xavi'ego, żeby się usprawiedliwić, a ten mu nie odpowiedział. Dziwne, bardzo dziwne, ponieważ są prawdziwymi przyjaciółmi, i to od dawna, kolegami z reprezentacji jeszcze od czasów juniorskich. Zawsze łączyły ich znakomite relacje, w publicznych wypowiedziach nawzajem się komplementują. Wysłał zatem wiadomość do Puyola i ten, owszem, odpisał. Dzień później zatelefonował do niego Xavi, ale w tym czasie Casillas był na treningu. Po kolejnej próbie w końcu udało im się skontaktować. Pierwsza rozmowa była chłodna, umówili się, że dłużej porozmawiają wtedy, gdy spotkają się na najbliższym zgrupowaniu reprezentacji.

Sprawa wyszła na jaw, jak również to, że Mourinho wcale nie pochwalał tej wymiany zdań. Zresztą w meczu o Trofeo Santiago Bernabéu Casillas nie zagrał, jako jedyny ze wszystkich powołanych zawodników nie pojawił się na boisku nawet na minutę. Nikt w Realu nie przyznał, że miało to charakter ostrzeżenia, ale wszyscy odnieśli wrażenie, że tak właśnie było.

Poza tym niedługo potem, jak się przekonamy, Mourinho tylko potwierdził, że nie podoba mu się to, iż jego piłkarze bratają się z zawodnikami Barcelony.

Bo wkrótce, we wrześniu, nadszedł czas pierwszego meczu reprezentacji. Na zgrupowaniu panuje niepokój, ponieważ zawodnicy jednej i drugiej drużyny spotkają się po raz pierwszy od tamtych wydarzeń. Wiele osób uważa, że to napięcie może zniszczyć magię La Roja. Nawet sam kapitan Casillas popełnił błąd.

Casillas i Xavi przesuwiają godzinę przyjazdu na zgrupowanie i wspólnie jedzą śniadanie. Pojawiają się komentarze, że pokój został zawarty, ale nikt nie jest co do tego przekonany. Kiedy nadchodzi mecz – towarzyskie spotkanie z Chile w Sankt Gallen (w Szwajcarii) 2 września – drużyna na gra źle i do przerwy przegrywa 0:2. Apatia, jaka ogarniała ich praktycznie we wszystkich meczach towarzyskich, czy rozłam w zespole, którego tak bardzo się obawiano? Odpowiedzi udziela druga połowa meczu: to ani apatia, ani rozłam. Hiszpania gra lepiej, żwawiej, Iniesta prezentuje się wspaniale i straty zostają odrobione. Ostatecznie La Roja zwycięża 3:2. Ostatni gol pada chwilę przed zakończeniem spotkania. Iniesta mija dwóch przeciwników, którzy wściekają się, popychają go i grożą mu. Pierwszy rusza mu z pomocą Arbeloa, a kiedy gniew Chilijczyków skupia się na nim, w jego obronie staje z kolei Busquets. Dochodzi do wielkiej awantury, w którą uwikłani są wszyscy, barceloniści i madrydźci, razem przeciwko wspólnemu wrogowi. Obrazek jest brzydki, ale jego przekaz pozytywny: zawarto pokój. W różnych koszulkach walczą ze sobą, w takich samych trzymają się razem. Taki jest futbol, odmienny niż polityka, w której prawdziwi wrogowie to ci z własnej ekipy, jak zwykł mawiać Pío Cabanillas^[85] („Na ziemię, bo nadchodzą nasi”).

Następnego dnia odnośnie do boiskowych wydarzeń pojawiają się bardzo różne komentarze. Widziano w nich knajpianą bijatykę, ale jednocześnie również przypieczętowanie – w jakże dziwny sposób – zgody. *Bójka zgody* – z tytułowaliśmy tekst w „Asie”, zamieszczając obok zdjęcie przepychanki. Wielu konserwatywnych czytelników zarzuciło nam to następnego dnia, twierdząc, że taka scena nie niesie za sobą odpowiedniego, związanego ze sportem przekazu.

Niedługo potem, podczas meczu Levante – Real Madryt, doszło do podobnego starcia, wskutek którego czerwoną kartką został ukarany Khedira. Real był za to bardzo krytykowany. W tych miesiącach coraz częściej mówiło się o tym, że Mourinho wytwarza w drużynie wysoki poziom złości i agresji, co szkodzi wizerunkowi Realu szczególnie i futbolowi ogólnie. Mourinho wyszedł z tego obronną ręką: „Robimy to my i nas zabijają. Robi to reprezentacja i jest to coś wzorcowego”. Trzeba jednak wziąć pod uwagę dwa niuansy: awantura w meczu reprezentacji została spowodowana przez rywala, a tę w meczu Realu wywołał Di María, rekompensując sobie w ten sposób nieodgwizdany faul przeciwnika; poza tym bójka w spotkaniu reprezentacji miała ten pozytywny wydźwięk, że przyczyniła się do pogodzenia zwaśnionych po Klasykach stron.

Reakcja Mourinho na ten argument sprawiła, że zacząłem myśleć, iż faktycznie nie podoba mu się, gdy jego piłkarze bratają się z graczami Barcelony, czy to przez telefon, czy na boisku, niezależnie od tego, że grają w jednej reprezentacji. Mourinho powiedział kiedyś, że wobec Barcy nie można być sympatycznym, że wiele drużyn gra z Barceloną w sposób sympatyczny, a potem schodzi z boiska z workiem goli.

Jakiś czas później dojdzie do bardziej radosnej sceny. Hiszpania jedzie na Wembley i w tym meczu Casillas ma wyrównać rekord Zubizarrety pod względem liczby meczów w reprezentacji: 127. Na konferencji prasowej pojawiają się Xavi i Casillas. Jest 11 listopada, 11. dzień 11. miesiąca 11. roku. Kiedy pada pierwsze pytanie dotyczące madrydysty, Xavi odpowiada we wspaniały sposób: „Mimo że on gra w Realu, a ja w Barcelonie, przeżyliśmy razem wiele dobrych i nie tak dobrych chwil. Znamy się od 15 lat. Pod względem piłkarskim niczego nie odkrywę. Iker mnóstwo razy uratował nas przed porażką. Nawet w serii rzutów karnych. Posiada talent charakterystyczny tylko dla wybrańców. Kiedy wydaje się, że wszystko jest już stracone, wyrasta spod ziemi i cię ratuje. Jakby dysponował bonusem, miał o jedno życie więcej. To jeden z tych piłkarzy, którzy jednoczą szatnię i dobrze działają na wszystkich wokół nich”.

Jak widać, przyjaźń przetrwała wszystkie próby.

45. KLASYK NUMER 247, A TO JESZCZE NIE KONIEC

Rok 2011. 10 grudnia, dziesiąta wieczorem, stadion Santiago Bernabéu. Casillas i Puyol wyprowadzają obie drużyny jako kapitanowie. Między oboma zespołami ma się odbyć oficjalne spotkanie numer 216. Do nich trzeba jeszcze doliczyć 31 towarzyskich. Po raz kolejny meczowi towarzyszy ogromne oczekiwanie i podniosła atmosfera.

Barça, przypomnijmy, wygrała najważniejsze trofea poprzedniego sezonu, mistrzostwo i Ligę Mistrzów, ale Real Madryt odebrał jej Puchar Króla. Pod koniec lata Barça dołożyła jeszcze Superpuchar Hiszpanii. Zdobyła również Superpuchar Europy – cztery trofea w ciągu roku, a osiem dni po meczu na Bernabéu dorzuci jeszcze triumf w Klubowych Mistrzostwach Świata. Zaraz po zakończeniu spotkania w Madrycie uda się na Barajas, żeby polecieć do Tokio, gdzie rozgrywany jest ten turniej. Jednak wcześniej jest Klasyk kluczowe starcie w tej – jak ją nazywamy zgodnie ze stanem faktycznym – dwubiegunowej lidze. Obie drużyny nieubłaganie oddalają się od trzeciej Valencii. 15 rozegranych do tej pory kolejek potwierdziło, że mistrzostwo zdobędzie jeden z tych dwóch klubów. I Real Madryt oczekuje, że tym razem wypadnie na niego. Ma trzy punkty przewagi, a przecież Barça rozegrała awansem mecz (łatwy, z Rayo Vallecano u siebie) z kolejką, w trakcie której odwiedzi Japonię. Gdyby nie ten fakt, różnica wynosiłaby sześć punktów. Poza tym Real sprawia wrażenie drużyny niezwykle silnej. Po słabym początku sezonu (porażka na stadionie Levante i remis w Santander) zareagował dynamicznie. Do meczu przystępował z 15 kolejnymi zwycięstwami, licząc rozgrywki ligowe i Ligę Mistrzów. Podobną serię klub miał tylko raz, 50 lat wcześniej, z Miguelem Muñozem w roli trenera i z takimi piłkarzami jak Di Stéfano, Puskás i Gento. W fazie grupowej Ligi Mistrzów Real wygrał wszystkie sześć meczów z bilansem bramek 19:2. Pokazuje ogromną siłę, czuje się pewnie.

Barça też ma dobry sezon, ale nie gra już tak samo, zwłaszcza na wyjazdach. Na Camp Nou ma nieprawdopodobny bilans bramek 39:0, chociaż podzieliła się punktami z Sevillą. Ale na wyjazdach zremisowała w San Sebastián, Walencji i Bilbao i przegrała w Getafe. Straciła dziewięć z 18 punktów możliwych do zdobycia we wcześniejszych meczach wyjazdowych. Jej bilans bramkowy w roli gościa nie jest okazały i wynosi 8:7. Nie, na wyjazdach nie prezentowała tej niszczycielskiej siły znanej z Camp Nou. A teraz trzeba było grać na Santiago Bernabéu z będącym w znakomitej formie Realem.

W dniach poprzedzających mecz oczywiście nie brakowało polemik. Na dwie kolejki przed spotkaniem Xabi Alonso i Piqué mieli na koncie po cztery żółte kartki i dla obu byłoby dobrze dostać po piątej, ponieważ w ten sposób opuściliby mecz przed Klasykiem i przystąpiliby do niego „wyczyszczeni” z kartek. Czy to zrobią? Przed tamtym sezonem pod tym względem zmieniono przepisy dyscyplinarne; jest to konsekwencja zachowania Realu Madryt w poprzedniej edycji Ligi Mistrzów w meczu z Ajaksem Amsterdam, które przyniosło karę nawet dla Mourinho, kiedy nie istniał jeszcze żaden zapis w tej kwestii. UEFA zajęła się tą sprawą i jak zapowiedział Pierluigi Collina na konferencji prasowej w Monako z okazji meczu o Superpuchar Europy, w przyszłości piłkarze ewidentnie wymuszający pokazanie żółtej kartki w celu wybrania meczu, w którym będą pauzować, zostaną ukarani dodatkowym meczem zawieszania. Poinformowano o tym wszystkie federacje zrzeszone w UEFA. „Żaden piłkarz nie może sobie wybierać, kiedy ma być ukarany”.

Dwie kolejki przed Klasykiem, w sobotę, na Santiago Bernabéu przyjeżdża Atlético Madryt. Xabi Alonso dostaje piątą żółtą kartkę w sposób naturalny, za faul w środkowej strefie boiska. Nie wystąpi w następnym spotkaniu, na El Molinón w Gijón, i będzie mógł zagrać w Klasyku. Żaden problem.

Polemika pojawia się trzy dni później w przypadku meczu Barcelona – Rayo. Przy wyniku 4:0, na zaledwie cztery minuty przed końcem, Barça musi wykonać niewiele znaczący rzut wolny ze swojej połowy. Piqué staje za piłką, po czym opóźnia i opóźnia jej wybicie, aż Pérez Lasa pokazuje mu żółtą kartkę. Kamery wychwytyują uśmiech arbitra i jednocześnie pokazują niepokój Guardioli, obawiającego się, że jego piłkarz zostanie ukarany zakazem gry w dodatkowym meczu za to, co zrobił. Po meczu obserwator, popularny Carlos Naval, podchodzi do Piqué i z jego gestów wynika, że tłumaczący piłkarzowi, iż nie powinien w ten sposób wymuszać kartki, i ostrzega go przed ewentualnymi konsekwencjami.

Jednak nic się nie dzieje. Pérez Lasa zaznaczył w raporcie, że pokazał kartkę za opóźnianie wykonania rzutu wolnego, ale nie czyni żadnej aluzji do kontekstu takiego zachowania piłkarza. Sprawa *villarato*. Mogło jeszcze zdarzyć się tak, że komitet wszcząłby postępowanie z urzędu, jak stało się w przypadku sprawy z palcem Mourinho w oku Tito, która nie znalazła się w meczowym raporcie. Ale tego nie robi. Znow *villarato*. W każdym razie Piqué pauzuje w meczu z Levantem i jest gotowy na Santiago Bernabéu.

Lecz nawet to nie powoduje wzburzenia wśród bardzo pewnych siebie madrydistów. W tym okresie Piqué jest bez formy, roztrągniony, popełnia błędy. Nie przypomina wspaniałego piłkarza, jakim był wcześniej. A optymizm Realu jest wielki. Powoduje nawet pewne rozluźnienie, bo Mourinho nie pojawia się na przedmeczowej konferencji prasowej, ustępując miejsca monotonnemu i nienagannemu Aitorowi Karance, powtarzającemu do znudzenia, że chodzi wyłącznie o trzy punkty. Mówi to 19 razy, jak policzono w programie *Punto Pelota*, poświęconemu debacie Real – Barça, który po raz trzeci robi dwudziestoczworogodzinny maraton ze swoim szefem i prezydentem Josepem Pedrerolem, pokazywanym nieustannie na ekranie, wspomaganym współpracownikami i ciągle zmieniającymi się w studiu gośćmi. Madrydziści są pewni swego, bukmacherzy upatrują w nich faworyta zarówno meczu, jak i całego ligowego sezonu. Jest trochę śmiechu, ponieważ okazuje się, że pomieszczenie z winami w samolocie, który ma zabrać Barcelonę do Japonii, zaatakowały szczury. W tym samym programie pokazuje się, że klub kibica La Clásica kilka godzin przed meczem wywiesił transparent w złym guście, który pojawił się już na stadionie w meczu rozgrywanym po Superpucharze: „Mou, twój palec wskazuje nam drogę... do Décimy^[86]”. W związku z doniesieniem klub nakazuje go zdjąć. Nie będzie go w trakcie meczu.

W Madrycie trwa walka o wejściówki, a za południową bramką przygotowywany jest wielki *tifo*, imitujący ledwie znany, prymitywny herb klubu.

W momencie rozpoczęcia meczu atmosfera jest wspaniała. Wcześniej spekuluje się odnośnie do składów, jakie wystawią Mourinho i Guardiola. U Mourinho wątpliwości są dwie. Jedna prosta: Higuain czy Benzema? Druga znacznie bardziej skomplikowana: silna i gęsta druga linia, żeby uniemożliwić grę rywalowi, czy taka taktyka jak zawsze, przy której drużyna wygrała tyle meczów, z Özilem albo Kaką za plecami środkowego napastnika? W Barcelonie wątpliwość jest następująca: Villa *si* czy Villa *no*. Ostatecznie będzie Villa *no*.

Mourinho zaskakuje, ponieważ w podstawowym składzie jako prawy obrońca wychodzi lewonożny Coentrão, joker kupiony za 30 milionów euro. Arbeloa, grający na tej pozycji od czasu, gdy Sergio Ramos został przesunięty na środek defensywy, utyka na skutek kontuzji. Jego naturalnym zamiennikiem powinien być Lass, ale tego trener ustawia w środku pola, w miejsce Khediry, dotąd zawsze grającego od pierwszej minuty. W wyjściowej jedenastce gra też Özil,

mimo wyraźnej niższej formy. Kaki nie ma, ale też nikt się go nie domaga. Miejsce na szpicie dostaje Benzema. Skład wygląda następująco: Casillas, Coentrão, Pepe, Sergio Ramos, Marcelo, Lass, Xabi Alonso, Di María, Özil, Cristiano, Benzema. Tymczasem Guardiola stawia na nominalnych środkowych obrońców, rezygnując z Mascherano, do tej pory grającego dobrze. I wychodzi z czterema pomocnikami, w ataku wystawiając Alexisa i Messiego. Skład Barcelony wygląda tak: Víctor Valdés, Alves, Puyol, Piqué, Abidal, Xavi, Busquets, Cesc Fàbregas, Alexis, Messi, Iniesta. Jest ośmiu piłkarzy ze szkółki, pozostali to Alves, Abidal i Alexis. Sędziuje Fernández Borbalán, ten sam, który prowadził mecz rewanżowy o Superpuchar ze sceną z palcem w oku. Nikt nie ma nic przeciwko niemu. Gramy!

Ze środka boiska rozpoczyna Messi, wobec pressingu Realu Barça wycofuje piłkę, a ta dociera do Valdésa, który chwilę ją przytrzymuje i zagrywa na lewą stronę, ale robi to nieprecyzyjnie. Przechwytuje ją Di María i posyła w pole karne, gdzie jest Özil, który uderza z pierwszej piłki; ma szczęście, że futbolówka odbija się od Puyola i trafia do niekrytego przez Piqué Benzemy, a ten strzela z woleja i zdobywa bramkę. Minęło 25 sekund, a Real już prowadzi. Okrzyk „gol”, jaki wywołuje całe Santiago Bernabéu, sły chać aż na księżycu.

Piłka wraca na środek, skąd znów rozpoczyna Barça, która ma teraz pod górkę. Stracony gol, cios dla morale, Real jest niesamowity pod względem technicznym, taktycznym i fizycznym, stadion wypełniony jego fanatycznymi kibicami. Barça stara się grać w swoim stylu, ale jest jej bardzo ciężko, ponieważ Real przechwytuje podania przeciwników. Ma większą siłę rażenia, wcześniej dopada do piłki, sprawniej ją rozgrywa, kontratakuję. Tempo narzucone przez Real wyprowadza Barcelonę z równowagi, a przecież potrzebuje ona pewnego spokoju, żeby grać precyzyjnie. Poza tym za plecami czai się kolejne niebezpieczeństwo – bramkarz Valdés, z uporem maniała ryzykujący grę nogami. W zakładach bukmacherskich obstawia się już drugiego gola dla Realu. Ale przed upływem dziesiątej minuty Guardiola postanawia przesunąć Alvesa do drugiej linii i grać trójką obrońców, zważywszy na to, że Real zwolnił i jakby mniej przykłada się do gry. Messi to jedyny piłkarz Barcy, który gra naprawdę dobrze, cofa się, pomaga, znajduje nawet jakąś szczelinę w obronie przeciwnika, żeby po wspaniałym sprincie stanąć twarzą w twarz z Casillasem, który po jego strzale paruje piłkę na rzut różny. Niedługo potem, w trakcie jednej z wycieczek na środek boiska, Messi powoduje, że żółtą kartkę dostaje Xabi Alonso, co wkrótce będzie miało znaczenie.

W 29. minucie Messi wygrywa kolejną piłkę w środkowej strefie, a zarówno flegmatyczny tego wieczoru Özil, jak i ukarany wcześniej żółtą kartką Xabi nie są w stanie odebrać mu futbolówki. Messi rozpedza się, zagrywa do Alexisa, a ten pokonuje Casillasa. Remis. Na Santiago Bernabéu po raz pierwszy od rozpoczęcia meczu zapada cisza. Miała być goleada, tymczasem sytuacja się skomplikowała. Wraca wspomnienie z Superpucharu. I publiczność zdaje sobie sprawę, że z każdą mijającą minutą Barça gra coraz lepiej, a Real wprost przeciwnie. Özil rozgrywa jeden z najsłabszych meczów w sezonie. Brakuje mu rytmu gry, jakiego wymaga mecz. Cristiano Ronaldo po raz kolejny blokuje się w starciu z Barceloną, nie przyjmuje na siebie odpowiedzialności, w przeciwieństwie do Messiego.

Po akcji, w której uczestniczyli Messi i Xabi Alonso i która mogła zakończyć się żółtą kartką dla Argentyńczyka, pojawiają się protesty. Byłaby to jego druga kartka, pierwszą dostał za zachowanie po faulu Coentrão na Alexisie. Faul jest bardzo podobny do tamtego, ukaranego kartką, i w zaciśniętej uczestniczą ci sami piłkarze – stąd złość. Ale mecz toczy się dalej i do końca pierwszej połowy sytuacja na boisku wygląda coraz gorzej dla Barcelony. Pamiętam, że w audycji radiowej *Carrusel deportivo* do tego momentu zwyciężąc upatrywałem w Barcelonie: „Zajęła środek ringu i wyprowadziła więcej ciosów”. Rzeczywiście, częściej widzieliśmy w akcji Casillasa niż Valdésa. I Barça egzekwowała również więcej rzutów różny ch.

W drugiej połowie przechylała już definitywnie szalę zwycięstwa na swoją stronę. Stopniowo, w sposób niemal niedostrzegalny, z każdą minutą grała lepiej, podczas gdy Real coraz bardziej się niepokoił. Decydujący cios następuje w 53. minucie po akcji lewą stroną, w której piłkę otrzymuje Xavi i mocno uderza z woleja; futbolówka leci ku prawemu słupkowi bramki Casillasa, ale trafia w Marcelo i kieruje się w przeciwną stronę. Casillas zmienia kierunek, biegnie, wyskakuje, rzuca się, prawie dosięgając piłki opuszkami palców, ale ta pokazuje mu język, uderza w słupki wpada do siatki. 1:2. Barça prowadzi.

Za Özila wchodzi Kaká (59. minuta), ale to nie ma żadnego znaczenia, podobnie jak wejście Khediry za Lassa (63. minuta), zagrożonego drugą żółtą kartką. Real ewidentnie opuścił wigor i jest to moment Barçy, która teraz może zaprezentować w pełni swoją precyzyjną grę. Iniesta zajął się piłką i dyktuje warunki gry. Porusza się po całym boisku, drybluje, przyjmuje, podaje, prosi o piłkę, bawi się. Real wchodzi w fazę, w której zachowuje się nagannie, brzydło faulując, w czym brylują zwłaszcza Pepe, Marcelo i Coentrão. W 66. minucie Alves biegnie prawą stroną, dośrodkowuje na dalszy słupkę, a tam, wygrawszy pojedynek z Coentrão, pojawia się Cesc Fàbregas, żeby uderzyć głową nie do obrony. Mecz jest rozstrzygnięty. Wchodzi jeszcze Higuain za wyczerpanego Di Marię (68. minuta), pojawia się Keita za Fàbregasa (79.), żeby wzmocnić środek pola, a później Villa za Alexisa (84.) i Pedro za Iniestę (89.). Piłkarz z Albacete opuszcza boisko żegnany owacjami. Po części za swój występ, po części za tamtego gola w finale mistrzostw świata, a po części – kto wie – za grę całej Barcelony, która znów narzuciła rywalowi swój styl gry.

Nagle tych sześć punktów, których w rzeczywistości były trzy, zamienia się w zero, a przy równej ich liczbie Barça jest liderem dzięki różnicy bramek +42 kontra +37. Mourinho nie szuka usprawiedliwień, mówi coś o szczęściu przy rykoszecie po strzale Xavięgo, czyni jakąś aluzję do niepokazania kartki Messiemu, ale nic ponadto. Jego wywód jest nienaganny. I spogląda w przyszłość: „Jeśli wygramy w Sewilli, będziemy liderami”. Guardiola nie wykazuje się odwagą, po raz kolejny mówi o znakomitym Realu i jego zdolności do podnoszenia się z kolan: „Nie sądzę, żeby się przez to mieli załamać. Zdobędą punkty w Sewilli, święta Bożego Narodzenia spędzą jako liderzy i nadal będą naszym wielkim rywalem”.

Późniejsze analizy są dla niego korzystne. Dwaj sprowadzeni latem zawodnicy, Alexis i Cesc Fàbregas, wyszli w podstawowym składzie i odegrali decydujące role w meczu, strzelając odpowiednio pierwszego i trzeciego gola. Ci, którzy przyszedli do Realu, tego dnia się natomiast nie wykazali. Şahin w chwili podpisania kontraktu był kontuzjowany i nie wrócił jeszcze do gry. Coentrão został wepchnięty do składu na siłę i nie sprawdził się. Callejón cały mecz oglądał z ławki rezerwowych. Altintop siedział na trybunach razem z Şahinem. I jeszcze coś: Guardiola dobrze reagował podczas meczu, zmienił pozycję Alvesa, modyfikował ustawienie Alexisa, a Messi i Iniesta doskonale się rozumieją. Wydaje się, że Mourinho zastanawiał się, co przygotować na Barcelonę, i nie podjął konkretnej decyzji. Nie zagaścił środka pola, co uczynił podczas wiosennych meczów. Postawił na Özila, będącego wyraźnie bez formy i ochoty do gry, chyba tylko po to, żeby uniknąć krytyki.

Barcelona błyskawicznie udaje się na lotnisko i wywołuje tam tak wielkie zamieszanie, że pewna młoda kobieta, Kubanka z belgijskim paszportem, bez problemu pokonuje wszystkie punkty kontroli i wciska się do samolotu, gdzie ukrywa się w toalecie. Samolot startuje z opóźnieniem, ponieważ trzeba było przekonać ją, aby opuściła pokład.

Podczas gdy Barça przebywa w Japonii na Klubowych Mistrzostwach Świata, Real Madryt liże rany i gra w Poferradzie pierwszy mecz 1/16 finału Pucharu Króla, który wygrywa 2:0. Publiczność jest rozczarowana. W „wiosennej burzy Klasyków” wydawało się, że Real jest bardzo blisko Barcelony, w Superpucharze – że jest od niej nawet lepszy, chociaż przegrał, a teraz

znów dystans między oboma zespołami powiększył się na niekorzyść Realu. I zaczynają się obliczenia: odłąd przybył Mourinho, drużyna rozegrała osiem meczów przeciwko Barcelonie, z których Real wygrał tylko jeden, i to w dogrywce, w finale Pucharu Króla. Cztery spotkania wygrała Barça, pozostałe trzy zakończyły się remisami. Bilans bramek 17:8 na korzyść Barcelony. Pod względem formy gwiazd różnica była jeszcze większa: Messi odgrywał decydującą rolę prawie we wszystkich meczach, Cristiano tylko w finale Pucharu Króla w Walencji, strzelając gola w dogrywce. Jego fantastyczna średnia bramek na mecz gwałtownie spada, kiedy gra przeciwko Barcelonie. Wydaje się, jakby blokowała go obsesja udowodnienia w każdej akcji, że to on jest najlepszy.

Ale Guardiola ma rację: Real Madryt się nie podda. Podczas świątecznej kolacji z mediami Florentino Pérez wspiera Mourinho i powtarza, że w słowniku Realu nie ma słowa „niemożliwe”. I rzeczywiście, przy pierwszej nadarzącej się okazji drużyna to potwierdza, zwyciężając 6:2 na stadionie Sevilli, w jednym z najtrudniejszych meczów wyjazdowych w sezonie. Trzy gole strzela Cristiano Ronaldo, dzięki czemu w 2011 roku w oficjalnych meczach zdobył łącznie 58 bramek, 53 dla Realu Madryt i pozostałe dla reprezentacji Portugalii. Niebywałe osiągnięcie. Real odzyskał trzy punkty przewagi w tabeli, jest liderem i na nowo kroczy w triumfalnym pochodzie.

Barça z łatwością wygrywa półfinał Klubowych Mistrzostw Świata z Al-Sadd, mistrzem Azji, a później także finał z Santosem z Brazylii. Występ drużyny robi wrażenie. W podstawowym składzie wychodzi dziewięciu wychowanków, Santos nawet nie dotyka piłki, a spotkanie kończy się wynikiem 4:0. Messi zostaje wybrany najlepszym zawodnikiem meczu, Xavi drugim najlepszym, Neymar, nowa gwiazda Santosu, trzecim.

Neymar to piłkarz przyszłości. Chce go Real Madryt, chce go również Barça. Albo zamierza tylko zatarasować do niego drogę Realowi – na tym etapie tego nie wiadomo – co udaje się dzięki dobrym kontaktom jej prezesa Sandro Rosella w Brazylii.

Ale karuzela kręci się dalej. 23 grudnia odbywa się losowanie Pucharu Króla. Jesteśmy dopiero przed meczami 1/8 finału, ale losowanie wskazuje już klubom drogę i potencjalnych rywali aż do finału, tworząc drabinkę w rodzaju tych z turniejów tenisowych. W 1/8 finału Real mierzy się z Malagą, Barça zaś z Osasuną i od razu wiadomo, że zwycięzcy tych par spotkają się w ćwierćfinale. Tak więc z należnym szacunkiem, na jaki zasługują Malaga i Osasuna, wszyscy zaczynamy odcliczanie do kolejnych dwóch Klasyków.

I rzeczywiście, awansują obie drużyny. Chociaż Real po chwilach grozy, ponieważ w pierwszym meczu, na Santiago Bernabéu, przegrywał już 0:2, tracąc gole po dwóch rzutach różnych, przy rozartgnionej obronie. Tak naprawdę to całej drużynie brakowało koncentracji, jakby świąteczna przerwa jeszcze się nie skończyła. W przerwie oburzony Mourinho krzyczy na zawodników: „Wyjdźcie tam i sprzątnijcie śmieci, które zostawiliście!”. Od razu dokonuje trzech zmian, co Jorge Valdano w programie *Carrusel deportivo* określa mianem „pirotechniki”. Później Mourinho powie, że zmienił tylko trzech piłkarzy, ponieważ nie mógł zmienić jedenastu. Drużyna przechodzi metamorfozę i naciskając oraz stwarzając okazje, udaje jej się odwrócić wynik. Kończy się na 3:2. Teraz trzeba już tylko potwierdzić swoją wyższość w meczu rewanżowym. A w nim Real pokonuje Malagę 1:0, rozgrywając dobre spotkanie i poważnie podchodząc do tej pucharowej rywalizacji. Chociaż w głupi sposób traci zawodnika; już w końcówce, gdy losy awansu są rozstrzygnięte, Arbeloa dostaje absurdalną drugą żółtą kartkę, przez co nie wystąpi w pierwszym spotkaniu ćwierćfinałowym.

Barça natomiast z łatwością radzi sobie z Osasuną. 4:0 i 2:1. Temat do dyskusji jest tylko jeden: żądanie Barcelony, by zmienić kolejność meczów, aby mieć kilka dni więcej na wymianę murawy (to początek stycznia, po przerwie świątecznej). Prośba Barcelony tym razem spotyka się z odmową (dla Barcy kończyło się już *villarato*, od tego ciągłego używania go, jak stwierdziłem w moim artykule w „Asie” z 5 stycznia). Ostatecznie mecze zostały rozegrane w uprzednio zaplanowanej kolejności, a Barcelona zrezygnowała z wymiany murawy.

A więc w ćwierćfinale dochodzi do starcia gigantów. Pierwszy mecz odbywa się 18 stycznia na Santiago Bernabéu, a dni poprzedzające spotkanie upływają w Barcelonie na dyskusji o tym, czy powinien grać Pinto, „bramkarz pucharowy”, czy też nie, w Madrycie natomiast kibice i dziennikarze zastanawiają się, czy lepiej zabezpieczyć środek pola, żeby utrudnić grę Barcelonie, czy jednak grać otwarty futbol. Guardiola rozwiewa wątpliwości: zagra Pinto. Podstawowy skład Realu jest tajemnicą i mocno zaskakuje, kiedy wreszcie zostaje podany. Pozycję Arbeloi zajmuje Altintop, wcześniej grający co najwyżej ogony; na środku defensywy pojawia się Carvalho, po trzech miesiącach bez gry – nie wiadomo, czy z powodu kontuzji, czy buntu. Pepe zostaje przesunięty na środek pola (to nie zwraca już tak dużej uwagi), gdzie ma współpracować z Lassem i Xabim Alonso, żeby zagaścić grę.

Real rozpoczyna mecz, czyhając na swojej połowie, i ma szczęście: perfekcyjny kontratak kończy się strzałem Cristiano Ronaldo – piłka wpada do bramki między nogami Pinto, co wyjaśnia debatę z poprzednich dni. Ale Real stać tylko na tyle. Nie stworzy sobie już żadnej innej okazji z wyjątkiem strzału Benzemy w słupek.

Barça, która z wyjątkiem bramkarza wystawiła najsilniejszy skład, gra, gra i jeszcze raz gra. Niebista urządza sobie zabawę z Altintopem, Xavi dowodzi i chociaż Messi jest dobrze pilnowany,

Barça radzi sobie świetnie. Zdobywa dwie bramki i dwa razy trafia w słupek.

Dochodzi do przerażającej sceny: Pepe, korzystając z tego, że Messi leży na murawie po entym faulu, przechodzi obok jakby w roztagraniu wykorzystując dłoń Argentyńczyka jako wycieraczkę. Niewątpliwie myślał, że nikt tego nie zobaczy, ale moment ten uchwyciło 17 kamer, a następnego dnia w wiadomościach telewizyjnych zobaczą go setki milionów ludzi na całym świecie. Kamery przyłapały Pepe również w chwili, gdy udaje martwego, po tym, jak dostał w twarz, chociaż uderzenie wcale nie było tak mocne. Real schodzi z boiska pokonany, a Pepe zdyskredytowany bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wobec ogólnego krzyku o dziewiątej wieczorem następnego dnia Real Madrid Televisión emituje słabej jakości nagranie z jego wypowiedzią, w której piłkarz w mało przekonujący sposób, jak porywacz z kolumbijskiej partyzantki, usprawiedliwia się, że Messiego nadepnął niechcący. Efekt jest okropny.

Rewanż odbywa się tydzień później, 25 stycznia. Toczy się dyskusja na temat tego, czy Pepe zostanie ukarany, czy nie, czy Komitet Apelacyjny zajmie się sprawą z urzędu (jak postąpił w przypadku Mourinho i palca w oku), czy nie. Nie zajmuje się. Pepe jedzie do Barcelony i gra.

Ale Guardiola ostrzegł w przeddzień meczu: „Jeśli z Pepe powtórzy się to, co z Figo, będzie to oznaczać, że niczego się nie nauczyliśmy. Bardziej zabolalaby mnie taka sytuacja, niż gdybyśmy zostali wyeliminowani”. W godzinie prawdy pojawiają się okrzyki przeciwko Pepe, ale nie ma to nic wspólnego z tamtą piekielną atmosferą, kiedy na Camp Nou przyjechał Figo.

Mecz jest znakomity. Real, z silniejszym podstawowym składem i nastawiony bardziej ofensywnie, przytacza Barcelonę. W ciągu pierwszych 30 minut marnuje aż pięć okazji. Gdy zbliża się przerwa, dwa ciosy zadaje Barça: wspaniałe podanie Messiego do Pedro, który strzela po ziemi, a chwilę później niesamowite uderzenie Alvesa, który przejmując odbitą w polu karnym piłkę. Do przerwy 2:0. Madrytista postępuje to jako kłątwe.

Tym razem jednak drużyna na się nie poddaje. W drugiej połowie nadal utrzymuje inicjatywę i dekomponuje Barcelonę, która po raz pierwszy od bardzo wielu miesięcy naprawdę nie czuje się swobodnie. Camp Nou cichnie, *los blancos* strzelają dwa gole, są o włos od trzeciego, co oznaczałoby wy czyn godny ponadczasowego upamiętnienia. Ale trzeci gol nie pada. Ostatecznie jest 2:2 i powstaje mnóstwo dyskusji wokół arbitra Teixeira Vitienes, który długo sędziował tchórzliwie, nie podejmując żadnej trudnej decyzji, takiej jak podyktowanie rzutu karnego czy pokazanie czerwonej kartki. Dopiero pod koniec meczu wyrzucił z boiska Sergio Ramosa, co zostało uznane za poważne nadużycie w kontekście wcześniejszego braku reakcji na ostrzejsze przewinienia. Ale w pewnym sensie wszyscy są zadowoleni, *culés* i *madridistas*. Barça gra dalej w Pucharze Króla, chociaż dała sobie uszczelnąć część prestiżu. Real był lepszy, przekonał się, że z dobrymi piłkarzami, jakich ma, może stawić czoła Barcelonie, więc perspektywa następnej potyczki w Lidze Mistrzów nie jest już taka straszna. A poza tym w tej chwili ma pięć punktów przewagi nad Barceloną w lidze. Odpadł z Pucharu Króla, ale zniknęło wrażenie, że Barcy nie da się pokonać. Real opuszcza Camp Nou z przekonaniem, że to jeszcze nie koniec.

To prawda, to jeszcze nie koniec. Minęło 110 lat, ale szpady nadal są w górze. Z meczów oficjalnych Real Madryt wygrał 86, tyle samo Barça, a 46 zakończyło się remisem. W towarzyskich górą jest Barcelona: wygrała 16, w sześciu triumfował Real, było dziewięć remisów. Tak więc oba kluby rozegrały między sobą 249 meczów. Najbliższy będzie Klasykiem nr 250. Pod względem oficjalnych tytułów prowadzi Barça: 75:73. Ale jest tu zasadzka: trzy Puchary Miast Targowych nie są oficjalnymi rozgrywkami klubowymi, UEFA nie uznaje ich za takowe. A zatem prowadzi Real: 73:72, który ponadto triumfuje w tych najważniejszych: trzy Puchary Interkontynentalne kontra dwa Puchary Klubowych Mistrzów Świata (traktując je na równi), dziewięć triumfów w Lidze Mistrzów (albo Pucharów Europy) kontra cztery, 32 mistrzostwa kraju kontra 21.

Ale z Guardiолą Barça w niebywały sposób skróciła dystans, wygrała 14 z 19 trofeów, o jakie walczyła w ciągu czterech sezonów. To imponujący pościg, który zmusza Real do wysiłku, jakim nigdy wcześniej nie był poddawany. Dlatego sprowadzono Mourinho, dlatego tak się w niego wierzy: ponieważ w nim upatruje się jedynego człowieka mogącego odwrócić ten stan rzeczy. Zresztą Mourinho napsuł Barcelonie mnóstwo krwi, zabierając jej sprzed nosa trofea albo przynajmniej szansę na ich zdobycie. Pokonał ją w finale Pucharu Króla, wyeliminował z Ligi Mistrzów w sezonie 2009/10, uniemożliwiając grę w finale i późniejszą walkę o Superpuchar Europy i w Klubowych Mistrzostwach Świata. Tak więc Mourinho jest odpowiednim człowiekiem, myśli klub. Albo on, albo nikt. I dlatego pozwala mu się na tak wiele.

W tym miejscu kończy się ta książka, ale bynajmniej nie historia, o której opowiada. Barça jest teraz na szczycie, wydaje się, że ma wszystko po swojej stronie: szkolenie młodzieży, popularność, międzynarodowy prestiż, przychylność tych, którzy pociągają za sznurki. Real Madryt czuje się niekomfortowo, wydaje grube miliony, narzeka na sędziów, zaczyna od początku, nie odnajduje się w roli drugoplanowej. Kiedy poznałem oba kluby, znajdowały się w dokładnie odwrotnej sytuacji. Ale zmiana znowu nastąpi, pytanie tylko kiedy. A później kolejna, kolejna i jeszcze jedna. Żaden z wielkich rywali nigdy nie odpuści.

Powstali, by sobie dokuzać. Jeden nie może obyć się bez drugiego. Dlatego w gruncie rzeczy się kochają.

Tak samo jak kochają się Casillas i Xavi, dwaj fantastyczni chłopcy.

PODZIĘKOWANIA

Książka ta, podobnie jak i wcześniejsze przeze mnie napisane, dużo zawdzięcza Bernardo Salazarowi, skrupulatnemu badaczowi futbolu, który po raz kolejny zaferował mi swoją pomocą jako latarka oświetlająca najciemniejsze zakątki historii. A także temu, który włożył w tę książkę wiele wysiłku, Ramónowi Ramosowi, dziennikarzowi z Granady, będącemu kimś w rodzaju wiernej kopii Salazara w cieniu Alhambry.

Dziękuję również wszystkim tym, którzy się ze mną spotkali i opowiedzieli o swoich bezpośrednich przeżyciach, a zwłaszcza Joanowi Gaspardowi, Antónowi Pärerze i Salvadorowi Sadurniemu, świadkom długich i ciężkich epok swojego klubu, a także Urizarowi i Ortizowi de Mendibilom, którym przyszło sędziować mecze w bardzo trudnych okolicznościach. A także piłkarzom Realu Madryt z okresu mojego dzieciństwa i dojrzewania: Amancio, Zoco, Pachinowi, De Felipe, Antonio Ruizowi, Vicente, z którymi widuję się dość często i którzy podzielili się ze mną anegdotami, informacjami i punktami widzenia. Pedro Ferrándizowi, człowiekowi dziś najlepiej potrafiącemu wyjaśnić, czym był wielki Real Madryt Bernabéu, Saporty i Calderóna, ponieważ sam w nim grał.

Mojej rodzinie, która po raz kolejny szanowała bałagan w pokoiku, w którym piszę i cierpiała na brakuwagi z mojej strony, na co nie zasługuje.

Kolegom z „Asa”, którzy mi pomagali, a zwłaszcza Santiemu Giménezowi, naszemu korespondentowi z Katalonii, organizującemu dla mnie ważne spotkania, Quique Melo, skutecznemu dokumentaliście, Agustínowi Martínowi, Salazarowi przyszłości, Mariano Tovarowi i Juliánowi Plazie, którzy wyciągali mnie z małych informatycznych tarapatów, Alejandro Elorteguiemu, kolekcjonerowi trudnych do znalezienia publikacji, który przekazał je do mojej dyspozycji, a także sekretarkom redakcji: Elenie, Laurze, Marisie i Carmen, którym nie dawałem spokoju.

Jorge Valdano i Juanowi Cruzowi, których uwagi po lekturze pierwszej wersji książki pomogły mi uzupełnić istotne szczegóły.

Ale przede wszystkim chcę wyrazić moją wdzięczność i mój szacunek wszystkim tym, którzy z Realu Madryt i Barcelony uczynili wielkie kluby, którzy walczyli, żeby utrzymać ich sportową klasę, od Gampera i Padrósa, poprzez Di Stéfano i Kubalę, po Casillasa i Xaviego, których obrazy zbierałem w dzieciństwie. Sprawilo mi to wiele radości, była to być może jedna z najlepszych rozrywek mojego życia. Wszystkim im bardzo wiele zawdzięczam.

JAK BARCELONA I REAL ZACZADZIŁY RESZTĘ ŚWIATA

Barcelona jako imperium dobra, symbol uciśnionego regionu i przez dekady jedyne miejsce, w którym Katalończyk mógł oddychać pełną piersią, po katalońsku. Real Madryt jako mroczne imperium zła, klub zrosnięty z centralną hiszpańską władzą, który przez dekady bezwzględnie wykorzystywał polityczne uprzywilejowanie, by prześladować konkurencję i zwyciężać za wszelką cenę. Tak myśli przeciętny polski kibic, który futbolem się interesuje, ale nie wczytuje się w historię, nie analizuje niuansów, nie próbuje wypłynąć poza płytkie okolicznościowe formułki wygłaszane przez medialnych ekspertów przy okazji kolejnych Klasyków, obowiązkowo ometkowany ch banałem o „więcej niż meczach”.

Natomiast polski kibic zaangażowany, z sercem wybijającym rytm barceloński bądź madrycki, toczy wojnę o moralną wyższość – tak, ona bywa niekiedy nawet gwałtowniejsza niż ta boiskowa! – „swojego” klubu obojętny na fakty, z fanatycznym zapalem i często nieświadomym przeświadczeniem, że nie warto dociękać prawdy, że nade wszystko nasza racja musi zatriumfować nad racją wroga.

Dlatego istnieje ryzyko, że kibicowi zaangażowanemu lekturę opowieści o najsłynniejszym futbolowym antagonizmie wykrzywi już pierwsze zdanie. Wyznanie autora, że urodził się w kołycse madrydistów i że od początku lat 60. posiada legitymację *socio* Realu. Alfredo Relaño próbuje wprawdzie potem sprawę rozwoźnić, przywołując swoje katalońskie korzenie i ciotki barcelonistki, ale wszyscy wiemy, jak jest – część rozemocjonowanych odbiorców książki każdy następny rozdział przeczyta z odruchową nieufnością, a część z bezkrytyczną wiarą w każdy przecinek. Zwłaszcza że autor nie prowadzi zimnej, beznamietnej narracji porządkującego fakty historyka, lecz stawia ostre tezy. Nie, Barcelona wcale aż tak nie cierpiała w czasach frankistowskich. Nie, idealna symbioza Realu z brutalnym reżimem nigdy nie miała miejsca. Przeciwnie, królewski klub najuboższy w trofea okres przeżywał od końca wojny domowej do przybycia Alfredo Di Stéfano, czyli w trakcie najsurowszego frankizmu – gdyby istotnie był faworyzowany, po sezonie 1932/33 nie czekałby na kolejny tytuł mistrzowski aż do sezonu 1953/54. (Nawiasem mówiąc, Relaño może się wydać niewiarygodny obu stronom. Katalończykom jako redaktor naczelny madryckiego dziennika sportowego „AS”, a madrytczykom jako zaprzy sięgły wróg prezesa Florentino Péreza).

Kibic bezstronny – ewentualnie oddany Barsie lub Królewskim, lecz dojrzały – pozna wersję historii chyba najbardziej prawdopodobną. Pozna zajadłą rywalizację wielkich futbolowych firm, które nie tylko są sobie nawzajem potrzebne, jedna nadaje bowiem sens istnieniu drugiej, ale są też do siebie ludzako podobne. Obie wielokrotnie parły do zwycięstwa za wszelką cenę, obie uciekały się do brudnych chwytów, obie szukały wsparcia poza boiskiem, by panować na boisku. Jeśli prześledzić najgłośniejsze, obrosłe mnóstwem wzajemnie wykluczających się teorii wojny transferowe – o wspomnianego Di Stéfano oraz Ladislao Kubalę, przy czym Argentyńczyka dopadł Real, słowackiego Węgry wzięła Barcelona – to o ich rozstrzygnięciu decydowały głównie spłoty okoliczności. A jeśli prześledzić listy trenerów, to prędko odkryjemy, że Katalończycy też zatrudniali swojego José Mourinho (robił ostatnio za Dartha Vadera futbolu) – Helenio Herrere, który tresował piłkarzy na ślepo mu oddanych, cynicznych żołnierzy, a przed derbami wszy stłach derbów rzucał, że jego podwładni „wygrają bez wychodzenia z autobusu”.

Ta perspektywa jest mi bliska, a przekonanie o Barcelonie i Realu jako klubach bliźniaczo podobnych wzmacniającą czasami najnowsze, których opowieść Relajo już nie obejmuje.

Owszem, minione lata sprzyjały tworzeniu prostych opozycji – elegancja Guardioli kontra wtykający palce w cudze oczodoły furiat Mourinho; harmonijna i kontemplacyjna tiki-taka kontra styl gry poszarpany, oparty na nagłych zrywach do ponaddźwiękowych kontrataków; idylla w szatni na Camp Nou kontra nieustające zadymy wokół szatni na Santiago Bernabéu; niezłomna wiara w wychowanków kontra transferowe rozbuchanie prezesa Florentino Péreza, który jako pierwszy w dziejach piłki nożnej skompletował kadre za pół miliarda euro. Ale czas w sporcie płynie jak opętany, epoki trwają nie dłużej niż mgnienie oka. Oto do Madrytu przybył Carlo Ancelotti, trener najspokojniejszy pod słońcem, koncyliacyjny, ciepły, pełen poczucia humoru i okazujący rywalom bezbrzeżny szacunek. Oto Real zaprosił do siebie wizjonerskich i wirtuozerskich rozgrywających Lukę Modricia oraz Jamesa Rodrigueza, ze środka pola usunął wszystkich zawodników redukujących futbol do czarnej roboty defensywnej, postanowił zachwycać najwybredniejszych estetów. Oto z Camp Nou coraz częściej zaczęły wyciekać informacje o mniejszych lub większych zatargach Leo Messiego z kolejnymi następcami Guardioli. Oto Barcelona zaczęła inwestować w transfery coraz agresywniej, aż całkiem upodobniła się do Realu. Chłopaków z sąsiedztwa wyparli bohaterowie wielomiliardowych sag transferowych, wyjęci z rynku dóbr luksusowych.

Kiedy piszę te słowa, na początku lipca 2015 roku, jestem tuż po lekturze doniesień, że Katalończycy rzucili 41 milionów euro (maksymalnie, dziś pojedyncze kwoty transferowe już nie istnieją) za Arde Turana, tureckiego idola kibiców Atlético Madryt. Kilka tygodni wcześniej wydali 22 miliony na Hiszpana Aleixa Vidala z Sevilli. Sezon wcześniej –

81 milionów na Urugwajczyka Luisa Suáreza z Liverpoolu, 20 milionów na Francuza Jérémy'ego Mathieu z Valenci, 18 milionów na Belga Thomasa Vermaelena z Arsenalu, po 12 milionów na Niemca Marca-André ter Stegena z Mönchengladbach i Chilijczyka Claudio Bravo z Realu Sociedad. Wreszcie dwa sezony wcześniej – około 100 milionów na Neymara z Santosu. Nękam czytelników buchalterią, ponieważ ilustruje ona gwałtowną woltę w polityce personalnej Barcelony. Klub, który chełpił się, że dzięki La Masii – podstawówce, szkole średniej i uniwersytetowi dla piłkarzy w jednym kompleksie treningowym – jest niemal samowystarczalny i że najwyższą świętością pozostaje dla niego podtrzymywanie lokalnej tożsamości podstawowej jedenastki, jął zniecałkować zachowywać się jak najzwyklejsza współczesna futbolowa korporacja, bez względu na koszty drenująca rynki krajowe i zagraniczne. Typowy Real Madryt.

I nastąpiła szokująca zmiana proporcji. Szokująca i ze względu na skalę, i ze względu na tempo przeprowadzenia operacji. 25 listopada 2012 roku katalonizowanie Barcelony osiągnęło kulminację, ligowy mecz z Levante kończyła jedenastka złożona wyłącznie z ludzi przeciwzwoznych w La Masii: Victor Valdés – Martín Montoya, Carles Puyol, Gerard Piqué, Jordi Alba – Xavi Hernández, Sergio Busquets, Andrés Iniesta – Pedro, Leo Messi, Cesc Fàbregas. Nie minęły nawet trzy lata, a drużyna została niemal do cna ogołocona z wychowanków, których w dodatku wypychają z szatni niemal wyłącznie cudzoziemcy: swojskiego bramkarza zastąpili Niemiec i Chilijczyk, swojski prawy obrońca został wydalony, bo następcę Daniego Alvesa znaleziono w Brazylii (potem kolejnego już w Hiszpanii); po zakończeniu kariery przez swojskiego kapitana z środka obrony ściągnięto na tę pozycję Francuza i Belga; obsadzoną przez drobnych swojskich rozgrywających drugą linię zasilono Chorwatem i Turkiem; do ataku przybyli Brazylijczyk i Urugwajczyk, po uprzedniej niesatysfakcjonującej próbie z Chilijczykiem. Zamaszyste ruchy na rynku transferowym sprawiły, że coraz łatwiej wyobrazić sobie podstawowy skład w pełni zagraniczny, który byłby wydarzeniem bez precedensu w dziejach

Kubu: ter Stegen/Bravo – Dani Alves, Mathieu, Vermaelen, Adriano – Rakitić, Mascherano, Turan – Messi, Suárez, Neymar.

To oczywiście w żadnym razie nie była planowana jedenastka na sezon 2015/16, lecz zaledwie możliwość wynikająca z zasobów kadrowych. Możliwość jednak jeszcze przed chwilą niewyobrażalna. Możliwość uzmysławiająca, że ostry podział na madrycką kosmopolityczność i barcelońską swojskość był tylko krótkotrwałym epizodem (po jednej ze stron akurat rozkwitło fenomenalne pokolenie, w istocie obaj konkurenci wychowują znakomitych piłkarzy). Wreszcie możliwość przypominająca, że internacjonalizm tkwi głęboko w tradycji obu klubów – Real zakładał kataloński polityk i przedsięwzięcia Carlos Padrós, FC Barcelona wymyślił szwajcarski miłośnik sportów wszelakich Joan Gamper, pierwsze gola w Klasycy prostrzelili niemiecki inżynier Udo Steinberg. Nowoczesność tylko naturalne tendencje wzmocniła, bo granice między państwami ostatecznie zniesiono, odległości między kontynentami się zmniejszyły, a futbol spotężniał do globalnego biznesu.

Tu dochodzimy do najbardziej spektakularnego i najbardziej znaczącego sukcesu Realu i Barcelony ery nowożytej, który na początku XXI wieku pozwolił im zapanować nad światową piłką nożną. Otóż obaj giganci zdolali dzielać ich nienawiść wyeksportować. Emocjami, często chorymi, zrodzonymi przez lokalne zawiłości historyczne, zaczadzili miliony ludzi, których z Półwyspem Iberyjskim nic nie łączy. Którzy nierzadko nigdy tamtych okolic nie odwiedzili. Którzy nie znają ani hiszpańskiego, ani katalońskiego.

A kiedy już konflikt został wykatapultowany do innych krajów i na inne kontynenty, Real z Barceloną go spieniżyły.

Dowodów nie musimy szukać daleko, wystarczy rozejrzeć się po Polsce. Temperaturę sporu czują wszyscy, których zajmuje futbol. Z klubów kibica wykuły się obłudnie popularne portale, a na forach i w mediach społecznościowych pojawiły się dwa plemiona – chciałoby się rzec: sekty – zwalczające się wściekle i codziennie, czasami z szowinistyczną bezrefleksyjnością, a czasami z obrzydzeniem i pogardą dla wroga. Piłkarscy kibice generalnie mają skłonność do przesady, zachowań stadnych, ulegania instynktowi. Gustave Le Bon, który napisał rewolucyjną w swojej epoce *Psychologię tłumu*, pewnie wierci się w grobie rozszalony, że nie dożył czasów, w których mógłby analizować – nie wstając od komputera, badania terenowe byłyby tu zbędne – zachowania tak irracjonalnych i popędliwych zbiorowości w szczyt, ale im wyżej wleczisz, tym barceloniści i madrydziści wynieśli jednak zjawisko na inny poziom. To zawsze czujni uczestnicy świętej wojny, podejrzliwie łypący na wszystkich zabierających głos w kwestiach związanych z rywalizacją w Klasycy. Rozpaleni nadwrażliwcy, których uczucia religijne można urazić jednym nieostrożnym słowem. W swoim zapamiętaniu tym bardziej niezwykli, że wojują z oddali. Nie urodzili się w tym sporze, nie odziedziczili go, lecz nabyli. Nie są tubylcami, lecz imigrantami.

Skrajne zaangażowanie fanów przekłada się na twardą walutę, bez której w Lidze Mistrzów działał niewiele – możesz incydentalnie wyskoczyć prawie na szczyt, ale im wyżej wleczisz, tym prędzej uziemią cię dysponenci budżetów bez dna. Real Madryt i FC Barcelona nie tyle się bogacą, ile bogacą się w kosmicznym tempie. U schyłku poprzedniego stulecia błąkały się w połowie lub na końcu czołowej dziesiątki finansowego rankingu Deloitte Football Money League, od 2005 roku właściwie nie spadają z podium, najczęściej wymieniając się na pozycjach lidera oraz wicelidera. Sezon w sezon ich przychody puchną o kilkadziesiąt milionów euro, w skali dekady to wzrosty sięgające 100 procent. W XX wieku nie zbliżyły się do 100 milionów, teraz w połowie drugiej dekady XXI wieku dobiły do pół miliarda. Jako biznesowe korporacje w tym górują nad korporacjami działającymi w wielu innych branżach – choć wciąż zarabiają mniej – że wyhodowali klientów wiernych marce do zgonu, którzy w sklepie z gadżetami albo przed telewizorami nie podejmują decyzji konsumenckich, lecz odprawiają msze. A między meczami

są niezmordowanymi bojownikami i nieśkalany wizerunek barw, którym służą. Sen na jawie każdego prezesa globalnej korporacji.

To między innymi dzięki wyeksportowaniu nienawiści madrytczyków oraz barcelończyków stać, by przeliczyć każdego zagranicznego konkurenta i przejmować każdą megagwiazdę futbolu, której zapragną. Gdyby Ángel di Maria nie został wypchnięty za gigantyczne pieniądze do Manchesteru United, to czołową dziesiątkę listy transferowych rekordów wszech czasów zajmowałyby tylko ich łupy: Cristiano Ronaldo, Gareth Bale, Neymar, Luis Suárez, James Rodríguez, Zinedine Zidane, Zlatan Ibrahimović, Kaká oraz Luis Figu. Wszyscy superbohaterowie zlatują się na Półwysp Iberyjski, by uświetnić sobą największą futbolową superprodukcję. Klasyk to więcej niż mecz, to hollywoodzki *blockbuster*. I wiadomo, że przyniesie ocean pieniędzy niezależnie od poziomu widowiska, czyli czynnika w sporcie zasadniczo nieprzewidywalnego. Jak *Avatar*, *Avengers* czy *Jurassic World*. Nawiasem mówiąc, jeśli ten ostatni hit w dwa tygodnie (!) zarabia miliard dolarów, to znaczy, że przed czołowymi firmami piłkarskimi (na tyle samo muszą pracować co najmniej półtora roku) wspaniałe perspektywy rozwoju – wbrew lamentom, że komercjalizacja przekroczyła wszelkie granice, komercjalizacja ledwie się zaczęła. Wystarczy zresztą spojrzeć, jakie przychody osiągają reprezentujące inne dyscypliny sportu kluby molochy z zawodowych lig amerykańskich.

Nienawiść – w spokojniejszych chwilach niechęć – zatem nie wygasa, choć rywale, już teraz nieomal identyczni, nadal stale się do siebie upodabniają. Real nie przestaje grasować po rynkach na wszystkich kontynentach, ale marzy o wychowankach w składzie (powrót z Bundesligi Daniego Carvajala) czy choćby przywrócenia drużynie hiszpańskości (starania o Davida De Geę). Barcelona nie przestaje opowiadać o wyższych wartościach i zabiegać o wizerunek klubu romantycznego, ale ubija interesy z uzbeką dyktaturą i oddaje miejsce na koszulce symbolom łamiącego prawa człowieka Kataru. Oba kolosy maksymalizują zyski, oba uwodzą ludzi wszystkich kultur, by podbić możliwie olbrzymią część świata. Oba prowadzą politykę transferową coraz bardziej drapieżną – jeden zagwarantował sobie przejście Neymara, gdy ten nie wyszedł z wieku juniora, drugi pozyskał Martina Ødegaarda jako 16-latkę. Oba środowiska permanentnie funkcjonują też w podwyższonym stanie energetycznym, ponieważ oba otacza rozhisteryzowane otoczenie medialne, które źle znosi nadmierny spokój, wywiera potworną presję na piłkarzach, ma ambicje wpływania na decyzje klubowych władz, eskaluje barcelońsko-madryckie napięcia.

Stąd bierze się skłonność do ekstremalnych werdyktów, przez co ani w stolicy Katalonii, ani w stolicy Kastylii nigdy nie dzieje się przeciętnie – albo trwa ekstaza, albo nadciąga apokalipsa, stany pośrednie nie występują. Przypadłość miejsca, ale i przypadłość epoki, w której niepowodzenie w finale jest klęską, a w półfinale hańbą. I właśnie dlatego żadna ze stron hiszpańskiego konfliktu nie zauważa, że oba kluby przeżywają swoją *belle époque*. Realowi również dobrze było jedynie w drugiej połowie lat 60., Barcelonie również dobrze nie było nigdy. A przede wszystkim – nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by obu przeciwnikom wiodło się fantastycznie. Najprzyjemniejszym chwilom jednych zazwyczaj towarzyszyły nieszczęścia drugich. Gdy Królewscy wygrali Ligę Mistrzów w 2002 roku, Katalończycy telepalili się w lidze krajowej między czwartą a szóstą pozycją. Gdy Katalończycy fetowali złotą erę trenera Johanna Cruyffa, Królewscy w cztery sezony wydłubali zaledwie jedno istotne trofeum (krajowy puchar).

Nie teraz. Teraz spektakularne triumfy jednych sąsiadują ze spektakularnymi triumfami drugich. Jak w latach 2014–2015, w których po upragnionej decimie, czyli dziesiątym zdobyciu Pucharu Europy przez Real, nastąpiło zdobycie Pucharu Europy przez Barcelonę. Symboliczne podsumowanie coraz wyraźniejszej hegemonii – wciągnięcie w Klasyk entuzjastów futbolu ze

wszystkich krańców świata sprawiło, że zyskało ono sławę rywalizacji numer jeden, której prawdopodobnie długo nic nie zagrozi.

Obaj rywale od dekadę nie spadają z podium ligi hiszpańskiej, czego Real Madryt nie doświadczył od przywoływanych lat 60., a Barcelona nie doświadczyła dotąd wcale. Obaj uświetniają każdy sezon ponad setką goli, wcześniej wyczynem również nieosiągalnym. Na zmianę zaczęły też podnosić Copa del Rey – w najgorszym razie przegrywają w finale lub odpadają w półfinale – choć jeszcze niedawno kompletnie tę imprezę zaniedbywały, w latach 1999–2008 puchar obcalowały sławi wyłącznie piłkarze drużyn pomniejszych, z Saragossy, La Coruñi, Mallorki czy Sewilli. Słowem, cała krajowa opozycja próbująca obalić panującą parę zmalała, używając języka polityków, do planktonu. Owszem, po dziesięciu latach wymieniania się tytułem mistrza Hiszpanii oddały na moment władzę madryckiemu Atlético, ale natychmiast ją odzyskały – wiosną 2015 roku zepchnęły buntownika na najniższy stopień podium ligi, a także przepędziły z Champions League (nogami Realu) oraz krajowego pucharu (nogami Barcelony).

A na scenach międzynarodowych? Madryccy fani musieli przeczekać kilka edycji Ligi Mistrzów zakończonych w 1/8 finału, ostatecznie jednak celebrowali dziesiąte trofeum i tym samym umocnienie renowy najbardziej tytułowanego klubu na planecie. Kibice Barcelony natomiast podziwiają drużynę będącą królową dekadę, która najcenniejsze trofeum wzięła w latach 2006, 2009, 2011 i 2015; która jako pierwsza w historii dwukrotnie zakładała potrójną koronę; którą tworzą piłkarze nazywani za granicą Marsjanami i traktowani jak przedstawiciele wyższej cywilizacji. Na czele z Leo Messim, sławionym przez legendarnego bramkarza Gianluigiego Buffona jako „obcy zniżający się do grania z ludźmi”.

Fascynujący występ Argentyńczyka z historią – czytaj: wspomnieniem o Diego Maradonie – oraz już realniejszy, z wielkim madryckim adwersarzem Cristiano Ronaldo, też powinien utrzymywać kibiców obu supermocarstw w stanie nieustającego rozanielenia. Ich mityczni poprzednicy mijali się w czasie lub przestrzeni, więc Pelégo, Di Stéfano, Cruyffa czy Maradonę możemy porównywać ze sobą jedynie intuicyjnie, tymczasem dzisiejsi liderzy Barcelony i Realu co rusz spotykają się na boisku, tocząc walkę o nieludzkiej intensywności. Ale dla zantagonizowanych kibiców stanowią jedynie kolejne pole werbalnej bitwy, ich miazdząca większość prawdopodobnie tak samo wielbi swojego idola, jak serdecznie nie znosi idola „wrogię”, więc holdom składanych boży szczyt plemienia barcelońskiego towarzyszy maniaćki umniejszanie dokonań bożyszcza madryckiego i odwrotnie. Waśnie trzeba już zresztą podsycać również z powodów czysto merkantylnych. Im więcej rozżarzonych uczuć, tym bardziej *show* się opłaca, najgroźniejszym wrogiem rekordowych oglądalności są letnie emocje.

Wariacki taniec zatem trwa. W roku 2014 na dnie leżała ponoć Barcelona, a w roku 2015 roku miał tam zlecieć Real, choć gdyby skrupulatnie zebrać i pomierzyć fakty, to oba imperia są w fazie szczytowego rozkwitu. I wciąż wzbijają się wyżej – jedni rozszerzają panowanie, zakładając na obcych ziemiach szkoły dla dzieci (jak szczyt stołeczna Escola Varsovia), drudzy podbijają nowe terytoria, projektując bajeczne parki rozrywki na sztucznych wyspach (jak Real Madrid Island Resort w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, którego budowa została wstrzymana zapewne chwilowo). Bez siebie ich istnienie nie ma sensu, dlatego przy całej dzielącej kłuby antypatii mogą niekiedy oddziaływać integrująco – kiedy na przykład Katalonia dąży do niepodległości i ktoś zaczyna na przebąkiwać o utworzeniu osobnych rozgrywek ligowych. Barcelona miałaby przetrwać bez Realu?! Real bez Barcelony?! To przechodzi ludzkie pojęcie, wreszcie z łatwością wyobrażam sobie oba plemiona zjednoczone. Oto prezesi przekonują, że rozwój zrujnowałby cały futbolowy przemysł, wspólnie protestują piłkarze, kibice wylegają na ulice głosić te same hasła... Są przecież na świecie rzeczy niezmiennie – Barcelony i Realu nie da się ani pogodzić, ani od siebie oderwać.

RYWALIZACJA REALU MADRYT I BARCELONY JEST PIĘKNA

Zmagania Realu Madryt i Barcelony budzą emocje całego piłkarskiego świata. Klasyk już dawno bowiem przestał być jedynie krajową marką, przeistaczając się w spektakl o globalnym zasięgu. Ducha rywalizacji czuć w tym przypadku jednak nie tylko przy okazji bezpośrednich starć wspomnianych drużyn. Ciągłe porównania, analizy oraz spory na temat wyższości jednych nad drugimi są stałymi elementami codziennych debat dotyczących hiszpańskich gigantów. Trudno mówić o Realu Madryt i Barcelonie bez ich wzajemnego porównywania.

Współzawodnictwo Los Blancos i Blaugrany można, a nawet trzeba rozpatrywać wielopłaszczyznowo. Koegzystencja obu klubów wykracza daleko poza sport. To także polityka, odmienna wizja postrzegania świata i idee. Tak niewralgiczne w ojczyźnie Cervantesa tematy, jak chociażby dyktatura generała Franco czy separatystyczne zapędy Katalonii, nigdy nie pozostawały obojętne dla sympatyków obu ekip, szczególnie tych, którzy urodzili się w Hiszpanii. Przykłady różnic dotyczących światopoglądu czy filozofii budowania zespołu i zarządzania klubem można mnożyć w nieskończoność. O samej rywalizacji Cristiano Ronaldo i Lionela Messiego dałoby się spisać całe tomy, które wcale niekoniecznie odnosiłyby się wyłącznie do sfery sportowej.

Wszystkie sprzeczności – ile by ich nie było – sprowadzają się jednak do tego samego: chęci bycia najlepszym na świecie i propagowania wartości, które mają pomóc w osiągnięciu celu. Dlatego rywalizacja Realu Madryt i Barcelony jest tak piękna. Mimo różnych dróg cel jest ten sam. Świadomość istnienia antagonisty gotowego wykorzystać każdy błąd napędza i stanowi motywację, by cały czas dążyć do perfekcji.

Czym byłby Real bez Barcelony i na odwrót? Pytanie to może mieć nieco filozoficzny wydźwięk. Często słyszy się, że brak konkurencji działa destrukcyjnie – ułatwia spoczęcie na laurach i sprzyja popadaniu w zgubne samozadowolenie. Moim zdaniem w stwierdzeniu tym jest sporo prawdy. Dlatego uważam, że zarówno Real Madryt, jak i FC Barcelona mogłoby bez siebie żyć. Choć nie byłoby tacy sami jak dziś.

Janusz Banasiński
RealMadryt.pl

BARCELŃSKO-MADRYCKA HISTORIA TRWA DALEJ

Emocje od zawsze odgrywają szczególną rolę w sporcie. Motywują do walki. Dodają siłę, gdy odmawia ich organizm. Porywają tłumy... Nie znam innej rywalizacji sportowej, w której emocje byłyby tak głębokie i intensywne jak w pojedynkach Realu Madryt z FC Barceloną. Wyjątkowe zjawisko, które sięga daleko poza murawę.

Barwna paleta uczuć towarzyszących spotkaniom tych klubów wynika z ich bogatej wspólnej historii. Zacięta i burzliwa, a bywało, że mściwa i tragiczna. Pod wieloma względami odzwierciedla ona historię całej Hiszpanii. Derby Barcy i Realu szybko zyskały popularność w podzielonym kraju. Dziś rozpalają emocje kibiców na całym świecie.

Po jednej stronie mamy naród z odrębnym językiem i flagą, lecz bez własnego państwa. Po drugiej – klub z Madrytu, utożsamiany z władzą centralną i noszący w nazwie przydomek „Królewski”. Choć aspekt społeczny jest tu bardzo wyrazisty, to stanowi tylko jedną z płaszczyzn tej rywalizacji. Pośród innych można wskazać kulturową, polityczną, gospodarczą. Wszystkie współtworzą esencję, wydzźwięk starcia, które trwa od ponad 100 lat.

Utrzymujące się do dziś podziały – uwypuklone sytuacją ekonomiczną na Półwyspie Iberyjskim i zeszłoroczną debatą o referendum niepodległościowym – sprawiają, że historia pojedynków Madrytu i Barcelony pozostaje żywa i aktualna. Drużyny na boisku reprezentują edge wyznawane przez swych fanów. Te mecze kłpią, bo piłkarze wkładają w nie całe serca.

To prawda, że autorzy z innych krajów potrafili pisać o piłce ciekawie i analitycznie. Jednak rzadko kto potrafi robić to tak porywająco jak Hiszpanie. Być może dlatego w czasach gdy prasa przeżywa globalny kryzys, za Pirenejami ukazują się aż cztery ogólnokrajowe dzienniki poświęcone wyłącznie sportowi.

Podział jest prosty i jasny dla wszystkich. Katalońskie „Sport” i „Mundo Deportivo” wspierają FC Barceloną. Po stronie Realu stoją wydawane w Madrycie gazety „Marca” i „AS”. Alfredo Relaño jest redaktorem naczelnym ostatniej z nich. Ze względu na rodzinne związki z Katalonią świetnie orientuje się w historii klubu z Barcelony. Takie połączenie uczyniło jego książkę unikatową i szczególnie interesującą.

Barça została założona w 1899 roku, Real w 1902. Powstały z tej samej pasji do piłki w czasach, gdy zawodnicy trenowali po pracy piekarza, lekarza, urzędnika czy adwokata. Obie instytucje rozwinęły się do największych i najbardziej rozpoznawalnych w świecie sportu. Obie ekipy należą od dekad do największych firm klubowej piłki, jednak supremacja jednych bardzo często przypadała na głęboki kryzys drugich.

Gdy w latach 1956–1960 Real Madryt pięciokrotnie sięgał po Puchar Europy i zanotował dwa finały w kolejnych czterech latach, Barça tylko raz doszła do finału – w 1961 roku. Krajowa dominacja bordowo-granatowych z lat 40. i wczesnych 50. płynnie przeszła w erę zwycięstw Realu trwającą aż po lata 80. W latach 1961–1980 Barça zdobyła jedno mistrzostwo Hiszpanii, Real – 14.

Odkąd około dziesięciu lat temu poziom obu klubów się wyrównał, Real Madryt i FC Barcelona praktycznie na wyłączność przejęły dwa pierwsze miejsca na podium ligi. Przez pięć ostatnich lat rozstrzygały między sobą losy Superpucharu Hiszpanii, wpadały na siebie w

Pucharze Króla i najbardziej regularnie ze wszystkich uczestników występują w półfinałach Ligi Mistrzów. Bilans bramkowy ligowych Klasyków z lat 2011–2015 różni się... jedną bramką.

Żyjemy zatem w czasach, kiedy pojedynki dwóch najbardziej utytułowanych klubów Hiszpanii są zacięte jak nigdy. Gwarantują najwyższy poziom piłkarskich emocji. Nie mają faworyta. Te mecze rządzą się swoimi prawami.

Rok temu Real zdobył Puchar Europy po raz dziesiąty. To najwięcej w historii. Barça jest jednak najbardziej utytułowaną ekipą ostatnich lat. A Luis Enrique dopisał piękny rozdział tej opowieści. Książka Relaño pomaga rozumieć emocje stojące za współzawodnictwem dwóch największych hiszpańskich drużyn.

Ponad 100 lat rywalizacji to galeria wielkich zwycięstw i dotkliwych porażek. Bilans oficjalnych meczów zbliża się właśnie do remisów. Wynosi 92:89 dla Realu. Barcelońsko-madrycka historia trwa dalej. Kolejne odcinki w nowym sezonie.

Nie mogę się doczekać.

Karol Chowański
FCBarca.com



Słynny apel Gampera o utworzenie Barcy

NOTAS DE SPORT

Nuestro amigo y compañero Mr. Kans Kamper, de la Sección de Foot-Vall de la «Sociedad Los Deportes» y antiguo campeón suizo, deseoso de poder organizar algunos partidos en Barcelona, ruega á cuantos sientan aficiones por el referido deporte se sirvan ponerse en relación con él, dignándose al efecto pasar por esta redacción los martes y viernes por la noche de 9 á 11.

Carlos Padrós, kataloński założyciel Madrytu CF



Barça w pierwszych latach. Siedzą: Steinberg (drugi od prawej) i Gamper (trzeci od lewej)



Wielka Barça. Alcántara wyrywa piłkę Zamorze. Samitier siedzi



MAYORDOMIA MAYOR
DE
S. M.

Su Majestad el Rey (q.d.g.),
se ha servido conceder con la
mayor complacencia el Título
de Real, a ese Club de Football
del que V.es digno Presidente,
el cual, en lo sucesivo podrá
anteponerse a su denominación.

Lo que de Real orden parti-
cipo a V. para su conocimiento,
y efectos consiguientes.

Dios guarde a V. muchos años
Palacio 29 de Junio de 1920.

El Jefe Superior de Palacio.

H. Martínez de la Torre

Sr. D. Pedro Parages Diego Madrazo. Presidente del
Madrid Foot ball Club.

Alfons XIII zgadza się na nadanie Madrytowi tytułu „Real”



Ostatnia parada Zamory w finale Pucharu Hiszpanii w 1936 roku: Real Madryt – Barça



Samitier podpisuje kontrakt z Realem Madryt. Obok niego stoi Santiago Bernabéu



Tablica wyników: Barcelona 1 – 11 Real Madryt. Wydarzenie to doprowadziło do dymisji prezydentów obu klubów



Kubala, uciekinier z Węgier, przybył do Barcelony i stał się jej największym idolem



Di Stéfano ze swoją rodziną w pierwszych latach gry w Realu Madryt



Franco na Camp Nou niedługo po otwarciu stadionu



Wielcy napastnicy Bernabéu: Kopa, Rial, Di Stéfano, Puskás i Gento



Kamienna płyta ku pamięci Suñola w Alto del León, w miejscu, w którym został rozstrzelany



Di Stéfano celebra góla strzelonego Barcelonie w Pucharze Europy w sezonie 1959/60. Obok niego Ramallets



Bernabéu i Franco podczas otwarcia ośrodka treningowego Realu Madryt



Pamiętny gol Evaristo. Real Madryt po raz pierwszy został wyeliminowany z Pucharu Europy



Drugi front – koszykówka. Ferrándiz i Luyk cieszą się z decydującego trafienia



Sadurní usuwa butelki podczas słynnego finału Pucharu w 1968 roku



Bernabé w czasach, kiedy mawiał: „Kocham i podziwiam Katalonię, pomimo Katalończyków”



José Plaza, szef arbitrów, przez lata był dla barcelonistów antychrystem



Gaspart spełnił obietnicę i wykąpał się w Tamizie. Właśnie narodził się Dream Team



Madryt z Pucharem Prezydenta Republiki. W środku stoi Lezcano



25-lecie Barcy. Plakat w języku katalońskim. Klub jest już symbolem katalońkości



Santiago Bernabéu i drużyna Realu Madryt z rodziną królewską w Lozannie (Szwajcaria)



Heleno Herrera na ramionach Gensany i Segarry po zdobyciu Pucharu w 1959 roku



Pełna poduszeczek murawa Camp Nou w dniu „Jarnego Gurucety”



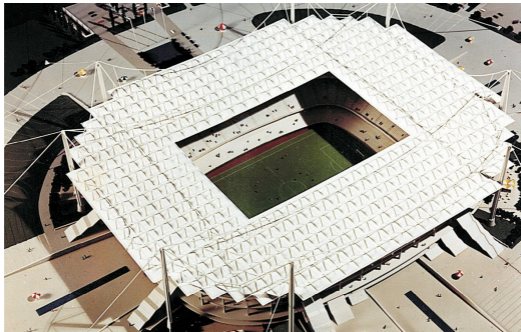
Hugo „Cholo” Sotil strzela piątego gola w meczu, w którym Barcelona pokonała Real 5:0. Był to pierwszy sezon Cruyffa



Barça, więcej niż klub. Flagi w Bazylei



Projekt zabudowy działki stadionu, z którego Bernabéu musiał się wycofać



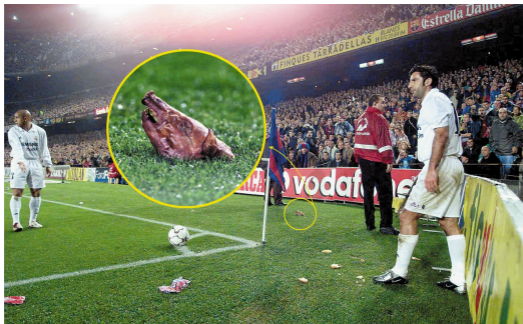
Projekt stadionu. Miał zostać zbudowany przy wyjeździe na drogę krajową w stronę Burgos. 60 tysięcy miejsc siedzących, 60 tysięcy stojących, pełne zadaszenie



Tarradellas zdołał zaprowadzić tymczasowy pokój między Luísem de Carlosem i Josepem Lluísem Núñezem



Quique Estebanarantz pociesza Michela po jednym z dwóch popołudni na Teneryfie



Figo podczas swojego drugiego powrotu na Camp Nou. Był to wieczór świńskiego łba



Guardiola leci do nieba. Barça nie przestaje zdobywać trofeów



Galácticos Florentino Péreza – Beckham, Figo, Ronaldo, Zidane i Raúl



Messi zwija się z bólu po nadeptnięciu przez Pepe



Mourinho wkłada palec w oko Tito Vilanovy w obecności flegmatycznego „Obserwatora”

[1] Hiszpańskie kroniki filmowe (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Trenera Helenio Herrery.

[3] Klub powstał jako Madrid CF, dopiero w 1920 roku przy znano mu tytuł Królewski (Real).

[4] Wierność „wiecznym” i „czystym” wartościom hiszpańskiej rasy, które upowszechniali m.in. Menéndez Pelayo, historyk i wielki autorytet naukowy czasów Restauracji, oraz piewca irracjonalizmu Miguel de Unamuno.

[5] *Hijo Predilecto*, tytuł honorowy nadawany przez władze hiszpańskich miast.

[6] Diego López V de Haro (1250–1310), założyciel Bilbao.

[7] Costumbrismo – kierunek w hiszpańskiej literaturze i sztuce, charakteryzujący się wiernym zobrazowaniem życia i obyczajów epoki.

[8] Słynny targ w Madrycie, na którym można nabyć przedmioty z drugiej ręki.

[9] Oficjalnie rozgrywki o mistrzostwo Hiszpanii rozpoczęły się w 1929 roku, do tego czasu za mistrza kraju uznawano drużynę, która zdobywała Puchar Hiszpanii.

[10] „Do samego świętego Piotra/ może zwracać się per ty/ występujący jako bramkarz/ Katalończyk Luis Bru”.

[11] Jeden z najważniejszych placów w Madrycie.

[12] Chodzi o Trofeo Pichichi dla najlepszego strzelca Primera i Segunda División, przyznawane co roku przez dziennik „Marca”.

[13] *Que Dios guarde* – Niech Bóg chroni.

[14] Lliga Regionalista – Liga Regionalistyczna, prawicowe ugrupowanie działające w latach 1901–1936.

[15] Argentyński kompozytor i najslawniejszy wykonawca tanga (1890–1935).

[16] Francuski piosenkarz i aktor (1888–1972).

[17] Profesor i historyk sztuki (1857–1935).

[18] Dawny stadion Realu Sociedad San Sebastián, zburzony w 1993 roku.

[19] Do lipca 1999 roku było to „El Mundo Deportivo”.

[20] Klub kibica.

[21] Pisownia hiszpańska, w języku katalońskim: Les Corts.

[22] Can Ràbia (kat.) – nazwa działki, na której znajdował się ówczesny stadion Espanyolu.

[23] Piątka Sopa – drużyna Realu Madryt z lat osiemdziesiątych, której trzon tworzyli: Emilio Butragueño, Miguel Pardeza, Martín Vázquez, Michel i Manolo Sanchís.

[24] W pierwszym meczu Real przegrał 1:6, w rewanżu wygrał 4:0 i do finału awansowała Saragossa, przegrywając w nim z Espanyolem 1:4.

[25] Prawnik i przedsiębiorca, w latach 1985–1995 prezydent Realu Madryt.

[26] Juan José Nogués – ówczesny trener Barcelony.

[27] Prasa reżimowa.

[28] Sekcja partii politycznej Falanga Hiszpańska, utworzona w 1940 roku przez reżim Franco, mająca na celu polityczną indoktrynację młodych Hiszpanów.

[29] Wybudowana w 1929 roku na wystawę EXPO; jest rodzajem muzeum pod gołym niebem, gdzie na powierzchni 42 tysięcy metrów kwadratowych znajdują się reprodukcje budynków, placów i ulic ze wszystkich hiszpańskich prowincji.

[30] Hymn poświęcony Madonnie z Montserrat.

[31] Słynna opera.

[32] Przy domek generała Franco.

[33] Aktorka.

[34] Toreador.

[35] Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych trudna sytuacja ekonomiczna zmusiła Real do sięgnięcia po wychowanków, z których większość nosiła nazwisko García. Byli wśród nich: Mariano García Remón, Francisco García Hernández, Rafael García Cortés, Antonio García Navajas i Ángel Pérez García; oprócz nich w tamtej drużynie Realu grali też między innymi Juanito, Santillana, Vicente del Bosque i José Antonio Camacho.

[36] José Antonio Primo de Rivera, lider Falangi Hiszpańskiej.

[37] Dzieciaki Busby'ego – drużyna zbudowana przez menedżera Matta Busby'ego w oparciu o wychowanków klubu; ośmiu z nich zginęło w katastrofie lotniczej w Monachium w 1958 roku.

[38] Nagroda przyznawana bramkarzowi, który wpuści najmniej goli w lidze.

[39] Pedro Escartín (1902–1998) – hiszpański arbiter, trener, a także dziennikarz.

[40] Kantabryjska odmiana kręgli.

[41] Od 2000 roku Euroliga.

[42] Drużyna z lat 60.; jej określenie pochodzi z piosenki The Beatles *She Loves You* i przyłgnęło do zespołu, kiedy czterech jego piłkarzy zapozowało do zdjęcia dla dziennika „Marca” w perukach imitujących czwórkę z Liverpoolu.

[43] Ta kwestia zostanie wyjaśniona jeszcze w tym rozdziale, a bardziej szczegółowo – w następnym.

[44] (wł.) Nawet jeśli nieprawdziwa, to dobrze wymyślona.

[45] (kat.) Więcej niż klub.

[46] Finał Pucharu Zdobywców Pucharów w sezonie 1970/71.

[47] Manolo, ten od Bębna – najsłynniejszy kibic reprezentacji Hiszpanii, za którą jeździ na wszystkie mecze i turnieje; ubrany w charakterystyczny czerwony strój, z txapelą, tradycyjnym baskijskim beretem, na głowie oraz wielkim bębniem, w który uderza przez cały mecz, dopingując drużynę.

[48] Dziennikarz „Asa”, jeden z najsłynniejszych i najbardziej zagorzałych madrydstów.

[49] Gaspar de Guzmán (1587–1645) – pierwszy minister króla Filipa IV; w trakcie wojny trzydziestoletniej, aby uzyskać pieniądze na działania wojenne, uciekał się do brutalnych metod ściągania podatków; jego agresywna i scentralizowana polityka doprowadziła do powstania przeciwko królowi i ogłoszenia niepodległości Katalonii w 1640 roku.

[50] Vic Buckingham, angielski trener Barcelony.

[51] Amerykański lekkoatleta, brązowy medalista olimpijski z Meksyku 1968 w biegu na 200 metrów.

[52] Piłkarze z Ameryki Południowej posiadający hiszpańskie lub włoskie korzenie.

[53] Dziennikarz i pisarz.

[54] Bokser.

[55] Alpinista, dziennikarz i adwokat.

[56] Najbardziej symboliczna dla Katalończyków sardana; była zakazana podczas dyktatury Primo de Riverę, a później także za czasów Franco.

[57] Flaga Katalonii.

[58] Flaga Kraju Basków.

[59] W latach 1996–2004 premier hiszpańskiego rządu, kibic Realu Madryt.

[60] Na Maracanie, na przekór wszelkim prognozom, Urugwaj pokonał Brazylię 2:1.

[61] Wielka beza; nawiązanie do jednego z przydomków Realu Madryt: *los merengues*, czyli bezy.

[62] Stadion Hérculesa Alicante.

[63] Nawiązanie do popularnego komiksowego magazynu, który ukazywał się w Barcelonie między 1917 a 1998 rokiem.

[64] *La movida madrileña* – ruch kulturalny zapoczątkowany po śmierci Franco; pojawiły się wtedy nowe trendy w modzie, muzyce, kinie, sztuce i literaturze, inspirowane londyńską muzyką punkową i popem, ale także tradycjami kultury hiszpańskiej. Najślynniejszym przedstawicielem movidy był Pedro Almodóvar.

[65] Słynna arena walk byków.

[66] Miguel Pardeza jako jedyny z Piątki nie urodził się w Madrycie, lecz w La Palma del Condado, w Andaluzji.

[67] Tenerife dotarło aż do 1/8 finału; zostało wyeliminowane przez Juventus (0:3 i 2:1).

[68] Przed finałem Pucharu Europy w 1992 roku na Wembley Gaspard obiecał, że jeśli Barcelona wygra, on wykąpie się w Tamizie.

[69] (hiszp.) Grubasek

[70] (port.) Tęsknota, nostalgia.

[71] Finał odbył się w Santiago Bernabéu i miał zakończyć się wielką fiestą z okazji stulecia klubu, ale Real przegrał niespodziewanie z Deportivo 1:2.

[72] W języku hiszpańskim jest to gra słów: *pasillo* (szpaler) i *paseo* (spacerek).

[73] Dwa gole strzelił wtedy Raúl Tamudo, Barcelona zremisowała 2:2 i definitywnie zakończyły się jej marzenia o zdobyciu mistrzostwa.

[74] Technika judo; tak hiszpańscy judocy określili faul Marcheny na Raúlu, z powodu którego został podyktowany rzut karny.

[75] Julio Grondona – prezes Argentyńskiej Federacji Piłkarskiej w latach 1979–2014 i wiceprzewodniczący FIFA (1988–2014); zmarł 30 lipca 2014 roku.

[76] Jesús Samper, prezes Realu Murcia.

[77] Fernando Hierro od lipca 2014 roku był asystentem Carlo Ancelottiego w Realu Madryt.

[78] Podczas konferencji prasowej Eto'o ostro skrytykował Rijkaarda i Ronaldinho.

[79] W rewanżowym meczu 1/8 finału na Camp Nou w 56. minucie, przy wyniku 1:1, czerwoną kartkę otrzymał Robin van Persie, a później Barcelona strzeliła jeszcze dwa gole; pierwszy mecz 2:1 wygrał Arsenal.

[80] *La central lechera* – powstały w Katalonii termin określający madryckich dziennikarzy sprzyjających Florentino Pérezowi.

[81] Olegário Benquerença – portugalski arbiter, który prowadził półfinał Inter – Barcelona (3:1) w 2010 roku.

[82] W 1/8 finału z Olympique Lyon.

[83] Jean-Louis Dupont – belgijski adwokat specjalizujący się w prawie europejskim, reprezentujący wielu sportowców i wiele klubów piłkarskich.

[84] *Pito* to w języku potocznym „fujarka”.

[85] Pío Cabanillas (1923–1991) – polityk centroprawicowy.

[86] *Décima* – dziesiąty Puchar Europy.

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Wstęp do polskiego wydania. Życzę Realowi, aby rósł w siłę](#)

[Wstęp do polskiego wydania. Uwaga! Rywalizacja Realu Madryt z FC Barceloną może uzależnić!](#)

[WPROWADZENIE](#)

[1. REAL MADRYT ZAŁOŻYŁ KATALOŃCZYK](#)

[2. BARÇA WYGRYWA PIERWSZY MECZ](#)

[3. PIERWSZE SPRZECZKI](#)

[4. 1916 – PIERWSZA WIELKA AWANTURA](#)

[5. KLUB HISZPANII, KLUB KATALONII](#)

[6. SIEDEM DNI CZEKANIA I LIGA DLA BARCY](#)

[7. SAMITIER PRZECHODZI DO REALU!](#)

[8. BARÇA NIE POZWAŁA REALOWI ZAPISAĆ SIĘ DO ROZGRYWEK KATALOŃSKICH](#)

[9. ZASTRZELENIE SUŃOLA I ZESŁANIE SÁNCHEZA-GUERRY](#)

[10. 11:1 – MECZ, KTÓRY DOPROWADZIŁ DO DYMISJI OBU PREZESÓW](#)

[11. SPRAWY RAFY I MOŁOWNY 'EGO](#)

[12. BARÇA BIERZE KUBAŁĘ](#)

[13. KUBAŁA I OLIVA, SPRAWA K.O.](#)

[14. DI STÉFANO DOPROWADZA DO PODZIAŁU](#)

[15. REAL MADRYT PANUJE W PUCHARZE EUROPY](#)

[16. REAL MADRYT DOPROWADZA DO ZWOLNIENIA HH](#)

[17. PAN ELLIS I PAN LEAFE](#)

[18. KOSZYKÓWKA NA DRUGIM FRONCIE](#)

[19. GOL VELOSO PO CZASIE](#)

[20. RIGO I FINAŁ BUTELEK](#)

[21. BERNABÉU KOCHA KATALONIE „POMIMO KATALOŃCZYKÓW”](#)

[22. DE FELIPE POWODUJE GROŻNĄ KONTUZJĘ BUSTILLO](#)

[23. KARNY GURUCETY!](#)

[24. FERMÍN STRZELA Z KARNEGO W KORDOBIE](#)

[25. „BARÇA TO WIĘCEJ NIŻ KLUB”](#)

[26. HISTORIA DWÓCH REKWALIFIKACJI](#)

[27. „DOPÓKI PŁAZA BĘDZIE PRZEWODNICZĄCYM...”](#)

[28. OD 5:0 CRUYFFA DO FINAŁU 4:0](#)

[29. NÚÑEZ, DE CARLOS I TARRADELLAS](#)

[30. KOSZYKÓWKA. DWA KOLEJNE WYCOFANIA](#)

[31. ZAPŁADNIAJĄC KOBIETY ZA ROGIEM](#)

[32. NÚÑEZ WYGRYWA TELEWIZYJNĄ WOJNE](#)

[33. NADEPNIECIE PRZEZ STOICZKOWA I GENITALIA SÁNCHEZA](#)

[34. DWIE LIGI Z TENERYFY](#)

[35. „KTO NIE SKACZE, TEN POLAKIEM” I PODWÓJNE 5:0 W CIĄGU 364 DNI](#)

[36. GASPART SPRAWIA, ŻE NA BERNABÉU ROZBRZMIĘWA HYMN BARCY](#)

[37. GASPART I BABCIA KŁOZETOWA](#)

[38. FLORENTINO ZABRAŁ FIGO!](#)

[39. WIECZÓR ŚWIŃSKIEGO ŁBA](#)

[40. SZPALER I 2:6](#)

[41. WYBORY VILLARA W 2004 ROKU](#)

[42. TYLKO MOURINHO TU BRAKOWAŁO](#)

[43. BURZA KLASYKÓW](#)

[44. CASILLASI XAVI ZAWIERAJĄ POKÓJ](#)

[45. KLASYK NUMER 247, A TO JESZCZE NIE KONIEC](#)

[46. I 249...](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Epilog do polskiego wydania. Jak Barcelona i Real zaczęły resztę świata](#)

[Posłowie do polskiego wydania. Rywalizacja Realu Madryt i Barcelony jest piękna](#)

[Posłowie do polskiego wydania. Barcelońsko-madrycka historia trwa dalej](#)

[Zdjęcia](#)

[Strona redakcyjna](#)

**NACIDOS PARA INCORDIARSE.
UN SIGLO DE AGRAVIOS ENTRE EL MADRID Y EL BARÇA**

Copyright © Alfredo Relaño 2012

Copyright © Ediciones Planeta Madrid, S.A. 2012

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2015

Copyright © for the Polish translation Barbara Bardadyn 2015

Redakcja i korekta – Grzegorz Krzymianowski, Mateusz Celer

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okladka – Paweł Szczepanik/ BookOne.pl

Zdjęcia w książce pochodzą z archiwum gazety „AS”.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2015

ISBN EPUB: 978-83-7924-397-6

ISBN MOBI: 978-83-7924-396-9



www.wydawnictwosqn.pl

Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej



Q DYSKUTUJ O KSIĄŻCE



/WydawnictwoSQN



/SQNPublishing



/WydawnictwoSQN



NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

f/WydawnictwoSQN

🐦/SQNPublishing

www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:

www.labotiga.pl



MESSI

UWIERZ W SIEBIE



SON

SON
K
D
E
B
I
E
Fundacja OnLine Messi

SON

Barça

życie, pasja, ludzie



*Najlepsza książka o Barcelonie, jaka kiedykolwiek
pojawiła. Jedyna. Niepowtarzalna. Przejmująca.*
Sunday Times

Jimmy Burns

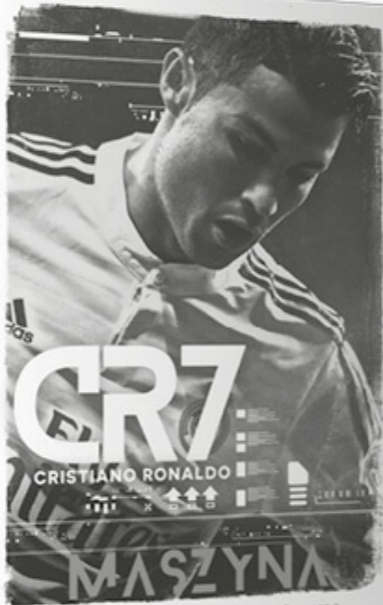
SON

Barça

życie, pasja, ludzie

59

CR7
MASZYNA



CR7

CRISTIANO RONALDO



MASZYNA

LUIS MIGUEL PEREIRA • JUAN IGNACIO GALLARDO

SON

SON

Realmadryt

PHIL BALL

511

Każdy szanujący się fan Królewskich MUSI
przeczytać tę książkę! Każdy szanujący się
fan innej drużyny – POWINIEN!
- MICHAŁ POL

KRÓLEWSKA HISTORIA NAJBARDZIEJ UTYTULOWANEGO KLUBU ŚWIATA

Realmadryt

PHIL BALL

WSTĘP: Guillem Balague
ROZKŁAD: Santiago Seguraola

SON

Ulises Sánchez-Flor

RAÚL

SEKRETY LEGENDY



RAÚL
SEKRETY LEGENDY
ULISES SÁNCHEZ-FLORES